

CZARNA SERIA



Åke
Edwardson

Pokój numer 10

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!
Siódmy tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

CZARNA SERIA



Åke
Edwardson

Pokój numer 10

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!
Siódmy tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

Åke

Edwardson

Pokój nr 10

Tytuł oryginału

Rum nummer 10

Dla mojego ojca, Karla Erika

*Serdecznie dziękuję komisarzowi Torbjörnowi Åhgrenowi,
który przeczytał pierwszą wersję książki i opatrzył tekst
cennymi uwagami, i komisarzowi Larsowi Björklundowi za
wszelką pomoc przez lata.*

KOBIETA MRUGNEŁA PRAWYM OKIEM. Raz, dwa, trzy, cztery razy. Komisarz Erik Winter na chwilę zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, mrugała nadal. Wyglądało to jak spazmatyczne drgawki, jakby jeszcze żyła. Zobaczył w jej oku odbicie sierpniowego światła. Wiązka promieni słonecznych wdarła się przez otwarte okno. Z dołu dobiegały przedpołudniowe odgłosy ulicy – przejechał samochód, tramwaj pomknął w dal, zaskrzeczał morski ptak. Winter usłyszał kroki – odgłos obcasów uderzających o bruk. Jakaś kobieta szła szybkim krokiem, dokądś się spieszyła.

Spojrzał na nią raz jeszcze. I na drewnianą podłogę. Światło jak ogień wbijało się w deski i biegło dalej, przez ścianę, do sąsiedniego pokoju, a może nawet do wszystkich pokoi na piętrze.

Jej powieki zadrżały jeszcze kilka razy. Odstawcie już te pieprzone elektrody, pomyślał. Przecież wiadomo. Przeniósł wzrok na zasłony powiewające na lekkim wietrze, przynoszącym nie tylko odgłosy, ale też zapachy z miasta. Woń benzyny, olejku zapachowego. Winter poczuł również słony zapach morza. Nagle pomyślał o morzu. I o linii horyzontu.

I o tym, co jest za nią. O podróżach. Jego myśli zajęły podróże. Ktoś w pokoju coś powiedział, ale Winter nie słuchał. Nadal myślał o podróżach. I o tym, że będzie zmuszony wyprawić się

w głąb życia tej kobiety. Wyprawić wstecz. Rozejrzał się po pokoju jeszcze raz. Po tym pokoju.

*

Wszedł recepcjonista. Ciągle jednak nie wiadomo, dlaczego akurat on.

Ruszył w jej stronę.

Zadzwonił z hotelu, z telefonu komórkowego.

Centrala wysłała do hotelu karetkę i radiowóz. Policja jechała jednokierunkową pod prąd. W starych dzielnicach, na południe od Dworca Centralnego, wszystkie ulice są jednokierunkowe.

Mocno wystraszona kobieta wysłała oboje inspektorów na trzecie piętro. Recepcjonista czekał pod drzwiami. Były otwarte. Policjanci zobaczyli leżące na podłodze ciało.

Recepcjonista zduszonym głosem opowiedział, co widział.

Próbował przedostać się spojrzeniem do pokoju, jak gdyby tam mieszkał. Inspektor kierująca zespołem szybko weszła do środka. Uklękła i pochyliła się nad ciałem. Leżało w nienaturalnej pozycji.

Pętla wciąż była mocno zaciśnięta na szyi. Metr od głowy leżało przewrócone krzesło. Na twarzy nie było widać żadnych oznak życia. Ani w przekrwionych oczach. Policjantka długo szukała wygasłego pulsu. Spojrzała w górę, na belkę przecinającą sufit. Wyglądał dziwnie, średniowiecznie. Cały pokój robił podobne wrażenie, jak gdyby należał do innego

świata. Albo jakby był scenografią do filmu. Porządek naruszało jedynie to leżące krzesło. Inspektorka usłyszała wycie karetki: najpierw dochodzące z daleka, a po chwili, kiedy samochód stanął przed hotelem, okrutnie głośne. To wycie nie miało już jednak sensu.

Jeszcze raz spojrzała w jej twarz, w otwarte oczy. Potem na linę i krzesło. I wreszcie na belkę. Dość wysoko.

– Dzwon po techników – powiedziała do kolegi.

Przyjechali technicy, Winter i lekarka sądowa.

Ściągnęła z prawego oka kobiety elektrody. Nie mogły jej wskrzesić, ale dzięki nim mogła ustalić, jak długo była martwa.

Im mniej czasu mija od chwili zgonu, tym skurcze mięśni są gwałtowniejsze. Chwila zgonu, pomyślał Winter. To dziwny termin. Podobnie jak cała ta metoda z elektrodami.

Lekarka spojrzała na Wintera. Nazywała się Pia E:son

Fröberg. Współpracowali od prawie dziesięciu lat, choć Winter

– z tej czy innej przyczyny – czasami miał wrażenie, że dwa razy dłużej.

– Sześć do ośmiu godzin – powiedziała.

Winter skinął głową. Zerknął na zegarek, było wpół do jedenastej. A zatem umarła o bladym świcie albo, jak kto woli, późną nocą. Na dworze było w każdym razie ciemno.

Rozejrzał się po pokoju. Trzech techników oglądało krzesło, belkę, podłogę wokół ciała, resztę mebli, wszystko, co mogło

stanowić jakąkolwiek wskazówkę. Jeśli jakieś były. Nie, nie mogło być inaczej. Sprawca zawsze coś po sobie zostawia.

Zawsze. Jeśli nie dajemy temu wiary, możemy pakować manatki i się zmywać.

Błyski flesza zaczęły nieregularnie oświetlać pokój, jak gdyby słońce chciało się wedrzeć do środka.

Jeśli jest jakiś sprawca... Spojrzał na belkę. I jeszcze raz na ciało. Potem na przewrócone krzesło. Jeden z techników oglądał siedzisko. Albo raczej nogi. Spojrzał na niego i potrząsnął głową.

Winter spojrział na jej prawą rękę. Była biała, lśniaco biała, jak śnieg. Farba wyschła, sięgała połowy przedramienia. Jak jakaś groteskowa rękawica. Biała farba. Obok stała puszka. Na rozłożonej gazecie, jak gdyby najważniejsza w tym pomieszczeniu była podłoga. Ważniejsza niż życie.

Na gazecie leżał pędzel. Ściekło z niego trochę farby. Rozlała się po zdjęciu jakiegoś zagranicznego miasta. Dostrzegł na nim zarys meczetu. Podeszedł bliżej, przykucnął. Poczł zapach farby.

Na jedynym stole w pokoju leżała kartka papieru.

List, napisany odręcznie. Prawie dziesięć linijek. Mogła go napisać gdzie indziej. Cyfry na drzwiach pokoju zrobiono z pozłacanego mosiądzu. Przybito je gwoździem. Trzecie piętro z czterech. W środku – nawet kiedy już zamknęli okno – wciąż

nosił się ten zapach. Słodkawy, choć to słowo może mieć wiele znaczeń.

Winter podniósł ze swojego biurka kopię listu i jeszcze raz zaczął się przyglądać pismu. Nie wyglądało na to, żeby ostatnie słowa pisała trzęsącą się ręką. Miał dla porównania inne jej – jak wykazano – zapiski. Oba teksty wysłano do laboratorium.

„Kocham was i zawsze będę was kochać, bez względu na to, co mi się przydarzy, i zawsze będziecie w moim sercu, gdziekolwiek się znajdę, a jeśli was rozgniewałam, to proszę o wybaczenie, wiedząc, że darujecie mi winę bez względu na to, co mnie lub wam się przydarzy, i że kiedyś znów się spotkamy”.

Dopiero tu postawiła kropkę. Napisała jeszcze kilka linijek, a potem to się stało. „Bez względu na to, co mi się przydarzy”.

Dwa razy to samo zdanie w liście do rodziców, napisanym według Wintera spokojną ręką, choć technicy dostrzegli przez mikroskop niewidoczne gołym okiem drgnięcia.

W liście, który teraz trzymał w ręce. Spojrzał na nią. Nie drżała, choć mogła. W końcu był tylko człowiekiem. Jej biała ręka. Idealnie pomalowana. Albo jakby zrobiona z gipsu. Coś, co już do niej nie należało. Co można było równie dobrze od niej oddzielić. Takie myśli przychodziły mu do głowy.

Zastanawiał się dlaczego. Czy ktoś jeszcze tak myśli?

Nazywała się Paula Ney, miała dwadzieścia dziewięć lat. Za dwa dni, pierwszego września, skończyłaby trzydzieści.

W pierwszym miesiącu jesieni. Miała mieszkanie, ale przez ostatnie dwa tygodnie tam nie mieszkała. Spółdzielnia robiła remont, robotnicy chodzili tam i z powrotem. Jedną godzinę spędzali w jednym pomieszczeniu, drugą w kolejnym. Prace miały trwać długo. Przeniosła się więc do rodziców.

Dwa dni temu wczesnym wieczorem poszła z przyjaciółką do kina. Po pokazie zamówiły w pobliskim barze po lampce wina.

Potem rozstały się przy Grönsakstorget. Powiedziała przyjaciółce, że pojedzie tramwajem. I właśnie tam urwał się ślad. Do chwili kiedy następnego dnia przed południem znaleziono ją w hotelu Revy, półtora kilometra na wschód od Grönsakstorget. Obok hotelu Revy nie przejeżdża żaden tramwaj. To w ogóle dość osobliwa nazwa.

Hotel też jest osobliwy. Zapomniany, jakby powstał w gorszych czasach. Albo w lepszych, jak uważają niektórzy. Stoi w gęsto zabudowanym kwartale na południe od Dworca Centralnego, w jednym z tych budynków, które ominęła akcja wyburzania w latach sześćdziesiątych. Przetrwało wtedy pięć kwartałów. Jak gdyby tę część miasta przykrył cień, kiedy urbaniści studiowali mapę, być może podczas pikniku w Trädgårdsföreningen po drugiej stronie kanału.

Revy istnieje od dłuższego czasu. Wcześniej była tam restauracja. Teraz nie ma po niej śladu. Hotel stoi w cieniu nowo wzniesionego Sheratona przy Drottningtorget.

W pewnym sensie to miejsce nabrało symbolicznego wymiaru. Swego czasu uchodził za burdel. Stoi w pobliżu Centralnego, a więc tam, gdzie bywa wiele kobiet i wielu mężczyzn. Ale po tych wszystkich rewelacjach na jego temat – prawdziwych i zmyślonych – zostało już tylko wspomnienie. Winter wiedział, że czasami zagląda tam grupa zajmująca się zwalczaniem prostytucji, ale nie było to już fajne miejsce ani dla dziewczyn, ani dla dziwaków. Bóg jeden wie, kto tam teraz mieszka. Mają niewielu gości. Pokój, w którym znaleźli Paulę Ney, stał pusty od trzech tygodni. Wcześniej cztery noce spędził w nim bezrobotny aktor. Przyjechał do miasta na casting do serialu telewizyjnego, ale nie dostał głównej roli. Obsadzili go w epizodzie. Miałem zagrać trupa, powiedział przez telefon koledze Wintera, Fredrikowi Haldersowi.

Winter usłyszał pukanie. Podniósł wzrok. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wszedł komisarz Bertil Ringmar, trzeci rangą w wydziale śledczym. Zamknął drzwi, przeszedł szybko przez pokój i usiadł przed Winterem.

– Zapraszam bliżej – powiedział Winter.

– Darujmy sobie formalności. Przecież to tylko ja – odpowiedział Ringmar i przysunął się, szurając krzesłem po podłodze. Spojrzał na Wintera. – Byłem u Öberga.

Torsten Öberg również był komisarzem. Pełnił obowiązki szefa wydziału technicznego, mieszczącego się piętro wyżej.

– No i?

– Miał coś do...

Zadzwonił stojący na biurku telefon. Przerwał Ringmarowi

w pół zdania. Winter odebrał.

– Erik Winter. – Słuchał w milczeniu, a potem odłożył

słuchawkę i wstał. – O wilku mowa. Öberg chce się z nami

widzieć.

– Trudno kogoś powiesić – powiedział Öberg, pochylając się

nad jednym z laboratoryjnych stołów. – Zwłaszcza jeśli ten ktoś

walczy o życie. – Wskazał na przedmioty leżące na stole. –

A nawet jeśli nie walczy, to i tak jest to trudne. Ciała są ciężkie.

– Spojrzał na Wintera. – Również ciała młodych kobiet.

– Stawiała opór? – spytał Winter.

– Ani trochę.

– Więc co się stało?

– To już twoje zadanie, Erik.

– Daj spokój, Torsten. Przecież mówiłeś, że coś dla nas masz.

– Nigdy nie stała na tym krześle – powiedział Öberg. – Z tego

co widać, nigdy nikt na nim nie stał. – Przejechał palcami po

nosie. – Czy recepcjonista nie mówił, że podskoczył i złapał

koniec liny?

Winter skinął głową.

– W ogóle nie wszedł na krzesło?

– Nie. Przewróciło się, kiedy ciało spadło.

– Na ramieniu ma ranę – powiedział Öberg. – Pewnie właśnie od tego.

Winter znów skinął głową. Rozmawiał wcześniej z Pią E:son Fröberg.

– Ten recepcjonista, Bergström, chwycił koniec liny i pociągnął z całych sił, tak że węzeł się poluzował.

– Wygląda na to, że wiedział, co robić – stwierdził Öberg.

Ale recepcjonista nie miał o tym pojęcia. Tak powiedział

Winterowi podczas krótkiego wstępnego przesłuchania

w małym śmierdzącym pokoju tuż za hotelowym holem. Po

prostu działał. Instynktownie. Mówił, że to był odruch. Chciał

ratować życie.

Nie kojarzył tej kobiety. Ani wtedy, ani później. Nie

zameldowała się w hotelu i nie odwiedzała nikogo.

Widział list, kartkę papieru. List pożegnalny, przemknęło mu

przez głowę na chwilę przed tym, jak zaczął działać. Ktoś miał

dość życia. Zobaczył krzesło stojące pod nią. I koniec liny.

Rzucił się na ratunek, podskoczył.

– To krzesło jest idealnie czyste – zauważył Öberg.

– Co masz na myśli? – spytał Winter.

– Gdyby sama chciała się powiesić, musiałaby wejść na

krzesło i zarzucić linę na belkę stropową. Ale nie stała na nim.

A jeśli stała, to ktoś je później wytarł. I tym kimś nie była ona.

– No, to rozumiałe – wtrącił Ringmar.

– To gładka powierzchnia – mówił dalej Öberg. – Miała bose stopy.

– Buty stały przy drzwiach – powiedział Ringmar.

– Miała bose stopy, kiedy tam weszliśmy – mówił dalej Öberg.

– Umarła bosą.

– Żadnych śladów na krześle – powiedział Winter, właściwie do siebie.

– Jak panowie wiedzą, brak śladów to coś równie interesującego, jak ich obecność – zauważył Öberg.

– A co z liną? – spytał Ringmar.

– O tym właśnie chciałem wam powiedzieć – odparł Öberg.

Winter dostrzegł dumę albo coś w tym rodzaju. Öberg miał im coś do przekazania.

– Na linie nie było żadnych odcisków palców, ale o tym chyba wspominałem, nie?

– Tak – odpowiedział Winter. – O linach nylonowych już trochę wiem.

Ta była niebieska. Jej jaskrawy kolor przypominał kolor neonu. Na tak szorstkiej powierzchni rzadko zostają odciski palców. Trudno więc od razu stwierdzić, czy ktoś miał na rękach rękawiczki.

Ale były też inne ślady. Winter widział techników pracujących w pokoju numer dziesięć. Pobierali z liny próbki, szukali włosów i pozostałości śliny lub potu. Trudno nie zostawić

żadnych śladów DNA.

Ktoś, kto ma na rękach rękawiczki, może splunąć w jedną z nich, zaczesać do tyłu włosy.

Całkiem prawdopodobne, że nie zostawił po sobie nic. Winter starał się myśleć trzeźwo. Pomyślał, że przyszło mu żyć w czasach, kiedy nadzieje na to, że testy DNA wyjaśnią i rozwiążą każdą kryminalną zagadkę, mogą się okazać pobożnymi życzeniami, zwykłymi snami na jawie.

Wiedział, że Öberg wysłał wszystkie próbki do Krajowego Laboratorium Kryminalistycznego.

– Gert wykrył coś jeszcze – powiedział Öberg z błyskiem w oku. – We włóknach pętli.

– Zamieniamy się w słuch – powiedział Winter.

– Krew. Niewiele, ale wystarczająco dużo.

– To dobrze – wtrącił Ringmar. – Bardzo dobrze.

– Jeden z najmniejszych śladów, jakie widziałem – mówił dalej Öberg. – Gert rozwiązał węzeł i, ponieważ jest człowiekiem bardzo dociekliwym, dokładnie mu się przyjrzał.

– Nie widziałem krwi w pokoju – powiedział Winter.

– Nikt z nas nie widział – dodał Öberg. – A już na pewno nie na ciele. – Zwrócił się do Wintera: – Czy Pia zauważyła małe rany na jej ciele?

– Ani jednej.

– Więc jeśli Paula Ney nie przyniosła liny ze sobą... –

powiedział Ringmar.

– ...to przyniósł ją ktoś inny – dokończył Öberg, znów z błyskiem w oku.

– Godzinę temu rozmawiałem z jej rodzicami – powiedział Ringmar i przesunął się z krzesłem pół metra do tyłu. Tym razem głośniej niż przedtem. Wrócili już do Wintera. Winter był rozdrażniony, jakby go brała gorączka. Ringmar znów się przesunął, znów szurając krzesłem po podłodze.

– Nie możesz podnieść tego krzesła? – spytał Winter.

– Przecież na nim siedzę!

– Co powiedzieli?

– Nie wydawała się inna tamtego wieczoru ani popołudnia.

Ani przez ostatni tydzień. Była tylko wkurzona na robotników albo na spółdzielnię. Tak w każdym razie powiedzieli. To znaczy rodzice. Albo raczej mama. Rozmawiałem z matką, Elisabeth.

Winter też z nią rozmawiał, wczoraj po południu. I z jej mężem, z ojcem Pauli, Mariem. Był bardzo młody, kiedy przyjechał do Szwecji i dostał pracę w SKF-ie. Wielu Włochów się tam załapywało.

Mario Ney. Paula Ney. Jej torebka leżała na łóżku w hotelowym pokoju. Öberg i jego ludzie jeszcze nie ustalili, czy ktoś w niej grzebał. Był w niej portfel z kartami płatniczymi i niedużą gotówką. Prawa jazdy nie było, tylko karnet na

siłownię i kilka innych drobiazgów.

W kieszonce były cztery zdjęcia. Takie z automatu. Wyglądały na świeżo wywołane.

Zawartość torebki wskazywała na to, że jej właścicielką była Paula Ney. I to właśnie Paula Ney została powieszona w ciemnym pokoju hotelowym, do którego przebijał się tylko cieniutki promyk słońca.

– Kiedy miała wrócić do mieszkania? – spytał Winter.

– Jakoś niebawem, jak stwierdziła.

– Tak powiedziała? Słyszałeś to od jej rodziców?

– Chyba ojciec tak powiedział. Pytania zadawałem matce.

Winter podniósł list, a raczej jego kopię. Słowa te same co w oryginale. Tych samych sześć linijek. Na górze: „Do Maria i Elisabeth”.

– Dlaczego to napisała? I czemu do rodziców?

– Nie miała faceta – odparł Ringmar.

– Odpowiedz najpierw na pierwsze pytanie – powiedział

Winter.

– Nie wiem jak.

– Zmuszono ją?

– Na pewno.

– Wiemy, czy napisała ten list po zniknięciu, że tak to nazwę?

Po tym, jak się rozstała z przyjaciółką przy Grönsakstorget?

– Nie. Ale to jest nasz punkt wyjścia.

– Łączymy list z zabójstwem – powiedział Winter. – A może

tu chodzi o coś innego?

– O co?

Byli w swoim żywiole. Jednym z tych rutynowych. Burza

mózgów: strategie, pytania i odpowiedzi, kolejne pytania.

Mogli się posunąć do przodu albo wstecz, nawet zabłądzić. Byle

tylko nie stać w miejscu.

– Może chciała coś z siebie wyrzucić? – powiedział Winter. –

A nie mogła tego powiedzieć prosto w oczy, stanąć twarzą

w twarz. Coś się wcześniej musiało stać. Chciała się z tego

wytłumaczyć albo wyciągnąć rękę na zgodę. Albo po prostu dać

o sobie znać. Zależało jej na wyrwaniu się z domu na jakiś czas.

Nie chciała mieszkać u rodziców.

– Pobożne życzenia.

– Że co proszę?

– Aż strach pomyśleć, że mogło być wręcz odwrotnie.

Nie odpowiedział. Ringmar miał oczywiście rację. Winter

spróbował wyobrazić sobie tę scenę. Była to w końcu część jego

pracy. Zamknął oczy i zobaczył, jak Paula siedzi pochylona nad

kartką. Ktoś stoi za nią, nad nią. Paula trzyma w ręce długopis.

Pisz. Pisz!

– To jej słowa? – spytał Ringmar.

– Spisywała czyjeś? – dodał Winter.

– A może napisała to, co chciała?

– Wydaje mi się, że tak właśnie było – odparł Winter i jeszcze raz przeczytał pierwsze zdania.

– Dlaczego?

– Ton jest zbyt osobisty.

– Może to ton mordercy?

– Chodzi ci o to, że to może być jego wiadomość do własnych rodziców?

Ringmar wzruszył ramionami.

– Wątpię – powiedział Winter. – To jej słowa.

– Ostatnie.

– Jeśli nie pojawią się kolejne listy.

– Niech to szlag.

– O co jej chodzi z tym prośbą o wybaczenie? – powiedział

Winter i przeczytał jeszcze raz.

– O to, o czym pisze – odparł Ringmar. – Że prosi

o wybaczenie, jeśli rozgniewała rodziców.

– Czy akurat o tym się myśli, kiedy się pisze taki list? To by jej przyszło do głowy?

– A myśli się w ogóle w takich sytuacjach? – spytał Ringmar.

– Wiesz, że jesteś w beznadziejnym położeniu, ktoś każe ci

pisać list. – Bujnął się na krześle, ale tym razem go nie

przesunął. – No, całkiem możliwe, że ma się wtedy poczucie

winy. I odczuwa chęć pojednania.

– Ale czy była jakaś wina? Prawdziwa wina?

– Według rodziców nie. Nic, co... no, co by wykraczało poza standardowe sprzeczki między dziećmi a rodzicami. Żadnych waśni czy jak to inaczej nazwać.

– Ale do końca tego nie wiemy – zauważył Winter.

Ringmar nie odpowiedział. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał przez szpary w żaluzjach. Widział, jak wiatr przedziera się przez czarne korony drzew przy kanale Fattighusån. Nad domami za wodą unosiła się matowa luna. Nie była czystym blaskiem letniej nocy. Była czymś innym.

– Spotkałeś się już z czymś takim? – spytał Ringmar, wciąż stojąc przodem do okna. – Z listem... z drugiej strony.

– Z drugiej strony?

– Daj spokój, Erik – odparł Ringmar i odwrócił się. –

Biedaczka wie, że zostanie zamordowana, i pisze o miłości, pojednaniu i przebaczeniu. Potem dostajemy telefon z tego przeklętego zawszonego hotelu i jedyne, co możemy zrobić, to pojechać tam i stwierdzić, że stało się to, co się stało.

– Nie tylko ciebie to wkurza, Bertil.

– Więc spotkałeś się już z czymś takim? Z takim listem pożegnalnym?

– Nie.

– Napisanym ręką, którą później pomalowano? Na biało.

Jakby... była oddzielona od ciała.

– Nie.

– Więc o co, do cholery, w tym chodzi?

Winter wstał. Nie odpowiedział. Poczł ostry ból w karku.

Rozchodził się po łopatce. Za długo siedział, rozmyślając nad listem. Zapomniał rozprostować swoje czterdziestopięcioletnie

kości. Nie mógł już wytrzymać. Nie da się siedzieć tak długo

bez ruchu. Ale jeszcze trzymał się na nogach. Miał czucie

w rękach. Mógł je podnieść i rozmasować kark. I tak zrobił.

Potem podszedł do Ringmara. Ringmar wciąż stał przy oknie.

Winter je otworzył i poczuł zapachy wieczoru, jego rzeński

chłód.

Bertil się wkurzył. Był profesjonalistą, w tej chwili wkurzonym

profesjonalistą, a to dobre połączenie. Dobrze wpływa na

wyobraźnię, pobudza. A policjanci bez fantazji są kiepskimi

śledczymi, w najlepszym wypadku przeciętnymi. Takim udaje

się zapomnieć o wszystkim z chwilą, kiedy wyjdą z komisariatu.

Może dla nich to dobrze, ale na pewno nie służy to śledztwu.

Gliniarz, któremu brakuje wyobraźni, może się po pracy

wyłączyć, ale potem będzie się zastanawiał, dlaczego nigdy nie

osiągnął dobrych rezultatów. Wielu jest takich ledwo

kompetentnych przeciętniaków. Nie patrzą dalej niż czubek

własnego nosa. Winter w ciągu swojej kariery śledczego często

miał z nimi do czynienia. W pewnym sensie są spokrewnieni

z psychopatami: nie potrafią myśleć samodzielnie, kierować się

intuicją, pytać, co jest za horyzontem. Przyjmują postawę:

skoro czegoś nie widzę, to znaczy, że to nie istnieje, więc lepiej zawrócić.

– Nie wiem, czy to miała być wiadomość dla nas – powiedział Winter. – Ta ręka. Biała.

– O co z nią chodziło? – spytał Ringmar

– Co masz na myśli?

– To coś... oznacza? Po co pomalował jej rękę tą pieprzoną emalią?

To była farba Beckers. Nazywała się Syntem. Biel antyczna, półmatowa, do drewna, mebli, ścian i powierzchni metalowych we wnętrzach. Wszystko to było napisane na puszcze. Stała w pokoju numer dziesięć. Technicy mieli sprawdzić, czy tą właśnie farbą pomalowano jej rękę. Nie było powodów, żeby w to wątpić, ale musieli się upewnić. Jeden szczegół już potwierdzono: Paula Ney nawet nie dotknęła leżącego przy prawie pełnej puszcze pędzla. Farba miała więc służyć do pomalowania jej ręki. Później pędzel wysechł.

– Według rodziców z ręką nie wiązało się nic... nadzwyczajnego – powiedział Winter.

Boże! Przecież oni nie widzieli jej ręki. Pia E:son Fröberg i Torsten Öberg jeszcze jej dokładnie nie zbadali. Winter ukrył ten szczegół przed jej rodzicami, ale nawiązał do niego, zadając im pytania. Co za gówniana sprawa.

– Mam wszystkie rodzinne zdjęcia – powiedział Ringmar.

– Nic na nich nie znajdziemy.

Ringmar nic nie powiedział.

– Po co to zrobił? – spytał. – To z ręką?

– Powiedziałeś to tak, jakby ją wziął ze sobą – zauważył

Winter.

– A nie masz takiego wrażenia?

– Nie wiem, Bertil.

– Jest w tym jakiś sens. Ten dupek chciał nam coś powiedzieć.

Coś nam opowiedzieć. – Ringmar uniósł rękę. – O sobie. –

Spojrzał na Wintera. – Albo o niej. – Wyjrzał przez okno.

Winter podążył za jego spojrzeniem. Na dworze było ciemno. –

Albo o obojgu.

– Znali się?

– Tak.

– Umówili się w niepozornym hotelu? I dla bezpieczeństwa

nie zameldowali się w recepcji?

– Tak.

– I dajemy temu wiarę?

– Nie.

– Ale znała mordercę.

– Tak sędzę, Erik.

Winter nie odpowiedział.

– Robię w tym gównianym zawodzie dziesięć lat dłużej niż ty,

Erik. Miałem do czynienia z różnymi sprawami, ale tego, co tu

się dzieje, nie mogę ogarnąć.

– Damy radę – powiedział Winter.

– Oczywiście – odparł Ringmar, ale się nie uśmiechnął.

– *Á propos* przeszłości – zaczął Winter. – Kiedy jeszcze byłem

świeżakiem, pierwszy rok pracowałem jako śledczy,

zajmowałem się sprawą, w której pojawił się hotel Revy.

– Nie pierwszy raz jest bohaterem śledztwa – wtrącił

Ringmar. – Obaj dobrze o tym wiemy.

– Tak... ale tamta sprawa... czy jak to nazwać, była wyjątkowa.

Winter patrzył w noc. Na szarówkę i poświatę. Wydawało się,

że wszystko stoi w zawieszeniu, bo zbliża się koniec lata i razem

z mgłą do powietrza powoli wkrada się jesień.

– To było zaginięcie – powiedział. – Teraz sobie

przypominam.

– W hotelu Revy?

– Chodziło o kobietę – ciągnął Winter. – Nie pamiętam już jej

imienia. Ale wyszła z domu, żeby coś załatwić. Wydaje mi się,

że była mężatką. Pamiętam, że zameldowała się w Revy na noc

przed zniknięciem.

– Zniknięciem? Gdzie?

Winter nie odpowiedział. Zatonął w myślach, we

wspomnieniach. Tak jak w ciemności za oknem zatonęły

wierzchołki dachów, ulice, parki, porty i hotele.

– Co się z nią stało? – spytał Ringmar. – Badałem za dużo

zaginięć. Wszystkie się zlały w jedno.

– Nie wiem – odpowiedział Winter i zimno spojrzał

Ringmarowi w twarz. – Nikt nie wie. Nie wydaje mi się, żeby została odnaleziona.

Winter miał wtedy dwadzieścia siedem lat. Dopiero zaczynał, był aspirantem. To było późne lato, zieleńsze niż zwykle o tej porze, bo w wakacje wyjątkowo dużo padało. Każdy dzień spędzał w mieście. Urlop wybił sobie z głowy, myślał o przyszłości, o swojej karierze śledczego. Przerwał studia prawnicze, zanim je tak naprawdę zaczął. Postanowił zostać policjantem. Ale po szkole, po roku służby w mundurze i pół roku pracy po cywilnemu jako śledczy wciąż nie był pewien, czy chce poświęcić życie na schodzenie do podziemi. Na powierzchni działo się przecież tak wiele. I było dużo jaśniej. Nawet kiedy padało. W ciągu półtora roku zobaczył to, czego normalni ludzie nigdy nie oglądają, nawet jeśli żyją sto lat. Tak właśnie o nich myślał: normalni ludzie. Ci, którzy żyją na powierzchni. On też czasem tam żył. Pojawiał się i znikał, wyczołgiwał się na górę, a potem pełzł w dół. Wiedział, że jego życie nigdy nie będzie normalne. Tam, na dole, mają swój własny świat. Policjanci, a z nimi złodzieje, mordercy i gwałciciele. Oni rozumieją. Rozumieją siebie nawzajem. Zaczął pojmywać, co to znaczy rozumieć. I wtedy zaczęło się robić coraz łatwiej. Będę jak oni, myślał. Jak mordercy.

Będę coraz bardziej podobny do nich, bo oni nigdy nie mogą być tacy jak ja.

Zrozumiał, że aby rozwiązywać zagadki, musi przestać myśleć schematami. Wtedy jest łatwiej. Ale również trudniej. Wiedział, jak się zmienił w tym czasie, kiedy stawał się coraz lepszy w swoim fachu, kiedy zaczynał lepiej myśleć. Gdy jednak dochodził do rozwiązania sprawy albo jej części, stwierdzał, że ma bujną wyobraźnię, i ostatecznie jego wysiłek szedł na marne. Ale to nie była tylko fantazja. Myślał jak o n i, zapuszczał się w ciemność jak o n i. Zdarzały się długie okresy, kiedy nie miał swojego życia. Im lepiej pracował, tym trudniej mu było n o r m a l n i e żyć. Był samotny. Jak skalista wysepka. Nie liczył dni. Nie zajmował się niczym oprócz kryminalnej zagadki. Opiekował się nią, kładł ją do łóżka, podlewał. Jeśli chodziło o nią, był prawdziwym pedantem. Troskliwym z przymusu. Dokumenty leżały na jego biurku w równiutkich rzędach. W domu, między sypialnią a łazienką, przewalały się sterty ciuchów. O cywilny strój służbowy, owszem, dbał, bo zaniedbania nie uważał za zaletę. A jednak gdzieś w środku, pod tym czystym ubraniem, był niechlujny jak cholera. Jeśli już próbował zrobić sobie normalny obiad, poddawał się w połowie drogi. Wolał otworzyć butelkę słodowej, kiedy jeszcze mało kto wiedział, co to jest. Wtedy uzyskiwał przewagę nad normalnym światem i próbował pić

whisky tak powoli, jak tylko potrafił, słuchając przy tym jazzu atonalnego, którego nikt inny nie mógł znieść. Whisky i jazz – to był jego sposób na życie, kiedy zapadała noc i wszystko za oknami w niej tonęło. Siedział w półmroku ze swoimi obowiązkami i zagadkami, a później z rzucającym na pokój zimne światło laptopem.

Po kilku latach pracy w wydziale doszedł do wniosku, że wreszcie się odnalazł: powoli przestał być tym, kim był. Uznał, że dobrze się stało. Wyzwolił się od normalności.

*

Od normalności została też wyzwolona Ellen Børge. Albo sama się wyzwoliła. Wyszła kupić czasopismo i nigdy nie wróciła. Tak to właśnie wyglądało, rzeczywistość jak fikcja literacka: poszła kupić jakiś kobiecy magazyn. Winter sądził, że „Femineę”, bo na ławie w salonie leżała sterta numerów „Feminy”. Tylko „Feminy”. Ale jej mąż, Christer Børge, nie wiedział. „Ach tak? «Femineę»? Nie wiem. Nie mówiła”.

Nie dotarła do pobliskiego sklepu, w którym zazwyczaj kupowała prasę i inne rzeczy. Dwie pracujące tamtego popołudnia ekspedientki powiedziały, że dobrze ją znały i pamiętałyby, gdyby się zjawiała.

Christer Børge zadzwonił na policję po pięciu godzinach.

Połączono go z dzielnicowym posterunkiem numer trzy. Tak to się wtedy nazywało. Po dobie od jej zniknięcia do poszukiwań

włączył się wydział śledczy, a dokładniej jednostka do spraw zaginięć. Sprawa przypadła żółtodziobowi Erikowi Winterowi. Podejrzał popełnienie przestępstwa, bo taką miał pracę i taką miał naturę. Siedział przy ławie ze stertą „Femin” i pytał o dwudziestodziewięcioletnią

Ellen

Börge

jej

trzydziestojednoletniego męża. Wszyscy troje byli w podobnym wieku, ale Winter czuł się wykluczony – nie znał Ellen, a jej mąż wcale się nie cieszył na jego widok. Był zdenerwowany, ale Winter nie wiedział, jaki to rodzaj zdenerwowania. Żeby móc coś takiego rozpoznać, trzeba lat prowadzenia śledztw. Szkoła policyjna nie daje takiej wiedzy. Trzeba długo czekać, a raczej samemu się uczyć – bez końca zadawać pytania, czytać z twarzy, wsłuchiwać się w słowa i próbować wyławiać znaczenia. W 1987 roku, gdy wszystko się zaczęło, Winter wiedział, że literaturoznawcy dużo mówią o podtekście. To słowo idealnie pasowało do tego, co się działo podczas przesłuchań. Między tym, co się mówi, a tym, co się ma na myśli, może istnieć ogromna przepaść.

– Czekał pan pięć godzin, zanim wezwał policję – powiedział do Christera Börgego. To nie było pytanie.

– Tak, no i co z tego?

Börge poruszył się na sofie naprzeciwko niego. Winter siedział w pluszowym fotelu. Miał wrażenie, że meble są za... stare jak na tak młode małżeństwo. Cały dom wydawał się... urządzony i zamieszkanym przez parę w średnim wieku. Ale nie ufał swoim osądom. W jego dwupokojowym mieszkaniu stały łóżko, stół i coś w rodzaju fotela, więc podczas takiego przesłuchania sam nie potrafiłby określić, jakie ma meble i czemu one służą.

Ale Christer Börge mógłby opisać wszystko w swoim domu, zrobić dokładny spis inwentarza, łącznie z liczbą serwetek w drugiej od góry kuchennej szufladzie. Co do tego Winter nie miał najmniejszych wątpliwości. Börge wyglądał na kogoś, kto musi mieć całkowitą kontrolę, jeśli świat ma pozostać normalny. Na jednej z fotografii stojących na ławie jego żona wyglądała podobnie: drętwy wyraz twarzy, skromna fryzura, nieobecne spojrzenie. Ale Ellen Börge miała na tym zdjęciu piękne, regularne, ostre rysy. Ta twarz w innym kontekście mogłaby nawet wzbudzić sensację. Ale nie z tą fryzurą. Zanim Winter usiadł w fotelu, pomyślał, że chyba nie była szczęśliwa ze swoim mężem. Za bardzo wszystko kontrolował. Może planowali dzieci, choć pierwsze pewnie za kilka lat, podczas pełni księżyca, podczas odpływu, kiedy posłuży to gospodarce. Winter nie myślał o dziecku, ale nie miał też kobiety, z którą mógłby się dzielić takimi myślami.

Może Ellen Börge nie wytrzymała.

Pięć godzin. Zadzwoił na policję po pięciu godzinach. Jeśli

Christer Børge rzeczywiście był tym, na kogo wyglądał,

powinien zatelefonować od razu. Domagać się swoich praw.

Domagać się pełnego zaangażowania. Domagać się

dostarczenia żony z powrotem.

Winter zachodził w głowę.

– Nie niepokoił się pan? Pięć godzin to kawał czasu, kiedy się na kogoś czeka.

– A zrobilibyście cokolwiek, gdybym zadzwonił wcześniej? –

Ton jego głosu nagle stał się wysoki, niemal piskliwy. – Nie powiedzielibyście po prostu, żebym czekał?

– A dzwonił pan kiedykolwiek wcześniej? – spytał Winter. –

Zdarzyło się wcześniej, żeby zniknęła?

– Ech... nie. Chodziło mi o to, że trzeba czekać. Tak czytałem.

Policja czeka, nie?

– To zależy – powiedział Winter i nagle to on zaczął

odpowiadać na pytania. Było ciężko. Całe to przesłuchanie

okazało się trudne. – Nie da się powiedzieć tak ogólnie.

– Czasami... szła na spacer – zaczął Børge, choć Winter nie

zadał pytania. – Wychodziła bez słowa i nie było jej nawet kilka godzin.

– Pięć?

– Nie, nigdy. Dwie, czasem może trzy.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

Börge zamilkł, jak gdyby wspomnienie przeszłości go uspokoiło.

– Dlaczego bez słowa wychodziła na wiele godzin?

– Powiedziałem, że na kilka godzin.

– Pytał ją pan?

– Niby o co? – Börge przeciągnął dłonią po pluszu, jakby głaskał psa albo kota. – Przecież to był tylko spacer.

– Ale tym razem wyszła kupić czasopismo. Może „Feminę”.

– Skoro pan tak twierdzi.

– Widzę tu tylko jeden tytuł – powiedział Winter, a potem złapał całą stertę i sprawdził datę wydania ostatniego numeru.

– Jest pan pewien, że poszła po czasopismo?

– Tak.

– Prenumerowała jakieś inne tytuły?

– Co? Nie... kiedyś tak... ale teraz przerzuciła się na...

kupowanie w sklepie.

– Kiedy przestała prenumerować?

Te szczegóły mógł akurat sam sprawdzić, ale wolał spytać jego. Takie pytania mogły być ważne. Najczęściej dopiero później się o tym przekonywał.

– No... – odparł Börge i spojrzał na stertę czasopism na stole.

– Nie pamiętam dokładnie. Zdaje się, że kilka miesięcy temu.

– Czytała jakieś inne gazety albo czasopisma?

– Noo... dziennik. „Göteborgs-Posten”. No i chyba ten

magazyn tutaj – odparł, wskazując ręką na stertę, którą Winter wciąż trzymał w ręku. – Może pan posprawdzać w szafach, ale ja widziałem tylko ten tytuł.

– Już go miała – powiedział Winter.

– Słucham?

Winter podniósł dwa pierwsze numery.

– Miała sierpniowy i wrześniowy.

– Wrześniowy? Przecież wrzesień jeszcze się nie zaczął.

– Wydaje mi się, że wychodzą na chwilę przed początkiem miesiąca. – Jeszcze raz przeczytał napis na okładce. – Jak byk: wrzesień 1987.

– Może nie o ten jej chodziło? – powiedział Börge. – To znaczy może poszła kupić coś innego.

Winter nie odpowiedział. Czekał. Wiedział, że czasem dobrze jest poczekać. To było zresztą w sztuce prowadzenia przesłuchań najtrudniejsze.

Minęło pół minuty. Widział, jak cisza sprawia, że Börge zaczyna się zastanawiać, czy nie powiedział czegoś, co mu się nie spodobało albo zabrzmiało podejrzanie. I czy teraz nie powinien czegoś wydusić, żeby trochę poprawić atmosferę.

Nagle wstał i podszedł do stojącego pod ścianą regału. Tak naprawdę był ogromną witryną na porcelanę, ozdoby, książki i zdjęcia w ramkach. Twarz Ellen, którą Winter już widział.

Börge wciąż stał przy książkach, jakby szukał konkretnego

tytułu. Odwrócił się.

– Pokłóciliśmy się trochę.

– Kiedy?

– Wtedy... gdy wyszła.

– O co się państwo pokłócili?

– O dziecko.

– Dziecko?

– No... chciała mieć dziecko, a ja uznałem, że jest jeszcze za wcześnie.

Winter przemilczał odpowiedź swojego

trzydziestojednoletniego rozmówcy. Głównie dlatego, że nie miał na ten temat nic do powiedzenia. Wcześniej oznaczało dla niego totalną abstrakcję. Perspektywa założenia rodziny była odległa o lata świetlne. Nawet wyobraźnię nie mógł tego ogarnąć.

– Kłócili się państwo o dziecko?

– Tak. Tak powiedziałem. Ale to nie była poważna kłótnia.

– Co pan ma na myśli?

– To w zasadzie nie była żadna kłótnia. Ona po prostu... o tym wspomniała.

– A pan nie chciał rozmawiać?

Börge się nie odezwał.

– Czy wcześniej dochodziło do takich sprzeczek?

– Tak...

– Czy potem wychodziła? I nie mówiła, gdzie idzie?

– Tak – odparł Börge.

– Tym razem też wyszła z tego powodu?

– Eee... właściwie się nie pokłóciliśmy. Miała pójść do sklepu

po czasopismo. – Börge spojrział na numer, który Winter

podniósł ze sterty. Na ten, który chciała kupić, choć już go

miała.

– Z tego powodu wyszła? – spytał ponownie Winter, patrząc

mu prosto w oczy. – Z powodu kłótni o to, kiedy będziecie mieć

dzieci?

– Eee... nie pamiętam – odparł Börge. – Ale zawsze przecież

wracała. – Spojrzął na Wintera, szukał jego wzroku. – Zawsze

wracała.

Ale wtedy nie wróciła.

Nigdy nie wróciła.

– Przypomniałem sobie – powiedział Winter. – Nigdy nie

wróciła do domu. Ellen. Miała na imię Ellen. Ellen Börge.

Wciąż stali przy oknie. Na dworze było ciemno jak

w listopadzie. Winter myślał o okładce z wydrukowanym pod

tytułem słowem: wrzesień.

Wrześnie przychodziły i odchodziły, przez całe lata, ale Ellen

Börge już nie gromadziła czasopism, nie tworzyły już sterty,

przynajmniej nie na tamtej ławie.

– Pamiętam – odparł Ringmar, lekko się uśmiechając

w blasku światła zza okna. – I pamiętam ciebie. To chyba była twoja pierwsza sprawa. Albo jedna z pierwszych.

– Pierwsza sprawa i pierwsze niepowodzenie.

– Jedno z wielu – odparł Ringmar.

Winter skinął głową.

– A tak na poważnie... – zaczął Ringmar. – To było zaginięcie, którego nie wyjaśniliśmy, ale nie stwierdziliśmy też, że doszło do zbrodni.

– Nie dowiedzieliśmy się nawet, czy to mogła być zbrodnia, którą należałoby wyjaśnić.

– Ma to dla ciebie jakieś znaczenie? – spytał Ringmar. – Było w tym coś szczególnego? W jej zniknięciu?

– Nie wiem. – Nagle Winter poczuł się cholernie zmęczony, jak gdyby wszystkie lata od tamtego dnia do teraz zwały mu się hurtem na głowę. – W... Ellen było coś, co sprawiało, że nie chciałem odpuścić.

– Początki są najtrudniejsze – powiedział Ringmar. – Jest się jeszcze zielonym w branży.

– Nie.

Winter pogładził się po zaroście. Usłyszał chrzęst szczeciny pod palcami. Od kilku lat siwiał w tym miejscu. I nie chodziło wcale o wiek. Cecha dziedziczna, naturalna prawidłowość. Aż taki stary jeszcze przecież nie był.

– Czasami się nad tym zastanawiałem – ciągnął. – Przez wszystkie te lata. I wydaje mi się, że w tej sprawie była jakaś wskazówka. Że mogłem jeszcze coś zrobić. Czemuś się przyjrzeć. Że to coś tam było, że miałem to przed oczami. Powinienem był to dostrzec. Gdyby tak się stało, zaszedłbym dalej.

– Dalej, czyli dokąd?

– Do... Ellen.

– Mówisz o tym jak o przestępstwie – powiedział Ringmar. – Jakby była ofiarą.

Winter rozłożył bezradnie ręce, w stronę Ringmara i nocy.

– W każdym razie teraz mamy do czynienia z oczywistym przestępstwem – powiedział Ringmar.

– Hm... – odparł Winter i gwałtownie skinął głową. Czuł, że w środku coś mu brzęczy, może jakaś śrubka, którą trzeba dokręcić jeszcze mocniej. – Jestem zmęczony. Nie mogę sobie przypomnieć, jak trafiliśmy na jej ślad.

– Hotel Revy – powiedział Ringmar. – Zameldowała się w najmilszej noclegowni w mieście.

– Ale Paula Ney tego nie zrobiła.

– Zgadza się. Ani się nie wymeldowała.

CZY PAULA NEY NAPRAWDĘ SAMA NAPISAŁA list do rodziców, Maria i Elisabeth? Charakter pisma wskazywał na nią. Wstępnie założono, że to ona, ale przesądzić miały dokładne badania. Wciąż analizowano wszystko, co znaleziono na miejscu zbrodni. Winter nie mógł siedzieć bezczynnie i czekać, aż inni odwalą całą robotę. Analitycy skończą, kiedy skończą. On musi sobie zadać cztery najważniejsze pytania, te, które zawsze od razu należy zadać: Co dokładnie się stało? Dlaczego się stało i dlaczego tak, a nie inaczej? Kto mógł dokonać takiego zabójstwa? Dlaczego?

Stał w pokoju w hotelu Revy. Za oknem tętniło życiem miasto. Jego pomruki dobiegały zza zasuniętych grubych zasłon. Podszedł do okna i otworzył je. Nagle oślepiło go światło, a odgłosy rozbrzmiały głośniejsz, jakby ktoś w Urzędzie Miasta pokręcił gałką wzmacniacza.

Do września zostało kilka dni. Upał, który przez całe lato trzymał się zwrotnika Raka i w ogóle nie dotarł na północ, nagle uderzył. Był ciężki i objął całą północną Europę, mimo że słońce ruszyło już w stronę zwrotnika Koziorożca. W ruch poszły pordzewiałe grille, późnymi wieczorami palono w ogrodach ogniska, w wilgotnej ciemności rozchodził się zapach dymu. Winter myślał o innych krajach, tych między zwrotnikami Raka a Koziorożca. O tropikach. Pewnego dnia się

tam wybierze – do Thiruvananthapuramu, Koczinu, Maduraju, Georgetown, Singapuru, Padangu, Surabai.

W tropikach nie ma cieni. Człowiek nie rzuca żadnego ciemnego odbicia. Cień spływa po jego ciele i znika pod stopami.

Zamrugnął oczami, zaskoczony nagłym uderzeniem światła, a potem odwrócił się i poczekał, aż kontury pokoju staną się wyraźne.

Pobłyskiwało w nim złoto. Czerwone złoto. Gdyby zmrużył oczy, nie rozróżniłby plam na ścianie. Niektóre były wzorem na tapecie, inne pojawiły się później.

Podszedł do łóżka. Stało przy drugim końcu dłuższej ściany.

Spojrzał na drzwi. Widniał na nich wzór. Przypominał kwiat.

Wyglądało to tak, jakby ktoś w nie rzucił lampką czarnego wina. Wina? Czemu myślę o winie? To wygląda jak tusz. Jest czarne jak litery z jej listu. Listu pożegnalnego.

Wszystko w pokoju wyglądało prawie tak samo jak wtedy, gdy tu weszli po raz pierwszy. Cisza wisiała w powietrzu jak wspomnienie. Albo jak pamięć. Jak jeden z obrazów na ścianie, ten największy. Winter nie dostrzegł żadnych innych śladów.

Żadnych plam. Ta czerwień to czerwone złoto. Tak samo fałszywe jak cały ten pokój, hotel, kwartał, a czasem jak całe to pieprzone miasto. Panowała grobowa cisza. Jak gdyby policyjna taśma przed wejściem automatycznie wyłączyła

odgłosy miasta.

To wszystko jakoś trzymało się kupy. Nie widział związku, ale wiedział, że istnieje. To tak jak z puzzlami: mając przed sobą stertę rozsypanych kawałków, człowiek wie, że tworzą całość, ale nie ma pojęcia jak.

Tajemnicza wiadomość w liście była częścią innej wiadomości.

Znał słowa Pauli na pamięć. Chodziło o miłość, wielką miłość.

Albo dokładnie odwrotnie. Nie. Tak. Nie. Była pod wpływem

narkotyków? Czy on jej dyktował? Co pisze człowiek przed

śmiercią? Wiedziała, że to jej ostatnie słowa? Nie. Tak. Nie.

Tak.

Zrezygnował ze snucia domysłów i skupił się na pokoju. Co

właściwie się tutaj stało? Paula weszła. Ale nie wiedzieli, czy

była sama, czy szła na spotkanie. Recepcjonista nic

szczególnego nie zauważył i chyba taka była jego rola. Nie

zameldowała się i nikt nie pamiętał, żeby stała sama przy

kontuarze. Jeśli w ogóle stała. Ludzie przychodzili i odchodzili.

Mężczyźni, kobiety, mężczyźni. Rzadko dzieci. W hotelu nie

było pokoju zabaw. Żadnych dziecięcych głosów. Winter wątpił,

że kiedykolwiek można je tu było usłyszeć. Nie pasowały do

tego miejsca.

Przyszedł morderca. Paula Ney napisała na papierze

hotelowym list. Papier, owszem, mieli. Pozostałość po lepszych

czasach. *À propos*: pozostałość to gówniane słowo. Czy

morderca wiedział, że w pokoju jest papier listowy? A może list

powstał w wyniku przypadkowej decyzji, nagłego kaprysu?

Paula nie wyszła z pokoju, kiedy już raz przekroczyła jego próg.

Tego Winter był pewny. Rozejrzał się jeszcze raz. Dlaczego

akurat ten pokój? Dlaczego ten hotel? Pokój numer dziesięć.

Nagle pomyślał o Ellen Børge. Spędziła tutaj noc. W którym

pokoju? Tę informację na pewno można znaleźć w jej aktach.

Wyobraził je sobie. Muszą leżeć gdzieś głęboko w archiwum.

Teczka, której nie zdigitalizowano, bo dotyczyła sprawy sprzed

1995 roku, zanim nastąpiła nowoczesność. Akta Ellen Børge

oznaczono pieczątką: „Sprawa nierozwiązana. Dochodzenie

umorzone”. Minęło wiele lat, odkąd miał te dokumenty

w rękach. Właściwie nie był pewien, czy było tam cokolwiek

o dochodzeniu. Z technicznego punktu widzenia nawet go nie

przeprowadzono. Nie pamiętał wszystkich szczegółów akt.

Nagle postanowił się czegoś dowiedzieć. Tak szybko, jak to

możliwe. Wyjął z kieszonki lnianej koszuli komórkę.

Odebrał Janne Möllerström, rejestrator.

– Sprawa zaginięcia Ellen Børge – powiedział Winter. –

Wczoraj ci o niej wspominałem.

Ellen zniknęła na długo, zanim Möllerström zaczął pracować

w wydziale. Winter wprowadził go w temat.

– Pamięć krótkoterminowa jeszcze nie zawodzi – odparł

Möllerström.

– Minęła doba. To według ciebie krótko?

– Ha, ha, ha!

– Znalazłeś?

– Tak. Zaginięcie udokumentowane dla przyszłych pokoleń.

– To nie było zwykłe zaginięcie.

– Tak czy owak, musisz się zadowolić tym, co jest na papierze.

Od początku do końca.

Möllerström był zwolennikiem archiwów cyfrowych.

– Znalazłeś teczkę?

– W zasadzie tak – powiedział Möllerström. – Spytaj mnie raczej, jak mi się to udało.

– No więc jak ci się to udało?

– Nie mam pojęcia.

– Chodzi o jeden szczegół – powiedział Winter, gapiąc się w ścianę nad łóżkiem. Była pusta. Z bliska deseń na tapecie zlewał się z tłem. – Możesz sprawdzić, w którym pokoju w hotelu Revy mieszkała Ellen Børge? – Winter próbował mimo wszystko wypatrzeć ten wzór. – Jestem w pokoju Ney.

Spojrzał w okno. Światło wciąż było ostre. Z trudem, jakby przez mgłę, zaczął rozpoznawać to miejsce. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, przyprawiające o mdłości. Fasada budynku po drugiej stronie ulicy. Miedziane dachy.

– To powinno być gdzieś na początku – powiedział.

– Jeśli w ogóle jest.

– Przecież sam, do cholery, zajmowałem się tą sprawą.

– No i?

– Zadzwoń, jak znajdziesz.

Rozłączył się i stał bez ruchu z komórką w ręku. Słońce głaśkało pozieleniałe dachy naprzeciwko. Dzieliło go od nich ze dwadzieścia, może trzydzieści metrów. Nagle w oknie błysnęło. Jak reflektor. Wiatrowskaz na dachu gwałtownie obrócił się w lewo i stanął promieniom słońca na drodze.

Winter wiedział, że to kogut. Z czerwonym grzebieniem.

Już tu był. W innym czasie, w innym życiu. Tamto życie było młodsze, mniej bezpieczne, wyrazistsze. Niegotowe, bardziej niegotowe niż teraz.

Znów odezwało się to nieprzyjemne uczucie w żołądku. Jakby mu chciało o czymś przypomnieć.

Poczuł wibracje w dłoni, po sekundzie usłyszał dzwonek.

– Pokój numer dziesięć – powiedział Möllerström. –

Znalazłem na drugiej stronie.

– Tak.

– Nie wydajesz się zaskoczony.

– Właśnie coś rozpoznałem. – Zobaczył, jak kogut obraca się o dziewięćdziesiąt stopni i refleks gaśnie. – Dzięki za szybki odzew, Janne.

Rozłączył się. Stał na środku pokoju.

Przypadek?

Oczywiście.

Ile pokoiów jest w tej zawieszanej norze?

Więcej, niż się wydaje.

Czyżby pokój numer dziesięć przeznaczono dla samotnych kobiet bez eskorty? Swego czasu usługi ochroniarskie były specjalnością hotelu Revy. Winter przez te wszystkie lata był tu kilka razy. Prostytucja, narkotyki, pobicia. Revy był jak stary, powalony na deski bokser, który podnosi się zawsze w dziewiątej sekundzie. Budynek przetrwał nawet najazd maszyn do wyburzania, które zrównały z ziemią sąsiednie kwartały. Czyżby darzono go sentymentem? A może to zasługa tego cienia w Trädgårdsföreningen? A może planiści byli stałymi klientami? Dwóch na pewno – architekt miasta i były burmistrz z ramienia socjaldemokratów. Ot tak zburzono wszystko, co piękne i co brzydkie, ale Revy ocalał. Najpierw burmistrz zezwolił wysadzać w powietrze, potem architekt wydał pozwolenie na budowę. Niewykluczone, że ci dwaj gangsterzy dogadali się w burdelu. Czasem widywał tego aparaczyka. Przechadzał się o lasce i pewnie wciąż myślał fiutem. Miał dużo na sumieniu. Ale zawsze robił wrażenie, że jest w dobrym nastroju.

Revy wciąż istniał. Teraz, w chwili śmierci Pauli Ney, i wtedy, w chwili zaginięcia Ellen Börge. Pokój numer dziesięć. Czy stało się tu coś jeszcze? Kazał Möllerströmowi sprawdzić.

Hasło: pokój dziesięć. Boże. Grzebanie w zakurzonych archiwach. Bez nich, cyfrowych czy nie, mogliby od razu zrezygnować, zamknąć sprawę. Wszystko, co się tu stało, miało związek z przeszłością, bezpośredni lub pośredni. Nie było tak jak w tropikach. Na tej szerokości geograficznej przeszłość rzuca długie cienie.

W pokoju numer dziesięć cienie się przemieszczały. Łóżko nie wyglądało już tak jak wtedy, gdy wszedł. Stół też nie, ani fotel, ani wzór na ścianach, ani podłoga. Przy oknie wisiała kopia jakiegoś dzieła sztuki. Najgorsze miejsce na obraz. W ogóle nie dochodziło tam światło. Portret kobiety o ciemnej karnacji.

Gauguin. Winter widział oryginał w rzymskim muzeum.

Gauguin. Ten też myślał fiutem. Niedawno przeczytał jego biografię. Facet wybrał tropiki, tam żył i tam umarł. Na syfilis.

Winter wyciągnął z tylnej kieszeni spodni notatnik i zapisał:

„Sprawdzić obrazy we wszystkich pokojach”. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat teraz przyszło mu to do głowy. To nie było istotne. Wiedział, że na sto pytań przypada jedna odpowiedź.

Z czasem to się zmieni. Pojawi się więcej odpowiedzi, ale pytań wciąż będą setki, a nawet tysiące. Poza tym przewaga odpowiedzi nie musi wcale oznaczać, że się jest blisko rozwiązania zagadki. Rozwiązania, rozwikłania, odgadnięcia, wyjaśnienia – wiele słów na określenie czegoś, co prawie zawsze pozostaje niejasne, niepełne. Winter stanął gdzie

indziej. Paula Ney się nie wymeldowała. Została zamordowana. Umarła tutaj. Umarła, bo ktoś jej nienawidził. Rzeczywiście tak było? Pewnie. Jak można aż tak nienawidzić? Napisała list o miłości i umarła. Sposób dokonania zbrodni wskazywał na to, że to musiało być coś osobistego, ale w tym pokoju niedostrzegalnego – na ścianach i podłodze nie było żadnych śladów. Kogo się kocha, tego się zabija. Albo było to do tego stopnia nieosobiste, że stało się... osobiste. Znali się? Morderca i Paula? Nie. Tak. Nie. Tak. Winter zauważył, jak cienie przesuwają się po pokoju, jak się wydłużają. Popołudniowy ruch na ulicy zaczął narastać. Nagle wdarł się do środka, jakby ktoś zerwał taśmę przed wejściem do pokoju. Do uszu Wintera dobiegł czyjś krzyk, wycie klaksonu, wycie karetki mknącej przez którąś z zachodnich dzielnic, a w tle stłumiony pomruk całego miasta. Kiedy sygnał ambulansu zamilkł, odezwał się morski ptak. A potem, w nowej mikroprzestrzeni ciszy, usłyszał odgłos kroków. Kobięcych. Paula musiała wtedy słyszeć wszystkie te dźwięki, to życie za oknem, tę miejską... normalność. O czym myślała? Wiedziała, że już nigdy nie będzie się przedzierać przez gąszcz tych niesamowitych odgłosów? Tak. Nie. Tak.

– Nie – powiedział mężczyzna siedzący za biurkiem. – Nie przypominam sobie, żeby ktoś jej towarzyszył. Jej sobie nie przypominam.

Wyglądał niewyraźnie. Ten wygląd ukształtowały
dziesięciolecia. Może to był ten sam człowiek, którego
wypytywał o Ellen Børge, kiedy był młody? Nie. To nie on. Był
tego pewien. Ale ten facet wyglądał, jakby tu pracował już
wtedy. Jakby zawsze tu był. Niektórzy tak wyglądają. Wydaje
się, że są nieodłączną częścią otoczenia.

Winter zadał trudne pytanie. Chciał takie zadać. Może nie
było trudne, może było najlepsze, jakie mógł zadać akurat
w tym momencie.

– Pamięta pan młodą kobietę, która zameldowała się tutaj
w 1987 roku? Nazywała się Ellen Børge.

– Słucham?

– Następnego dnia zniknęła.

Mężczyzna spojrział na Wintera jak na kogoś, kto się upił
podczas lunchu.

– Byliśmy tutaj i pytaliśmy o nią. Ja tu byłem.

– Nie pamiętam – odparł recepcjonista.

– Mieszkała w tym samym pokoju – ciągnął Winter.

– W tym samym co kto?

– Co Ney. Paula Ney.

– W 1987? – Mężczyzna się rozejrzył, jakby chciał znaleźć
świadka, który potwierdzi, że stojący przed nim komisarz jest
pijany albo niezrównoważony. W tym hotelu mieli do czynienia
z różnymi typami. – Osiemdziesiąty siódmy? Akurat w tej

chwili nie pamiętam niczego z lat osiemdziesiątych.

– Wydaje się pan nie pamiętać nic z zeszłego tygodnia.

Mężczyzna nie odpowiedział. Odpowiedział już wcześniej. Nie pamiętał, czy się zameldowała, i tyle. Cały czas przewijali się przez recepcję jacyś ludzie. Wiedział tylko tyle, że to byli hotelowi goście. Ktoś wziął klucz do pokoju numer dziesięć, ale nie pamiętał, czy to była ona.

– Macie wielu stałych gości? – spytał Winter.

Mężczyzna, mimo swojej postawy, wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego. Winter wiedział dlaczego. Źle sformułował pytanie.

– Chodzi mi o stałych gości płci męskiej.

– Grupa biznesmenów – odparł mężczyzna i uśmiechnął się.

– Rozpoznaje ich pan?

– Nie rozpoznaję ludzi.

Ziewnął. Szeroko. Ostentacyjnie.

– Ma pan problem z oczami?

– Że co? Nie...

Jego szczęka znieruchomiała w połowie kolejnego ziewnięcia.

– Chyba nic nie zrobiłem, co? – rzucił po kilku sekundach. –

Nie musi się pan denerwować.

– Doszło tu do morderstwa, a pan udaje głuchoniemego idiotę. Weź się, pan, wreszcie w garść, do cholery!

Mężczyzna znów się rozejrzał. Wciąż nie było świadków. Nikt

nie stał za zakurzonym krotonem przy schodach, nikt nie wchodził na górę ani nie schodził na dół, żadna postać nie skrywała się za półotwartymi drzwiami prowadzącymi Bóg wie dokąd, nie było też nikogo za palmą w donicy przy wejściu.

Nagle Winter znów odpłynął myślami do tropików. To przez tę palmę i wirujący pod sufitem wiatrak, i to wilgotne powietrze w środku. Późne lato w ostatnich dniach stało się latem tropikalnym. Winter poczuł, jak pot przesiąka mu przez koszulę. Revy przypominał hotel kolonialny. Albo jego kulisy. Taką filmową wersję tropików. Z tą różnicą, że ten film nie był fikcją.

– No więc jak? – spytał Winter i wyciągnął notatnik.

Inspektor Fredrik Halders nie chciał kawy. Nikt w tym mieszkaniu nie chciał nawet łyka pieprzonej kawy. Rozumiał, jak się czuli. Siedząca przed nim para próbowała jakoś przetrwać kolejny dzień. Kawa i bułka w tym nie pomagały. Wódka też nie. Sam próbował znaleźć w niej ukojenie, kiedy jego była żoną, matkę jego dzieci, przejechał pijany kierowca. Nie zaczął jednak pić od razu. Od śmierci Margarety minęły miesiące. Czuł, jak szok powoli odpuszcza, a na jego miejsce wchodzi narastająca wściekłość. Dlatego zaczął chlać. Żeby nie dopuścić do siebie nienawiści, żeby pozostać niewzruszonym, biernym, żeby nie dokonać egzekucji na mordercy albo nie porąbać na drzazgi narzędzia zbrodni. Wiedział, gdzie ten

szatański samochód stoi. Przed willą, która czekała na spalenie. Chlaniem zwalczył kryzys. Później się wstydził. Nie dlatego, że nie zrealizował swoich planów wobec mordercy za kółkiem, ale dlatego, że uciekł się do wódki jako znieczulacza. A to przecież ona była współwinna morderstwa. Powinien się trzymać z dala od alkoholu. Teraz prawie mu się to udawało. Jeszcze miał czas, żeby się podnieść, jeszcze było za wcześnie na AA, jeszcze nie został alkoholikiem. Pił litry kawy. Ale nie w tej chwili. Mario i Elisabeth Neyowie mogli myśleć o nienawiści. Albo w ogóle nie potrafili myśleć. Ale on spytał o wrogów – ich i Pauli. Kto mógł tak nienawidzić?

– Paulę wszyscy lubili – odparła Elisabeth Ney.

Wygłosiła jeden z największych banałów. Ale dla niej to nie był banal. Wyglądała tak, jakby mówiła prawdę. Halders był przeciwieństwem Pauli. Nie wszyscy go lubili. Ostatnio się poprawiło i w zasadzie mógł policzyć przyjaciół na palcach jednej ręki, ale wcześniej, przez wiele lat, miał tylko jednego przyjaciela. Siebie.

– A w pracy?

– Co pan ma na myśli, panie komisarzu? – powiedziała na jednym tonie. Jej mąż, Mario, w ogóle się nie odzywał.

– Inspektorze. Ale możemy przejść na ty. – Halders przez kilka lat miał się za komisarza, ale to już minęło. Nie miał zadatków na szefa. Nawet ze sobą nie mógł pójść na

kompromis. – Jej współpracowników.

– Nigdy nie słyszałam.

– A co mogłaby pani słyszeć?

– Że miała jakichś wrogów w pracy.

– Podobało jej się tam?

– Nigdy nie słyszałam, żeby było inaczej – powiedziała.

– A samą pracę lubiła?

– Nigdy nie mówiła, że nie.

Żadnych nieprzyjaciół, żadnych konfliktów, żadnych niepokojów związanych z pracą. Unikat, pomyślał. Albo po prostu było tak, że nigdy o niczym nie mówiła.

Spojrzał na jej zdjęcie. Stało na środku kuchennego stołu.

Postawiła je tam jej matka, kiedy usiedli. Paula miała uczestniczyć w spotkaniu. Była tematem rozmowy.

Fotograf unieśmiertelnił jej czarno-białe oblicze w chwili, gdy zaczynała się uśmiechać. Albo gdy kończyła. Halders nigdy nie rozumiał obsesji fotografów na punkcie uśmiechu. Dzieci rozbawiano zabawkami. Dorośli mieli myśleć o czymś przyjemnym. I mówić miś. Dla niego równie dobrze mogliby mówić gówno. Uśmiech. Czy ludzie stają się piękniejsi dzięki uśmiechowi na zamówienie? Czy przyszłość staje się piękniejsza?

Paula Ney była piękna. W klasycznym rozumieniu tego słowa.

Nie eksperymentowała z fryzurą. Jej spojrzenie było gdzie

indziej. Może wbiła wzrok w ścianę tuż nad głową fotografa, a może patrzyła znacznie dalej. Na tym zdjęciu miała piękne, regularne rysy. To była twarz, która się nie zmieniała pod wpływem lekkiego uśmiechu. Siedząc na twardym kuchennym krześle, Halders pomyślał, że może Paula Ney nie była wcale taka szczęśliwa.

– Ile lat pracowała w Telii?

Halders zwrócił się do jej ojca, ale odpowiedziała matka:

– Dziewięć. Ale wtedy firma nie nazywała się Telia.

– Rok po liceum... – powiedział Halders. – Co robiła w ciągu tego roku?

– Nic... specjalnego – odparła Elisabeth.

– Szkoła? Praca?

– Podróżowała.

– Podróżowała? Dokąd?

– Nie były to jakieś... szczególne miejsca.

Wszystkie są raczej szczególne, pomyślał Halders. Zwłaszcza jeśli się je wybiera na cel swojej podróży.

– W Szwecji? Za granicą? – Pochylił się nad stołem. Cerata

była żółto-niebieska. – To ważne, żeby państwo sobie

przypomnieli. Wszystko może być istotne dla śledztwa. Podróż może być...

– Nie wiemy dokładnie – przerwał mu Mario Ney. Odezwał

się pierwszy raz. Od chwili kiedy się przywitali w korytarzu, nie

powiedział ani jednego słowa. Mówiąc, nie patrzył wprost na Haldersa. Patrzył gdzieś w górę, na ścianę, może nawet dalej. – Nie opowiadała nam zbyt wiele.

– Miała dziewiętnaście lat. Wyjechała na rok i nie powiedziała, gdzie jest? – spytał Halders. – Nie niepokoiłście się?

Gdyby chodziło o Magdę, zadzwoniłby na policję. Na jakąś inną policję.

– To... nie był cały rok – odparła Elisabeth, powoli jak zawsze.

– Przysłała kilka pocztówek. Wiedzieliśmy przecież, że wyjechała i podróżuje. – Spojrzała na męża. – Pomachaliśmy jej na stacji.

– Dokąd w takim razie pojechała?

– Miała bilet do Kopenhagi.

– Dojechała tam?

Mario lekko wzruszył ramionami.

– Skąd wysłała pierwszą pocztówkę?

– Z Mediolanu.

Halders próbował spojrzeć Mariowi w oczy, ale jego spojrzenie znów powędrowało do góry. Urodził się we Włoszech. Wyglądał, jakby pochodził z innej części Europy.

Albo świata. Ciemniejsza karnacja, te oczy, ta broda. Włosów na głowie prawie nie miał, wokół uszu został szaro-czarny wianek. Halders był zupełnie łysy. To, co nie wypadło samo

z siebie, zostało wygolone.

– Chciała szukać korzeni?

– Jej korzenie są tutaj – odparł Mario. Jego głos nagle stał się ostry.

Bella Italia to nie jego bajka, pomyślał Halders.

– Ale pojechała do Włoch.

– Odwiedziła też inne kraje – zauważyła Elisabeth.

– Macie jeszcze te pocztówki?

– Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie?

– Jak już powiedziałem, wszystko ma znaczenie – odparł Halders.

Mario wstał.

– Spróbuję je znaleźć.

Chciał wyjść. Halders zauważył, że trzęsą mu się ręce. Może reszta ciała również. Twarz odwrócił w drugą stronę.

– Pani mąż chyba nie tęskni za ojczyzną – powiedział Halders, kiedy Mario wyszedł.

– Może nie bez powodu ją opuścił – odparła Elisabeth.

– Co się stało?

Wzruszyła ramionami, dokładnie tak jak jej mąż. Nauczyła się tego od niego. Albo on od niej. Ale ten gest zdawał się pochodzić z południa.

– Zmuszono go do wyjazdu? – spytał Halders.

– Nic o tym nie mówił.

Chryste. Czy w tej rodzinie nikt nikomu o niczym nie mówi?

– Przyjechał do Szwecji sam?

Skinęła głową.

– Skąd?

– Z Sycylii.

– Z Sycylii? To duża wyspa. Z jakiej miejscowości?

– Nie wiem. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Wiem, że to

brzmi dziwnie, ale to prawda. Nigdy mi nie powiedział. –

Odwróciła wzrok. – I... nie rozumiem, co to ma... wspólnego

z tą sprawą.

– Spotykał się z rodziną? Po tym jak wyjechał? – ciągnął

Halders. – Z rodziną z Sycylii?

– Nie.

– Nigdy tam nie wrócił?

– Nie.

– Żadne z was?

– Nie rozumiem.

– Czy nie tam pojechała Paula?

– Powiedziałaaby, gdyby tak było – odparła Elisabeth.

Nie jestem tego taki pewien, pomyślał Halders. Ale co ona

wiedziała o Sycylii? Nosila tylko nazwisko ojca, który stamtąd

pochodził. Może jest tam dość popularne.

– Znała włoski?

– Nie wtedy – odpowiedziała Elisabeth.

– Teraz ja czegoś tu nie rozumiem – powiedział Halders.

– Nauczyła się trochę... później. I tylko trochę.

– Po tamtej podróży?

Elisabeth skinęła głową.

– Po Mediolanie?

Kolejne skinienie.

– Wróciła tam?

– Nie mam pojęcia – odparła Elisabeth i znów spojrzała na Haldersa.

Uwierzył jej. Albo mu się wydawało, że uwierzył.

– Nikt jej nie towarzyszył?

– Nie.

– Nikt jej ani razu nie towarzyszył?

– Nic o tym nie wspominała.

– Jaka była po powrocie? Zmieniła się?

Elisabeth nie odpowiedziała. Idąc do nich, Halders nie myślał o podróżach. Teraz jego pytania krążyły wokół Morza Śródziemnego. Może to był zły trop. Może wybrał się w bezsensowną podróż.

– Była radosna, smutna, podekscytowana?

– Była taka jak zawsze – odparła Elisabeth.

Nagle odwróciła głowę, jakby usłyszała jakieś odgłosy z ogrodu. Wtedy Halders dostrzegł podobieństwo. Wcześniej go nie zauważył. Może światło padało nie tak jak trzeba.

W każdym razie chodziło o profil. Patrzył to na kobietę ze zdjęcia, to na kobietę siedzącą przed nim. Podobieństwo, którego wcześniej nie zauważył. Podobieństwo. Co za cholerne słowo.

– Co to znaczy? – spytał. – Że była taka jak zawsze?

Może Elisabeth miała właśnie odpowiedzieć, bo znów spojrzała na niego. Ale do kuchni szybkim krokiem wszedł Mario. Położył na stole kilka pocztówek.

– To wszystko, co znalazłem. Część chyba zabrała do siebie. Do siebie. Halders był w mieszkaniu Pauli. Prawie skończono remont. Wytapetowano i pomalowano cały pokój i połowę drugiego. To było dziwne doświadczenie. Przechadzał się po mieszkaniu, które otrzymywało nową twarz i nowy zapach, kiedy lokator już nie żył. Nie pamiętał, żeby wcześniej doświadczył czegoś podobnego. Poczł wstręt. To była profanacja życia.

Widział szafki, półki i biurko, wszystko pokryte półprzezroczystą foliową płachtą. Wyglądała jak zaparowana. Wydawało się, że ktoś pod nią oddycha. Widział, jak technicy Öberga podnoszą ją w rogu pokoju i zaczynają grzebać w rzeczach Pauli. To też była profanacja życia.

Może mieli znaleźć pocztówkę sprzed dziesięciu lat?

Pomogłaby im? Tak. Nie. Nie.

ZESPÓŁ ZEBRAŁ SIĘ W SALI KONFERENCYJNEJ. Od kiedy Winter pracował w wydziale, odnowiono ją dwa razy. I na tym koniec. Ceglane korytarze, które wyglądały jak z innej epoki, nie miały się już doczekać remontu. W ogóle nie planowano renowacji. Nie było na to pieniędzy. Mógł tylko czekać, aż ściana korytarza przy jego pokoju sama się zawali. Zobaczył ostatnią chwilę wschodu słońca nad Ullevi. W tej części świata wstawało niechętnie. Bezsensowna robota. W końcu i tak miała nadejść zima. Słońce było teraz w drodze do równika, tam, gdzie jego miejsce. Tutaj cały rok chylił się ku zachodowi. Potem zapadnie ciemność. Do nocy polarnej pozostało tylko kilka miesięcy. Na początku kałesony znów będą gryzły, ale z czasem, jak zawsze, człowiek się przyzwyczai.

– Cholera, jak gorąco – powiedział Ringmar, jak tylko wszedł. Usiadł i otarł pot z czoła.

– Odsuść sobie – powiedział Halders.

– Słucham? – spytał Ringmar, wciąż z ręką na czole.

– Najgorsza rzecz, jaką znam, to mieszkaniec północy, który narzeka na słońce, jak tylko się pojawi.

– Powiedziałem tylko, że jest gorąco – odparł Ringmar.

– Powiedziałeś: cholera, jak gorąco. – Halders wskazał na słoneczną mgłę. – Czy to nie jest narzekanie?

– Powiedział to największy optymista w policji – odparł

Ringmar i znów wytarł czoło.

– *Carpe diem* – zaśmiał się Halders.

– *Mea culpa* – odpowiedział Ringmar. – *Mea maxima culpa*.

– Może ktoś to przetłumaczyć? – wtrącił Lars Bergenheim, wciąż najmłodszy inspektor w grupie.

– Nie szedłeś klasyczną ścieżką? – spytał Ringmar.

– Klasycznym czym?

– Klasycznym programem. W szkole policyjnej – wtrącił Halders. – Najpierw pomyśl, potem zrób. Już tego nie uczą. Porzucili stare metody.

– *Carpe diem* ogarniam – powiedział Bergenheim. – Ale te inne zwroty?

– Moja wina, moja bardzo wielka wina – wyjaśnił Ringmar.

Winter pociągnął ostatni łyk kawy. Przynajmniej kawa była chłodna w tym dusznym pokoju. Potem chrząknął i poranna rozgrzewka między Haldersem, Ringmarem i Bergenheimem ucichła.

– Słowo nic nie kosztuje – powiedział. – Ale szefostwa policji już nie stać na tłumaczy.

Aneta Djanali wybuchnęła głośnym śmiechem. To był pierwszy odgłos, jaki wydała tego ranka. Wcześniej rozmawiała z Haldersem i z jego dziećmi, Hannesem i Magdą, ale w rozgrzewce w sali konferencyjnej nie uczestniczyła. Było jej wystarczająco ciepło. Wieczorem mieli się wybrać do

Saltholmen, na skałki, i zażyć ostatniej tego lata kąpeli. Mówili o tym już od tygodnia. Ale słońce zachodzące za Asperö co wieczór było jak krwista pomarańcza. A to oznaczało, że następnego dnia wróci.

– Między Paulą a jej rodzicami jest ogromna przepaść – zaczął Halders. – Była. – Winter skinął głową. – Nikt nic nie mówi, a raczej nie mówił. Dla mnie to podejrzane – ciągnął Halders.

Winter znów kiwnął głową. – Wydaje mi się, że tamtego wieczoru wyszła z domu, żeby już nie wrócić.

– Bez walizki? – Ringmar pochylił się nad stołem. – Jej torebka była z gatunku tych minimalistycznych dodatków.

– Przecież miała mieszkanie, nie? – powiedział Halders, rozglądając się po pokoju. Bergenhem zachęcająco kiwnął głową. – Miała do niego klucz, prawda? Był wieczór, malarze poszli już do domu. Mogła pojechać do siebie, spakować walizkę i wyjść. Potem spotkała tę przyjaciółkę jak-ona-się-tam-nazywa i ruszyła dalej.

– Do hotelu Revy? – wtrącił Ringmar.

– Nie wiem, czy akurat tam zamierzała pojechać.

– Przyjaciółka nazywa się Nina Lorrinder – powiedział

Winter. – Nie wspominała nic o walizce.

– A pytaliśmy o nią? – zauważył Halders.

– Nie – odparł Bergenhem. – Nie pytałem o walizkę.

– Tak to jest, jak się nie szło klasyczną ścieżką – powiedział

Halders.

– O to byś ją najpierw spytał? – odparł Bergenhem. Wyglądał na wściekłego. Halders tylko czekał na taki wyraz twarzy.

– Dajcie spokój – wtrącił Winter. – Przecież ona żyje.

Możemy ją spytać teraz.

– Zadzwoń od razu – powiedział Bergenhem i wstał.

– Świetny pomysł! – odparł Halders.

– Przestań, Fredrik – powiedziała Aneta Djanali.

– Z jej rodzicami coś jest nie tak – ciągnął Halders

niewzruszony. Nawet nie odwrócił głowy w stronę Anety.

– Właśnie stracili jedyne dziecko – powiedział Ringmar.

– Było cicho – mówił dalej Halders, jakby go nie usłyszał. –

W dziewięciu przypadkach na dziesięć po tak cholernej traumie wszyscy chcą rozmawiać. Ludzie nie mogą się nagadać.

Napłakać. A u Neyów nie było żadnych łez.

– Nie otrząsnęli się jeszcze z szoku – wtrącił Ringmar.

– Nie – odparł Halders, a wyraz jego twarzy się zmienił. –

Wierz mi, Bertil, wiem... coś o tym. W pierwszych dniach nie ma żadnego szoku. Jest tylko nienawiść.

Zapadła cisza. Wszyscy słyszeli tylko jedno z ostatnich westchnień ekspresu do kawy. Ringmar otarł ręką czoło.

Winter usłyszał odgłosy ulicy zza okna, do Anety Djanali dotarł szum klimatyzatora: posępne szepty rozchodzące się tuż pod sufitem.

Wrócił Berghem.

– Nie miała walizki.

– Mogła ją zostawić w szatni. W niektórych kinach są szatnie

– powiedział Halders.

– Spotkały się na zewnątrz. Miała przy sobie tylko torebkę.

– Mogła tam być wcześniej.

– Szły stamtąd razem. Do pubu, znaczy do baru. Nie było

żadnej walizki.

– I wypytałeś o to wszystko?

Berghem skinął głową.

– Mogła pójść wcześniej do pubu i tam zostawić walizkę –

ciągnął dalej Halders.

– Nie.

– O to też pytałeś?

– Powiedziała, że to ona zaproponowała ten pub. Paula

chciała iść gdzie indziej – wyjaśnił Berghem.

– W takim razie musimy go sprawdzić – powiedział Halders.

– Otwierają o czwartej.

– Już się dowiedziałaś?

Berghem skinął głową.

– Dobrze pomyślane, chłopcze! Wyobraźnia działa.

– Ale wszystko, co mamy, to hipotetyczna walizka –

powiedział Winter.

– Czy ktoś może to przetłumaczyć? – Halders rozejrzył się po

pokoju.

– Mogła też pójść na Centralny – zauważyła Aneta Djanali. –

Jeśli zamierzała wyjechać na dobre i miała przy sobie walizkę,
a nie chciała jej za sobą ciągnąć po mieście.

– W torebce nie było kluczyka do szafki – powiedział

Bergenheim. – To znaczy takiego z przechowalni bagażu. Do
takiej szafki.

– Morderca mógł ulec pokusie i go zabrać – powiedział
Ringmar.

– A może kluczyk jest gdzie indziej? – wtrąciła Aneta.

– Może szafka wciąż jest zamknięta? – dodał Bergenheim. –

A w środku jest walizka?

– Do tego właśnie zmierzałam – powiedziała Aneta.

– Mamy więc dwie sprawy do załatwienia – podsumował

Halders. – Musimy jeszcze raz przeszukać jej mieszkanie
i ustalić, czy się spakowała. Jeśli tak, trzeba się dowiedzieć,
gdzie jest walizka.

– A jeśli się okaże, że się spakowała? – powiedziała Aneta. –

To by oznaczało, że chciała wyjechać. I że rodzice
prawdopodobnie o tym nie wiedzieli. I to wszystko.

– To może też oznaczać, że chciała wyjechać z kimś – odparł

Halders. – Może w jej torebce są bilety.

– Niebawem w tej torebce będzie brakować wielu

hipotetycznych rzeczy – stwierdził Ringmar. – Czemu jej po

prostu nie zabrał? To przecież niewielki wysiłek dla mordercy,
a może nawet pewien środek ostrożności.

– Może nie było w niej nic, co by chciał wziąć – zauważył
Winter.

– A więc mój pomysł z walizką jest tylko... – zaczął Halders.

– ...wymysłem – dokończył Bergenhem.

– Warto się go trzymać – powiedział Winter. – Sprawdź jej
mieszkanie, Fredrik.

Aneta Djanali patrzyła na list dziewczyny, który uznano za
ostatni. Przeczytała na głos:

– „A jeśli was rozgniewałam, to proszę o wybaczenie”. –

Podniosła wzrok. – Czy to jest to, co człowiek chce napisać
w ostatnim pożegnaniu?

– Może nie sądziła, że to ostatnie pożegnanie – odparł
Ringmar.

– A jeśli wiedziała? Jeśli wiedziała, że umrze? Czy w takiej
chwili skazany chce prosić o wybaczenie?

Nikt z siedzących przy stole się nie odezwał. Nagle do pokoju
przebił się cienki promyk słońca. Podzielił stół na dwie części:

Bergenhem i Halders po jednej stronie, Winter, Ringmar
i Aneta Djanali po drugiej. Linia światła wyglądała jak granica,
choć tak naprawdę nic ich nie dzieliło.

Już nawet Bergenhem miał zmarszczki. Winter pomyślał
nagle o pierwszej trudnej sprawie, jaką prowadził jako świeżo

upieczony komisarz. Może nawet najtrudniejszej. Bez wątpienia jednej z najbardziej tajemniczych. Niebawem minie dziesięć lat. Boże, Bergenhem też był wtedy świeżakiem, początkującym aspirantem. Wyglądał, jakby przyszedł do wydziału prosto z podstawówki. Popelnił wtedy bład. Prawie zginął. Sądził, że nie żyje.

– Była katoliczką, prawda? – powiedział Halders. – Może prosiła o wybaczenie grzechów.

– Nie – odparł Winter. – Nie była katoliczką.

– Jakich grzechów? – spytał Bergenhem, pochylając się w stronę Haldersa.

– Chodziło mi raczej o przenośne znaczenie tych słów.

O zwyczaj czy jak to nazwać. Coś w rodzaju spowiedzi.

– Sądziś, że się spowiadała? – spytała Aneta Djanali.

– Nie wiem. Może to niewłaściwe słowo.

– Może ktoś był gotów odpuścić jej grzechy – powiedział Ringmar.

– Kto? – spytał Halders.

– Morderca.

– Morderca był jej spowiednikiem? – wtrącił Bergenhem.

– Pozwolił jej napisać list.

– Albo ją do tego zmusił – zauważył Halders.

– Dyktował jej – powiedział Bergenhem.

– Nie – wtrącił Winter. – Nie sądzę.

– Ale to może znaczyć, że była z rodzicami w wielkim

i długotrwałym konflikcie – powiedział Halders.

– A kiedy rodzice i dzieci nie są – zauważyła Aneta Djanali.

– Powiedziałem: wielkim konflikcie – wyjaśnił Halders.

– Musimy to sprawdzić – powiedział Ringmar.

– To nie będzie takie łatwe – podkreślił Halders. – Nie

możemy wysłuchać obu stron.

– Mamy więcej niż dwie strony – powiedział Bergenhem.

– Słuchaj no – zaczął Halders, odwracając się do niego. –

Najpierw łacina, później filozofia. Chodziłeś na letni kurs

Robotniczego Związku Edukacyjnego, Lars?

– Nie trzeba na niego chodzić, żeby wiedzieć, że o jej

stosunkach z rodzicami możemy porozmawiać z innymi

osobami. Nie tylko z rodzicami – odparł Bergenhem.

– Zanotowałeś to, Erik? – powiedział Halders, odwracając się

do Wintera.

– Zabieramy się do roboty – podsumował Winter i wstał.

Winter zajął się telefonem. Zadzwoił do recepcji hotelu Revy.

Odebrał ten sam mężczyzna. Nie, nie widział żadnej walizki.

W ogóle nie widział żadnej walizki ani torby. Bo niby dlaczego

miałby ją zauważyć? – pomyślał Winter, odkładając słuchawkę.

Nic więcej nie powiedział. Nic nie słyszał, nic nie widział.

Zadzwoił telefon.

– Wygląda na to, że ktoś rozgrzebał ubrania i buty –

powiedział Halders. Brzmiało to tak, jakby jego głos dochodził z daleka.

– No i?

– To mogła być ona albo ktoś inny. Może to było dawno temu, chociaż nie sędzę.

– Dlaczego? – spytał Winter.

– Nie ma żadnej walizki. Ani plecaka, ani nic innego, w czym można by przewieźć ubrania.

– Sprawdziłeś na strychu? Albo w piwnicy?

– Oczywiście – odparł Halders. – W końcu było się na kursie RZE.

– A u jej rodziców?

– Przed chwilą dzwoniłem.

– Musiała w coś spakować rzeczy, kiedy się do nich przeprowadzała na czas remontu – powiedział Winter.

– Tak właśnie sądziłem – odparł Halders. – I wiesz co?

Rodzice też nie mogą nic znaleźć. Mówią, że miała nowiutką czarną samsonite. Ale u nich jej nie ma.

– Dobra robota, Fredrik.

– Cholera wie. Trochę rozmyślałem w tym nawiedzonym mieszkaniu. Wygląda, cholera, jak wielki całun. Wszędzie białe, plastik, w powietrzu antyseptyczny zapach farby i rozpuszczalnika. Nie jest fajnie tam przebywać, Erik. Zbyt białe.

– Wiem, co masz na myśli, Fredrik.

Halders milczał. Winter słyszał szum w słuchawce. Może

Halders otworzył okno w białym mieszkaniu Pauli? Może to

wiatr wiejący na wyżynach Guldheden?

– Nad czym rozmyślałeś? – zapytał Winter po chwili.

– Co? A, tak, myślałem i myślałem... i może to wszystko jest

ślepą uliczką. Całe to szukanie walizki. Może to w ogóle nie ma

związku z morderstwem. To, że ktoś ją zabrał. Morderca. Może

miała tylko cholernego pecha w drodze na Centralny. Spotkała

kogoś. A potem się wszystko pojechało.

– Sądysz, że była w drodze na Centralny? Wieczorem, po

kieliszku wina, w towarzystwie przyjaciółki?

Próbowali ustalić, jak wyglądały ostatnie godziny jej życia.

Ostatnie godziny wolności, jak Winter to nazwał w myślach.

Ale dotychczas nie rozmawiali z nikim, kto ją widział, zwrócił

na nią uwagę lub ją rozpoznał. Wielkie miasto zawsze jest

anonimowe, daje schronienie złym, a czasami dobrym ludziom,

zapewnia bezpieczeństwo i niebezpieczeństwo. To miasto kryje

w swoich murach ogromny i wyjątkowo oczywisty paradoks: im

więcej ludzi, tym większa samotność. Na wsi nic nikomu nie

uszłoby bezkarnie. Wszyscy wiedzą o wszystkim w promieniu

stu kilometrów. Słyszą wszystko, widzą wszystko, na wszystko

zwracają uwagę, wszystko rozpoznają.

– Sądysz i sądzisz – odpowiedział Halders. – Najwyższy czas

się dowiedzieć.

Halders się rozłączył. Rozejrzał się. Spojrzał na foliową płachtę, na do połowy pomalowane ściany. Wszystko wyglądało tak, jakby zmiana była nieodwracalna, a jednocześnie jakby trwała, przypadkiem tylko wstrzymana. Spółdzielczy lokal, żadnych luksusów, żadnej tandety, mimo że teraz to nie grało większej roli. Mieszkania i tak osiągały zawrotne ceny. Za to tutaj, na szczycie Guldheden, można by wziąć półtora miliona, może więcej, zależnie od wysokości czynszu. Kiedy je kupiła? Czy ktoś o to spytał? Tak czy owak, odpowiedź jeszcze do niego nie dotarła. Ile lat tu mieszkała? Czy to jej rodzice kupili to mieszkanie? Ktoś inny? Mogę to sprawdzić, pomyślał. Popytać. Spojrzał w okno. Drzewa kołysały się na wietrze. Wiązy, lipy, klony o wysokich na dwadzieścia pięć metrów koronach. Stuletnie olbrzymy. Będą tu stały nawet wtedy, gdy jego już nie będzie. Jego i wszystkich, którzy dziś rano siedzieli przy stole. Cały zespół odejdzie z tego ziemskiego raj, jedni wcześniej, inni później, a te zielone giganty zwrócone ku niebu dalej będą się gibały w cudowne letnie dni. Ostatnimi laty Halders zaczął myśleć o życiu. Został egzystencjalistą. W tej pracy było to tylko kwestią czasu. Pracował na krawędzi, blisko przedwczesnego końca. To była ciężka robota. Delikatna. Czasami się zastanawiał, dlaczego Bóg i minister sprawiedliwości przydzielili ją właśnie policjantom.

Odepchnął od siebie te myśli czy cokolwiek to było. Wrócił do sypialni.

Czegoś tam wcześniej nie zauważył. Spodziewał się, że to znajdzie, ale nie wiedział, co by to miało być. Często tak miał: był pewien, że czegoś brakuje, ale nie miał pojęcia czego. To coś mogło się kryć w pokoju, w człowieku, w miejscu znalezienia albo na miejscu zbrodni. To, czego nie potrafił dostrzec, mogło być bardziej interesujące niż to, co widział, na czym się skupiał. Obraz pozostawał niepełny, dopóki nie znalazł brakującego szczegółu.

Więc czego mu przed chwilą brakowało w tym pokoju, zanim zadzwonił do Wintera? To było coś, co w takim pokoju, przede wszystkim w sypialni, zazwyczaj się widzi. Łóżko? Nie, łóżko stało na swoim miejscu, wciąż przykryte foliową narzutą.

Komoda? Nie.

Przez te wszystkie lata stał w setkach sypialni. Węszył.

Rejestrował. Analizował szczegóły, próbował sobie wyobrazić rzeczy w innych sytuacjach. W innym życiu.

Co zawsze jest w takim pokoju jak ten? Coś osobistego, nawet intymnego. Coś, co jego mieszkaniec widział co wieczór, co rano. Kiedy otwierał oczy i kiedy szedł spać. Zazwyczaj to coś wisiało na ścianie. Albo stało na szafce nocnej. Tutaj ściana była pusta. Dlatego że położono na niej podkładówkę. Na szafce przy łóżku też nic nie stało. Ale mogło. W końcu każdą

rzecz w pokoju osłaniała folia.

Żadnych zdjęć: ani Pauli, ani nikogo innego. W ogóle w całym mieszkaniu nie było ani jednego zdjęcia w ramce. Jak gdyby samotność przybierała tam na sile, jak gdyby pustka świeciła mocniej.

Znaleźli kilka kopert z wywołanymi zdjęciami. Takimi zwykłymi. Takie zdjęcia mają to do siebie, że zawsze są bezosobowe. Przypadkowe ujęcia, które można uchwycić albo przegapić.

To, co jest oprawione w ramkę, jest czymś zupełnie innym.

W pewnym sensie służy potomkom. Jest... intymne.

Nie znalazł takiego zdjęcia w żadnej z szuflad i szafek, do których powrzucono rzeczy na czas remontu.

Musi o to spytać jej rodziców. Wyjął notatnik i zapisał.

Pomogą chociaż zidentyfikować twarze na zdjęciach, które znaleziono. Może nie było żadnych zdjęć w ramkach. Może nie były w jej guście.

Więc jaki miała gust?

Halders wyszedł z sypialni i poszedł do, jak sam to nazywał, pokoju gościnnego. To była dziwna nazwa, choć wciąż funkcjonowała. Pochodziła z czasów, kiedy w domu miało się specjalny pokój, chłodny i zamknięty, z którego korzystało się tylko wtedy, gdy ktoś przyszedł w gościnę. Ale to prawie nigdy się nie zdarzało. Pokój istniał ot tak, po prostu. Niczym wieczny

lokator. Przynajmniej tak to wyglądało w rodzinnym domu Haldersa. Nikt nie przychodził w odwiedziny, pokój gościnny był wiecznie zamknięty, nigdy też nie wyciągano z kasety zestawu srebrnych sztućców. Jako chłopiec stał czasem pod drzwiami i przez mleczną szybę próbował dostrzec, co jest w środku. Obraz był mglisty, kontury się rozmazywały. Jakby cierpiał na krótkowzroczność, a do tego nie miał okularów. Ale mimo to chciał wiedzieć, co jest w środku i jak to wygląda w pełnej ostrości. Jakby w ten sposób chciał się dowiedzieć, dlaczego nikt tam nie bywa.

Nagle nie potrafił sobie przypomnieć, czy jako dziecko kiedykolwiek wszedł do tego pokoju. A powinien to pamiętać.

Później, wciąż był wtedy dzieckiem, rodzice się rozeszli i przeprowadzili. Pokój gościnny pozostał wspomnieniem, od początku mglistym, ale nigdy coraz bardziej mglistym.

Zupełnie odwrotnie niż zwykle – jak gdyby z czasem stawał się wyraźniejszy właśnie dlatego, że kiedyś był tak niewyraźny.

Jej gust. Zastanawiał się nad jej upodobaniami. Bycie zamordowaną na pewno do nich nie należało. Morderstwo pokazuje, że nikt nie jest wolny. Stopniowo, kiedy dowiedzą się więcej o jej życiu, byłym życiu, ten obraz może się zmieni, wyklaruje, może zaciemni, ale stanie się o wiele wyraźniejszy.

– Jak wpadliśmy na przechowalnię bagażu? – spytał Ringmar.

Postanowili przejść się po parku, tam i z powrotem, do stacji

Shella. Niedaleko. Stacja była większa niż park.

– Aneta wspomniała o Centralnym – odparł Winter. – Może tam, owszem, leżeć walizka. – Spojrzał do góry, jakby na podstawie położenia słońca określał godzinę. Jego ciemne okulary błysnęły nagle złocistym płomieniem. – Zadzwoń tam i poproś o kontakt do faceta odpowiadającego za skrzynki.

– I?

– Mają się dowiedzieć.

Ringmar skinął głową.

Winter znów śledził podróż słońca. Zerknął na zegarek. Nagle zrozumiał, że są bliscy popełnienia błędu.

– Mają tam monitoring, Bertil? Znaczy, czy mają całodobowy?

– Tak mi się wydaje.

– Kiedy czyszczą twarde dyski?

– Po trzech dobach – powiedział Rolf Bengtsson, kierownik przechowalni bagażu, pracujący dla Snabbfoto AB, które przejęło przechowalnię od szwedzkich kolei. – Czasami wcześniej.

Winter pojechał na Dworzec Centralny. Zajął mu to pięć minut, łącznie z zaparkowaniem na zakazie, na postoju taksówek. Szybko wszedł do budynku. Przechowalnia została ostatnio przebudowana, jak wszystko na dworcu. Spytał o drogę. Szafki znajdowały się teraz w podziemnym świecie.

Prowadziły do nich strome schody. Winter usłyszał za sobą szum windy. Zauważył kamery pod sufitem. A raczej ich porządne atrapy.

– Mam wydruk zdjęcia z automatu. Muszę go panu później pokazać – powiedział Winter.

– Po co?

– Można sprawdzić, kiedy ktoś robił zdjęcie w automacie?

O której godzinie?

– Nie.

– Okej. A w którym automacie zostało zrobione?

– Tak. To akurat możemy sprawdzić. Znamy właściwości naszych maszyn.

– Świetnie – powiedział Winter.

Pomieszczenie na dole tonęło w zieleni. Zielony kolor miał pewnie według projektanta uspokajać. Może wyciszać, działać terapeutycznie. Wszędzie było zielono, jak w tropikalnym lesie. Ludzie się zjawiali i znikali w tym uspokajającym świetle. Może było tam nawet zbyt spokojnie i chłodno, żeby się dało zauważyć na filmie coś sensownego. Pod warunkiem że jest na nim to, co chcą zobaczyć.

– Ale czas nagrywania zależy od tego, czy coś się rusza –

mówił dalej Bengtsson. – Kamera się włącza, kiedy zarejestruje ruch.

Trzy doby, pomyślał Winter. Mogli mieć fart albo popełnić

wielki błąd. Albo to nie ma żadnego znaczenia.

– Nagrywa się każdy kąt – powiedział Bengtsson. – Nikt się nie wywinie.

– Jeśli to nagranie jeszcze istnieje – zauważył Winter.

– Czasem może się trafić pięciodniowe. Jak już powiedziałem, zależy to od ruchu w pomieszczeniu.

– Ale chyba można je odzyskać? – powiedział Winter. –

Nawet jeśli dysk został wyczyszczony?

– Jestem ekspertem od automatów fotograficznych i szafek do

przechowywania bagażu – odparł Bengtsson. – Na

komputerach się nie znam. Ale wiem, że specjaliści od was

próbowali i że im się nie udało. – Uśmiechnął się. – A! I proszę

mi mówić Roffe.

Ruch przy szafkach był tak niewielki, że nagranie objęło cztery

i pół doby. Winter z wdzięcznością spojrział na licznik.

Potwierdził, że będą mogli sprawdzić, czy Paula Ney włożyła

walizkę do szafki i kto ją stamtąd wyjął. Ofiara czy morderca?

Roffe Bengtsson pokazał mu centrum kontroli: mały pokoik

na lewo, przy schodach. Pracowały tam dwie osoby. Zajmowały

się sprzątaniami, obsługą klientów i monitoringiem. Winter

i Bengtsson zastali młodego mężczyznę i młodą kobietę. Oboje

mieli dużo pracy. Ciągłe przychodzili jacyś ludzie. Na górze

było ich zatrzęsienie, o tej porze panował duży ruch.

Kobieta powiedziała, że ma na imię Helén, i wyciągnęła rękę.

Kiwnęła głową w stronę monitora wiszącego na ścianie, po prawej.

– Był pan tu kiedyś?

– Nie, po przebudowie nie – odparł Winter i podszedł do monitora. Ekran wyglądał jak obraz podzielony na sześć pól.

Przypominał instalację. W tych kwadratach poruszali się ludzie. Wykonywali dziwne urywane ruchy. Nie dlatego, że się gwałtownie podnosili albo wyciągali walizki. Wszystkie obrazy wyglądały tak, jakby mieli je oglądać ortopedzi. Winter wiedział, że to cena, jaką się płaci za cyfryzację. – Ile kamer macie? – zapytał.

– Osiem. – Helén kiwnęła głową w stronę monitora. – Dwie pozostałe też oczywiście działają. Jedna nagrywa na schodach. To, tak ją nazywamy, nasza tajna kamera.

– Świetnie – powiedział Winter, przyglądając się rejestrowanym obrazom. – A atrapy wyglądają porządnie.

– Jedną zamontowano w zeszłym tygodniu – odparła Helén z uśmiechem.

– Gdzie są kamery?

– W tryskaczach i czujnikach przeciwpożarowych.

– Dobrze mi się wydawało. Jest ich dużo.

– Ostrożności nigdy za wiele – powiedziała, znów z uśmiechem.

Winter siedział przed monitorem i oglądał nagrania. Wieczór

przed zniknięciem Pauli. To tylko pierwszy przegląd. Potem wszystko skopiują z twardego dysku i puszczą w powiększeniu na policyjnych monitorach. Albo zabiorą cały komputer.

Zdarzało się to wcześniej.

Najpierw skupił się na kobietach. Widział postacie w letnich ciuchach. Urywanymi ruchami otwierały i zamykały szafki, przekręcały kluczyki, odchodziły i wracały. Wyglądało to jak niemy film. Z tą różnicą, że obraz był kolorowy, zaskakująco ostry, a jednocześnie przesycony zielenią. Pokrywała całe pomieszczenie. Niektóre miejsca, na końcu kilku rzędów, pozostawały w cieniu. Trudniej było dostrzec, co się tam dzieje, co kto robi.

Ale i tak zobaczył mężczyznę, który w jednym z tych ciemnych zaułków zaczął się rozbierać.

– Nie ma tam atrap – powiedziała Helén, kiwnąwszy głową w stronę monitora. – Ludzie myślą, że mogą tam robić, co chcą.

Winter patrzył na mężczyznę. Był zupełnie nagi i rozglądał się, jakby chciał z siebie ściągnąć coś jeszcze. Część jego twarzy ginęła w cieniu. Penis bujał się tam i z powrotem, w rytm ruchów właściciela.

– Co się stało z tym gościem? – zapytał Winter.

– Przyszli pańscy koledzy i go zabrali.

Winter odczytał godzinę. Koleś robił striptiz o ósmej

dwadzieścia osiem tego wieczoru, kiedy zniknęła Paula. Ale

w tym czasie była jeszcze w kinie.

– Kiedy go zabierali, krzyczał, że jest za gorąco jak na tę porę roku.

– Tu akurat miał rację – powiedział Winter. Nadal śledził nagranie. Musiałby mieć oczy dookoła głowy, żeby móc ogarnąć wzrokiem wszystkie obrazy naraz. Znow skupił się na kobietach. Nie było ich wiele, ale kamery jakoś dziwnie unikały pokazywania twarzy od przodu. Może chodziło o ochronę prywatności. Absurdalne rozwiązanie. Mogło się narodzić tylko w tym kraju, pomyślał. Należy monitorować, ale niczego nie ujawniać, potwierdzić, że ktoś był w danym miejscu, ale nie naruszać jego prywatności. Przystępczej prywatności.

– Kilku twarzy nie sposób dostrzec – powiedział.

– Tajna kamera nad schodami jest najlepsza, jeśli o to chodzi

– odparła Helén. – Tam widać wszystkie twarze. – Wskazała

na zieloną salę. Winter zobaczył barierki. – W połowie

schodów złodzieje ściągają kominiarki.

ZABRALI KOMPUTER NA KOMENDĘ. Ringmar i Aneta

Djanali siedzieli w większej sali konferencyjnej. Tam mieli większy monitor. Reszta czekała w tej drugiej.

– Czy wszyscy wiedzą, jak wyglądała? – spytał Winter.

– Na pewno wiedzą, jak wygląda na zdjęciu, które dostali – powiedział Ringmar. W ręku trzymał kilka zdjęć Pauli. – Zła jakoś nagrania to druga sprawa.

– Może spróbujemy się nastawić pozytywnie – zaproponowała Aneta Djanali.

– Jakość nie jest zła – powiedział Winter.

Wszyscy nastawili się pozytywnie. W efekcie wyrażono kilka przypuszczeń, ale niczego nie rozstrzygnięto.

Winter siedział w swoim pokoju i oglądał wybrane fragmenty nagrań. Kobiety w letnich ciuchach. Wiedział, jak Paula była ubrana tamtego wieczoru, ale to nie musiało o niczym świadczyć.

Najpierw musieli ją odnaleźć na tych zielonych filmach.

Potem sprawdzić, czy walizki nie zabrał ktoś inny.

Winter miał sześć możliwości, sześć potencjalnych Pauli.

W kółko oglądał nagrania, jedno po drugim. Sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć razy. Wszystkie te kobiety wkładały do szafki walizki, które wyglądały jak walizka Pauli – czarne samsonite. Jedne dźwigały je z trudem, inne podnosiły

sprawnie, bez względu na wysokość schowka.

Porównywał je z dwudziestodziewięcioletnią kobietą ze zdjęć.

Prawie trzydziestolatką. Nie zdążyła nawet osiągnąć wieku, w którym niektórzy nagle zaczynają czuć się staro.

Zostało jeszcze kilka godzin. Jeszcze mogła zostawić walizkę.

Pod warunkiem że nie zrobiła tego dzień wcześniej. Jeśli jednak zrobiła to tego dnia, kiedy zniknęła, a więc wczesnym wieczorem, a nawet popołudniem, to jedna z tych sześciu kobiecych postaci mogła być nią. Powiększenie obrazu nie przyniosło oczekiwanego efektu. Z oświetleniem i z kolorami coś było w podziemiach nie tak. Dziwnie wyglądały na nagraniu ludzkie głowy.

Winter zadzwonił do prokuratora, żeby poprosić o nakaz przeszukania.

Dzięki pomocy Roffego Bengtssona zidentyfikowali numery tych sześciu szafek.

Otworzyli walizki.

Doczepiono do nich gustowne etykiety z imieniem i nazwiskiem. W kilku przypadkach znajdowały się w środku.

Szybko zidentyfikowali właścicielki.

Żadna nie była Paulą Ney.

Winter wyszedł z biura Bengtssona, ukrytego za wieloma rzędami szafek. Patrząc na nie, miało się wrażenie, że cały świat ma coś do przechowania. Jakby całe miasto było

w podróży. W domu dobrze, ale wszędzie najlepiej. Gdyby tylko mogli teraz stanąć przed takim wyborem. Winter wiedział, że wielu ludzi – więcej, niż można by sobie wyobrazić – eksmituje się z domów. Przenoszą swoje rzeczy na Centralny. Mieszczą się w kilku plastikowych pojemnikach albo w walizce.

Usłyszał za sobą Bengtssona.

– Ile tu jest szafek?

– Trzysta dziewięćdziesiąt cztery – odparł Bengtsson, rozglądając się, jakby jeszcze raz je przeliczał.

– A ile pomieści walizkę tej wielkości?

Bengtsson się roześmiał. Po sali rozeszło się echo jego śmiechu. Kobieta, która stała dziesięć metrów dalej, odwróciła się i spojrzała na nich surowo.

– Chyba wiesz, że istnieje rekord świata, jeśli chodzi o liczbę osób, jaką może pomieścić garbus – powiedział Bengtsson, śledząc wzrokiem opuszczającą salę kobietę. Szła szybko, jakby poczuła się znieważona. – Z czasów garbusów oczywiście.

Starego modelu. – Bengtsson rozłożył ręce. – Tak jest i tutaj.

Niesamowite, ile gówna ludzie potrafią wcisnąć do szafki.

Codziennie próbują pobić rekord świata.

Winter skinął głową. Jakby na potwierdzenie słów Bengtssona do sali weszła rodzina ze skrzyniami. Pewnie przywieźli je specjalnym samochodem dostawczym albo samolotem transportowym. Stanęli na środku błyszczącej podłogi.

Mężczyzna zaczął szukać wolnych szafek.

Bengtsson znów się roześmiał. Mężczyzna spojrział na niego i odpowiedział uśmiechem. Pochodził z Indii. Potem odwrócił się w stronę szafki.

– Ten musi wynająć ze trzydzieści szafek, a potem pociąć walizki na pięć części – powiedział Bengtsson. – Może w środku jest silnik. Niektórzy obcokrajowcy próbują przewozić samochody w częściach.

– Chciałbym, żebyś otworzył te dolne – poprosił Winter, obserwując mężczyznę.

Mężczyzna rozłożył ręce i wrócił do rodziny.

Ringmar kupił kanapkę z krewetkami. Wyglądała tak, jakby spędziła tydzień w szafce do przechowywania bagażu. Winter nie omieszkał mu tego powiedzieć, zanim Ringmar zdążył go powitać.

– Dlaczego akurat tydzień? – zapytał, ścierając z ust majonez.

– Wtedy kończy się czas przechowywania – odparł Winter. –

Są tam liczniki, odliczają siedem dni. Kiedy czas minie i nikt nie zabierze rzeczy, Bengtsson otwiera szafkę i sprawdza, co w niej jest.

Ringmar spojrział na swoją kanapkę.

– I co? Znalazł tam coś takiego?

Siedzieli w kawiarni na Centralnym. Bengtsson zadzwonił po pomoc. Chodziło o otwarcie szafki. Wciąż mieli zezwolenie na

przeszukanie.

– Gdzie on jest? – spytał Ringmar. Położył kanapkę na talerzu, przykrył ją serwetką i rozejrzał się.

– Żartowałem, Bertil – powiedział Winter, spoglądając na talerz. – Przepraszam. Kanapka wygląda wspaniale. Tak świeżo. Nie musisz jej ukrywać.

– To możesz dokończyć – odparł Ringmar i podsunął Winterowi talerzyk.

– Nie jestem akurat głodny.

– A ja byłem – powiedział Ringmar. – Oderwałeś mnie od lunchu na mieście.

– Wybacz, Bertil. Chodzi o coś, co usłyszałem od Bengtssona.

– Teraz zwalasz winę na niego? Ale jego tu nie ma. – Ringmar się rozejrzał. – Gdzie on jest?

– Przyjdzie za chwilę. Ale powiedział, że dość często otwierają szafki z powodu zapachu zepsutego jedzenia czy jak to nazwać.

Ringmar wstał. Wziął talerz z połową kanapki i odniósł do okienka.

– Zapraszam na coś innego – powiedział Winter, kiedy wrócił.

– Nie tutaj.

– Jest gorzej, niż się wydaje – zaczął Winter. – To resztki jedzenia ze spiżarni. Kiedy ludzie zostają wyrzuceni na bruk, zabierają ze sobą to co mogą i zamykają tutaj. Kilka zdjęć, kilka ozdób, trochę ciuchów i jedzenie. Przechowalnia staje się ich

pokojem gościnnym i kuchnią w jednym.

– Pokój numer trzysta – powiedział Ringmar. – Albo numer dziesięć.

– Za chwilę sami się przekonamy, jak to wygląda.

Winter spytał Bengtssona, czy kiedyś, w związku z podobną sprawą, sprawdzał wszystkie szafki. Prawie, odpowiedział Bengtsson. Raz wtedy, gdy smród był tak okropny, że niemal wypłoszył z Centralnego wszystkie żywe istoty. Okazało się, że w szafce było jedzenie z lodówki jakiegoś wyeksmitowanego biedaka. Właściciel nigdy się nie zjawił. Może skoczył pod pociąg. To się zdarza dość często. Tory są przecież tuż obok.

– Co robią z rzeczami, po które ludzie nie wracają? – spytał Ringmar, wypijając resztę latte. Nie mieli normalnej kawy. – I nie chodzi mi o zgniły ser.

– Przechowują przez kilka miesięcy – odpowiedział Winter. – Pod warunkiem że mają miejsce. Jeśli nikt się nie zgłosi, oddają Armii Zbawienia. A oni rozdają część rzeczy ubogim.

– Można zatem powiedzieć, że są w obiegu – zauważył Ringmar.

Wiedział, że wielu klientów Bengtssona to bezdomni.

Wielu umierało z kluczykiem w kieszeni. Albo znikало w inny sposób. Ktoś wybierał pociąg.

– Opróżnia dziesięć, piętnaście szafek dziennie – powiedział Winter. – Właśnie idzie.

Halder nie mógł znaleźć w mieszkaniu Pauli żadnej pocztówki. Nawet takiej sprzed dziesięciu lat. Sprzed żadnych lat. Albo nie było nikogo, kto by o niej pamiętał, nawet jednej osoby, która by swoją pamięć o niej wyraziła przynajmniej pocztówką, albo dowody zostały usunięte z mieszkania razem ze zdjęciami.

Walizka, pomyślał, walizka. Paula już nie wyjedzie, ale walizka musi gdzieś być. Nie sędzę, żeby była pusta. Ktoś ją zatrzymał z jakiegoś szczególnego powodu.

Pomalowana prawa ręka. Co to za chory, gówniany pomysł? Nigdy się z takim czymś nie spotkałem. Przecież nie chodziło o naznaczenie jej. To nie miał być znak rozpoznawczy. I tak ją zidentyfikowaliśmy. Czy w walizce jest zdjęcie ręki? Dlaczego się nad tym zastanawiam? Czy ta utrwalona biała ręka jest teraz gdzieś w drodze? Do czego ten skurwiel jej potrzebował? Malarz rąk? Chryste. Podszedł do okna i wyjrzał. Te myśli. Co za robota. Zawracanie sobie głowy pomalowanymi martwymi rękami. Trupami. A mógł być fizykiem jądrowym, didżejem, trenerem hokeistów. Mógł patrzeć na zachód słońca, nie zastanawiając się, z jakim cholerstwem będzie miał do czynienia następnego dnia.

Słońce znów schodziło w dół, ku horyzontowi, za chwilę miało zniknąć. W przyszłym roku pod koniec października wybiorą się z Anetą i dziećmi na Cypr. Już postanowili. W październiku

i przez część listopada nadal jest tam ciepło. Wiedział, bo stacjonował tam z batalionem sił pokojowych w latach osiemdziesiątych. Obcięty na jeża żandarm, który jeszcze miał włosy. Teraz jest krótko obcięty, łysiejącym gliną. No i dobrze. Gdyby miał komuś przywalić z główki, przynajmniej by go nie podrapał włosami. Ale to mu się nie zdarzało. Nie przywalił nawet temu zmotoryzowanemu pijakowi, który zabił jego żonę. Cypr. Pierwszy raz pokaże im ten kraj. Potem już tam nie był, ale kraj nadal istnieje. Nie sądził, żeby Larnaka bardzo się zmieniła. Fig Tree Bay owszem. Wtedy nie było tam nic, tylko zatoka, do której dojechali cholernie starym autobusem, i barak, w którym sprzedawano napoje. Aiya Napa – bez większych zmian. Zmęczone rybackie miasto, żołnierze ONZ na kacu, Nizzi Beach. Kilka kąpielni w słonej wodzie, sjesta w cieniu palmy, dwa piwa w Pelican Bar i człowiek znów był gotowy na wszystko.

Październik. Ten albo następny. Czy do tego czasu złapią mordercę Pauli Ney? Wyjrzał przez okno. Widok taki sam, jaki Paula miała przez ostatnie lata. Do października drzewa na wzniesieniu stracą prawie wszystkie liście. Miasto nie będzie już takie kolorowe. Zacznie się zimowe piekło. Przyjdzie czas, żeby się stąd zmyć. Wyjechać. Podróż. To wszystko miało z nimi coś wspólnego, ale nie wiedzieli co. I nie chodziło jedynie o walizkę.

Zadzwońiła komórka. W gotowym w połowie mieszkaniu

dźwięk był stłumiony. Halders tak właśnie je widział, tak o nim

myślał – jak o połowie.

– Co robisz? – spytała Aneta.

– W zasadzie myślę o Cyprze.

– W godzinach pracy?

– Nie mów nikomu.

– Może była w drodze na południe – powiedziała Aneta.

– Albo gdziekolwiek indziej.

– Wciąż jesteś u niej?

– Tak.

– Znalazłeś coś?

– Nie. Nic osobistego.

– Niewiele wiemy o jej prywatnym życiu – zauważyła Aneta.

– Wyjątkowo mało.

– Wydaje się, że nawet w pracy nie miała przyjaciół.

W każdym razie nie byli nimi ci, z którymi rozmawiałam.

– Niełatwo o przyjaciół, jeśli cały dzień pracuje się ze słuchawkami na uszach.

– Pracowała przy czymś innym, przynajmniej ostatnio.

– Przy czym dokładnie?

– No...

– Dzięki. Dokładniej się nie da.

– Usługi. Rozwój usług dla klientów.

– Cholera. Wydawało mi się, że wszystko będzie zmierzało ku wyeliminowaniu usług dla klientów – powiedział Halders, odwracając się w stronę pokoju. Pokoju gościnnego. – Byłych klientów.

– To było trochę skomplikowane.

– Na pewno.

– W każdym razie nie pracowała ze słuchawkami na uszach.

– Musimy poważnie porozmawiać z jej kolegami od rozwoju usług – podsumował Halders. – Jakież inne nowości?

– Winter opróżnia wszystkie szafki na Centralnym.

– Świetnie. – Halders zrobił kilka kroków. Jeszcze nie był staroświecki, jeszcze go słuchali. Zobaczył szybko poruszające się gałęzie za oknem. Korona drzewa była mocno zielona.

– Jest ich z czterysta – powiedziała Aneta.

– W takim razie potrzebują pomocy.

Paula Ney miała czarną samsonite i takiej właśnie walizki szukali. Rodzice podali przybliżony rozmiar. Nie należała do tych największych. Jeden ze starszych modeli.

Bengtsson otwierał szafki z dwoma pracownikami zatrudnionymi na pół etatu w Snabbfoto AB i sześcioma policjantami.

– Czego właściwie szukasz? – spytał Bengtsson, kiedy zaczęli.

– Tylko walizki – odpowiedział Winter.

– Co w niej jest?

– Ubrania, zdjęcia, może bilety? Chcemy się dowiedzieć.

– Hm... – mruknął Bengtsson. Miał taki wyraz twarzy, jakby mu nie wierzył.

– Dużo tych walizek – powiedział Halders.

Próbowali działać jak najszybciej. Wyglądało to na syzyfową pracę. To była syzyfowa praca. Czego ty właściwie szukasz? – pomyślał Winter. Nie chodzi tylko o walizkę.

Mieli szczęście, bo sezon urlopowy już się skończył i podróżnych było mniej. Jedna trzecia szafek była pusta. Część zawierała sprzęty domowe. Dom w szafce. W jednej z największych stał krasnal ogrodowy. Patrzył na Wintera, gdy otworzył drzwiczki.

Po godzinie szukania Bengtsson krzyknął z lewego końca sali.

Winter podniósł wzrok i zobaczył, jak robi kilka kroków do tyłu.

Pobiegł do niego.

Bengtsson się odwrócił. Miał dziwny wyraz twarzy.

– Nic nie czuć – powiedział. – Nie powinno śmierdzieć?

Winter się schylił. Dolna szafka. Minęło kilka sekund, zanim jego wzrok przyzwyczał się do panującej w niej ciemności.

Zobaczył rękę. W foliowej torbie, na końcu okręconej jakby bezbarwną gumką. Ręka była biała jak kreda.

Szafka numer sto dziesięć.

Rzeczywiście nie śmierdziało.

Ręka wyglądała jak z gipsu.

Była z gipsu. Leżała na stole, w podziemiach Dworca

Centralnego. Zimne światło sprawiało, że wyglądała na jeszcze

bardziej nagą. Jak żywa. W geście powitania albo spoczynku.

Palce ledwo od siebie oddzielone.

– Co to, kurwa, jest? – spytał Halders.

– Gipsowa ręka – odparł Ringmar, jakby do siebie.

– Odlew – dodał Winter. – Idealny odlew.

– Jej ręki? – spytał Halders.

– Tego jeszcze nie wiemy – odpowiedział Ringmar.

Halders spojrzał na rękę.

– Nie jest duża. – Podniósł wzrok. – Jej ręka też była taka

biała. – Dużo tu takich znajdujecie? – spytał, zwracając się do stojącego kilka kroków od stołu Bengtssona.

– To pierwszy raz – odparł. Wciąż wyglądał tak, jakby był w szoku. – Widziałem koty z gipsu. I żaby... ale nie coś takiego.

– Doskonały odlew – powtórzył Ringmar. – Jeśli to odlew.

– Ręka była w spoczynku, kiedy go wykonywano – powiedział Winter.

– Jest bardzo prawdopodobne, że była martwa – stwierdził Halders.

– Po zewnętrznej stronie jest ślad, jakby po ranie – zauważył Winter. – Jakaś kreska.

Schylił się i spojrzał na dłoń z bliska. Wyglądała odrażająco.

Odbijała zieleń otaczających ją szafek i ścian. Ten odcień wszystkich przyprawiał o mdłości. Winter nie był już pewien, czy odlew naprawdę jest doskonały. Wyglądał, jakby go odlano w standardowej matrycy. Może nawet kupiono ją w jakimś dziwnym sklepie.

Nieważne zresztą, jak wyglądał. Ważne, czym był, co oznaczał albo symbolizował, jeśli ktoś tak woli. Był przekonany, że ta ręka ma związek ze sprawą. Z Paulą. Że jest pozdrowieniem od mordercy.

Machał do nich. Chciał, żeby go zobaczyli.

Wiedział, że tak zrobią.

Wiedział, że niebawem go zobaczą.

Na nagraniu, które miga na zielono.

Może nawet im pomacha. Da jakiś znak, zrobi gest, który odczytają.

Dowiedzą się, że on wie.

Poczuł, że przeszywa go tak dobrze znany dreszcz. Czuł to podczas niektórych śledstw, tych najtrudniejszych. Między nimi mogły minąć lata. Uczucie ściśle powiązane ze strachem.

Patrzcie na mnie! – krzyczał morderca.

Patrzcie, co zrobiłem!

Ten tutaj to ja!

– Ktoś tu tę rękę przyniósł i zamknął – zauważył Ringmar.

– Znow sobie pooglądamy telewizję – powiedział Halders.

Winter nagle pomyślał o antycznych posągach. Brakowało im członków, głów. Najczęściej zostawał sam tors, biały jak kreda. Podczas podróży po południowej Europie widział ich mnóstwo. Tu było odwrotnie. Członek bez torsu, pojedyncza dłoń. Czy to ma jakieś znaczenie? Posąg jest rzeczą martwą przedstawiającą istotę żywą.

Zwrócił się do Bengtssona:

– Licznik zaczął odliczać drugą dobę – powiedział. – Ktoś zamknął tę szafkę jakieś czterdzieści godzin temu. Powinniśmy go zobaczyć na nagraniu, prawda?

Bengtsson skinął głową.

Według licznika szafka została zamknięta siedemnaście minut po północy, przed prawie trzydziestoma dziewięcioma godzinami.

Na nagraniu widać było tylko czyjeś plecy.

Stali przed monitorem w chłodnym pokoju na zapleczu.

W głębi korytarza pojawiły się plecy. Obraz był możliwie najostrzejszy, ale na niewiele się to zdało.

Widzieli tylko plecy, długi płaszcz i tył kapelusza z dużym rondem. Nie sposób było określić, jakiego ten ktoś jest wzrostu.

Porównali z wysokością szafek.

– Tu koleś jest – powiedział Halders.

Winter puścił fragment nagrania jeszcze raz. Trwało piętnaście minut. W tym czasie pan Plecy wrzucił do zamka

w drzwiach szafki monetę, włożył coś do środka, zamknął i przekręcił kluczyk. Na podstawie ruchów mogli odczytać, co robił.

– Ma sukinsyn rękawiczki – zauważył Ringmar.

– Fajnie – powiedział Halders. – Kto sprawdzi odciski palców na dwudziestu tysiącach pięciokoronówek?

Puścili film jeszcze raz.

– Patrzcie, jak się rusza – powiedział Ringmar. – Nie widać nawet połowy profilu. Cały czas tylko plecy.

– Długi płaszcz w środku lata – dodał Halders. – Ubrał się specjalnie na tę okazję.

– Dobrze wiedział, gdzie są kamery – powiedział Winter i zwrócił się do Bengtssona: – A może miał szczęście?

– Puść to jeszcze raz.

Zaczęli oglądać jeszcze raz. Winter poczuł, że robi się rozdrażniony i jeszcze bardziej wkurzony. Może mieli przed sobą mordercę. Był w mieście, przynajmniej w ostatnich dniach. Widzieli go na ekranie w tym filmie ze skaczących obrazów.

Mógł wyciągnąć rękę i go dotknąć.

I morderca wiedział o tym. Wiedział, że Winter obejrzy to nagranie. Dlaczego to zrobił? Przecież ryzykował. Ujawnił się.

Chroniło go wprawdzie ubranie, ale jednak było go widać. Ciało zawsze coś mówi o właścicielu. O wzroście, sposobie chodzenia,

ruchach, nawet jeśli technika je zniekształca.

Pan Plecy wyciągnął rękę. Winter właśnie to zobaczył, od tyłu.

Wyciągnął przed siebie rękę... rękę z... ręką.

– Unika kamer. Staje tak, żeby nie uchwyciły jego twarzy od przodu – powiedział Bengtsson.

– To nie może być szczęście – powiedział Ringmar.

– Zna to miejsce lepiej niż ja – stwierdził Bengtsson.

– To możliwe? – spytał Ringmar.

– Nie.

– Dobrze rozpoznał teren – powiedział Halders. –

Z wyprzedzeniem.

– Albo kiedyś u was pracował – zauważył Ringmar. – Wie, gdzie są kamery.

– Nie – powiedział Bengtsson. – Jest nas tu tylko troje – ja i jeszcze dwie osoby. Pracują od dawna. I nie mają takich pleców. – Spojrzał na Ringmara. – Ja też nie.

– Może jest też na innych filmach – powiedział Winter. –
Może chodzi i sprawdza wszystkie kąty.

– Inne nagrania zostały już chyba skasowane – zauważył Halders.

– Ale na tym jest przecież kilka dób.

– Zaplanował to chyba dużo wcześniej – dodał Ringmar. –
Może był tu kilka miesięcy temu.

Winter nie odpowiedział.

Postać zniknęła z ekranu.

– Nie poszedł schodami! – stwierdził chwilę później.

– Tajna kamera – dodał Ringmar.

– O co chodzi? – spytał Halders.

– Gdyby poszedł schodami, mielibyśmy ujęcie całej twarzy –
wyjaśnił mu Ringmar.

– Widzicie światło pod schodami? – spytał Winter.

Puścił jeszcze raz. Jakby na kilka sekund na ekranie błysnęło
światło.

– Pojechał windą! – powiedział Winter.

– Nie ma w niej kamery? – spytał Halders.

– Nie – odparł Bengtsson. – Jest na zewnątrz.

– Nie widzieliśmy – powiedział Ringmar.

– Powinna działać – odparł Bengtsson. – Do tej pory działała.

– Nie sprawdzacie tego? – spytał Halders.

– Oczywiście, że sprawdzamy.

– To może zrobimy to teraz – zaproponował Halders.

Znaleźli fragment nagrania, o który im chodziło. Zobaczyli
tylko kawałek płaszcza. Zniknął za drzwiami windy.

– Facet chyba szedł po ścianach – powiedział Bengtsson.

– To ten sam płaszcz? – spytał Ringmar.

– Tak – odparł Winter. Potem zwrócił się do Bengtssona: –

Jak często tu sprzątacie?

– Słucham?

– Jak często zamiatacie podłogę?

Zobaczył na ekranie kawałek podłogi: gładkie kamienne płytki również odbijały wszechobecną zieleń.

– Ja nie sprzątam – odpowiedział Bengtsson. – Spytam

Helén. – Poszedł do biura. Po pół minuty był z powrotem. –

Powiedziała, że przynajmniej cztery razy dziennie.

– Niech to szlag – powiedział Winter. – Ale i tak spróbujemy.

– A potem zwrócił się do Bergenhema, który sprawdzał czujnik przeciwpożarowy nad windą i właśnie wrócił: – Przypilnuj, żeby odgradzono tę szafkę. I zadzwoń do Öberga.

– O co, do cholery, chodzi z tą ręką? – spytał Halders. – Coś oznacza, nie? Koleś chce nam coś powiedzieć. Wiedział, że prędzej czy później znajdziemy to gipsowe gówno.

– Nie wiedział tylko kiedy – odparł Winter.

– Dobra, może myślał, że później. Nie wiedział, jacy sprytni albo głupi jesteśmy, ale wiedział o monitoringu i wiedział, gdzie są kamery. I zaryzykował zostawienie... wiadomości.

– Może to nie jest wiadomość – powiedział Ringmar.

– W takim razie co? – spytał Halders.

– Dokładnie to, na co wygląda. Przechowywanie przedmiotu.

Ktoś chciał przechować coś w schowku.

– W tej samej szafce, z której wyjął jej walizkę?

– Nic nam o tym nie wiadomo – powiedział Winter. – Nie wiemy, czy ją tu zostawiła. Nie wiemy nawet, czy jedno ma

związek z drugim. Mogła ją oddać, sprzedać, schować gdzie indziej.

– Musimy jeszcze raz obejrzeć nagrania – stwierdził Halders.

– Te sceny, w których szafka numer sto dziesięć gra główną rolę.

Winter skinął głową.

– I sprawdzić, kto tu był przedwczoraj tuż po północy. Byłeś tu? – zapytał Bengtssona.

– Tak. W biurze. – Bengtsson się rozejrzał i wyjrzał przez zamknięte drzwi, jakby nagle zdał sobie sprawę, że może się znajdować kilka metrów od mordercy. – Zamykamy o wpół do pierwszej – ciągnął. – A otwieramy o wpół do piątej rano.

– Byli tu wtedy jacyś ludzie?

– Kiedy?

– O wpół do pierwszej w nocy.

– Przynajmniej jedna osoba – odparł Bengtsson i kiwnął głową w stronę monitora.

– Widziałeś kogoś innego?

– Nooo... parę osób pewnie było. W ogóle na dworcu. Kilku biedaków, którzy chcieli się ogrzać, jak długo mogli.

– Przy szafkach nikogo?

– Kiedy zamykałem, było pusto.

– Zerkniemy jeszcze raz na film? – wtrącił Halders.

– TAM! – HALDERS PODERWAŁ SIĘ I WSKAZAŁ NA
EKTRAN. – To jej walizka!

Winter dostrzegł czarną samsonite. Ringmar też. I Bengtsson.
Zobaczyli kobietę, której nie znali, i otwartą szafkę numer sto
dziesiąt. Kobieta włożyła walizkę do środka, zamknęła
drzwiczki i, nie oglądając się za siebie, odeszła. Winter widział
część jej twarzy i letnie ubranie. Żadnego płaszcza, żadnego
kapelusza. Włosy bardzo jasne – białe albo blond. Ciemne
okulary utrudniły identyfikację.

– Nie przejmuj się kamerami – zauważył Ringmar.

– Może o nich nie wie – odparł Winter. – Albo ma je w nosie.

– Znamy ją? – spytał Halders.

– Więc to nie jest Nina Lorrinder, jej przyjaciółka? – wtrącił

Ringmar. – Jesteś jedynym, który widział Lorrinder, Fredrik.

– To nie ona. Jestem tego pewien. Mimo okularów – odparł

Halders. – Lorrinder jest ładniejsza. A przede wszystkim
młodsza.

– Która to godzina? – spytał Ringmar.

Miał na myśli godzinę na nagraniu. To, co widzieli, działo się
cztery doby wcześniej.

– Wpół do szóstej – odparł Bengtsson. – Po południu.

– O której spotkała się z przyjaciółką? – spytał Ringmar. –

Wtedy, przed kinem?

– Piętnaście po szóstej – odpowiedział Winter. – Film zaczął się o wpół do siódmej.

– Więc zdążyłaby sama schować walizkę, zanim poszła do kina – stwierdził Ringmar.

– Ale tego nie zrobiła – powiedział Halders. – To nie ona, prawda?

– Puść jeszcze raz – zaproponował Winter.

Zobaczył nieznaną kobietę wkładającą nieznaną walizkę do znanej szafki.

– To może być przypadkowa osoba i jakakolwiek samsonite – powiedział Ringmar, wskazując na monitor. – Po kilku godzinach zabrała bagaż i szafkę zajął ktoś inny. Później jeszcze kto inny i tak dalej.

Winter spojrzał na Bengtssona.

– Niemożliwe – odparł Bengtsson. – Widzielibyśmy to na nagraniu. Ten sukinsyn musiał dopłacić, żeby otworzyć szafkę.

– Kiwnął głową w stronę monitora. Kobieta na ekranie już czwarty raz szła do wyjścia. Winter pomyślał o planach filmowych, o powtarzaniu scen. Wciąż nie mieli właściwego ujęcia.

– Stodziesiątka – przypomniał Bengtsson.

– Więc na sto procent to pan Plecy zabrał tę walizkę, którą blondyna wsadziła do szafki? – spytał Halders.

Bengtsson skinął głową.

– Kim ona jest? – spytał Ringmar.

Mieli już dwie osoby powiązane z zabójstwem Pauli Ney.

Jedną widzieli, drugiej nie. Obie anonimowe. Wysyłanie zdjęcia kobiety do mediów miało się z celem. Odezwałyby się setki ludzi, którzy widzieli blondynę w okularach przeciwsłonecznych. Równie dobrze mogliby wysłać zdjęcie męskich pleców.

– Jest w tym coś... cwaniackiego – zauważył Ringmar. –

W zachowaniu ich obojga.

Wrócili do kawiarni. Kelnerka obsłużyła ich jak stałych klientów. Uśmiechnęła się kilka razy. Nie jesteśmy stąd, pomyślał Winter. Spójrz na nią. Sprawa zaczyna się i kończy w tym miejscu. Jeśli w ogóle się kończy. Nie chciał się zastanawiać nad symboliką. Przychodziło mu to zbyt łatwo i mogło zaprowadzić wszędzie. Często prowadziło donikąd. Rzadko pozwalało zrobić krok naprzód. Odrzucił myśl o kimś, kto siedzi na dworcu i nigdy nie przeczyta na tablicy, że za chwilę wjedzie jego pociąg. A siedzi godzinami, całymi dniami. Ciężki los. Ale nie tak ciężki jak śmierć. Kelnerka uśmiechnęła się do niego, stawiając cappuccino na stoliku. Zauważył, że mają w barze whisky w półmetrowych butelkach. Kelnerka była blondynką. Jak kobieta na ekranie.

– Weźmy blondynę – ciągnął Ringmar. – Wchodzi z zadartym nosem, na którym ma okulary przeciwsłoneczne. Są jej

przebraniem. Wie, że jest albo będzie obserwowana, może nawet ma na głowie perukę. – Wypił mały łyk latte. Smakowała jak samo mleko, nic innego. Nagle zatęskniła za okropną kawą z automatu w „kwaterze głównej”. To Halders wymyślił tę nazwę, ponieważ wydział zajmował górę budynku. – I nie przejmuję się. W pewnym sensie świadczy to o sprycie... Jest w tym coś z arogancji. Postan...

– A dlaczego miałyby się przejmować? – przerwał mu

Halders. – Nie popełniła przestępstwa. Zostawiła tylko walizkę przyjaciółki, którą ta miała później odebrać. I tyle.

– I ty w to wierzysz?

– Nie.

– Wkłada do szafki walizkę należącą do kogoś innego –

ciągnął Ringmar. – Może swoją, ale zakładamy, że to cudza

walizka, bo nie wróciła po nią. Dlaczego? Po co ciągnąć

walizkę? Wydawała się dość ciężka, kiedy ją podniosła. Czy

Paula Ney jej to zleciła? A może walizka została skradziona? Po

co więc zostawiać ją na Centralnym? Po co czekać kilka dni,

żeby ją zabrać? – Kiwnął głową w stronę hali dworca. – Więc

kiedy pan Plecy ją zabierze?

– Jest jeszcze jeden szczegół, który wskazuje na to, że jest

w jakiś sposób zamieszana w morderstwo – powiedział Winter.

– Jaki? – spytał Halders.

– Nie dała o sobie znać – odparł Winter.

Wciąż siedzieli na Dworcu Centralnym. Nie mogli się ruszyć.

Musimy się zastanawiać tutaj, pomyślał Winter. To miejsce ma coś w sobie. Jeśli pójdziemy, wyobraźnia przestanie działać. Do roboty w terenie mamy innych. Tutaj jest centrum rozumowania. Kwatera główna. Poza tym nie lubię swojego biura. Nie wrócę tam.

Kawiarnia nie miała okien wychodzących na perony, ale mógł na nie wyjrzeć przez coś w rodzaju kolumnady, która powstała w tym samym czasie co dobudówka. Stwierdził, że słońca już nie ma. Cały dworzec oświetlały lampy. Ich światło dawało się zauważyć dopiero wtedy, gdy słońce zachodziło za chmurę albo znikało za horyzontem. Kolumny rzucały na białe ściany blade cienie. Wszystko wyglądało jak z gipsu.

– Znajdziemy ją – powiedział Halders.

– Jeśli żyje – zauważył Ringmar.

– Dlaczego miałyby nie żyć? – spytał Halders.

Ringmar wzruszył ramionami. Gest ten miał oznaczać, że skoro Paula Ney jest martwa, to inni też mogą.

– Jeśli żyje i nie została uwięziona, to musi być w to zamieszana – powiedział Winter.

– Jak nasz przyjaciel w długim płaszczu – dodał Ringmar.

– Nie jest moim przyjacielem – powiedział Halders. – Nie znoszę tego skurwiela bez względu na to, czy coś zrobił, czy nie.

– Zrobił odlew ręki – zauważył Winter.

– Nie odpuszczę, dopóki się nie dowiem dlaczego – zapewnił Halders.

– Nie odpuszczaj, Fredrik – powiedział Ringmar. – Zwłaszcza teraz.

Aneta zadzwoniła, kiedy Winter szedł do samochodu. Droga przez północne skrzydło dworca wiodła przez szorstki metal i szkło. Szkło odbijało światło słońca jak lustro. Żadnych kolumn, tylko drzwi wahadłowe. Kiedy przechodzą podróżni, huśtają się wte i wewte. Autobusy przyjeżdżały i odjeżdżały. Idąc do samochodu, Winter zdał sobie sprawę, że nie jechał autobusem od bardzo wielu lat. Nawet na coroczne spotkania komisarzy nad morzem zawsze jeździł samochodem.

– Ci z hotelu milczą jak zakłęci – powiedziała Aneta.

– Wiedzą, że mają powód.

– Dobra, rozumiem, że chodzi o prostytutki. Ale to jest śledztwo w sprawie morderstwa.

– To nie gra żadnej roli.

– No tak. Nie chcą, żeby poszła fama, że puścili farbę. Ale mimo wszystko.

– Hotel chroni swoich klientów – powiedział Winter. – Dziwkarzy i Bóg wie kogo jeszcze.

– Nie mam nazwisk wszystkich gości. Nie sądzę, żeby w ogóle udało mi się je zdobyć. Nie jest łatwo, że tak powiem.

– Rozumiem.

W telefonie zatrzeszczało, jakby przeszli na inny kanał.

– Ale nie będziesz zaskoczony, co? – spytała Aneta.

– Czym?

– Tym, kto gości w Revy. Albo kto gościł kiedyś.

– Nie – odparł Winter. – Już nie.

– Zemszczą się.

– Naprawdę?

– Tak powiedział recepcjonista, z którym rozmawiałam.

Więcej nie wiedział. Ale coś jest na rzeczy.

Był czas, kiedy Winter dziwił się wszystkiemu. Bywał zaskoczony, wkurzony, przerażony. Zmieszany. Niewiele wtedy wiedział. Umiejętności, których później stopniowo nabywał, zaczęły mu pomagać w pracy, ale nie uczyniły go bogatszym, pełniejszym człowiekiem. Ciemności, w których toczył walkę, wzmagaly tęsknotę za słońcem, za dużą ilością słońca. Czuł, że im więcej doświadczenia zdobywa, tym bardziej jest samotny. Wychodząc z pracy, nie potrafił porzucić tego, o czym myślał, zostawić tego na biurku. Nie mógł ot tak zapomnieć o wszystkim, gdy tylko usłyszał trzask zamykających się za nim drzwi komendy. Wiedział, że niektórzy nie mają z tym problemu – zapominali, gdy tylko nadszedł wieczór. Nie wszyscy, ale wystarczająco wielu, żeby jemu i innym, tym, którzy traktowali swoją pracę poważnie, było potem trudniej. Na początku myślał, że podchodzi do wszystkiego za bardzo

serio. Ale czy mógł inaczej? To dlatego, że był samotny. Nigdy nie miał wielu przyjaciół. Kilka kobiet, paru facetów. Kumpel z dzieciństwa. Nigdy też nie miał nic przeciwko samotności. Nie czuł się samotny. Wręcz odwrotnie: od gadania wieczorami z ludźmi wołał własne towarzystwo. Jeśli chciał usłyszeć czyjś głos, mógł porozmawiać ze sobą. Czasami tak robił. Mógł też do kogoś zadzwonić. Nie musiał być sam ze sobą, jeśli nie chciał. Szukał metody, która umożliwiałaby życie w ciszy. Cisza panowała w jego mieszkaniu, w wydziale nie. A mieszkał wtedy na Guldheden, w wynajętym mieszkaniu między szkołą a Doktor Fries Torg. Z siódmego piętra mógł patrzeć w dal, na rzeki, skały, jeziora na wschodzie i powstające o trzydzieści lat za późno autostrady, które okręzały swoistą niewinność tego miasta. Miasta, w którym dorastał i w którym został. Stawał na chwiejącym się balkonie i spoglądał na sieć dróg oplatającą stare wyjazdy. Częściej myślał o tych, co wyjeżdżali, niż o przyjezdnych. Na dole powstawała autostrada, metr po metrze. Ścianami biegnącymi w dawnej fosie miała ocalić resztki niewinności. Po drugiej stronie była dzicz. A może odwrotnie? Wszystkie statystyki, wszelkie dostępne dane mówiły, że w ciągu prawie dwudziestu lat jego pracy w policji miasto stało się gorszym miejscem do życia. Bardziej niebezpiecznym, bardziej nieobliczalnym. Dwadzieścia lat – połowa z tego, ile się pracuje. Jeszcze drugie tyle i zapanuje tu

dzicz. Miasto już stało się dżunglą, ale bez pięknych palm.

Często o tym myślał. Dobrze wiedział, o co mu chodziło.

O metodę. Albo o fazę wstępną. Na początku każdej sprawy niewiele jest wart. Jego świat nie ma sensu i to on go takim uczynił. Kiedy odejdzie na dobre, rejestr będzie tylko grubszy, a twardy dysk większy. On sam z roku na rok będzie coraz mniejszy, coraz mniej niezastąpiony. I tak dalej, i tak dalej.

Wstał, wyszedł na balkon, zapalił corpa i przyjrzał się uważnie miedzianym dachom po drugiej stronie Vasaplatsen.

Obelisk w parku, palec skierowany ku górze. Z oddali dochodziło stłumione dzwonienie tramwajów. Światła na dole były wyraźniejsze, jak błyski w zwolnionym tempie, gdy samochody i tramwaje powoli ruszały albo hamowały.

Chwila na balkonie. Jedna z najprzyjemniejszych chwil, zwłaszcza teraz, szczególnie wieczorem, na przełomie sierpnia i września, gdy powietrze jest lekkie i ma szczególną jasnoniebieską barwę, która czyni je najbardziej przejrzystym.

W powietrzu utrzymywały się jeszcze zapachy lata, zmieszane z czymś ostrym i wilgotnym. Jesień pachnie wilgotniej, lato bardziej sucho. Takiego lata jak to jeszcze nie było. I nagle miało się ku końcowi.

Wszedł do pokoju i nalał sobie słodowej z jednej z karafek stojących na narożnym stoliku. Wiedział, jaką markę kryła każda z nich, ale przyjaciele, którzy go odwiedzali, mogli

sprawdzić swoją wiedzę na temat whisky. Miał, owszem, przyjaciół, nowych przyjaciół. To było coś nowego. Poniekąd przyczyniły się do tego Angela i Elsa. Świeżo upieczone rodziny wciąż się ze sobą spotykają, nawet gdy nie są już świeżo upieczone. Później pojawiła się Lilly i wszystko zaczęło się od nowa, choć może wtedy towarzystwo nie składało się już z tak wielu początkujących rodziców.

Angela.

Spojrzał na zegarek. Albo zadzwoni w ciągu pięciu minut, albo ja to zrobię. Przyłożył szklankę do ust. W chwili gdy poczuł w gardle pierwszy ognisty łyk, usłyszał dzwonek.

– Kwatera główna – powiedział.

– A gdybym to nie była ja? – odparła.

– Kwatera główna jest tam, gdzie wieszam kapelusz.

– Przecież nie masz kapelusza.

– To takie powiedzenie.

– Anglicyzm. Poza tym chodzi w nim o dom. Dom jest wszędzie, gdzie wieszam kapelusz.

– To jest dom – odparł Winter i rozejrzył się.

– Więc co słyszeć w domu? – spytała Angela.

– Samotność. A co u was?

– Jest dość gorąco. Ale wczoraj padało. Ludzie tańczyli na ulicach. Ostatni raz deszcz padał tu chyba w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim.

– Mój rocznik – powiedział i wziął do ust kilka kropli whisky.

Pachniała spalonym torfem i zimnym Atlantykiem. Miała smak dzikich ziół północnej Europy. Od Costa del Sol dzieliły go tysiące kilometrów. Angela i dziewczyny wciąż były u Siv, jego mamy, nałogowej palaczki. Wrócił do domu dziesięć dni temu – z mocną opalenizną i porządnym kacem po bardzo wytrawnym martini. Ostatnimi laty mama przestała pić. Może miało to związek z narodzinami Elsy. Może chciała żyć dłużej.

Słoneczne wybrzeże zmusza w końcu steranych życiem, żyjących wśród pól golfowych i galerii uchodźców podatkowych do wysiłku. Na wczesnopopołudniowych imprezach próbują uciekać przed życiem.

Angela lubiła Siv. Zdołała ją nawet namówić na kąpiele w słonej wodzie, po kilku dziesięcioleciach pobytu matki nad Morzem Śródziemnym. Znalazły fajną plażę po drugiej stronie Estepony. Kto dobrze szukał, mógł również miło spędzić czas w małych zatokach przy Puerto Banús. Elsa i Lilly kąpały się roześmiane. Elsa co chwila wyskakiwała spod parasoli.

Wyglądała później jak czekolada.

W białym jak śnieg domu w Nueva Andalucía nagle pojawiło się życie: śmiech, płacz dziecka i hałas w kuchni, którego nie wydawało już tylko ulubione urządzenie Siv – mikser. Elsa bawiła się w ogrodzie, pod palmą, a roczna Lilly uczyła się chodzić. Czasami Angelę męczyło życie przy Vasaplatsen. Nie

raz o tym mówiła. Mieli wprawdzie działkę nad morzem, na południe od Billdal, ale Wintera ciągnęło tutaj – do jądra miasta. Mieszkanie jest duże, a dzieci lubią się w takich bawić. To właśnie powiedział Angeli. Może nawet przyznała mu rację. Ale balkon to nie ogród. Działka nad morzem byłaby dobrym miejscem na domek letniskowy. Tak na początek.

– Znow czujesz się stary, Eriku? – spytała. Słyszał brzęk w słuchawce. Miał wrażenie, że to cykady.

– Myślałem o dawnych latach.

– Dwudziestych?

– Kiedy zaczynałem w tej pieprzonej robocie.

– Jest aż tak źle?

Opowiedział jej w skrócie o Pauli Ney.

– Dlatego wróciłeś.

– Powinienem był zostać.

– Mówiłam!

– A kto utrzyma tę coraz większą rodzinę?

– Ja oczywiście.

– Rozmawiałaś z tymi z kliniki w Marbelli?

– Jeszcze nie.

– Masz zamiar to zrobić?

– Zarabiałabym więcej, niż teraz zarabiamy razem, Eriku.

– Mam nadzieję, że żartujesz.

– Nie w sprawie zarobków.

– Wtedy mógłbym zrezygnować z pracy. I tak byśmy sobie poradzili.

– O tym właśnie mówię.

– Chodzi mi o to, że pieniądze i tak się znajdują. Bez względu na to, czy podejmiesz pracę w klinice, czy nie.

– Wiem.

– Więc nie musisz jej brać.

– Chyba nawet nie chcę. Ale za pół roku... trzeba będzie pomyśleć o szkole dla dziewczyn... W słoneczną zimę...

– A co ja wtedy będę robił?

– Będiesz z nimi oczywiście.

Wydawało się to takie proste. I oczywiste.

Bo było proste i oczywiste.

Spojrzał na zegarek, jakby chciał sprawdzić, kiedy zacznie się zima.

Zdecydował się w jednej chwili.

– To dobry pomysł – odparł. – Pytanie, czy dostanę urlop.

– A czemu nie przejdziesz na emeryturę?

– Teraz nie żartuję, Angela.

– Naprawdę?

– Właśnie doszedłem do wniosku, że to dobry pomysł. Mówię

serio. – Jego głos brzmiał teraz poważnie. Nie był pod

wpływem alkoholu. Jeszcze nie. – Jutro pogadam

z Birgerssonem. Mogę wziąć urlop od pierwszego grudnia.

Angela milczała.

– Zgodnie z regulaminem. Do grudnia jeszcze dwa miesiące.

– A twoja... sprawa? To morderstwo?

Do tej pory znajdziemy sprawcę, pomyślał. Musimy.

– Znajdziemy zastępstwo na stanowisko prowadzącego

śledztwo – odparł. – Da się to załatwić. Możemy to zrobić

nawet teraz, tak na wszelki wypadek. – Angela nic na to nie

odpowiedziała. – A tę pracę w klinice dostał ktoś inny? –

spytał.

Zauważył, że w jego głosie słychać niepokój. Nagle bardziej niż

czegokolwiek innego zachciało mu się zimowego spaceru

w słońcu. Wyjścia z córkami do portu na lody. Podróży do

Malagi, kieliszka wytrawnego wina wśród beczek i trocin

w Antigua Casa De Guardia, w której Picasso był stałym

bywalcem. Kolejnej lodowej uczyty dla dziewczynek. Kąpieli.

Grilowanego labraksa. Tapas o zachodzie słońca.

– Angela? – Musiała usłyszeć ten niepokój w jego głosie. –

Odmówiłaś? Czy tę pracę dostał ktoś inny?

– Rozmawiałam z nimi tylko raz, Eriku. Na razie wstępnie.

Przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

– Zadzwoń do nich od razu i umów się na kolejną rozmowę.

– Zaczyna się – odparła. – A... gdzie będziemy mieszkać? Nie

możemy ciągle siedzieć u Siv.

– Nie myśl o tym! Wszystko się jakoś ułoży.

Teraz zamienili się rolami. Ona miała wątpliwości, on był zdecydowany. Ale ona właściwie nigdy nie podjęła ostatecznej decyzji. To był tylko pomysł, propozycja, nic konkretnego.

Może to przez te miłe wspomnienia. W końcu żyje się tylko raz.

A Elsa niebawem nauczy się składać dla niego zamówienia w tamtym języku. *Un fino, por favor.*

– Dobra, zadzwonię – odparła. – Ale dziś jest już za późno.

– Hiszpańskie kliniki są otwarte od wczesnego rana.

– Wiem o tym, Eriku.

Usłyszał jej śmiech.

– Chcę pogadać z Elszą – powiedział. – I z Lilly.

– Lilly zasnęła dawno temu. Elsa już podchodzi.

Opowiedziała mu, jak spędziła dzień. Potok słów, bez żadnej przerwy.

On o sobie nie opowiedział.

Śniła mu się kobieta machająca do niego jedną ręką. Drugą trzymała za plecami. Nie miała twarzy. Nie miała w tym miejscu nic. Tylko matową białą przestrzeń. Machnęła drugi raz. Odwrócił się, żeby zobaczyć, czy ktoś za nim nie stoi.

Okazało się, że jest sam. Za nim była tylko bezkresna biała ściana. Ktoś powiedział: miłość. To nie mogła być ona, bo ona nie miała ust. To nie mógł być on, bo na pewno nie wydał żadnego dźwięku. I znów usłyszał: miłość. Jakby głos wiatru.

Zobaczył go: był czerwony, spłynął po ścianie, a ściana

poczerwieniała. Kobieta wciąż tam stała i machała ręką, wiatr chwycił jej sukienkę. Wszystko stało się czerwono-białe, czerwone i białe. Znow coś usłyszał, ale tym razem coś niewerbalnego. A może były to słowa, których nie mógł zrozumieć, język, którego nigdy nie słyszał. Nie wiedział, co tam robi. Nie mógł nic zrobić. Nie mógł pomóc kobiecie, którą porwał wiatr. Nie mógł się nawet ruszyć. A wiatr przybierał na sile, wydawał trzaski. Szum, trzask, szum. Usłyszał imię. Nie Paula, nie Angela, nie Elsa i nie Lilly.

Obudził się nagi. Od razu pomyślał o białej ścianie, która stała się czerwona. Nie mógł jej dostrzec w ciemności. Poczul, że lodowacieje. Wciąż słyszał trzaski. I szum. Spostrzegł, że spał przy uchylonym oknie. Wzmagający się wiatr uderzał nim rytmicznie o ramę. Brzmiało to jak czyjeś wołanie.

Zerwał się i postawił nogi na prześcieradle. Leżało na podłodze. Spojrzał na zegarek. Kiedy przed kilkoma godzinami gasił światło, noc była ciepła i wilgotna. Wczesna noc. Nie mógł zasnąć, więc ściągnął z cienkiej kołdry poszwę. Teraz pogoda była inna, zaczęło wiać z północy. Tropikalne powietrze zastąpiło chłodniejsze. Może arktyczne. Znow przeszył go dreszcz, więc włożył spodnie od piżamy. Potem po ciemku poszedł do kuchni i napił się wody mineralnej. Za oknem było ciemno. Jeszcze niedawno, zaledwie kilka tygodni temu, o tej porze było jasno jak w dzień. Zawsze to samo zaskoczenie.

Ciemność nie czeka. Nie może przyhamować. Jeszcze kilka miesięcy i noc będzie zapadać o trzeciej po południu. Witamy w północnej Europie.

Postawił butelkę. Przypomniał sobie, jakie imię usłyszał we śnie. Ellen. To był głos kobiety. Krzyknęła na wietrze. Ellen.

Widział Paulę, ale słyszał imię Ellen. Nie widział twarzy Pauli, ale to musiała być ona. Chowiała dłoń.

Miały ze sobą coś wspólnego. Ellen i Paula.

Nie.

Przypomniał sobie, co kilka dni temu powiedział do Bertila, kiedy rozmawiali o Ellen Børge: w tamtej sprawie była jakaś wskazówka. Mogłem jeszcze coś zrobić. Czemuś się przyjrzeć.

To coś tam było, miałem to przed oczami. Powinienem był to dostrzec.

Co powinien był dostrzec? Czy to miało związek ze sprawą Pauli Ney? Dlaczego zaczął myśleć o Ellen Børge, kiedy zajął się śmiercią Pauli Ney?

To ten pokój.

Hotel, pomyślał. Łączy je Revy. I pokój. I wiek: dwadzieścia dziewięć lat.

Ale nie jestem już tym samym człowiekiem co kiedyś.

Uwolnił się od zlewu. Prawie do niego przywarł.

Poszedł do salonu i usiadł na sofie. Wciąż było ciemno.

Gdzie jest Ellen?

Nosiła okulary przeciwsłoneczne?

Nie, daj spokój, Winter.

Co oznaczała ręka Pauli? Czemu miała służyć? Czy palce coś wskazywały? Dowiedzą się co? Pójdą w dobrym kierunku?

Nie.

Tak.

Nie.

WINTER WSZEDŁ DO BUDYNKU I KIWNAŁ GŁOWĄ do siedzącego za szybą strażnika. Chłopak się uśmiechnął, jakby mieli wspólną tajemnicę.

Staął przed drzwiami windy. W matowej powierzchni odbijały się tylko kontury. W tym odbiciu było się każdym.

Jadąc do góry, poczuł się tak, jakby jechał windą po raz pierwszy.

Drzwi się otworzyły, wyszedł i stanął w holu. Przez okno zobaczył trawnik stadionu Gamla Ullevi – zielony tak intensywnie, jakby go ktoś pomalował. Przeszedł przez hol i wstukał kod przy drzwiach do zamkniętego korytarza. To był jego pierwszy raz. Czuł, że to wyjątkowy dzień. Ale drzwi się nie otworzyły. Znow wstukał kod. Bez rezultatu. Cyfry powinny się zgadzać, jeśli ich nie zmienili od poprzedniego popołudnia.

Wstukał trzeci raz.

– Ej, to nie tu.

Odwrócił się. Mężczyzna stojący za nim się uśmiechnął, ale nie był to bynajmniej uśmiech serdeczny. Winter go nie znał.

Podobnie jak on facet miał na sobie cywilne ubranie, choć takie stwierdzenie może oznaczać wszystko. W skrócie: Winterowi bliżej było do snoba, facet wyglądał jak stuprocentowy kloszard. Winter kojarzył większość twarzy, które widywał na komendzie, ale tej nie znał. Nie należała do przyjemnych.

Kwadratowa szczęka, za małe uszy. Specyficzny błysk w oku, który zdaniem Wintera budził podejrzenia. No i ten budzący niepokój uśmiech. Ta twarz należała do kogoś stojącego po drugiej stronie prawa, do kogoś, kto ma już kartotekę. Do świeżo upieczonego kryminalisty.

Albo do nowego bojownika o sprawiedliwość.

– Legitymację poproszę! – powiedział ostrzyżony na jeża włóczęga, wyciągając rękę i znów obdarzając Wintera tym dziwnym uśmiechem.

– Proszę posłuchać...

– Legitymację! Nie chcemy tu przybłędów.

– Pracuję tutaj – odparł Winter i zrobił krok w tył.

Kolega ruszył do przodu. Tak, to był jego kolega z pracy.

Winter poczuł od niego wczorajszy alkohol, a w oczach dostrzegł kilka pękniętych żyłek. Koleś nie był w dobrym humorze. Winter też nie. Zaczęło go męczyć to przedstawienie.

– Nie prosiliśmy o przysłanie ani pucybutów, ani ludzi od mycia okien – powiedział tamten, znów się uśmiechając.

Uderzył Wintera w ramię, a Winter przywalił mu w czułe miejsce.

– Nie znałem go!

Winter patrzył prosto w twarz. W inną twarz – miała więcej zmarszczek i wyrazistsze oczy. Była blisko. Czuł słaby, ale łatwo rozpoznawalny zapach tytoniu. Dochodził z ubrania mężczyzny

i mieszał się z dymem papierosa, który trzymał w ręce. Nagle poczuł, że szczypią go oczy. Zaczął mrugać, żeby powstrzymać łzy. Nie wyglądałoby to dobrze.

– Co wy, kurwa, wyprawiacie?! – Starszy mężczyzna odwrócił się do młodszego, tego z dziwnym uśmiechem. Siedział naprzeciwko Wintera. Zbliżył twarz do jego twarzy. Na pierwszej nie było żadnego uśmiechu, z drugiej uśmiech zniknął. – Mam cię wysłać na ulicę, tam, skąd pochodzisz, Halders?!

– To on zaczął.

– Stul pysk! – krzyknął starszy mężczyzna. Winter zobaczył, jak kropelki śliny spadają na twarz Haldersa. Więc nazywał się Halders. Musiał być świeżakiem, może nie takim jak on, ale jednak. Wiedział, że ten krzyczący, plujący i palący facet to Sture Birgersson – komisarz, szef wydziału śledczego. Człowiek od rozwiązywania problemów. Z bujną wyobraźnią. Dzięki niej je rozwiązywał. Ale ten problem sprawił, że jego twarz była czerwona jak burak. Krew nie mogła znaleźć ujścia, zdawała się szaleć po całym ciele, jakby próbowała jak najszybciej się z niego wydostać. – Teraz próbujesz zwalić winę na niego, pieprzony tchórze?!

Odwrócił się i z wściekłością spojrzał na Wintera. Winter zobaczył, że oczy ma żółte. Wyraziste i żółte. To był jego pierwszy dzień pracy pod jego zwierzchnictwem. Pierwszy

dzień, pierwsza godzina, pierwsze minuty. Świetny początek.

– I co zrobimy z naszym kozłem ofiarnym?!

Halders się uśmiechnął.

– Stul pysk, powiedziałem! – krzyknął Birgersson, nie patrząc na niego. Znów zbliżył twarz do twarzy Wintera. – Chyba ci się pomyliły zawody, co? Pewnie naoglądałeś się za dużo amerykańskich filmów o gliniarzach. *Policjantów z Miami* czy jak się to gównem nazywało. Pedalskich pozerów w garniturach od Armaniego, którzy mogą stukać, kogo popadnie. Wydaje ci się, że o to w tej robocie chodzi?!

Winter otworzył usta, ale zanim się odezwał Birgersson krzyknął:

– Stul pysk!

– Oddałem na ciebie głos, chłopcze.

Birgersson gapił się wprost na niego. Jego oczy wyglądały jak powierzchnia księżyca. Wydawały się też równie odległe, choć były tak blisko, że Winter czuł zapach papierosów z jego ust.

Dym znów zaczął go gryźć w oczy, ale tym razem starał się nie mrugać. Mrugnięcie byłoby oznaką słabości. Jeden ruch, a wyleci z tego korytarza i wydziału na zbity pysk i będzie mógł zapomnieć o prowadzeniu dochodzeń w garniturze od

Armaniego. Wróci do munduru, nocnych patroli w dzielnicy burdeli wokół Pustervik, a do towarzystwa dostanie pewnie Haldersa. Śmierć byłaby lepszym wyjściem.

– Głosowałem na ciebie, ty mały gnoju – powiedział

Birgersson, po czym nagle się odsunął i z hukiem usiadł na swoim fotelu. Cud, że się nie rozpadł. – Musiałem nawet zabrać głos – ciągnął, jakby to było dla niego coś arcyważnego. – Są tacy, którzy mają wobec ciebie zastrzeżenia, więc musiałem rzucić na szalę swoją reputację, zapewnić ich, że się nadajesz do tej roboty! – Odwrócił się do Haldersa. – A tu coś takiego!

Halders wiedział, że ma siedzieć cicho.

– Gdyby Bertil akurat nie wyszedł z windy, diabli wiedzą, jak by się to skończyło!

– Pewnie u komendanta – powiedział czwarty mężczyzna.

Wcześniej się nie odzywał.

Nazywał się Bertil Ringmar i był inspektorem śledczym o stażu odpowiednio długim, żeby być komisarzem. A nawet dłuższym. Pozostawanie w cieniu Birgerssona było trudne, a żeby z niego wyjść, trzeba by cudu. Winter w ciągu ostatniego roku od czasu do czasu zamieniał z nim parę słów i uważał go za miłego gościa. Ringmar był jakieś dziesięć lat starszy od niego. Winter nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł z nim współpracować i się od niego uczyć.

Możliwe, że właśnie zaprzepaścił tę szansę.

Ale mimo wszystko mógłby to zrobić jeszcze raz. Znów stracić szansę. Przywalić Haldersowi dla własnej satysfakcji. Żeby zobaczyć, jak ten jego cholerny uśmiezek zamienia się w coś

innego. Może jeszcze nie dojrzał do tej roboty.

– Nie tylko u komendanta – powiedział Birgersson. – To byłoby do zniesienia. Miałem na myśli szpital. Pewnie skończyłoby się na ostrym dyżurze. A potem sprawą zainteresowałyby się prasa, telewizja, prokuratura, sąd, rząd i cały pieprzony ONZ!

W każdym rogu kawiarni stały donice z niemal identycznymi kwiatami. Było jak w dżungli. Jakby chodziło o to, żeby myśleć o dalekiej podróży. Niebawem Winter powinien znaleźć na nią czas. Wszystko będzie zależeć od postępów w najbliższej przyszłości.

Opuścili komendę najszybciej, jak to było możliwe. Nikt nie miał ochoty na kawę w odległości dwudziestu metrów od biura Birgerssona.

Gdy siadali, twarz Haldersa wykrzywił grymas.

– Boli? – spytał Winter.

– Co? – odparł Halders.

– Chciałbym z tobą pracować.

– Nie bądź tego taki pewny – odpowiedział Halders. – Stary zmienił zdanie. – Birgersson stracił głos i skończyły mu się papierosy, więc ich odesłał. Dostali upomnienia. Razem z nimi odprawił Ringmara. – Poza tym nie wiem, czy chce mi się zajmować dziećmiakami.

– Ja nawet nie zamierzam – odparł Winter.

– To co chcesz robić? – spytał Halders z tym swoim uśmiechem.

Trzeba to uciąć, pomyślał Winter. Jeśli mamy ze sobą pracować przez lata, to musi się to skończyć raz na zawsze. Może powinienem go poprosić, żeby mi przywalił? Wtedy bylibyśmy kwita. Może przestanie ze mnie kpić, bo w tym akurat jest lepszy.

Ringmar chrząknął.

– Birgersson chciał powiedzieć w swoim, hm... subtelnym stylu, że to nie boisko szkolne ani przedszkole.

– Co znaczy subtelny? – spytał Halders.

– Delikatny – wyjaśnił Winter.

– Wiedziałem, że wiesz – odparł Halders i uśmiechnął się.

– Delikatny jak ty – dodał Winter.

Halders nie przestał się uśmiechać.

– Czy któryś z was zrozumiał, co przed chwilą powiedziałem?

– podsumował Ringmar.

W sierpniu było bardziej zielono niż zwykle. Tamtego lata spadło dużo deszczu. Wciąż lało, również wtedy, gdy Winter stał przed hotelem Revy. Była czwarta po południu, światło słońca połknęły szare, nisko wiszące chmury. Zimowe. Już na początku września.

Spojrzał w okna na trzecim piętrze. Środkowe i trzy kolejne należały do pokoju numer dziesięć. Wiedział tylko tyle, że

w środku nocy nikt przez żadne z nich nie uciekał.

Ani Ellen Børge, ani nikt inny.

W holu panował taki sam półmrok jak na zewnątrz. Rośliny w donicach tylko go potęgowały. Przypomniał sobie kawiarnię, w której przed tygodniem siedział z Haldersem i Ringmarem.

Znów wędrował myślami po krajach południa. W holu unosił się obcy zapach. Może to był ten zapach?

Stał tam sam. Skądś dobiegała muzyka, może z radia. Nic mu nie mówiła. Wyglądało na to, że nikt jej nie słucha. Nagle ucichła. Do uszu Wintera dobiegało teraz tylko stukanie deszczu o markizę nad wejściem. Przeciekała. Kiedy wchodził po schodach, kropla spadła mu na policzek.

Hotel wydawał się zamknięty, opuszczony. A przecież takie przybytki zawsze są otwarte. Zwłaszcza ten.

Podszedł do recepcji i rozejrzał się. Znów zaczęła grać muzyka. Cichy szum. Może odgłos odkurzacza. Zdawało się dobiegać z góry. Może w pokoju numer dziesięć była sprzątaczką. Już tam był. Technik też, ale nic ciekawego nie znalazł. Ellen spędziła tam jedną noc. Albo prawie jedną noc.

Rano już jej nie było. Wszystko stało się wczoraj. Nikt nie widział, jak opuszcza Revy, nawet recepcjonista. Zapłaciła od razu, kiedy się meldowała. Taki był regulamin hotelu. Winter wiedział dlaczego. Większość gości spędzała w pokoju godzinę.

Albo pół. Zastanawiał się, dlaczego Ellen wybrała akurat to

miejsce. Może właśnie dlatego, że nikt tam nic nie widział i nie słyszał. Dla kogoś, kto chce uciec, Revy jest dobrym wyborem. Kilka godzin refleksji, jeśli to w ogóle jest tu możliwe, chwila odpoczynku, trochę snu i pierwszy lepszy pociąg lub autobus o poranku. Na południe, na wschód, na północ. Na zachodzie jest tylko morze, więc można by najwyżej wsiąść na prom. Nie wiedzieli, w którą stronę pojechała, jeśli w ogóle to zrobiła. Nie odwiedziła żadnego biura podróży.

Za biurkiem stanął recepcjonista. Wszedł wejściem ukrytym – jak wszystko inne – w cieniu. Nie było tam drzwi, tylko zasłona. Ziewnął, jakby właśnie odbywał sjętę. Może miał ciężką pracę. W tym miejscu mógł. Odpowiadał w końcu za klucze do pokoiów, a w nocy raczej nie mógł liczyć na spokojny sen.

Ziewnął jeszcze raz. Nawet nie próbował tego ukryć. Był mniej więcej w wieku Wintera, jeszcze nie przekroczył trzydziestki. Obaj mieli na sobie marynarki, z tą różnicą, że ta recepcjonisty była również pizamą.

– Ciężki dzień? – zagadnął Winter. – Albo noc?

– Ech... że jak?

Recepcjonista podrapał się po głowie. Włosy opadały mu na szyję, ale przy uszach były krótkie. Mógłby być Elvisem.

Grającym w hokeja Elvisem.

– Byłem tu wczoraj – powiedział Winter.

– Ach tak.

– Zaginięcie. Ellen Børge. – Pokazał legitymację.

Recepcjonista przyglądał się jej tak, jakby był krótkowidzem. –

Wczoraj pana tu nie było. Pański kolega powiedział, że będzie pan dzisiaj. U pana się zameldowała.

– Kto?

Jeszcze się nie obudził. Może zawsze był taki ospały.

– Ellen Børge. Zameldowała się u pana o dwudziestej trzeciej trzydzieści.

– Hm...

– Pamięta pan?

– Nie jestem głupi.

– Nikt nie powiedział, że pan jest. – Jeszcze nie, pomyślał

Winter. Ale jesteś zarozumiałym dupkiem. Nie pierwszy raz masz do czynienia z policjantem. Gliniarze ciągle się tu kręcą.

Masz ich dość. Nas. – Pański kolega pokazał nam rejestr gości.

Widnieje w nim jej nazwisko. Może go pan wyciągnąć?

– Pamiętam ją – powiedział recepcjonista. – Børge.

Sprawdziłem nazwisko, kiedy poszła do pokoju. Typowo męskie, co?

– Sprawdza pan nazwiska ludzi, którzy się meldują?

– Eee... nie. Ale... przyszła sama.

– I nie wyglądała jak dziwka? To pan ma na myśli?

Recepcjonista spuścił wzrok, jakby nagle wziął na siebie całą

hańbę hotelu. Spojrzał w górę.

– Nie miała walizki, tylko torebkę. – Wskazał palcami na biurko. – Położyła ją tutaj, kiedy się meldowała. Kiedy poszła, dotarło do mnie, że nie ma walizki.

– Proszę opisać tę torebkę – powiedział Winter.

– Nooo... czarna.

– Czarna? Tylko tyle pan pamięta?

– Tak... i mała. Z paskiem. Taka jak damskie torebki. Nie rozróżniam ich. – Spojrzał w stronę schodów, jakby ją tam widział. – Wyglądała, jakby miała wyjechać. Pamiętam, że tak sobie pomyślałem. Jesteśmy w końcu blisko Centralnego.

Wielu gości bierze pierwszy lepszy pokój. Później jadą dalej.

Podróżnicy. Potrafię już rozpoznać, kto wyjeżdża.

– I ona właśnie tak wyglądała?

– Tak sędzę.

– I wyjechała jak oni.

– Na to wygląda.

– W nocy albo wcześniej rano.

– Tak mówią.

– Nie wierzy pan w to.

– Nie mam w co wierzyć. Nic nie wiem. Nie było mnie tutaj.

Wyszedłem o dwunastej.

– Pański kolega nic nie zauważył.

– Wiem. To zrozumiałe.

– Co pan ma na myśli?

– On nigdy nic nie widzi. Śpi – powiedział recepcjonista i zaśmiał się. – Rozdaje klucze przez sen.

Winter mu uwierzył. Też miał takie wrażenie. Ten żartowniś był ospały, ale tamten spał żywcem.

– Jaka była?

– Co?

– Ellen Børge. Kiedy się zameldowała. Przecież ją pan obserwował. Zwrócił pan na nią uwagę. Jaka była?

Niespokojna? Spięta? Rozbiegane oczy? Zauważył pan cokolwiek?

– Wydaje mi się, że robiła wrażenie spokojnej.

– Padało. Była sucha?

– Niestety nie nadążam.

– Łało. Miała parasol? Była przemoknięta do suchej nitki? Nie wyglądało to tak, jakby szukała schronienia przed deszczem?

– Nooo... parasola nie widziałem. Była mokra, miała mokre włosy. – Pogłaskał się po swoim hokejowym fryzie. – No, może schroniła się przed deszczem. Ale to jeszcze nie powód, żeby się meldować, co nie?

Winter nie odpowiedział. Ellen wyszła z domu, kiedy świeciło słońce, a na niebie z trudem można było znaleźć jedną chmurkę. Christer Børge nie potrafił dokładnie opisać, jak była ubrana, ale było to „coś lekkiego”. Żadnego wierzchniego

okrycia. Powiedział, że takie rzeczy zostały w domu. Parasole mieli dwa i oba leżały na swoim miejscu. Tak, pomyślał wtedy Winter. Dlaczego miałyby brać parasol, skoro słońce prażyło jak cholera? Jakby chciało zadośćuczynić za mokre lato.

Siedem i pół godziny później zameldowała się tutaj. Na dworze lało.

– Proszę opisać, jak była ubrana – powiedział Winter.

– Może pan jeszcze raz opisać, jak była ubrana? – poprosił Winter.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Proszę, żeby był tak uprzejmy i powiedział, w czym wyszła – powtórzył Winter.

Christer Børge opisał, co jego żona miała na sobie.

– To naprawdę wszystko, co wiem na ten temat – zakończył.

– Ale nie jest pan pewien.

Børge wzruszył ramionami.

– Kto potrafi szczegółowo opisać, jak była ubrana jego żona?

Po jakimś czasie. Pan potrafi?

– Nie mam żony.

– Ale wie pan, o co mi chodzi, prawda? – Winter skinął głową.

– Raczej nie wzięła kurtki. To był ciepły dzień. Albo wieczór.

A może popołudnie, sam nie wiem, jak to nazwać.

Winter znów skinął głową, choć nie miał żadnego powodu.

Børge stał przed nim i milczał. Tak zresztą wyglądało ich

spotkanie od początku, od chwili kiedy Winter wszedł do

przedpokoju. Børge go nie chciał i Winter to rozumiał.

– Możemy na chwilę usiąść?

– Po co?

Winter nie musiał odpowiadać i nie zrobił tego. Kiwnął głową

w stronę pokoju. Oświetlał go ostry popołudniowy blask

zachodzącego słońca. Czerwień i złoto – kolory września.

Børge odwrócił się i ruszył do salonu. Winter za nim. Usiedli.

Nagle Winter poczuł specyficzny zapach, jakby przypraw.

Pomyślał, że ich nie zna i pewnie nigdy nie posmakuje.

Wydawało się, że woń dostaje się do środka razem ze światłem.

Drzwi balkonu były otwarte na oścież. Na dworze nie wiało.

W promieniach słońca pokój i balkon robiły wrażenie

luksusowych. Ale meble były obite tym samym pluszem, który

Winter widział półtora dnia wcześniej. I pewnie tak już

zostanie. Zastanawiał się, czy za pół roku albo za rok Christer

Børge wciąż będzie tu mieszkał. Czy jego żona wróci.

Podejrzewał, że będzie żyła szczęśliwie do końca swoich dni

zupełnie gdzie indziej. Stamtąd da znać. A Christer będzie dalej

tkwił w nieszczęściu. Albo w szczęściu. Może pod maską

niechęci ukrywał niepokój. Był Winterowi obcy, jak wszyscy

zresztą. Z takimi przyszło mu pracować. Część z nich żyła.

– Hotel Revy – zaczął.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł Børge. – Już to zresztą

mówiłem.

– Tam się zameldowała.

– Zameldowała? Przecież to było tylko kilka godzin. Nie miała przy sobie walizki. Nie nazwałbym tego zameldowaniem się.

– A jak by pan to nazwał? – spytał Winter.

Börge nie odpowiedział.

– Dlaczego akurat ten hotel? – ciągnął Winter.

– Dlaczego w ogóle hotel?

– O to właśnie pytam. Pana.

Börge powiedział coś, czego Winter nie zrozumiał.

– Słucham? Może pan powtórzyć?

– Nie miała żadnego powodu, żeby tam pójść – odparł Börge cicho. W jego głosie było coś, czego Winter wcześniej nie zauważył. Coś w tonie.

– Co pan ma na myśli?

– To, co mówię. – Börge spojrzał Winterowi prosto w oczy. –

Nie miała powodu, żeby się meldować w hotelu. Nawet na kilka godzin. Ani żeby iść gdziekolwiek indziej. Musiała być chora.

Tu był jej dom. – Rozejrzał się. – Należała do tego miejsca. –

Znów spojrzał na Wintera. – Tu był jej dom.

Koleś mówi tak, jakby nigdy nie miała wrócić, pomyślał

Winter. I właśnie tam, na miękkiej sofie, w chwili gdy słońce nagle zaszło za chmurę i wszystko utonęło w półmroku jak

w lobby hotelu Revy, Winter stwierdził, że Christer i Ellen już

się nie zobaczą.

DASZEK NAD WEJŚCIEM BYŁ TERAŻ NIEBIESKI. Nie padało ani nie wiało. Schody były suche. I od góry do dołu poprzecinane pionowymi szczelinami. Wyglądały jak system rzeczny bez ujścia.

Idąc po schodach, Winter dostrzegł te szczeliny i przebijającą się przez nie trawę. Trzeci świat, pomyślał. Kiedy coś zaczyna niszczyć, niszczy szybko. Sprawiedliwość dziejowa. Po obu stronach równika wszystko trafia szlag.

W holu panował półmrok. Czuło się go jeszcze wyraźniej, gdy się wchodziło z zewnątrz, stamtąd, gdzie po oczach było ostre światło dnia. Gdzie niebo było nieskazitelnie czyste, jasnoblękitne, jakby je oczyścił letni deszcz.

Stał tam sam. Skądś dobiegała muzyka, może z radia. Nic mu nie mówiła. Wyglądało na to, że nikt jej nie słucha.

Podszedł do recepcji i rozejrzał się. Znow zaczęła grać muzyka. Cichy szum. Pamiętał. Niebawem miało minąć dwadzieścia lat, ale nic się nie zmieniło. To, co wyglądało na *déjà vu*, niczym takim nie było. To była rzeczywistość. W ciągu dwudziestu lat właściwie nic się nie zmienia, pomyślał.

Wszystko się tylko powtarza.

Za biurkiem stanął recepcjonista. Wszedł wejściem ukrytym – jak wszystko inne – w cieniu. Nie było tam drzwi, tylko zasłona.

Rozpoznał go od razu.

On jego też. Winter dostrzegł to w jego oczach. Błysnęły w ciemnym holu jak latarka. To było mgnienie, jedna dziesiąta sekundy.

Recepcjonista nic nie powiedział, ale jego spojrzenie już wędrowało po schodach, na górę, i dalej korytarzem, do pokoju numer dziesięć. Wciąż był odgradzony taśmą. Całe piętro było. Musiał mieć kilka dni wolnego. Winter go nie widział podczas przesłuchania. Ale to nie on przesłuchiwał pracowników hotelu, jeszcze nie. Do teraz. Jak ten koleś się nazywał?

Zapomniał. Przeczytał i zapomniał. Dziwne. Nazwisko faceta widniało w aktach Pauli. Podobnie zresztą jak nazwiska wszystkich pracowników. To oznaczało, że facet był też w tych drugich aktach, tych sprzed dwudziestu lat. Nie wyglądał, jakby się o tyle postarzał. Miał inną fryzurę. W tym miejscu, w półmroku, czas mijał powoli. Na zewnątrz, w świetle, wszystko starzało się szybciej. Ale recepcjonista go rozpoznał.

Salko. Nazywał się Salko. Richard Salko. Czy jakoś tak nie nazywał się łyżwiarz figurowy sprzed lat? Nazwa podwójny salchow pochodzi od jego nazwiska. To było dawno temu, na długo przed wspaniałymi latami osiemdziesiątymi.

– Minęło ładnych parę lat – powiedział Richard Salko.

– Poznaje mnie pan?

– Tak jak pan mnie.

– Te lata dobrze się z nami obeszły.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Od początku – odparł Salko. – Od czego człowiek zaczynał. – Jego spojrzenie znów powędrowało w stronę schodów. Po chwili wróciło. – Okropna sprawa. Jak to się stało? – Winter nie odpowiedział. – Nie było mnie tu – dodał Salko. – Chorowałem.

– Wiem.

– Więc nie mam nic do powiedzenia.

– Na co pan chorował?

– Miałem migrenę. Może trzymać kilka dni. Czasem nawet tydzień. – Winter skinął głową. – Biorę lekarstwa, chodzę do lekarza.

– Wierzę – odparł Winter.

– Leżałem w domu, kiedy to się stało.

Winter wyciągnął zdjęcie.

– Widział ją pan wcześniej?

Salko przyjrzał się fotografii.

– To nie to samo zdjęcie co w gazetach.

– Nie.

– Wygląda na nim zupełnie inaczej.

– Dlatego pokazuję panu właśnie to.

– Nie, nie widziałem jej wcześniej – powiedział Salko, kiwając głową.

– Nie było jej tu?

– Z tego co wiem nie.

– Nikt z pańskich współpracowników jej nie poznaje.

Salko wzruszył ramionami.

– Tak czy owak, wybrała ten hotel – ciągnął Winter.

– Tak?

– Co pan ma na myśli?

– To ona wybrała? – Winter nie odpowiedział, a Salko znów wzruszył ramionami. – Zameldowała się, jeśli tak to można ująć.

– W pokoju numer dziesięć – powiedział Winter. – Wiemy, że go nie opuściła. Nie miała klucza. Nikt nie widział, jak wchodzi ani jak wychodzi. Spędziła tam noc. Ktoś ją odwiedził. Ale nie wiemy kiedy. Nikt tego kogoś nie widział.

– To hotel – powiedział Salko. – Ludzie przychodzą i odchodzą. – Wskazał w głąb holu. – Sam pan widzi. Jest tak cholernie ciemno, że ledwo się widzi własną rękę.

– Dlaczego jest tak ciemno? – spytał Winter.

– Niech pan zapyta właścicieli.

Tak robią. Ale oszczędzanie na prądzie nie jest żadnym przestępstwem. Ponadto to miejsce słynie z anonimowości.

A światło elektryczne z nią nie współgra.

– Podobno hotel ma zostać zamknięty.

– Kto tak powiedział?

– To tylko plotka.

– Mnie niech pan nie pyta.

– Nic pan o tym nie wie?

– Krąży tyle plotek... – powiedział Salko. – Miał zostać zlikwidowany już dwadzieścia lat temu.

– Pańska sytuacja zawodowa nie jest chyba szczególnie stabilna – zauważył Winter.

Salko się nie uśmiechnął.

– Ostatnio nie jest za wesoło. Plotki pewnie są prawdziwe. –

Spojrzał Winterowi prosto w oczy. – Proponuję, żeby pan spytał właścicieli.

Winter skinął głową. Zauważył, że Salko spojrzał gdzieś za jego plecy. W tym samym momencie dobiegł stamtąd jakiś odgłos. Odwrócił się. Zobaczył, jak drzwi się zamykają, ale nikogo tam nie było. Nie słyszał też kroków w holu. Odwrócił się z powrotem.

– Kto to był?

– Słucham?

– Kto wszedł tamtymi drzwiami?

– Nikogo nie widziałem.

– Ale drzwi się poruszyły.

– To pewnie wiatr.

– Nie wieje.

– Mówię przecież, że nikogo nie widziałem.

Winter wiedział, że kłamie. W ciągu tych dwudziestu lat

nauczył się to rozpoznawać. Nabył umiejętność dostrzegania kłamstwa.

– Rozmawialiśmy ze sprzątaczką. Nic nie widziała. Ani dzień, ani kilka dni przed. Poza tym nie sprzątała tego pokoju przez ostatnie dwie doby.

Salko wzruszył ramionami trzeci raz.

– W końcu był pusty. W czym problem?

– Nie przeprowadza się... no... jakiejś inspekcji? Nie chodzi się po pokojach codziennie? Na przykład wieczorem?

– Nie.

– Nie sprząta się pokoiów codziennie? Przynajmniej wtedy, gdy ktoś w nich mieszka?

– To zależy od gościa. Jest taka tabliczka, którą można powiesić na klamce.

– Nie sprzątać.

– Nie przeszkadzać.

– To nie to samo – zauważył Winter. – Nie rozumiem, jak obsługa hotelu może mieć gdzieś sprzątanie. – Salko dostrzegł subtelny zmianę w jego głosie. Jeśli myślał o tym, żeby wzruszyć ramionami, to pewnie w ostatniej chwili zrezygnował.

– Rozumie pan, co to może znaczyć? – spytał Winter. –

Rozumie pan?

Nina Lorrinder była o pół głowy wyższa od Anety.

O pół głowy przewyższała też Paulę Ney.

Było piętnaście po piątej, właśnie otworzono pub przy Västra Hamngatan. Nazywał się Bishops Arms i był jedyną namiastką Londynu w Göteborgu. Aneta kiedyś już tam była. Któregoś wieczoru przysła z Fredrikiem. Po półgodzinie zjawili się Bertil i Erik. Erik zamówił dla każdego po kuflu świeżo sprowadzonego ale. Pierwszy raz piła to piwo. I ostatni.

Wykręciłaby kuchenną ścierkę i miałaaby tańszy napój o podobnym smaku i zapachu.

– Aaaachchchch! – westchnął Erik, kiedy wypił do dna. –

Jeszcze jedno!

Tym razem nie było jeszcze jednego. W ogóle nie było piwa.

Aneta Djanali i Nina Lorrinder piły herbatę.

Nina i Paula zamówiły po lampce wina. Siedziały przy tym stole. Teraz to było jedyne wolne miejsce w lokalu. Jakby wieść zdążyła się już rozejść.

Aneta spytała Ninę, czy chce tam usiąść. Nina skinęła głową.

Makabra, pomyślała Aneta. Ale może to dobrze robi na pamięć.

– Jak długo tu siedziałyście?

– Chyba już odpowiadałam na to pytanie – odparła Nina

Lorrinder, ale nie zabrzmiało to nieuprzejmie.

– Często zadajemy te same pytania wiele razy.

Czasem dlatego, że jesteśmy stuknięci, pomyślała, a czasem dlatego, że za każdym razem otrzymujemy inną odpowiedź.

Nina podniosła filiżankę, ale nie napiła się. Postawiła ją

z powrotem na stole. Spojrzała na drzwi, jakby za chwilę miała wejść Paula. Potem na Anetę, jakby Paula usiadła na jej miejscu.

Zaczęła płakać.

Filizanka trzęsła jej się w ręce.

– Idziemy gdzie indziej – powiedziała Aneta.

We francuskiej kawiarni na końcu ulicy Aneta powtórzyła pytanie.

– Mniej więcej godzinę.

– O której się rozstałyście?

– Około dziesiątej.

– Na zewnątrz?

– Odprowadziłam ją do Grönsakstorget. Tam miała wsiąść do tramwaju. Ósemki. – Za oknem ze zgrzytem przejechał tramwaj. Nina aż podskoczyła. Miał otwarte drzwi. – Było bardzo ciepło. Babie lato. Ale o tym już wiecie.

– Czekala pani, aż wsiądzie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Przyjechał mój tramwaj. Trójka.

– Dlaczego nie wsiadłyście na przystanku obok katedry?

– Noo... chcieliśmy się przespacerować.

– A więc wsiadła pani do trójki, a Paula czekała na ósemkę.

– Tak. – Nina Lorrinder wyglądała bardzo blado w mdłym

światle, w mieszaninie blasku kawiarnianych żarówek
i jesiennego słońca. – Źle zrobiłam? Powinnam była tam
zostać?

Aneta zobaczyła łzy w jej oczach. Nina przetarła oczy. Kiedy
odsunęła rękę, Aneta zobaczyła ślady łez. Nina pociągnęła
nosem.

– Myślę o tym. Prawie cały czas. Gdybym nie pojechała, może
by do tego nie doszło. Rozumie pani? Gdybym tylko tam
została.

– Nie ma pani powodu się obwiniać – powiedziała Aneta.

– Skąd mogłam wiedzieć? Skąd ktokolwiek mógł wiedzieć?

Aneta podniosła filiżankę i napiła się świeżo zamówionej
herbaty. Chociaż akurat w tamtej chwili miała ochotę na
lampkę wina. Albo na whisky. Nina Lorrinder robiła wrażenie,
jakby też miała ochotę na whisky. Mogłyby pójść na chwilę do
baru. Aneta pomyślała, że postawi jej kolejkę. Za to, że musiała
uderzyć w strunę wspomnień i rozdrapać jeszcze niezagojone
rany.

– Nikt z nas nie mógł wiedzieć – odparła Aneta.

– Jak to się mogło stać? – spytała Nina i popatrzyła na Anetę,
jakby Aneta znała odpowiedź. – Dlaczego?

– Właśnie próbujemy się dowiedzieć.

– Jest to możliwe? – spytała Nina, wyciągając przed siebie
rękę. Jakby odruchowo. – Jak można się dowiedzieć?

Co miała powiedzieć? Są setki odpowiedzi, ale pewnie żadna nie jest dobra. Są też setki pytań.

– Między innymi rozmawiając ze wszystkimi, których znała – odparła w końcu Aneta. – A więc robiąc to, co właśnie robimy.

Pani i ja.

– Nie miała wielu znajomych – powiedziała Nina. Aneta milczała. Postanowiła czekać. – Nie była do końca... że tak to ujmę... typem towarzyskim. – Znow zrobiła ten ruch, jakby chciała uzupełnić wypowiedź. – Wolą stać z boku. Rozumie pani? Nie chciała mieć zbyt wielu znajomych. Nie zależało jej na byciu duszą towarzystwa.

– Więc co chciała robić w życiu? Co wolą robić?

– Nie wiem...

– Nigdy o tym nie rozmawiałyście?

Nina nie odpowiedziała od razu. Aneta pozwoliła jej pomyśleć.

Właśnie to Nina zdawała się robić.

– Chciała gdzieś wyjechać – powiedziała.

– Gdzie?

– Gdzie? Gdzie chciała wyjechać? Jeśli ma pani na myśli

konkretne miejsce, jakiś kraj, to nigdy o tym nie mówiła.

– Ale wie pani na pewno, że chciała wyjechać, tak?

– Tak... Trudno to wytłumaczyć... Czasami wydawało się, że

już jest gdzie indziej. Była jakby nieobecna. Niby siedziała

obok, a jednocześnie była gdzie indziej. Tam, gdzie wolałaby

być.

– I nigdy o tym nie mówiła? Nie wspominała, gdzie chciałyby mieszkać?

– Nie wiem nawet, czy chodziło o jakieś konkretne miejsce – odparła Nina. – Nie wiem, czy ona sama wiedziała.

Do kawiarni weszła młoda kobieta. Rozejrzała się za wolnym stolikiem. Było ich wiele. Zostawiła długi szal na stoliku przy ścianie, wyszła na ulicę i przytrzymała drzwi młodemu mężczyźnie z wózkiem. Mężczyzna wprowadził wózek i stanął przy stoliku. W wózku spało dwuletnie dziecko. Mężczyzna usiadł i ściągnął przyciemniane okulary. Zamrugał kilka razy, żeby przyzwycząić wzrok do słabszego światła.

– Opowiadała o kimś? – spytała Aneta, pochylając się do przodu. – Czy w jej życiu był jakiś mężczyzna? Albo kobieta? – Nina Lorrinder się wzdrygnęła. – To jedno z pytań, które musimy zadać – wyjaśniła Aneta. – Taka jest procedura czy jak to nazwać.

– Nazywacie to procedurą? – Nina wyglądała na wzburzoną.

Patrzyła Anecie prosto w oczy. – Jak można coś takiego nazywać procedurą?

– Zgadzam się, to złe słowo.

– Robi to pani codziennie? Codziennie macie do czynienia z mor... morderstwami?

– Nie, nie.

– Co za robota! – podsumowała Nina Lorrinder.

Aneta milczała.

Nina spojrzała na stolik pod ścianą. Kobieta właśnie położyła na nim tacę i usiadła. Mężczyzna rozstawiał talerze. Dziecko spało.

– Nie była lesbijką, jeśli to ma pani na myśli – powiedziała Nina, wciąż patrząc na młodą rodzinę. – Ja też nią nie jestem.

– Nic nie mam na myśli – odparła Aneta. – Akurat teraz w ogóle nic nie mam na myśli.

– Taka jest procedura, co?

Znów odwróciła wzrok. Aneta na darmo próbowała wypatrzeć na jej twarzy uśmiech.

– Ma pani dość? – spytała. – Kończymy?

– Był pewien chłopak – zaczęła Nina.

Znów spojrzała na parę pod ścianą. Dziecko się obudziło i matka właśnie podniosła je z wózka. Wyglądało na to, że to chłopczyk. Miał na sobie niebieski kombinezon. Matka go pocałowała. Ojciec nalewał wody do szklanki.

– Miała chłopaka? – spytała Aneta.

– Nie teraz – odparła Nina, odwracając się w jej stronę. –

Z tego, co wiem. Ale to było jakiś czas temu.

– Kto to był?

– Nie wiem.

– Nie poznała go pani?

- Nie.
- To jak się pani o nim dowiedziała?
- Od Pauli.
- Co mówiła?
- Nie powiedziała, że ma chłopaka. Nie o n a... Przyznawanie się do czegoś takiego nie było do niej podobne. Ale to właśnie wywnioskowałam. Rozumie pani? Chodzi o szczegóły, które przyciągają uwagę kumpeli. Bo nagle coś się zmienia. Na przykład nie spotykałyśmy się już tak często jak kiedyś. W weekendy, kiedy mogłyśmy razem gdzieś pójść, była zajęta czym innym. Gdzieś wyjeżdżała.
- Wyjeżdżała?
- Tak. Na przykład.
- To tylko przykład czy rzeczywiście wyjeżdżała? Z tego, co pani wie.
- Chodzi pani o zagranicę?
- Gdziekolwiek.
- Właściwie nie wiem. Ale pamiętam, jak przez tydzień kilka razy próbowałam się z nią skontaktować. Chyba była poza domem.
- Kiedy to było?
- Kilka miesięcy temu. Może trzy – odparła Nina i znów zrobiła ten nieco spazmatyczny ruch ręką. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem – odparła Aneta. – Nigdy nie wiadomo. Ale

chciałabym, żeby pani spróbowała sobie przypomnieć, kiedy dokładnie to było.

– Spróbuję.

– Czy to, że wyjechała z miasta, było czymś nadzwyczajnym?

– ciągnęła Aneta.

– Nie wiem, czy na pewno wtedy wyjechała. Jeśli tak, to... na tyle, na ile ją znałam... było to raczej coś... wyjątkowego.

– Nie rozmawialiście o tym?

– Nie. Nigdy nie poruszyliśmy tego tematu.

– Nie wyjeżdżaliście nigdzie razem?

– Za granicę?

– Gdziekolwiek.

– Nie. Jeśli nie ma pani na myśli podróżowania tramwajami.

– Akurat teraz nie mam – odparła Aneta.

– Spotykaliśmy się tutaj, na mieście. Ale nie widywaaliśmy się za często. Nawet nie raz w tygodniu.

– Jak się poznaliście?

Nina ruchem głowy wskazała okno. Aneta podążyła za jej spojrzeniem, za siedzącą obok młodą rodzinę. Zobaczyła ulicę, przejeżdżający tramwaj, przechodzących ludzi. I fasadę katedry.

– Poznałyśmy się w kościele – powiedziała Nina i znów kiwnęła głową w stronę okna.

– W kościele? – powtórzyła Aneta. – Ma pani na myśli

katedrę?

– Tak.

– Proszę opowiedzieć.

– Nie ma za wiele do opowiadania. Czasami tam chodziłam...

żeby po prostu chwilę posiedzieć i... pomyśleć. Taka

popołudniowa modlitwa. Tak... – Wciąż patrzyła na kościół.

Jego fasadę prawie w całości zasłaniały rosnące wokół drzewa.

– Wciąż czasami tam chodzę. – Spojrzała na Anetę. – Czuję się

tam bezpiecznie, w pewnym sensie. Nie, nie wiem, jak to

określić.

– Dobrze się pani tam czuje – podpowiedziała Aneta.

– Tak.

– I poznała tam pani Paulę.

– Tak.

– Jak to było?

Nina jakby się uśmiechnęła.

– No, kościół raczej nie jest miejscem, w którym się poznaje...

nowych przyjaciół. To było przed kościołem. Kilka razy

zwróciliśmy na siebie uwagę... więc w końcu postanowiliśmy

pójść na kawę. Chyba tak to było. Nie pamiętam dokładnie.

– Kiedy to było? – spytała Aneta.

– Kiedy poszliśmy na kawę?

– Kiedy rozmawialiście po raz pierwszy.

– No... to było... kilka lat temu.

– Czy Paula była samotna?

– Tak.

– Zawsze?

Nina skinęła głową. Ona też żyła samotnie. Wciąż tak żyje.

Aneta wyczytała to z jej oczu. Nie chodzi się do kościoła w większym gronie. Tam się szuka wspólnoty. Znów wyjrzała przez okno. Drzewa otaczające katedrę kołysały się, jakby zataczały wokół niej krąg.

Młodzi rodzice zdjęli synkowi kombinezon. Miał na sobie podkoszulek z napisem, którego Aneta nie mogła odczytać.

Wiercił się na kolanach taty, w jedną i drugą stronę, do przodu i do tyłu, jakby chciał wyjść na zewnątrz. Ojciec wstał i podniósł go wysoko, pod sufit. Chłopiec zaśmiał się głośno. Jego śmiech rozniósł się po kawiarni jak wiązka światła. Tu jest jak w nocy, pomyślała Aneta. Chłopiec na chwilę zmienił tę mroczną atmosferę.

– Opowiadała kiedykolwiek o Włoszech? – spytała po chwili.

Nina też obserwowała tę zabawę. Aneta zobaczyła na jej twarzy blady uśmiech. Ciężko było się powstrzymać. Aneta też się uśmiechnęła.

– O Włoszech? Nie. Dlaczego pani pyta?

– Nie mówiła o ojcu? Że pochodzi z Włoch? Z Sycylii? Albo że była tam?

- Była na Sycylii?
- Nie wiemy. Możliwe, że tak.
- Kiedy?
- Dziesięć lat temu.
- Nie. Nigdy o tym nie wspominała.
- A o tacie opowiadała?
- Że stamtąd pochodzi?
- W ogóle.
- No... raz. Ale to nie było nic szczególnego...

Znów patrzyła gdzie indziej, gdzieś obok kościoła. Aneta nie pamiętała, kiedy ostatni raz przyglądała się katedrze tak długo.

- Jakie mieli relacje?
- Myślę, że dobre.
- Tylko dobre?
- Dlaczego pani pyta?
- Zawsze próbujemy poznać... stosunki rodzinne.

Nie zabrzmiało to dobrze. Niezgrabne wyrażenie. Wszystkie takie tematy są trudne.

- Procedury, prawda?
- Często spotykała się z rodzicami?
- Nie wiem.
- Często o nich mówiła?
- Nie odpowiadałam już na to pytanie?
- A o mamie opowiadała?

– Chyba tak. Czasami.

– Ale zauważyła pani, że mogli... że mogły być jakieś problemy?

– Problemy?

– Między nimi. Między rodzicami. Albo między Paulą a którymś z rodziców.

Nina potrząsnęła głową.

...a jeśli was rozgniewałam, to proszę o wybaczenie...

Ostatnie słowa Pauli. Wina. I wybaczenie. Anetę przeszywał dreszcz za każdym razem, kiedy czytała list Pauli do rodziców.

To było coś więcej niż dreszcz – było jak lodowaty wiatr atakujący ciepłe powietrze.

WINTER PRZESZEDŁ Z POKOJU DO POKOJU i otworzył okna. W mieszkaniu było gorąco. Bardziej niż kiedykolwiek. W powietrzu unosił się kurz. Jednym słowem: zaduch. Wietrzenie trwałoby całe godziny, bo ostatnio również wieczory były ciepłe jak nigdy. Mimo to pootwierał okna. Dzięki temu powietrze się trochę ruszyło. Nabrało zapachu późnego popołudnia. Babie lato przyniosło kilka zapachów jesieni. To wystarczyło, żeby toksyczne aromaty ulicy osłabły. Nie żeby Winter miał z nimi problem. Znał je od dawna, żył w nich na co dzień, a kiedy nie mógł wytrzymać, zapalał corpsa. Tak właśnie zrobił. O dawna palił najdroższe europejskie cygara. Dobry nałóg. I higieniczny. Długie i cienkie cygara wyjmuje się z opakowań samemu. Od kilku lat dostawał je na specjalne zamówienie z Brukseli. Najprawdopodobniej był jedynym w mieście wielbicielem tej marki. Dzięki temu stawała się ekskluzywna, chociaż właściwie na to nie zasługiwała. Stał na balkonie. Zaciągał się, wypuszczał dym i czekał, aż woń cygara zmiesza się z innymi zapachami. Po parkingu na dole krążył jeep. Szukał wolnego miejsca. W zasadzie potrzebował dwóch. Winter dostrzegł za kierownicą kobietę o blond włosach. Wystawiła głowę przez otwarte okno. Chrysler wyglądał jak wóz pancerny. Koła jak od traktora. Idealny dla rodziny, pomyślał. Idealny do tego miasta. Miejskie jeepy.

Smart for one, dumb for all, jak powiedział kiedyś jego szkocki

kolega Steve MacDonald. Dobry dla jednego, kretyński dla wszystkich.

Zadzwonił telefon. Zostawił w popielniczce do połowy wypalonego ciała i poszedł odebrać.

– Obstawiałam, że cię zastanę – powiedziała Angela.

– Wróciłem piętnaście minut temu.

– I paliłeś na balkonie, kiedy zadzwoniłam, prawda?

– Nie.

– Kłamiesz.

– Tak.

– Żyją jeszcze nasze kwiatki?

– Pierwsze, co zrobiłem, to wpuściłem im trochę tlenu.

– Gorąco?

– Rekordowy upał.

– Więc u nas czy u ciebie... nie ma różnicy.

– Ale tutaj czuć już jesień – powiedział Winter. – Wcześniej rano i późno wieczorem.

– Brakuje mi tego.

– Będzie ją czuć jeszcze bardziej, kiedy wrócicie.

– *À propos*, byłam w klinice – powiedziała Angela.

– I?

– Zaczynam.

– Od kiedy?

– Od pierwszego grudnia. Może do pierwszego maja.

– Może?

– Dla nich sprawa jest otwarta, Eriku. Zaproponowali rok. Ale tego chyba nie chcemy, prawda?

– Nie.

– Pytanie brzmi: czego w ogóle chcemy? Czy to dobry pomysł?

– Tak.

– To wszystko, co masz do powiedzenia.

– Już wyraziłem entuzjazm, Angelo. To dobry pomysł. Życie od grudnia do maja w umiarkowanym klimacie to cholernie dobry pomysł. W tym okresie to Göteborg jest złym pomysłem.

– I mówi to ten, który zawsze był lokalnym patriotą.

– Nie kiedy chodziło o zimę w tym mieście.

– Chyba rozumiem.

– Kiedy będziesz taka stara jak ja, zrozumiesz jeszcze lepiej.

To się czuje w kościach. Wiatr, deszcz. Z każdym rokiem będzie coraz gorzej.

– Więc chodzi tylko o pogodę?

Nie. Nie chodziło tylko o pogodę. Chodziło również o życie.

Potrzebował urlopu dłuższego niż miesiąc, żeby móc wyznaczyć wyraźną granicę między czasem pracy a czasem dla siebie. To były długie i ciężkie lata. Teraz jego życiem była praca – tak wybrał. Za bardzo się poświęcał – i wiedział o tym. *Smart for all, dumb for one*. Wyświadczał przysługę ludzkości, a dla

siebie i swojej rodziny nie robił nic. Taki już był, ale za bardzo się to odbijało na jego życiu. Taki będzie pewnie zawsze, również wtedy, gdy wróci po pół roku życia w innym kraju. Nie zmieni się przecież o sto osiemdziesiąt stopni. Ale może ta zmiana wyjdzie mu na dobre, może dzięki niej wszystko stanie się bardziej znośne. Był ciekaw, co się zmieni. Jak będzie myślał. Może klarowniej. Może mętniej. Nie. Może jego wyobraźnia będzie działać inaczej. Wierzył, że lepiej. Że będzie mógł widzieć dalej.

– Chodzi o coś więcej – odparł. – Dobrze o tym wiesz, Angelo.

– Tak, wiem.

– Więc co masz na myśli? Przecież będziesz pracowała.

– Będę, tak czy owak.

– No więc o co chodzi? Byłaś już w klinice.

– Możesz dostać urlop, Eriku?

– Odpowiadasz pytaniem na pytanie. Ale tak, mogę dostać urlop. Rozmawiałem już z Birgerssonem.

– Nie wyrzucił cię z gabinetu?

– Ostatnio zaczął być miły. To jego ostatni rok. Stał się ojcem, którym nigdy nie był.

– To znaczy?

– Zaczął się nami opiekować.

– Dlatego pozwala ci wziąć pół roku wolnego?

– Powiedział, że sam miał mi to zaproponować.

– I ty w to wierzysz?

Owszem, dawał temu wiarę. Gdyby to było kilka lat temu, jego pozycja nie pozwoliłaby mu na to. Ale ostatnimi czasy pozycję odłożył na bok. Zauważył, że do jego życia wkrada się zmęczenie. Wcześniej tego nie czuł. Nie chodziło o rodzinę ani o małe dzieci. Po części oczywiście też, ale problem tkwił przede wszystkim w nim, w jego sposobie motywowania się do pracy. Spał niewiele. Przesiadywał nad laptopem do późna, bo wtedy było cicho i mógł się skupić.

– Naprawdę możesz przerwać w połowie, Eriku? Kiedyś nie potrafiłeś tego zrobić. To było to, co... – Angela nagle przerwała.

– Wiem – odparł.

– Więc jak będzie tym razem? Jeśli zacznę pracować od grudnia, musisz tu być. Twoja mama może da sobie radę sama z dziećmi przez parę dni, ale nie cały tydzień.

– Hm...

– Rozedma nie będzie jej dokuczać mniej, że tak to ujmę.

– Ale chyba rzuciła palenie, prawda?

– Nie rób z siebie większego głupka, niż jesteś, Eriku. To właśnie największy problem z wami, palaczami. Kreujecie się tylko na większych idiotów. Chociaż od początku nimi jesteście.

– Nigdy nie wciągam dymu do płuc.

– Tak jak powiedziałam: głupszy niż w rzeczywistości.

Winter rzucił palenie, ale potem znów zaczął. Birgersson rzucił i tak już zostało. Winter go podziwiał. Facet był nałogowym palaczem, w dorosłym wieku ćmił papierosy bez filtra. Postanowił rzucić, zanim przyjdzie na niego czas. Ale wciągał dym do płuc. Może dlatego teraz jest taki łagodny.

– Zajmujesz się przecież sprawą morderstwa tej kobiety – ciągnęła Angela. – Prowadzisz to śledztwo, prawda? Chyba już teraz ktoś powinien je przejąć.

Oczywiście opowiedział jej o tym. Zresztą codziennie czytała u jego matki „Göteborgs-Posten” z poprzedniego dnia.

Wprawnemu czytelnikowi niewiele umyka. Sam kilka razy wypowiedział się w tej sprawie na łamach.

Nie ujawnił szczegółów. Ani czytelnikom, ani Angeli.

Ona założyła, że sprawa nie zostanie rozwiązana przed jego wyjazdem.

Wrzesień, październik, listopad. Prawie trzy miesiące.

Nagle pomyślał o Ellen Börge. Zobaczył jej twarz.

Osiemnaście lat. Nadal nie wiedzieli więcej niż przed osiemnastu laty. Dwieście szesnaście miesięcy. Zajmujesz się przecież sprawą morderstwa tej kobiety, powiedziała Angela.

Jakiego morderstwa? Jakiej kobiety? Nie mógł zapomnieć

o Ellen. Mimo woli widział jej twarz, kiedy patrzył na Paulę.

Wiedział, że wciąż zajmuje się Ellen, że może zawsze to robił i że to również dlatego tak się wysilał i angażował. To była

jedna z przyczyn niepowodzenia. Rozmiarów niepowodzenia.

Popełnił wtedy błąd. Gdyby tylko wiedział jaki. Gdyby tylko to zrozumiał i zapamiętał, zanim wyjedzie. Zanim jego twarz ujrzy słońce.

– Rozwiążemy tę sprawę – odparł po chwili ciszy między

Vasastan a Nueva Andalucia.

– Jesteś tego pewien tak bardzo, jak pewnie to brzmiało?

– Nie. Tak.

– Boże!

– Robimy tak, jak ustaliliśmy.

– Czyli jak, Eriku? Za cztery dni wracam z dziewczynkami do domu. Wtedy musimy podjąć decyzję. Właściwie za dwa dni.

Do tego czasu chcę usłyszeć odpowiedź.

– Już zdecydowaliśmy – odparł.

Słońce zachodziło szybciej niż kiedykolwiek. Zaczął marznąć.

Marynarka została w gabinecie. Jeszcze kilka godzin temu było prawie dwadzieścia stopni, a wieczorem wrócił jesienny chłód.

Przemknął przez Drottningtorget. Tuż obok wiatr poniosł w kierunku kanału najświeższe wydanie gazety. A może z poprzedniego dnia. W kolumnie, której nie sposób było odczytać, zdołał dostrzec tylko litery B i S. Gazeta pofrunęła dalej, jak na spotkanie z czytelnikiem.

Doszedł do Dworca Centralnego. Z głośników popłynął komunikat, którego nie zrozumiał. Ci, którzy siedzą przy

mikrofonie, muszą chyba chodzić do jakiejś specjalnej szkoły, pomyślał. Szkoły złej dykcji. Kierowcy autobusów i tramwajów, spikerzy z dworców kolejowych. Uczą się mówić tak długo, aż nie sposób ich zrozumieć. Jeśli choć jedna osoba zrozumie, powtarzają od nowa.

Skręcił w lewo i poczuł ból w kostce. Miał na niej dużego siniaka. Trochę kuśtykał.

Halders sfaulował go poprzedniego popołudnia, kiedy grali w piłkę nożną. To był trening sezonu. Facet musiał nosić w pamięci tamten incydent. Od chwili kiedy Winter klepnął go lekko w drzwiach do wydziału, minął miesiąc, ale Halders był pamiętliwy. Najechał mu korkami na stopę, po czym jak włoski obrońca zrobił minę niewiniątka. Jak on się nazywał? Ten łamacz puszczeli z reprezentacji Włoch? Gentile. Claudio Gentile – człowiek, który na boisku zostawiał inwalidów. I swój niewinny wyraz twarzy po brutalnym napadzie. Nosił wymowne nazwisko. Gentile – miły, hojny. Rozdawał kopy na lewo i prawo. Podobnie jak Halders. On też robił to z wdziękiem najmilszego ze wszystkich graczy.

– Skręciłeś nogę? – spytał.

Winter się podniósł, ale ciężko mu było stać. Widział, jak Ringmar kiwa głową.

– Jesteśmy kwita? – spytał Winter.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Halders.

Winter przypomniał sobie jego kamienną twarz, kiedy mijał szafki w szatni. Dadzą radę współpracować? Czy Halders w ogóle wie, co to współpraca?

Zszedł z drogi wielodzietnej rodzinie. Wylegli z przechowalni z o głowę wyższymi od siebie plecakami. Wszyscy byli do siebie podobni i byli podobnie ubrani. Głośniki znów zatrzeszczały i rodzina puściła się biegiem. Pociąg właśnie odjeżdżał – do Kiruny, Konstantynopola, Krakowa.

Może Ellen Børge była w drodze dokądś. A może w ogóle nigdzie nie mogła już pojechać.

Wszedł do informacji. Znajdowała się w najmniejszym pomieszczeniu na dworcu, specjalnie wydzielonym dla tysięcy podróżnych, którzy tu przychodzili. Możliwa była w tym jakaś logika, ale Winter nigdy jej nie dostrzegł. Sam wiele razy przed podróżą godzinami stał w kolejce, żeby zasięgnąć informacji niezbędnej do tego, żeby móc się ustawić w następnej kolejce i kupić bilet. Czyste Włochy, faszystowski korporacjonizm.

Dlatego uznał za stosowne kupić mercedesa. Tym samym skończył ze staniem w kolejkach.

Ruszył w stronę biurka. Kiedy się przedzierał między ludźmi, usłyszał pomruki.

– Tu jest kolejka – powiedział ktoś.

No to fajnie macie, pomyślał. Tylko Halders mógłby to powiedzieć.

Kobieta siedząca za biurkiem rozpoznała go i skłoniła głowę.

Ręką, w której trzymała mapę, wskazała drzwi za sobą. Przed nią stał mężczyzna w ciemnych okularach i skórzanej kamizelce. Mruknął coś, ale Winter nie dosłyszał.

W pokoju za drzwiami inna kobieta pochylała się nad zawalonym papierami biurkiem. Podniosła wzrok, kiedy wszedł. Do wiszącej za nią tablicy przyczepiono mnóstwo karteczek. Tworzyły kilka warstw. Może w tym też była jakaś logika. Pokój był bardzo mały, bez okna.

Przedstawił się i pokazał legitymację. Kobieta mogła być z dziesięć lat starsza od niego. Spojrzała na legitymację, a po chwili na niego, z takim wyrazem twarzy, jakby nie wierzyła w to, co widzi. Spotykał się już z taką reakcją. Wyglądał za młodo. Ale ten problem miał w przyszłości zniknąć.

– Proszę usiąść – powiedziała.

Spróbował to zrobić, ale nie dał rady – miał za mało miejsca.

W dodatku bolała go stopa. Gdy siadał, czuł, że rwie mocniej.

– Dziękuję, postoję.

– Chodzi o podróżnego? – spytała. Winter pokazał jej zdjęcie.

Przyglądała się Ellen Børge dokładnie tak jak przed chwilą jemu. Potem spojrzała na niego. – Więc chodzi o to, żebym ją rozpoznała? – Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. – Wygląda jak wiele innych osób. – Winter milczał. Pozwolił jej przyjrzeć się lepiej. – W każdym razie nie poznaję jej. Chodzi o to, że tu

była?

Chodzi i chodzi. Sam nie wiedział, o co chodzi. Chciał się tylko dowiedzieć, czy Ellen Børge była na dworcu. Czy ktoś ją widział. Jeśli była, to jest nadzieja, że żyje. W takim wypadku nie należałoby porzucać tej nadziei. „Wy, którzy tu wchodzicie”.

Pomyślał o kościele, krzyżu i grobie.

– O to chodzi? – powtórzyła kobieta.

Miał ochotę odpowiedzieć krótko: tak.

– Chcemy się tylko dowiedzieć, czy stąd wyjechała – odparł. –

Ponieważ zaginęła. A my jej szukamy.

– Ale ja jej nie poznaję – odpowiedziała kobieta. – Kiedy zaginęła?

Winter podał przybliżoną datę.

– Ale mogła tu być później – dodał.

– Najpierw się ukrywa, a później wyjeżdża? – spytała kobieta.

Winter wzruszył ramionami. – Więc co mogę zrobić?

– Pokazać zdjęcie współpracownikom.

– Jest nas tylko troje.

– To proszę im je pokazać. Zrobiliśmy odbitki dla wszystkich pracowników dworca.

– To chyba niewiele czasu wam to zajęło – powiedziała z grymasem na twarzy. – Wydaje mi się, że oprócz nas niewiele osób tu pracuje. Wszyscy ciągną tutaj. – Wskazała na drzwi za Winterem. – Widział pan kolejki? Wszyscy przychodzą do nas.

– Więc może ona też tu była – powiedział Winter i kiwnął głową w stronę zdjęcia, które kobieta wciąż trzymała w ręce.

Spojrzała na Ellen jeszcze raz.

– Mogła od początku wiedzieć, gdzie chce jechać – odparła i znów spojrzała na Wintera.

Znów siedział w tym idealnym mieszkaniu. Nic się nie zmieniło, może nigdy się nie zmieniało. Christer Børge usiadł naprzeciwko. Był ubrany tak samo jak ostatnio. Balkon był otwarty. Czuć było zapach jesieni, popołudniowego słońca i czegoś jeszcze, czegoś, czego Winter nie rozpoznał. Ale wyraz twarzy Børgego rozszyfrował. Kiedy otworzył drzwi, wyglądał na rozczarowanego. Wiedział, że Winter przyjdzie, ale zdawał się czekać na kogoś innego. Winter starał się to rozumieć.

Børge żył nadzieją. I chyba niczym innym. Zmarniał i schudł od czasu, kiedy się spotkali pierwszy raz. Nie tak dawno temu. Ale Børge pewnie czuł się tak, jakby minęły lata. Dużo kolejnych babich lat.

– Musieliście chyba znaleźć jakieś ślady – powiedział.

– Jeśli mam być szczery, żadnych – odparł Winter.

– A dlaczego nie miałby pan być szczery? – odparł Børge, ale Winter nie dopatrywał się na jego twarzy uśmiechu. Ani nawet jego cienia. – Więc chodzi o to, żeby policjanci byli szczerzy?

Znów o coś chodzi. Pomyślał, że to słowo go prześladowuje. I o to chyba chodziło. Jakby wszystko było z góry ustalone, jakby

wszystko się powtarzało. Może za dwadzieścia lat znów będę tu siedział. Z Ellen, Christerem i czworgiem ich dzieci. Może ona nigdy nie wróci. Może ja będę miał dziecko, rodzinę. Czy to możliwe? Nie. Tak. Nie.

– Więc ludzie po prostu znikają? – ciągnął Börge. – Co to za pieprzony kraj, w którym giną ludzie? – Nie podniósł głosu. To było dziwne. Użył słów, które wymagają mocniejszego tonu, a wypowiedział je tak, jakby prosił Wintera o podanie śmietanki do kawy. – To jak... jak w... – mówił dalej, ale nie wiedział, co chce powiedzieć. W Urugwaju, pomyślał Winter. Albo w Argentynie, albo w Chile. – Lepiej, żeby pan już tu nie przychodził – ciągnął Börge. – Nie rozumiem, dlaczego nie możecie zadać pytań przez telefon. – Spojrzał na niego. – Więc proszę o pytania. – Tym razem też się nie uśmiechnął.

– Jak się czuła pańska żona w ciągu kilku dni przed zniknięciem?

– Już pan o to pytał. – Börge wskazał na notatnik, który Winter trzymał w ręce i w którym nic jeszcze nie napisał. – Proszę sprawdzić w zapiskach. Sam się pan przekona, że już pan o to pytał.

Żadnego uśmiechu, zwykła sugestia. Ciągle wiercił się na sofie. Drobne ruchy. Przypominały tiki, ale wynikały raczej z ogólnego niepokoju. Ja chyba też tak robię, pomyślał Winter.

– Czasami zastanawiamy się nad czymś więcej niż raz.

Współpracujemy. Chcemy się dowiedzieć, co się przydarzyło pańskiej żonie.

– Tak, tak, oczywiście.

Nagle wstał, przeszedł przez pokój i zamknął drzwi balkonowe.

– Robi się zimno – powiedział, zwrócony twarzą w stronę ulicy.

– Jak się czuła?

Börge się odwrócił. Winter spojrzał na dachy w tle. Nagle zza małej chmury wyjrzało słońce. Uderzyło światłem z naprzeciwka, rzuciło na twarz Börgego cień. Börge odwrócił głowę i Winter zobaczył jego profil. Ten obraz na długo zachował w pamięci.

Börge usiadł. Słońce świeciło teraz Winterowi prosto w oczy, więc musiał je osłonić ręką.

– Zaciągnąć zasłony? – spytał Börge.

– Nie, nie. Za chwilę zajdzie.

Słońce schowało się za chmurę. Kilka minut później miało zniknąć na dobre.

– Pytał pan o coś.

– O pańską żonę. Czy było coś szcze...

– Ach tak. Chodziło o to, jak się czuła. Czuła się chyba dobrze.

Przez ostatnie dni, prawda? Nooo... wie pan, człowiek nigdy nie czuje się cały czas tak samo. Jednego dnia jest tak, drugiego

siak. Chyba wszyscy tak mają, prawda? Pan chyba też, co? Ja

w każdym razie tak mam.

– Była zmartwiona? Niespokojna?

– Nie bardziej niż... zwykle.

– Co pan ma na myśli?

– O tym też już rozmawialiśmy. Chodzi o dziecko. To mam na myśli.

– Mówiła kiedykolwiek o wyjeździe? – spytał Winter, ale

Børge nie odpowiedział. – O tym, że chce na chwilę wyjechać?

Sama?

– Nie bez walizki – odparł Børge, ale i tym razem się nie uśmiechnął.

– I nigdy nie byliście w hotelu Revy?

– Nie wiedziałem nawet, że jest taki.

– Ale ona wiedziała.

– Mylicie się.

– Nie.

– Ellen nigdy by się nie zameldowała w takim miejscu. Nigdy.

– Znowś spojrzął na Wintera.

Słońce zaszło na dobre. W pokoju momentalnie zrobiło się ciemno. Potrzebowali światła. Winter ledwo widział twarz

Børgego. Z drugiej strony nic się w niej chyba nie zmieniło.

W ogóle wydawało się, że nigdy się nie zmienia.

– Ludzie są do siebie podobni – ciągnął Børge. – Wielu

wygląda mniej więcej podobnie. Każdy naród charakteryzuje się jakimiś cechami. My jesteśmy niebieskookimi blondynami.

Obcym wydajemy się tacy sami. W Afryce jest podobnie.

Afrykanin w afrykańskim hotelu nie rozróżnia Europejczyków, którzy się tam meldują. Tak samo jest w Chinach.

– Ale ją w hotelu rozpoznano – powiedział Winter.

– I jakie to ma znaczenie? Rozpoznał ją jakiś skacowany czy zaspany recepcjonista. Nie daję temu wiary. Pan też nie powinien. – Pochylił się do przodu. Winter zobaczył jego kamienną twarz. Żadnych emocji. – Nie pomyślał pan, że mogło jej nigdy w tym hotelu nie być?

– Owszem.

– No właśnie.

Börge wrócił do wcześniejszej pozycji.

– Więc jakie jest pańskie zdanie? – spytał Winter.

– To znaczy?

– Gdzie według pana może być pańska żona? – Börge nie odpowiedział. – Co się jej przydarzyło?

Na to pytanie też nie odpowiedział. Odwrócił głowę, jakby nagle ktoś krzyknął z ulicy. Niebo nad dachami było mocno błękitne. W tym momencie Winter zapragnął znaleźć się tam, w górze. W niebieskich przestworzach.

– Kocham ją – powiedział Börge. Odwrócił się z powrotem do Wintera. – A ona kocha mnie.

Poczuła na szyi powiew wiatru, jak gdyby ktoś stał tuż za nią i wydychał zimne powietrze.

Odwróciła się. Nikogo nie było. Widziała, jak wiatr targa koronami drzew po drugiej stronie placu zabaw, jakby chciał im powyrywać gałęzie. Dwa, trzy podmuchy zatrzęsły nimi boleśnie. Po chwili wiatr się uspokoił i znów dał się słyszeć śpiew ptaków. I śmiech dwojga huśtających się dzieci. Czekwały, aż przestanie wiać, a potem wdrapały się na huśtawki i wyciągnęły nogi do przodu, jakby sprawdzały, czy wiatr jeszcze wieje albo jaka jest temperatura powietrza. Jednemu spadł but. Dziewczynce. Chłopiec skoczył z huśtawki, podniósł go i trzymając nad głową, powiedział coś, co rozśmieszyło dziewczynkę. Ale jej śmiech zagłuszył wiatr.

Szła dalej, przez park. Ścieżka kończyła się przy osiedlu. Stamtąd, dokładnie sprzed bloku, w którym mieszkała, widać było panoramę miasta. Lubiła ten widok. Lubiła też spacerować w słońcu i patrzeć na wszystko, czego była częścią. I poznawać różnorodność tego miejsca, pagórki i skały. I odkrywać, jak dużo wody jest wokół, nie tylko tej morskiej przy zachodnim wybrzeżu. Słońce właśnie zatoneło w morzu. Dzień był bezchmurny, więc trochę ją zdziwił nagły wiatr. Może zapowiadał zmianę pogody. Jeszcze raz spojrzała w niebo, ale zobaczyła tylko głęboki szafir. Na nic się tam w górze nie zanosilo.

W drodze do drzwi znów poczuła na szyi powiew wiatru.

Odwróciła się i zobaczyła kołyszące się nad garażami korony drzew. Tym razem było to jednak ciche kołysanie, jakby w powolnym rytmie, który nikogo nie zachęca do podrygiwania. Właśnie o rytmie pomyślała, gdy spojrzała na drzewa, czyli o czymś, co człowiek zna, zanim to usłyszy.

Odwróciła się do drzwi i kątem oka zauważyła jakiś ruch. Co to było? Spojrzała w tamtą stronę, ale nic nie dostrzegła. Coś się tam... poruszyło. Coś czarnego albo brązowego.

Nierozpoznawalny ruch. Dlaczego się nim przejęła, skoro go nie widziała?

Jeśli człowiek coś zauważa, od razu reaguje, pomyślała. Nie ma się czym przejmować.

A jednak się przejmowała.

Tam!

Między drzewem a stojakami na rowery znów coś się poruszyło. Jakby się zerwało. Ale to niemożliwe. Idź do domu.

Zaczyna się ściemniać. Może to jakiś ptak. Znów spojrzała w niebo. Ani jednego ptaka. Niebo miało jeszcze bardziej intensywny kolor. Zaczął przechodzić w czerń. Poczowała aromat jesieni, prawdziwy aromat, coś przyjemniejszego i delikatniejszego niż zwykły zapach. Miał w sobie wiele składników.

A potem poczuła zapach tytoniu.

I znów ten ruch!

Za drzewem!

Przestraszyła się. Poczowała, że brakuje jej powietrza. Nie mogła oddychać. Nie chciała patrzeć w prawo. Nie chcę biec. Pójdę tak szybko, jak potrafię. Nagłe rzucanie się do ucieczki to niezbyt dobry pomysł. Dla kogo? Boję się, że się wygłupię?

Słyszała, jak jej buty szurają po żwirze. Do drzwi miała pięć, może siedem metrów. Dobry Boże, chcę tylko usłyszeć, jak się za mną zamykają. Na zawsze. Nie myślała już o oddychaniu.

Chciała krzyczeć. Ale nie było do kogo. Blok wyglądał na opuszczony. W oknach było ciemno. Dlaczego nigdzie się nie świeci? Chwyciła za grubą klamkę, ale miała wrażenie, że trzyma w ręku kamień. Schody były ciemne jak skała. Kod, jaki jest kod? Zapomniałam! Pięć... jeden... nie! Pięć... pięć.

Przejrzała się w podłużnej szybce w drzwiach. Jej twarz wyglądała jak jaśniejszy cień w całkowitym mroku. Pięć... siedem... trz... Zobaczyła za sobą cień! I znów poczuła powiew wiatru. Serce zaczęło jej walić jak młot, rzucać się jak dzikie zwierzę, które chce się wydostać z klatki. Nie odwrócę się. Nie odwracaj się! Wcisnęła guziki domofonu. Wcisnęła, wcisnęła, wcisnęła – pięć, osiem, osiem, pięć!

JESZCZE SIĘ SPOTKAMY. Winter przeczytał te słowa po raz setny. Jeszcze się spotkamy. Temu, kto to napisał, na pewno trzęsła się ręka. Zauważył to teraz, gdy powiedzieli mu o tym technicy.

Jeszcze się spotkamy.

Widział rękę na stole, a raczej odlew ręki, która napisała te diabelskie słowa. Jeśli ktoś chciał je takimi widzieć. Chyba nie było innego wyboru. Paula go raczej nie miała.

„Przed chwilą za oknem przeleciał ptak, a ja niebawem stanę się jak on. Wspomnijcie mnie, kiedy zobaczycie ptaka.

Obojętne jakiego. Myślę o was, teraz i zawsze”.

– Aż chce się płakać – powiedział Ringmar, podnosząc wzrok znad kopii, którą trzymał w ręce.

– To płacz.

– Próbuję. Naprawdę próbuję.

– Jej ostatnie słowa – powiedział Winter.

– Czy właśnie to chciała napisać? – spytał Ringmar.

Winter nie odpowiedział. Właśnie zobaczył przelatującego za oknem ptaka. Nie wiedział jakiego. Nie znał się na ptakach.

– Erik? Jak sądzisz? To jej słowa?

– Kto wie? Poza nią i mordercą?

– Ptak. Czy to symbol?

– Rodzice nie potrafili go odczytać? – powiedział Winter.

– A ty potrafisz?

– Ucieczka – odparł Winter. – Ucieczka, wolność.

– A więc coś, co jest poza zasięgiem – zauważył Ringmar. –

Dla niej to było nieosiągalne.

– Może.

– Co masz na myśli?

– Pisze, że stanie się ptakiem. – Winter podniósł wzrok.

Wcześniej gapił się bezwiednie w blat biurka. – To miała być jej

ucieczka. I wolność.

– Nie ona o tym decydowała – stwierdził Ringmar. Winter nie

odpowiedział. Wyrzwał przez okno, ale nie zobaczył już ptaka.

Było szaro, padał drobny deszcz. Na dobre zaczęła się jesień. –

To nie ona zdecydowała, że będzie siedzieć w tym cholernym

pokoju i pisać o wolności. O miłości. To nie był jej wybór.

– A może był – powiedział Winter.

– Z węzłem na szyi? Nie miała wyboru.

– Na początku może nie – odparł Winter. – Ale stopniowo

przekonywała się coraz bardziej.

– Przekonywała? Była równie przekonana, jak morderca?

Winter nie odpowiedział. Okropne myśli. Tym właśnie się

zajmował: myśleniem o okropnych rzeczach.

– Przekonał ją, że musi umrzeć? Twój czas się kończy, Paula.

Pisz list, żeby o tym zaświadczyć.

Winter wciąż milczał.

– Była tak samo przekonana jak on?

– Kontynuuj – powiedział Winter.

– Wmówił jej, że kiedy umrze, poczuje się lepiej?

– Poczuje się lepiej? – powiedział Winter. – A czuła się źle?

– Spróbujmy od tego wyjść. Nie była zadowolona z życia.

Chciała odejść, robić coś innego, latać. Może pragnęła innej wolności. Może chciała stać się kimś innym.

– Możesz powtórzyć? – powiedział Winter.

– Spróbujmy od...

– Nie, ostatnie zdanie.

– Chciała się stać kimś innym.

– Tak. O to właśnie chodzi. Chciała się stać kimś innym.

Chciała się przeobrazić w kogoś innego.

– Niech to szlag, Erik.

– Chciała odlecieć, zniknąć. On jej w tym pomógł.

– I kim się stała? – spytał Ringmar. – Kim miała się stać?

– Częścią niego – odparł Winter i od razu powtórzył: –

Częścią niego.

Ringmar się nie odezwał. Zastanawiał się nad tym, co powiedział Winter. Wiedział, że tak wygląda ich praca, że słowa mogą znaczyć wiele albo nie znaczyć nic. Żywił nadzieję, że te ostatnie nic nie znaczą. Że Winter się myli. Ale jeśli choćby częściowo miał rację, byli dopiero na początku drogi.

– Kim on jest? – spytał Ringmar. – Kapłanem?

Nieźrównoważonym kapłanem? Pieprzonym czarnym

aniołem? Posłańcem? – Nagle kichnął, jakby miał uczulenie na duchownych. – To co? Odwiedzamy zgromadzenia?

– Nie wiem.

– Jak to? Przecież sam wszedłeś na tę ścieżkę?!

– Nie myślałem za bardzo o nim – odparł Winter. – Myślałem o niej.

– Ale z tego, co wiemy, nie była głęboko wierząca – powiedział Ringmar. Wyjął chusteczkę i wytarł nos. – Kilka razy poszła z przyjaciółką do kościoła, ale tylko po to, żeby się wyciszyć.

– Są różne rodzaje...

– Religijności?

– Tak. Religijność nie musi mieć nic wspólnego z Bogiem.

– A czy w ogóle cokolwiek ma z nim coś wspólnego?

– To znaczy?

– Czy Bóg istnieje? – spytał Ringmar.

– Sądzę, że musimy się napić kawy – odparł Winter.

Po południu Winter spotkał się z Birgerssonem. Szef jak zwykle stał przy do połowy otwartym oknie. Wpadające przez nie światło tylko nieznacznie poprawiało widoczność. Kiedyś Birgersson stał tam i patrzył, jak dym z papierosa wymyka się na zewnątrz i płynie w stronę Ullevi. Teraz, chociaż rzucił palenie, wciąż lubił tam stać. Było w tym staniu coś z fantomu. Birgersson trzymał w ręku niewidzialnego papierosa. Sam był

szefem, którego już nie ma. Jeszcze rok i jego stanowisko miał przejąć Winter. Tak naprawdę już je przejął. Nie nastąpi już żadna zmiana – oprócz czysto formalnej. Winter nie zamierzał się przenieść do tego pokoju. Po latach palenia przez Birgerssona papierosów nie odkaziłby go nawet cyjanowodór. Dym zagnieździł się w ścianach. Niezdrowo byłoby tu siedzieć. Papierosy nie są tak zdrowe jak cygara.

– Możesz zapalić, Erik – powiedział Birgersson, wciąż stojąc przy oknie. – Wiesz o tym.

– To nie byłoby stosowne. Nie w tym pokoju – odparł Winter.

– Dobrze wiesz, jakie jest moje zdanie, Sture.

Birgersson wybuchnął śmiechem. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś rozsypał po pokoju łopatę gruzu.

W bladym świetle Winter widział tylko jego cień. Przez większość dorosłego życia widział tylko tyle. Kiedyś siedział w tym pokoju jako aspirant, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć dlaczego. W każdym razie wtedy się bał. A lęk chodzi w parze z młodością. Czasami mu go brakowało. Teraz dość często niepokoiło go właśnie to, że się nie bał. Nie robi to dobrze na zdrowie.

– Jak tam sprawa dziewczyny? – spytał Birgersson i odwrócił się do okna z widokiem na plac Ernsta Fontella. Widział stąd cały ruch przy komendzie: funkcjonariuszy, radiowozy, prywatne samochody, cywilów, kobiety, mężczyzn, starszych

panów w kapeluszach. Jakby osobiście odpowiadał za wejścia

i wyjścia, jakby wziął na siebie obowiązek obserwowania

terenu. – Sprawdziliście już wszystkich psycholi?

– Zajmujemy się tym.

– Będzie ich więcej – powiedział Birgersson. Znow odwrócił

się do Wintera. W szarym świetle jego twarz była niewyraźna.

Jakby już zaczynał znikać. – Kiedy zaczynałem, można było ich

obdzwonić przed lunchem. Wszystkich.

– Wiem, Sture.

– Nie było ich wielu. Miałem ich wszystkich w tym notatniku.

– Wskazał na swoje biurko. – To było przed epoką komórek

i internetu. W cudownych czasach.

– Myślę, że świry też tak sądzą – powiedział Winter.

– No tak. Pewnie mamy lepszy sprzęt elektroniczny, ale to nic

w porównaniu z dziesięciokrotnie większą liczbą psycholi na

ulicach. Czyż nie?

– Hm...

– Więc kim jest psychol z tej konkretnej sprawy?

– Jeszcze nie wiem.

– Stary znajomy?

– Nie... sędzę.

– Nie jesteś pewien.

– Pamiętasz Ellen Børge?

– Przypomnij.

– Zaginęła. To była tajemnicza sprawa. Nie rozwiązaliśmy jej.

Nigdy się nie odnalazła.

– Børge?

– Tak.

– Kojarzę nazwisko.

– Świetnie.

– Jestem stary, ale jeszcze nie oziębiały.

– To ten sam hotel. I ten sam pokój.

– Ożeż kurwa.

– Ellen, jeśli to była ona, zameldowała się tam na chwilę przed zniknięciem.

– I?

– No... to tyle. Plus to, że nigdy jej nie odnaleziono. Nigdy nie wróciła... do domu.

– Tu też się zawahałeś.

– Nie wiem, czy chciała wrócić.

– Do własnego domu? Do mieszkania?

– Tak. Do męża.

– Dobrze pamiętasz tamtą sprawę, Erik. Albo ostatnio ją sobie odświeżyłeś.

– Sprawdziłem parę szczegółów. To była jedna z moich pierwszych spraw. – Birgersson skinął głową. –

Nierozwiązanych – dodał Winter.

– I teraz chcesz ją rozwiązać – dopowiedział Birgersson.

– Nie, nie.

– Nawet nie próbuj, Erik. Przez te wszystkie lata pracy w wydziale widywałem to u innych. U ciebie zresztą też.

Krążycie wokół czegoś niedokończonego, bo was to gryzie.

Wydaje się wam, że coś przegapiliście. Sprawa dawno wystygła, a wy mimo wszystko próbujecie ją rozpalić na nowo. –

Birgersson na chwilę zamilkł, jakby chciał przemyśleć tę metaforę. – A później pojawia się nowa i próbujecie się doszukać podobieństw.

– Nie szukałem ich – wtrącił Winter. – Po prostu wpadłem na kilka.

– To było dwadzieścia lat temu.

– Osiemnaście.

– Widzisz?! Żyjesz nią. Nie pozwól tylko, żeby zaszkodziła sprawie Pauli Ney.

– Nie obrażaj mnie, Sture.

– Nie, nie, wybacz, Erik. Wiesz, o co mi chodzi.

– Hm...

– Psychol sprzed osiemnastu lat, co? Zrobił coś Ellen Børge, a teraz Pauli Ney? Czekał prawie całe pokolenie? To byłaby nowość. Nigdy nic takiego się nie zdarzyło.

– Ktoś musi być pierwszy – powiedział Winter.

– Kpisz sobie ze mnie, Erik?

– Nigdy.

– Znajdź tego pieprzonego psychopata.

– Może jest tam – powiedział Winter i ruchem głowy wskazał antyczny notatnik leżący na biurku Birgerssona. – Masz tam przecież wszystkich świrów sprzed osiemnastu lat.

– Za nic nie odpuszczisz – powiedział Birgersson.

– Mogę pożyczyć? – spytał Winter.

Chwilę po tym, jak opuścił pokój Birgerssona, przypomniał sobie, że znów nie wspomniał o urlopie. Zawrócił w połowie korytarza. Drzwi wciąż były do połowy uchylone. Nie zamknął ich, wychodząc. Birgersson stał przy oknie, tyłem do drzwi.

Zapukał i wszedł. Birgersson odwrócił się gwałtownie, jakby ktoś go zniecierpliwienie klepnął w plecy. Twarz miał zmienioną.

Winter zobaczył na niej coś, czego nigdy nie widział. Spływały po niej łzy. Poczuli, że wtargnęli nieproszony w najbardziej intymne miejsce.

– Czego, do jasnej cholery, chcesz tym razem?

– Przepraszam, Sture – powiedział Winter. – Musiałem wrócić.

– Wchodź i zamknij te pieprzone drzwi – powiedział

Birgersson i wyjął z kieszeni spodni chusteczkę. Wysiąkał nos.

Drugą ręką wskazał Winterowi krzesło przy biurku. – Kurwa, atak alergii we wrześniu – dodał, opadając całym ciężarem na fotel. – Oczy mi wypływają.

Pewnie sam siebie okłamuje, pomyślał Winter.

– Coś się stało?

– Stało? Co by się miało stać?

– Sture, wypaliłeś w życiu tyle papierosów, że żaden katar ci nie grozi. Tak czy owak, coś jest nie tak. Nie musisz o tym mówić. Ale nie mam zamiaru udawać, że nic nie widziałem.

Jestem na to za stary. Ty też.

– Nie jesteś stary, Erik. Jeszcze nie. – Winter milczał. – Ja jestem stary – ciągnął Birgersson. – To moja ostatnia jesień

tutaj. Myślałem o tym, stojąc przy tym pieprzonym oknie.

Wtedy, kiedy wszedłeś. I nagle ta łza. Nie planowałem tego. –

Spróbowałem się uśmiechnąć. – Nie ten wiek. Kiedy człowiek się starzeje, coraz trudniej mu kontrolować wydalanie płynów. Nie mogę już żyć zbyt daleko od pisuaru. Muszę też pilnować, żeby mieć przy sobie chusteczkę.

– Próbowales cewnika?

– Pozwól, że najpierw przejdę na emeryturę, dobrze? – odparł Birgersson.

– Rozmawialiśmy kiedyś o czymś innym niż praca?

– Dlaczego pytasz?

– Bo to ważne.

– Dla kogo?

– Wydaje mi się, że i dla ciebie, i dla mnie.

– Nie wierzę w takie rzeczy – odparł Birgersson i odwrócił wzrok.

Ktoś, kto go znał, a Winter należał do takich osób, mógł dostrzec w jego oczach ślady łez. Wiedział również, że Birgersson jest samotny. Nie chciał wierzyć, że całe życie jego szefa zamyka się w czterech ścianach tego pokoju, ale czasami właśnie takie miał wrażenie. Birgersson nigdy nie opowiadał o swoim drugim życiu. Nikt nie wiedział, gdzie je prowadzi. Nikogo w nie nie wtajemniczał. Może właśnie za to płacił. Tu, przy oknie, w ostatnią jesień.

– Znam jedno fajne miejsce, dobrze oświetlone – powiedział Winter. – Chodźmy tam.

– I co będziemy tam robić? Płakać przed sobą? Nie ma mowy, nie przy dobrym oświetleniu.

– Pogadamy trochę.

– Powiedziałem już, że nie wierzę w takie rzeczy.

Ich czas się skończył, pomyślał Winter. Tych, którzy nie wierzą w takie rzeczy. Facetów milczących jak grób.

– Zrób tak jak ja – powiedział Winter.

– To znaczy?

– Weź wolne. Niech ktoś przejmie twoje obowiązki.

– O czym ty mówisz? Mam wziąć wolne na pół roku przed emeryturą? – powiedział Birgersson ze śmiechem. –

Niesamowite, że słyszę to od ciebie! Komisarz Winter ogłasza wszem i wobec, że chce skorzystać z prawa do urlopu. I to drugi raz w tak krótkim czasie. – Birgersson wstał z fotela.

Gwałtownie. Jak gdyby czuł, że kiedy siedzi, łatwiej go zranić

słowami. – Poza tym z tego, co wiem, nikt tu nie dostał żadnego urlopu.

– Zostały jeszcze trzy miesiące – powiedział Winter.

– A co powie reszta? To wbrew wszelkim niepisanyemu regułom.

– Wystarczą mi te pisane, Sture.

Winter pomyślał o reszcie: o Ringmarze, Haldersie, Bergenhemie, Anecie, Möllerstömie i innych kolegach stojących nad i pod nim. Będą mieli mieszane uczucia.

– Poza tym masz sprawę do wyjaśnienia. Jeśli jej nie rozwiążemy, to wszyscy dostaniemy urlop.

– Rozwiążemy ją – odparł Winter.

– W niecałe trzy miesiące? – Winter nie odpowiedział, a Birgersson wskazał na notatnik. – Sam przed chwilą poruszyłeś tę kwestię. Czasami osiemnaście lat to za mało.

– Nie wiemy, czy zaginięcie Ellen to była zbrodnia – odparł Winter. – Sam to przed chwilą powiedziałeś.

– Nie poznaję cię, Erik. Czy ta Hiszpania to pomysł Angeli?

– Nie. Mój.

– Ale dlaczego?

– Może moglibyśmy porozmawiać o tym w tym miłym miejscu, o którym wspomniałem?

Fredrik Halders i Aneta Djanali siedzieli przed monitorem.

Patrzyli, jak kobieta o blond włosach wchodzi i wychodzi. Bez końca.

– Czarne okulary przeciwsłoneczne to świetna maska – powiedział Halders.

– I peruka – dodała Aneta.

– To peruka?

– Tak.

– Nie widzę. Trzeba być kobietą, żeby to zauważyć?

– Tak.

– A gdybym ja nosił perukę, a ty byś mnie nie znała, rozpoznałabyś, że to peruka?

– Tak.

– A kochałabyś mnie nadal, gdybym ją nosił?

– Nie.

– Dlaczego?

– Żadna kobieta nie pokocha mężczyzny, który nosi perukę.

– Ale kobiety je noszą.

– To co innego.

– Dlaczego ona ma na głowie perukę? – spytał Halders, wskazując palcem na ekran. Kobieta właśnie wychodziła. – To przebranie?

– Dla kogo się przebrała?

– Dla nas oczywiście. Nie chce, żeby ją rozpoznano. Peruka i okulary przeciwsłoneczne.

Aneta przewinęła nagranie do tyłu i puściła od nowa.

– Nie rozumiem, dlaczego zostawiła walizkę, skoro wiedziała, co się stanie z Paulą. Albo wiedziała przynajmniej tyle, że Paula jej nie odbierze.

– Kontynuuj – powiedział Halders.

– Dlaczego ją w ogóle schowała, jeśli jest współsprawcą. Po co zostawiać walizkę, jeśli później ma ją odebrać wspólnik? I po co robić to w publicznym miejscu? Według mnie to się nie trzyma kupy.

– Jest jeszcze taka możliwość, że zrobiła to dla Pauli.

Wyświadczyła jej przysługę.

– To dlaczego jeszcze się do nas nie odezwała? – spytała

Aneta.

– Z najprostszego, starego jak świat powodu – odparł

Halders. – Boi się.

– Kogo?

– Wszystkiego.

– Ktoś jej grozi?

– Może.

– Morderca?

– Może.

– Ale to znaczy, że mają ze sobą jakiś kontakt.

Halders milczał. Znów przyglądał się kobiecie. W jej chodzie było coś dziwnego. Nie kulała, ale wydawało się, że wkłada

dużo wysiłku w to, żeby tego nie robić. Ten dziwny sposób poruszania się nie współgrał z drganiami obrazu. Na cyfrowym nagraniu każdy dziwny ruch rzuca się w oczy jeszcze bardziej.

– Czy to ona jest morderczynią?

Odwrócił się do Anety.

– Co mówiłaś?

– Czy to ona jest morderczynią?

Halders znów spojrzał na kobietę w blond peruce i ciemnych okularach. Szła jak po śladach wymalowanych na podłodze.

Jak po ścieżce. Policzył jej kroki.

– Nie – odparł. – Nikogo nie zabiła.

Aneta śledziła jego spojrzenie.

– Na co patrzysz, Fredrik?

– Widzisz, jak idzie? W jej chodzie jest coś dziwnego.

Aneta poprosiła, żeby przewinął jeszcze raz. Kobieta przeszła tam i z powrotem.

– No, nie do końca normalnie – powiedziała Aneta.

– Co jest nie tak?

– Stopy. Coś jest nie tak ze stopami.

– Jesteś pewna? – Halders spojrzał na stopy kobiety. Miała na nogach ciemne kozaki, prawdopodobnie skórzane. Nie

wyglądały na wygodne. – Za małe buty?

– Może – odparła Aneta.

– A jak nie, to co?

– Może jakiś defekt. Stóp. Albo palców.

– Palców?

– Wydaje mi się, że ma problem z palcami. – Aneta odwróciła się do Haldersa. – To zawsze sprawia problemy przy chodzeniu.

Halders skinął głową.

– Słyszałem, że jeśli ktoś nie ma dużego palca, to w ogóle nie może chodzić.

– Ona może – powiedziała Aneta i kiwnęła głową w stronę monitora. – Ale z palcami coś może mieć nie tak.

– Jak sądzisz, ile ma lat?

– A ty ile byś jej dał?

Halders próbował odczytać wiek z twarzy, ale nie za wiele mógł na niej dostrzec. Nie dostali jeszcze zdjęć w zbliżeniu. Ale w jej ruchach było coś, co wskazywało na wiek średni. I nie chodziło tylko o sposób chodzenia.

– Grubo po trzydziestce – powiedział Halders.

– Chyba powyżej czterdziestki – odparła Aneta.

ZNALEŻLI INNY LOKAL. Przyjemny, ale gorzej oświetlony.

Tak chciał Birgersson.

– Nie będzie widać, jeśli znów poleje mi się z oczu.

Rozejrzał się i wskazał na jeden z ustronnych boksów za barem. Wisiał nad nim obraz, który właściwie nie przedstawiał niczego. Albo z miejsca, w którym stali, nie mogli tego dostrzec.

Kiedy Winter usiadł, zobaczył w ramie falujące morze. Albo pole, albo las, albo duże miasto widziane z daleka.

– Która godzina? – spytał Birgersson i spojrzał w stronę baru, za którym barman czyścił kieliszki. Jeśli nie liczyć mężczyzny siedzącego na krześle, byli jedynymi gośćmi.

– Piętnaście po czwartej – odparł Winter.

– To wezmę duże mocne i kieliszek [brännvin](#).

– Czwarta to jakaś magiczna liczba? – spytał Winter.

– Nie wiem, czy magiczna, ale odpowiednia na picie.

– Ja zazwyczaj trzymam się siódmej.

– Z whisky. Tego bólu głowy nie chciałbym znosić już o czwartej.

– Boleć zaczyna później. Chociaż to zależy od jakości.

– A kiedy nie zależy od jakości?

– Zamówimy coś?

Birgersson wyglądał tak, jakby już bolała go głowa. Pocierał palcem miejsce nad okiem i przyglądał się wódce w kieliszku

na wysokiej nóżce.

Winter pociągnął łyk piwa.

Birgersson opuścił rękę i rozejrzył się.

– Nigdy tu nie byłem – powiedział. – Jesteś tu stałym gościem?

– Nie, nie.

– W dodatku nigdy nie rozmawialiśmy o takich rzeczach – ciągnął Birgersson. – Ty i ja razem, w barze na mieście.

– Mówią, że na wszystko przychodzi czas.

– Kto tak mówi? – Winter się uśmiechnął. – W każdym razie

1 Rodzaj szwedzkiej wódki (przyp. tłum.).

przynajmniej raz w życiu trzeba wszystkiego spróbować –

ciągnął Birgersson. – Z wyjątkiem kazirodztwa i tańca ludowego.

– Kto tak mówi?

– To stare powiedzenie. Stamtąd, skąd pochodzę.

– A skąd pochodzisz, Sture? Nigdy nie wspominałeś.

– To miejsce już nie istnieje, więc nie ma o czym opowiadać. –

Birgersson podniósł kieliszek. – Brännvin wygląda dobrze.

Winter podniósł swój kufel. Zastanawiał się nad whisky, ale

do siódmej zostało jeszcze sporo czasu. W dodatku na jednej szklance by się nie skończyło.

Birgersson pociągnął łyk brännvin, chrząknął, postawił

kieliszek na stole i znów rozejrzył się po lokalu.

– No, tu można sobie posiedzieć.

– To siedźmy.

– Jeśli dobrze pamiętam, masz rodzinę. – Winter się roześmiał. – Nie urodziło ci się ostatnio dziecko? – ciągnął Birgersson.

– Zaledwie rok temu – odparł Winter.

– Dziewczynka, nie?

– Tak. Lilly.

– Lilly? Brzmi jak imię starej ciotki.

– Może nią będzie.

– Ale ładne.

– Chyba je polubiła.

– Tak ładne jak Sture – dodał Birgersson.

Winter się uśmiechnął.

– Wszyscy są jeszcze na Wybrzeżu Słońca. Został im prawie tydzień.

– Aha.

– Byłeś tam? – spytał Winter.

– Na Wybrzeżu Słońca? Costa del Sol?

Winter skinął głową. Birgersson był z wielu powodów legendą policji. Legendą, która obrosła w niezliczone tajemnice. Nikt nie miał pojęcia, gdzie spędzał samotne urlopy. Jeśli rzeczywiście były samotne. Nie miał żadnej rodziny, a jeśli miał, to nikt o niej nie wiedział. Tak czy owak, samotność była

od niego na wiele sposobów.

– Może – powiedział.

Typowa tajemnicza odpowiedź.

– Zapraszam zimą. Albo wiosną.

– Spokojnie, Eriku. Do wiosny jeszcze sporo czasu.

– A nie jest tak zawsze?

– Zabrzmiało to przygnębiająco. Jesteś przygnębiony?

– Nie sędzę.

– Wystarczy, że uważasz, że ja jestem.

– Wiosna przyjdzie jak zawsze – powiedział Winter. – Teraz

lepiej?

Birgersson się uśmiechnął.

– Dziwny z ciebie skurczybyk, Eriku Winterze.

– Chyba wszyscy tacy jesteśmy, nie?

– To przez pracę – odparł Birgersson.

– Może. Ale byliśmy dziwni od początku.

– Albo głupi. Spójrz na Haldersa.

– On się uspokoił od tamtego czasu.

– Od kiedy mu przywaliłeś. To masz na myśli?

– Pamiętasz?

– Jakby to było wczoraj.

– To się stało jesienią, a właściwie późnym latem – powiedział

Winter.

– Lata młodości – podsumował Birgersson. – Na zdrowie! –

Pociągnął łyk i postawił kieliszek na stole. – Przyjąłem twój

wniosek o urlop – dodał.

– Dzięki, Sture.

– Ale wiesz, że decyduje komendant.

– Między mną a Leinertem nie ma żadnych spięć – powiedział

Winter. – W dodatku jest mi winien ten urlop.

– Dlaczego?

– Za te wszystkie nadgodziny. Daj spokój, Sture. Przecież

wiesz, jak jest. – Birgersson nie odpowiedział. – Halders

mógłby mnie zastąpić – dodał. – Jeśli to nadal aktualne.

– Będzie prowadził śledztwo? Dobrze to przemyślałeś?

– Śledztwo prowadzi prokurator – odparł Winter. – Nie wiesz

o tym, Sture?

Birgersson uśmiechnął się blado.

– Zgadza się, ale wtedy, gdy mamy podejrzanego – odparł. –

Macie?

– Nie.

– Więc Halders prowadzi całą sprawę, prawda?

– Chodziło mi o to, że przejmie ją od pierwszego grudnia.

– Wtedy włączy się Molina.

– Może już będzie po wszystkim.

– Rozwiążesz ją?

– My ją rozwiążemy.

– Tak, tak.

Birgersson ze zmartwioną miną przypatrywał się swojemu pustemu kieliszkowi, jakby nie można go już było napełnić.

– Przyszedł czas na Fredrika – stwierdził Winter. – Jest bardziej niż wystarczająco doświadczony, żeby objąć to stanowisko.

– Żebyś siebie słyszał.

– Ludzie się zmieniają.

– Ty? Czy on?

Winter zobaczył dwóch młodych mężczyzn. Wchodzili do środka. Przeszli przez małą salę i usiedli przy sąsiednim stoliku. Mogli być w tym samym wieku co on i Halders, kiedy się poznali.

– Jeśli ma mnie zastąpić... jeśli ewentualnie ma mnie zastąpić, to musi się o tym dowiedzieć już teraz – powiedział Winter.

– Najpierw musi chyba zostać komisarzem – odparł Birgersson.

– To mu pozwól nim zostać.

– Nie no, teraz muszę się napić – powiedział Birgersson, zerkając w stronę baru.

– Rozmawiałem z Bertilem – ciągnął Winter. – Nie ma nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie.

– No, no.

Winter śledził jego spojrzenie. Dał znak kelnerowi. Kelner

w odpowiedzi kiwnął głową. Birgersson podniósł rękę z dwoma wyprostowanymi palcami i kelner znów kiwnął głową.

– Mądry chłopak, ten tam.

– Oni wszyscy tacy są – odparł Winter.

– A ty jesteś ćmą barową?

– Dawno nie słyszałem tego określenia.

– No to jesteś stałym bywalcem barów? Tego zwrotu na pewno używasz.

– Tylko w dniu wypłaty.

– Twoja wypłata starcza w sam raz na rachunek w barze – powiedział Birgersson.

– Halders wspominał, że na Cyprze podczas misji ONZ wynagrodzenie brytyjskiego oficera wystarczało akurat na wikt i opierunek.

– No tak. Prywata najpierw. Jak w twoim przypadku.

– Nie aż tak.

– Zależy, z czym się porównuje.

– Najlepiej z brytyjskimi oficerami.

– Wciąż kupujesz ręcznie szyte buty w Londynie?

– Tylko kiedy zamawiam garnitury.

Birgersson się roześmiał. Mężczyzna siedzący przy barze ani drgnął. Dwie kobiety siedzące przy drzwiach odwróciły głowy.

Od piętnastu minut lokal się zapełniał.

Na stole pojawiły się kolejne dwa piwa i kieliszek brännvin.

– Która godzina? – spytał Birgersson.

– Za piętnaście piąta. A co?

– Jeszcze kwadrans do szarej godziny.

– Hm...

– Człowiek zawsze ją przegapia. – Birgersson podniósł

kieliszek. Jakby się przyglądał kolorowi trunku. – Siedzi wtedy nad sprawozdaniem napisanym takim językiem, że Bóg wie o co chodzi.

– Więc już się ciesz na swoje szare godziny, Sture.

Birgersson nie odpowiedział. Jego spojrzenie jakby odpłynęło gdzieś daleko, przebijając się przez niebieski dym, który zaczął się unosić nad salą.

Potem spojrział Winterowi prosto w oczy.

– Powiedz mi szczerze, Erik. Znudziło ci się to gównno?

– Znudzi mi się, gdy utkwię w nim po uszy.

– No to jesteś na dobrej drodze – odparł Birgersson. – Nie zauważasz, jak ciężko ruszać rękami?

Uniósł zgięte ramię. Kieliszek natrafił na wiązkę światła spod sufitu i trunek nabrał koloru.

– Pewnego razu, kiedy jeszcze byłem świeżakiem, powiedziałaś, że to bitwa, której nie możemy wygrać, ale w której musimy walczyć.

Birgersson wychylił do dna. Postawił kieliszek, a jego twarz wykrzywił grymas.

– Tak powiedziałem? Naprawdę tak powiedziałem? – Winter

skinął głową. – Pewnie przy okazji tego dużego ładunku

prochów. Kiedy dotarła do nas heroína.

– Nie, wcześniej.

– No... no... i jak to odebrałeś?

– Nie dodało mi to otuchy. – Birgersson milczał. W wyrazie

jego twarzy nie było nic, co by dodawało otuchy. Winter dobrze

znał ten widok. – Ale było w tym jakieś pocieszenie.

– Pewnie miałem zły dzień – odparł Birgersson. – Może ktoś

zabił jakąś dwunastoletnią dziewczynkę.

– Nic więcej z tamtego dnia nie pamiętam.

– Tak czy owak, pewnie mówiłem serio.

– Nie przypominam sobie, żebyś zwykł żartować z takich

rzeczy, Sture.

– Musimy walczyć, co? No, chyba tak jest.

– I w tym ujawnia się znudzenie całym tym gównem –

powiedział Winter. – Bo to gówno. I to duże.

– Kupa gówna – dodał Birgersson, podnosząc kufel. –

Sięgająca nieba. Zdrowie wszystkich gównianych instytucji,

które hodują gówno! Które się nim opiekują. Za wszystkich

gównianych dupków!

Winter podniósł kufel i stuknął nim o kufel Birgerssona. Nie

do końca rozumiał, co jego szef ma na myśli.

– Toleruję takie małe gówno jak ty tylko dlatego, że starasz się

nie być cynikiem – ciągnął Birgersson.

Winter nie wiedział, co powiedzieć. Czasami niepokoiło go to, że nie może być nikim innym – tylko cynikiem. Że jest nim każdy, kto żyje i pracuje w tej części świata. Cynikiem albo idiotą. Albo jednym i drugim.

– Cynik przestaje myśleć – podsumował Birgersson, jakby czytał w jego myślach. – Jego mózg działa jak automat.

– Czasami chyba dobrze, żeby tak działał – odparł Winter.

– O nie, stary. Nie w twoim przypadku..

– Ani w twoim, Sture.

Birgersson znów głośno się zaśmiał, a właściwie zarżał. Dwaj mężczyźni siedzący przy sąsiednim stoliku musieli przerwać cichą rozmowę i zerknąć na pomarszczonego faceta w białej, rozpiętej pod szyją koszuli z podwiniętymi rękawami.

– Racja – powiedział po pół minuty. – Kto by wpadł na pomysł, żeby mnie nazwać cynikiem.

Kto by wpadł na pomysł, żeby nazwać Fredrika Haldersa cynikiem? Bardzo wielu ludzi. W zasadzie wszyscy, którzy choć raz mieli z nim styczność.

Uważał, że miał powód, żeby w ten sposób podchodzić do życia. Nie tylko dlatego, że taką miał pracę. Ludzie, przynajmniej niektórzy, przechodzą wewnętrzne przemiany.

Halders miał szczęście do nich należeć. Sam tak zresztą uważał.

Wiedział, co się dzieje, i nie zamierzał zamienić się w kamień,

zanim jego dziecko dorosnie.

Znów stał w mieszkaniu Pauli Ney. Czego ja tu szukam? – pomyślał. Czy to zdjęcie wciąż tu jest? Nie. Wytężył słuch. Nie po to, żeby usłyszeć świst wiatru za oknem albo stukanie deszczu o szybę, albo szum samochodów na rondzie przy placu Doktor Fries Torg. Nie szukał odgłosów przyrody ani miasta. Nie musiał się im przysłuchiwać. Po latach życia na ulicach, w samochodach, domach, parkach i innych miejscach jego mózg zdążył je wszystkie zakodować. Spojrzał na swoją stopę, wysuniętą do przodu, jakby biegła w stronę okna. Niebo było szare. Musiałby polecieć wysoko w górę, żeby zobaczyć błękit. Czy ona tam pofrunęła? A potem zleciała w dół? Halders rozejrzał się, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi. Mieszkanie nadal spowijał całun. Wciąż było cicho. Jeszcze raz nastawił uszu, ale nie dotarł do niego żaden dźwięk. Wiedział, że to mieszkanie kryje odpowiedź, może nawet wiele odpowiedzi. Ważnych, tragicznych. W odpowiedziach, które zbierał, nie było nic, co czyniłoby świat szczęśliwszym, pełnym miłości miejscem do życia. Ujawniały tylko walkę.

Poranek był pogodniejszy, jakby niebo po raz ostatni chciało się całkowicie obnażyć. Winter ustawił rower przy stojaku, zamknął na kłódkę i ruszył w stronę wejścia. Nad komendą krążył ptak, drapieżnik. Wyraźnie odcinał się od czystego nieba. Nagle zanurkował i zniknął za budynkiem.

Winter wszedł do windy, ale tym razem pojechał wyżej niż zwykle.

W swoim pokoju czekał na niego Torsten Öberg. Przechodząc przez pokoje wydziału technicznego, usłyszał trzaskanie lamp błyskowych i poczuł ostry zapach. Minęła go kobieta z dużym plastikowym workiem. Wyglądał na ciężki.

– Na odpowiedź z laboratorium poczekamy jeszcze kilka dni – powiedział Öberg, zanim Winter zdążył usiąść.

Skinął głową. W myślach widział linę. Uciętą. I plamę krwi, która mogła się wziąć skądkolwiek. Jeśli to w ogóle była krew.

– Nie prosiłeś o tryb przyspieszony.

– I tak nigdy się nie zgadzają – odparł Winter.

Przez okno za plecami Öberga widział miasto. Z tego piętra widok był lepszy. W oddali dostrzegł skąpane w słonecznej mgłę morze. Rozpościerało się za mostem Älvsborgsbron. Stąd wyglądał jak szkielet prehistorycznego zwierzęcia. Powiniennem zmienić pokój, pomyślał. Przenieść się piętro wyżej. Nagle znów pokazał się ptak. Chyba jastrząb. Winter pomyślał, że pewnie krąży dokładnie nad mostem, jak ogromne stworzenie z prehistorycznymi skrzydłami.

– Mamy ślad – powiedział Öberg. – But.

Winter pochylił się do przodu. Nagle poczuł coś na czubku głowy, jakby powiew wiatru.

– Ktoś rozlał przy szafce napój musujący – mówił dalej Öberg.

– Sprzątano tam, ale niedokładnie. Tym lepiej dla nas.

Pommac2 to dobry materiał dla techników. Wiele rzeczy się do niego przykleja.

– To był pommac? – spytał Winter.

2 Szwedzki napój musujący (przyp. tłum.).

Öberg się uśmiechnął.

– Jeszcze tego nie potwierdziliśmy.

– A więc ślad buta – stwierdził Winter.

– Jeśli to coś znaczy.

– Wiele wskazuje na to, że należy do naszego człowieka – powiedział Winter. – Zależy, kiedy powstał.

– Jest świeży.

– Jak świeży?

– Dzień czy dwa.

– W takim razie to ktoś z naszych. – Winter zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział. – Pod warunkiem że chodzi o faceta. To męski but?

– No... To jedyny odcisk, jaki mamy. – Öberg otworzył leżącą na stole teczkę. – Z tego co wiem, takie buty noszą przede wszystkim mężczyźni. Albo nosili. – Wyjął kilka zdjęć i pokazał je Winterowi. – Rozpoznajesz ten wzór?

Winter spojrzał na jedno ze zdjęć. Na pierwszy rzut oka przedstawiało jakąś nierówną powierzchnię, może pusty krajobraz. Po kilku sekundach dostrzegł coś w rodzaju wzoru.

Paski. W kącie widniało coś, co przypominało część litery.

Podniósł wzrok.

– Rozpoznajesz? – powtórzył Öberg.

– Wygląda znajomo. Ale nie wiem dokładnie, co to jest.

– Nie twoja marka?

– Nie.

– Ale kiedyś nosili takie wszyscy faceci – powiedział Öberg. –

Oprócz ciebie.

– Co to jest?

– Ecco.

– Ecco?

– Ecco. Brzmi znajomo?

– Oczywiście.

– Ecco free. Niezwykle popularna seria tej marki.

Przynajmniej dwadzieścia lat temu. Ostatnio przeżywa odrodzenie.

Winter potrząsnął głową.

– Nie tego się spodziewaliśmy, co?

Winter nie odpowiedział. Spojrzał na zdjęcie. Krajobraz nie był już taki pusty. Zdjęcie przypominało mapę. Można by z niej nawet coś odczytać.

– Ale podeszwa nie jest nowa – ciągnął Öberg. – Jeśli znajdziemy buty, będziemy mogli porównać.

– Dwudziestoletnia podeszwa?

– Nie. Tak długo ecco nie wytrzymują. – Öberg wskazał na zdjęcie, które Winter trzymał w ręku. – Sam takie nosiłem.

– Naprawdę ludzie wciąż noszą takie buty? – zdziwił się Winter. Skierował to pytanie raczej do siebie. – Od dawna ich nie widziałem.

– Może tym lepiej dla ciebie – odparł Öberg. – Ale chyba niewielu nadal je kupuje.

– Hm.

– Ale, jeśli dobrze pamiętam, było kilka kopii tej serii – zauważył Öberg. – Nie wiem, czy wciąż są dostępne. – Podniósł wzrok. – Moglibyście to sprawdzić.

– Nic więcej przy szafce nie znalazłeś? – spytał Winter, odkładając zdjęcie.

– Na razie może to wystarczy.

– Nigdy nie wiadomo – odparł Winter i wstał.

– A jeśli chodzi o tę gipsową rękę, to nie wiem, jak mam to rozumieć.

– Nie jesteś sam.

– Odlew został wykonany byle jak – stwierdził Öberg. Winter skinął głową. – Użyto formy. Nie wiem, gdzie się coś takiego nabywa.

– To nie jest popularny gadżet.

– Ale gips? Zazwyczaj do takich form wlewa się plastikową masę. Na przykład przy produkcji manekinów.

– Manekiny – powtórzył Winter.

Zamknął oczy i zobaczył pustą twarz i nagie członki o barwie, która miała się nijak do koloru ludzkiej skóry. W manekinach nie ma nic ludzkiego.

– Na jej ręce nie było żadnych śladów gipsu – powiedział Öberg. – Tylko farba.

Winter otworzył oczy.

– Rozumiem, że w tej kwestii nie macie nic nowego.

– Nie. Najzwyklejsza półmatowa emalia. – Öberg odchylił się do tyłu. – Można taką kupić w każdym sklepie z farbami.

Mgła za mostem zaczęła znikać. Winter widział teraz morze w całej okazałości.

– Wysycha po pięciu godzinach – dodał Öberg i spojrzał na Wintera. – Na jej ciele poszło szybciej.

– Daj mi znać, jak tylko odezwą się z laboratorium – powiedział Winter. – A teraz przedzwoń do nich i grzecznie spytaj, czy nie mogliby się pospieszyć.

– Zawsze jestem grzeczny – powiedział Öberg.

WINTER SŁYSZAŁ TYLKO SŁOWA. I TYLE. Nie docierało do niego, co kto mówi. Wszystko zlewało się w jeden szum.

– Erik? Słuchasz?

To był głos Ringmara.

Winter ocknął się z zadumy. Przez chwilę był gdzie indziej, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

– Słucham.

– To co takiego właśnie powiedziałem?

– Powtórz – odparł Winter.

– To mogłoby przejść tylko w wojsku – powiedział Halders.

– A nie jesteśmy wojskowymi? – spytała Aneta.

– Tam noszą mundury – odparł Bergenhem.

– Ale przecież są żołnierze, którzy chodzą po cywilnemu – zauważyła Aneta.

– Owszem. Ci z CIA – powiedział Halders.

– Albo z KGB – dodał Bergenhem.

– KGB już nie istnieje – poprawił go Halders.

– To jak się to teraz nazywa?

– Federalna Służba Bezpieczeństwa.

– Prawie jak u nas.

– Tak, z tą różnicą, że tam popełniają morderstwa, a tu próbują je wyjaśniać.

– To może byśmy spróbowali wyjaśnić nasze morderstwo? –

wtrącił Ringmar.

– A popełniliśmy jakieś? – spytał Halders.

Nikt nic nie powiedział. Wydawało się, że Bergenhem westchnął, choć może tylko wypuścił powietrze.

– W jej mieszkaniu jest coś, czego nie zauważyliśmy – ciągnął Halders.

– W sensie?

– W sensie i w sensie – odparł Halders. – To tylko myśl albo przypuszczenie czy jak to nazwać.

– W tym przypadku to chyba tylko przypuszczenie – odparł Bergenhem.

– Co?

– Masz może na myśli pocztówkę, Fredrik?

Powiedział to Winter. Wydawało mu się, że wie, o co Haldersowi chodzi. Ta sama myśl prześladowała go przy sprawie Ellen Børge. Czegoś wtedy nie zauważył.

– Nie do końca – odparł Halders. – Po prostu kiedy stoję w tym cholernym opustoszałym mieszkaniu, coś intuicyjnie wyczuwam. – Rozejrzał się. – Też powinniście tam postać.

– Byle nie wszyscy naraz – powiedział Bergenhem.

– Lars, zaczynasz mnie denerwować – odparł Halders.

– Ja tam byłem – powiedział Winter. – Rozumiem, o co Fredrikowi chodzi.

– W końcu – odparł Halders.

– Znów mamy wywrócić mieszkanie do góry nogami? –

spytała Aneta.

– Nie w tym problem – powiedział Halders.

– Czy chodzi o coś, co tam jest, a jednocześnie nie ma? –

spytała Aneta.

Nikt nie odpowiedział.

– Mam nadzieję, że to zauważymy – odparł po chwili Halders.

– I wtedy zrozumiemy.

Ringmar poszedł za Winterem do jego gabinetu. Winterowi ostatnio coraz trudniej było się tam odnaleźć. Nie mógł się skupić, dać wyobraźni pola do popisu. Przesiadywał tam zbyt długo, czuł się jak w areszcie. Ściany niczego nie przepuszczały, nie uspokajały. Pomyślał o pokoju Öberga. Tam była przestrzeń i widok na morze.

Ringmar stanął przy oknie. Zaczynał być taki jak Birgersson.

– Dzwoniłem do jej rodziców – powiedział. – Odebrała matka.

Elisabeth. – Winter skinął głową. – Ciekawe, czy już wyszła z szoku.

Winter nie odpowiedział. Poszkodowanych i ludzi będących w szoku coś łączy. Często należą do jednej rodziny, bo do aktów przemocy dochodzi zazwyczaj w rodzinie. Tak czy owak, traumę mają długo. Nie ma wyjątków. Nawet najmniejsze włamanie odciska jakieś piętno. Wszystko.

– Po co do nich dzwoniłeś? – spytał Winter.

– Chciałem się z nimi znów spotkać – odparł Ringmar. – Jak najszybciej.

Winter skinął głową.

– Jest tak, jak powiedział Fredrik – ciągnął Ringmar. – To u nich jest coś, czego nie widzimy. Kiedy to zobaczymy, zrozumiemy. Trzymają to coś w ukryciu.

– To nie musi być nic, co nam pomoże – powiedział Winter.

– W takim razie co nam pomoże? – spytał Ringmar.

– Wszystko – odparł Winter z uśmiechem.

Ringmar wyjrzał przez okno. Winter zobaczył krople na szybie. Drobny, niesłyszalny deszcz. W październiku będzie bił w szybę głośniej.

– Kiedy odebrała, odniosłem wrażenie, jakby oddychała za szybko – powiedział Ringmar, wciąż patrząc przez okno.

Winter widział jego oświetlony szarym światłem dnia profil.

Zauważył, że ma miękki podbródek. Zaczął się robić podwójny.

Nie zauważył tego wcześniej, z przodu nie rzucało się to w oczy.

Twarz Ringmara zaczynała zanikać, powoli, jak cień, i to w określonym świetle. Gorzej było z Birgerssonem. A potem przyjdzie czas na mnie, pomyślał.

– I nie wyglądało na to, żeby biegła do słuchawki – dokończył Ringmar.

– Nie spodziewała się, że zadzwonisz – zauważył Winter.

– To prawda. Nie sądziła, że się jeszcze odezwiemy. –

Ringmar odwrócił się do Wintera. Jego podbródek stał się sprężysty, a broda wąska. – Spodziewała się kogoś innego.

– Mąż był w domu? – spytał Winter.

– Poprosiłem, żeby mi pozwoliła zamienić z nim słowo, bo na coś natrafiłem. I okazało się, że owszem, był.

– Mają krewnych, przyjaciół. Mogli czekać na telefon od kogokolwiek.

– Nie wiem – odparł Ringmar. – Nie mam pojęcia.

Winter wstał. Nie chciał już siedzieć w tym pokoju. Nigdy.

Nagle zamknął oczy, żeby nie widzieć drzwi, ścian i biurka.

Usłyszał swoje tętno. Nie czuł się dobrze. Czyżbym przechodził

kryzys? – pomyślał. Nie dotknął mnie, kiedy stuknęła mi

czterdziestka. Teraz mam czterdzieści pięć lat, jestem

w połowie drogi do kolejnej granicy. Jednocześnie będę

przechodził kryzys czterdziesto- i pięćdziesięciolatka.

– Jedziemy do nich – powiedział.

– Teraz?

– Tak.

Kiedy jechali Nya allén, słońce przebiło się przez chmurę.

Złota wiązka światła przeszła liście. Zaczęły już zmieniać

kolor. Winter wciąż czuł się źle, jakby nachodziły go mdłości.

Za kierownicą siedział Ringmar. Winter opuścił szybę, żeby

zażyć trochę świeżego powietrza. Poczul na twarzy przyjemny

powiew. Pachniało wilgotną jesienią. Nagle promień słońca

wpadł mu prosto w oko, ale nie było to przykre. Znów zamknął oczy.

Nie mógł sobie przypomnieć pierwszego zadania, przy którym współpracował z Ringmarem.

Ale pamiętał drugi raz.

Sama wtedy zadzwoniła. Odebrał w samochodzie. Właśnie wyjechali z centrali i byli niedaleko jej domu. Oddychała szybciej. Była bardzo wystraszona. Kiedy stanęli pod blokiem, usłyszeli krzyk. Rodzinne odgłosy. Krzyk kobiety. Jak się później okazało, to nie była dziewczyna, tylko jej mama. Córka nie chciała zrobić tego, co kazał ojciec. Przez ostatnie dni wracała do domu późno. Wtedy znów chciała wyjść. Ojciec ją upomniął za pomocą kuchennego noża. Winter miał teraz przed sobą jej twarz. Dlaczego, do cholery, o niej myślę?

Marianna? Jak ona miała na imię? Maria? Bertil wie na pewno, jest lepszy w zapamiętywaniu imion. Ale go nie spytam.

Wydawało nam się, że ją uratowaliśmy. W karetce jeszcze żyła.

Przyjechali szybko, nawet mnie zaskoczyli. Ojciec był już na tamym świecie. Nóż wylądował w ogródku, okno na drugim piętrze pozostało otwarte. Wszystko stało się w kuchni.

Zwróciłem uwagę na kolor ceraty, do dziś pamiętam jej wzór.

Na stole wciąż stał wieczorny posiłek. Ledwo zaczęli jeść. To on spytał: Gdzie idziesz? Gdzie znów leżysz? Gdyby tylko nie zadał tego pytania, powiedziała później matka. Gdyby tylko

odpuścił kolejne pytanie. Szok. Była w szoku. Dlaczego miałyby się z niego otrząsnąć? Nigdy z niego nie wyszła. Elisabeth Ney też nigdy z niego nie wyjdzie.

– Wieje – powiedział Ringmar.

– Głównie na mnie – odparł Winter.

– Oczyszczasz myśli?

– Raczej wspomnienia. Oczyszczam pamięć.

– To dobrze – odparł Ringmar. – To pomaga.

– Wiesz już, o co zapytamy państwa Neyów?

– Masz ich za parę?

– Oto pytanie – odparł Winter.

– A jaka jest odpowiedź?

Winter patrzył na drugi brzeg rzeki. Wyrosły na nim bloki.

Miało ich być jeszcze więcej. W końcu balkony sięgną mętnej

wody. Jeden taki balkon kosztuje więcej, niż stocznioowcy,

którzy jeszcze kilkadziesiąt lat temu budowali tu okręty,

zarabiali przez całe życie. Był wtedy chłopcem. Wiele razy

słyszał odgłosy dobiegające ze stoczni, gdy płynął promem

wzdłuż rzeki. Widział okręty w różnych stadiach budowy: na

progu, w trakcie i gotowe. Stał na pomoście przy Nya Varvet

i patrzył, jak statki wypływają w kierunku Vingi i dalej

w morze, w stronę równika, a nawet jeszcze dalej – na Ocean

Spokojny, do Australii. Sunęły po wodzie z taką powagą, jakby

cały świat należał do nich.

Ten, kto przekracza na statku równik, przechodzi rytualny chrzest. Jako chłopiec zawsze dużo o tym myślał, ale nigdy tego nie doświadczył. Żył na ziemi niemal pół wieku i ani razu nie przepłynął przez linię przecinającą ziemię na pół.

– Nigdy nie należy traktować pary jak pary – odparł w końcu.

– Można przez to popełnić błąd: uogólnić.

– Niektóre się zrastają.

– Że jak?

Winter spojrzał na Ringmara.

– Niektóre pary stają się jedną całością – wyjaśnił Ringmar. –

Niejako zrastają się ze sobą.

– Zabrzmiało to dziwnie. Chodzi ci o to, że z czasem stają się jak bliźnięta syjamskie?

– Tak.

– Jedno nie może żyć bez drugiego?

– Zgadza się – odparł Ringmar. – To się dzieje

niepostrzeżenie. Nagle pewnego dnia staje się faktem i wtedy bez drugiej połówki nawet kroku nie można zrobić.

– Mam nadzieję, że nie opierasz się na własnym doświadczeniu, Bertil.

– Przecież siedzę tu sam.

– Fajnie.

– Ale warto się nad tym zastanowić.

Jechali przez Kungsten, żeby uniknąć korków. Niewiele

brakowało, a uderzyłby w nich autobus. Widzieli, że nadjeżdża, ale nic nie wskazywało na to, że może dojść do kolizji. Ringmar gwałtownie skręcił na chodnik. Nagle wyrósł przed nimi jak spod ziemi. Nie było przechodniów. Winter zobaczył w lusterku, jak autobusem rzuca na boki. A mimo to pędził w stronę ronda. Ringmar tymczasem zjechał z powrotem na jezdnię.

Gdybyśmy jechali radiowozem, ten kretyn prowadziłby jak człowiek – powiedział.

– Zapamiętałem numer.

– Daj spokój, nie mamy na to czasu.

Skręcili w Långedragsvägen. Minęli szkołę Hagenskolan, na skrzyżowaniu za boiskiem do piłki nożnej skręcili w lewo i przejechali przez Torgny Segerstedtsgatan. Mario i Elisabeth Neyowie mieszkali w bloku w Tynnered. Czerwone budynki z cegły wyglądały jak mur chroniący przed morzem przy Fiskebäck. Zawsze mocno tu wiało. Teraz też.

Ringmar zatrzymał się przy sklepie, żeby pomyśleć.

Winter poszedł po „Göteborgs-Posten”. Przekartkował gazetę, po czym podetknął Ringmarowi pod nos jedną ze stron.

Ringmar właśnie wyciągał paragon z parkometru.

– To chyba twój najgorszy profil – powiedział Ringmar.

– Chodzi mi o tytuł – odparł Winter.

– POLICJA BEZ ŚLADÓW W SPRAWIE MORDERSTWA

W HOTELU – Ringmar przeczytał nagłówek nad zdjęciem

przedstawiającym Wintera. Stał bokiem do aparatu,

prawdopodobnie po krótkim wywiadzie. – Czy to jest

poprawnie? Pod względem językowym?

– Czy to właściwe podsumowanie?

– W zasadzie tak – odparł Ringmar. – Jeśli pominiemy nagrania.

– I rękę, linę i odcisk buta.

– W zasadzie powinni już do tego dotrzeć – zauważył

Ringmar. – Jak się nazywa ten twój kolega z „Göteborgs-Posten”? Bry... Bru...

– Bülow – odparł Winter. – Ale nie jest moim kolegą.

– Tak czy owak, większość szczegółów zazwyczaj potrafi wywęszyć. Ale, jak się okazuje, nie w tym przypadku.

– Zdaje się, że nasz komendant pozatykał przecieki.

– Chyba wraz ze swoim odejściem. To masz na myśli? – spytał

Ringmar. – Mówisz o Sållecie, nie?

Winter skinął głową. Einar Sållet Berkander, były komendant, zadawał się z rozwiedzioną reporterką „Göteborgs-Posten”. Na jaw wychodziła większość spraw. Opowiadał jej o nich w łóżku.

Teraz i on był rozwiedziony.

– Nie możemy zapominać, że często korzystamy z pomocy prasy – zauważył Ringmar.

– Że niby ją wykorzystujemy?

– Potrzebujemy jej – odparł Ringmar, jeszcze raz przeglądając artykuł. – Jest tu coś, co nam może pomóc?

– Nie wiem – odparł Winter, po czym zamknął gazetę i rzucił na tylne siedzenie.

Ruszyli między bloki. Ringmar zaparkował, a Winter sprawdził adres.

Na klatce schodowej pachniało jedzeniem, jakimś nieokreślonym daniem, prawie w ogóle nieprzyprawionym.

Woń typowa dla starych bloków. W nowych unoszą się zapachy przypraw z całego świata, ludzi z całego świata.

Ringmar zadzwonił do drzwi. Nikt nie otworzył. Wcisnął guzik jeszcze raz. Wydawało im się, że słyszą kroki. Wiedzieli, że są obserwowani przez wizjer.

Drzwi lekko się uchyliły. Zobaczyli twarz Elisabeth Ney.

– Tak?

– Możemy wejść na chwilę, pani Ney?

Powiedział to Ringmar, więc już nie musieli pokazywać legitymacji.

– Tak... a o co chodzi?

Nie odpowiedzieli. Przecież zapytali, czy mogą wejść. Na chwilę, pomyślał Winter. To też ciekawe wyrażenie. Chwila może oznaczać dobę.

– Mojego męża nie ma w domu – dodała.

A więc teraz są od siebie odseparowani, pomyślał Winter.

Mamy szczęście.

– Nic nie szkodzi – odparł Ringmar.

Jak się zachować, gdy się chce zapytać matkę, jak wyglądały jej relacje z zamordowaną córką? Jak się zachować podczas takiej rozmowy, która właściwie jest przesłuchaniem?

Przez kuchenne okno Winter widział ogród. Młoda mama huśtała na huśtawce swoją małą córkę. Im wyżej, tym głośniej dziewczynka się śmiała. Winter miał już w tym wprawę. Przez lata huśtał Elbę, teraz przyszedł czas na Lilly.

Elisabeth też z pewnością to zna.

To źle, że tu stoi i patrzy przez to okno.

Widok z salonu był lepszy: na stację benzynową, autostradę i tereny przemysłowe za nią.

Ringmar spytał o długą podróż Pauli przed niemal dziesięciu laty.

– Nie rozumiem, dlaczego to takie interesujące – odparła

Elisabeth Ney. – Sporo czasu minęło od tamtej pory.

– Może ta podróż znaczyła więcej, niż możemy sobie wyobrazić – powiedział Ringmar.

Nie odpowiedziała. Siedziała sztywno przy kuchennym stole, jakby nie miała pojęcia, co tam robi. Jakby była gdzie indziej i jakby to nie grało żadnej roli.

Winter dyskretnie chrząknął.

– Pani mąż nie chciał z nami rozmawiać o przeszłości.

Spojrzała na niego.

– Ale to chyba nie ma nic wspólnego... z tą sprawą.

– Nie wiemy – odparł Winter. – Proszę to mieć na uwadze. Że nie wiemy. Dlatego pytamy.

Weszliśmy z butami w ich życie. Tydzień temu nawet nie wiedziałem, że w tym mieście mieszka ktoś, kto się tak nazywa.

A teraz chcę wiedzieć o nich wszystko.

– Ale ja nie znam odpowiedzi – odparła Elisabeth Ney.

– Czy Paula była z jakiegoś powodu nieszczęśliwa? – spytał Ringmar.

– Już panowie o to pytali.

– Czy była nieszczęśliwa w związku z czymś, co się wydarzyło ostatnio?

– Próbowałam odpowiedzieć na to pytanie. Nie. Nie wiem.

Boże, NIE MAM POJĘCIA.

Winter zobaczył łzy w jej oczach.

Usiadł na krześle naprzeciwko niej. Dotąd stał przy oknie.

– Czemu nie chciała, żebyście poznali jej chłopaka?

– Słucham?

– Według jej przyjaciółki miała chłopaka. Ale nigdy go państwu nie przedstawiła.

– O niczym nie wiedzieliśmy – odparła Elisabeth Ney. –

O tym też nie.

– Rozumiem – powiedział Ringmar. – Ale dlaczego?

– Kto to jest? – spytała, patrząc na niego. – Kim on jest?

Ringmar spojrzał na Wintera.

– Nie wiemy – odparł Winter.

– Nie wiecie? Co pan ma na myśli?

– Nie wiemy, kto to jest.

– To jak możecie być pewni, że miała chłopaka.

– Jej przyjaciółka tak sądzi.

– I wy jej wierzycie?

– Jest o tym przekonana. Ale nie możemy być pewni.

– To gdzie on jest? Dlaczego jeszcze nie dał znaku życia? –

Patrzyła to na Wintera, to na Ringmara. – Co to za chłopak, że siedzi cicho?

Milczeli.

Nagle zrozumiała.

Jej ręka powędrowała do ust, jakby chciała wbić w nią zęby.

Winter dostrzegł w jej oczach najgorsze emocje. Nagle usłyszał

śmiech za oknem. Śmiech tej małej dziewczynki. Jej głos nie

powinien tu dochodzić. Okno powinno być bardziej szczelne.

– Myślałem, że pani... może... że wspominała o nim –

powiedział. – Albo że pani coś wiedziała.

– Ale przecież nie mieszkała u nas na stałe. Nie bywała tu

częściej niż teraz, w ostatni tydzień. Jeśli... – Nagle przerwała.

Znów przyłożyła rękę do ust. – Boże, powiedziałam: w ostatni

tydzień. Chodziło mi o to, że nie bywała tu częściej niż

w ostatnim tygodniu. Czasami człowiek się myli. Zwracam uwagę, jeśli ktoś źle odmienia. – Winter skinął głową. Wzrok Elisabeth Ney nagle zmętniał. – Jestem nauczycielką. Uczę szwedzkiego i historii, w gimnazjum. Zawsze mówię uczniom, że należy dbać o język. Jeśli się nie mówi poprawnie, daleko się nie zajdzie.

– Pani Ney...

– A sama siedzę tu i mówię w ostatni tydzień. – Patrzyła to na Wintera, to na Ringmara. Jej spojrzenie wciąż było mętne, i nagle diametralnie się zmieniło. – Ostatni! I mam rację! Bo to był jej ostatni tydzień!

– Pani Ney... proszę pani...

– To prawie komiczne! – W jej oczach pojawił się dziwny błysk. – Ja...

– Pani Ney!

Poderwała się z krzesła, właściwie podskoczyła, jakby to wiatr, a nie słowa Wintera uniosły ją wbrew grawitacji.

– Pani Ney? Chce pani, żebyśmy panią gdzieś zawieźli?

Chciałaby się pani z kimś spotkać? Pani Ney?

Nie odpowiadała. Jej spojrzenie znów zmętniało.

Nieoczekiwanie wstała i zaczęła chodzić po kuchni jak niewidomy, z rękami wyciągniętymi przed siebie.

Gdy stanęła przy oknie, obaj zerwali się na równe nogi. Winter widział każdy rys twarzy Ringmara. Jak na czarno-białej

fotografii. Pewnie dlatego, że właśnie zaczęło się ściemniać.

– Nie słyszeć już tej dziewczynki – powiedziała Elisabeth Ney.

– Czy to nie ona śmiała się przed chwilą?

W PRZEDPOKOJU OTWORZYŁY SIĘ DRZWI. Winter usłyszał kasznięcie, potem drzwi się zamknęły. Zdążył jeszcze usłyszeć echo z klatki schodowej. Elisabeth Ney zdawała się nic nie słyszeć. Siedzieli teraz w salonie. Winter i Ringmar siedzieli, a Elisabeth Ney stała przy oknie, plecami do nich.

Z przedpokoju nie dobiegł żaden głos, żadne „jestem w domu” czy „cześć, kochanie”. Tylko odgłos kroków.

Mario Ney wszedł do pokoju i wzdrygnął się.

– Co jest, do jasnej cholery?!

Elisabeth Ney milczała. Nawet nie odwróciła głowy. Może nadal próbowała usłyszeć małą dziewczynkę.

– Dobry wieczór, panie Ney.

Powiedział to Ringmar. A potem wstał. Z miejsca, gdzie siedział Winter, Ringmar wyglądał jak cień. Za oknem zapadał zmierzch, ale nikt nie zapalił światła. Coś takiego Winter nazywał wieczorną posiaduchą. Tak mówiła jego babcia. To określenie oddawało stan odprężenia i spokoju, który następuje o szarej godzinie, w niczym niezmaconej ciszy.

– Co tu, panowie, robicie? – Winter nie mógł dojrzeć twarzy Neya. – Elisabeth? Co oni tu robią?

Nie odpowiedziała. Wciąż patrzyła nieobecny wzrokiem, może wędrowała po ogrodzie albo zupełnie gdzie indziej.

– Elisabeth!

Odwróciła się powoli. Winter pomyślał, że może powinien wstać i zapalić światło, ale pozostał na swoim miejscu. Teraz wyraźnie widział twarz Elisabeth Ney. Oświetlił ją ostatni promień słońca. Właśnie chowało się za blokiem po drugiej stronie ogrodu.

Jest jak maska, pomyślał. Jak gdyby ktoś ją na niej zawiesił, żeby przykryć pustkę. Nie. Może żeby przykryć inną twarz?

A potem jej wzrok odzyskał blask.

Zobaczyła męża. Wzdrygnęła się, podobnie jak on, kiedy wszedł do pokoju.

Winter nagle dostrzegł na jej twarzy strach.

Spojrzał na Maria Neya. Wciąż stał metr za progiem. Jego surową twarz było teraz widać wyraźniej. Biła od niej ta sama siła, którą zauważył przy pierwszym spotkaniu, kiedy przyszedł go poinformować o śmierci córki. Wciąż była w jego twarzy, mimo żałoby.

– Co oni tu robią, Elisabeth? – Ney machnął ręką w stronę

Wintera. – Nie wiedziałem, że wrócą.

– Pańska żona też nie wiedziała – odparł Winter, wstając. –

To miała być krótka wizyta.

– Dlaczego?

– Nie mógłby pan usiąść na chwilę?

– Dlaczego nie zapaliliście światła? – spytał Ney.

– Zapomnieliśmy o tym – odparł Ringmar.

– Szybko się ściemnia – dodał Winter.

– Ściem... co to za pieprzenie? – Zrobił kilka kroków w głąb pokoju. – Elisabeth? O czym oni z tobą rozmawiali?

Winter zobaczył, jak Elisabeth znów odwraca się do nich plecami. W ciągu tej sekundy, kiedy to zrobiła, próbował zrozumieć, czy zachowuje się tak dlatego, że jest w szoku, czy to może zwątpienie, strach przed wszystkim, czy może przed obecnością męża.

Trudno to rozstrzygnąć. Ale boi się. Bertil też to dostrzega, chociaż z trudem. Musimy zapalić światło, zanim się ze sobą pozderzamy.

– Nie macie prawa się tu wdzierać! – krzyknął Ney.

– Pańska żona się zgodziła – odparł Winter.

– Co to znaczy?

– Że się zgodziła.

– Zaraz sam się o tym przekonam, bydlaki.

– Możemy również wezwać pana na przesłuchanie – wyjaśnił

Winter. – Wydać nakaz przymusowego doprowadzenia na

komendę. Kodeks karny, artykuł dwudziesty trzeci, paragraf siódmy.

– Wiemy, co robimy – dodał Ringmar. – Nie włamaliśmy się do państwa.

Tym razem Mario Ney się nie odezwał.

– Czy mógłby pan zapalić światło? – spytał Winter tak

uprzejmie, jak tylko mógł.

– Długo myślicie tu siedzieć? Mam przygotować kolację? –

odparł Ney i się roześmiał. – Pościelimy łóżka? Macie ze sobą prześcieradła?

– Są tu z powodu Pauli – powiedziała Elisabeth Ney.

Jej głos zabrzmiał jak głos kogoś innego. Mocno, stanowczo.

Odeszła od okna i przeszła kilka kroków. Niebo za oknem poczerwieniało. Akurat teraz nie trzeba było zapalać lamp. Było pełno światła.

Mario Ney wciąż stał. Zdawało się, że nie ma nic do powiedzenia.

– Mario, oni próbują się dowiedzieć, co się przydarzyło Pauli.

Wykonują swoją pracę. – Spojrzała na Wintera, a potem znów na męża. – Jeśli to może w czymś pomóc... to, że tu przyjdą... to mogą to robić, kiedy tylko chcą.

– Tak, tak. – Mario Ney jakby się skurczył, zrobił się niższy o kilka centymetrów. – Kiedy tylko chcą. W środku nocy.

– Chcieli się czegoś dowiedzieć o chłopaku Pauli – ciągnęła Elisabeth Ney.

– Ale czego? No czego?

Winter szybko obszedł sofę i zapalił podłogową lampę z dużym abażurem. Rozświetliła pokój jak scenę w teatrze.

Czasami tak właśnie się czuł – jakby stał na scenie. Gdy stał na środku pokoju i zadawał obcym ludziom pytania, próbując

jednocześnie analizować wyraz ich twarzy i w ciągu kilku sekund wyczytać z nich wszystko, czuł się tak, jakby ktoś ich wszystkich obserwował. Publiczność. Jakby właśnie miał wygłosić swoją kwestię.

– Nie wiemy – odparł. – Dlatego pytamy.

– Ale skądś chyba musieliście się dowiedzieć, że miała chłopaka – powiedział Mario Ney.

W świetle lampy jego twarz była ostra i ciemna.

– Może usiądziemy – zaproponował Winter.

Mario Ney zerknął na meble, jakby je widział po raz pierwszy.

Wydawało się, że właśnie uczy się siadać.

Zrobił krok naprzód. Usiadł tak, że zapadł się w fotelu.

Podniósł się i usiadł jeszcze raz.

– O co chodzi z tym... że Paula miała chłopaka? A jeśli tak, to kiedy?

– Chodziła z kimś ostatnim czasem? – spytał Ringmar.

Chryste. Winter spojrzał na Elisabeth Ney. Nie wyglądało na to, żeby zwróciła uwagę na to, co Ringmar powiedział. Znowu opadła z sił. Siedziała w rogu sofy, tak jakby miała w każdej chwili wstać.

– Nie – odparł Mario Ney.

– Kiedy ostatnio miała chłopaka? – spytał Winter.

Ney nie odpowiedział. Jego żona nie usłyszała pytania. Do uszu Wintera dobiegło wycie syreny. Karetka pędziła gdzieś na

sygnale. Chwilę wcześniej zastanawiał się, czy jej nie wezwać,

kiedy Elisabeth Ney zdawała się tracić kontakt

z rzeczywistością i z sobą samą. Jej mąż spojrział na nią.

Wydawało się, że znów jest gdzie indziej. Nie odpowiedziała na

pytanie Wintera.

Powtórzył.

– Nie wiem.

– Proszę się zastanowić.

– Nie ma po co.

– Dlaczego?

– Bo nie miała chłopaka.

– Słucham?

Mario Ney spojrział na żonę. Nie słyszała. I nie widziała.

– Nie poznałem żadnego jej chłopaka – odparł Mario Ney.

Wydawało się, że ciężko mu wymówić to ostatnie słowo. –

Nigdy.

– Nigdy?

– Nie słyszy pan, co mówię? – Spojrział Winterowi prosto

w oczy. – Mam powtórzyć tysiąc razy?

– Córka nigdy nie przedstawiła państwu żadnego chłopaka? –

spytał Winter.

Mario Ney potrząsnął głową.

– Panie Ney?

– Ile razy mam to powtórzyć?

Winter popatrzył na Ringmara. Ringmar ze zdziwienia uniósł brew. Elisabeth Ney nie ruszała się z miejsca. Gęstniejącą ciemność za oknem znów przecięło wycie karetki. Teraz dochodziło z drugiej strony. Winter znów poczuł się tak, jakby stał na scenie. Ale nie miał scenariusza. Nikt mu nie napisał, co ma powiedzieć. A to, o co zapytał, było ważne. W ten sposób pisał swój własny scenariusz, oparty na doświadczeniu i intuicji. Może również na współczuciu.

– Rozmawialiście państwo o tym? – spytał.

– Teraz w ogóle nie rozumiem pytania – odparł Mario Ney. –

Co pan ma na myśli?

Winter spojrzał na Elisabeth. Chodziło mu o to, czy rozmawiali o tym ze sobą. Nie chciał powiedzieć tego wprost.

Wolał, żeby oni to zrobili.

– Czy Paula chciała o tym rozmawiać?

– Nie.

– Czy państwo chcieli o tym rozmawiać? Pan i pańska żona?

– Z kim? Z nią?

– Tak.

– Nie...

– Dlaczego?

Ney spojrzał na żonę. Zdawała się nie słuchać. Nie mogła mu pomóc.

– Ona nie chciała.

– Dlaczego?

– Dlaczego i dlaczego... za dużo tego pieprzonego dlaczego.

– Miała dwadzieścia dziewięć lat – wyjaśnił Winter. – Według pana nigdy nie była w związku. Nigdy też nie chciała o tym rozmawiać. Pan nigdy jej o to nie pytał. Nigdy o tym nie rozmawialiście. Czy tak? – Mario Ney skinął głową. – Ale pan i pańska żona musieliście o tym rozmawiać.

– No... zdarzało się.

– Wierzyliście Pauli? Pan jej wierzył?

– A dlaczego miałyby nas okłamywać? – Winter nie odpowiedział. – Nie ma chyba powodu, żeby kłamać w takich sprawach. Raczej wręcz odwrotnie.

– Co pan ma na myśli?

– Chyba pan dobrze wie, co mam na myśli. Dlaczego miałyby trzymać w tajemnicy swój związek? – Ney spojrzał na żonę. – Przecież nie bylibyśmy przeciwni. Jak uważasz, Elisabeth? Nie mielibyśmy chyba nic przeciwko temu.

Elisabeth Ney wybuchnęła płaczem. Winter nie mógł rozstrzygnąć, czy była to reakcja na słowa męża, czy coś, czego wcześniej czy później należało się spodziewać. Stwierdził za to, że potrzebuje fachowej pomocy. Wyjął z kieszeni marynarki komórkę i wybrał numer.

Z Vasaplatsen dobiegało wycie syreny. Winter wszedł do mieszkania, ściągnął płaszcz i usiadł w ciemności. W ciągu

minuty, zanim syrena zaczęła wyc, zdążył się wyciszyć. Potem zadzwonił telefon.

Nie spojrzął na wyświetlacz. To mógł być każdy.

– Tak?

– Cześć!

– Cześć, Angela.

Syrena wyła coraz głośniej. Wznosiła się ponad blok, wkradała do mieszkania.

– Co to za wycie? Pali się?

– Karetka – odparł.

– Co robisz?

– Teraz? Właśnie wszedłem. Rozebrałem się i już miałem złapać za butelkę whisky.

– Najpierw coś zjedz.

– Kupiłem żeberka jagnięce.

– Co dziś robiłeś?

– Wysłałem pewną kobietę do szpitala – odparł i opowiedział Angeli o wszystkim.

Syrena umilkła przy Aschebergsgatan, w drodze do szpitala uniwersyteckiego Sahlgrenska.

– Ta dziewczyna, Paula, musiała być bardzo samotna – stwierdziła Angela.

– Jeśli to prawda – odparł Winter. – Wcale nie musiało tak być. Jej przyjaciółka tak nie uważa.

- A ty sądzisz, że miała chłopaka?
- Jeśli tak, to chciałbym się z nim spotkać.
- Jak go znajdziecie?
- Prędzej czy później dotrzemy do niego. Jeśli naprawdę istnieje.
- To może zająć trochę czasu.
- Tak. Nawet bardzo dużo. To i inne rzeczy. Mnóstwo przy tym roboty.
- Mamy jeszcze trzy dni do powrotu. Zdążę poinformować klinikę – powiedziała Angela.
- O czym?
- Że nie mogę podjąć tej pracy. Że nie dostaniesz urlopu. Choć o tym ostatnim nie muszę wspominać.
- Angela...
- Zdążę też zrezygnować z mieszkania. Nie będzie żadnych problemów, bo jeszcze nie podpisałam umowy. Miałam to zrobić jutro.
- Nie wiem nic o mieszkaniu. Nic nie mówiłaś.
- Bo miałam to zrobić teraz. No i zrobiłam.
- Gdzie to jest?
- W Marbelli.
- Z balkonem? Z tarasem?
- A czy to ma jakieś znaczenie?
- Mamy plan – powiedział Winter. – Trzymajmy się go.

– Inni raczej nie będą się go trzymać – odparła Angela. – Nie muszę mówić którzy.

Nie musiała. Wiedział, o kogo jej chodzi. Ci inni to ofiara, sprawca, rodzice, chłopak i zaginieni. Może zima na Wybrzeżu Słońca należy tylko do świata jego marzeń. A może na przyszłość dobrze byłoby jeszcze w trakcie dochodzenia przekazywać je komuś innemu? Może rozwiązanie, wyjaśnienie czy rozwikłanie jest blisko. Czuł, że już prawie wie. Że jest tak, jak podejrzewali – on i Halders. Czegoś nie zauważyli i nie zrozumieli. Jeśli im się uda to zrobić, będzie mógł wzbic się ponad chmury i polecieć w stronę słońca.

W nocy znów usłyszał syrenę. Wybudził się ze snu, w którym ktoś mu powiedział, że na poprzednim skrzyżowaniu źle skręcił. Nie widział twarzy tego kogoś. Pomóż mi, powiedział do niego. Sam możesz sobie pomóc, usłyszał. Tylko ty możesz sobie pomóc. Głos ledwo dostrzegalnej postaci. Muszę zapalić światło, pomyślał. Wtedy zobaczę, jak on wygląda. Ten głos brzmi znajomo. To ktoś, kogo znam. Jeśli zobaczę twarz, to rozwiążę tę sprawę. Zdamę rozwikłać zagadkę, zanim wrócę do skrzyżowania, żeby wybrać inną drogę.

Kiedy się obudził, wciąż pamiętał ten sen. Z dołu dochodziło wycie syreny.

Leżał z zamkniętymi oczami. Jaką sprawę prowadził, kiedy spotkał tego kogoś? We śnie nie było o tym mowy. Kim był ten

obcy, który w zasadzie nie był obcym?

Usiadł na łóżku. Jeszcze się nie obudził do końca. Nie było to dla niego niczym nadzwyczajnym. Kiedy spał, kiedy śnił, jego mózg pracował. Ale czy sen może wskazać drogę na skrzyżowaniu? Nie miał pojęcia. Wciąż tego nie wiedział.

Nigdy nie widział twarzy, której szukał w snach.

Wycie syreny rozpląnęło się w mroku nocy. Winter pochylił się na bok i wziął ze stolika zegarek. Piętnaście po trzeciej. Noc wchodziła w godzinę wilka.

Wiedział, że nie będzie mógł zasnąć, jeśli się nie napije wody i nie wyjdzie na balkon zapalić. To nie był pierwszy raz. Nie będzie też pewnie stał tam sam. Na balkonie po drugiej stronie Vasaplatsen nieraz widział żarzący się ogarek. Zawsze w godzinie wilka.

Parkiet pod stopami był miękki i ciepły. Wiele lat temu podczas urlopu sam wycyklinował wszystkie podłogi. Potem położył trzy warstwy lakieru, a potem ruszył w stronę słońca, wciąż oszołomiony chemikaliami, które na miejscu zamienił na łagodniejsze środki odurzające o stabilniejszym działaniu.

Kąpał się w godzinie wilka. Na plaży nad Morzem Śródziemnym było to zupełnie inne uczucie. Księżyc był większy.

Ale Angela nie wyglądała inaczej. Była piękna w każdym świetle, o każdej godzinie.

Wtedy jeszcze nie mieszkali razem. Ale niebawem miało się to zmienić. Odświeżanie podłogi było częścią tej zmiany. To i wiele innych rzeczy. Nie chciał już żyć samotnie. Już nie uważał samotności za wieczną i wierną przyjaciółkę. Doszedł do takiego wniosku, kiedy jechał cykliniarką po swojej samotnej podłodze.

Teraz po niej szedł. Tu i tam leżały jakieś zabawki.

W kuchni napełnił szklankę wodą z dzbanka. Pływało w niej kilka plasterków cytryny. Znowu dobiegło go wycie syreny.

Ostatnia doba była rekordowa pod tym względem. Nie słyszał o żadnym większym wypadku ani o nagłym wybuchu epidemii.

Usiadł przy kuchennym stole. Przez chwilę próbował o niczym nie myśleć, ale mu się nie udało. Głowę zaprzętał mu Mario Ney. Co się z nim stanie, kiedy minie szok? To, co się stało z jego żoną, widzieli wczoraj.

Kim stanie się Mario? Kim jest teraz? Było w nim coś, co z szokiem nie miało nic wspólnego. Odrzucał każdą formę rozmowy z terapeutą. Jedyne, na co musiał się zgodzić, to konwersacje z nim, ale i w tych rozmowach luki między słowami były za duże. Jak wyrwy. Neyowie ukrywali wielką tajemnicę. Może wiele rodzin tak ma. Ale rzadko kiedy ich tajemnice prowadzą do morderstwa. Czy sekret Neyów doprowadził do morderstwa? Bezpośrednio lub pośrednio?

Myślał o Pauli. Widział jej twarz. Samotną twarz, jeśli można

się tak wyrazić. Wszystko jest samotne – twarze, ciała, byty.

Ludzie wloką się przez życie tak jak potrafią. Spotkał wystarczająco wielu, którzy nie dali rady, nie przekonali się do racji istnienia. A życie jest ciężarem. Tylko idiota może uważać inaczej. Ludzie nie wytrzymują. Objawia się to na wiele sposobów. Nie, nie stałem się cynikiem. Wciąż wierzę. Czasami wierzę nawet w Boga. Czasem nawet chodzę do kościoła. Który zdeklarowany cynik tak robi?

Nie wierzył w szatana. Wierzył w ludzi. To może być jedno i to samo. I to właśnie przerażało go w jego pracy. Twarze, ciała, byty – takie jak on, Angela, ich dzieci, przyjaciele, policjanci.

I mimo wszystko – szatan. Złe czyny istnieją. Twarz pozbawiona życia w jakimś pieprzonym hotelu w małej metropolii na krańcu świata to jeden z przykładów. Boże, i ta biała ręka. To wiadomość, której nie mógł odczytać. Żaden z palców na nic szczególnego nie wskazywał.

Mimo wszystko wiedział, że się dowie. W końcu pozna odpowiedź albo jej część, część rozwiązania zagadki. Właśnie tak. Na myśl o tej chwili poczuł niepokój. Już się bał tego, czego się dowie. W odpowiedzi będzie coś, o czym nie chciałby się dowiedzieć, w ogóle, nigdy w życiu. Dlaczego tak myślę? Jakim cudem? Co podejrzewam? Nie chcę wiedzieć, pomyślał i spojrzał na zegar ścienny. Minęła kolejna godzina wilka.

Kiedy przejeżdżał na rowerze przez Heden, minął grupę ludzi

grających z rana w piłkę nożną. Wrześnie słońce świeciło subtelnie, jego światło zaokrągliło kontury miasta, upodobniło je do piłki, która właśnie leciała w jego stronę. Spadła na ziemię i odbiła się od przedniego koła roweru.

– Podaj piłkę, Winter!

Podniósł wzrok.

Machał do niego strażnik. Rozpoznał jego i kilku innych graczy w niebieskich dresach. Oddział kamikaze zrobił sobie przerwę. Ale przerwa była dla nich pojęciem względnym.

Zawsze brali grę na poważnie. W ciągu pół godziny wielu z nich miało odnieść rany – niejeden dostanie z kolana w podbrzusze, z łokcia w śledzionę albo z buta w kostkę.

– Byłoby lepiej dla waszego zdrowia, gdybym ją zatrzymał! – krzyknął Winter, podnosząc piłkę.

– Uważaj, żeby krawat nie zaplątał ci się w szprychy, stary! – krzyknął jeden z graczy.

Kilku innych się uśmiechnęło.

Nie miał krawata ani marynarki. Ani płaszcza. Ale miał ugruntowaną opinię.

Bez słowa rzucił piłkę na boisko.

– Pozdrów Haldersa i powiedz, że jesteśmy gotowi. Kiedy tylko będzie gotowy – zawołał jeden z graczy.

Kilku innych znów się uśmiechnęło.

Winter wiedział, co miał na myśli. Wydział śledczy stworzył

własną drużynę piłkarską. Rozpadła się po dziesięciu minutach. Halders zaprotestował przeciwko decyzji sędziego, dając mu kopa w tyłek. W efekcie drużyna została rozwiązana, a Haldersa wykluczono z rozgrywek na cztery lata.

– Będzie mógł grać za dwa lata! – odpowiedział Winter.

– Wie, gdzie nas znaleźć!

– Tęskni za wami!

– Możesz do nas dołączyć, jeśli chcesz, Winter!

– Pomyślę o tym!

Usłyszał śmiechy. Wesoły oddział.

Kiedy zostawiał rower przy komendzie, spotkał Ringmara idącego na parking.

– Ja też powinienem jeździć na rowerze – powiedział

Ringmar.

– No to jeźdź.

– Myślisz, że to takie łatwe?

Przeszli przed radiowozem. Kierowca podniósł rękę na powitanie. Jesteśmy jak jedna wielka rodzina, pomyślał

Winter. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

Uśmiechnął się.

– Co cię tak bawi?

– Nic, Bertil.

– Niedobrze, jeśli człowiek śmieje się z niczego.

– Pomyślałem tylko, że nasza paczka jest jak duża szczęśliwa

rodzina.

– No to jest wspaniale.

– A co słychać u naszej rodziny z Tynnered? Przejeżdżałeś obok szpitala?

– Spała. Tabletki wciąż działały.

– Jak jej minęła noc?

– Spokojnie. Nie powiedziała ani słowa.

– A powie?

– Czy powie choć słowo? Nie wiem, Erik. – Ringmar znów przeszedł przed radiowozem. Kierowca i pasażer pomachali.

Winter i Ringmar odpowiedzieli tym samym. – Może ma nam coś do powiedzenia? – dodał Ringmar, obserwując samochód skręcający w Skånegatan.

– I to na swój sposób – odparł Winter.

– Hm... Albo i nie.

Wrażenie, że się jest śledzoną. Uczucie-bycia-śledzoną. Skąd się brało? Chyba miało jakieś podstawy?

Wrażenie, że po szyi wieje wiatr. Jak czyjś oddech.

Kiedy się odwróciła, nie było żadnego wiatru. Nic tam nie było, tylko zwyczajność i wszystko, co do niej przynależy. To, co rzeczywiste. To była rzeczywistość, którą potrafiła rozpoznać.

A to wrażenie było jej obce.

Tam? Czy tam? Był tam ktoś? Czy ktoś tam stał i patrzył na nią, kiedy przechodziła?

Czy ktoś stał pod jej blokiem? Pod jej drzwiami?

Wczoraj wieczorem stała i wyglądała przez okno. Zgasiła wszystkie lampy w mieszkaniu. Oświetlenie wokół bloku było słabe, tworzyło coś w rodzaju złotej mgły albo powłoki przykrywającej jesienny krajobraz. Na wzgórze wjeżdżał samochód. Widziała jego światła, zanim one zobaczyły ją.

Wjechał do garażu, ktoś wysiadł, zasunął ciężkie drzwi i poszedł w stronę bloków stojących niżej na wzgórzu. Czasami widać je było do połowy, czasami w ogóle. Kilka razy pomyślała, że pewnie wolałyby stać w centrum niż tu, na górze. Ot, takie zabawne refleksje.

Ale teraz, kiedy tak stała w ciemności i wyglądała przez okno, nie było jej do śmiechu. Wpadłam w histerię? Czy tamta... sytuacja sprawiła, że boję się wszystkiego? Może zaczynam się bać wszystkiego. Również siebie. Może nie powinnam tu dalej mieszkać? Może wyjadę z miasta? Jest wiele innych miejsc.

Innych krajów.

Tam!

To była twarz.

Boże, to nie jest żadna twarz.

To co to było?

Teraz nie ma tam już nic.

Kiedy się gapisz na tamto drzewo, może się stać czymkolwiek.

Może zacząć chodzić. Stać się... twarzą. Twoja wyobraźnia

może zrobić z niego, co tylko zechce.

Zadzwonił telefon. Jej telefon! Wzdrygnęła się. Już miała zasunąć zasłonę, którą nieświadomie cały czas mocno ścisnęła w rękę. Zauważyła światła samochodu za wzgórzem, jak dwa reflektory. Po chwili nie było po nich śladu. Ale usłyszała syrenę. To musiała być karetka. Pewnie jechała do szpitala Sahlgrenska.

Podeszła szybko do telefonu i podniosła słuchawkę.

– Halo? Halo? – Żadnego odzewu. Szumiało, jakby wiał wiatr.

– Halo? Kto mówi? Halo?

Usłyszała karetkę za oknem. Skądś wyjeżdżała.

Usłyszała ją również w słuchawce.

Wyła w tle po drugiej stronie linii.

Na biurku czekała na Wintera wiadomość.

Zanim zapukał, usłyszał kasznięcie za drzwiami.

Birgersson siedział za biurkiem. Coś niespotykanego.

– Usiądź, Erik.

– Chyba stanę przy oknie. Tak dla odmiany.

Birgerssonowi nie było do śmiechu.

– Pół godziny temu rozmawiałem z Mariem Neyem.

– Tak? I co?

– Powiedział, że ty i Bertil wywołaliście u jego żony załamanie nerwowe.

– Użył takiego słowa? Powiedział, że wywołaliśmy?

- Co się stało? – spytał Birgersson.
- Popelniliśmy błąd. Ale nie wczoraj. Powinniśmy byli od razu dopilnować, żeby jej zapewniono opiekę.
- Zapowiedział, że złoży na nas skargę. Na ciebie.
- I co mam na to powiedzieć?
- Mógłbyś chociaż powiedzieć, jak mamy to skomentować, kiedy prasa zacznie wypytywać.
- My? Jak zwykle to ja będę musiał się wypowiedzieć.
- Po coście tam znów pojechali, Erik? Bez zapowiedzi?
- Mnie pytasz? – Winter odszedł od okna i pochylił się nad biurkiem. – To chyba jedna z twoich metod: nie dzwoń wcześniej, dzwoń tylko do drzwi.
- To zależy od sytuacji – odparł Birgersson.
- I ta sytuacja tego wymagała – powiedział Winter. – Jest w tej rodzinie coś, co musimy rozgryźć. Jak najszybciej, nawet w tej chwili. Nie pojechałem tam z Bertilem, żeby pobić Neyę. Wpuściła nas jego żona. Zadawaliśmy pytania. Ona odpowiadała. Nagle przyszedł jej mąż Bóg wie skąd i potraktował nas jak włamywaczy.
- Gdzie był?
- Nie spytaliśmy.
- Jak ona się czuje?
- Na razie śpi. Później spróbujemy z nią porozmawiać.

Musimy, Sture.

– Hm...

– Nie sędę, żeby złożył skargę. Ty też w to nie wierzysz.

– Jedną już złożył. Mnie.

– I niech tu pozostanie.

Winter się wyprostował. Przygotowywał się do wyjścia.

– Erik?

– Tak?

– Ech... to, o czym rozmawialiśmy kilka dni temu...

zapomnijmy o tym, co?

– O czym?

– Właśnie o tym.

– Aaa, o tym – powiedział Winter, stojąc w drzwiach. – To

była tylko krótka pogawędka o życiu.

PODCZAS PORANNEGO SPOTKANIA ROZMAWIALI

O SAMOTNOŚCI PAULI. Lista jej znajomych była krótka. Nie musiało to wcale oznaczać, że była samotna, ale żadna z osób, z którymi rozmawiali, nie znała jej naprawdę dobrze.

– A Nina Lorrinder? – spytał Halders.

– Nie wydaje się – odparł Ringmar.

– Porozmawiam z nią po południu – zapowiedział Halders.

– O czym? – spytał Bergenhem.

– O najlepszym przepisie na danie z makaronu – odparł Halders.

– Mówię poważnie – powiedział Bergenhem.

– Nie podejrzewaj wszystkich o niecne zamiary, Fredrik – powiedziała Aneta.

– Sądzę, że wie więcej, niż mówi – odparł Halders. – Zarówno o Pauli, jak i o jej chłopaku. Albo chłopakach.

– Albo dziewczynie – dodała Aneta. – Może miała dziewczynę. I dlatego była taka skryta.

– W dwudziestym pierwszym wieku? – Halders przeleciał wzrokiem po całej grupie. – Kto by się tego wstydził w dzisiejszym świecie? Kurde, geje i lesbijki stoją teraz w kolejce, żeby się ujawnić! Przy drzwiach szafy panuje straszny ścisk!

– Ona mogła być inna – zauważyła Aneta. – Może nie chciała

się z tym obnosić.

– Ale przecież rozmawialiśmy z jej znajomymi z pracy –

odparł Halders. – Nikt nie robił żadnych aluzji.

Aneta wzruszyła ramionami.

– Doszliśmy do wniosku, że była raczej samotna –

podsumowała.

– I właśnie w związku z tym chcę przycisnąć Ninę Lorrinder –

powiedział Halders.

– Byle nie za mocno – dorzucił Bergenhem.

– Też teraz mówisz poważnie, Lars?

Bergenhem skinął głową.

– A tak przy okazji, kiedy ty masz zamiar wyjść z szafy?

Bergenhem aż się wzdrygnął. Już otworzył usta, kiedy wtrącił

się Winter:

– Daj spokój, Fredrik!

– Tylko żartowałem – odparł Halders.

Od razu po spotkaniu Winter i Ringmar zmyli się z komendy.

Winter zaproponował, żeby porozmawiali gdzie indziej. Może

też trochę pomyśleli.

Pojechali do Gullbergsvass. Ringmar zaparkował przy

gazometrze. W powietrzu unosił się silny zapach snusu

z pobliskiej fabryki papierosów.

Przeszli przez ulicę i ruszyli wzdłuż nabrzeża. Zardzewiałe

łodzie kołysały się rytmicznie. Na niektórych mieszkali różni

społeczni outsiderzy. Ringmar kiwnął głową w stronę jednej z nich. Kiedyś zapewne pływała po morzu. Teraz cała zardzewiała. Nikt na niej nie mieszkał. Okna świeciły pustką, szyby poczerniały. Mewa wzniosła się z pokładu w powietrze i z ochrypłym skrzeczeniem poleciała na drugą stronę rzeki.

W tle przepływał prom. Zaczęło mżyć. Winter podniósł kołnierz płaszcza. Spojrzał w niebo i zobaczył, że na północy się rozjaśnia, a deszczowa chmura zmierza na południe. Nagle przestało padać. Zapalił corpsa. Dym wznosił się nad ulicą i podążał za deszczem.

– Tam mieszkała ta striptizerka, w której zakochał się Bergenhem – powiedział Ringmar, kiedy mijali do połowy zatopioną łódź.

Winter skinął głową. Bergenhem nie raz wpakował się w tarapaty. I to poważne. Na statku, w barze i gdzie indziej.

W końcu otarł się o śmierć. Ten incydent wciąż siedział

Winterowi w głowie. Ostatnio nawet zbyt często o nim myślał.

To był przykry wypadek. Ale Bergenhem się podniósł i poszedł dalej. Wszyscy poszli dalej. Czasami Winter nie rozumiał, dlaczego tak jest. Jakby człowiek żył w środku wojny, przeżył, potem się poddał, znów przeżył i znów się poddał.

– Może podczas następnego spotkania powinieneś być bardziej stanowczy – dodał Ringmar, odwracając głowę w stronę Wintera. – Chodzi mi o dyscyplinę.

Winter wyjął cygaro z ust.

– Masz na myśli Haldersa?

– Tak... i Bergenhema.

– Halders lepiej myśli, kiedy nie zamyka ust – powiedział

Winter z uśmiechem. – Popatrz na nas.

– To się staje zbyt osobiste – odparł Ringmar. – Bergenhem
wziął to do siebie.

– Hm...

– Halders przekroczył pewną granicę.

– Bergenhem jest gejem?

– Tego nie wiem.

– To jego sprawa – powiedział Winter.

– No właśnie. A nie na przykład Haldersa.

– Lars jest młodym, wciąż poszukującym mężczyzną. Nie

sądzę, żeby był gejem – powiedział Winter i znów się

uśmiechnął. – A jeśli nawet, to mam to gdzieś.

– Ale on pewnie nie – odparł Ringmar. – Znaczący, nie ma tego
gdzieś.

– Myślisz, że chciałby z kimś o tym porozmawiać? – spytał

Winter.

Ringmar rozłożył ręce.

– Hanne wraca po świętach.

– Tak?

Hanne Östergaard przez wiele lat była policyjnym pastorem

i opiekunem duchowym. Czasami, przy skomplikowanych sprawach, Winter ściśle z nią współpracował. Pomagała i jemu, i innym. Przez ostatnie dwa lata była pastorem marynarzy w Sydney. Kiedy dostała tę pracę, powiedziała o tym Winterowi. Spytał, czy można uciec od podziemnego świata Göteborga, a ona odparła, że nie. Nie znaleźli nikogo na jej miejsce. Tak to właśnie wygląda w policji. Musieli poczekać ze swoimi wewnętrznymi rozterkami. Może z czasem mijały same z siebie.

Nad barakami po drugiej stronie rozwinęła się sieć czarnych ptaków. Wyglądała jak kolejna deszczowa chmura. Winter usłyszał sygnał holownika. Na wodzie syreny brzmiały inaczej. – Nie chcę być stanowczy – powiedział Winter, po czym zaciągnął się cygarem i wypuścił dym. Tym razem poleciał nad wodę. Wiatr zmienił kierunek. – To prawie zawsze źle się kończy.

Ringmar kopnął do wody mały kamyczek. Zrobił to tak, że udało mu się puścić trzy kaczki.

– Długo ćwiczyłeś? – spytał Winter.

– Nie widziałeś, co potrafię lewą ręką.

Winter zobaczył, jak chmara ptaków zawraca na południe.

Leciały prosto na niego. Wciąż nie widział, czy to wrony, sroki, czy kawki. Usłyszał, jak trzepoczą skrzydłami. Brzmiało to jak drugi wiatr.

– Napisała, że stanie się jak ptak – powiedział, śledząc wzrokiem przelatujące mu nad głową ptaki. Leciały na południe, stawały się coraz mniejsze, wreszcie zaczęły znikać na tle szarego nieba. – Że stanie się jak ptak przelatujący za oknem.

Ringmar nie odpowiedział. Winter przeniósł wzrok z nieba na niego. Wyglądał, jakby zbladł. Może to wina światła. Wszystko w nim bladło.

– Przeanalizowaliśmy ten list na wszystkie możliwe sposoby, ale niewiele nam to pomogło – mówił dalej Winter.

– Nigdy się z czymś podobnym nie spotkaliśmy – odparł Ringmar.

– Może dla nas tak jest lepiej.

– Jakim cudem, Erik?

– Nie mamy punktu zaczepienia. Czasem to dobrze.

Ringmar znów kopnął kamień. Tym razem nie doleciał do wody. Minęli mężczyznę na skuterze. Nie odezwał się do nich.

Winter się odwrócił i zobaczył, jak zatrzymuje się przy jakiejś łodzi – przy małym, świeżo pomalowanym kutrze rybackim.

Wyglądała jak na kuter przystało. Mężczyzna miał na głowie czerwoną czapkę. Zniknął pod pokładem. Ta łódka może dopłynąć do równika, pomyślał Winter. Wygląda na to, że tak właśnie robi.

– Są inne listy? – spytał Ringmar i wycelował nogą w kolejny

kamień, ale nie kopnął.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem... Może to, że napisała wcześniej coś podobnego...

i nie chodziło jej oczywiście o morderstwo ani o porwanie... Że już kiedyś zwracała się w ten sposób.

– Do kogo?

– Do rodziców.

– Chybaby nam o tym powiedzieli – odparł Winter.

Ringmar milczał. Winter usłyszał silnik skutera. Odwrócił się i zobaczył, że mężczyzna w czapce zawraca i ich mija.

W bagażniku miał pełny worek na śmieci. Coś nieznośnie w nim brzęczało.

– Nie mogą przecież wszystkiego ukrywać – dodał.

– Skąd miała pieniądze na mieszkanie? – spytał Ringmar.

To Mario Ney podpisał umowę najmu ze spółdzielnią w Guldheden.

Był

właścicielem

mieszkania

w dziewięćdziesięciu procentach.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– To było mnóstwo pieniędzy.

– Spadek z Sycylii? – zastanawiał się Winter.

Ringmar się uśmiechnął.

- Byłeś tam, Erik?
- Tak. Jakieś dziesięć lat temu. W Taorminie. Ale to raczej nie jest Sycylia.
- A co?
- Marzenie o niej. W rzeczywistości tak nie wygląda.
- Ciekaw jestem, jak wyglądała rzeczywistość Ney'a.
- Nie chce o tym rozmawiać.
- No właśnie.
- Zrobił to już kiedyś? – spytał Ringmar i stanął. Mokry bulwar jaśniał blaskiem. Wyglądał jak kamienna wiejska droga.
- Morderca? Czy zabił? O to ci chodzi?
- Tak. I czy zmusił ofiarę albo ofiary do napisania listu pożegnalnego?
- To gdzie są te listy?
- Może nigdy nie zostały znalezione – odparł Ringmar.
- Winter myślał. Znow zaczęło padać, ale tak lekko, że nie było widać, kiedy krople docierają do ziemi.
- Sądzi, że są gdzieś rodziny, które mają listy od bliskich i nie dały o tym znać?
- Nie wiem, czy sięgam myślami aż tak daleko.
- Powiedzmy, że ktoś zaginął, wyjechał, może uciekł. Rodzina dostaje list, w którym jest mowa o miłości i przebaczeniu.
- Ale ten ktoś nigdy nie wraca, tak?
- Rodzina sądzi, że zniknął z własnej woli – ciągnął Winter. –

On albo ona żyje, ale nie chce się kontaktować z rodziną. Chce żyć w spokoju.

– To nie jest wcale takie rzadkie – odparł Ringmar. – Takie pożegnanie też pewnie nie.

– Są takie listy pożegnalne? – spytał Winter. – Podobne do jej listu?

– Nawet nie chcę o tym myśleć.

– Podstawowe pytanie brzmi: skąd możemy się tego dowiedzieć?

– Nie od prasy – powiedział Ringmar.

– Nie, to byłoby zbyt ciężkie do strawienia. Ludzie za bardzo by się przestraszyli. Można tak powiedzieć? Że ktoś jest za bardzo przestraszony?

Ringmar nie odpowiedział. Prawie doszli do mostu. To, co z daleka wyglądało na małe, teraz było ogromne. Z góry dobiegał nieznośny szum samochodów.

– To tak jak z ręką – odparł Ringmar. – To coś, o czym nie możemy powiedzieć publicznie.

Biała ręka. Poprzedniego dnia Winter znów ją obejrzał. To jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie widział podczas dochodzenia.

Ręka biała jak świeży śnieg. Czysta, nietknięta. Po głowie chodziło mu słowo niewinna. Ale ono akurat nie było dobre.

– Śniła mi się dzisiaj – ciągnął Ringmar. – Machała do mnie.

Stali pod mostem. Huk nad ich głowami przypominał uderzenia łańcuchem o żelazo. Mżawka wisiała nad rzeką jak mgła. Winter widział cienie mew prześlizgujące się w powietrzu między brzegami. Znow zawyła syrena na statku. Zabrzmiała jak głos wieloryba.

Paula sfotografowała się dwa dni przed śmiercią. W budce na Dworcu Centralnym. Szybko, łatwo i tanio.

Winter patrzył teraz na te cztery ekspresowe zdjęcia. Na ostatnią twarz Pauli. Myślał o jej matce, a potem znow o niej. Gdzie chciała z nimi jechać? W podróż? Dobrze jest mieć przy sobie swoje zdjęcia, kiedy się jest w podróży.

Analizował jej twarz. Taka sama, w czterech wersjach. Może na jednym zdjęciu trochę opuściła powiekę. Nie uśmiechała się. Po prostu patrzyła, wprost na niego. Nie wyglądała tak, jakby miała gdzieś wyjechać.

Aneta przewijała nagranie tam i z powrotem. Od tej bijącej z ekranu zieleni, tego marnego światła na Centralnym, bolały ją oczy.

Śledziła każdy ruch kobiety – od chwili, kiedy weszła w kadr, do chwili, kiedy zniknęła.

Śledziła też ruchy mężczyzny.

W pokoju nie było zimno, ale ona marzła. Kiedy przyciskała guziki na pilocie, palce miała lodowate.

Twarz kobiety wyglądała jak maska za okularami

przeciwsłonecznymi i pod peruką. Za cholerę nie były to jej włosy. Zaczynam już używać w myślach takich słów jak Fredrik. Za cholerę. Wystarczy na pewno. Nie trzeba przecież kłać.

Fałszywa blondyna włożyła walizkę do szafki między osiemnastą dwadzieścia dziewięć a osiemnastą trzydzieści jeden. Nie była w przechowalni sama, ale też nie było tam zbyt wielu ludzi.

Aneta zaczęła się przyglądać innym osobom. Obce twarze – widziane z przodu, z profilu. Obce plecy.

Nagle mignął jej płaszcz.

Para butów.

W rogu ekranu.

Płaszcz. Szczegół, ale widoczny.

Buty.

W drugim końcu rzędu szafek. Ktoś tam stał, nie ruszał się.

Przechowalnia zakrzywiała się tam do środka. Powstawała nowa przestrzeń.

Aneta wyjęła płytę z kobietą i zatrzymała film z mężczyzną.

Prawie sześć godzin później przyszedł i zabrał walizkę.

I zostawił rękę. Spojrzała na płaszcz i buty. To mógł być ten

sam płaszcz. Buty były czarne i szerokie. Duże. Numer czterdzieści cztery albo czterdzieści pięć. Włączyła drugi film.

Buty. Czarne i szerokie. Öberg stwierdził, że to numer

czterdzieści cztery. Siedzieli cicho. Obiektyw nie objął nóg mężczyzny. Nagle mignęła dolna część płaszcza, ale buty się nie poruszyły. Co to za marka? Nie była ekspertem od męskiego obuwia. Ale miała talent do obserwacji.

Podniosła słuchawkę telefonu.

– Próbuje się ukryć? – spytał Halders.

– Albo obserwuje – odparł Ringmar.

– Stanie tam nie jest normalnym zachowaniem – powiedziała

Aneta.

– Może próbuje się ogrzać – zauważył Berghem.

– Na dworze był wtedy upał – odparła Aneta.

– Puść to jeszcze raz – powiedział Ringmar.

Obejrzeliby jeszcze raz. Na ekranie mignął płaszcz, ale buty się nie ruszyły. Winter wiedział, że to może być ten sam płaszcz i te same buty.

– Co on tam robi za pierwszym razem? – zaczął Berghem.

– Sprawdza oczywiście – odparł Halders.

– Czy walizka na pewno znajdzie się w szafce?

– Owszem.

– Dlaczego nie wyjmuje jej od razu?

– Nie wiem.

– Dlaczego w ogóle przyszedł tam okrężną drogą? – spytała

Aneta.

– No właśnie – odparł Ringmar.

– Kobieta zostawia w szafce to, co uważamy za walizkę Pauli.

Ten mężczyzna widzi, że ona to robi. Może sprawdza, czy to robi. Później odczekuje sześć godzin, żeby zabrać walizkę.

Dlaczego?

– I dlaczego podwójnie ryzykuje zdemaskowanie? – dodał Ringmar.

– Robi to umyślnie – odparł Winter.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

– To jest film dla publiczności – ciągnął Winter. – A jesteśmy nią my.

– Wyreżyserowali to? – spytał Berghem.

Winter skinął głową.

– To jedyne wyjaśnienie, jakie mi przyszło do głowy. Mieliśmy to zobaczyć. Wiedzieli, że będziemy to oglądać i zastanawiać się, o co chodzi.

– Więc o co chodzi? – spytała Aneta.

– O jakąś diabelską gierkę – odparł Halders. – Bawią się z nami.

– Ale dlaczego? – spytał Berghem.

– To zawsze jest dobre pytanie – odparł Halders.

– Przyjrzyjmy się tym butom – zaproponował Ringmar.

– Wyglądają jak ecco free – odparł Halders.

– Są jeszcze takie? – spytał Berghem

– Każdy dobrze zaopatrzony sklep z obuwem sprzedaje

rocznie ze dwadzieścia par ecco free – powiedział Ringmar.

– To znaczy niewiele – powiedział Bergenhem. – W takim razie mają pewnie stałych klientów.

– Chyba dwadzieścia lat temu – powiedziała Aneta.

– Dlaczego akurat dwadzieścia? – spytał Winter.

– Co?

– Dlaczego pomyślałaś akurat o dwudziestu latach?

– Nie wiem... Erik. Równie dobrze mogłam powiedzieć trzydzieści.

Halders milczał. Przyglądał się butom na ekranie. Wszyscy czekali na powiększenia kadrów. Buty były czyste, wyglądały na nowe. Miały grubą podeszwę.

– Widziałem takie – powiedział Halders. – I to niedawno. –

Odsunął twarz od ekranu. – Gdzie ja je widziałem?

Winter wstał. Małe pomieszczenie wypełniała silna woń kawy.

Właśnie potrącił swój kubek i wszystko wylało się na biurko.

Halders w ostatniej chwili zdążył odskoczyć i uniknąć poparzenia.

– Uważaj, do cholery!

Winter poszedł po papierowe ręczniki.

– Przepraszam – powiedział, wracając.

– Jaką niezdara trzeba być! – powiedział Halders.

– To był wypadek. Przecież nie zrobił tego umyślnie – odparł

Ringmar.

– Kolesię jest chodzącym wypadkiem – powiedział Halders.

– Przecież przeprosiłem – odparł Winter i zaczął wycierać biurko.

– Pomyśl. Mogłyby tu leżeć ważne dowody – ciągnął Halders.

– Odciski palców, ślady krwi, zapiski, podpisane dokumenty.

Odcisk buta.

Winter nie odpowiedział. Po kilku miesiącach w wydziale zaczął się przyzwyczajać do Haldersa. Incydent z kawą był zwykłym wypadkiem. Podejrzewał jednak, że Halders odebrał to inaczej. Taką już miał naturę.

Otworzyły się drzwi i wszedł Birgersson.

– Co tu się dzieje?

– Nic – odparł Ringmar.

– Erik, możesz na minutę? – spytał Birgersson i wskazał kciukiem drzwi.

Winter ruszył za nim korytarzem. Wydawało mu się, że idą strasznie daleko, jakby ochrzan miał dostać dopiero po karnym marszu.

– Usiądź – powiedział Birgersson i stanął przy oknie.

Był późny październik. Z miejsca, gdzie siedział Winter, wyglądało to tak, jakby za oknem ktoś postawił mur sięgający nieba. Tłumił wszystkie dźwięki. Słyszeć było tylko oddech Birgerssona, kiedy zaciągnął się papierosem. Pokój był przesiąknięty tytoniem – starym i świeżym. Na biurku stał

pusty kubek po kawie, obok przepelniona petami popielniczka.

– Zapal sobie, jeśli chcesz – powiedział Birgersson.

Wystarczy, że tu oddycham, pomyślał Winter.

– Spróbuję poczekać do dwunastej – odparł.

– Jak Hemingway – zauważył Birgersson. – Ten pisarz.

– Wiem, kto to.

– Ale w jego przypadku chodziło o wódkę – ciągnął

Birgersson. – Do dwunastej nie pił nic, a później nadrabiał. –

Birgersson się uśmiechnął. – Ale pod koniec kariery osiedlił się

w jakimś miejscu na ziemi i zaczynał chlać już o dziesiątej.

A kiedy ktoś zwrócił mu uwagę, że jeszcze nie wybiła dwunasta,

mówił: Pieprzyć to, w Miami jest dwunasta!

– Rozumiem – powiedział Winter i wyciągnął corpsa.

– Czemu palisz to gówno?

– Przyzwyczailem się.

Birgersson się zaśmiał i zaciągnął papierosem. Okno było

uchylone. Dym wymknął się przez szparę i zniknął na tle

innych odcieni szarości.

– Słyszałem, że znów rozmawiałaś z mężem tej zaginionej

kobiety – powiedział Birgersson.

– Właśnie spisuję przesłuchanie – odparł Winter.

– Nie, właśnie siedzisz tutaj. Ale opowiedz.

– No... nie zaszedłem daleko. Jeśli w ogóle można z nim

gdzieś zejść. Mówi, że czasami się trochę sprzeczali, ale to nie

było nic poważnego.

– Hm...

– Że ona chciała mieć dziecko, a on chciał z tym poczekać.

– Sądziś, że coś ukrywa?

– Właściwie nie wiem. Co by mógł ukrywać?

– Że jest winny, oczywiście.

Winter miał przed oczami Christera Börgego. Czy mógłby zabić swoją żonę, ukryć jej ciało i udawać, że nic się nie stało?

Odgrywać rolę męża zmartwionego zaginięciem?

– To nie jest wcale takie rzadkie, wiesz?

– Wiem – odparł Winter.

– Przycisnąłeś go trochę?

– Jak tylko mogłem.

– Potrzebujesz pomocy?

– Sądzi pan, że coś zrobił? – spytał Winter. – Naprawdę pan tak sądzi, panie komisarzu?

– Nic nie sądzę. To nie żaden sąd. Pytam tylko, czy mamy trochę przycisnąć tego Börgego, żeby sprawdzić, czy coś więcej z niego nie wypłynie.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparł Winter.

– To dawaj go – powiedział Birgersson.

Kiedy Winter wyszedł z komendy, na dworze wiało. Przydałby mu się szalik. W dodatku bolało go ostatnio gardło. Tym bardziej nie chciało mu się wracać do domu na rowerze.

Usłyszał klakson i odwrócił głowę. Zza kierownicy machał do niego Halders.

Podszedł.

– Podwieźć cię?

– Dobra.

Winter wsiadł i Halders ruszył z piskiem opon.

Jechał Nya allén. Za kilka tygodni drzewa będą całkiem nagie.

W powietrzu fruwały czerwone liście.

Winter kaszlnął.

– Przeziębiony?

– Nie wiem.

– Coś wisi w powietrzu. Rano Aneta kiepsko się czuła.

– Nie mamy czasu chorować, prawda, Fredrik?

– Tak, szefie.

– Nie wiem, kiedy ostatni raz nazwałeś mnie szefem.

– A powiedziałem tak kiedykolwiek?

– Chyba w pierwszym roku.

Halders się zaśmiał.

– Tak, zgadza się. Wtedy zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie.

Winter się uśmiechnął.

– Przez jakiś czas sądziłem, że specjalnie wylewasz kawę – ciągnął Halders. – Zdarzało się to zawsze, gdy siedziałem naprzeciwko.

– To dlatego przeniosłeś się na drugi koniec.

– Oczywiście.

– Byłem po prostu niezdarny – wyjaśnił Winter. –

I nieostrożny.

– Coś nowego? – spytał Halders.

– Jesteśmy starsi – odparł Winter i kiwnął głową. – Możesz

się tu zatrzymać.

Halders zjechał na pobocze.

– Za chwilę spotkam się z przyjaciółką – powiedział. – Z Niną

Lorrinder.

– Powodzenia!

– Ona opowie mi więcej.

NINA LORRINDER MIAŁA WE WŁOSACH OPASKĘ.

Błyszczała takim odcieniem czerwieni, jakiego Halders chyba wcześniej nie widział.

Więc spytał.

– Karmazyn – odparła i przyjrzała mu się.

– To tylko tak z ciekawości – powiedział.

– Interesuje się pan kolorami?

– Tata chciał, żebym został malarzem.

Nina Lorrinder utkwiała wzrok w dwukondygnacyjnym budynku po drugiej stronie placu. Parter z kamienia, piętro z drewna. Takie budynki stoją tylko w tym mieście. Dwóch malarzy stało na rusztowaniu i malowało pędzlami fasadę. Ten odcień żółtego Halders już widział.

– Jak tamci – dodał.

Przeniosła wzrok z powrotem na niego.

– Ale na dłuższą metę ta robota niekorzystnie wpływa na zdrowie – ciągnął. – Przynajmniej kiedyś tak było. Farba osadza się w płucach. I w mózgu.

Znów spojrzała na malarzy.

– Można zgłupieć – wyjaśnił Halders. – Oczywiście nie uważam tamtych koleśi za głupich i nie twierdzę, że się tacy staną. Ale lepiej nie ryzykować.

Wciąż nic nie mówiła. Halders się zastanawiał, kiedy mu

przerwie.

– Dlatego zostałem policjantem – podsumował.

– To chyba ironia – odparła.

– Tylko trochę.

Znów się rozejrzała, jakby przystała na rozmowę o byle czym

i nie spodziewała się niczego poza siedzeniem na ławce

i słuchaniem byle czego. Na dworze nie było zimno. Od czasu

do czasu Halders czuł na karku słabe ciepło słońca. Zobaczył

kilkoro staruszków siedzących po drugiej stronie fontanny.

Światło odbijające się od ich woskowych twarzy wydawało się

mocniejsze. Wszystkie miały mniej więcej ten sam wyblakły

odcień żółci, jakim kawałek dalej malarze odnawiali ścianę

budynku. Dobiegała stamtąd muzyka – rock puszczonej

z boomboxa. Halders nie rozpoznał piosenki, było za daleko.

Staruszkowie też nie mogli jej rozpoznać. Należeli do pokolenia

sprzed epoki rock'n'rolla, wcześniejszego niż pokolenie

Haldersa.

Gdyby to on tam siedział, z zeszywniałymi nogami i żółtą

twarzą, ostrożnie odwróciłby głowę w stronę budowy, z której

dochodziłyby dźwięki rock'n'rolla z niezastąpionego boomboxa

robotników. Ale wtedy pewnie nie graliby już takiej muzyki.

Bóg wie co by grali. Może nie byłoby już co grać.

– Pewnie ma pan do mnie pytania – powiedziała Nina

Lorrinder.

– Jak długo zna pani Paulę?

– Powiedział pan tak, jakby żyła. Jakbym ją nadal znała.

Halders nie odpowiedział. Nina Lorrinder spojrzała w stronę malarzy. Schodzili z rusztowania. Wyłączyli muzykę.

– Ale chyba tak jest – ciągnęła, nie patrząc na Haldersa. –

Można tak na to spojrzeć. Można tak czuć. – Popatrzyła na niego. – Rozumie pan, co mam na myśli?

– Tak.

– Jak pan może rozumieć?

– Moją żonę przejechał pijany kierowca. Mamy dwoje dzieci.

– Przykro mi.

– Mnie też było. Było mi wściekle przykro. I byłem wściekle zły. Więc rozumiem panią.

– Też byłam zła – powiedziała.

– Dlaczego?

– Bo to było takie... okropne. Okropne i bezsensowne.

Halders skinął głową.

– Kto mógł coś takiego zrobić?

– Próbujemy się tego dowiedzieć.

– I dlaczego?

– Tego też próbujemy się dowiedzieć.

– Ale jak do tego dojdziecie?

– Robiąc to, co właśnie robimy. Między innymi.

– To się przecież ciągnie tak długo – zauważyła. – Zadajecie

pytania. Później analizujecie odpowiedzi. Nie denerwujecie się,

że to idzie tak powoli?

– Nie tak jak malarz.

Malarze skończyli pracę. Połowa ściany była żółta, ale słońce oświetlało jeszcze niepomalowaną część budynku. Tam ściana wydawała się weselsza.

Staruszkowie siedzący na ławce też już poszli.

– Ale to się przecież ciągnie niemiłosiernie – powtórzyła Nina Lorrinder.

– To jedyny sposób – odparł Halders.

– Chcę wiedzieć już. Kto i dlaczego.

– Więc jak długo zna pani Paulę? – spytał Halders.

Kiedy przechodził przez Kungstorget, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczył numer matki. Albo na displeju, jeśli się chce być modnym. Matka tak mówiła. Winter był tym zaskoczony, a Elsa przejęła nowe słowo.

– Tato!

– Cześć, mała!

– Co robisz, tato?

– Idę na zakupy.

– Co kupisz?

– Chyba jakąś rybę.

– Wczoraj jadłyśmy rybę.

– Super!

- Usmażyłam ją!
- Mądra z ciebie dziewczynka, Elso.
- Lilly dostała mały kawałek. Wypluła go.
- Szkoda, prawda?
- Właśnie to jej powiedziałam!
- I co ona na to?
- Mueeeee!
- Co to znaczy?
- Że chce mleka od mamy!
- Ha, ha, ha!
- Ale mama mówi, że nie dostanie.
- Wiem, kochanie.
- Myślę, że mama robi głupio.
- Lilly musi zacząć jeść ryby. Będzie teraz rosła.
- Ona w ogóle nie jest duża!
- No nie. Nie taka duża jak ty, Elso.
- Będziesz w domu, kiedy przyjedziemy, tato?
- Pewnie.
- Jutro przyjeżdżamy.
- Z tego co wiem, pojutrze.
- Aha.
- Kupiłem ci prezent. Lilly też.
- Ja też kupiłam ci prezent, tato!
- Nie mogę się doczekać.

– Idzie mama. Pa, pa, tato!

– Pa, pa, kochanie.

Usłyszał trzask w tle. I krzyk małego dziecka. A potem głos matki. Miała ręce pełne roboty.

– No – zaczęła Angela. – Wieczorny posiłek za nami.

– Ja jeszcze nie zacząłem.

– Z tego, co słyszałam, idziesz na zakupy.

– Dotarło to aż do ciebie?

– Sztuka dedukcji. Brzmi znajomo?

– Nie.

Lilly znów krzyczała w tle.

– Tu wszystko jest już gotowe – powiedziała Angela. – Będzie drogo, jeśli nie wrócimy jesienią.

– Wszystko gotowe – powtórzył.

– Z pozostałymi sprawa załatwiona?

– Tak – skłamał.

– Kłamiesz.

– Nie.

– Pewnie że tak. Co na to wszystko wujek Birgersson?

– Szczerze? Nie mam pojęcia, co o tym sądzi. Ale dał mi urlop.

Ma teraz kryzys przedemerytalny, więc co innego zaprzęta mu głowę.

– Ale ty chyba nie przechodzisz na emeryturę, Eriku?

– Oczywiście że nie.

- Nie chcę, żebyś kończył karierę. Nie o to mi chodziło...
- Witlinek – przerwał jej Winter. Czytał z plakatu wiszącego przed sklepem, w lewym końcu galerii. – Można zrobić filety z witlinka.
- Przerwałeś mi.
- Lekko oprószone mąką, szybko podsmażone na oliwie z oliwek, z czosnkiem, cytryną i natką pietruszki. Do tego purée z ziemniaków. I riesling z Hunawihru.
- Chyba dobrze sobie radzisz bez nas.
- Tylko do pojutra i ani dnia dłużej.
- To dobrze.
- Tęsknię za wami.
- Tylko nie opróżnij z rozpaczy wszystkich butelek.
- Skończyłem tylko tę z 2002. A właściwie dziś ją skończę.
- Muszę uciekać. Lilly niezbyt dobrze się czuje u babci.
- Co się dzieje?
- Nic.
- Według lekarza nigdy nic się nie dzieje – odparł. – Śmiem wątpić, czy ten zawód jest potrzebny.
- Chcesz się mnie pozbyć dokładnie tak, jak pozbywasz się siebie?
- Dobra, zajmij się Lilly – powiedział, a potem się pożegnali i rozłączyli.

Poszedł do sklepu. Kupił rybę i ruszył do domu przez

Kungsparken. Wierzchołki drzew mieniły się na czerwono i żółto, jak farbowane włosy odzyskujące naturalny kolor.

Niebawem te włosy wypadną i wylądują na ziemi. A później znów wyrosną. Świat jest zadziwiający.

Vasaplatsen był wymarły. Wokół obelisku prawie zawsze było pusto. Tylko czasem ktoś siedział na ławce od południa. To nie było miejsce na odpoczynek. To nie był nawet park, choć wokół było pełno zieleni. Ale on odpoczywał właśnie w tym kwartale. Zawsze tu wracał. Do serca miasta. W środku tego serca było cicho. Jak w oku burzy.

Otworzył drzwi i wsiadł do starej windy. Miała sto lat i była ozdobiona jak książęca karetka. Odkąd tu mieszkał, wjeżdżała z nim niechętnie na trzecie piętro. O ile wiedział, nigdy się nie zepsuła, choć wydawała takie odgłosy, jakby w każdej chwili mogło się coś stać.

Położył paczkę z małymi filetami na kuchennym blacie, wyjął z szafki oliwę z oliwek, czosnek i ziemniaka. Obrał go i pociął na małe kawałki. Otworzył butelkę alzackiego wina i wypił lampkę. Zrobiło mu się zimno i poczuł się odprężony, jakby nagle ktoś, komu ufa, położył mu rękę na czole. Jakby wszystko miało się w końcu samo ułożyć.

Po kuchni rozniósł się przyjemny zapach smażonej ryby i czosnku. Winter dodał jeszcze natkę pietruszki i wycisnął sok z połówki cytryny. Jadł rybę z purée ziemniaczanym.

Smakowało masłem, solą i świeżą fasolką szparagową. Wypił dwa kieliszki wina. Sprzątnął ze stołu i wziął butelkę do salonu.

Na trawie na Vasaplatsen wciąż nikogo nie było. Winter stał na balkonie i palił. Nie widział, żeby po drugiej stronie ktoś robił to samo. Szybko zrobiło się szaro. Na dole pod oknem mnóstwo ludzi czekało na tramwaje. Akurat pod jego mieszkaniem zbiegały się tory. Punkt przecięcia wszystkich linii w mieście, punkt przełomowy. Każdy mieszkaniec tego miasta choć raz w życiu przechodził pod jego oknem. Gdyby spojrział w górę, zobaczyłby go.

Wszedł do środka i rozsiadł się na fotelu. Nalał sobie kolejną szklanekę wina i włączył laptop. Błądził między plikami.

Monitor był jedynym źródłem światła w pokoju.

Zadzwonił telefon.

– Chyba ze dwa lata – odparła Nina Lorrinder.

– Znałyście się dwa lata? – spytał Halders.

Skinęła głową.

– Ale to już mówiłam tej policjantce.

– Wiem.

– I mimo to pan pyta?

– Gdzie zazwyczaj się spotykałyście? Poza kościołem?

– No... w kawiarniach. W kinie. Czasami w pubie.

Halders skinął głową.

– Czasami we Friskis & Svettis3.

– W którym?

3 Związek sportowy zajmujący się promocją aktywności fizycznej i organizujący treningi w swoich klubach w całej Skandynawii (przyp. tłum.).

– Przy Västra Hamngatan.

– Można się tam spotkać? – spytał Halders.

– To znaczy?

– Przy tych wszystkich stękach i jękach.

Nina prawie się roześmiała.

– Jest tam mały bar – odparła.

– I tam się spotykałyście? – Skinęła głową. – Jak to było?

– Nie rozumiem.

– Byłyście same?

– Tak.

– Za każdym razem?

– Tak.

– Była wysportowana?

– A ma to jakieś znaczenie?

Halders nie wiedział. Miało? Nikt tego nie wiedział.

– Chcę się dowiedzieć o Pauli możliwie najwięcej – odparł.

– Nie wiem, czy ja... czy ja ją znałam tak dobrze.

– Dlaczego?

– Chyba nikogo nie chciała dopuścić zbyt blisko.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– No... taka już była.

– To znaczy?

– No... zdystansowana. Chyba. Trochę chłodna. – Nina

spojrzała prosto na Haldersa. – Nie wszyscy są tacy sami.

– To prawda.

– Wolała być sama ze sobą.

– Ale chodziła do Friskis & Svettis – zauważył Halders.

– Tam też chce się przede wszystkim być samemu z sobą, jak zresztą sam pan zauważył.

– Stęki i jęki.

– Zgadza się.

– Wszyscy walczą dla siebie.

Nina zdawała się nie słyszeć jego ostatnich słów. Wyglądało to tak, jakby nagle zatoneła w myślach.

– Jak często się spotykałyście?

– Eee... o co pan pytał?

Halders powtórzył pytanie. Nina znów się zamyśliła. Patrzyła nieobecny wzrokiem.

– Więc? – spytał Halders.

– Coś sobie przypominam...

Halders czekał.

– Kiedy pan pytał, czy siedziałyśmy w barze same...

– Tak?

– Wydaje mi się, że z kimś się spotykała na treningu.

Halders nic nie powiedział. Skinął tylko głową.

Nina Lorrinder wyglądała, jakby przewiercała wzrokiem przeszłość, żeby sobie przypomnieć. Zamknęła oczy, jakby chciała ją przeczyścić. Otworzyła. Spojrzenie miała jaśniejsze.

– Może się myłę.

– Proszę po prostu mówić dalej.

– Kilka razy z kimś rozmawiała.

– Gdzie?

– Kiedy... podczas treningu. Na sali.

– Czy było w tym coś dziwnego?

– Dla Pauli tak.

– To znaczy?

– Nie inicjowała kontaktów. Nie w taki sposób.

– Może to nie ona zaczęła. Może nadepnął jej na palec i po prostu przeprosił. Pewnie zdarzało się tak nie raz.

– Nie wiem...

– Może to jeden ze sposobów podrywania we Friskis & Svettis?

– Tak?

– Czy to nie jest jedno z najsłynniejszych miejsc na podryw?

– Nie mam pojęcia. Nie myślałam o tym.

– Ale zauważyła pani, że Paula z kimś rozmawiała.

– Tak.

– Rozmawiała wystarczająco długo, żeby to panią

zastanowiło? – ciągnął Halders. – Żeby to pani zapamiętała?

– Może to nic nie znaczy.

– Pamięta pani coś więcej? W tej kwestii.

Nina znów zamknęła oczy. Starła się, jak mogła. Halders niemal widział, jak myśli kłębią się w jej głowie. Jak pracują synapsy. Założyła włosy za ucho. Krew niemal rozsadzała jej skronie.

Otworzyła oczy.

– Wyglądało to tak, jakby go znała.

Winter podniósł słuchawkę, spojrzał na zegarek.

To był Torsten Öberg.

– Jest późno, ale wydaje mi się, że to cię zainteresuje.

Dziewczyna z laboratorium pracowała po godzinach i pomyślała, że ta wiadomość mnie zaciekawi.

– Jaka wiadomość?

– Chodzi o krew. Należy do niej – odparł Öberg.

– Co?

– Rozczarowanie, nie?

– Ale ta plama była stara, prawda?

– Tak. Nie mogą dokładnie określić, jak stara, ale na pewno miała więcej niż miesiąc.

– A więc przyniosła linę ze sobą – stwierdził Winter.

– Tego nie wiem – odparł Öberg. – To twoja robota.

– A jakieś inne ślady na linie?

- Żadnych.
- Nie wiemy, czy sama zawiązała pętlę – powiedział Winter.
- Nie. Plama mogła powstać kiedykolwiek.
- Niech to szlag. Liczyłem na te wyniki.
- Nie ty jeden.

Winter usłyszał tramwaj za oknem. Wydawał ciężki, ale dobrze mu znany, uspokajający odgłos. To był ostatni kurs.

Kiedy tramwaje przestają jeździć, to miasto staje się niespokojne.

- Mogliśmy w tym pokoju coś przegapić?
- Mam to odebrać jako zniewagę, Erik?
- Mówiłem do siebie.
- Za głośno.
- Daj spokój, Torsten. Sam porozmawiaj trochę ze sobą.
- Czy w tym pokoju mogliśmy coś przegapić? – powiedział Öberg.
- No i?
- Ale co, Eriku? Ślady? Znaki? Plamy? Nie sądzę. Mogę tylko powiedzieć, że najprawdopodobniej nic nie uszło naszej uwadze. Ale nie jestem na sto procent pewien.
- Hm...
- To był zadbane pokój. Czysty. A z takimi bywa trudniej.

– WIĘC TEN SUKINSYN SKAKAŁ koło niej jak żaba!

– Skakał jak żaba? – spytał Ringmar.

– No, chyba tak. Zresztą nie wiem, jakie ćwiczenia wykonują we Friskis & Svettis – odparł Halders.

Zadzwoił do Wintera od razu po rozmowie z Niną Lorrinder.

– No to masz okazję się dowiedzieć – powiedział Winter.

– Będzie ciekawie.

– Jak szczegółowy jest portret? – spytał Bergenhem.

– Mało szczegółowy – odparł Halders.

– Nie mogła się pomylić? – spytał Ringmar.

– Pomylić się i pomylić. Wszyscy się mogą pomylić. – Halders

wyciągnął ręce do tyłu, jakby już był na treningu. – Ale ona

widziała, jak Paula z kimś rozmawia. I to prawdopodobnie

kilka razy. Jest przekonana, że się wcześniej widzieli. Gdzie

indziej. A Nina Lorrinder nie jest szurnięta. – Halders opuścił

ręce. – Musiałem z niej to wszystko wydrzeć siłą.

– Takich świadków lubimy najbardziej – powiedział Ringmar.

– Tak, jeśli zaczynają mówić – odparł Halders.

Ringmar zmienił pozycję na krześle. Po chwili znowu. Ruchy

Haldersa zarażały. Pewnie za chwilę wszyscy w pokoju zaczną

się gimnastykować.

– To może być ktokolwiek – zauważył Ringmar.

– To właśnie musimy wykluczyć, czyż nie? – Halders rozciągał

ręce za plecami. Chrupało mu w kościach, jakby ktoś łamał

suche patyki. – Albo wręcz odwrotnie.

– Najwyraźniej powinieneś poćwiczyć – powiedział

Bergnhem.

– Gimnastyka łącząca sport z zabawą – odparł Halders. –

Zawsze byłem w niej najlepszy.

– W czym dokładnie?

– Jesteś za młody, żeby to zrozumieć.

– Teraz w ogóle nie rozumiem.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła Aneta.

– Już wróciłaś?

Usiadła obok, nie odpowiedziała. Wyciągnęła notatnik

i podniosła wzrok.

– Pokazałam zdjęcia pracownikom sklepów Leonardsen

i Talassi. Wszyscy są zgodni, że to ecco.

– Byliście tylko w dwóch sklepach? – spytał Halders.

– Nie, ale powiem wam, jak tam sprawa wygląda.

– No więc jak wygląda?

– Ile par sprzedali? – spytał Winter.

– Jeśli mówimy o rozmiarach czterdzieści cztery i czterdzieści

pięć, to w Leonardsenie poszło siedem, a w Talassim dziesięć.

W tym roku – przeczytała Aneta z notatnika.

– A w zeszłym? – spytał Bergnhem.

– Nie sprzedawali tych butów w zeszłym roku.

– Dlaczego?

– Pewnie sądzili, że nikt ich nie będzie chciał. Że zaoferują klientom nową serię.

– Że to koniec ecco free – dodał Halders.

– Ilu klientów płaciło kartą? – spytał Winter.

– Wszyscy poza dwoma.

– To ci dwaj są nam potrzebni – wtrącił Halders.

– Nie byłbym tego taki pewien – powiedział Ringmar.

– Założymy się? – spytał Halders.

– Buty, które widać na nagraniu, mogą nie mieć nic wspólnego ze sprawą – zauważył Ringmar.

– O to też się założymy?

– Bazujemy na tym, co mamy – powiedział Winter. –

Zaczynamy.

Telefon dzwonił dwa razy. Za drugim razem nie podniosła słuchawki.

Poczekwała, aż poranek całkiem się rozjaśni, i poszła w miasto, przez parki. Niewielu ludzi spotkała. Odwracała się. Boże, muszę przestać. Nie mogę iść do przodu, patrząc wstecz.

Czuła lekkie nudności. Nie chciały minąć.

Dokąd mam iść?

Christer Børge nie wyglądał na wystraszonego, kiedy siedział w pokoju przesłuchań. Wygląda raczej tak, jakby już tu był, pomyślał Winter. Choć nie był.

W pokoju przesłuchań było małe okno. Wpuszczało trochę wrześniowego światła. Na obitym filcem stole stał mikrofon.

Jak w studiu. Zresztą pokój pełnił również rolę studia.

– Dlaczego siedzimy tutaj? – spytał Börge. Wcześniej nie zadał tego pytania. W ogóle niewiele powiedział, kiedy Winter do niego zadzwonił i zaprosił na przesłuchanie.

– Tu jest spokojnie i cicho – odparł Winter.

Na początku nie chciał prowadzić przesłuchania. Nie miał jeszcze do tego uprawnień. Do tego trzeba mieć doświadczenie.

Ale Börge nie był podejrzany, a on spotkał się z nim więcej razy niż ktokolwiek inny. To mogło przynieść jakąś korzyść. Tak przynajmniej powiedział Birgersson, zanim Winter przyszedł.

Börge odwrócił się w stronę okna. Nagle jakby się zmienił.

Wyglądało to tak, jakby jego ciało zaczęło zamarzać. Odwinął rękawy i położył ręce na stole. W słabym świetle jego dłonie świeciły mocno na biało, wyraźnie kontrastowały z zielonym obiciem. Winter pomyślał, że wyglądają tak, jakby nigdy nie zostały wystawione na słońce. Jakby były z białego plastiku.

Albo z gipsu.

Po załatwieniu formalności przygotował się do zadawania pytań. Börge wyglądał przez okno. Mógł widzieć tylko chmury.

Żadne drzewo nie sięgało tego piętra. Winter chrząknął.

– Wierzy pan, że pańska żona wróci?

Börge spojrzał na niego.

– Co to za pytanie?

– Proszę spróbować odpowiedzieć.

– Czy ma jakieś znaczenie, w co wierzę?

Wiara góry przenosi, pomyślał Winter. Ale policjant nie może tak myśleć. Raczej ksiądz.

– Czasami ma znaczenie to, jak człowiek sobie radzi z szokiem.

– Co pan o tym wie?

– Jakie były jej ostatnie słowa, zanim tamtego popołudnia wyszła z domu? – spytał Winter.

– Nie pamiętam.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć.

– A czy pan by pamiętał, co powiedziała pana żona, wychodząc do sklepu po gazetę?

– Proszę pomyśleć.

– O czym?

– O tym, o co zapytałem. Co pańska żona powiedziała, kiedy wychodziła.

– Pewnie nie powiedziała nic.

– Zdarzało się tak?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Winter nie odpowiedział.

– O to, czy powiedziała coś na pożegnanie?

– Chcę panu tylko pomóc – odparł Winter.

– Pomóc m n i e?

– Pomóc sobie przypomnieć.

– A jeśli nie ma czego sobie przypominać?

Zawsze jest, pomyślał Winter. Jeśli się chce pamiętać. Ty nie chcesz. A ja chcę wiedzieć dlaczego.

– Powiedział pan wcześniej, że się państwo posprzecjali, zanim pańska żona wyszła.

Börge milczał.

– Że dlatego wyszła.

– Tego nie powiedziałem.

– Że to nie był pierwszy raz.

– Niech pan przystopuje – wtrącił Börge. – Spokojnie.

Winter się uspokoił. Börge też. Jego odpowiedzi mogłyby się wydawać agresywne, gdyby ktoś je czytał spisane na papierze.

Ale nie była od niego agresja. Pod tym względem stenogram z przesłuchania okazałby się niedokładny. Słowa to tylko część rozmowy. Czasem odgrywają mniejszą rolę. Wszystko powinno być nagrywane kamerą, pomyślał Winter. W latach pięćdziesiątych będziemy rejestrować wszystko.

– Czy pańska żona groziła, że odejdzie?

Börge się wzdrygnął. Znów powędrował wzrokiem w stronę okna, ale zatrzymał się w połowie drogi.

Znów spojrzał na Wintera.

– Nie. Dlaczego?

– Chciała mieć dzieci. Pan nie chciał. To nie jest wystarczający powód?

– Nie.

– Sądzi pan, że to nie jest powód, żeby się rozwieść?

– Nie rozumie pan – odparł Börge. – Jest pan po rozwodzie?

– Nie – odpowiedział Winter. Postanowił, że nie będzie

odpowiadał na pytania. Od zadawania pytań jest tu tylko on.

Jeśli przesłuchiwany zaczyna zadawać pytania, to znaczy, że

przesłuchanie schodzi z właściwego toru. Ma być interakcją

jednokierunkową, zakamuflowaną przez rozmowę. Prowadzący

przesłuchanie nie może nic od siebie dawać. Nie może nic

wyjawiać. Nie może powiedzieć czegoś, co go obnaży. Ma brać,

nie dawać. I słuchać. A jednocześnie chodzi o to, żeby zdobyć

zaufanie. Słuchaj opowieści, mówił Birgersson. Wszyscy chcą

opowiedzieć jakąś historię. Ona chce się z nich wydostać.

W końcu nie mogą jej powstrzymać.

– A jest pan żonaty? – ciągnął Börge.

– Jak często żona mówiła, że chce mieć dzieci? – spytał

Winter.

– A więc nie jest pan żonaty – stwierdził Börge. – Niech się

pan ożeni. Może wtedy się pan czegoś nauczy.

– Czego? – spytał Winter.

– No... na przykład tego, jakie są kobiety. – Jego spojrzenie

szukało ucieczki. Znów powędrowało w stronę okna. – Tak się

człowiek uczy.

– Więc jakie są?

– Sam się pan dowie.

Winter sądził, że Børge nie ma racji.

– Pewnych rzeczy sam się pan musi dowiedzieć.

– Uważa pan, że wszystkie kobiety są takie same? – spytał

Winter.

Børge nie odpowiedział. Zdawał się obserwować coś za oknem, ale nic tam nie było.

Winter powtórzył pytanie.

– Nie wiem – odparł Børge.

Chyba nie dostrzegł sprzeczności.

– Jaka była pańska żona w porównaniu z innymi kobietami?

– spytał Winter.

– Kochała mnie – odparł Børge i spojrzał Winterowi prosto w oczy. – To jedyne, co ma tu jakieś znaczenie, nie?

Lobby było puste, jakby hotel został właśnie zamknięty. Za

biurkiem stał młody recepcjonista, ten, który znalazł Paulę

Ney. Bergström, nazywał się Bergström. Nazwisko z północy.

Zresztą chłopak mówił tamtejszym dialektem. Wszyscy

stamtąd mają w nazwisku „ström”⁴ połączone z jakimś innym

słowem odnoszącym się do przyrody. Na północy jest dziko

i pięknie. Pewnego dnia tam pojedzie, przez Sztokholm. Pokaże

dzieciom, czym naprawdę jest śnieg. Elsa widziała go w swoim

pięcioletnim życiu łącznie przez dwa tygodnie. Lilly nigdy. Nie zobaczą go również tej zimy. Ale będzie jeszcze mnóstwo okazji.

– Zamykamy za dwa tygodnie – powiedział Bergström.

– Szybko.

Bergström wzruszył ramionami.

– Hotel wygląda, jakby już był zamknięty – powiedział

Winter.

Bergström znów wzruszył ramionami. Jeśli jeszcze raz tak zrobi, będzie to znaczyć, że ma tik nerwowy.

– Jak leci? – spytał.

Recepcjonista chciał znów wzruszyć ramionami, ale się powstrzymał.

– Nie za dobrze – odparł. – Właściwie nie powinno mnie tu być.

– Dlaczego?

– Jestem na zwolnieniu lekarskim. Ale niech pan nie informuje urzędu. Salko zachorował, a tu już nikogo innego nie ma.

– A jacyś goście jeszcze są?

– Para przedstawicieli handlowych. Ale teraz załatwiają interesy na mieście.

Winter zobaczył na jego twarzy ledwo widoczny uśmiech.

Zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Piętro może zostać odgródzone do zamknięcia – dodał

Bergström.

4 *Ström* – szw. prąd, np. rzeki itp. (przyp. tłum).

– To miło.

– Nie zależało mi na tym, żeby to tak zabrzmiało.

– Idę na górę – powiedział Winter i ruszył po schodach.

Przekroczył taśmę i otworzył drzwi.

Stał na środku pokoju i wsłuchiwał się w odgłosy z zewnątrz.

Dobiegały z oddali, ale przez podwójną szybę słyszał je dość wyraźnie.

Czy to ona wzięła ze sobą linę?

Morderca wziął linę?

Znali się?

Rozejrzał się. Pokój numer dziesięć. Wszystko znajome, jak w celi. Miejsce, które się zna, ale w którym nie chce się spędzić nawet sekundy życia. Spojrzał w górę, na belkę, przez którą przerzucono linę. Nie zrobiła tego sama.

Nie widział jej wiszącej. Bergström dopilnował, żeby nie musiał jej oglądać. Ale wolałby ją widzieć. Co za cholerne życzenie. Chciałbym, stojąc wtedy tutaj, widzieć ją wiszącą na linie.

Czy czegoś się nauczyłem? Zrozumiałem coś?

Poczuł dobrze znany dreszcz. Przeszedł mu przez kark i przez głowę. Zamknął oczy i patrzył tak, jakby chciał i nie chciał

widzieć. W tej samej chwili poczuł chłód. Od okna, jakby ktoś je właśnie otworzył. Jakby go ktoś obserwował.

Otworzył oczy. Okno było zamknięte. Pokój też był zamknięty.

Wiedział, że jeszcze tam wróci.

Na pamięć znał jej słowa, wszystkie. „Kocham was i zawsze będę was kochała, bez względu na to, co się ze mną stanie.

Zawsze będziecie w moim sercu, gdziekolwiek się znajdę, a jeśli was skrzywdziłam, to proszę o wybaczenie. Wiem, że darujecie mi winę bez względu na to, co się ze mną i z wami stanie, i że kiedyś znów się spotkamy”.

Twarz Elisabeth Ney była blada i skamieniała. Otworzyła na chwilę oczy, ale jej spojrzenie wciąż było... jakby uwięzione.

Zawieszona, uwięziona – Winter nie wiedział, jak to określić.

Siedział na krześle przy łóżku. Na stoliku stał wazon z czerwonymi różami. Nie zauważył w nich karteczki.

– Ach, to pan – powiedziała.

– Pojawiam się wszędzie – powiedział. – Przepraszam za to.

Przymknęła powieki, jakby na znak, że przyjęła przeprosiny.

– Jak się pani czuje?

Jeszcze raz przymknęła oczy. To musiało oznaczać tak. Dwa razy oznacza nie.

– Nie wiem, co tu robię – powiedziała po chwili. – Jak się tu znalazłam.

– Potrzebowała pani odpoczynku – wyjaśnił Winter.

– Jestem chora?

– Nie rozmawiała pani z lekarzem?

– Mówią tylko, że potrzebuję odpoczynku.

Winter skinął głową.

– Ale pana wpuścili.

Powiedziała to tak samo powoli. Żadnego oskarżycielskiego tonu.

– Chciałem sprawdzić, jak się pani czuje – odparł. –

I przyznaję, że chciałbym również zadać pani kilka pytań.

– Rozumiem. I naprawdę chciałabym pomóc. Ale nie wiem, co mam powiedzieć. – Odwróciła głowę. – Ani co mam pamiętać.

Na tle poduszki jej brązowe włosy wydawały się czarne.

Światło wpadające przez żaluzje tworzyło okręgi nad i pod jej oczami. Broda wyglądała jak podzielona na dwie części. Oczy były bardzo charakterystyczne. Winter gdzieś je już widział, u kogoś innego. To dość częste zjawisko. Są ludzie do siebie podobni, choć niespokrewnieni. Tak było z Elisabeth Ney. Te oczy widział już u kogoś innego. Nie wiedział u kogo. Ani gdzie je widział i kiedy. To był ktoś, kogo spotkał lub mijał na ulicy, w sklepie, w barze, w parku. Nie wiadomo gdzie i kiedy.

W jej oczach pobłyskiwała zieleń.

– Możliwe, że Paula poznała jakiegoś mężczyznę na treningu

– powiedział Winter.

– Na treningu? Na jakim treningu?

– We Friskis & Svettis. Nie wiedziała pani?

– Eee... no tak. Oczywiście.

Nie wyglądała na pewną. Ale to nie musiało nic znaczyć. Tym razem prawdą były może same słowa.

– Czy Paula o tym wspominała?

– Że ćwiczyła?

– Że kogoś tam spotkała.

– Nie wspominała nawet o tym, że w ogóle z kimś się spotyka.

Już to mówiłam.

Winter skinął głową.

– Powiedziałałaby mi, gdyby tak było.

– A był jakiś powód, żeby nie mówiła? – spytał Winter.

– Nie rozumiem.

– Może chciała pani powiedzieć, że ma chłopaka. Ale nie mogła tego zrobić.

– Dlaczego nie mogła?

– Może nie miała odwagi.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Sądzi pan, że mogła być z kimś, kto ją zmuszał do milczenia?

– Nie wiem. Tylko się... zastanawiam.

Elisabeth Ney podniosła głowę. Winter zobaczył wgłębienie w poduszce. Było jak cień.

– Powiedziałyby mi. Cokolwiek by to było.

Winter skinął głową.

– Myśli pan, że poszła do tego hotelu z własnej woli? –
spytała.

– Co to znaczy z własnej woli?

– Sądzi pan, że została odurzona?

– Akurat teraz nie sędzę – odparł Winter.

Paula nie została odurzona. Wykazała to obdukcja. Może była sparaliżowana. Sparaliżowana ze strachu. Tego oględziny nie mogą wykazać.

– Ale jeśli ktoś ją zaciągnął do tego hotelu... do tego pokoju...
to ktoś musiał to widzieć. – Elisabeth Ney usiadła na łóżku.

Nogi zwisały jej nad podłogą, jakby miała zaraz wstać. Winter
zauważył, że powoli wychodzi z szoku. Zaczęła zadawać
pytania. – Ktoś chyba musiał ją widzieć.

– Na to właśnie liczymy – odparł Winter. – Szukamy
świadków. Cały czas.

– Ktoś chyba pracuje w tym hotelu. Co oni mówią?

– Nikt jej nie widział.

– A sprzątaczkę? Nie widziały? Przecież chodzą po pokojach.

– Nie do... tego pokoju – odparł Winter. Tę wypowiedź uznał
za osobistą klęskę. – Nie sprzątały w nim od doby.

– Boże.

Winter się nie odezwał.

– Gdyby to zrobiły, może Paula by żyła!

Winter próbował zniknąć, rozplynać się w powietrzu, sprawić, żeby jego twarz stała się nieczytelna. Nagle Elisabeth Ney odzyskała kolory. Wyglądała teraz młodziej. Wydało mu się, że ją rozpoznaje.

– Jak można się zameldować w hotelu tak, żeby człowieka nikt nie widział? – powiedziała i stanęła przy łóżku.

Winter wyciągnął rękę, żeby mogła się podeprzeć, ale dała znak, żeby się odsunął.

– Nie zameldowała się.

– Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Dlaczego tego nie zrobiła?

Jej twarz była blisko jego twarzy. Nagle jej głowa zaczęła opadać do przodu. Spróbowała ją cofnąć. Wyglądało to jak drgawki. Winter przypomniał sobie nagrania z Centralnego.

– Dlaczego nikt w lobby jej nie widział? Dlaczego?

– Na to pytanie też próbujemy znaleźć odpowiedź. Nie wiemy, jak to się stało.

– A coś w ogóle wiecie?

– Niewiele.

– Boże.

Zachwiała się, więc wyciągnął rękę i ją podparł. Usiadła w rogu łóżka. Koszulę nocną miała za dużą, prawie jak namiot. Mogło się pod nią mieścić ciało w każdym rozmiarze. Ręce

miała chude i żylaste. Wyglądały tak, jakby je wyciosano

z delikatnego drewna, wystawionego na wiatr i deszcz.

– Jej ręka! – wybuchnęła Elisabeth Ney. – Dlaczego jej ręka?!

Na korytarzu spotkał Maria Neya.

Ney skinął głową, kiedy się mijali, ale nie miał zamiaru się zatrzymać.

Winter stanął.

– O co chodzi? – spytał Ney, nie zatrzymując się.

– Powoli wychodzi z szoku – odparł Winter.

Ney mruknął coś pod nosem.

– Słucham?

– Pytam, czy to dzięki temu, że się tu znalazła.

– Proszę posłuchać. Musiała tu przyjechać. Na jakiś czas.

– Jest pan lekarzem?

Winter zobaczył kawiarenkę po drugiej stronie korytarza.

Tylko kilka stolików i duży kwiat na środku. I ani jednego gościa.

– Możemy na chwilę usiąść?

– Jestem w drodze do żony.

– Dosłownie na kilka minut.

– Mam jakiś wybór?

– Tak.

Ney wyglądał na zaskoczonego. Kiedy Winter ruszył w stronę kawiarenki, od razu poszedł za nim.

- Czekam na mnie – powiedział, kiedy usiedli.
- Czego pan sobie życzy? – spytał Winter.
- Kieliszek czerwonego wina poproszę.
- Nie wiem, czy mają – odparł Winter i podszedł do kontuaru.
- Oczywiście, że nie – powiedział Ney. – A co pan myślał?
- Możemy pójść do baru.
- Muszę się spotkać z żoną.
- Moglibyśmy później.
- Dobrze – odparł Ney i wstał.
- Czekam tutaj.

Ney skinął głową i wyszedł.

Zadzwonił telefon.

- Tak?
- Recepcjonista z hotelu cię szuka. Z hotelu Revy.

Möllerström.

- Który?
- Richard Salko.
- Czego chce?
- Nie chciał powiedzieć.
- Dałeś mu mój numer?
- Nie. Jeszcze nie. Poprosiłem, żeby zadzwonił za trzy minuty.

Minęły już dwie.

- Daj mu mój numer.

Rozłączył się i czekał.

Telefon zaczął mu wibrować w ręce. Zdażył wyłączyć dźwięk.

– Winter.

– Dzień dobry. Tu Richard Salko.

– Tak?

– Przed hotelem stoi jakiś koleś. Od dłuższego czasu.

– Koleś?

– Tak. Mężczyzna. Podejrzany typek. Widziałem go przez okno. Patrzył w górę, na boki i znów w górę.

– Młody? Stary?

– Raczej młody. Trzydzieści lat. Może wczesna czterdziestka.

Nie wiem. Ma na głowie czapkę. Nie zauważyłem włosów.

– A widział go pan wcześniej? Rozpoznaje go pan?

– Nie sędzę. Ale... stał tam przez chwilę. Jakby po prostu chciał sobie postać. Rozumie pan? Jakby to miejsce coś dla niego znaczyło czy jak by to powiedzieć. Jak gdyby już tu był.

– Poszedł?

– Nie. Widziałem, że stoi.

– Ale mógł już pójść.

– Jeśli tak, to dopiero co. Musiałem pójść gdzie indziej, ale nie było mnie tylko kilka minut.

– Może to jeden z waszych stałych klientów? – spytał Winter.

– Może. Ale nikt z mojego rejestru. To znaczy nie rozpoznałem go.

– Turysta?

- Nie wyglądał na turystę.
 - A jak oni wyglądają?
 - Jak głupki.
 - Robi pan listę? – spytał Winter.
 - Listę?
 - Wciąż czekam na listę wszystkich zatrudnionych w hotelu, od początku jego istnienia.
 - Ja też – odparł Salko.
 - Co to za głupia odpowiedź?
 - Przepraszam. Ale to zajmuje trochę czasu. Mówimy o długim okresie. I wielu ludziach.
 - Gdybyśmy mieli więcej ludzi, zrobilibyśmy to sami – powiedział Winter.
 - Wiem, jak jest – odparł Salko.
 - Tak?
 - Zrobię, co w mojej mocy. To znaczy nadal będę robił.
- Przecież zadzwoniłem, nie?

TURYŚCI. MIASTO BYŁO PEŁNE TURYSTÓW. Nawet w ostatnich dniach września. Pokazywali palcami, pytali, oglądali, jedli, pili, śmiali się, płakali. Winter nie miał nic przeciwko turystom. Chętnie wskazywał im drogę. Bez nich miasto może by upadło. Niebawem turystyka będzie jedyną gałęzią tutejszej gospodarki. Turystyka i przestępczość.

Zorganizowana i niezorganizowana. Do Göteborga dotarła w końcu heroina. To była tylko kwestia czasu. Późne lata osiemdziesiąte. Gówna wreszcie przyplęnęło.

– Przybywa razem z naszymi przyjaciółmi z dalekich krajów – powiedział Halders.

Siedzieli w samochodzie, jechali wzdłuż rzeki. Gdziekolwiek by się jechało, zawsze wzdłuż rzeki. W jesiennym słońcu woda wyglądała na gęstą i czarną. W stronę Vingi płynął prom.

W drodze do dalekiego kraju – Jutlandii.

Prawdopodobieństwo, że wróci z tym gównem, było duże. Albo szansa, jeśli ktoś tak woli. Kontrahenci ciągnęli z tego ogromne zyski. Towar nadciągał.

Winter i Halders rozmawiali o prochach i związanej z nimi przestępczości. Im większe pieniądze wchodziły w grę, tym poważniejsze szły za nimi przestępstwa.

Halders jechał Nya allén. Widoki wciąż przypominały obrazy z bezpiecznej przeszłości. Pojedyncze grupy paliły na

trawnikach zioło, a dym rozchodził się nad kanałem. Mieszał się z zapachami wszelkich innych sortów. Ale słodkawa i ostra woń haszyszu była intensywniejsza. Winter czuł ją, kiedy wieczorami spacerował po mostach nad kanałem.

– We wrześnie popołudnie usiądziemy przy alejach, zapalimy jointa, poleżymy na słońcu – śpiewał Halders, wystukując rytm na kierownicy.

– Fajna – powiedział Winter. – Sam ją wymyśliłeś?

Halders odwrócił głowę.

– Nie słuchałeś Nationalteatern?

– Aha, to oni.

– Słyszałeś o nich?

– Oczywiście.

Halders uśmiechnął się złośliwie, ale nic nie powiedział.

Zatrzymał się na czerwonym świetle. Na trawniku obok dwaj chłopacy w antycznych kurtkach podnieśli głowy. Patrzyli na radiowóz. Halders pomachał do nich.

– Pamiętaj, koleś, siedzimy jak na szpilkach, raz, dwa, trzy, wpadają gliny i łowią – śpiewał Halders. – Odwrócił głowę w stronę Wintera. – Łowienie to nasza specjalność, nasza, mieszkańców Göteborga.

– To bierz ich – powiedział Winter.

– Takie małe gówno mam głęboko gdzieś – odparł Halders, wskazując na chłopaków z lufkami w rękach. Zaczęli znikać

w kłębach dymu.

– Hm...

– Te inne rzeczy to inna sprawa.

Zatrzymał się na kolejnym czerwonym świetle.

Po pasach przeszedł mężczyzna. Miał ciemne włosy i ostre rysy. Wyglądał na kogoś z Bałkanów, może z Grecji, z Włoch albo z innego kraju na południe od Jutlandii.

– Może to diler – powiedział Halders, kiwnąwszy głową w jego stronę.

Winter się nie odezwał.

– To oni będą rządzić – ciągnął. – Za dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat miasto będzie pełne dilerów i gangów z dalekich krajów. – Odwrócił się do Wintera. – I wiesz co?

Wielu z nich się tutaj urodzi.

– Potrafisz przewidywać, Fredrik.

– To niezbędne, stary. Trzeba umieć patrzeć w przyszłość. To się nazywa wyobraźnia. I tylko nią różnimy się od psychopatów.

– Będziemy tu tak siedzieć, Fredrik? – spytał Winter. –

W służbowym samochodzie, na Nya allén? Za dwadzieścia lat?

– Za dwadzieścia lat? A więc... w dwa tysiące siódmym. Tak, dlaczego nie? Jeśli nie umrzemy oczywiście. Jeśli nie dostaniemy kulki w łeb w walce z gangami narkotykowymi z północnych przedmieść.

– Wcześniej mówiłeś o dalekich krajach.

– To to samo.

Za dwadzieścia lat. Winter pomyślał, że może mógłby wybiec myślami o dwadzieścia lat do przodu, ale nie chciał. Rok 2000 był czymś więcej niż dalekim krajem czy odległą epoką. Był planetą, której jeszcze nikt nie odkrył. Zanim do niej dotrze, wiele się zdarzy. I dużo wody przepłynie pod mostem Götaälbron.

Halders stanął na trzecim czerwonym świetle.

Po przejściu dla pieszych kroczył mężczyzna. Wyglądał jak typowy Szwed. Szedł sztywno, ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie, jakby lunatykował.

– A ten musi sobie kupić budzik – powiedział Halders.

– To przecież Börge – odparł Winter.

– Börje? Jaki Börje?

– Börge, Christer Börge. To jego żona zaginęła jakiś miesiąc temu. Ellen Börge. Przedwczoraj go przesłuchiwałem na komendzie.

– Dlaczego?

Światło wciąż było czerwone. Börge przeszedł na drugą stronę i ruszył w stronę Rosenlundsplatsen. Winter śledził go wzrokiem. Börge nawet nie odchylił głowy. Szedł szybko, ale jakby nie wyznaczył sobie kierunku. Przynajmniej takie wrażenie odniósł Winter. Akurat wtedy Börge szedł bez celu.

– Dlaczego? – powtórzył Halders.

– Jest w tej sprawie coś, czego nie mogę rozgryźć – powiedział

Winter i odwrócił głowę w stronę Haldersa. Börge zniknął za żółtymi gałęziami drzew.

– W sprawie? To chyba żadna sprawa, nie?

– Sądzę, że tak. Wydaje mi się, że za tym zaginięciem kryje się morderstwo.

– Sądysz, że ona nie żyje?

Winter rozłożył ręce.

Światło się zmieniło i Halders wcisnął gaz do dechy.

– Coś musisz mieć, żebyś mógł tak twierdzić. Co to jest? –

ciągnął Halders.

Winter próbował odnaleźć wzrokiem Börgego, ale nie było po nim śladu.

– On – odparł i kiwnął głową w stronę drzew.

– Sądysz, że to on to zrobił? Że zabił swoją żonę?

– Nie wiem. Coś intuicyjnie wyczuwam, ale tego nie rozumiem.

Halders się zaśmiał.

– Ale to nie musi mieć z nim nic wspólnego – odparł. – Może chodzi o ciebie, stary.

– Chciałbym być taki jak ty, Fredrik.

– Wiem. Wielu by chciało.

– Zadowolony, beztroski ignorant.

– Wyobraźnia jest lepsza od wiedzy – odparł Halders.

– To Einstein – powiedział Winter. – Zacytowałeś Einsteina.

– O! Nie wiedziałem – odparł Halders z uśmiechem. – Ale widzisz!

– Chcę być taki jak ty – powtórzył Winter.

– Komplementy na mnie nie działają.

– Jesteś szczęśliwym człowiekiem, Fredrik.

Halders zatrzymał się na czwartym czerwonym świetle.

– A więc przesłuchałeś Börgego, Einsteinie? I co na to Birgersson?

– To on mi to zlecił.

– Co ty gadasz?!

– Ale rozmawiałem z nim o tym wcześniej.

– Pewnie podlizujesz się szefowi.

– Nigdy nie przeprowadzałeś przesłuchania, Fredrik?

– A więc Birgersson jest tym zainteresowany – wymamrotał

Halders, nie odpowiadając na pytanie.

– On też chyba coś wyczuwa – odparł Winter.

Halders się nie odezwał. Jechali teraz Första Långgatan.

Minęli tramwaj pędzący na zachód. Halders otworzył okno.

Winter poczuł chłodny powiew wiatru. Zrobiło się głośniej.

Radio przesyłało trzaski, pomruki i odzewy, ale żaden z nich nie był skierowany do nich.

– Doszedłeś do czegoś? – spytał Halders. Skręcił w prawo,

w stronę rzeki, i zatrzymał się na piątym czerwonym świetle.

Przed nimi przejechał tir. Przypląnął promem z Niemiec. –

Dowiedziałeś się czegoś ciekawego podczas tego przesłuchania?

– Tylko tyle, że kochał swoją żonę.

Światło zmieniło się na zielone i Halders ruszył z piskiem

opon, a potem skręcił w lewo. Winter widział, jak prom

przejeżdża pod mostem Älvsborgsbron. Perspektywa

zniekształciła widok. Wydawało się, że kominy uderzą

w przeszło.

– Tak powiedział? Podczas przesłuchania? – Halders odwrócił

głowę. – Że ją kochał?

– Tak.

– No to jest winny.

– Już drugi raz to powiedział – dodał Winter.

– No to jest podwójnie winny.

W szpitalnej kawiarence było cicho, jakby z szacunku dla

powagi miejsca. Korytarzem przeszedł mężczyzna w pizamie,

otoczony rodziną. Rozmawiali tak cicho, że Winter nie

dosłyszał ani jednego słowa. Przy stolikach usiadło kilku

nastolatków. Nic nie zamówili, tylko się rozglądali, robiąc takie

oczy, jakby się znaleźli nie tam, gdzie zamierzali.

Mario Ney wrócił po półgodzinie. W tym czasie Winter

sprawdzał notatki. Przesłuchali już wszystkich, którzy

mieszkali w hotelu Revy w chwili śmierci Pauli. Nie było ich

wielu. Wszystkich ich mogli spokojnie wyłączyć ze śledztwa.

Choć niektórymi powinni się zainteresować inni śledczy. Hotel miał zostać zamknięty i nikt nie wiedział, co będzie na jego miejscu. Winter nie miałby nic przeciwko temu, żeby zrównać budynek z ziemią. Byle nie teraz.

Ney usiadł naprzeciwko, ale tylko na chwilę. Na brzegu krzesła. Winter pomyślał, że mogliby się umówić na kiedy indziej, ale zauważył w nim coś, co sprawiło, że wolał się spotkać od razu. Coś w wyrazie twarzy. Odczytał tę twarz, ale inaczej niż twarz jego żony. Bił z niej niepokój, wynikający z wiedzy o czymś, wiedzy szukającej ujścia.

– Dokąd pójdziemy? – spytał Ney.

– Wciąż ma pan ochotę na kieliszek wina?

– Tak. Jeśli pan... – odparł Ney, ale nie skończył.

– Ja zawsze mam ochotę na wino – powiedział Winter. –

Muszę się tylko pozbyć samochodu.

Bar znajdował się w pobliżu domu Wintera. Ney wysiadł o kwartał wcześniej, a Winter odstawił samochód na parking.

Zamówili po lampce dobrego wina. Obsłużyła ich dwudziestoletnia dziewczyna. Nie pytając, przyniosła im po szklance wody. Winter jej nie znał.

– Stawiam kolejkę – powiedział, kiedy dziewczyna odeszła.

– Chciał pan raczej powiedzieć, że policja stawia.

– Tak to niestety nie działa.

– Często pan pracuje w ten sposób? – spytał Ney. – Jeśli tak,
to zostanie pan alkoholikiem.

– Pilnuję się.

– Proszę uważać. Można w to wpaść szybciej, niż się wydaje.

Winter skinął głową.

– Mam takich ludzi w otoczeniu.

– Co to za otoczenie?

– Żadne wyjątkowe – odpowiedział Ney i rozejrzał się.

W lokalu było spokojnie. Kolejna szara godzina. Winter nie
znał barmana. Miał podbite oko. Na pewno dostał, ale raczej
nie tutaj. Tu nie dochodziło do takich incydentów.

– Przepraszam za swoje wcześniejsze zachowanie –

powiedział Ney. – U mnie w domu. – Spojrzał na Wintera. –

I nie mówię tego dlatego, że mnie pan zaprosił na lampkę wina.

– Mogę zaproponować kolejną.

– Zrozumiał pan, o co mi chodzi? – spytał Ney.

– Tak. Pańska reakcja była zrozumiała. To normalne.

– Czyżby?

– Kiedy zdarza się coś takiego, wszystko jest normalne –

odparł Winter. – I jednocześnie nic. Nic już nie jest normalne.

Znów rozejrzał się po lokalu. Od piętnastu minut się

ściemniało. W środku. Kontury stopniowo się rozmazywały,

przez co miał wrażenie, jakby wypił kilka kieliszków więcej.

Wszystko stawało się bardziej matowe i tak już miało pozostać,

dopóki ktoś nie wpadnie na ten zły pomysł, żeby włączyć światło. Ale do tego czasu mogą czerpać przyjemność z wieczornej posiaduchy. Kieliszki z winem wciąż stały na stole. Wygląda to tak, jakby żaden z nas nie chciał podnieść swojego, pomyślał. Nie po to tu przyszliśmy.

– Ale dlaczego? – spytał Ney. – Nie sposób tego zrozumieć.

Dlaczego?

– Jeśli chodzi o ten list... – zaczął Winter.

– Niech pan nie mówi o tym pieprzonym liście – odparł Ney.

– Muszę.

– Ale ja nie chcę. Elisabeth też nie. Nikt nie chce.

Winter podniósł kieliszek i napił się. Nawet nie powąchał.

Sprawił tym samym, że wino straciło smak. Ney też się napił.

I też raczej nie był zainteresowany wonią trunku. Równie dobrze mogli pić wino z kartonu. Winter nigdy tego nie robił.

Wino tylko i wyłącznie w szklanej butelce. Ten, kto pije wino z kartonu, może równie dobrze pić je z papierowego kubka.

Ney postawił lampkę.

– Nie rozumiem, dlaczego czuła się winna – powiedział, nie patrząc na Wintera. – Bo takie można odnieść wrażenie. Jakby chciała prosić o wybaczenie. Właściwie p r o s i o wybaczenie.

Ale nie ma powodu o nie prosić.

– Nic się nigdy nie zdarzyło? W rodzinie?

– Niby co? – spytał Ney.

– Coś, co utkwilo jej w glowie – odparl Winter. – Coś, o czym nie potrafil przestać myśleć. Coś, czego pan moze nie pamietal.

– Nie wiem, o co chodzi – powiedzial Ney i popatrzyll

Winterowi prosto w oczy. – Nic nie pamietam. Niczego takiego nie bylo. Co by to moglo byc, zeby... zmusilo Paulę do napisania takiego listu? W... takiej sytuacji. Boze.

– Wyjechała – zauwazyll Winter. – W dlugą podróz.

– To bylo dawno temu.

– Dlaczego wtedy wyjechała?

– Byla mloda. Mlodsza. Boze. Przeciez caly czas byla mloda.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, co powiedzial. Wygladalo to tak, jakby go zaatakowaly własne slowa. Uchylił się jak przed ciosem. Jakby stal przed nim ktoś, kogo Winter nie mógł zobaczyc. Nagle od drzwi albo od okna powialo chlodem. Oczy Neya zamarly. Jego twarz skamieniala.

– Przez dluzszy czas nie wiedzieli panstwo, gdzie się podziewa

– powiedzial Winter.

– Wiedzieliśmy, gdzie jest.

– Tak?

– Wiedzieliśmy, że podróżuje po Europie.

– Że jest we Włoszech? Pojechała w pana rodzinne strony?

Ney nie odpowiedzial. Ale jego milczenie właściwie bylo odpowiedzią.

– Na Sycylię?

– Tam już nic nie ma – odparł Ney. – Nic do oglądania.

– Ale pojechała tam, prawda?

– Nic – ciągnął Ney. – Nie było tam nic, co by mogła znaleźć.

– Znaleźć? Czego szukała?

– Szukała...

Ney wyglądał, jakby sam szukał słów. Wydawało się, że cała jego przeszłość jest tak odległa, że nic z niej nie pamięta. Albo nie potrafi jej ubrać w słowa. Muszę być ostrożny na tym polu, pomyślał Winter. To, że pojechała na Sycylię, jeśli w ogóle pojechała, nie musi mieć nic wspólnego z jej śmiercią. Dlaczego więc myślę tak, jakby miało? Czy to dlatego, że jej ojciec milczy? I matka? Ona też milczy, tylko na swój sposób.

– Paula nie znała włoskiego – wyjaśnił Ney, jakby to był najważniejszy powód, żeby nie jechać do Włoch.

– Ale pańska żona powiedziała, że mówiła po włosku.

– Znała tylko kilka słów – odparł Ney.

Podróż, pomyślał znów Winter. Co się stało podczas tamtej podróży? Co się działo potem? Dziesięć lat później?

Co się stało w tym mieszkaniu? Winter przeszedł do drugiego pokoju. Paula mieszkała tutaj przez ostatnie siedem lat. Długo. Kto tu przychodził? Pewnie niewiele osób. Paula i samotność.

Miała rodziców. Rodzinę. Pracę. Kilkoro znajomych. Czy to było samotne życie? W takim razie on też jest samotny. Tyle właśnie ma. Tyle mu wystarcza. To nie jest samotność.

Podszedł do okna. Zobaczył Guldheden: wysokie budynki, wzgórza, place, które wyglądały nowoczesnie, ale należały do innej epoki. Plac zbudowany w latach pięćdziesiątych zawsze będzie nowoczesny, powiedział kiedyś Ringmar. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Nigdy nie będzie bardziej nowoczesnie. Wiosną 1980 roku Winter skończył dwadzieścia lat. Dla niego to lata siedemdziesiąte były nowoczesne. Od osiemdziesiątych oczekiwał jeszcze więcej. Miał wtedy zostać prawnikiem, a został gliną. Kiedy nie było już odwrotu, stał tu, gdzie teraz, i patrzył na Guldheden. Pod innym kątem, ale z tego samego budynku i na te same wzniesienia.

Zobaczył małego dostawczaka przebijającego się przez las ceglanych bloków. Zatrzymał się przy skrzynce pocztowej.

Wysiadła kobieta. Paula nie czuła się winna, nie nosiła w sobie żadnej winy. Długopis wciśnięto jej do ręki. Ten sukinsyn to zrobił. Jej ręki nie było. Zasłoniła ją biel.

Listonoszka opróżniła skrzynkę, wrzuciła worek do żółtego samochodu, wsiadła i ruszyła przez rondo na północ. Kiedy przejeżdżała przez rondo, widział, jak jej białe dłonie kręcą kierownicą. Wciąż stał przy oknie. Liście były piękne. Przede wszystkim złociste, ale o wyjątkowym odcieniu.

Miasto wydało mu się nagle większe niż kiedykolwiek. Można by się w nim ukryć. Popełnić przestępstwo i się schować. Ale ja cię jeszcze dorwę, sukinsynu!

Wiedział, że to będzie niebezpieczne.

Samolot lądował na tym samym lotnisku co zwykle, z tym samym co zwykle hukiem. Winter stał na parkingu i widział, jak maszyna niczym ogromny ptak dotyka ziemi na północy.

Obrała zły kurs. Ale wieczorem miała zawrócić. Za niecałe dwa miesiące będzie siedział na pokładzie takiego samolotu.

W s z y s c y będą siedzieć.

Wszedł do hali przylotów i czekał. Ludzie ustawili się przed drzwiami w półokręgu. Miał wrażenie, że rozpoznaje niektóre twarze. Nie było w tym nic dziwnego. Wielu ludzi ma krewnych na Wybrzeżu Słońca. Niedaleko Malagi.

Lilly spała w wózku, Elsa pchała go ostrożnie.

– Tata, tata!

Elsa puściła wózek. Winter złapał go jedną ręką, drugą chwycił Elbę. Potrafiła skoczyć naprawdę wysoko. Wyżej niż jeszcze kilka tygodni temu.

Obsypała go całusami. Nie miał szans się odwdzińczyć.

Drugą ręką chwycił Angelę w pasie. Pocałował ją.

– Witajcie w domu.

– Cześć, Eriku.

– Jak podróż?

– Lilly trochę bolały uszy, ale potem jej przeszło.

– Bardzo krzyczała – powiedziała Elsa.

– Tak bardzo, że będzie spać do jutra – dodała Angela.

Winter pochylił się i pocałował młodszą córkę. Nie obudziła się. Ślicznie pachniała. Ledwo pamiętał ten zapach.

Kiedy otworzył kolejną butelkę i przyniósł ją do salonu, Elsa i Lilly spały. Angela siedziała w fotelu przy balkonie. Drzwi były lekko uchylone, więc słyszeli odgłosy ulicy, ale brzmiało to raczej jak odległy szum. Zastony falowały na wietrze.

– Jest przyjemniej, niż myślałam – powiedziała Angela. –

A miasto wydaje się większe. Zabawne.

– Człowiek o wszystkim zapomina.

– O tym, jak przyjemny jest Göteborg?

– Tak. Przyjemny i zły.

– Jak twoje dochodzenia, prawda?

Napił się wina. Było chłodne, smakowało minerałami z Alzacji.

– Macie więcej szczegółów w sprawie morderstwa tej kobiety?

– Pauli.

– Tak. Wiecie coś więcej?

– Nie wiem, czy wiem – odparł i opowiedział jej o ostatnich dniach. – Dostałem urlop – powiedział w końcu. – Komendant nie miał nic przeciwko temu.

LEŻELI W ŁÓŻKU I WSŁUCHIWALI SIĘ w odgłosy nocy.

Nie było ich wiele. Żadnych syren, tylko nieliczne samochody.

Winter spojrzął na zegarek. Zbliżała się godzina wilka. Na

dworze zaczęło wiać, temperatura spadła. Wstał z łóżka

i poszedł zamknąć okno. Wiatr trząśł gałęziami drzew

rosnących wokół Vasaplatsen. Nawet w ciemności widział

spadające liście. Sprawdził, czy na balkonie po drugiej stronie

ktoś stoi i pali, ale nie dostrzegł tłącego się papierosa. Wracając

do łóżka, poczuł ciepło bijące od podłogi. Między innymi

dlatego zostali w tym mieszkaniu. Dzieci mogły swobodnie

bawić się na podłodze, nie ryzykując przeziębienia.

Podgrzewana podłoga to nie to samo, a drewna takiej jakości

już się nie kupi.

– Niedługo zacznie świtać – powiedziała Angela.

– Zostało jeszcze kilka godzin.

– Nie mogę zasnąć.

– Czemu?

– Kręci mi się w głowie.

– Chcesz wody?

– Tak.

Znów wstał z łóżka. Poszedł do kuchni i wyjął z szafki

szklankę. Z podwórza dochodziły znajome odgłosy. Roznosiciel

gazet. W ciągu trzech minut jeden egzemplarz wpadnie do

przedpokoju. Może Angela będzie chciała od razu przeczytać

lokalne wiadomości, bez jednodniowego opóźnienia.

Winter uważał, że śmierć Pauli raczej nie będzie już warta

wzmianki w prasie. Za mało się w tej sprawie działo.

Przynajmniej dla dziennikarzy. A jednocześnie niektórzy z nich

wiedzieli, że im mniej wyciągnęli od wydziału, tym więcej jest

do wyciągnięcia. Milczenie było w tym przypadku mową. Ale

w tej sprawie milczenie przemawiało inaczej. Milczenie o Pauli.

Winter jeszcze go nie rozgryzł. Była w tym powściągliwość,

z jaką nigdy się nie spotkał. Jakby to milczenie było tylko

kurtyną. W takich przypadkach wiadomo, że najważniejsze

kryje się za nią. Można widzieć milczenie, dotknąć go, ale nie

jest rzeczywiste. Ma się wrażenie, że współgra z resztą i że

każdy szczegół jest rzeczywisty. Ale razem nie tworzą całości.

To tak jakby czytać porady o tym, jak śnić. Nie ma takich.

Nigdy nie będzie.

Wrócił ze szklanką wody.

– Dziękuję.

– Dlaczego wszyscy milczą? – powiedział, siadając na brzegu

łóżka.

– Co masz na myśli? Tutaj?

– Wszyscy związani z Paulą. Wokół niej jest tak cicho.

– Rozmawiałeś przecież z jej ojcem. Nie otworzył się ani

trochę?

- Nie wiem. Nie wiem, czego chciał.
- Ta praca źle na ciebie wpływa, Eriku. Uważasz, że wszyscy coś ukrywają.
- No...
- Że wszyscy kłamią. Albo próbują ukryć prawdę.
- To nie to samo?
- Wiesz, o co mi chodzi. A później, kiedy ktoś próbuje powiedzieć, jak jest, albo kiedy chce po prostu... zrzucić coś z siebie, w ogóle mu nie wierzysz.
- Komisarz policji w roli psychoterapeuty.
- Zaczynasz rozumieć – powiedziała, a Winter dostrzegł w mroku sypialni jej uśmiech.
- Dawno to zrozumiałem. Sam ich czasami do tego namawiam.
- Tak, wiem, Eriku. Ale próbuj dostrzegać to częściej. Nie wszyscy kłamią.
- Ale kłamią, kiedy im się udowodni, że się płaczą – odparł.
- A nie wręcz odwrotnie?
- Kiedyś może tak.
- Obiecałeś mi kiedyś, że nie zostaniesz cynikiem.
- I dotrzymuję obietnicy.

Usłyszeli kolejny odgłos godziny wilka.

- Lilly – powiedziała Angela. – Ostatnio zaczęła wstawać wcześniej.

– Idę.

Poszedł do pokoju dziewczynek. Pytali Elbę, czy chciałyby mieć swój pokój, ale wolała dzielić go z Lilly. Uważała, że to będzie fajne. Więc Lilly przeprowadziła się do niej. Była już prawie na nogach, kiedy Winter ją podniósł i zaczął jej szeptać do ucha.

Przed porannym spotkaniem poszedł do pokoju Ringmara.

Ringmar siedział nad grubym plikiem dokumentów i czytał.

– Wyglądasz rześko – powiedział, kiedy Winter usiadł.

– Rodzina wczoraj wróciła.

– Aha! Koniec kawalerskiej bez troski.

– Dawne czasy – odparł Winter.

– Wszystko było dawno temu – odparł Ringmar i znów spojrzał w dokument.

– Co czytasz?

Zanim odpowiedział, zadzwonił jego telefon.

– Tak?

Winter słyszał tylko głos, słowa do niego nie docierały.

Ringmar dwukrotnie kiwnął głową. Spojrzał na Wintera i tym razem nią potrząsnął, a Winter pochylił się do przodu.

– Gdzie jest teraz? – spytał Ringmar. – Miejmy nadzieję, że tam zostanie.

Winter zobaczył, jak zmarszczka między oczami Ringmara się pogłębia.

– Elisabeth Ney wypisała się ze szpitala, ale nie wróciła do domu – powiedział Ringmar, odkładając słuchawkę.

– Zamieniam się w słuch – odparł Winter. Czuł, jak na prawej skroni napina mu się skóra.

– To był Möllerström. Mario Ney dzwonił i kiedy Möllerström przełączał go do ciebie, rozłączył się.

– Do mnie? Chciał ze mną rozmawiać?

– Tak.

– Gdzie jest?

– Möllerström spytał od razu, jak na dobrego policjanta przystało. Jest w domu. Zadzwoił do szpitala i dowiedział się, że jego żona wypisała się na własne żądanie i że nie chciała się z nikim widzieć.

– Nikt chyba nie zapowiedział, że ją odwiedzi? – powiedział Winter. – A może myśleli, że ktoś do niej przyjdzie.

– Tak czy owak, w domu jej nie ma. Minęły trzy godziny, od kiedy opuściła szpital. Nie ma przy sobie telefonu.

– Kiedy zadzwonił do szpitala?

– Przed chwilą. Tak powiedział Möllerström. A potem prosto do nas. Möllerström próbował później dodzwonić się do niego, ale nie odebrał.

– Może spacerować po mieście – zgadywał Winter. – Siedzieć w kawiarni, robić zakupy. Jeździć tramwajem. – Ringmar skinął głową. – Robić wszystko, żeby tylko nie wrócić do domu.

– Mogła zaginać – powiedział Ringmar.

– To słowo może mieć kilka znaczeń, Bertil.

– Jedziemy do Tynnered.

– Nikt tego nie kontroluje? – spytał Mario Ney. Czekał

w drzwiach. Musiał stać w kuchennym oknie i widzieć, jak

parkują. Kiedy mówił, echo odbijało się od ścian i schodów.

Miał spocone czoło. – Jak mogła się ot tak wypisać?

– Możemy wejść? – spytał Winter.

– Co? Tak...

Weszli. Ney trzasnął drzwiami tak głośno, że Winter usłyszał

echo z klatki schodowej. Jakby zawróciło na dole przy drzwiach

i przyleciało na górę jak demon.

– Możemy usiąść w pokoju?

– Usiąść? Chyba nie mamy na to czasu!

– Nasi ludzie są na mieście i szukają pańskiej żony – odparł

Ringmar.

– Na mieście? A jeśli jej tam nie ma?

– A gdzie indziej mogłaby być? – spytał Winter.

Ney nie odpowiedział. Przeszli do salonu. Ney wtopił się

w fotel. Spojrzał na Wintera.

– Nie ma jej już ponad trzy godziny – powiedział po dziesięciu

sekundach.

– Kiedy ostatnio rozmawiał pan z żoną?

– Wie pan kiedy. Zanim poszliśmy na wino.

Ringmar spojrział na Wintera.

– Dlaczego zadzwonił pan do szpitala? – spytał Winter.

– Zadzwono... Dzwoniłem codziennie. Co w tym takiego dziwnego?

– Nic. Ale przecież odwiedzał ją pan. Codziennie.

– Dzwoniłem, a później odwiedzałem. Zgadza się.

– Co powiedziała pracownikom, kiedy wychodziła? – spytał Ringmar.

– Jeszcze tego nie wiecie?

– Nasi ludzie tam pojechali – powiedział Winter. – A my chcieliśmy przyjechać tutaj.

– Na pewno nadal była oszołomiona – stwierdził Ney. –

W przeciwnym razie nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Nigdy.

Wcześniej było źle, że się tam znalazła, teraz jest źle, że się wypisała, pomyślał Winter. Albo czegoś się nauczył, albo chodzi o coś innego.

– Rozmawiał pan z żoną dzisiaj? – spytał Winter.

– Nie.

Winter spojrział na Ringmara.

– Ktoś inny z nią rozmawiał? – spytał Ney.

Winter nie odpowiedział. Ney powtórzył pytanie.

– Jeszcze nie wiemy.

Godzinę później mieli się dowiedzieć. Ktoś o męskim głosie zadzwonił do szpitala i poprosił o rozmowę z Elisabeth Ney.

Pielęgniarka poinformowała ją o tym i zaprowadziła do telefonu stojącego w ustronnym miejscu w świetlicy.

Pół godziny później wyszła. Nikt z recepcji nie widział, jak wychodziła głównymi drzwiami. Jak w hotelu, pomyślał Winter. Obcy ludzie przychodzą i odchodzą.

– Skąd dzwonił?

Halders wszedł do pokoju kilka minut później niż reszta.

– Gothia – odparł Winter. – Hotel.

– Niech to szlag. Znow kręcimy się wokół hoteli.

– Z telefonu w holu – dodał Ringmar.

– Ale oczywiście nie był to nikt z pracowników? – spytał

Halders.

– Nie. Z tego co wiemy.

– Sprytny diabeł – powiedział Halders. – Wszedł, jakby uciekał przed deszczem, spytał, czy może skorzystać z telefonu, i zadzwonił.

– Chyba że tam mieszka – wtrącił Berghem.

– Mało prawdopodobne.

– Można tak zrobić? – spytała Aneta. – Ot tak zadzwonić z hotelowego telefonu? To możliwe?

– Właśnie mamy dowód.

– I nikt tam nie widział Elisabeth Ney? – spytał Berghem.

Winter potrząsnął głową. Wysłali tam ludzi, jak tylko dowiedzieli się o telefonie. Nikt z obsługi nie kojarzył Elisabeth

Ney.

Teraz muszą sprawdzić listę gości. I wezwać pracowników. To mogło być mnóstwo ludzi. Winter doświadczył tego wiele razy. Sprawa rozrastała się do ogromnych rozmiarów, a jednocześnie zapadała się do środka. Coraz trudniej było określić, co jest ważne, a co ma wartość powietrza.

– Co zrobimy? – spytał Halders. – Poprosimy prokuratora

Molinę o nakaz i przeszukamy wszystkie pokoje?

Molina liczył na to, że postawią komuś zarzuty, ale nie podszedł do tego optymistycznie. Nigdy nie był optymistą.

Winter rzadko miał okazję go rozweselić.

– Niech to szlag! Będzie tak jak z szafkami – stwierdził

Halders. – Ile tam jest pokojów?

– Nie wejdziemy tam – powiedział Winter. – Molina nigdy na to nie pójdzie. Zresztą nie mamy środków.

– Jediną szansą na porządne przeszukanie dużego hotelu jest cynk, że prawdopodobnie ukrywa się w nim Osama Bin Laden

– podsumował Halders.

– Gdyby chodziło o konkretny pokój, byłoby okej – powiedział

Winter. – Ale nie o wszystkie.

– Pamiętam, że siłą musieliśmy wyciągnąć od niego nakaz przeszukania tych kilku pokojów w Revy – dodał Ringmar.

– Czy Elisabeth Ney naprawdę jest w Gothia Towers? – zastanawiała się Aneta. – Czy to nie ostatnie miejsce, w którym

powinniśmy szukać? Właśnie dlatego, że stamtąd zadzwonił?

– Jest sprytny – odparł Halders. – Stosuje metodę rzutu karnego?

– To znaczy?

– Strzelec wie, że bramkarz wie, że strzelec zazwyczaj kopie w prawy róg, więc postanawia kopnąć w prawy, ponieważ sędzi, że bramkarz myśli, że kopnie gdzie indziej, w lewy.

– A jeśli bramkarzowi przyjdzie do głowy, żeby się posunąć o krok dalej? – spytał Bergenhem.

– To strzelec zapewne obmyśli wcześniej kolejny krok – odparł Halders i roześmiał się.

– Gdzie w takim razie wpadnie piłka? – spytał Bergenhem.

– Nikt nie wie – odparł Winter. – Dlatego wciąż szukamy Elisabeth Ney. Nawet w Gothia Towers.

– Gdzie ona jest, do cholery?

Ringmar chodził tam i z powrotem po niższej części lobby.

Przez szerokie okna w korytarzu Winter widział ogromne masy ludzi. Chodzili w tę i we w tę. Wielu z dużymi foliowymi torbami. Zapewne mieli w nich książki, bo trwały targi.

– Tu jej nie ma – powiedział, odpowiadając na pytanie Ringmara.

Nie mieli już złudzeń, że może być w Gothii.

– Może jest tylko oszołomiona? – zastanawiał się Ringmar.

Stanął i patrzył na ludzi za szybą. – Może jest tam?

Winter potrząsnął głową.

– To jak szukanie igły w stogu siana – ciągnął Ringmar, odwróciwszy się do Wintera. – Oszołomionej igły. Może się błąkać po całym mieście.

– Jest inna możliwość? – spytał Winter.

– Nie chcemy wiedzieć.

– Jest?

– Na razie to wszystko trzyma się kupy bardziej, niż sądziliśmy.

– Czy to nam w czymś pomaga?

– Niekoniecznie – odparł Ringmar.

– Najwyższy czas publicznie ogłosić, że zaginęła – powiedział Winter.

– Życzymy sobie powodzenia.

– Czy to nie było cyniczne?

Ringmar nie odpowiedział. Obserwował ludzi po drugiej stronie szkła. Korytarz był nimi wypełniony po brzegi. Wszyscy musieli iść powoli. Setki twarzy przesuwały się jak powódź.

Niektóre zagłądały przez szybę, patrzyły na niego i na Wintera.

– Jak igła w stogu siana – powtórzył Ringmar, patrząc na ludzki stóg za szybą. – Zastanawialiśmy się z Birgittą, czy nie pójść tam w sobotę. – Kiwnął głową w stronę fali ludzi. – Ale teraz straciłem ochotę.

Przed hotelem panował chaos. Właśnie zamykano targi

i wszyscy nagle musieli opuścić teren. Tłoczno było również w lobby. Winter zrozumiał, jak łatwo można anonimowo zadzwonić z anonimowego telefonu.

– Możemy wrócić pieszo – powiedział Ringmar.

Przywiózł ich radiowóz.

Ruszyli Skånegatan, prosto na północ. Minęli Scandinavium, licea Burgården i Katrinelund – kształcące tych, którzy mieli zarządzać tym miastem w bajecznej przyszłości. Słupy nad stadionem Ullevi wydawały się z tej perspektywy węższe.

Winter gapił się na nie z innej strony prawie dwadzieścia lat.

– Ney może być wszędzie – powiedział Ringmar.

– Zastanawiasz się, czy nie porwał swojej żony?

– Nie wiem. Ty z nim pijesz wino.

– Dlaczego tak sądzisz, Bertil? Że to on może za tym stać?

– Czasami wydaje mi się, że stoi za wieloma sprawami – odparł Ringmar.

– Nie sądzę, żeby z niego był taki dobry aktor.

– Aktor? Może być walniętym psychopata. Do tego nie trzeba talentu aktorskiego.

– No, zgadza się.

– Może pochodzi z mafijnej rodziny sycylijskich degeneratów.

– Może pochodzić z Marsa – odparł Winter. – Mało wiemy o jego pochodzeniu.

– No właśnie.

– Ale mówimy o jego żonie. I córce. – Winter potrząsnął

głową. – Nie, Bertil.

– Nigdy nie wykluczaj rodziny – powiedział Ringmar. –

Zapomniałeś o zasadzie numer jeden a?

– To ktoś inny – odparł Winter. – To nie on.

POPOŁUDNIE PRZESZŁO W WIECZÓR. Gdzie się podziała Elisabeth Ney? Kiedy zapadł zmrok, nie było już widać, jak opadają liście. A jednak opadły. Korony drzew się przerzedziły. Niedługo będzie można dojrzeć ulicę i plac za nimi. Aż do stojącego po drugiej stronie budynku. Może właśnie tam jest? Robili, co mogli. Co zawsze się robi w takich sytuacjach, a nawet więcej. Zaginęła. Jej córkę niedawno zamordowano. Była w szoku, czuła się zagubiona. Nikt nie wiedział, w jakim jest stanie. W tym sensie jej zaginięcie wiązało się z zabójstwem. Czy istniały inne powiązania?

– Sądzicie, że mam z tym coś wspólnego?!

Mario Ney właśnie miał wstać, ale opadł z powrotem na krzesło. Ani Winter, ani Ringmar nie musieli nic mówić. Zresztą nie wyglądało na to, żeby Ney chciał wymierzyć cios czy po prostu wyjść.

– Czy powiedziałem coś takiego? – zapytał Winter.

Siedzieli w jego pokoju. Formalnie rzecz biorąc, nie było to przesłuchanie. W praktyce – tak.

– Mniej więcej – odparł Ney.

– Niczego przed panem nie ukrywam – wyjaśnił Winter. –

Kiedy ktoś znika, chcemy się dowiedzieć, co w tym czasie robili jego bliscy. Gdzie byli.

– Nie stać pana na nic lepszego?

– Zazwyczaj to jest najlepsze.

– Nie wierzę panu. Ani trochę.

Winter milczał. Ringmar również. Coś z szelestem uderzało o szybę, jakby jesienne liście czy wręcz całe gałęzie próbowały się wdrzeć do środka.

– Tak czy inaczej, wiecie, gdzie byłem – powiedział Ney. –
W domu.

– Czy ktoś pana widział? – zapytał Ringmar.

– Byłem sam. Mój Boże, przecież wiecie, że zostałem sam. Co to ma być? Jak możecie się tak zachowywać?

– Chodziło mi o to... czy nie spotkał pan nikogo z sąsiadów –
wyjaśnił Ringmar.

– Albo czy nie dzwonił pan jeszcze gdzieś.

– A dokąd miałbym niby pójść? Do kogo dzwonić? Zresztą możecie chyba sprawdzić, czy używałem telefonu?

– Tak, możemy.

– No tak, jasne.

Nagle na jego twarzy dało się dostrzec zmęczenie, jakby już było po wszystkim. Jakby z chwilą zapadnięcia zmroku nadzieja się rozplynęła. A może chciał jeszcze coś powiedzieć. Tak się wydawało Winterowi. Dlatego tak siedzieli. Winter miał intuicję. Zazwyczaj na niej polegał. Ney coś wiedział, ale nie chciał powiedzieć. Bez względu na to, co się wydarzyło wcześniej i co działo się teraz, nie chciał o tym mówić. To była

pilnie strzeżona tajemnica. O co mogło chodzić? Czy mógł ją od niego wyciągnąć?

– A co pan sądzi o zniknięciu żony?

– Jak to? O co panu chodzi?

– Dlaczego zniknęła?

– Czuje się zagubiona, to jasne. Mówiłem już, absolutnie nie powinni byli jej pozwolić wyjść ze szpitala.

Winter przytaknął. Wcześniej Ney twierdził, że jego żona w ogóle nie powinna była tam trafić.

– I o to się wszystko rozbija – ciągnął Ney.

Winter znów skinął głową.

– Nic pan nie mówi. Nie sądzi pan chyba, że zniknięcie

Elisabeth ma coś wspólnego z... z zabójstwem Pauli? Że ktoś...

że ktoś... – Nie dokończył. – Chyba pan tak nie myśli?

Winter nie odpowiedział.

– Myśli pan, że to JA?! – Ney podniósł się gwałtownie. –

Powiedzcie wprost, jeśli sądzicie, że to ja!

– Proszę usiąść.

– No powiedzcie! – krzyknął Ney.

Ringmar wstał. Winter dał mu znak ręką, ale Ringmar nie usiadł. Ney się nie ruszał. Wyglądał na wzburzonego, jakby za chwilę miał zobaczyć coś, na co nie chciał patrzeć. Czyżby to było rozwiązanie zagadki? – pomyślał Winter. Czy teraz poznamy odpowiedź?

Ney usiadł czy raczej opadł na krzesło.

Ringmar podszedł do okna i wyrzał. Nic tam nie ma,
pomyślał Winter. Tylko ciemność. Ringmar się odwrócił.

– Chciałby pan jeszcze coś dodać, panie Ney? – zapytał.

Ney spojrzał na niego. Wyglądał tak, jakby trudno mu było
skupić wzrok na Ringmarze, na kimś, kto stoi pod oknem,
w głębi tonącego w półmroku pokoju. W gabinecie Wintera
zawsze panował półmrok. Jak w salonie Neyów.

– Proszę mówić – dodał Ringmar.

Ney popatrzył na Wintera, jakby szukał wsparcia. Jakby to
Winter miał być tym dobrym policjantem, a Ringmar złym. Ale
w tej chwili Winter nie potrafił się zdobyć na życzliwość.

– Proszę mówić – powiedział, nieznacznie kiwając głową. –

Po prostu proszę nam to powiedzieć.

– Chyba-żeście-oszaleli – odparł Ney, sącząc słowa. Jakby
powtarzał coś, co przyszło mu przed chwilą do głowy, ale
czemu nie dał wiary.

Winter czasem spotykał się z taką reakcją podczas
przesłuchań. W głowie pojawia się myśl, ale słowa, w które
należałoby ją ubrać, tkwią zupełnie gdzie indziej, na drugim
krańcu mózgu, pokoju, miasta, świata.

Winter czekał. Ney mógłby teraz wstać i wyjść, miał do tego
pełne prawo. Nie mieli zamiaru zatrzymywać go na sześć ani na
dwanaście godzin. Ale on też czekał. Jakby myśli dopiero za

chwile miały mu odpowiedzieć, co robić.

Potem podniósł się po raz kolejny.

– Chcę wracać do domu.

– Cholera – powiedział Ringmar. – Prawie go mieliśmy.

Siedzieli w półmroku pokoju Wintera. Przeczekiwali kolejny zmierzch. Wraz z jego nastaniem robiło się coraz ciszej. Chyba właśnie o tej porze najlepiej się myśli.

Winter wpatrywał się w powolne ruchy drzew. Muszę wyjść na dwór na fajkę. Ale na razie się stąd nie ruszam, jeszcze nie.

– Prawie nam się udało to z niego wyciągnąć – dodał

Ringmar.

– Co?

– Tajemnicę.

– Jaką tajemnicę?

Kolejny raz wypróbowywali swoją metodę: pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź. Szybko. Czasami myśli biegły kilkoma torami, czasami zmierzały w jednym kierunku.

– Tę, która mówi coś o nim.

– Tylko o nim?

– O jego rodzinie?

– O jego żonie? Córce? O nich obu? Czy tylko jednej?

– O obu – odpowiedział Ringmar. – To się ze sobą łączy. Coś je łączy.

– Jak?

– Chodzi ci o tę sprawę?

– Tak.

– O coś więcej niż relacja matka – córka?

– Tak.

– Jeszcze nie wiem. Musimy pogrzebać głębiej w przeszłości.

– W historii rodziny?

– Tak.

– Przeoczyliśmy coś?

– Tak.

– W którym momencie?

– Zobaczymy. To się okaże.

– Czy to ma jakiś związek z przeszłością Maria Neya?

– Może. Ale to może być fałszywy trop. Włochy, Sycylia. Może to zły kierunek.

– Może chodzi o przeszłość jego żony?

– Może.

– Dlaczego?

– Ona coś ukrywa.

– Ktoś zna jej sekret?

– Tak.

– Kto?

– Jej mąż.

– Więc to i jego tajemnica?

– Tak.

- Ale dotyczy jej?
- Tak.
- A Pauli?
- Nie.
- Jesteś pewien?
- Nie.
- A jeśli jednak dotyczy Pauli?
- No to co wtedy?
- Czy chodzi o coś z czasów, kiedy była już dorosła?
- Może. Wciąż za mało o niej wiemy.
- Jak możemy się dowiedzieć więcej?
- Przecież wiesz. Musimy nad tym popracować.
- A jej dzieciństwo?
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Nie wiem.
- Coś, co się stało, kiedy była dzieckiem? Coś, co się łączy z morderstwem? To masz na myśli?
- Tak.
- Coś związanego z rodziną?
- Tak. Nie. Tak. Nie. Tak.
- Stało na tak.
- Tak, to się wiąże z całą rodziną.
- Tylko z rodziną? Czy też z kimś spoza?
- Nikt mi nie przychodzi do głowy, ale niewykluczone, że też.

- Czy to ma coś wspólnego z dzieciństwem Neyy?
- Nie.
- Z dzieciństwem Elisabeth?
- Tak.
- Dlaczego?
- Ona przychodzi mi na myśl. To o nią chodzi. Ney nam to zdradził, chociaż nic nie powiedział.
- Dzieciństwo Elisabeth?
- Możliwe.
- Nie cofnęliśmy się do tamtych czasów.
- Nie zdążyliśmy.
- A zdążymy? Damy radę?
- Masz jakiś pomysł?
- Co takiego z czasów jej dzieciństwa może rzucić światło na tę sprawę?
- Cień. Przeszłość nigdy nie rzuca światła, tylko kładzie się cieniem.
- Powinniśmy jeszcze raz przeszukać ich mieszkanie?
- Boję się, że niczego nie znajdziemy.
- To gdzie mamy szukać?
- Zostaje nam tylko jedno miejsce.
- Mieszkanie Pauli?
- Tak.
- Przeszukaliśmy je już dwa razy.

– To przeszukamy trzeci. Do trzech razy sztuka, jak mówią.

– Kto tak mówi?

– Ja.

– Czas na przerwę.

W porównaniu z półmrokiem w pokoju Wintera światło w kuchni oślepiało niczym lampy na sali operacyjnej. Wypili kawę z automatu. Była gorąca jak ukrop. Winter odstawił plastikowy kubek, żeby ostygła. To też rutyna. Wszystko jest rutyną, niezbędną rutyną. Na swój sposób również wyobraźnia i intuicja. Myślenie. Niektórzy nigdy się tego nie nauczą.

A myśleć trzeba się nauczyć. Niełatwo myśleć kiepsko, ale nieporównanie trudniej jest myśleć sprawnie.

Ringmar wypił łyk przestudzonej już trucizny i wykrzywił twarz.

– Zaczekaj jeszcze chwilę – doradził Winter.

– Kiedyś od tego umrę.

– W przyszłym tygodniu przywiozą mój ekspres do cappuccino. Będzie stał u mnie w pokoju.

– Naprawdę?

– Niewykluczone.

Ringmar się uśmiechnął i podniósł kubek, ale po chwili go odstawił. Do kuchni wszedł policjant, który miał dyżur przy telefonie interwencyjnym. Wcisnął przycisk w automacie i kiwnął im głową. A potem wyszedł, czubkami palców próbując

utrzymać rozgrzany kubek.

Za oknem słyhać było wiatr. Przybrał na sile, kiedy siedzieli u Wintera. Zorientował się już wcześniej, patrząc na drzewa.

Teraz też było to widać. Drzewa gięły się od podmuchów, poruszały na wpeł gołymi gałęziami. Wyglądały jak ręce machające na pożegnanie. Winter śledził ich ruchy. Ringmar też. Odwrócił się do Wintera.

– Myślisz o tym samym co ja?

– Prawdopodobnie.

– Czy to znak, który powinniśmy dostrzec?

Znak. Biała dłoń. Co oznacza? Sama dłoń? Farba? Biały kolor?

Wszystko razem?

– Biała dłoń – powiedział Winter, jakby do siebie.

– Wczoraj po południu poszedłem jeszcze się jej przyjrzeć.

Winter pokiwał głową.

– Jakbym tym razem miał się dowiedzieć czegoś więcej.

– Biała farba – ciągnął Winter.

– Tak?

– Może chodzi właśnie o farbę. – Przestał się wpatrywać

w drzewa i odwrócił się do Ringmara. – Biała farba. Co może oznaczać?

– No... niewinność. Coś niewinnego.

– Hm...

– Czystość.

– Tak.

– A twoim zdaniem?

– Czy to farba? Czy na tym powinniśmy się skupić?

– Jak daleko nas to zaprowadzi?

– Miłość – odparł Winter. – Czy biel nie symbolizuje też miłości?

– Zależy, co kto ma na myśli. W tym przypadku może symbolizować dosłownie wszystko.

Winter skinął głową.

– Może też symbolizować śmierć – stwierdził Ringmar. Biel jest też kolorem śmierci. Na pogrzeb wkłada się biały krawat.

Winter otarł strużkę śliny z buzi Lilly. Przez sen przewróciła się na drugi bok. Pochylił się i pocałował ją w policzek. Skórę miała gładką jak letni obłok.

Elsa lekko pochrapywała. Ostrożnie obrócił ją na bok i przestała chrapać. Wiedział, że za chwilę znów zacznie. To przez polipy. Może potrzebna będzie operacja. Jedną miała już za sobą.

Angela leżała na sofie z nogami na oparciu.

– Chcesz whisky? – zapytał.

– Pytasz, bo sam masz ochotę?

– Ja? Dlaczego miałbym mieć ochotę na whisky?

Angela zdjęła nogi z oparcia i usiadła.

– Możesz nalać mi kieliszek tego czerwonego wina z wczoraj.

Trochę zostało.

Winter poszedł do kuchni. Wlał resztkę wina do dużego kieliszka. Sobie nalał Glenfarclas. Dwa centymetry. Może potem skusi się na kolejne dwa, nie więcej.

Wrócił do pokoju.

– Może jutro wrócisz do domu, zanim dziewczynki zasną – powiedziała Angela, biorąc od niego kieliszek.

– To przez Bertila. Zasiadzieliśmy się nad pytaniami i odpowiedziami.

– Nie zwalaj na niego.

– Wiesz, jak jest.

– Dwadzieścia pytań i odpowiedzi?

– Jeśli nie więcej.

– Dzwoniła Siv.

– I?

– Oglądała dziś mieszkanie. Wymienili kuchenkę.

– I jak? Dobrze poszło?

– Przekonamy się, kiedy zaczniemy z niej korzystać. –

Podniosła kieliszek. – Ale wygląda na to, że tak.

Winter skinął głową. Kuchenka w Marbelli. Cała kuchnia

w Marbelli. I to za nieco ponad miesiąc. Podniósł szklanę

i zaciągnął się aromatem whisky: dąb, dym, sherry. Napił się

i pomyślał, że powinien tam już być, kiedy Angela

zacznie pracę. Już teraz chciał tam być. Nie, nie chciał. Chciał.

Nie chciał.

– Rozmawiałam z Siv – ciągnęła Angela.

– No tak, wspominałaś już.

– Rozmawialiśmy o grudniu. Jest przygotowana.

– Przygotowana na co?

– Na to, żeby mi pomóc przy dzieciach. Kiedy będę w pracy.

Jeśli ty wciąż będziesz pracował tutaj.

– Będę tam – odparł. – Z wami. Dostałem zgodę na urlop.

Wiesz przecież.

– Może sprawy się przeciągną.

– Nie.

– Eriku, znam cię.

Nie odpowiedział.

– Lepiej niż ty sam – dodała.

– A mogłabyś pojechać sama z dziećmi? – zapytał po chwili. –

Jeśli mnie... coś tu zatrzyma?

– Robiłam to już.

Möllerström przełączył rozmowę.

– Chyba jest roztrzęsiona – powiedział.

Winter czekał, aż Möllerström przełączy.

– Halo? Halo?! – W słuchawce rozległ się krzyk.

– Słucham, tu Winter.

– Dzień dobry. Tu Nina Lorrinder.

– W czym mogę pomóc?

– Wydaje mi się, że go widziałam.

– Kogo?

– Chłopaka, z którym Paula rozmawiała w siłowni. Chyba go rozpoznałam.

– Gdzie?

– W kościele.

– W kościele? W katedrze?

– Tak. Poszłam tam wczoraj na wieczorne nabożeństwo.

Chciałam po prostu... chwilę posiedzieć. Pomyśleć...

Umilkła. Winter słyszał jej oddech. Brzmiało to tak, jakby biegła do telefonu.

– Tak?

– Myślę, że to był on. Siedział po przekątnej. Po drugiej stronie przejścia.

– Wczoraj wieczorem?

– Tak.

– Dlaczego nie zadzwoniła pani od razu?

Nie odpowiedziała.

Winter powtórzył pytanie.

– Nie wiem. Nie byłam do końca pewna. Teraz też nie jestem.

– I co było dalej? Kiedy msza się skończyła?

– Zostałam w ławce. On wstał i wyszedł. Minął mnie. A potem ja też wyszłam.

– Widziała go już pani w kościele?

– Nie przypominam sobie.

– Jak często pani tam chodzi? Do katedry?

– Ostatnio rzadko. Nie mam... sama nie wiem. Po śmierci

Pauli... Bo my razem... przecież chodziłyśmy tam razem...

– Chciałaby pani tam pójść ze mną? – zapytał Winter.

Było cicho i pięknie. Zazwyczaj Winter czuł się w kościele jak w domu. To dobre miejsce: odpowiednie światło, świat znika za murami, a kościelne okna wpuszczają do środka własną wersję otaczającego je miasta.

To już trzecie wieczorne nabożeństwo. Słuchał, ale niezbyt uważnie. Za pierwszym razem, cztery dni wcześniej, zdziwił się, że przyszło tylu ludzi. Może ostatnio coraz więcej ludzi szuka schronienia w kościele.

A może to dlatego, że to katedra, w samym centrum.

Alternatywa dla tłocznych ulic i sklepów.

Stojący przed ołtarzem mężczyzna w bieli coś powiedział, ale

Winter nie dosłyszał co.

Wszyscy wstali i zaczęli śpiewać. Winter się rozejrzał. Nina

stała obok niego z modlitewnikiem w dłoni. Nie śpiewała.

Tak jak on wpatrywała się w ludzi. Nie było ich tylu, żeby

można się było między nimi ukryć.

Pieśń się skończyła. Usiedli.

– Dziś też go nie ma – powiedziała cicho.

Winter pokiwał głową. Przecież nie mieli gwarancji. Ale

powinni nadal przychodzić. Może nie on sam. Niny Lorrinder też zresztą nie mogli do tego zmuszać dzień za dniem, msza za mszą. Ale raz na jakiś czas... Jeśli akurat będzie ładna pogoda. Modlitwa się skończyła. Ludzie zaczęli się podnosić. Żeby wyjść z ławek, musieli się pochylić do przodu i chyba właśnie dlatego Winter go zauważył... Wpatrywał się w rzędy po drugiej stronie przejścia. Dziesięć, może dwanaście metrów dalej. Siedzący samotnie mężczyzna wstał i Winter zauważył jego profil, zanim odwrócił się do niego plecami i ruszył boczną nawą w stronę wyjścia. Teraz, z nieco większej odległości, dostrzegł prawą stronę jego twarzy.

Gdzieś już ją widział. Widział tego mężczyznę.

To musiało być dawno temu. To postać z odległej przeszłości.

Kto to? Co mu przypomina?

Obrócił się w ławce, ale mężczyzna zniknął za zasłaniającą wyjście kolumną.

– O co chodzi? – zapytała Nina.

– Wydawało mi się, że kogoś rozpoznałem.

– Kogo?

– Nie jestem pewien.

Rozmawiałem z nim, pomyślał, wstając. Rozmawialiśmy.

Przesłuchiwałem go.

Tak.

To on.

Minęło wiele lat.

Przed katedrą nie było już nikogo. Tramwaje jechały jeden za drugim Västra Hamngatan.

– Odwiozę panią do domu – zaproponował Winter.

Halders poszedł do siłowni. Z Niną. O tej godzinie, o której przez ostatni rok Nina i Paula miały w zwyczaju ćwiczyć. Dwa razy w tygodniu.

– A wcześniej? – zapytał Halders, kiedy wchodzili po schodach od strony Västra Hamngatan. – Nie ćwiczyłyście?

– Czasami, ale zazwyczaj ćwiczyłam sama.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Paula trochę biegała. Naprawdę nie wiem.

W środku było mnóstwo ludzi. Większość już ćwiczyła albo właśnie się do tego zabierała. Trochę czuć było potem, ale dominował zapach przeróżnych balsamów. Nie to co sala do zapasów w czasach mojej młodości, pomyślał Halders. Tam pachniało potem. Gromadzącym się od dziesięcioleci potem.

A tutaj ma się wrażenie, że te ciała spocily się po raz pierwszy, ale jakby nie do końca chciały to robić, jakby pocenie się było niebezpieczne.

W dużej przeszklonej sali każdy poruszał się na swój sposób: jedni ostrożnie, inni z rozmachem, nieśmiało, narcystycznie, zgodnie z zasadami ergonomii albo cholera wie jak. To on mógłby stanąć z przodu na miejscu tego przystojnego pajaca.

Mógłby mu pokazać, jak to się robi. Może nie teraz, ale dziesięć lat temu, kiedy był w szczytowej formie, na pewno.

Rozmawiał już z obsługą. Wtedy również towarzyszyła mu Nina. Opisali mężczyznę, z którym widziano Paulę. Raczej niezbyt dokładnie. Prawie nic z tego opisu nie wynikało, choć Ninie wydawało się, że rozpoznała tego człowieka w katedrze. Halders jeszcze nie umówił jej na spotkanie z policjantem od portretów pamięciowych. Może powinien był, choć ta niezbyt nowoczesna metoda rzadko kiedy przynosi efekty.

Nikt z obsługi nie pamiętał Pauli Ney. Niny Lorrinder też nie.

– Mamy sporo roboty – powiedziała kobieta w czerwonej przepasce na czole.

Miała na sobie obcisły strój do ćwiczeń. Halders starał się nie patrzeć na jej duże piersi. Zamiast tego wpatrywał się w opaskę. Niedobrze by było, gdyby sobie pomyślała, że gapi się na jej cycki.

– Trudno sobie przypomnieć twarz.

No tak, tutaj chodzi przede wszystkim o ciało, pomyślał. Czuł się nieswojo. Z pewnością jeszcze gorzej byłoby, gdyby musiał się ubrać w taki trykot. Ostatnio zaniedbywał treningi.

– A jak człowiek powinien wyglądać, żebyście go zapamiętali?

– zapytał.

Spojrzała na niego z uśmiechem. To była jej odpowiedź.

Kiedy szli w stronę kafejki, zapytał:

– Rozpoznałaby go pani, gdyby tu teraz był?

– Tak myślę – odparła Nina.

– Był wysportowany?

– Nie widziałam go w stroju do ćwiczeń. Właściwie nie widziałam, jak ćwiczy.

– Jak to?

– Może Paula rozmawiała z nim, kiedy akurat nie było treningu. To znaczy przed albo po ćwiczeniach.

– Gdzie stali?

– Widziałam ich tylko parę razy.

– Proszę pokazać gdzie.

– Raz w kafejce. Mówiłam już.

– A poza tym?

– Tutaj. W holu. O, tam. – Wskazała na drugi koniec korytarza.

Stało tam kilka krzeseł i stół. Za nimi widać było kilkoro drzwi. Halders widział, że w przeszklonej sali ludzie wciąż ćwiczą. Stopy, ręce i nogi poruszały się w tę i z powrotem, w górę i w dół. Ale on widział jedynie dłonie migające w powietrzu, nic więcej. Dłonie, które w jaskrawym świetle wydawały się białe. Ten widok prawie go oślepił. Zamrugał oczami i kiedy znów tam spojrział, obraz wciąż był zamazany. Zastanawiał się, czy Nina rzeczywiście mogła tam kogoś zobaczyć. Może tylko jej się wydawało. Była bardzo niepewna,

aż za bardzo. Powinna pamiętać lepiej. Może po prostu chciała sobie coś przypomnieć: tak, Paula kogoś znała i może ta wskazówka pomoże znaleźć jej zabójcę. Bo samej Pauli już nie pomoże. Paula jest daleko, ponad wszelkimi hałasami, postękiwaniami, podskokami, wymachami i oślepiającym światłem.

A może Nina chce pomóc tylko dlatego, żeby jakoś się przyczynić do rozwiązania zagadki. Widział to setki razy.

Ludzie chcą pomóc, choć nie bardzo mają jak. Wywołują tylko informacyjny chaos, wstrzymują śledztwo i poszukiwania.

Może nie powinno go tu teraz być. Może powinien raczej pojechać do mieszkania Pauli i szukać tam tego, czego do tej pory nie znaleźli.

– Ile razy była pani u Pauli? – zapytał.

Stali w holu, przy małym stoliku i prostych krzesłach.

Wszystko przewidziano dla lżejszych ciał. Może to swego rodzaju wyzwanie. Możecie być tacy jak my. Przychodźcie tu jako tłuściochy, a wychodźcie zgrabni jak modele. Byliśmy jak wy, wy będziecie jak my. Ni z tego, ni z owego Halders przypomniał sobie to hasło. Widział je kiedyś na cmentarzu na południu Hiszpanii. To był jeden z pierwszych urlopów jego i Margarety, zanim urodziły się dzieci. Było bardzo gorąco, a samochód z wypożyczalni nie miał klimatyzacji. Przystanął na chwilę na poboczu i przeczytał inskrypcję na bramie

cmentarza. Byliśmy jak wy, będziecie jak my. Za murami wznosiły się ciemne sarkofagi, wyraźne na tle błękitnego nieba.

Jakiś staruszek wyszedł i przetłumaczył mu napis, choć wcale go o to nie prosił. Mówił po angielsku jak Amerykanin.

Haldersa wcale to nie zdziwiło, bo staruszek wyglądał jak żywcem wyjęty z westernu. Potem, w drodze do Granady, zastanawiał się nad tymi słowami. Brzmiały jak szyderstwo.

– Prawie nigdy tam nie bywałam – powiedziała Nina.

– Co?

– U Pauli. W domu. Pytał pan o to. Prawie nigdy u niej nie bywałam.

– Ale kiedy pani u niej była, jak wyglądało mieszkanie?

– To znaczy?

– Było przytulnie? Domowa atmosfera? Paula dobrze się tam czuła?

– Nie wiem. Nie miała zbyt wielu mebli.

– A bez nich nie można się dobrze czuć?

– Nie wiem. To chyba kwestia pieniędzy.

– Ale chyba zarabiała dość dobrze?

– Tak sądzę.

– Często mówiła o pracy?

– Nigdy.

– Nigdy?

– Nigdy. Tak jak ja nie mówię o swojej.

– A ja o swojej – stwierdził Halders.

– Myślałam, że policjanci często mówią o pracy. W domu.

– W ogóle o niej nie mówimy. Ale myślimy. Niestety.

– Dlaczego niedostępnie?

– Bo wracając do domu, powinno się ją z siebie zrzucić, tak jak się zrzuca kurtkę na podłogę.

– Zrzuca pan kurtkę na podłogę?

– Ten tam – rzucił. Nie odpowiedział na jej pytanie. Ruchem głowy wskazał na mężczyznę, który właśnie wyszedł z jednej z sal gimnastycznych i ruszył w ich stronę. Wyglądał, jakby właśnie szedł na trening. Choć Halders nigdy wcześniej go nie widział, było w nim coś znajomego. – Może to on.

– Tak, to on – odpowiedziała Nina.

– Noc ma tysiące oczu, które śledzą każdy twój krok – Halders śpiewał powoli, jadąc przez pogrążone w mroku miasto. – Noc ma tysiąc oczu, więc lepiej zostań tu.

– Zostań gdzie? – zapytał Winter.

Zaczął się już przyzwyczajać do jego specyficznego zachowania. Absurd i tyle. Czasami czuł się tak, jakby grał w sztuce Becketta *Czekając na Godota*. Wieczne wracanie z różnych nicości. Różnych miejsc zbrodni – tych na wschodzie i na zachodzie miasta. A czasem z miejsc znalezienia zwłok. Te są jeszcze gorsze. Jaki to ma sens, do cholery? Może lepiej to wypierać, uciekać się do drastycznego haldersowego poczucia

humoru. Cicha melodia pośrodku chaosu, w drodze do i z przepaści. O tak. Noc ma tysiąc mozaikowych oczu, które połyskują wokół. Neonowa poświata zmierzchu przechodzi w neonową poświatę świtu. Czasami rano miał wrażenie, że nie spał cały miesiąc.

– Może zostać w samochodzie – odpowiedział Halders.

– A co zrobimy, jak już wyjdziemy?

– Wezwiemy posiłki.

– Żartujesz?

– Oczywiście.

Znali się od paru miesięcy. Już się nie bili. Nocami razem jeździli po mieście. Razem wchodzili po obcych, nieprzyjaznych schodach, z bronią w ręku. Razem tyłali się we krwi, choć zawsze była to cudza krew. Tego nie dało się uniknąć. Krew była ich chlebem powszednim. Winter widział krew co tydzień. Bywały takie tygodnie, kiedy widział ją codziennie, a bywały i takie dni, kiedy widział ją co godzinę. Jaki to ma sens, do cholery? Taki, że wchodził po tych schodach. Że wyciągał broń. Że stał tam, był tam. Choć prawie zawsze było już po wszystkim. Gdyby tylko zjawił się wcześniej. Rzadko przyjeżdżali na czas.

– To tutaj?

Halders spojrział w bok. Winter zajrzał do notatnika, a potem on też wyrztał przez szybę. Nie urodził się na tej wyspie – na

Hisingen. A teraz znaleźli się daleko za Vågmästareplatsen.

Ten, kto się tu nie urodził, nigdy nie będzie umiał się tu odnaleźć. Jakby teren wciąż się przesuwał. Na Hisingen igła kompasu nie pomagała.

Halders zatrzymał się przed czteropiętrowym blokiem. Wokół stało sześć podobnych, tworzyły nierówne półkole. Wszystkie miały po trzy klatki. Wisiały nad nimi numery. Winter odczytał na głos adres. Halders odpalił i ruszył wzdłuż budynków.

Winter miał wrażenie, że domy pochylają się nad samochodem. To przez cienie. Nocą wyglądały inaczej niż za dnia. Były sztuczne, chwilami niebezpieczne. Można było przez nie źle ocenić perspektywę. Pewnej nocy pobiegł w złym kierunku, bo zmylił go fałszywy cień. Wolał nie myśleć, jak to się mogło skończyć.

Halders zaparkował w pewnej odległości od wejścia, tak żeby nie było ich widać z okna. Winter się nad tym nie zastanawiał. Wpatrywał się w okna. Było w nich ciemno.

– Wolałbym, żeby tam na górze się paliło – powiedział

Halders.

– Ja bym wolał, żeby już było po wszystkim – odparł Winter.

Wyciągnął swojego walthera i sprawdził, czy działa.

– Lubię cię, Winter. – Halders się uśmiechnął. – Już wybiegasz myślami do przodu.

– Co powiedział przez telefon?

- Hałas jak cholera. Drą mordy.
- No tak, delikatniejsze określenie nie wchodzi w rachubę.
- Trochę niepokojące, co?
- Może powinniśmy pomyśleć o tych posiłkach, o których przed chwilą mówiłeś.
- Zapomnij. Jesteś gotowy?
- Idziemy we dwójkę?
- Jeden za drugim. Ty pierwszy.
- Dlaczego ja?
- Bo tylko ja mam oczy z tyłu głowy – odparł Halders.

Wysiedli. Ruszyli wzdłuż bloku i weszli do klatki.

Najwidoczniej w drzwiach nie było zamka, a może był zepsuty.

Nie zapalali światła na schodach. We wszystkich mieszkaniach, które mijali, idąc na górę, było cicho. Winter sprawdził:

w żadnym oknie na klatce nie paliło się światło. Jakby

wszystkich lokatorów ewakuowano. Facet, który do nich

zadzwoił, nie wspominał o tym. Mówił tylko o hałasie jak

cholera i darciu mord. Teraz nikt się nie darł. Na klatce było

niepokojąco cicho. Okropna cisza jakby tylko na nich czyhała.

Winter już umiał ją rozpoznać. Wiedział, że prędzej czy później zacznie grzmieć.

– Następne mieszkanie – wyszeptał Halders.

Winter kiwnął głową w stronę chropowatej ściany. Klatkę

rozjaśniało jedynie wpadające z zewnątrz mdłe światło latarni.

Żeby się tu dostać, musiało pokonać długą drogę. Stanęli przed drzwiami, jeden z jednej, drugi z drugiej strony. W drzwiach był wizjer. Halders nacisnął dzwonek. Rozległ się głośny brzęk, wzmocniony przez ciemność. Ostry dźwięk, jak dzwonienie starego budzika. Żadnej melodii. W porównaniu z tym nawet śpiew Haldersa był melodyjny. I znów za drzwiami dał się słyszeć zgrzytliwy pisk. I tylko tyle – żadnych głosów, kroków.

Winter schylił się i ostrożnie uniósł metalową klapkę nad otworem na listy. Zobaczył tylko ciemność. Po jakichś dziesięciu sekundach dostrzegł zarys dywanika leżącego pod drzwiami. Gdzieś z głębi mieszkania, prawdopodobnie z okna, wpadało słabe światło. Równie mało pożyteczne, jak to na klatce.

Winter podniósł wzrok i skinął na Haldersa.

Halders załomotał pięścią w drzwi.

– Policja! Otwierać!

Winter nasłuchiwał, czy ze środka dobiegnie jakiś dźwięk.

Zawsze coś słychać. Żadna cisza nie jest wystarczająco głucha.

– Otwierać – powtórzył Halders.

Jeszcze raz lekko uderzył pięścią w fornirowane drzwi. Rozległ się stłumiony łomot. Jeszcze jedno uderzenie, a przebije się na drugą stronę. Wciąż stali w ciemności. Nikt z sąsiadów nie wyjrzał na korytarz. Nikt nie zapalił światła i nie zapytał, co się, na Boga, dzieje.

Za drzwiami panowała cisza. Z ulicy dochodził szmer. Może to wiatr albo wentylacja.

Winterowi przypomniawszy się podniecony głos w telefonie: „Ależ oni się drą! Jakaś kobieta krzyczy!”.

Halders przyłożył ucho do drzwi.

Winter nacisnął klamkę.

Kiedy ją podniósł, drzwi się otworzyły.

– O kurwa, otwarte – powiedział Halders.

– Ostrożnie.

Halders pokiwał głową. Powoli uchylił drzwi. Winter czuł własny puls. W dłoni zaciskał broń. Jakby to było tu i teraz. Bo było. Do czegoś takiego nie można się przygotować, nie można

tego przećwiczyć. Tak naprawdę nie można. Panująca

w mieszkaniu ciemność mogła skrywać dosłownie wszystko.

Wejście tam mogło oznaczać pożegnanie z tym światem. Tak

właśnie czuł. Wcześniej rzadko mu się to zdarzało.

– Ja zapalę – powiedział. Halders. – Uważaj.

Nagle, niczym po eksplozji, przedpokój zalało światło. Winter

lewą ręką osłonił oczy. Odczekali dziesięć sekund i weszli. Na

podłodze leżały ubrania – zwykłe ciuchy, ale też kurtki

i płaszcze. I buty.

Powoli przeszli przez mieszkanie. Pokój za pokojem. Nie było

nikogo.

Na podłodze w kuchni znaleźli czerwone plamy. I gazety.

Czerwień zalała je jak farba. Papiery wyglądały tak, jakby miały

chronić podłogę podczas malowania. Winter zauważył jakiś

felieton, ale nie umiał nic odczytać. I zdjęcia.

– Co to ma być, do cholery? – zapytał Halders.

Winter nie odpowiedział. Pochylił się. Oglądał plamy. Przecież

to naprawdę mogłaby być farba, a on mógłby być malarzem,

nie policjantem.

– Dużo tego. – Halders odwrócił się do Wintera. – Niedobrze

ci?

– Nie.

– Zbladłeś, stary.

– Co tu się stało?

Halders odwrócił się w drugą stronę.

– Cokolwiek to było, już jest po wszystkim.

– Na schodach nie ma krwi.

– Tego jeszcze nie wiemy. Jeszcze nie przyjechali technicy.

A czego mieliby szukać? – pomyślał Winter. Jakiej zbrodni tu dokonano? O ile to rzeczywiście zbrodnia.

– Może ktoś się zaciał w rękę, krojąc szynkę – powiedział

Halders. – Albo zaszlachtował parę kurczaków. Jak myślisz?

– A gdzie nóż?

– Zapomniał się i zabrał ze sobą.

– I gdzie teraz jest?

– Może sam nie wie.

Winter nie zwracał uwagi na absurdalne komentarze

Haldersa.

– Musimy porozmawiać ze świadkiem – powiedział Halders.

– Ale on chyba tu nie mieszka?

– Tu nie, po drugiej stronie podwórka.

– To co robił na tej klatce?

– Miał odwiedzić kumpla piętro niżej, tak nam powiedzieli ci z centrali. Kumpla widocznie nie było w domu. Ale usłyszał z tego piętra hałas jak cholera.

Winter pokiwał głową. Teraz było cicho jak cholera. Czasami, kiedy przyjeżdżał na miejsce wezwania, krzyk wciąż zdawał się unosić w powietrzu. Tutaj tak nie było. Ci, którzy stąd wyszli,

zabrali krzyk ze sobą.

Halders się rozejrzył.

– Cholernie dziwne – powiedział.

– Lepiej chodźmy pogadać z tym facetem – odparł Winter.

– Wezwę jeszcze jeden radiowóz. Nie możemy się ruszyć, zanim nie przyjadą.

– Ja się trochę rozejrzę.

Wszedł na korytarz i odczytał nazwisko na drzwiach.

Martinsson. Imienia brak. Nie wiedział o właścicielu dosłownie nic: czy to mężczyzna, czy kobieta, a może małżeństwo? Nie mieli czasu sprawdzić. Nie wiedział też, co się stało. Cholernie dziwne, jak powiedział Halders. Nie widząc ofiary, nie mogli się domyślić, o co chodzi.

Wszedł z powrotem do mieszkania, do najbliższego pokoju.

Podwójne łóżko było niepościelone. Wyglądało tak, jakby leżały w nim dwie osoby: w obu poduszkach widać było wgniecenia.

Może byli tu rano, może wczoraj albo przedwczoraj.

W sypialni też była krew. Zauważył to dopiero, kiedy spojrzał po raz drugi. Na pierwszy rzut oka plama wyglądała jak część wzoru na poduszce. Jakby ktoś specjalnie ją tam zakamuflował, tak, żeby trzeba było się dobrze przyjrzeć.

Co tu się stało?

Wrócił do kuchni.

Czekali na techników. Kiedy przyjechali, ruszyli do klatki po

drugiej stronie podwórka. Winter słyszał ujadanie psa.

Dobiegało z lasu rosnącego na północ od budynku. Wyglądał trochę jak miniatura dla dzieci. Drzewa rosły blisko siebie, ale nie było ich zbyt wiele.

Zadzwonili do drzwi. Winter odczytał z tabliczki nazwisko:

Metzer. Niemieckie, może francuskie albo włoskie. W tej dzielnicy mieszka sporo cudzoziemców, południowców i Finów.

Finów jest dużo. Urządzają imprezy suto zakrapiane alkoholem, ale rzadko muszą przyjeżdżać policjanci z porządkowej. Finowie sami zajmują się pijanymi kolegami.

Niewątpliwie są w tym najlepsi na świecie. Oni i Rosjanie.

Szwedzi są najgorsi, chociaż tkwią w samym środku ciągu narodów, które nie stronią od kieliszka.

Winter stał kilka stopni niżej. Mężczyzna otworzył. Może rzeczywiście nazywał się Metzer. Winter nie wiedział, kto dzwonił. To Halders przyjął zgłoszenie od centrali. Obaj byli akurat w pobliżu. Właśnie tropili gang podejrzany o przemyt narkotyków. I tak nikogo nie znaleźli, więc zgodzili się przejechać ten dodatkowy kilometr.

– Pan Metzer? – zapytał Halders.

Winter go nie widział. Wciąż krył się za drzwiami. Poczłł przeciąg, jakby na dole ktoś zostawił otwarte drzwi. Znów usłyszał szczekanie. To pewnie wiatr niesie pogłos. Tak, drzwi na dole na pewno są otwarte.

– Możemy wejść? – zapytał Halders.

Winter usłyszał tylko pomruk. Wciąż nie widział twarzy mężczyzny, zasłaniały mu ją plecy Haldersa.

– Pójdę tylko coś sprawdzić – powiedział Winter i ruszył na dół.

– Zapomniałeś czegoś? – zdziwił się Halders.

– Wchodź. Zaraz wrócę.

Drzwi na dole były otwarte. Ktoś je zablokował, żeby się nie zamknęły.

Przed domem stał chłopiec z psem na smyczy. Bez słowa wpatrywał się w Wintera. Pies przestał ujadać, ale i tak był niespokojny. Wyrwał się w stronę lasu, jakby go tam ciągnął jakiś magnes.

– Widziałeś, kto otworzył drzwi? – zapytał Winter.

Chłopiec potrząsnął głową. Miał jedenaście, może dwanaście lat.

– Mieszkasz tu?

Mały wskazał na blok, z którego wyszli przed chwilą. Technicy wciąż badali mieszkanie na czwartym piętrze. Winter widział światło w oknach. W jednym z nich mignął cień. Któregoś z techników. Nie zabawimy tu długo, powiedzieli. Co to za główniana sprawa?

– Mieszkasz tu? – ciągnął Winter. – W tym bloku?

Chłopiec przytaknął.

– Nie możesz mówić?

Tym razem chłopiec potrząsnął głową. Włosy miał ciemne, ale i tak połyskiwały w świetle latarni. Nagle Winter zrozumiał.

Ten mały coś wie. Stoi tutaj, bo wie. Coś widział.

Mimo dzielącej ich odległości Winter widział też jego oczy.

Błyszczały, jakby płonęły od środka.

Przeszył go dreszcz. Włosy stanęły mu dęba. Chłopiec się w niego wpatrywał. Co za oczy. Pies wciąż szarpał się na smyczy. Chłopiec znów wskazał na coś palcem. Na co tym razem? Wyciągnął rękę i kiwał głową w stronę lasu. Jego dłoń drżała jak liść na wietrze. Była zresztą równie wątła. Pies znów zaczął szczekać jak oszalały. Co takiego widzieli pies i chłopiec?

Lasek. Chce, żebym tam poszedł. Nie może mi tego powiedzieć.

Ale się stara.

– Chcesz mi coś pokazać? – zapytał Winter, wskazując ręką w tę samą stronę co chłopiec. – Tam? W zagajniku?

Chłopiec pokiwał głową.

– Co takiego?

Nie odpowiedział. Poza nimi na dworze nie było nikogo. Wiatr napierał na co tylko mógł. Świerki rzucały cienie na fasady bloków. Wszystko wyglądało jak na puszczonej w przyspieszonym tempie filmie. Od drzew dzieliło ich pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów. Lasek był niewielki, przypominał oazę pośród ceglanej pustyni. Brzozy kiwały się

jak wiotkie palmy.

W dużych oczach chłopca widział strach. Nie chciał wyciągać przy nim pistoletu, ale trzymał rękę na schowanej w kieszeni rękojeści. Rzucił okiem na samochód. Miał do niego bliżej niż do lasu.

– Muszę tylko coś przynieść – powiedział i poszedł do auta.

Otworzył prawe drzwi i wziął latarkę. Drugą wziął ze sobą Halders. Latarka była cięższa od broni. Podniósł ją tak, żeby chłopiec mógł ją zobaczyć. Jakby mogła go uspokoić.

Wyłączona latarka oznacza spokój. Włączona również, ale przede wszystkim dla tego, kto ją trzyma. Pistolet też może w taki sposób uspokajać. Ale nie teraz.

Kiedy przecinali plac zabaw, pies zaczął ujadać i rwać się na smyczy. Wyglądał jak mieszanina nie wiadomo jakich ras. Dla niego to jak polowanie, ewidentnie zawładnął nim instynkt.

Przecież zwęszył w powietrzu zapachy, których nie czuje żaden człowiek.

Winter skierował strumień światła na drzewa i spojrzał na chłopca. Pies zamilkł, ale wciąż ciągnął za smycz. Gdy doszli do skraju zagajnika, chłopcu trudno było go utrzymać.

Winter wszedł głębiej, skierował latarkę w dół. Wszystko wydawało się białe: liście, ziemia, trawa, piach, kamienie. Tylko tyle widział. Chłopiec został pod lasem. Winter do niego wrócił.

– Nic nie widzę.

Chłopiec znów na coś wskazał.

– Gdzie? – zapytał Winter. – Gdzie to jest?

Chłopiec stał teraz kawałek dalej, w krzakach. Pies, zyskawszy kilka metrów swobody, wyskoczył do przodu. Niemal przeleciał w powietrzu. Gdy smycz się napięła, szarpnęło nim do tyłu jak od gwałtownego podmuchu.

Chłopiec skierował rękę w dół, w ziemię. Winter poświecił wokoło. Liście, ziemia, trawa, piach i kamienie. Te ostatnie ułożone w nierówne półkole. Pewnie pozostałość po ognisku.

Winter się schylił. Na kamieniach widać było ciemniejsze plamy, ale mogła to być wilgoć albo mech. Znów spojrzał na chłopca.

– Widzisz tu coś?

Nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w ziemię.

– Ale tu nic nie ma – stwierdził Winter.

– R... r... ręka – wyjąkał chłopiec.

– Co? – Winter wciąż siedział w kucki. – Co powiedziałeś?

– Tu leżała ręka.

Siedzieli przy kuchennym stole. Stał na nim wazon

z kwiatami. Winter nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywają. Kwiaty, ptaki, rośliny – nie był w tym zbyt dobry.

Jego działką były raczej liście, ziemia, trawa, piach i kamienie.

Chłopiec miał jednaście lat. Miał na imię Jonas. W domu

sprawiał wrażenie równie zziębniętego, jak na dworze. Przed

nim stał kubek kakao. Obok siedziała mama. Wyglądała młodo, ale musiała być starsza od Wintera. Musiała mieć co najmniej trzydziestkę. Chłopiec miał podobne rysy, choć niecałkowicie. Ale przy stole nie było jego ojca, więc Winter nie do końca miał porównanie.

– Nie było nas w domu – powiedziała matka. Anne. Anne Sandler. Jej imię i imię Jonasa widniały na tabliczce na drzwiach. Imienia ojca nie było.

Winter zapytał ją, kiedy dokładnie. Kiedy świadek, Metzger, zgłaszał rzekomą awanturę u Martinssonów, nie było ich w domu.

– Byliśmy na basenie.

Winter pokiwał głową.

Jonas wypił łyk kakao. Wintera też poczęstowano, ale poprosił o kawę. Była mocna i gorąca.

– On rzadko zwraca uwagę na cokolwiek – powiedziała Anne Sandler, wskazując na Jonasa.

Odkąd weszli do domu, chłopiec nie powiedział za wiele. Pies też siedział cicho. Już zrobił swoje.

– Mój Boże. – Anne spojrzała na syna.

– Tam była ręka – powiedział.

Winter przytaknął. Chłopiec już nie wyglądał na zziębniętego.

– Z palcami i w ogóle.

– Wierzę ci – odpowiedział Winter.

– O, tu się zaczynała. – Jonas wskazał na nadgarstek.

– Mój Boże – powtórzyła jego mama.

– Była duża? – zapytał Winter. – Jak dłoń dorosłego?

– No nie wiem... dość mała. – Chłopiec spojrzał na własną rękę, jakby chciał porównać. – Ale było dość ciemno.

– Nie możemy na tym skończyć? – Anne Sandler spojrzała na Wintera błagalnym wzrokiem.

– Jeszcze chwila – odparł i odwrócił się do chłopca. –

Wyglądała jak ręka dziecka?

Chłopiec potrząsnął głową.

– Jak ręka jakiejś pani? Kobięca ręka?

– Może – odparł Jonas.

Jego matka spojrzała na swoje dłonie. Zdjęła je z blatu i położyła na kolanach.

– Było ciemno – ciągnął Jonas.

– Ale ją zauważyłeś?

– Tak, bo tam jest latarnia. No i Zack szczekał więcej niż zwykle.

– Co za pies – wtrąciła Anne Sandler. – Nie robi nic innego.

Tylko szczeka.

– Trenuję go przecież. – Jonas spojrzał na matkę.

– Już za późno – odparła. – Jest już za stary. – Odwróciła się do Wintera. Zauważył, że mówienie o psie ją uspokaja. –

Niektórych rzeczy już go nie nauczysz.

– Już go nauczyłem siadać.

– Widziałeś tę rękę wyraźnie? – zapytał Winter.

Chłopiec pokiwał głową. Spojrzał na psa. Pies siedział grzecznie. Chłopiec napił się kakao. Potem podniósł wzrok.

– Ale nie wyglądała tak normalnie.

– Co masz na myśli?

– Była biała. Jakby z plastiku. Albo z gipsu.

– Wystarczy. – Jego matka wstała i zaniósła niedopitą kawę

Wintera do kuchni. Słyszał, jak wylewa ją do zlewu.

Wracali przez Älvsborgsbron. Na wschodzie połyskiwało światłami centrum, jakby się przygotowywało do imprezy. Na zachodzie rzeka się rozszerzała i wpadała do morza. Czarna woda rozlewała się na boki i nabierała masy. W ciągu kilku ostatnich godzin zrobiło się chłodniej. Może zacznie padać śnieg, pomyślał Winter. Śnieg w październiku. Biała warstwa pokrywająca ziemię.

– Można wierzyć temu chłopczkowi? – zapytał Halders.

Winter wzruszył ramionami.

– Tak myślę. – Chwycił się siedzenia, kiedy Halders pokonywał kręte zjazdy przy Karl Johansgatan. – Chociaż to mogło być cokolwiek. Światło nie było najlepsze.

– Ale widziałeś plamy?

– Tak, ale to też mogło być cokolwiek.

– Nasi dobrzy znajomi z technicznego będą musieli

sprawdzić, co to było.

Winter nie odpowiedział. Nigdy nie miał w technicznym żadnych znajomych i nie zamierzał ich mieć. Jechali wzdłuż rzeki. Martwe żurawie stoczniove pięły się wysoko na tle nieba. Wyglądały jak pamiątka po czymś, o czym wkrótce wszyscy zapomną. Wiązały się jakoś z tym miastem. Teraz to już przeszłość. A miało to być oblicze Göteborga. Dziś miasto miało ich wiele. Większość zwrócona była w dal, nie dało się ich zobaczyć.

– Ależ się ucieszyli ci z technicznego. Kolejne miejsce do zbadania. I to tylko pięćdziesiąt metrów dalej.

– Tak. To dla nich prawdziwa radość.

Im bardziej zbliżali się do centrum, tym jaskrawiej świeciły neony. Handlowej dzielnicy Nordstad nie brakowało niczego. Halders zatrzymał się na czerwonym. Grupka ludzi w strojach wieczorowych przemknęła w stronę przystani Lilla Bommen. Nikt nawet nie spojrział na dwóch młodych komisarzy ukrytych w anonimowym samochodzie.

– Więc musimy tylko poszukać państwa Martinssonów i sprawdzić, czy któremuś przypadkiem nie brakuje ręki.

– Jeśli już, to kobiecie.

– Mówiłeś, że ta mama i chłopiec ich nie znają?

– Nie. Ale to nie jest szczególnie sympatyczna okolica. Nawet sąsiedzi z piętra się nie znają.

– Ale chyba się widują?

Winter wzruszył ramionami. Kolejny raz tego wieczoru.

Pomyślał, że tego nie lubi. Musi z tym skończyć.

– A ty? – zapytał. – Albo nawet ja. Szczerze mówiąc, mam gdzieś, kto mieszka obok mnie. Jednej trzeciej sąsiadów nie poznałbym na ulicy.

– A jednak jesteś ekspertem – odparł Halders.

Skręcił do zajezdni przy dworcu. Przed głównym wejściem stał sznur taksówek. Było tak zimno, że ludziom leciała z ust para.

Cholera, pomyślał Winter. Przed nimi jeszcze listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec i połowa kwietnia. Tyle będzie trwać biała zima. A po niej przyjdzie zielona. Ojciec ciągle powtarzał, że trzeba raz na zawsze wyjechać z tego kraju.

I w końcu to zrobił. Wyjechał całkiem niedawno. Zabrał ze sobą wszystkie pieniądze, zapomniał tylko zapłacić podatki. O ile Winter mógł zrozumieć, że ojciec chciał zmienić klimat na cieplejszy, o tyle tej historii z podatkami nie pojmował.

Przestali ze sobą rozmawiać. Pomyślał, że może kiedyś, w przyszłości, zaczną się do siebie odzywać, choć wcale nie był tego pewny. Najpierw chciał usłyszeć wyjaśnienie. Ale samo wyjaśnienie nie wystarczy.

– Metzer nie pomógł za wiele – powiedział Halders. – Te wrzaski brzmiały groźnie i zaniepokoiły go. I tyle.

– Ale znał Martinssonów?

- Nie.
- Najwidoczniej tam nikt nikogo nie zna.
- Najwidoczniej – odparł Halders.
- I co teraz?
- Czekamy, aż się odezwą. Albo ktoś ich znajdzie. Albo jedno z nich.

Winter nie odpowiedział. Stanęli na czerwonym przy redakcji

„Göteborgs Posten”. Może jutro będzie można przeczytać

w gazecie o tym, co się dziś stało na Hisingen.

– No i zobaczymy, co powiedzą chłopaki z technicznego –
ciągnął Halders.

– Była z nimi dziewczyna – zauważył Winter.

– Dobra, tak się tylko mówi. Zresztą jak dziewczyna jest
dobra, to można ją zaliczyć do chłopaków.

Zaparkowali przed komendą. Musieli jeszcze tylko wejść
spisać raport, a potem koniec zmiany.

– Skoczysz potem na piwo? – zapytał Halders.

– Nie dziś.

– Kobieta czeka?

– Tak, w zasadzie tak.

– Strzeż się.

– Czego?

– Szybkiej jazdy. To może się potoczyć szybko jak cholera.

– Bez obaw.

- Ładna?
- Nie twój interes.
- Po prostu jestem ciekawy. Jak się nazywa.
- Hasse.
- Hasse? Nie żartuj.
- Jedna z chłopaków.
- Ha, ha. Daj spokój. Jak się nazywa?
- To też nie twój interes.

Angela cofnęła się z przejścia dla pieszych. W ostatniej chwili.

– Widziałeś?!

Winter nie odpowiedział. Próbował odczytać numery z tablicy rejestracyjnej, ale była zbyt brudna. Volvo S40, nowszy model.

Nie zdążył zobaczyć kierowcy. Jechał sześćdziesiąt pięć albo siedemdziesiąt na godzinę.

– Przejechał na czerwonym – powiedział Angela.

S40 skręciło w prawo i ruszyło w stronę jednokierunkowej Chalmersgatan. Może jechało do pobliskiego komisariatu na Lorensberg. Winter wyciągnął komórkę i szybko wybrał numer. Krótko wyjaśnił, o co chodzi.

– Tak. Możliwe, że jedzie w twoją stronę.

Czekał z telefonem przy uchu. Wciąż stali przed przejściem.

Angela zrobiła jeszcze dwa kroki w tył.

– Tak? Okej. Naprawdę? No proszę. Dzięki. – Winter schował telefon. – Złapali go.

– I dobrze.

– To złodziej.

– Tak powiedzieli?

– Prawdziwa sława.

– Tak szybko go rozpoznali?

– Dzisiaj wszystko toczy się szybko. – Znów mieli zielone.

Samochody grzecznie się zatrzymały. – Spróbujemy przejść?

Ruszyli przez park w stronę Salutorget.

– A nie zawsze tak było? – zapytała Angela po chwili.

– Co masz na myśli?

– Nigdy wcześniej nie czułeś, że wszystko się toczy za szybko?

Że życie się toczy za szybko?

– A cóż to za pytanie?

– Nie potrafisz odpowiedzieć.

– No tak, chyba tak. – Zwolnił. – Możliwe, że czasami miałem takie wrażenie.

– Na przykład kiedy chodziło o nas?

– Nie, skąd.

– Właściwie kiedy zamieszkaliśmy razem, byliśmy ze sobą dopiero od pięciu lat – powiedziała, nie patrząc na niego. –

Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Mijali most. Było tak ciemno, że prawie nic nie widzieli.

Winter wyczuł ręką ramię Angeli.

– Mieszkaliśmy osobno tylko pięć lat?

– Chodzi mi o rzeczywisty wymiar czasu.

– Lubię, kiedy jesteś ironiczna.

– Choć całkiem często pomieszkiwałeś u mnie na Kungshöjd

– ciągnęła Angela.

– No tak, a potem kupiłem to mieszkanie przy Vasaplatsen

i wtedy już wszystko było jasne.

Zadzwoniła komórka Angeli.

– Tak? Tak? No tak. Nie. Tak. Nie. Tak, tak. Właśnie. Otóż to.

No jasne. Tak. Tak. No tak.

Rozłączyła się i schowała telefon do torebki.

– Opiekunka – wyjaśniła.

– Domyśliłem się. Jakies problemy?

– Nie.

Przeszli przez plac przy Salutorget i doszli do restauracji na

jego wschodnim krańcu. Angela zarezerwowała stolik

poprzedniego dnia. Przy oknie. W środku wydawało się, że na

dworze jest strasznie zimno. W powietrzu unosiły się

smakowite zapachy. Winter zamówił martini dry, Angela kir

royal. Martini było bardzo wytrawne. Barman musiał dodać do

lodu zaledwie kapkę Noilly Prat.

Wznieśli toast.

Winter wyjrzał przez okno. Pogoda wyglądała na zimową.

W szybie widział swoje niewyraźne odbicie. Widział szklanę,

którą trzymał w dłoni. I Angelę.

– Wiesz, co dziś świętujemy? – zapytała, spoglądając na niego

znad menu.

– Oczywiście.

– Ale słowem się nie odezwałeś, kiedy zamawiałam stolik

i umawiałam się z opiekunką.

– Chciałaś mnie sprawdzić?

– Oczywiście.

– No to wierzysz mi czy nie?

– Nie.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął pudełeczko.

Podał jej. Było na tyle małe, że można je było schować w dłoni.

– A teraz mi wierzysz?

– Jak ci się udało tak długo zachować pokerową twarz?

– Pokerową twarz?

– Jakim cudem wytrzymałeś?

– Taką mam pracę.

TELEFON WINTERA ZADZWONIŁ, kiedy podano im pierwsze danie. Winter czuł zapach ziół z rusztu. Leżały na talerzu ułożone jak pędzelek. Właśnie miał nim posmarować raki.

Odebrał odruchowo.

– Erik, gdzie jesteś?

Halders.

Winter odpowiedział.

– Ja jestem niedaleko. Przy Västra Hamngatan.

– Na siłowni?

– Można tak powiedzieć.

– O co chodzi?

– Spotkałem chłopaka Pauli, czy kim on tam dla niej był. On się do tego nie przyznaje.

– Jesteś pewien?! To on?!

– Nie o mnie tu chodzi, tylko o Ninę Lorrinder. Ale ona jest pewna.

– A on co mówi?

– Nie za wiele. Nie bardzo mu się to podoba.

– Gdzie jest? – zapytał Winter.

Angela rzuciła mu nad stołem pytające spojrzenie. Wciąż czuł zapachy dolatujące z półmisków. Już niedługo. Jeszcze pół minuty i czar pryśnie.

– Stoi dwa metry ode mnie – odpowiedział Halders.

– Chcesz go wziąć do nas?

– Najpierw sam go trochę przepytam. Potem się zobaczy.

Chyba raczej nie wyjedzie z miasta.

– Zadzwoń do mnie za godzinę.

– A co powie Angela?

– Zadzwoń.

– Może zadzwonię wcześniej.

Chłopak Pauli wyglądał na trzydzieści lat. Jeszcze nie wyłysiał.

Halders nie ufał facetom, którzy jeszcze nie wyłysieli. Ta zasada

dotyczyła wszystkich – od pijaczków po finansistów. Zresztą

większość finansistów piła.

Ale ten chłopak nie wyglądał na pijaka. Szczera twarz.

Wyglądała, jakby jeszcze nie wydorosłała, jakby niektóre rysy

miały się jeszcze za kilka lat zmienić. Niektórzy, zwłaszcza

aktorzy, wyrabiają sobie twarz pić. Taką mają metodę. Ale

na to trzeba czasu.

Halders pomyślał, że po kilku spotkaniach z tym kolesiem

pewnie nie rozpoznałby go na ulicy. Poza tym na siłowni

kręciło się mnóstwo podobnych typów. Może to przez

ćwiczenia ich twarze nabierały aerodynamicznych kształtów.

– Po prostu z nią gadałem parę razy – wyjaśnił chłopak. –

I tyle.

– Johan, niech pan posłucha...

– Jonas.

– Proszę posłuchać. Po prostu próbujemy się dowiedzieć jak najwięcej o Pauli.

Siedzieli w kawiarni. To był pomysł Haldersa. Trochę poprzestawiał stoliki, żeby mogli usiąść w bezpiecznej odległości od innych.

– Chętnie pomogę.

– Czym się pan zajmuje?

– Słucham?

– Gdzie pan pracuje?

– No... akurat teraz nie mam pracy.

– Jak dobrze znał pan Paulę?

Jonas wyglądał na zakłopotanego. Właśnie o to chodziło. Po niektórych pytaniach może zapaść cisza. Wpatrywał się przed siebie, jakby szukał świadka, który na niego wskazał. Jakby chciał wyjaśnić, że to pomyłka. Ale nie znalazł świadka. Nina Lorrinder zniknęła dyskretnie, jak tylko go rozpoznała.

– Przecież już mówiłem, że jej nie znałem.

– Tylko tak sobie pan z nią rozmawiał?

– Tak.

– Ale nawet wtedy chyba trochę się takiego kogoś zna?

– No to...

– Jak to się stało, że zaczęliście rozmawiać?

– Nie mógłby pan trochę zwolnić?

– A co, za szybko pytam? Nie ma pan czasu do namysłu?

– Nie o to...

– O czym rozmawialiście?

– W zasadzie o niczym.

– Da się tak?

– Ale jak?

– Rozmawiać o niczym. Tak pan zazwyczaj rozmawia z ludźmi?

Jonas rozejrzał się po kawiarni, jakby się bał, że inni usłyszą, co mówi. Czy raczej to, co mówi pochylony w jego stronę Halders.

– Nie podoba się panu tutaj? Wolałby pan wpaść do nas?

– Do was?

– Wie pan, co mam na myśli.

– Nie rozumiem, skąd ten ton. Przecież niczego nie zrobiłem.

– Nie odezwał się pan do nas po śmierci Pauli.

Jonas nie odpowiedział.

– Nie słyszał pan, co powiedziałem? – zapytał Halders.

– Słyszałem, ale... co mogłem zrobić? Co miałem wam powiedzieć?

– Zamordowano ją. Wiedział pan o tym?

Jonas przytaknął, mamrotał coś pod nosem.

– Proszę powtórzyć – powiedział Halders.

– No tak, czytałem o tym.

– Gdzie?

– Gdzie? W domu?

– W jakiej gazecie?

– W „Göteborgs Posten”. – Znów się rozejrzył, a potem popatrzył na Haldersa. – Tak mi się wydaje.

– Kobieta, którą pan znał, zostaje zamordowana. To nie był wypadek samochodowy, tylko ktoś ją zabił, do cholery! I to jakieś dziesięć, piętnaście minut stąd. Może to się stało w tym samym tygodniu, kiedy się poznaliście. – Halders jeszcze mocniej pochylił się w jego stronę. – A może i tego samego dnia.

Jonas się cofnął. Halders widział, jak po jego czole spływają krople potu. Zmęczenie po treningu mogłoby go usprawiedliwić, ale przecież koleś jeszcze dzisiaj nie ćwiczył. Dzisiaj będzie musiał sobie odpuścić.

– Co pan sugeruje?

– Nic, po prostu pytam.

– Nie spotkałem jej w tamtym tygodniu.

– A więc wie pan, kiedy to się stało?

– Czytałem przecież...

– Czytał pan, ale nic pan nie zrobił?

– Ależ zro...

– Nie, nie zrobił pan. Nie odezwał się pan do nas.

Jonas milczał.

– Więc o czym rozmawiał pan z Paulą?

Zjedli już przystawki i właśnie zabierali się za danie główne:

turbota z klarowanym masłem i chrzanem. Cholernie proste

i cholernie drogie. Do tego butelka Grand Cru z Bergheim.

– Czekasz na telefon? – zapytała Angela.

– Tak.

– Ale spróbuj choć trochę zjeść, mój mały.

– Cieszę się, że rozumiesz.

– Mam kilka pytań, ale zaczekam z nimi do kawy.

– O ile zdążymy ją zamówić.

– Weź kawałek ryby. Wygląda przepysznie, prawda?

Winter popatrzył na półmisek. Leżał na nim turbot, w całości.

Skóra była częściowo zdjęta. Kryło się pod nią wspaniałe mięso.

Niczym jedwabne prześcieradło pod aksamitną narzutą. Wziął

spory kawałek i położył na podgrzany talerzu. Posmarował

chrzanem i polał roztopionym masłem. Mieli niezłe gotowane

ziemniaki. A o takie niełatwo w szwedzkich restauracjach. To

danie narodowe, a mimo to w knajpach zawsze podają

niedobre. To niesamowite, pomyślał. W Alzacji kiszona

kapusta zawsze jest idealna. Napił się wina. No właśnie – wino

też. Odstawił kieliszek. Najlepiej się wyluzować. Mogą

zadzwoić w każdej chwili, z każdą przekłętą wiadomością.

Albo z dobrą. To często idzie w parze. Najgorsze wieści często

okazują się najlepszymi.

– Rozmawiałeś już z Siv? – zapytała Angela.

– Tak, oczywiście. A o co dokładnie ci chodzi?

– Czuje się już lepiej?

– Nie wiedziałem, że czuła się gorzej.

Angela nie odpowiedziała.

– Nie czuje się dobrze?

– Znow dokuczały jej zawroty głowy.

– Od czego?

– Nie wiem. Już o tym rozmawialiśmy. Potrzebuje odpoczynku. I musi zrobić porządne badania kontrolne.

– Badania czego?

Ciała, sam sobie odpowiedział w myślach. Ciała, które służy za osłonę myśli. Osłona wzmocniona pięćdziesięcioma latami picia i palenia. Jak tak dalej pójdzie, będę jak mama.

– Razem pojedziemy do Hiszpanii – powiedział. – Przecież wiesz.

Angela dołożyła sobie jeszcze trochę ryby. Rzuciła mu tylko przelotne spojrzenie.

– Pomyśl o tej knajpce w okolicach starego stadionu. – Winter dolał jej wina. – I tych dwóch stolików na chodniku.

– Myślamy jesteś w Marbelli?

– Oczywiście. Knajpka i sałatka z grillowaną papryką.

I krewetki w czosnku. Są naprawdę niesamowite.

– Czy to tam trafiliśmy kiedyś po północy? To ta knajpka?

– Właśnie ta.

– Mmm...

– Otóż to. Tak można to podsumować. – Uśmiechnął się. –

Kucharz na nowo tchnął w nas radość życia. Zostało mu jeszcze kilka okoni na lodzie.

– Kucharz? A nie kelner?

– Pomagali sobie.

– Kiedy kelner przyniósł rybę, miał twarz jak kominiarz – powiedziała Angela.

Zadzwoniła komórka Wintera.

– Tak?

– Jesteśmy na komendzie – powiedział Halders. – Może powinieneś wpaść za jakiś czas.

Przeszła przez ulicę, nie zwracając uwagi na samochody.

Nagle tuż obok usłyszała klakson. Miała wrażenie, że rozległ się w jej uchu, choć jednocześnie nie był szczególnie głośny. Jakby się go spodziewała.

Minęła młodą kobietę z wózkiem. Wyglądał na lekki, jakby nic w nim nie było.

Przeszła obok wejścia i skręciła za róg.

Tak jak mówił, drzwi od strony uliczki były otwarte. Były stare, żelazne. Trudno je było otworzyć. Zatrzasnęły się za nią z łoskotem.

Weszła na czwarte piętro. Za ścianami i nad dachem słyszać

było świst. Porywisty wiatr dotarł za nią aż tutaj, na górę.

Zobaczyła otwarte drzwi.

W środku coś się ruszało. Pokazała się jakaś postać.

– To ty? – zapytała.

Usłyszała, jak zamykają się za nią drzwi. Nagle wiatr przestał świstać.

– To ty? – powtórzyła. Właśnie miała się odwrócić, kiedy poczuła czyjąś dłoń na szyi.

SKOŃCZYLI JEŚĆ KOLACJĘ. I TAK nie mieli ochoty na deser. Winter, płacąc, dopijał espresso.

– Halders nigdy nie dzwoni bez potrzeby – powiedział, kiedy wyszli.

Angela przytaknęła.

– Nie wracasz na noc? – zapytała.

– Jeśli zostanę w pracy, może do rana cała sprawa się skończy.

– Myślisz, że ten chłopak się do czegoś przyzna?

– Halders nie zabierałby go na komendę, gdyby nie miał podejrzeń.

– Może po prostu był zdenerwowany. – Popatrzyła na niego. –

Chyba każdy może się zdenerwować, kiedy Halders zadaje pytania?

– Teraz ja je będę zadawał – odparł Winter.

Halders przysłał po niego samochód. Pojechali przez Vasaplatsen.

– W takim razie dobranoc – powiedziała Angela, wysiadając.

– Zadzwoń za godzinę.

– Dzwon na komórkę. Jeśli Elsa się obudzi, trudno będzie jej potem zasnąć.

Na pewno wyłączy dźwięk, a telefon rozświetli pokój, pomyślał. Pewnie będzie czytać. Może o medycynie tropikalnej.

Nie. Przecież Marbella to nie tropiki. Tak mu powiedziała w restauracji. Ale już niedługo, odparł. Na całym świecie robi się coraz cieplej, wyjaśnił, spoglądając przez okno, na skandynawski wieczór. Tylko nie u nas, dodał, nie na północy. A wiesz, co znaczy malaria? Złe powietrze, odpowiedział sam, zanim Angela zdążyła otworzyć usta. Każdy to wie.

Zjechali z Vasaplatsen i ruszyli Allén na zachód.

Ze wszystkich ulic w Göteborgu tą jezdźnię najczęściej, pomyślał.

Za szybą przesuwały się światła miasta. Światła i ciemności, słońce i cień, świty i zmierzchy. To właśnie to najbardziej podobało mu się na południu: świty i zmierzchy nad Morzem Śródziemnym. Afryka była tuż obok.

– I jesteśmy – powiedział policjant siedzący za kierownicą i zatrzymał się przed głównym wejściem.

– Dzięki. – Winter wysiadł i samochód odjechał. Wrócił w mrok październikowej nocy. Nagle od morza nadciągnęła mgła. Auto zniknęło w szarówce, zanim Winter doszedł do drzwi. Zaciągnął się wilgotnym powietrzem. Nie było przyjemne. Może później zamieni je na dym z papierosa.

W pokoju przesłuchań powietrze było lżejsze. Jakby ktoś go przewietrzył, jakby pootwierał okna wychodzące na zupełnie inny wieczór.

Chłopak siedział na krześle. Włosy zasłaniały mu oczy, jakby

je zaczesał do przodu, żeby pozostać anonimowym. Ale

wiedzieli, kim jest. Miał na imię Jonas. Winterowi nic to nie mówiło, ale nieczęsto kojarzył imiona. Nie znał tego chłopaka.

Czy też mężczyzny. Wiedział, że ma trzydzieści lat.

Pytanie, co tu robił.

– Nazywam się Erik Winter – przedstawił się. – Jestem komisarzem.

Mężczyzna pokiwał głową, ale nie powiedział, jak się nazywa.

Winter wziął ze stołu raport i przeczytał pierwsze linijki.

Jonas. Jonas Sandler – nietypowe nazwisko, ale Winter i tak go nie kojarzył. Przeczytał jeszcze raz. Jonas Sandler. A jednak było w tym nazwisku coś znajomego. Podniósł wzrok i przyjrzał się mężczyźnie. Nigdy nie widział tej twarzy.

– Dlaczego muszę tu siedzieć? – zapytał Sandler.

– Po prostu chcemy panu zadać kilka pytań.

– To samo mówił pański kolega, a teraz pan to powtarza. A ja nadal nie rozumiem, dlaczego tu jestem.

– Tutaj jest spokojniej – odpowiedział Winter.

– Chyba nie sądzicie, że mam coś wspólnego z... z zabójstwem Pauli?

Winter milczał. Znow przyglądał się jego twarzy. A jednak było w nim coś znajomego. Nie tylko imię, coś jeszcze.

– Naprawdę tak myślicie? – powtórzył Sandler. – Jeśli tak, to oszaleliście.

– Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy? – zapytał Winter.

– Co?

– Nie spotkaliśmy się już?

– O co panu chodzi?

– Właśnie o to, o co spytałem. – Winter starał się uchwycić

jego spojrzenie. – Wydaje mi się, że skądś pana znam.

– Myśli pan, że jestem jakimś starym złodziejem czy co?

– Nie.

– To nowa metoda przesłuchiwania?

– Miał pan już kiedyś do czynienia z policją? – ciągnął Winter.

– Kiedyś, kiedy był pan młodszy. – Odłożył raport. – Może na

przykład składał pan kiedyś zeznanie jako świadek?

W tym momencie zrozumiał. Przypomniał sobie. Twarz,

nazwisko i miejsce, w którym rozmawiali. W głowie przewinęło

mu się kilka obrazów: klik, klik. Zmierzch. Zagajnik. Pies.

Ręka.

To on. To ten chłopiec.

– W sumie... – Jonas Sandler spojrzał na Wintera. – Kiedy

miałem jakieś dziesięć lat, rozmawiałem z policją o czymś, co

zobaczyłem.

– To ze mną pan rozmawiał.

– To było prawie dwadzieścia lat temu.

Winter przytaknął.

– Nie pamiętam, jak pan wtedy wyglądał – odpowiedział

chłopiec, teraz już mężczyzna.

Winter go pamiętał. Jeszcze teraz mógłby opisać jego twarz.

– Nie przypominam sobie twarzy dorosłych, których
widziałem jako dziecko. – Machnął ręką. – Chyba że mam
przed sobą zdjęcie.

– Ja też – odpowiedział Winter.

– Ale jak pan mnie sobie przypomniał? – zapytał Sandler. –

Czy w drugą stronę nie działa to tak samo?

Uważaj, Erik, to przesłuchanie. Nie można się zagłębiać we
wspomnienia nie na temat.

– Byłem w pracy – odparł. – Pewnie dlatego skojarzyłem. –

Wstał z krzesła. – Pojechaliśmy tam coś sprawdzić.

– Pamiętam – powiedział Sandler. – Ale co się tam stało? Co
się stało w tym mieszkaniu na naszej klatce?

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy.

– Nie chodziło o jakąś kłótnię?

– Tego też nie potwierdziliśmy.

– Ludzie mówili, że w mieszkaniu była krew.

– Kto tak mówił?

– Sąsiedzi.

Winter w milczeniu pokiwał głową. Zrobiła się z tego
pogawędka, nie przesłuchanie. Ale może to dobrze.

– Więc nic się tam nie stało?

– Nic, o czym byśmy wiedzieli.

– A ta krew? – Sandler pochylił się do przodu. Dla Wintera

wciąż był tamtym chłopcem. – Nie może pan o tym mówić?

– Według mężczyzny, który tam mieszkał, doszło do wypadku

– odpowiedział Winter.

– Więc znaleźliście go? Tego, który miał wypadek?

– Tak, tego samego wieczoru.

– A jego żonę? Pamiętam, że miał żonę. – Znów machnął

ręką, jakby gładził coś w powietrzu. – Nie pamiętam, jak

wyglądała, ale pamiętam, że była jakaś żona.

– Ją też znaleźliśmy.

– I co to był za wypadek?

– Wypadek w kuchni. Więcej nie mogę powiedzieć.

– Wypadek w kuchni – powtórzył Sandler. – Ktoś zginął?

– Nie.

– To dobrze.

Powiedział to chyba sam do siebie. Ale przecież powinien

wiedzieć. Mieszkał tam.

– Ręki też nie znaleźliśmy – powiedział Winter.

Chłopak się wzdrygnął.

– Nie znaleźliśmy żadnej ręki – powtórzył Winter.

– No nie – powiedział krótko, jakby było oczywiste, że nie

można było jej znaleźć.

– Naprawdę ją pan widział? – zapytał Winter.

– Tak.

– Może to wyobraźnia, a może widział pan coś innego? Jakąś gałąź.

– Nie.

– W każdym razie jej nie znaleźliśmy.

– Widziałem ją. Zack też. Oszalał wtedy. Nie wiem, czy pan to pamięta. Pamięta pan Zacka, mojego psa?

– Pamiętam, oczywiście.

Jonas Sandler zamilkł. Już wtedy powiedział im wszystko, co wiedział o ręce.

– A co z Zackiem? – zapytał Winter.

Chłopak nie odpowiedział.

Winter powtórzył pytanie.

– Zaginał – odparł Sandler.

– Jak to się stało?

– Nie wiem. Pewnego dnia zniknął.

– Przykro mi.

– Nie musi się pan silić na grzeczność.

– Wcale tego nie robię.

– I tak był już stary.

Winter pokiwał głową.

– Długo go szukałem. Byłem jeszcze dzieckiem. Ale nigdy go nie znalazłem. Ani ja, ani nikt inny. – Sandler spojrzał

Winterowi prosto w oczy. – Może po prostu zapomniał, gdzie mieszka.

– Może.

– A na tych kamieniach w zagajniku nie było żadnych plam? –

zapytał jeszcze Sandler. – O ile można to tak nazwać. Ale pamiętam plamy.

– Nie mogę o tym mówić.

– Więc były.

– Gdzie pan teraz mieszka?

– Niedaleko. – Podał adres. – My, z Hisingen, nie opuszczamy wyspy.

– Słyszałem o tym.

– Tak to już jest z wyspiarzami.

– O tym też słyszałem.

Sandler poruszył się gwałtownie. Mówił ostro, nerwowo.

Pewnie bardziej niż zazwyczaj, pomyślał Winter.

– Ale nie wszyscy wiedzą, że to wyspa. I to chyba trzecia co do wielkości w Szwecji.

– Mimo wszystko są przecież mosty i promy, z których można skorzystać.

– Na lądzie też są mosty.

– A jak się czuje pańska mama? – zapytał Winter.

– Dobrze.

– Ona też wciąż mieszka na Hisingen?

– W tym samym mieszkaniu.

Winter pokiwał głową.

– Okolica wyglądała tak jak wtedy. Nawet ten laszek wciąż tam jest.

– Pokazywał go pan kiedyś Pauli?

– Ach tak, więc to o to chodziło – stwierdził Sandler.

– O co?

– Pytał pan o Zacka i mamę, i całą tę historię tylko po to, żeby zapytać o to.

Winter przyglądał się jego twarzy. Nie wyglądał na paranoika.

Chyba po prostu stwierdził fakt.

– Kiedy tu wchodziłem, nie wiedziałem, że to pan tu siedzi – powiedział.

– Nie wierzę – odparł Jonas Sandler.

– Pokazywał jej pan ten laszek? – Winter powtórzył pytanie.

– A dlaczego miałbym to robić? – Teraz Sandler jeszcze bardziej przypominał chłopca. Jakby się zmienił w ciągu kilku minut. Rysy jego twarzy złagodniały, a przy tym stały się wyrazistsze.

Winter myślał o tej historii, tej sprzed lat. Myślał też o Pauli.

Dotychczas nie widział żadnego związku między ręką Pauli a tą, o której chłopak opowiadał ponad osiemnaście lat temu.

Wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Bo i czemu miałby się zastanawiać? Myślał o Ellen Børge. Tu związek z przeszłością był bardziej namacalny. Chociaż nie, namacalny to złe słowo.

Zabrakło mu słowa. Może w ogóle takie nie istniało.

– Dlaczego miałbym to robić? – powtórzył chłopak.

Winter palił przed wejściem do budynku. Mgła opadła. Widać było zarys stadionu Ullevi po drugiej stronie ulicy. Słupy, na których wisiały reflektory, wznosiły się na tle nieba niczym opuszczone stoczniove żurawie na drugim brzegu rzeki. Na brzegu Hisingen.

Muszę tam pojechać, pomyślał, wydmuchując dym w powietrze, które nieco złagodniało. Zupełnie jak twarz chłopaka. Dla Wintera wciąż był chłopcem. Nie umiał go sobie wyobrazić z kobietą, nie w taki sposób. Może dlatego, że nie było czego sobie wyobrazać. Muszę tam pojechać. Na Hisingen. Nie wiem dlaczego. Może się dowiem, kiedy się znajdę na miejscu.

Usłyszał, że ktoś wychodzi. Odwrócił się.

– I co powiedział? – zapytał Halders.

– Pamiętasz Martinssonów? – Winter odpowiedział pytaniem.

– Nie. Kto to?

– Ta para. Ich kuchnia na Hisingen. Pojechaliliśmy tam osiemnaście lat temu. Jakiś facet zgłosił awanturę.

– A tak, tak. Teraz sobie przypominam. Martinsson zaciął się w nadgarstek.

– Tak nam powiedział.

– To była jego krew.

– Niezupełnie – sprostował Winter.

– Ta druga była stara.

– Co masz na myśli?

– Chodziło o jakiś inny, wcześniejszy wypadek w kuchni.

– A kto się skaleczył?

– Na Boga, Erik, to było dwie dekady temu.

– Ale w pokoju przesłuchań siedzi nowe pokolenie. Ten

chłopak, Jonas.

– Nie nadążam.

Winter wszystko mu wyjaśnił.

– Nigdy go nie widziałem, kiedy był chłopcem – powiedział

Halders.

– A teraz siedzi u nas.

– Co masz na myśli?

– To tak, jakby w pokoju siedział tamten chłopiec, którym

wtedy był.

– Aha.

– Rozumiesz?

– Nie, ale nie musisz wyjaśniać.

Winter się uśmiechnął.

– Oczywiście pamiętam tę rękę – dodał Halders. – Czy raczej

wymysł tego chłopaka.

– Myślisz, że to był wymysł?

– Nic nie znaleźliśmy.

– Teraz też nie – odparł cicho Winter.

– Co? Co powiedziałeś?

– Teraz też nie. Teraz też nie wiemy, o co chodziło z tą ręką.

Z ręką Pauli.

Halders nie odpowiedział. Wpatrywał się w betonowe słupy podtrzymujące reflektory na rozciągającym się nad Ullevi niebie. Za kilka dni rozbłyszczą niczym słońce. Do rozegrania zostały jeszcze jedne derby.

Halders odwrócił się do Wintera.

– Zdarzają się zbiegi okoliczności.

– Jak ten chłopak, tak? To prawdziwy zbieg okoliczności.

– Nie wiem, kim on jest. Chyba najlepiej, żeby on sam nam powiedział, nie?

Winter zauważył, że chłopak ma krople potu u nasady włosów.

Na pewno nie od ćwiczeń. W pokoju nie było szczególnie ciepło. Choć powietrze zrobiło się cięższe. Dziwnie pachniało, jak nigdzie indziej. Niejeden się tu pocił. Może na ten zapach składało się wszystko, co tu powiedziano, wszystkie słowa, które padły. Wszystkie kłamstwa, wymówki, wykręty. Może ten pokój to biblioteka kłamstw? Czemu nie? Zamiast książek wypełniają ją nieczyste słowa.

Od czasu do czasu ktoś mówił prawdę. Przecinała mrok niczym wiązka światła. Jak reflektor. Wtedy wszyscy mogli iść do domu, do swoich cel, swoich mieszkań, willi na

przedmieściach. Do grobów, przyszło mu nagle na myśl.

Główni bohaterowie zawsze brali udział w przesłuchaniach. Ci, którzy już nie żyli. Ofiary. Kiedy ta rzadko spotykana prawda się objawiała, odzyskiwali spokój.

– Jak pan poznał Paulę?

– Przecież już mówiłem.

– Nie.

– Nie pytał pan już o to?

– Jak się poznaliście? – Winter starał się nadać swojemu głosowi neutralny ton. – Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie.

– Poznaliśmy? Parę razy ze sobą rozmawialiśmy. Dosłownie parę. Mówiłem to pańskiemu koledze. – Po dłuższej chwili wpatrywania się w stół podniósł wreszcie wzrok. –

Powiedziałem mu wszystko, co wiem.

– Jak to się stało, że się poznaliście? – ciągnął Winter.

– Właściwie to nie pamiętam. Chyba w kafejce. Może siedzieliśmy przy jednym stoliku. – Rozejrzał się, jakby nagle znalazł się w kafejce i jakby szukał stolika, przy którym siedzieli. – Tak było. Siedziałem tam, a ona przyszła i się dosiadła. To było jedyne wolne krzesło.

– Była sama?

– Tak... Wydaje mi się, że tylko jedno krzesło było wolne.

– I co było dalej?

– Nic. Coś tam sobie powiedzieliśmy, nie pamiętam co. Jakies

frazesy. Nie wiem. I potem wyszedłem, a może to ona pierwsza poszła.

– Kiedy znów się spotkaliście?

– Nie spotkaliśmy się, mówiłem już sto razy. Czasami na siebie wpadaliśmy na siłowni. I tyle. Ile razy mam to powtarzać?

Sto, pomyślał Winter. Będziesz musiał to powtórzyć sto razy, a potem kolejnych sto.

– Ale się poznaliście?

– Po prostu chwilę rozmawialiśmy. Mniej więcej tak jak za pierwszym razem.

– Frazesy?

– Co?

– O czym rozmawialiście?

– Nawet nie pamiętam.

– Umawialiście się na jakieś inne spotkanie? Gdzieś poza siłownią?

– Nie.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć.

– Nie zainteresował się pan nią?

– Nie wiem, co pan ma na myśli.

Ich spojrzenia się spotkały. Chłopak nie patrzył na niego

wyzywająco. Ale nie wyglądał też na kretyna.

Gra na zwłokę. Potrzebuje czasu do namysłu. Namysłu nad czym?

– Nie chciał jej pan zobaczyć ubranej inaczej niż w strój do

ćwiczeń? – zapytał Winter. – Czy raczej nieubranej? – Pochylił

się. – Przecież, do cholery, wie pan, co mam na myśli.

– Sprawy nie zaszły tak daleko.

– Widział pan, jak rozmawiała z kimś innym?

Winter zwolnił tempo i zaczął od nowa. Widział, że chłopak

odetchnął, jego ciało się odprężyło. Różnica była ledwie

zauważalna, ale i tak mówiła sama za siebie. Czasem język ciała

mówi sto razy więcej niż słowa. Tak samo jest z głosem: może

zdradzić o wiele więcej niż słowa. Ale głos Jonasa Sandlera

niewiele ujawniał – może prawdę, a może tylko jej kawałki.

– Z innymi? Nie... nie widziałem.

– A jej przyjaciółka?

– Nie widziałem jej.

– Nigdy jej pan nie widział z przyjaciółką?

– Przecież mówię, że nie. Nigdy z nikim jej nie widziałem. –

Sandler popatrzył na Wintera. – Ale przecież tam zawsze jest

mnóstwo ludzi, więc nie można powiedzieć, żeby ktoś tam był

sam.

– Ma pan dziewczynę?

– Co? Nie.

– Chłopaka?

– A cóż to za pytanie?

– Proszę odpowiedzieć.

– Nie, nie mam chłopaka. Nie jestem gejem.

– Mieszka pan sam?

– Skoro nie mam dziewczyny, to jasne, że mieszkam sam, nie?

– Można mieć współlokatora, dzielić mieszkanie.

Wynajmować od kogoś pokój albo mieszkać w komunie.

– Mieszkam sam – powiedział Sandler. – Macie adres. –

Poruszył ramionami, jakby chciał im pokazać, że zeszywniał od siedzenia. – Chcę już wracać do domu. Kiedy mnie puścicie?

– Co pan robił tego wieczoru, kiedy Paula zaginęła? – zapytał

Winter.

– Nie wiem.

– Dlaczego pan nie wie?

– Bo nie wiem, o który wieczór chodzi.

– Że co?

Halders siedział w pokoju Wintera, po drugiej stronie biurka.

Lampka oświetlała dolną część jego twarzy. Nie wyglądał zbyt przyjemnie. Kto jak kto, ale Halders nie potrzebował maski na zbliżające się Halloween. W Skandynawii też stało się nową tradycją.

– Pozwolimy mu wrócić do domu?

– Tak.

– Aha.

– Ale nie spuścimy go z oczu.

– Nie ma alibi – powiedział Halders.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju.

– To chyba norma.

– Chodzi o tamtą... o tę starą sprawę.

– To też norma.

– Myślałeś o naszej wyprawie na Hisingen osiemnaście lat

temu?

– Nie, a powinienem?

– Nigdy nie widziałem tego świadka – stwierdził Winter. –

Tego, który nas wezwał.

– Żadna strata – odpowiedział Halders. – Przechodził

korytarzem, usłyszał awanturę i zadzwonił. Nie znał

Martinssonów.

– A kogo miał tam odwiedzić?

– Nie pamiętam. Będę musiał zajrzeć do archiwum. Nie wiem

nawet, czy to wtedy zapisałem.

– Możesz to sprawdzić?

– Teraz?

– Tak.

– Dobra. – Halders się podniósł. – Ale skąd ten pośpiech?

– Sam nie wiem.

Ruch na Älvsborgsbron był coraz mniejszy. W dole, pod mostem, widać było tysiące świateł. Nad Västerhavet rozciągało się bezchmurne niebieskie wieczorne niebo.

Metzer. Nazywał się Anton Metzer. Szedł właśnie do znajomego mieszkającego w tej samej klatce co

Martinssonowie. W końcu do niego nie doszedł. Winter zapisał jego nazwisko. Nic mu nie mówiło. Nie przesłuchiwał pozostałych lokatorów. Od zdarzenia minęło dwanaście godzin, więc nie było o czym z nimi rozmawiać. Nikt nikogo nie pytał o rękę, którą widzieli dziesięciolatek i jego pies.

Po Haldersie nikt już z Metzerem nie rozmawiał. Nie było o czym – ani wtedy, ani teraz. A jednak Wintera ogarniało swoiste podniecenie, chociaż nie – to niewłaściwe słowo. Miał przeczucie. Dotyczące przeszłości. Czy można tak powiedzieć?

Po co właściwie tam jadę?

Przesłuchiwanie chłopaka podpowiedziało mu coś, czego jeszcze nie rozumiał. Ale wiedział, że musi to sprawdzić.

Wejdzie do tego dziwnego lasku. Dziwnego? Tak. Kiedy był tam ostatnio, ogarnęło go dziwne uczucie. Wymowne milczenie chłopca. Jego przerażenie. Zęby psa. Pies też wymownie milczał.

Zatrzymał się na parkingu przy blokach. Okolica niczym nie różniła się od innych miejsc w mieście. Takich osiedli były setki. Umiał odnaleźć drogę, ale tylko dlatego, że już tam

kiedyś był. Przeszedł przez podwórko. Plac zabaw tonął
w białawej poświacie latarni. Za nim widać było lasek.
Naprawdę poczuł, że zna to miejsce. Jakby był tam wczoraj.
Wszedł między rzadkie drzewa i włączył latarkę. Gdzieś
w oddali zaszczekał pies. W świetle latarki ziemia wydawała się
biała. To tutaj stali. Gdzieś tu leżało to, co zobaczył chłopiec.
Nic wtedy nie znaleźli.

Długo świecił w ziemię, ale nie zauważył nic godnego uwagi.
Tylko kamienie, ziemia, żwir, martwe liście. Kolejna jesień.
Wiele ich już minęło od tamtej pory.

Ruszył z powrotem, w stronę placu zabaw. Miał wrażenie,
jakby wyszedł z prawdziwego lasu.

Kiedy wszedł do klatki, poczuł powiew wiatru. Zupełnie jak
wtedy. Pamiętał to. Przeciąg utrzymywał się nawet wówczas,
kiedy drzwi już się zatrzasnęły. Krążył w górę i w dół jak
szalony.

Zadzwoił do drzwi. Na tabliczce widniało nazwisko Metzer,
bez imienia. Zadzwoił jeszcze raz. W mieszkaniu rozległo się
terkotanie, chyba to samo co wtedy. Nie zapowiedział swojej
wizyty. Metzera mogło nie być.

Drzwi uchylły się na dziesięć centymetrów.

– Pan Metzer? Anton Metzer?

Winter widział oczy, skrawek czoła i ciemne włosy.

– Tak?

Przedstawił się.

– Czy mogę na chwilę wejść?

– A po co?

– Mam do pana kilka pytań.

– O co chodzi?

– Mogę wejść?

Drzwi się otworzyły. Mężczyzna cofnął się o kilka kroków.

Miał na sobie białą koszulę i brązowe spodnie z gabardyny. Do

tego wygodne kapcie. Twarz była stara. W przedpokoju

pachniało jedzeniem. Pewnie późną kolacją. Winter słyszał

odgłosy z telewizji. Dobiegały z głębi mieszkania.

W przedpokoju na małym stoliczku stał stary telefon z tarczą.

– No dobrze, niech pan wejdzie. – Metzer zaprosił go gestem do środka.

Weszli do salonu. W telewizji pokazywali właśnie jakąś

debatę. Ludzie siedzieli przy ustawionych naprzeciwko siebie

stołach. Ktoś z uczestników, chyba kobieta z ogromną fryzurą,

powiedział poruszonym głosem: „To największa głupota, jaką

słyszałam”. W telewizji zawsze mówią głupoty, ale mało kto ma

odwagę powiedzieć o tym przed kamerą. Zanim ktoś zdążył

odpowiedzieć na ten zarzut, Metzer wyłączył telewizor.

Winter wyjaśnił, po co przyszedł.

– Minęło sporo czasu – powiedział Metzer.

Winter skinął głową.

- Nie przypominam sobie pana – dodał Metzer.
 - Bo to mój kolega z panem rozmawiał.
 - Aha.
 - Znał pan Martinssonów?
 - Nie. Nigdy nie zamieniłem z nimi ani słowa.
 - Ale zaniepokoił się pan, kiedy pan wtedy przechodził pod ich drzwiami?
 - Tak.
 - Co pan słyszał?
 - Brzmiało to tak, jakby ktoś chciał kogoś zabić.
 - Czy wcześniej słyszał pan taką awanturę?
 - Tutaj? Nie.
 - Rozmawiał pan potem z którymś z nich?
 - Nie, a po co? – Metzer zmienił pozycję. Siedział na sofie. – Zresztą wyprowadzili się stąd kilka tygodni później. Może nawet szybciej.
- Winter pokiwał głową.
- Po prostu mnie to zaniepokoiło. Dlatego zadzwoniłem po policję.
 - Kogo szedł pan wtedy odwiedzić? – zapytał Winter.
 - Ich sąsiada. Mówiłem wam chyba?
 - Tak.
 - No właśnie.

Winter zajrzał do notesu i odczytał nazwisko. Pamiętał je, ale

i tak zajrzał do notesu. Wyglądał, jakby odrobił pracę domową, jakby się przygotował. Nie chciał sprawiać wrażenia, że trafił na wyspę przez przypadek.

– Jak rozumiem, nie było go w domu?

– Nie.

– Więc zdążył pan zadzwonić do drzwi?

– No, chyba tak.

– Nie pamięta pan?

– Nie... Ale na pewno zapisaliście to w moim zeznaniu czy jak to się tam nazywa.

– W zeznaniu zapisano, że go pan nie odwiedził.

– No to tak było.

Metzer spojrzał na Wintera. Na twarzy miał bliznę. Ciągnęła się od skroni przez policzek. Jak cięcie szablą. Metzer. Może był niemieckim arystokratą.

– Właściwie to nie do niego szedłem – dodał po chwili.

– Proszę?

– Na drzwiach wisiała tabliczka z jego nazwiskiem, ale on tam nie mieszkał.

Winter pokiwał głową. Gdzieś z tyłu głowy poczuł lekkie podenerwowanie. Tak właśnie reagował jego organizm.

Zaczynało się nagle, nic tego nie zapowiadało.

O tak, opowiedz mi o tym, Metzer.

– Mieszkanie wynajmowała kobieta z córką. Krótka tu

mieszkały.

Winter kolejny raz pokiwał głową.

– Może jakiś miesiąc.

Metzer zamilkł.

– Tak? – zapytał Winter.

– Rozmawiałem chwilę z tą kobietą na podwórku.

I z dziewczynką. Trochę im pomogłem. Potrzebowały pomocy.

Nic między nami nie było, między mną i mamą, nie w tym sensie. Już wtedy byłem na to za stary. Ale było mi ich żal.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Były jakby... zagubione. Samotne. – Na jego twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech. – Trochę jak ja.

– I to je miał pan odwiedzić tamtego wieczoru?

– Tak.

– Dlaczego nie wspomniał pan o tym wtedy, osiemnaście lat temu?

– Nikt nie pytał. – Metzer przeciągnął dłonią po brodzie.

Chyba dopiero co się golił. – No i nie miało to znaczenia.

Dlaczego miałoby to zainteresować policję?

WINTER ZNÓW ZNALAZŁ SIĘ NA PODWÓRKU. I znów usłyszał szczekanie psa dobiegające gdzieś zza lasu. Wiatr niósł pogłos. Krążył wokół placu zabaw, jakby miał skrzydła. Winter szedł przez podwórko i myślał o chłopcu. Na pewno nieraz tu przesiadywał. Poruszone wiatrem huśtawki kiwały się w tył i w przód. Jakby siedziały na nich niewidzialne dzieci. Wchodząc na górę, miał przeczucie, że w ciągu najbliższej godziny dowie się czegoś bardzo ważnego. Czegoś, co przeczuwał, stojąc przed blokiem, a potem siedząc w mieszkaniu Metzera, w którym czuć było zapach samotności i zastygłej desperacji. Pokrywała wszystko niczym kurz. Zadzwoił do drzwi. To na pewno te same co wtedy. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło. Wokół nie było widać nic nowego. Niczego tu nie wyremontowano, nie unowocześniono, nie odświeżono. Pieniądze skończyły się, zanim zdążyły tu dotrzeć. Dla tych, którzy tutaj mieszkają, nie było żadnych pieniędzy. Nigdy. Winter nacisnął dzwonek. Rozległ się pojedynczy sygnał. Otworzyła mu kobieta. Głowę miała owiniętą ręcznikiem. Od razu ją rozpoznał. Ona jego też. – O co chodzi? – zapytała. – Coś się stało? – Czy mogę wejść?

– Czy coś się stało Jonasowi?

Winter miał wrażenie, jakby się cofnął, jakby się znalazł w tym samym miejscu, na klatce schodowej sprzed osiemnastu lat.

Jakby na chwilę wyszedł i wrócił. Tylko chłopiec zniknął.

– Poznaje mnie pani?

– Winter – odpowiedziała kobieta. – Pamiętam pańskie nazwisko.

– Ja panią też pamiętam.

– To było tyle lat temu. – Zerknęła za jego ramię, jakby chciała sprawdzić, czy jest sam. – Tyle lat.

– Mogę wejść?

Odsunęła się na bok, robiąc mu przejście. Winter wślizgnął się do przedpokoju. Do ilu przedpokojów wchodziłem przez wszystkie te lata? – pomyślał. Zupełnie jak sprzedawca odkurzaczy albo książek telefonicznych. Czy mogę wejść na chwilę i coś sprzedać? A raczej ukraść. Ukraść komuś czas. Przez okno widział plac zabaw. Właściwie to nie było okno, tylko francuski balkon. Okno sięgające podłogi.

– Co się stało? – zapytała znów. Wróciła z łazienki. Zdjęła z głowy ręcznik. Wróciła i usiadła naprzeciwko Wintera. Włosy wciąż miała mokre. Odbijało się w nich światło lampy.

– Chodzi o Jonasa?

– Dlaczego pani tak myśli?

– A co w tym dziwnego? – Spojrzała mu prosto w oczy. –

Z jakiego innego powodu miałby pan tu przychodzić?

– Nic mu się nie stało. Ale spotkałem go ostatnio.

– Jak to?

W jej oczach widać było niepokój. Winter nie wiedział, skąd się wziął. Powodów mogło być wiele, większość byłaby całkiem naturalna.

– Słyszała pani o zabójstwie kobiety, Pauli Ney? – zapytał.

Mógł zapytać, czy zna to nazwisko, tylko tyle. Ale chciał zobaczyć, jak zareaguje.

– Paula... Paula jak? Zabójstwo? Dlaczego miałabym o tym słyszeć?

– Paula Ney. N-e-y.

– To straszne. Nie, nic o tym nie wiem. Można było o tym przeczytać? Pisali o tym w gazetach?

Na stole leżał „Göteborgs Posten”. Otwarty na stronie z programem telewizyjnym. W rogu pokoju, na prawo od drzwi balkonowych, stał telewizor. Stary model. Winter nie umiał określić, ile ma lat. Nie za bardzo znał się na telewizorach.

– Sporo o tym pisali – powiedział, ruchem głowy wskazując na telewizor. – I mówili o tym w telewizji.

– Może coś widziałam... – Zerknęła na gazetę, a potem na telewizor. – Ale dlaczego pan tu przyszedł i opowiada mi o tym?

Na to pytanie mógł udzielić wielu odpowiedzi. Żeby to

wyjaśnić, potrzebował sporo czasu.

Wyraz jej twarzy zmienił się w jednej chwili. Powiedział, że zamordowano kobietę. I że niedawno widział jej syna. Niepokój wprost bił z jej oczu.

– Ale Jonas chyba nie ma z tym nic wspólnego? – Pochyliła się do przodu. – Dlaczego miałby mieć?

– Spotkał się kilka razy z tą dziewczyną.

– O Boże.

– Poznała ją pani?

Przez sekundę wyglądała, jakby chciała przytaknąć, tylko po to, żeby pomóc synowi, choć sama nie wiedziała, jak i po co.

Ale może równie dobrze byłoby zaprzeczyć. Może teraz lepiej mówić prawdę.

– Nie – odpowiedziała.

– Paula Ney. Jonas nigdy o niej nie mówił?

– Nie.

– Jest pani pewna?

– Tak. O co panu chodzi? Co takiego Jonas zrobił? Przecież nie...

Winter milczał.

– Czy on jest... – szukała słowa. – Podejrzany?

Winter opowiedział o siłowni i trochę o tym, co im powiedział jej syn.

Chyba jej ulżyło.

– Więc to tak.

Winter usłyszał szczekanie i odwrócił się.

– Chyba mu pan wierzy? – zapytała. – Dlaczego miałby pan nie wierzyć?

Winter znów na nią spojrzał. Anne. Miała na imię Anne. Tak było napisane na drzwiach. Anne Sandler.

– Po prostu z nim rozmawiałem – wyjaśnił. – Tylko tyle.

Kiedy prowadzimy dochodzenie, musimy przesłuchać wiele osób. To niezbędne. Jonas jest świadkiem, ważnym świadkiem. Jest jedną z osób, które spotkały się z Paulą jako ostatnie.

Widział, że ją to uspokoiło. Nie niepokoiła się już tak bardzo.

Wcześniej pulsowała jej skroń, a usta poruszały się nerwowo.

Teraz cały niepokój wrócił do oczu. Tam wciąż było go widać.

– Kiedy ostatnio widziała pani syna? – zapytał łagodnie.

– Napije się pan kawy? – Anne Sandler wstała. –

Zapomniałam zapytać.

– Tak, poproszę – odpowiedział. – Ale czy może mi pani powiedzieć, kiedy się ostatnio widzieliście?

Od ich ostatniego spotkania minęło trochę czasu. Nie umiała powiedzieć, ile dokładnie. Może miesiąc. To długo. Nie mogła dać Jonasowi alibi na dzień i godzinę, które interesowały Wintera. On sam nie wspominał o alibi. Ta kwestia może wypłynąć później. Za dzień, tydzień, miesiąc.

Winter nie zapytał, dlaczego tak rzadko widuje się z synem.

Albo dlaczego on tak rzadko ją odwiedza. O ile to rzeczywiście rzadko. Nie jemu to oceniać. Ile czasu minęło między jego przedostatnim a ostatnim spotkaniem z ojcem? A wtedy było już za późno. Ile razy w ciągu minionego roku widział się z matką? Cóż, przynajmniej spotykali się coraz częściej. Tej zimy może się okazać, że za często.

Przeszli do kuchni. Winter to zaproponował. To tutaj rozmawiali osiemnaście lat temu. Krzesło, na którym siedział wtedy Jonas, teraz było puste. Winter pamiętał, które to krzesło. Czasami tak właśnie działa pamięć.

Miał jeszcze kilka pytań.

– Z tego co wiem, w waszym bloku na czwartym piętrze mieszkała kobieta z córką.

Anne Sandler odwróciła się do niego. W rękach trzymała talerz z drożdżówkami. Właśnie wyjęła go z mikrofalówki.

– Wtedy – dodał Winter. – Kiedy byłem tu pierwszy raz.

Osiemnaście lat temu.

– Aha...

– Zgadza się?

– No... tak.

– Jak dobrze ją pani знаła?

– Krótko tu mieszkały. Chyba nie dłużej niż miesiąc, może dwa. Naprawdę krótko.

– Ale mimo to pamięta pani ją i jej córkę?

Anne Sandler przytaknęła.

– Dlaczego?

– Co pan ma na myśli?

Wciąż stała przy blacie.

– Przecież mieszkali tu tak krótko.

– No tak. Spotkałyśmy się kilka razy na placu zabaw. Albo na podwórku. No i Jonas bawił się trochę z tą dziewczynką. Byli mniej więcej w tym samym wieku. – Anne Sandler zrobiła krok w stronę stołu. – Wtedy nie było tu zbyt wielu dzieci. Mieszkali tu głównie starsi ludzie. – Usiadła przy stole. – A teraz są jeszcze starsi. A raczej jesteście.

– Jak się nazywały? – zapytał Winter. – Jak miały na nazwisko?

– Nie pamiętam.

– Było trudne do zapamiętania?

– Nie wiem. Ale czy nie jest tak, że trudne nazwisko łatwiej zapamiętać?

– Jak miała na imię ta kobieta?

– Tego też nie pamiętam. – Delikatnie przesunęła filiżankę z kawą w jego stronę. – To dziwne. Powinnam pamiętać.

– A dziewczynka?

Anne Sandler się zastanawiała.

– Wydaje mi się, że Eva – powiedziała po chwili. – Chyba pamiętam to dlatego, że Jonas ją wspominał.

– Odwiedziła je pani kiedyś? Była pani u nich w domu?

– Nie.

– Dlaczego?

– No, tak wyszło. Nie zdążyłyśmy się poznać na tyle dobrze. –

Rozejrzała się po kuchni. – One też nigdy u mnie nie były. –

Nagle spojrzała na puste krzesło obok Wintera, jakby i ono

o czymś jej przypomniało. – Chociaż dziewczynka kiedyś nas

odwiedziła.

– Mieszkał z nimi jakiś mężczyzna?

– Z tego co wiem, to nie. Ja nikogo nie widziałam. Nigdy też

nie wspominała o mężu.

Winter zorientował się, że trudno jej o tym mówić, że

przypomniawszy jej o czymś, o czym nie chciała myśleć i mówić.

– Dlaczego pan o nią pyta? O nie? – Spojrzała na niego. – Co

je łączy z tym zabójstwem?

– Chodzi o ten wieczór, kiedy tu przyjechaliśmy. Kiedy

u Martinssonów wybuchła awantura.

– Pamiętam, że pan o to pytał. Wtedy. Chyba pytał pan, co

o nich sądzę. O Martinssonach. Niewiele miałam do

powiedzenia.

Winter pokiwał głową.

– Ale co mama i córka mają z tym wspólnego? Z tą awanturą?

Albo z czymkolwiek innym?

– Nie wiem – odpowiedział Winter. – Prawdopodobnie nic.

– I co my mamy wspólnego z tym wszystkim? – zapytała. –

Pomijając fakt, że Jonas kilka razy rozmawiał z kobietą, która zginęła?

– Co się z nimi stało? – Winter nie odpowiedział na jej pytanie. – Wie pani, dokąd się przeprowadziły?

– Nie wiem. Po prostu pewnego dnia ich nie było.

– Mama dziewczynki nic pani nie wspominała?

– Nie.

– A dziewczynka? Nic nie mówiła Jonasowi?

– Nie. Pytałam go, ale powiedział, że po prostu zniknęła.

Anne Sandler wyjrzała przez kratkę balkonową. Widziała to samo co Winter: słabo oświetlony latarniami plac zabaw.

Wyglądał, jakby tonął w żółtawym cieniu. Widzieli huśtawki i ściankę do wspinaczki. Za nią stała zjeżdżalnia.

– Było mu smutno, że zniknęła bez pożegnania – dodała.

Mario Ney zadzwonił, kiedy Winter wracał. Właśnie mijał most. Ruch był niewielki. Było po dziesiątej. Na wysokości fortu Älvsborg płynął prom zmierzający do przystani. Wieczór był rzeński.

– Dowiedzieliście się czegoś? – zapytał Ney. – Czy ktoś widział Elisabeth?

– Jeszcze nie.

– Ktoś musiał ją widzieć.

– Gdzie pan jest?

– W domu. Siedzę przy telefonie. Czekam, może zadzwoni.

Ona albo ktoś inny. Na przykład pan. Miał pan zadzwonić.

– Miałem to zrobić wieczorem. Za chwilę.

– Tak pan tylko mówi.

Kątem oka Winter wciąż widział prom – sunący po wodzie dziesięciopiętrowiec skąpany we własnym świetle. Kiedy promy wpływały do przystani, wyglądały, jakby się wybierały na imprezę. Zresztą stąd, z góry, całe miasto tak wyglądało.

– Od jak dawna mieszkają państwo na Tynnered?

– Słucham? A dlaczego pan pyta?

– Od jak dawna mają państwo to mieszkanie? – powtórzył

Winter.

– No, od dawna. Wprowadziliśmy się, kiedy Paula była mała.

Bo co?

– Jak mała?

– Do czego pan zmierza?

– Ile miała lat, kiedy się wprowadziliście?

Winter słyszał, jak Ney coś mamrocze, jakby mówił sam do siebie.

Powtórzył pytanie.

– Pięć – powiedział Ney. – Wydaje mi się, że miała pięć lat.

Prześcieradła leżały na trzecim regale z prawej. Żeby się tam dostać, sprzątaczką musiała obejść inny regał, a potem iść wzdłuż załamanej ściany. Można powiedzieć, że składzik

złożony był z dwóch pomieszczeń. Jeśli się stało przy drzwiach, nie widziało się, co jest za rogiem.

To, co sprzątaczką przed chwilą niosła, leżało na podłodze.

A ona krzyczała. Słysząc ją było na schodach i na korytarzu piętro niżej i piętro wyżej.

W pierwszej chwili nie mogła się ruszyć. Stała i krzyczała.

Głośno i przeciągle.

Ciało Elisabeth Ney leżało na posłaniu ze śnieżnobiałych prześcieradeł. W składziku niemal wszystko było śnieżnobiałe.

Winter starał się objąć wzrokiem całe pomieszczenie.

Wszedł tam jako pierwszy.

Jeden z kierowników zadzwonił na numer alarmowy i kiedy

Winter przyjechał, trzech policjantów już czekało na zewnątrz.

Ringmar był w drodze, razem z Anetą.

Sprzątaczką dochodziła do siebie w pomieszczeniu

służbowym. Nie wiadomo było, czy tej nocy będzie w stanie zamienić z Winterem więcej niż parę słów.

Nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego.

Winter ostrożnie obszedł ciało. Sterta prześcieradeł miała czterdzieści, może pięćdziesiąt centymetrów wysokości.

To nie przypadek. Zabójca to zaaranżował. Kiedy? Kiedy

Elisabeth Ney... czekała? A może wcześniej? Może przygotował się do zabójstwa, zaplanował je? Tak. Nie. Tak. To musiał być

ktoś, kto miał dostęp do składziku. Do hotelu. Ktoś, kto miał

wstęp do tego starego hotelu, stojącego między hotelami Revy i Gothia Towers. To długi odcinek. Hotel nie był ani luksusowy, ani obskurny. Taki dla zwykłych obywateli. Takich jak Elisabeth Ney. Jak tu trafiła? Do tego przekłętego składziku? Wiedział już, że się nie zameldowała i nie wynajęła pokoju, a już na pewno nie wynajęła tego pomieszczenia. Czekał na lekarza. Czekał, aż zacznie oględziny i powie mu, czy to tutaj umarła. Przyglądał się ciału. Wydawało mu się, że to musiało się stać właśnie tu. Jak inaczej mogłoby to wyglądać? Wstał i przeszedł przez to dziwne pomieszczenie. Na klatce schodowej stało na warcie dwóch policjantów. Poprosił, żeby się przesunęli tak, aby mógł przymknąć drzwi i obejrzeć ich zewnętrzną stronę. Nic na niej nie było. Była gładka. Żadnej tabliczki, żadnego numeru. Dlaczego tutaj? – zastanawiał się.

– Dlaczego tutaj? – zapytał Ringmar.

Aneta stała obok. Przyglądała się ciału Elisabeth Ney i całemu pomieszczeniu. Widok robił wrażenie.

– Chciał, żebyśmy właśnie to zobaczyli – powiedziała. –

Żebyśmy ją tak znaleźli.

Winter przytaknął.

– Musiał to dokładnie zaplanować.

– Drzwi do składziku nie były zamknięte – powiedział Winter.

– Dlaczego?

– Dla wygody – odparł Winter. – Obsługa bez przerwy się tu

kręci.

– Musiał przyjść wcześniej – powiedziała Aneta. Znow się rozejrzała. – Musiał przyjść wcześniej. Może był tu wiele razy.

Winter znow przytaknął.

– Ktoś musiał go widzieć.

– Zobaczymy – powiedział Winter.

– A może znają go tu na tyle dobrze, że nikt nie zwraca na niego uwagi? – ciągnęła Aneta. – Mógł wchodzić i wychodzić niezauważony.

– Racja – przyznał Winter.

– Może wciąż tu bywa – dodała Aneta.

– Czyżby to było miejsce pracy zabójcy? – wtrącił Ringmar.

Nikt nie odpowiedział.

Nikt w to nie wierzył. Będą musieli przesłuchać wszystkich pracowników, ale zawsze tak robią. Może ktoś im coś podpowie, może im jakoś pomoże.

– Dlaczego tutaj? – powtórzył Ringmar, jakby mówił sam do siebie.

– Bo to hotel – odparł Winter.

– Ale to nie jest zwykły pokój – stwierdził Ringmar. – A już na pewno nie pokój numer dziesięć.

– Dla niego to już nie ma znaczenia – powiedział Winter.

– Jak to?

– To zabójstwo innego... rodzaju niż zabójstwo Pauli. –

Winter spojrzął na ciało. – Przypomina je, ale to nie to samo.

W tym sensie nie łączą się ze sobą. – Podniósł wzrok. – Ta zbrodnia została zaplanowana, ale nie tak jak zabójstwo Pauli.

To było następne. Może wcale nie miało go być.

– Nie wiemy nawet, czy to ten sam sprawca – stwierdził

Ringmar.

– Chodzi ci o to, że morderca musiał zabić Elisabeth Ney, chociaż tego nie planował?

– Zobaczymy. – Winter kolejny raz spojrzął na ciało. Sytuacja

była nietypowa: pochylał się nad zwłokami kogoś, kogo znał,

z kim rozmawiał, kogo przesłuchiwał. Śledztwa w sprawie

zabójstwa same w sobie są nietypowe. W większości

przypadków kilka minut po śmierci ofiary wiadomo, kto jest

zabójcą. Czasem wiadomo, zanim zabójca zdąży zabić. Tym

bardziej nietypowe było to, że śledczy zdążył poznać ofiarę.

Winterowi już się to kiedyś przytrafiło, ale tylko raz. Wtedy był

tym poruszony. Teraz też. Ale nie przeszkadzało mu to myśleć.

Może nawet dzięki temu myślał jaśniej. Krew płynęła szybciej.

Winter zostawił Ringmara i Anetę i wszedł piętro wyżej.

Powietrze wydawało się tam świeższe, choć bynajmniej nie było

świeże. Pomyślał, że trudno tam znaleźć cokolwiek świeżego.

Wszystkie te białe powierzchnie przywodziły na myśl chorobę

i śmierć. Białe jest w szpitalu, w kostnicy i w kościele. Biel we

wszystkich odcieniach jest kolorem śmierci.

Zadzwoiła jego komórka.

– Jestem przed hotelem – powiedział Halders.

– Wchodź na górę.

Zaczekał na schodach.

Halders od razu wszedł do składziku. Chwilę przed nim przyjechał lekarz. Mężczyzna. Winter nigdy wcześniej go nie widział. Był młody, może dziesięć lat młodszy od niego. Zanim wszedł, wziął głęboki wdech. Winter zamienił z nim parę słów.

Halders wyszedł na korytarz.

– To co, jedziemy?

Mario Ney czekał na nich w domu. Winter wysłał do niego radiowóz z posterunku na Frölunda.

Halders wjechał w Tingstadstunneln. Głosy w radiu zmieniły ton, jakby nagle zaczęły mówić w innym języku. Winter nigdy nie lubił jeździć przez tunele. Kiedyś utknął w korku w Szwajcarii, w tunelu długim na kilka kilometrów. To nie było miłe przeżycie. Kilka samochodów za nimi jechała kobieta z klaustrofobią. Dostała ataku i zaczęła skakać po dachach samochodów, w stronę światła i wolności.

Kiedy już się wydostali, Winter zjechał na pierwszy z brzegu parking. Wsiadł, stanął na twardym gruncie i wciągnął tyle powietrza, ile mógł. Nie zastanawiał się, czy jest świeże. To było jak zjazd z wysokiej góry.

– Wygląda na to, że to się stało niedawno – powiedział

Halders.

– Zobaczymy, co powie lekarz.

– Nie znam tego faceta.

– Ja też nie.

– Jak zareagował Ney?

– Jeszcze mu nie powiedziałem.

– Nie zastanawiał się, dlaczego chcesz się z nim spotkać?

– Nie dałem mu na to czasu.

– Według mnie to nie ten sam zabójca – powiedział Halders.

– Tak myślę.

Halders zjechał z głównej drogi. W oddali Winter dostrzegł szare bloki Västra Frölunda. Na tle nieba wyglądały jak klocki.

Budownictwo komunalne, które okazało się totalnym niewypałem. Wszystko było szare. W pewnym sensie szarość stała się kolejnym odcieniem bieli.

– A może motyw był ten sam – dodał Halders. – Mogło tak być.

– A jaki to motyw?

– Może tak naprawdę nie ma żadnego. Tylko ten, który istnieje w głowie zabójców.

– Zabójcy – poprawił go Winter. – To jedna i ta sama osoba.

Halders zatrzymał się na jednym z wielu wolnych miejsc na parkingu przed blokiem. Winter wysiadł. Byłem tu całkiem niedawno, pomyślał. W życiu bym się nie spodziewał, że tu

wrócę z taką wiadomością.

– Myślisz, że może być agresywny? – zapytał Halders.

– Nie wiem, Fredrik.

– Jeśli już wtedy złożył na nas skargę, to teraz tym bardziej będzie miał powód.

Winter przytaknął. Wiedział, że Elisabeth Ney trzeba zapewnić ochronę. A jednak nie kazał nikomu jej obserwować. Nie ochronił jej. Chyba rozum go zawiódł. Nie wybiegł myślami odpowiednio daleko w przyszłość. Bo jak daleko można w nią wybiec? Do następnego zabójstwa? Przeszedł przez podwórko. Czy to właśnie tu przebiega granica? A może trzeba sięgać myślami jeszcze dalej? Minęli plac zabaw. Był większy niż ten na Hisingen. Więcej huśtawek. Znow pomyślał o chłopcu i dziewczynce. Szukali lokatorek wynajmujących wtedy mieszkanie od mężczyzny, którego nazwiska Winter nie znał. Lokatorek, które wyprowadziły się dawno temu. Większość ludzi się stamtąd wynosiła. Okolica była jak przystanek przesiadkowy. Czy można to tak nazwać? Większość się dokądś przeprowadzała, ale Metzler został. Mama chłopca, Anne, też. Kiedy mijali huśtawki, jedną z nich poruszył wiatr. Tylko jedną, jakby i tutaj huśtało się niewidzialne dziecko. Paula przesiadywała na tej huśtawce, pomyślał Winter.

– Chłopaki już są na miejscu – powiedział Halders.

Winter spojrzał na stojący przed klatką radiowóz.

– Nie dzwonił, więc na razie jest spokojnie – stwierdził

Halders.

Winter spojrzał w górę, w ciemne okna Neyów. Trzy okna.

Pamiętał, że na podwórko wychodzą trzy okna. I trzyosobowa

rodzina. Nagle w środkowym oknie dostrzegł twarz. Na

ciemnym tle wyglądała jak jasna plama.

– O CO CHODZI, DO DIABŁA?!

Kiedy Winter i Halders weszli na górę, Mario Ney czekał na nich przed drzwiami. Winter zobaczył dwóch policjantów z Frölunda. Stali z obu stron Neya jak ochroniarze.

– Co się stało?!

– Może wejdziemy do środka?

Ney gwałtownie się odwrócił, jakby chciał sprawdzić, czy drzwi są tam gdzie powinny i czy to jego mieszkanie.

– Chodzi o Elisabeth?! Coś jej się stało?! Gdzie ona jest?

– Panie Ney...

Winter wyciągnął rękę, ale Ney już przekraczał próg.

Najwyraźniej zrozumiał, że tylko w środku może uzyskać odpowiedzi na swoje pytania.

– Czy możemy już jechać? – zapytał jeden z policjantów.

– Tak, dzięki – odpowiedział Winter.

– Co powiedział, kiedy przyjechaliście? – zapytał Halders.

– Nic nie mówił.

– Nic?

– Dopiero co weszliśmy na górę. Otworzył drzwi i gapił się na nas, a potem wszedł z powrotem do mieszkania.

– A potem wy przyjechaliście – dodał drugi policjant. – Ale zachowywał się spokojnie.

– Za to teraz zachowuje się inaczej – stwierdził Halders.

– Zobaczył nas przez okno – wyjaśnił Winter. – Rozpoznał mnie.

– Więc to na ciebie tak reaguje?

– Najwidoczniej uważa, że ma mnóstwo powodów, żeby złożyć na mnie skargę.

– Nie poznał jeszcze połowy z nich.

Winter nie odpowiedział. Wchodzili do przedpokoju. Słyszał kroki policjantów. Zbiegali ze schodów jak dwa umundurowane słonie. Jeśli wcześniej nikt z sąsiadów nie zauważył ich wizyty, teraz na pewno ktoś zwrócił na nich uwagę.

Winter zobaczył plecy Ney. Stał w oknie, jakby czekał, aż na podwórku pokażą się policyjne mundury. Odwrócił się. Był już spokojniejszy. Chyba już wiedział.

– Czy możemy usiąść?

– Po prostu powiedzcie to, co macie do powiedzenia.

– Znaleźliśmy pańską żonę. Nie żyje.

Najpierw dobra wiadomość, pomyślał Winter. Znaleźliśmy ją.

Potem zła. Z początku Ney nie reagował. Wyglądał, jakby wciąż czekał na to, co Winter ma mu do przekazania. Patrzył to na Haldersa, to na Wintera, w tę i z powrotem, czekał, aż coś powiedzą.

– Panie Ney...

– Jak?

Tylko tyle. Jak. Wciąż stał przy oknie. Nie widzieli jego twarzy. Światło z okna padało mu na plecy. Winter widział, jak radiowóz rusza z placu zabaw w stronę Frölunda. Chciałby teraz w nim siedzieć. Wtedy nie musiałby opowiadać jak. Nie umiał teraz o tym mówić. Nie mógł.

– Gdzie?

To już drugie pytanie. Niespodziewanie dzięki niemu łatwiej było odpowiedzieć na pierwsze.

– W Odinie – powiedział Winter. – W hotelu Odin. Pańska...

– Co ona tam robiła? – przerwał mu Ney. – Gdzie to jest?

– Przy Kungsgatan. Ale...

– Znów hotel! Co tu się, do cholery, dzieje?!

Winter słyszał, że głos Neya staje się coraz ostrzejszy. Wciąż nie widział jego twarzy wyraźnie. Musiał ją zobaczyć.

– Panie Ney, niech pan usiądzie.

– Będę...

– Proszę usiąść!

Chyba wreszcie do niego dotarło. Zrobił kilka szybkich kroków w przód i usiadł na najbliższym fotelu. Winter usiadł na sofie naprzeciwko, tuż obok Haldersa.

– Jeszcze nie wiemy jak – powiedział.

Ney ukrył twarz w dłoniach. Pochylił się do przodu. Winter i Halders mogli zobaczyć łysinę na czubku jego głowy.

Opuścił ręce i spojrzał na nich.

– Ale... nie żyje?

Winter skinął głową.

– Co ona zrobiła? Co? Co się stało? Jak umarła?

– Zamordowano ją – odpowiedział Winter.

– Kiedy?

– Słucham? – Halders nie rozumiał.

– Kiedy to się stało? Teraz? Dzisiaj? Wczoraj? – Ney znów się

pochylił. Winter widział jego napiętą twarz, zaczerwienione

oczy, rozbiegane ręce. – Kiedy to się stało?

– Nie wiemy jeszcze dokładnie – odparł Winter.

– Nie wiecie? Nie wiecie? – Ney zaczął się podnosić. – To co

wy właściwie wiecie? Nic nie wiecie, do cholery!

– A jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć? – zapytał Winter.

– Coś, o czym pan wie?

– Co? – Ney znów przysiadł, czy raczej opadł na fotel. – Co?

Co?

Jego oczy poruszały się w tę i z powrotem, patrzyły to na

Wintera, to na Haldersa. Najpierw córka, teraz żona, pomyślał

Winter. Ma prawo pytać jak, gdzie i co. Może ma prawo, ale

i my musimy zadawać pytania.

– Rozumie pan, że musimy zapytać, gdzie i co pan robił przez

ostatnie dwadzieścia cztery godziny – powiedział.

– Co? Ja? A jakie to ma znaczenie, co robiłem? – Ney wstał. –

To chyba inni powinni odpowiedzieć na to pytanie.

– Inni, czyli kto? – zapytał Winter.

Mario Ney milczał. Chyba czekał, aż Winter odpowie sobie sam.

Halders prowadził. Znow jechali przez tunel. Ruch był większy. Lampy oświetlały ściany, które mimo wszystko chyba lepiej czuły się w ciemnościach.

Mario Ney nie chciał pomocy. Winter zaproponował, że przyślą kogoś, z kim będzie mógł porozmawiać. O ile chce zostać w domu.

– Chcę być sam – odpowiedział.

Trudna sytuacja. Mogliby go zabrać na sześć godzin, może i na dwanaście, gdyby mieli wobec niego jakieś podejrzenia. A nie było wykluczone, że powinni. Możemy go podejrzewać? – zastanawiał się Winter. Pomyślał o plamie krwi na sznurze, który zaciśnięto na szyi Pauli. Córki Maria Neya. To była jej krew. Nie mieli jej z czym porównać. Z czym i z kim. Winter miał nadzieję, że nowe analizy laboratorium w Linköping coś wykażą. Może znajdą na sznurze plamę śliny. Niedługo się dowiedzą. A on grzecznie poprosi Neya o próbkę DNA.

Najprostszy test – patyczek z wacikiem wetknięty za dziąsło.

Będą mieli materiał porównawczy.

Ale może Ney powinien z kimś porozmawiać. Z kimś, kto by go obronił przed nim samym.

– Naprawdę chcę zostać sam – powtórzył Ney.

– Ma pan kogoś, z kim może pan porozmawiać? – zapytał

Halders. – Jakiegoś przyjaciela albo krewnego?

Ney potrząsnął głową.

Halders wyjechał z tunelu. Październikowe popołudnie powoli przechodziło w wieczór. Latarnie już się paliły.

– Nie powinien zostawać sam – powiedział Halders.

– Wiem.

– Wyślesz tam kogoś?

– Daj mi chwilę pomyśleć.

Halders objechał rondo i wyjechał na trasę. Zobaczyli rzekę.

Statek handlowy sunął w stronę przystani. Winterowi wydawało się, że widzi ludzi na pokładzie, chociaż odległość była duża.

– Minuta minęła – powiedział Halders.

– Sposób, w jaki zareagował. Było w tym coś, co mnie sprowokowało – odparł Winter.

– Za słabo okazywał smutek? – Halders spojrzał na Wintera.

– A może za mocno?

– A ty jak sądzisz?

– Widziałem już zbyt wiele takich sytuacji – stwierdził

Halders. – Dopóki znów go nie spotkam, nie będę umiał ci odpowiedzieć.

– No tak.

– Smutek można okazywać na tysiąc sposobów. Niektórzy

reagują od razu, inni dopiero po jakimś czasie. Jeszcze inni są w szoku. Sam wiesz, jak jest.

Winter przytaknął.

– Niedługo się do nas odezwie, żeby zadać wszystkie pytania, które go dręczą – dodał Halders.

– Już teraz mamy ich wystarczająco dużo. – Winter zmienił pozycję. Deska rozdzielcza uwierała go w kolano. –

Zamordowano córkę i matkę.

– Przynajmniej mamy coś, co łączy te zbrodnie.

– To przykład wisielczego humoru?

– Nie.

Minęli przystań Steny. Przed promem stała długa kolejka ciężarówek. Spaliny tworzyły w powietrzu chmurę.

– Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś o przeszłości Pauli – powiedział Winter po chwili. – I niedaleko zaszliśmy. Ale jej przeszłość już nam nie wystarczy.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o jej matkę. O Elisabeth. Musimy się cofnąć do jej przeszłości.

Halders wymamrotał coś niewyraźnie.

– Co mówisz?

– Niedługo w tej sprawie będziemy się coraz dalej cofali, zamiast iść do przodu. Czy raczej w tych dwóch sprawach.

– To chyba nie pierwszy raz, co?

Halders nie odpowiedział.

– Przeszłość całej rodziny – ciągnął Winter. – Kryje się w niej coś, do czego nie możemy dotrzeć. Wielka tajemnica.

Halders przytaknął.

– Wielka tajemnica – powtórzył Winter.

– Może niejedna – stwierdził Halders.

Winter nie musiał podnosić białej dłoni i oglądać jej z bliska.

Już ją widział. Ringmar nie. Do niego nie machała. Była zaciśnięta. Nie można było jej otworzyć. Jakby została wyrzeźbiona.

Siedział w domu i popijał whisky. Rzeźba. Dłoń przypominała rzeźbę. Więc co mamy? – pomyślał. Ludzką rękę. Wszystko na odwrót. Bo co się widzi, kiedy się patrzy na antyczną rzeźbę? Ciało, tułów. Takie rzeźby nie mają głów i dłoni. A tu jest na odwrót. Jest dłoń. Nie ma tułowia. Coś się tutaj nie zgadza.

Środkowy palec prawej dłoni Elisabeth Ney pomalowano na białe. Prawy środkowy palec. W składziku nie było puszek z białą farbą.

Biały był tylko palec. Nie cała dłoń.

Winter spojrzął na zegarek. Ktoś już powinien być u Neya.

Może nie przetrwa tej nocy. Może wyląduje na ostrym dyżurze i trafi do tej samej sali co jego żona.

Napił się glenfarclas. Wokół czuć było zapach whisky. Uroczy zapach. Symbolizuje to, co na świecie dobre. Symbolizuje samo

życie. Słowo whisky wywodzi się od gaelickiego *usquebaugh*.

Woda życia. W składziku, w którym znaleźli Elisabeth Ney, podłoga wciąż była wilgotna. Pomieszczenia gospodarcze też sprzątano. Sprzątaczką była tam krótko przed morderstwem.

Dobry Boże, to znaczy, że zabójca musiał czekać. Z nią? Czy w takim układzie czas się zgadzał? Znów popatrzył na zegarek.

Dochodziła północ. Dziewczynki spały. Godzinę temu Else obudziło własne chrapanie. To przez polipy. Niedługo będzie miała operację, ale odegnał tę myśl. Angeli było łatwiej. Była lekarką i wiedziała, co się może nie udać. W ogóle o tym nie mówiła, może nawet się nad tym nie zastanawiała. Lekarze chyba muszą tak myśleć. Że nic złego się nikomu nie przytrafi, a już na pewno nie komuś z rodziny. Kiedy będą wsiadać do samolotu do Malagi, Elsa będzie już zdrowa. A on? Czy będzie z nimi?

– Eriku, nie kładziesz się?

Podniósł wzrok znad szklanki. Whisky miała cudowny kolor, kiedy przebijało przez nią światło płomienia.

– Usiądź przy mnie – powiedział i zrobił jej miejsce na sofie.

Angela ziewnęła. Stała w drzwiach.

– Tylko sobie przyniosę szklankę wody.

Słyszał, jak odkręca kran w kuchni. Na dole przez Vasaplatsen przejechał samochód. W liściach klonów przekrzykiwały się kawki. Niedługo przez plac przetoczy się ostatni tramwaj,

ludzie pójda spać.

Angela wróciła ze szklanką w ręce.

– Chodź do mnie. – Wyciągnął do niej rękę.

– Pachnie tu jak w gorzelni.

– Cudownie, prawda?

– Nie pracujesz jutro?

– Teraz pracuję.

Przysunęła się do niego. Winter odstawił szklankę i przytulił

ją jeszcze mocniej.

– Zimno ci?

– Już nie.

– Pachniesz snem – powiedział.

– A co to za zapach?

– Zapach niewinności.

– No tak, jestem niewinna.

– Wiem, że jesteś.

– Dopóki ktoś mi nie udowodni winy.

– Hm...

– A tego już nie potrzebujemy. – Rozpiął najwyższy guzik jej

koszuli nocnej. Potem zabrał się za kolejne.

Śniło mu się dwoje dzieci. Huśtały się. Symetrycznie. Stał

obok. Huśtawki nie miały żadnej ramy, wisiały w powietrzu.

Jakby prawo ciężkości ich nie dotyczyło. To kraj bezprawia,

pomyślał. Dzieci się zaśmiały. Nie widział ich twarzy. Znów

zaczęły się śmiać. Obudził się. Walczył ze sobą, chciał spać dalej. Kiedy już odchodził, jedno z dzieci coś do niego powiedziało. Chciał wrócić, żeby wyraźniej usłyszeć słowa, których nie dosłyszał. Ale teraz już ich nie pamiętał.

Postawił stopy na podłodze. Drewno było miękkie i ciepłe.

Angela poruszyła się za jego plecami i coś wymamrotała. Chyba coś jej się śniło. Poszedł do salonu i usiadł na sofie. Za oknami było ciemno i cicho, głucha noc. Jutro pierwszy listopada.

Skandynawia pograży się w ciemności. Aż do przyszłego roku.

Litościwy śnieg najczęściej tylko mija Göteborg w drodze w głąb lądu. Zostawia za sobą szarą zimę, która niby niczego nie potrafi ukryć. Niby niczego nie zasłania, a jednak niemal nic nie widać. Nie zostało mu już wiele snu. Tak będzie, dopóki to się nie skończy. A kiedy się skończy? – zapytała Angela, zanim zasnęli. Chociaż właściwie to nie było pytanie. Planowali najbliższą przyszłość, a ponieważ nie odpowiedział, ona też umilkła. Już nie mówił, że może dojedzie później. Że zostawi za sobą zimę, zieleń, biel i szarość, tyle że trochę później, bo najpierw musi coś skończyć. Musi kogoś znaleźć.

Nagle Lilly zaczęła płakać. Jej też coś się śniło, coś straszego.

Już kilka razy jej się to przytrafiło. Zastanawiał się, co jej się śniło. Co mogło być dla niej straszne? Co mogło przerazić takiego małego człowieczka? Jak w ogóle można straszyć takie maleństwo?

Wstał i szybko do niej podszedł. Wziął ją na ręce. Na policzku
czuł jej łzy.

– No już, skarbie.

Przestała płakać, ale oddech wciąż miała ciężki. Zaniósł ją do
salonu. Ważyła tyle co nic. Nieważka córeczka. Kiedy ją powoli
kołysał, zaczęła kiwać główką. Stał z nią przy dużym oknie
wychodzącym na miasto, które wkrótce miało się obudzić.

Czuł, jak przesuwa rączką po jego szyi. Rączka też była lekka
jak piórko.

Sen nie chciał wrócić. Znów wstał z łóżka i wymknął się do
kuchni. Próbował nikogo nie obudzić. Może jeśli się napije,
łatwiej mu będzie zasnąć. Coraz częściej miał z tym problem.

Na ścianie domu stojącego po drugiej stronie ulicy cienie
układały się w abstrakcyjny wzór. Tu jedna figura, tam dwie.

Nagle przyszedł mu na myśl Christer Børge. Jego profil na tle
kościelnej nawy. Børge nie patrzył w jego stronę, ale wiedział,
że tam jest. Czuł to. Zdradził go sposób poruszania się: nie
odwracał głowy, jakby mógł patrzeć tylko do przodu.

Børge nie zmienił się aż tak bardzo.

Zazwyczaj Winter nie siadał obok Niny Lorrinder, ale ostatnio
zamienił z nią w kościele kilka słów. Zastanawiał się, czy Børge
to widział.

Słońce wisiąco nisko nad wzgórzami. W oddali widać było
fasadę szpitala. Rzuciła wielki cień. Ale nie sięgał aż tutaj.

Pokój, w którym stał, był pełen słonecznego światła. Mówi się, że coś jest skąpane w słońcu, ale do niego nie przemawiała ta wytarta fraza. No bo jak coś może się kąpać w słońcu? Jak wtedy to coś odróżnić od światła? W mieszkaniu Pauli wszystko dziś było światłem, niczego nie dało się odróżnić od niczego. Kiedy tak stał na środku pokoju, uświadomił sobie, że kiedy tu bywał poprzednio, słońce chowało się za chmurami. Za każdym z czterech razów. Taka jest tegoroczna jesień.

Czy Paula czuła się zagrożona? Czy się przed kimś kryła?

Kiedy to się zaczęło? Czy rzeczywiście istniało jakieś zagrożenie? O tym myślał w nocy, tuląc do siebie małą jak ptaszek Lilly. Może zaczął o tym myśleć już wcześniej, kiedy to samo robił z jej mamą. Zagrożenie pojawiło się już dawno. Nie. Później. Nie. Całkiem niedawno? Nie. Wciąż trwało? Nie. Tak. Nie. Tak. Jej samotność. To nie był jej wybór. Rozejrzał się po wysprzątanym mieszkaniu. Niedługo porządek zniknie i ktoś inny będzie mógł tu zamieszkać. Będzie mógł tu żyć. Żyć. Każdy ma do tego prawo.

Podszedł do okna. Zobaczył dom, w którym mieszkał, kiedy był młodszy. Tak, tak, pan komisarz był kiedyś młodszy. Wtedy też zimy i lata mijały, ale on nie zwracał uwagi na pogodę i wiatr. Nie miał na to czasu. Życie pchało go do przodu, rzucało go w wir pracy, którą sam wybrał. To właśnie było jego życie. Zbrodnie. Dużo mu jeszcze brakowało. Jeszcze trochę

poszuka metody i właściwego podejścia. Dyscyplina była dla niego wszystkim, jego sposób myślenia przypominał działanie młockarni. Dostał awans. Chociaż nie, nieprawda, nie myślał tak. Ale awans dostał. Co czuł, kiedy został komisarzem? Czy nie mówili mu, że jest najmłodszym komisarzem w kraju?

Trzydzieści siedem lat. Czy to w ogóle miało dla niego znaczenie? Tak. Nie.

Odwrócił się od okna i przeszedł po przykrytym folią dywaniku.

Zadzwoniła komórka.

– Tak?

– Widzisz coś, czego ja nie zauważyłem? – zapytał Halders.

– Tym razem jest tu więcej światła.

– Oślepiającego.

– Wręcz przeciwnie. Ale nie wiem, czego szukać.

Przeczesał już wszystko.

– Listów – odpowiedział Halders. – Zdjęć.

Słowa, obrazy, coś, co może opowiedzieć o czyimś życiu i przeszłości. Zawsze właśnie do tego wracali. Do dawności, jak w zeszłym tygodniu powiedziała Elsa. Dzieci zawsze wymyślają konkretny język, w którym wszystko znaczy dokładnie to, co powinno. W jego świecie dawność bez przerwy przeplatała się z teraźniejszością.

Wciąż rozmawiając z Haldersem, przeszedł do kuchni. Nie

była wysprzątana tak porządnie jak reszta mieszkania.

– Może pisała pamiętnik – powiedział Halders.

– Może został w walizce. O ile w ogóle pisała.

– Wszystko, czego potrzebujemy, jest w tej walizce.

– A i tak tu jestem – stwierdził Winter. – A ty byłeś tu wcześniej.

– Rozejrzyj się jeszcze raz.

Winter się rozejrzył. Biała farba na ścianach nie mogła być bielsza. Dopiero co ją nałożono, może nawet kilka warstw. Biel połączona ze słońcem wpadającym przez okno go oślepiła. Czy zabójca tu był? Czy siedział przy tym stole? Stół się nie zmienił.

W kuchni wszystko wyglądało tak jak przed remontem.

– Kto rozmawiał z malarzami? – zapytał.

– Co?

– Malarze. Ci, którzy odnawiali mieszkanie, kiedy zabito

Paulę. Kto z nimi rozmawiał?

– Kurwa, nie mam pojęcia. Nie Bergenhem?

– Możesz to sprawdzić?

– Jasne. Ale gdyby coś od nich wyciągnął, już byśmy o tym wiedzieli. Bergenhem wie, co jest ważne.

Winter nie odpowiedział. Jeden promień słońca sięgnął dalej niż inne i oświetlił szafkę nad kuchenką. Wyglądała jak blok światła.

– Myślisz, że widzieli coś, o czym powinniśmy wiedzieć? –

ciągnął Halders.

– Byli tu. Nie wiem, ile musieli uprzątnąć, zanim zaczęli robotę na poważnie. Ale byli tu przed nami.

Co na tym świecie może przynieść ukojenie? Zastanawiała się, co może tak działać. Działanie. Przeanalizowała to słowo.

Działanie – tego powinna się kurczowo trzymać.

Znów zadzwonił telefon. Odebrała, ale usłyszała tylko głuchy szum.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę się w nią wpatrywała.

Telefon był dość stary. Zabrała go ze swojego dawnego pokoju.

Było w tym coś kojącego.

Ale nie w tej chwili. Teraz nie chciała go dotykać.

Miała ochotę wynieść go na śmietnik.

Czy wtedy strach zniknie?

Ale przecież nie zejdzie teraz do straszego ciemnego śmietnika. Przypominał grób. Prawie nigdy nie działało w nim światło. Kiedy wrzucała worek do zsypu, słyszała, jak daleko w dół leci.

Deszcz uderzał o szyby. W takim razie nie wyjdę. Przecież nie muszę. Nie muszę niczego kupować. Mam wszystko, czego mi trzeba.

Telefon znów zadzwonił.

Wyciągnęła rękę, ale nie podniosła słuchawki.

Dzwonił i dzwonił.

W końcu ucichł.

Wpatrywała się w telefon, jakby go jeszcze nigdy nie widziała.

Znow rozległ się sygnał.

Chwyciła za słuchawkę i podniosła ją gwałtownie.

– Wiem, kim jesteś! – krzyknęła.

SALA KONFERENCYJNA BYŁA ZALANA ŚWIATŁEM jak mieszkanie Pauli. Listopadowe słońce wisiało nad stadionem Ullevi, jakby mu się pomyliły pory roku i strony świata. Nikt nie zaciągnął żaluzji. Halders założył okulary przeciwsłoneczne.

Aneta przestała osłaniać oczy ręką. Wstała, podeszła do okna i opuściła żaluzje. Potem spojrzała na Wintera, który jeszcze nie usiadł, i wzruszyła ramionami. Wpatrywał się w samolot lecący na południe po życzliwym niebie. Ludzie mają tyle rozumu, żeby stąd wyjechać, pomyślał. Widocznie mózgi nie przymarzły im jeszcze do czaszek.

Taka pogoda pewnie długo się nie utrzyma. Słońce się opamięta i też powędruje na południe.

Ringmar dyskretnie odchrząknął i Winter się odwrócił.

– Czy ktoś chce zabrać głos? – powiedział.

– Dzięki wielkie, że zapytałeś – odparł Halders.

Nawet Ringmar się uśmiechnął. Halders miał rację. Głupi frazes. W takich sytuacjach każdy zawsze może zabrać głos.

W tej części świata prawo głosu jest już swoistą tradycją. Na południu jest inaczej.

– W takim razie korzystaj z pozwolenia. – Aneta dźgnęła

Haldersa łokciem w bok.

– Chyba trafiliśmy na kogoś, kto ma obsesję na punkcie hoteli

– powiedział Halders.

– Chyba na punkcie mordowania ludzi w hotelach – wtrącił

Berghem.

– Właśnie o to mi chodzi – odparł Halders.

Berghem nie odpowiedział.

– Pokój numer dziesięć – powiedziała Aneta.

– Co?

– Paulę znaleźliśmy w pokoju numer dziesięć – powtórzyła

Aneta, odwracając się do Haldersa. – Børge, Ellen Børge, też
mieszkała w pokoju numer dziesięć.

Popatrzyła na Wintera. Wciąż stał przy oknie. Podczas zebrań
rzadko się stamtąd ruszał. Dobrze było stać kawałek dalej.

Słowa miały większy sens, kiedy musiały do niego dolecieć
z pewnej odległości. Myśli zresztą też.

Swobodny przepływ myśli, o to chodziło. Czasami przynosiło
to skutek.

– A, ona – odparł Halders. – O ile wiem, jeszcze jej nie
odnaleziono.

– Wciąż ją łączymy z tą sprawą? – zapytał Berghem.

– A kiedykolwiek łączyliśmy? – wtrącił Halders. – Erik?

Wciąż się nad tym zastanawiasz?

– Akurat teraz nie.

– To zbieg okoliczności – powiedział Halders.

Winter milczał.

– To zupełnie osobna historia – ciągnął Halders.

– No i jeszcze Elisabeth Ney – dodała Aneta.

– Co masz na myśli? – zapytał Halders.

– Sama nie wiem. Ale przecież to przede wszystkim o niej mieliśmy rozmawiać.

– Sama wspomniałaś o pokoju numer dziesięć – wytknął jej Halders.

– A ty wspomniałeś o hotelu – odpowiedziała Aneta.

– Jak on się tam dostał? – zapytał Winter. Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. – Zabójca Elisabeth. Musiał jakoś chodzić po hotelu. Po Odinie. I to zapewne wiele razy. Jak tam wszedł niezauważony?

– Może ktoś go jednak zauważył – powiedział Bergenhem. – Jeszcze wszystkich nie przesłuchaliśmy.

– Wszedł w przebraniu – dodał Halders.

– Jak to? – zapytał Bergenhem.

Halders wzruszył ramionami.

– Nieważne. I nieważne, czy ktoś go widział. Tak czy inaczej, to nie był on.

– Jeśli nie on, to ktoś inny – powiedziała Aneta. – To nam może wystarczyć.

– Mówisz o tym facecie w długim płaszczu?

– Teraz, w październiku, jego strój będzie przynajmniej bardziej na miejscu. Nie tak jak w kwietniu – wtrącił Ringmar.

– Jest już listopad – poprawiła go Aneta.

– Nie wiemy też, jak ona dostała się do hotelu – powiedział

Berghem.

– I czy wtedy jeszcze żyła – dodał Halders.

– Zamordowano ją w hotelu – stwierdził Ringmar. –

Przynajmniej tyle wiemy.

– Jak mógł się z nią umówić w hotelu? – zastanawiał się

Berghem. – Dlaczego zgodziła się tam pójść?

– Może myślała, że idą gdzie indziej – powiedział Ringmar. –

Może ją tam wniósł albo wepchnął siłą.

– Czyli ustawili się na rendez-vous na schodach przed

hotelem? – Halders się rozejrzał. – No tak, to co nieco

wyjaśnia.

– Fredrik, twój sarkazm to dla nas nieoceniona pomoc –

powiedziała Aneta.

– Rendez-vous? – zapytał Winter. – Fredrik, wiesz co to

słowo w ogóle znaczy?

– No, spotkanie. Umówione spotkanie.

– Owszem, umówione – przytaknął Winter. – Ale zazwyczaj

chodzi o spotkanie zakochanych.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza.

– Poszła tam, żeby się spotkać z ukochanym? – zapytała

Aneta.

– Jest to jakaś myśl – stwierdził Ringmar.

– Nie było jej ponad dobę – powiedział Halders. – Gdzie się

podziewała przez ten czas? Gdyby miała kochanka, to od razu

by do niego poszła, nie? Może właśnie u niego była. Nie mogliśmy jej znaleźć. Więc chyba się nie kręciła po ulicach.

Musiała być gdzie indziej.

– Może w tym składziku – zasugerował Berghem.

– I nikt jej nie zauważył?

Berghem wzruszył ramionami.

– Nie – powiedział Ringmar. – Sprawdziliśmy, jak zazwyczaj pracują sprzątaczkі. Wchodzą tam dość często. Przynajmniej kilka razy dziennie.

– Chyba że ktoś kogoś poprosił, żeby się trzymał z dala od składziku – odparł Halders, pocierając kciukiem o palce wskazujący i środkowy. – Może powiedział, że chodzi o miłosną schadzke.

Winter pokiwał głową.

– Musimy jeszcze porozmawiać z tymi dwiema sprzątaczkami, które tam wchodzą. Klatka schodowa to ich teren. Może sobie coś przypomniały.

– *À propos* terenu – wtrąciła Aneta. – Zaczęliśmy mówić o hotelu. No więc... dlaczego hotel?

– No właśnie – przytaknął Halders.

Nagle wszyscy spojrzeli na Wintera, jakby miał dla nich gotową odpowiedź. Sądzicie, że sam się nad tym nie zastanawiałem? – pomyślał. To miejsce ma znaczenie.

– To miejsce ma znaczenie – powiedział.

– Powiedz tylko jakie – odparł Halders.

– Daj mi kilka dni.

– Masz miesiąc – powiedział Ringmar.

Wszyscy wiedzieli, że idzie na urlop. Halders powoli

przejmował prowadzenie śledztwa. Miał je ciągnąć, dopóki nie

przejmie go prokurator. Ale wtedy będą musieli mieć

podejrzanego. Winter myślał o tym, że wsiadając do samolotu,

chciałby zostawić prokuratorowi podejrzanego. Nie chciał

ciągnąć tej sprawy przez komórkę, dzwonić z Nueva Andalucía.

– Czy ktoś z przesłuchanych pracował w hotelu? – zapytała

Aneta. – I nie chodzi mi o te dwa hotele, tylko o hotel w ogóle.

– Z tego co wiem, to nie.

– Może nie dowiedzieliśmy się jeszcze wszystkiego.

– Amatorzy panienek i socjaldemokraci z hotelu Revy –

powiedział Halders, zupełnie jakby to były dwie równe sobie

kategorie. – Już wszystkich przesłuchaliśmy?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Ringmar.

– Wiadomo, ile to może potrwać.

Halders chciał chyba jeszcze coś dodać, zapewne jakąś

złośliwość pod adresem polityków, ale się powstrzymał.

– Powiązanie – powiedział Bergenhem. – Musimy znaleźć

powiązanie.

– Przecież powiązanie jest oczywiste – stwierdził Halders.

– Tak?

– Rodzina. Dwa zabójstwa w jednej rodzinie, a nikt z was nie zwrócił na to uwagi.

– I co z tego? – zapytał Bergenhem.

– Przede wszystkim chodzi o rodzinę – ciągnął Halders. –

Gdzie zawsze zaczynamy szukać sprawcy? – Odwrócił się do Bergenhema. – Pamiętasz tę lekcję ze szkoły policyjnej? Czy może tego dnia miałeś kaca albo byłeś chory?

Mario Ney wyglądał na skacowanego i schorowanego. Winter spotkał się z nim w tym samym pokoju, w którym już wiele razy rozmawiali. Ney wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki.

Próbowali mu znaleźć alibi, ale nie miał alibi. To oczywiście nie musiało jeszcze nic znaczyć, może nawet przemawiało na jego korzyść. W tych trudnych chwilach nie szukał na siłę towarzystwa. Wybrał samotność, najpierw z żoną, potem został zupełnie sam. Winter starał się znaleźć odpowiedź w jego twarzy, w słowach, w sposobie poruszania się. Ney całym sobą wyrażał smutek i rezygnację. Inne uczucia przyjdą później. Pojawią się też myśli samobójcze, może nawet już się pojawiły. Neyowie mogą zniknąć z powierzchni ziemi. Ktoś usiłuje do tego doprowadzić.

– Mam do pana kilka pytań – powiedział Winter.

Ney wyglądał przez okno. Wciąż stał w tym samym miejscu,

od chwili kiedy Winter wszedł do pokoju. Panował w nim zaduch, w powietrzu unosił się słodkawy zapach: potu, strachu albo rezygnacji.

– Wyglądała, jakby spała – powiedział Ney.

Wciąż wpatrywał się w jakiś punkt za oknem.

Nagle odwrócił głowę.

– Moja kochana Elisabeth. Jakby spała.

Winter przytaknął. Pozwolił, żeby Ney obejrzał ciało żony. Nie było to wcale takie oczywiste. Nie pozwolili mu zobaczyć jej szyi, tylko twarz.

Nie chciał, żeby zobaczył coś, o czym może już wiedział.

Przez chwilę Ney wydawał się całkiem spokojny. Jakby się skonfrontował i pogodził ze śmiercią. Jakby się pogodził z gwałtowną śmiercią drugiego człowieka.

– Pańska żona zaginęła ponad dobę przed tym, jak ją...

znaleźliśmy – powiedział Winter. – Muszę pana zapytać o to jeszcze raz. – Winter pochylił się do przodu. – Czy domyśla się pan, gdzie mogła być przez ten czas?

– Nie-mam-zie-lo-ne-go-po-ję-cia – odparł Ney, akcentując każdą sylabę. Jakby mówił w innym, wymyślonym przez siebie języku. Nagle jego oczy nabrały innego wyrazu. Spojrzał na Wintera. – Skąd miałbym to wiedzieć?

– Nie wiem. Ale musiała gdzieś być. U kogoś w domu. Nikt jej nie widział na ulicach.

– To, że nikt jej nie widział, nie musi oznaczać, że cały czas była u kogoś.

– Mogła gdzieś wyjechać? – zapytał Winter.

– Wyjechać? A dokąd by miała wyjechać? – Ney machnął ręką, jakby wskazywał na wszystko wokół. – Przecież to tutaj mieszkała. Tu był jej dom.

– Skąd pochodziła? – zapytał Winter. – Gdzie mieszkali jej rodzice?

– W Helmstad.

Helmstad. Miasto na wybrzeżu, trochę dalej na południe, w połowie drogi do Malmö i Kopenhagi. Winter wiedział, jak mówią ludzie z tamtych okolic. Kilku kolegów z policji stamtąd pochodziło, ale u Elisabeth Ney nie słyszał zaciągania.

– Ale przeprowadziła się tutaj, kiedy była młoda.

– Poznał pan jej rodziców?

– Tak, ale już nie żyją.

– Miała rodzeństwo?

– Nie.

Tak jak Paula, pomyślał Winter. Jedyńaczka.

– Miała jeszcze jakichś innych krewnych w Halmstad?

– Nigdy nie miała tam innych krewnych. Przenieśli się do Halmstad, kiedy była dzieckiem, czy raczej nastolatką. Chyba nikogo tam nie znali.

– Ale chyba poznała tam jakichś ludzi?

– Tak, tak sądzę. Ale ja nikogo stamtąd nie znam.

– Ale ona znała.

– Chodzi panu o to, że mogła tam pojechać? Do Halmstad?

I potem wrócić tutaj? Dlaczego?

– Po prostu próbuję się dowiedzieć, gdzie była – powiedział

Winter.

– Ja wiem, gdzie jest teraz – odparł Ney.

– Słucham?

Ney milczał. Znów zaczął wyglądać na podwórko.

– Co pan miał na myśli, panie Ney?

– Elisabeth jest w domu – odpowiedział Ney, patrząc w niebo.

Za oknami zmierzch opadał na ziemię jak deszcz. Winter

niemal go słyszał. A może to szum samochodów na

autostradzie. Wszyscy chcieli wrócić do domu.

W drodze do domu Halders zatrzymał się w sklepie na rogu.

Kupił chrupkie pieczywo, kefir, tłuste mleko, jabłka i mielonkę.

Wiedział, że o czymś zapomniał, ale przypomniał sobie

dopiero, kiedy minął kilka przecznic. A wtedy było już za

późno.

– A jajka? – zapytała Aneta, wykładając zakupy na kuchenny

blat.

– Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

– Na kolację obiecałam Hannesowi i Magdzie naleśniki. Nie

da się ich zrobić bez jajek.

– A próbowałaś?

– Nie odwracaj kota ogonem.

– Już idę.

Okazało się więc, że nigdy nie jest za późno. Wyszedł. W ciągu kilku minut zmierzch przeszedł w wieczór. Właściwie wieczór nadszedł, zanim skończył się dzień. Za miesiąc wieczór i noc będą trwać całą dobę. Wszyscy zaczną palić świeczki adwentowe, a wraz z nimi świąteczne lampki. Nawet na cztery tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Magda już pytała, co chce dostać pod choinkę. Zawsze zaczynała wszystko odpowiednio wcześnie. Za to Hannes zacznie się dopytywać tydzień przed Wigilią. Chociaż on mógłby dać dzieciom listę wymarzonych prezentów już w listopadzie. Wiedział, co chce dostać.

Miło mu się spacerowało. Ćwiczył w pracy, bo to wchodziło w skład ich obowiązków, ale nie należał do entuzjastów treningów. Te czasy dawno minęły. Ktoś mógłby powiedzieć, że waży w sam raz, ale on tak nie sądził.

Kiedy zima wreszcie na dobre robi się okropna, wciśnie się w dresy i będzie robił rundy po asfaltowych ścieżkach. Może nawet weźmie udział w miejskim maratonie. Wprawi w osłupienie cały świat.

W drodze powrotnej obchodził się z pudełkiem jajek jak z ostatnią kroplą wody.

Aneta usmażyła naleśniki. Robiła to tak sprawnie, jakby przez

lata tym właśnie się zajmowała. A przecież nigdy wcześniej nie robiła naleśników, przynajmniej nie u Haldersa. Zastanawiał się, czy to ma jakieś znaczenie. Może zdecydowała się zostać, i to nie tylko na dzisiejszą noc. Wciąż się do niego nie przeprowadziła. A dom był wystarczająco duży, miejsca starczyłoby dla wszystkich. To był prawdziwy dom.

– Jest jeszcze dzem jagodowy? – zapytał Hannes.

– Jest i jagodowy, i truskawkowy.

– Gdzie się nauczyłaś tak smażyć naleśniki? – zapytał

Halders.

– W domu, oczywiście.

– Jadaliście naleśniki?

– A dlaczego mielibyśmy nie jeść? Uwielbialiśmy je.

– Twoi rodzice przyjechali tu z Wagadugu. Z Górnej Wolty.

Nie sądziłem, że to mogło być danie dla nich.

– Danie dla nich? – Aneta przystanęła z patelnią w ręce. –

Danie dla nich?

– To danie dla wszystkich – wtrąciła Magda. – Naleśniki są

wszędzie. Nie wiedziałaś, tato?

– Miałem na myśli dzem jagodowy.

– Akurat – odpowiedziała Magda.

– No to truskawkowy.

Firanka się poruszyła, ledwie zauważalnie. To pewnie

klimatyzacja, pomyślał. Wylot znajdował się na lewo od okna.

A może raczej wyciąg. Zależy jak na to spojrzeć.

Pokój numer dziesięć wyglądał identycznie jak wtedy, gdy był tam ostatnio. I tak samo jak wtedy, gdy był tam osiemnaście lat temu. Tak mu się przynajmniej wydawało. Czas przesuwał się do przodu i do tyłu i chyba spotykał sam siebie w pół drogi.

Wydawało mu się, że jednocześnie stoi tu wtedy i teraz. W pół drogi. Do przodu i do tyłu jest równie daleko. Patrząc do przodu jest tak samo trudno jak patrzeć do tyłu. Ale z drugiej strony – równie łatwo.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Niewiele było widać.

Latarnie przywodziły na myśl lata pięćdziesiąte, a nie technologię nowego tysiąclecia. Choć nie mógł być pewien.

W latach pięćdziesiątych nie było go jeszcze na świecie. Urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Jeśli wierzyć temu, co mówią, była to najlepsza dekada w historii. Ellen Børge też urodziła się w latach sześćdziesiątych. Rok po nim. Jakie było to dziesięciolecie dla niej? Winter odwrócił się od okna.

W pokoju było ciemno, dochodziło tu jedynie światło staromodnych ulicznych latarni.

Paula Ney na pewno przesiadywała w tych ciemnościach.

Czekała. Słuchała. Cierpiała. Ten list. Winter zrobił kilka kroków w mrok, jakby chciał go wypróbować i stawić mu czoło.

To był ten sam mrok, który otaczał ją. Był świadkiem tego, co się wydarzyło. Musiało być więcej listów z przeszłości. Dlaczego

nie czytałem innych jej listów? Przecież poznałem ją właśnie dzięki listowi. Sama o sobie napisała. Gdzie są jej listy?

W domu? Nie. Ani w tym, ani w tym drugim. O ile można powiedzieć, że miała dwa domy. Jej rodzice nie zachowali żadnych jej rzeczy. Czy to nie dziwne? Może ma to związek z ciszą? Z tajemnicą? Jaką tajemnicę skrywała ta rodzina? Jeśli ją poznam, wszystko się wyjaśni. Usłyszał głosy dobiegające z korytarza. Może to dziwki, ich klienci albo socjaldemokraci.

Najpierw zaśmiała się jakaś kobieta, potem mężczyzna. Nie było słychać śmiechu dziecka. Takie miejsca są dla tych, którzy życie rodzinne zostawiają za sobą. Co było, już nie wróci. To już ostatnie dni hotelu Revy. Dziecko. Paula też była dzieckiem.

Czemu o tym pomyślałem? Może przez te huśtawki i place zabaw? Przez tę kobietę z dzieckiem z bloku na Hisingen.

Czemu o nich myślę? Muszę myśleć o tylu innych sprawach.

O innych, którzy też kiedyś byli dziećmi. O tych, którzy są nimi teraz. Jak moje dzieci. Gdzieś w głębi korytarza głośno trzasnęły drzwi. Życie, jakiegokolwiek by było, biegło do przodu.

Ulicą przejechał samochód. Tylne światła zalały pokój numer dziesięć czerwoną poświatą. Nagle jakby się cały postarzał.

Wyglądał jak na filmach z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych

czy

osiemdziesiątych.

Tak,
osiemdziesiątych. Ależ był wtedy ze mnie żółtodziób. Stałem tu
wtedy i wiedziałem tylko tyle, że jestem i gdzie jestem. Ellen,
myślałem. Ellen, gdzie jesteś? Chociaż już wtedy wiedziałem, że
zniknęła, że może nie żyje. Teraz też może nie żyć. Ciekawe co
się teraz dzieje z jej mężem, Christerem. Chodził do kościoła na
wieczorne nabożeństwo. On też był w moim wieku. Wszyscy
byli, jakby inny wiek nie istniał. Paula miała tyle lat co ja, gdy
zaczynałem. Ellen i Christer też mieli wtedy tyle lat. A teraz
Jonas. I jego mama, kiedy był jeszcze chłopcem. Za drzwiami
ktoś się roześmiał. Bynajmniej nie perliście. Brzmiało to tak,
jakby ktoś rzucał żwirem o ścianę. Szukali tajemnic w pokoju
numer dziesięć, ale nie znaleźli nic ponad to, co już wiedzieli.
Nie było więcej listów. Musiał im wystarczyć jeden. Przeczytał
go, zanim tu przyszedł. Z tych słów biła groza, której nie dało
się ukryć. W tym liście była wiadomość, której on nie umiał
dostrzec. Krył tajemnicę. Tak samo było z tym pokojem.
Wiedział, że to zwykły pokój, a jednak niczego w nim nie
widział wyraźnie.
Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Było trochę jaśniej, ale
nie dużo. Czerwone tapety pochłaniały światło lamp.
Oczywiście musiały być czerwone. Gdzieniegdzie połyskiwało
złoto. W hotelu Revy wszystko było urządzone tak jak trzeba.
Zszedł po kręconych schodach. One też wyglądały jak z innej

epoki. Jak z *belle époque*.

Portier też tak wyglądał, choć nie do końca.

Ten, który pracował tu od lat.

– Więc pokój znów jest wolny? – zapytał.

Winter przytaknął.

– W pewnym sensie to dobrze. Można powiedzieć, że wszystko powoli wraca do normy.

– Do normy?

– Wie pan, o co mi chodzi.

– Nie jestem pewien. – Winter odwrócił się w stronę wyjścia.

– Zresztą i tak niedługo zamkną hotel.

Przez obrotowe drzwi wszedł mężczyzna z walizką i torbą na laptop. Wyglądał, jakby dopiero co wysiadł z pociągu. Może przyszedł tu ze stacji w centrum. To niedaleko. Na policzkach miał czerwone wypieki. Pewnie po zachodzie słońca zrobiło się zimniej. Miał na sobie zimowy płaszcz.

Winter też. Mężczyzna podszedł, żeby się zameldować.

Wypełnił formularz i ruszył na górę. Niósł walizki. Nie mieli tu boya.

– No i mamy normalnego gościa – powiedział portier.

– W jakim sensie normalnego?

– Przyszedł, żeby przenocować i trochę popracować.

– Który pokój mu pan dał?

– Nie dziesiątkę, jeśli o to panu chodzi.

– Ma pan listę pracowników?

Portier wyciągnął się po kartkę leżącą przy kasie.

– Nie wiem, czy są na niej wszyscy.

Winter bez słowa wziął od niego kartkę.

Szybko przejrzał listę.

– Jest ich więcej, niż myślałem.

Komórka zadzwoniła, kiedy był na schodach. Kiedy ją

wyciągał, omal się nie przewrócił. Najwidoczniej kiedy był

w hotelu, na dworze zrobiło się ślisko. Wiatr był zimniejszy.

– To ta sama farba – powiedział Torsten Öberg.

– Ale nie mamy puszeki – odparł Winter.

– On ją ma.

– Znaleźliście jeszcze coś w tym składziku?

– Ślady farby?

– Tak. Albo cokolwiek innego.

– Wiesz już, że to ten sam sznur. Zobaczymy, do czego doszli

w laboratorium w Linköping.

– Nie łudzę się za bardzo.

– No nic, teraz przynajmniej wiesz też o farbie.

– Musiał przynieść puszkę ze sobą.

– Nie wiemy na pewno.

– Wiem, co masz na myśli.

– Chociaż nie mam pojęcia, jak to się odbyło. Zostawiam to

tobie.

– Dzięki.

– Choć wydaje się to mało prawdopodobne.

Mało prawdopodobne. Tak. Nie. Może Elisabeth Ney w drodze na *rendez-vous* przemierzała ulice z palcem pomalowanym na biało. Może da się to jakoś wyjaśnić.

Wyjaśnień zawsze jest mnóstwo, ale wiele z nich nie ma związku ze sprawą. Niektórych rzeczy nigdy nie udaje się wyjaśnić. A większość z tych niewyjaśnionych jest skutkiem ludzkich działań.

WINTER SCHOWAŁ SIĘ POD MARKIZĄ. Już od lata wisiała nad chodnikiem. Padało coraz mocniej. Ringmar wyciągnął przed siebie rękę. Wyglądało to tak, jakby oberwał z armatki wodnej.

– No to trochę tu postoiemy – powiedział, strzepując wodę z ręki.

– Jest sto lepszych miejsc, w których można przeczekać.

– Nie bądź niecierpliwy.

Winter się zaśmiał. Ringmar próbował go nauczyć cierpliwości, odkąd się poznali. Kiedy to było? Dwa lata temu?

Nie, trzy. Czas pędził jak szalony.

Trudno było nadażyć, a tym samym zwolnić tempo tylko po to, żeby być cierpliwym. Winter spojrzał w niebo. Nie było mowy o zwalnianiu tempa. Deszcz i wiatr przybierały na sile.

Listopad wdzierał się do miasta, jak zwykle arogancki. Oto ja.

Od dziś ja tu rządzę, a jak się komuś nie podoba – niech znika.

– Göteborg to nie miasto dla mięczaków – powiedział

Ringmar.

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby się stąd wyprowadzić?

– Tylko kilka razy. Dziennie.

– Może gdzieś na południe, nad morze?

– Masz na myśli Skanię?

– Tak. Skanię albo Tahiti.

– A co miałbym tam robić?

– Chodzić sobie w szortach.

– Niedobrze w nich wyglądam. A na Tahiti też pada. Czasami leje jak cholera.

– Byłeś tam kiedyś?

– Nie, a ty?

– Tylko w snach.

– To śnij dalej, stary. Dobra, musimy iść.

Jakby w odpowiedzi na te słowa zaczęło się prawdziwe oberwanie chmury. Deszcz lunął na miasto z całej siły. A może tylko na ulicę, na której stali.

Szli na spotkanie. Może ważne, może nie. Nikt nie mógł tego przewidzieć. Tego Winter nauczył się jako młody policjant, już nie tak zielony jak na początku. Wie się dopiero po wszystkim. Czasem wtedy jest już za późno, ale nie zawsze. Tak czy inaczej, trzeba postępować zgodnie z procedurami. Procedury są na pierwszym miejscu, myślenie – na drugim. Powoli zaczął sobie uświadamiać, że można się trzymać procedur i jednocześnie myśleć. I wreszcie, że myślenie może być najważniejsze.

Z początku w to wątpił. Teraz wiedział, że to nie była zła decyzja.

Deszcz zelżał. Raczej go słyszeli, niż widzieli. Krople coraz ciszej uderzały w markizę nad ich głowami.

Stali tak już pięć minut.

Nagle Winter się zorientował, gdzie są.

Wyparł z pamięci to miejsce. Najwidoczniej w drodze selekcji jego umysł odsunął to wspomnienie trochę na bok.

A teraz wróciło.

Odwrócił się w stronę schodów prowadzących do drzwi. Na szybie wciąż było widać napis. Złoczone litery. Od tamtej pory hotel nie zmienił nazwy. Metr od ściany wisiał kuty szyld z napisem: HOTEL. Wyglądał jak żuk wspinający się po murze.

Winter spojrział w górę. Okna na wszystkich piętrach przypominały ciemne dziury.

To było trzy lata temu. Wtedy też była jesień. Był w środku, w tamtym pokoju. Nie przeprowadził wtedy rewizji, nie dostał zezwolenia. Jaka Ellen? Mówi pan, że zaginęła? Spędziła jedną noc w hotelu? Chce pan przeszukać pokój? Nie, skąd, chcę tylko do niego zajrzeć.

Nie udało się.

Zapytał więc portiera, czy mógłby zobaczyć pokój, jeśli nie jest akurat zajęty. To było dwa dni po jej zaginięciu. Stał w pokoju i wsłuchiwał się w ruch uliczny za oknem. Nikt tam nie mieszkał po Ellen Börge. Jeszcze nigdy nie był tak blisko niej.

– To markiza hotelu Revy – powiedział i odwrócił się do Ringmara.

– Tak?

– Ellen Børge, ta zaginiona kobieta. Spędziła tu noc, zanim zniknęła na dobre. Pamiętasz?

– Teraz sobie przypominam. Pamiętam ją, hotelu nie. Ale widzę, że ty nie zapomniałeś.

Winter nie odpowiedział. Nagle poczuł niepohamowaną chęć, żeby wejść do środka i zapytać, czy mógłby jeszcze raz zobaczyć pokój, jeśli akurat jest wolny. Ale to nie miało sensu. Już nigdy nie zobaczy tego pokoju.

Płaszcz przesuwiał się w tę i z powrotem. Obraz był równie niewyraźny, jak ostatnio. Buty nie zmieniły się od ostatniego razu.

Nie udało im się nikogo powiązać z tymi butami. Co za stwierdzenie, pomyślała Aneta. Powiązać kogoś z butami. To jakaś południowoamerykańska metoda torturowania. A może afrykańska. Chociaż nie, w Afryce niewielu ma buty. Jakiś czas temu pojechała tam, skąd pochodziła. Nie urodziła się tam, ale i tak była z Burkina Faso, bo tak teraz nazywał się jej kraj.

W miasteczkach buty miało niewielu, trochę więcej było ich w stolicy. Ona pochodziła z miejscowości leżącej na obrzeżach Wagadugu. Pył był tam wszędzie. Pokrywał stopy grubą, coraz grubszą warstwą. Może był dla nich swoistą osłoną.

Halders siedział obok.

Przyglądali się kobiecie i temu, jak chodzi. Jej niby-utykaniu.

– Chowa twarz, ale nie wiem dlaczego – zauważył Halders.

– Jak to?

– Może zawsze tak robi.

– Mów dalej. – Aneta wciąż wpatrywała się w kobietę.

– Nie chowa jej przed kamerą. Może nawet nie wie, że tam

jest kamera. Ona po prostu tak wygląda. – Ruchem głowy

wskazał na ekran.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Chyba mało prawdopodobne, że działała w... konspiracji?

– W konspiracji?

– Fredrik, wiesz przecież, co mam na myśli.

– Ona chce coś zrobić. Chce tam zostawić tę przeklętą walizkę.

Naprawdę chciałbym ją dorwać i otworzyć.

Aneta po raz trzydziesty prześledziła ruchy kobiety.

– Ona to robi dla Pauli – powiedziała po chwili. – Zostawia ją

tam, bo Paula ją poprosiła. – Aneta odwróciła się do Haldersa.

– Paula miała gdzieś jechać, a ona pomogła jej z walizką.

Halders przytakiwał.

– Paula miała wyjechać – powtórzyła Aneta.

– Dwa pytania. Dokąd? I dlaczego?

– I jeszcze jedno pytanie. – Aneta kiwnęła głową w stronę

ekranu. – Dlaczego ta babka się do nas nie odezwała?

– I kolejne: kim jest?

– I gdzie jest teraz?

– Tutaj, w mieście.

– Ale czemu, na Boga, się nie odezwała?

Halders jeszcze raz popatrzył na kobietę.

– Może nie żyje. Albo się boi.

Winter i Ringmar wracali ze spotkania. Choć właściwie do niego nie doszło. Ten, z którym mieli się spotkać, nie przyszedł.

– Niewychowany cham – powiedział Ringmar.

Winter się zaśmiał.

– Może akurat w tej dzielnicy nie było żadnego samochodu do skrojenia – powiedział. – Wtedy nie można oczekiwać od niego punktualności.

– Zawsze znajdzie się samochód do skrojenia – odparł

Ringmar. – Raz zwinęli mój. Opowiadałem ci o tym?

– Nie.

– Z parkingu przed komendą. W biały dzień.

– Jestem pod wrażeniem.

– Znalazłem go tydzień później pod mostem.

– Chyba zawsze tak jest, nie? Benzyna zawsze się kończy pod mostem.

– Skroili radio.

– Szkoda.

– Bynajmniej. I tak było kiepskie.

Winter się uśmiechnął. Lubił Ringmara. Nie była to do końca relacja ojciec – syn, ale niewiele brakowało. Rozmawiali ze

sobą, a to ojcom i synom nie zawsze wychodzi. I znaleźli sposób na to, żeby ze sobą dyskutować. A właśnie o rozmowę zawsze wszystko się rozbijało. Nawet kiedy zaczynali od jakiegoś z niczym niezwiązanego wątku, prawie zawsze rozmowa schodziła na tor, który dokądś prowadził. Milczenie nigdy się nie sprawdzało. Samo myślenie to za mało. Rozmowa. Cicha albo głośna. Ich własny żargon. Dyskusje. Wrzaski, płacze, krzyki, szepty – bez różnicy.

Przestało padać. Blade słońce przebijało się przez mgłę niczym latarka ze słabą baterią. Przeszli przez plac Gustawa Adolfa. Kiedy mijali jego pomnik, król wymierzył w nich z piedestału palec. Kiepski był z niego wojak. Prawdziwy żołnierz, jeśli coś pokazuje, robi to całą dłonią.

Wiatr unosił nad placem resztki liści, gazety i skrawki czerwono-żółtego papieru do pakowania. Już niedługo stanie tu choinka. Wtedy papier do pakowania będzie już wszędzie. Wszystkie grzeczne dzieci dostaną prezenty. Niegrzeczne zresztą też. W domach rozbłyszczą światełka. Winter jak co roku został zaproszony do rodziców, do Nueva Andalucía. Jak co roku zamierzał odrzucić zaproszenie. Lotta, jego siostra, pewnie pojedzie z córkami. Potrzebowała tego. Była świeżo po rozwodzie, a w Morzu Śródziemnym mogła utopić łzy i spróbować choć trochę zapomnieć. On miał zamiar pracować. Lepsze to niż gapienie się na oblepiony złotymi ozdobami

wieczór wigilijny, słuchanie kolęd z radia i picie do lustra.

Zresztą w radiu i tak nie ma nic ciekawego. Miał znajomych, ale

większość z nich miała już rodziny. Nie chciał im przeszkadzać.

Ależ Erik, skąd, nie przeszkadzasz! Wiem, wiem, ale i tak

muszę iść do pracy.

– Napijemy się kawy?

Ringmar wskazał – całą dłonią – na ulicę biegnącą od placu

do przystani.

– Czemu nie.

Tego też się nauczył. A do tego potrafił to docenić. Często

wychodzili z komendy i dyskutowali w kafejkach. Czasami

w barach, po godzinach pracy. Przebywanie między ludźmi,

zwykłymi ludźmi, pozwalało im utrzymać kontakt

z rzeczywistością, który w tym zawodzie tak łatwo stracić.

W pewnym momencie okazywało się, że wszyscy wokół to

psychopaci, wariaci albo kryminaliści. Sprawcy albo ofiary.

Nikogo pomiędzy. Jeden dzień w policji kryminalnej, czy też

w policji w ogóle, to niesamowite przeżycie. W gruncie rzeczy

dość przerażające. Zwykły człowiek się do tego nie nadaje.

Kawa i drożdżówka były miłą odskocznią.

Winter i Ringmar przeszli przez ulicę i weszli do kawiarni.

Przy kontuarze stała długa kolejka.

– Chodźmy gdzie indziej – zaproponował Ringmar.

I wtedy zwolnił się stolik pod jednym z dużych okien

wychodzących na ulicę. Widzieli przez szybę, że znów zaczyna
lać. Kwietniowa pogoda w listopadzie.

– Siadamy tutaj – powiedział Winter. – Stanę w kolejce. Co
chcesz?

– Zwykłą kawę. Bez mleka, dwie kostki cukru. Do tego
napoleonka i szklanka wody.

– Nic więcej?

– Idź, zanim kolejka zrobi się jeszcze dłuższa.

Ale kiedy Winter doszedł do lady, ludzi było już mniej. Jakby
niektórzy rozpułynęli się w powietrzu. Kolejka przesuwała się
powoli. Doszedł do kasy i złożył zamówienie. Dziewczyna
stojąca za ladą położyła na tacy napoleonkę dla Ringmara.

– Ale ponczowe właśnie się skończyły – powiedziała.

– O nie.

– Przykro mi.

Spojrzała w bok, na talerzyk z ostatnim ciastkiem ponczowym.

Leżało na tacy kogoś, kto stał przed nim. Winter podniósł
wzrok i zobaczył parę zielonych oczu.

– Jeśli to dla pana naprawdę takie straszne, może je pan wziąć

– powiedziała kobieta. – Chyba wzięłam ostatnie.

– Ależ nie.

Wydawało mu się, że się uśmiechnęła kącikiem ust. Czuł się
jak idiota. A ona była niesamowicie ładna. Parę lat młodsza od
niego, może cztery, pięć. Miała brązowe włosy ze złotawym

połyskiem.

– Dla mnie to ciastko aż tyle nie znaczy – ciągnęła. – Równie dobrze mogę wziąć co innego.

Dziewczyna za ladą z zainteresowaniem przysłuchiwała się ich rozmowie. Za nimi ciągnęła się kolejka, ale w tej chwili Wintera to nie obchodziło. Musiał się jednak zdecydować, żeby życie przy ladzie mogło wrócić do normy.

– Proszę je wziąć – powiedziała zielonooka kobieta. – Nie tknęłam go jeszcze.

– No ale... muszę przecież oddać pani pieniądze. – Był jak oszołomiony. Powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy. Teraz mógłby się zgodzić na wszystko. – Ja...

– W takim razie poproszę takie ciastko – przerwała mu, wskazując na napoleonkę Ringmara.

No dobrze, pomyślał Winter. To chyba najlepszy sposób, żeby zakończyć tę scenę.

Spojrzał w stronę okna. Ringmar uniósł brwi.

– To jest droższe – powiedziała dziewczyna przy kasie. –

Napoleonka jest droższa.

Ją chyba też to trochę bawiło. Winterowi zaschło w gardle.

Miał ochotę chwycić szklankę z wodą dla Bertila i wypić ją duszkiem.

– Musi pani dopłacić dwie korony pięćdziesiąt.

– Ja dopłacę. – Winter wyciągnął portfel.

Kobieta znów odwróciła się w jego stronę i przez sekundę, może dwie, się do niego uśmiechała. Teraz czuł się jak idiota jeszcze bardziej, a to uczucie było mu raczej obce. Ostatnio czuł się tak, kiedy pierwszy raz spotkał Haldersa, a Birgersson wytargał go za uszy.

– No dobrze – powiedziała lekko, jakby mu wyświadczała przysługę, o którą długo prosił.

Dostała napoleonkę, wzięła tacę i ruszyła w stronę stolika w głębi, który właśnie się zwolnił.

Winter zapłacił i ostrożnie zaniósł tacę do stolika.

– O co chodziło?

– Zapomnij o tym.

– Jak mam zapomnieć o czymś, o czym nie wiem?

Winter nie odpowiedział. Ominął spojrzeniem kolejkę i spojrzał dalej, w stronę małego okrągłego stolika, przy którym siedziała. Znów się uśmiechnęła. Tym razem jakby szerzej.

Gdyby to było przy barze, zapytałby, jak ma na imię.

– Ładna – powiedział Ringmar. Upił niewielki łyk kawy i skrzywił się. – Kawa jest zimna.

– Przepraszam, Bertil. To moja wina. – Wstał i chwycił filiżankę Ringmara. – Przyniosę ci nową.

– A tu się nie płaci za dolewkę?

– Daj spokój.

Winter minął kolejkę i poszedł kawałek dalej, do jej stolika.

Zauważyła go i zamarła z widelczykiem uniesionym do ust.

– Chyba się pan nie rozmyślił? – zapytała.

I znów ten niewyraźny uśmiech.

– Nie. Ale właśnie postanowiłem panią zapytać, jak pani ma na imię.

– A dlaczego?

– Bo... była pani taka miła. W dzisiejszych czasach to rzadkość.

Znów się zaśmiała. Krótko i głośno. Może i on się uśmiechał, sam nie wiedział. Wiedział za to, że ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach z zainteresowaniem obserwują tę scenę.

W gruncie rzeczy mam to gdzieś, pomyślał. To jest ważniejsze.

Sam nie wiem dlaczego. A może i wiem.

– Więc jak ma pani na imię?

– Angela – odpowiedziała. – Angela Hoffman.

– A gdzie moja kawa? – zapytał Ringmar, kiedy Winter wrócił do stolika.

Winter zszedł po schodach z karteczką wciśniętą do wewnętrznej kieszeni. Wiatr zawiewał mu w szyję, więc zapiął płaszcz wyżej.

Zadzwoiła komórka. Numer zastrzeżony. Domyślił się kto to.

– Cześć, Angela.

– Eriku, wrócisz dziś przed siódmą?

– Mam nadzieję.

– Lilly chce ci coś pokazać. Zanim pójdzie spać.

– Co takiego?

– Sama ci pokaże.

Wrócił o wpół do siódmej. Lilly pokazała mu od razu, w przedpokoju.

Udało jej się przejść cztery kroki.

Na dworze było ciemno. Dobrze, niech tak będzie. Niech będzie noc. Dla niego zawsze to, co było za oknami, było nocą. Czasem jasną, czasem ciemną. Nocy trzeba się strzec. Może być niebezpieczna. Nocą nie spotka się miłości. Nie jego miłość. Tę prawdziwą. Tak długo dawał jej prawdziwą miłość. Czy ją przyjęła? Przez cały ten czas nigdy nie był pewien. Ale teraz wiedział. Ona też. Wszyscy powinni się dowiedzieć. Zza okna dochodziły głosy. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał. Nic nie widział, ale wciąż słyszał głosy. Wokół hałasowały samochody. Ludzie bez przerwy gdzieś jeździli. We wszystkie strony. Usłyszał syreny, ale nie jechali tutaj, do niego. Był pewien. Jeszcze nie teraz. Chociaż nie, nigdy nie przyjadą. Skąd ktokolwiek mógłby wiedzieć? Ktoś, kto by wiedział, musiałby zrozumieć, a nikt nie rozumiał. A już na pewno nie on. Ten tam. Nie rozumiał nic, nic nie wiedział. Tylko pytał i pytał. Jakby istniała jakaś odpowiedź.

Kiedy załatwili formalności, Jonas Sandler rozparł się w krzesło. Nie było w tym nic aroganckiego. Chyba po prostu

nie wiedział, co ze sobą zrobić.

– Panie Sandler, chciałbym z panem omówić kilka dat.

– Omówić?

– Tak, omówić.

– Słucham.

Winter powiedział, o jakie dni chodzi. Zapytał też o wieczory i noce.

– Byłem w kilku różnych miejscach – powiedział chłopak. –

Wtedy, tego wieczoru. To musiało być właśnie wtedy.

Wymienił jakieś miejsce. Winter zanotował.

– Na pewno mnie tam rozpoznają.

– Kiedy pan tam był? Od której do której?

– Późno, tak mi się wydaje. Chyba po północy.

– A może po pierwszej?

– Coś koło tego.

– Często pan wychodzi do klubów i pubów?

– Zdarza się.

– To chyba kosztuje?

– To zależy.

– Od czego?

– Gdzie się chodzi i co się bierze.

– Bierze?

– Do picia. I nie tylko. Wie pan, co mam na myśli.

– Narkotyki?

– W klubach jest pełno dragów, dla policji to chyba żadna tajemnica.

Nagle jego głos zaczął brzmieć ostrzej. Jakby mu przybyło lat.

– Nie ma pan pracy. Skąd pan ma na to pieniądze?

– Nie biorę dragów. Tak jest taniej.

– I równie zabawnie?

– W jakim sensie? – Sandler odpowiedział pytaniem na pytanie i zmienił pozycję.

Nie dam mu się tak zapędzić, pomyślał Winter, spoglądając na stojący na jasnym stole dyktafon.

– Czy równie zabawnie jest nie mieć pieniędzy – powiedział.

Sandler wzruszył ramionami.

– Spotkałem niedawno pańską mamę – dodał Winter.

Sandler znów poruszył ramionami, ledwo zauważalnie, ale najwidoczniej umiał kontrolować odruchy.

– I?

– Nic panu nie mówiła?

– Nie, a powinna?

– Kiedy ostatnio pan z nią rozmawiał?

Wzruszył ramionami.

– Proszę się zastanowić.

Wyglądał, jakby się zastanawiał. Może już znał odpowiedź.

– Dość dawno temu.

– Nie ciekawi pana, dlaczego u niej byłem?

Kolejne wzruszenie ramion. Zmieniał się w oczach. Jakby się wycofywał. Opierał się coraz bardziej.

Jakby jego matka rzuciła cień na pokój, w którym siedzieli.

– Kiedy jako chłopiec mieszkał pan na Hisingen, bawił się pan z dziewczynką z tej samej klatki. Może nam pan coś o niej powiedzieć?

– NIE PAMIĘTAM JEJ – powiedział Jonas Sandler.

Wpatrywał się w blat stołu. – Dziewczynka? Było tam dużo dzieci. – Podniósł wzrok.

– Czyżby?

– Tak, bo co?

– Pańska matka twierdzi, że byliście jedynymi dziećmi w waszej klatce.

– I co z tego? Przecież na podwórkach jest pełno dzieci.

Przynajmniej ja pamiętam, że tak było.

– Ale tej dziewczynki pan nie pamięta? Ani jej mamy?

Sandler nie odpowiedział. Chyba się zastanawiał. Winter czekał, aż się odezwie. Może ma coś do powiedzenia. A może do ukrycia?

– Mieszkały w tej samej klatce? – zapytał Sandler.

– Tak.

– A co się z nimi stało? Dlaczego pan o nie pyta?

– Po prostu proszę sobie przypomnieć.

– Ale co mam sobie przypomnieć?

– Dość żartów, panie Sandler!

– Słucham?

– Dość żartów!

Sandler aż podskoczył. Wzrok miał rozbiegany, spoglądał w kąt, jakby szukał jakiegoś punktu zaczepienia, jak najdalej od

Wintera.

– Nie musi pan krzyżeć – powiedział w końcu.

Winter czekał. Wentylator szumiał niczym rój much

krążących pod sufitem. Przez żaluzje wpadało światło, ale

niewiele to dawało. Słońce ustępowało już następnej porze

roku. Wczoraj wieczorem uśmiechnięta pogodynka

zapowiedziała, że może w weekend spadnie śnieg. Dziś rano

Halders przyznał się, że rzucił kłapką w telewizor, kiedy

usłyszał tę okraszoną uśmiechem przepowiednię.

– Ile miała lat? – zapytał Sandler.

– Około dziesięciu. Była mniej więcej w pańskim wieku.

– Na pewno nie mieszkała tam długo. Inaczej bym ją

pamiętał.

Zanim Winter wszedł do tego pokoju, dokładnie wszystko

przemyślał. Ile on sam pamięta z czasów, kiedy miał dziesięć

lat? Dość dużo. Kręcił się często po ulicach Kortedali, a potem

zachodniego Göteborga. Towarzyszyła mu paczka kolegów.

Rozpadła się, kiedy zaczęło się dorosłe życie. Jedni zaczęli

wcześniej, inni później. Niektórzy wydorośleli, kiedy przestali

się kłócić z dziewczynami. Dla nich wtedy skończyło się

dzieciństwo. Raz na zawsze. Winter odkładał ten moment tak

długo, jak się dało. Kiedy wczoraj i dziś rano myślał o tamtych

latach, przed oczami stanęły mu pojedyncze obrazy i epizody.

Nie pamiętał za to żadnych imion. W głowie zostało mu jedno,

może dwa. Reszta towarzyszy dziecięcych zabaw była

bezimienna. Może nie było ich zbyt wielu. Ich twarze też sobie

nie przypominał.

– Jak długo tam mieszkała? – zapytał Sandler.

– Nie wiemy dokładnie.

– Jak się nazywała?

– Tego też nie wiemy.

– A jesteście w ogóle pewni, że tam mieszkała?

– Pańska mama jest pewna.

Sandler milczał.

– Nie powinniśmy jej wierzyć?

Na to pytanie też nie odpowiedział.

– Mogła się pomylić? – zapytał Winter.

– Nie wiem, co mama pamięta, a czego nie. – Sandler spojrzał

Winterowi prosto w oczy. – Jak miała na imię ta dziewczynka?

– Nie wiem.

– No proszę.

– Myślałem, że pan nam pomoże czegoś się dowiedzieć.

– Nigdy nie zapamiętuję imion.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć. Kiedy już pan stąd

wyjdzie, proszę się zastanowić, czy pamięta pan, jak się pan

z nią bawił.

– Ale dlaczego?

– Po prostu proszę spróbować.

Winter i Ringmar wyszli na miasto tuż przed lunchem.

Kafejka w pobliżu placu Gustawa Adolfa stała się stałym miejscem ich spotkań. I zawsze siadali przy stoliku pod oknem.

Czasami Winter chodził tam z Angelą. Najpierw tylko z nią, potem również z dziećmi. Stolik, który stał w głębi, gdzieś przestawiono. W końcu minęło dwadzieścia lat. Ale miejsce zapisało się w ich pamięci.

– Musiała się gdzieś ukrywać – powiedział Ringmar, kiedy

Winter wrócił z kawą i dwiema napoleonkami.

– Może.

– A to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać.

– Albo łatwiejsze.

– Musiała mieć jakieś mieszkanie.

– Albo pokój w hotelu.

– Ale nie w mieście.

– Wygląda na to, że nie.

– Musiała mieszkać u kogoś. U kogoś znajomego.

– Przepytaliśmy wszystkich znajomych. Nie było ich wielu.

– No to musimy to zrobić jeszcze raz.

Winter wyjrzał przez okno. Pierwsze tej jesieni płatki śniegu zaczęły właśnie opadać na ziemię.

– Śnieg pada – powiedział.

– Ty nie musisz się tym przejmować. Przecież niedługo

jedziesz na słoneczne południe.

Ringmar popatrzył na zegarek.

– Jeszcze trzy tygodnie. – Spojrzał na Wintera. – Potem
przejmujemy śledztwo na poważnie.

Padało coraz mocniej, powietrze zrobiło się gęstsze. Jakaś
kobieta pochyliła się nad wózkiem. Dziecko wyciągało rączki,
chciało złapać płatki. Dzieci uwielbiają śnieg. Winter pamiętał,
jak padało, kiedy on był mały. Pewnie dlatego, że w zachodnim
Göteborgu zdarzało się to tak rzadko. Morze było zbyt ciepłe
i zbyt wielkie.

– I jak poszło z tym chłopakiem? – zapytał Ringmar.

– Sam nie wiem.

– A jak ci się wydaje?

– Nie chciał sobie przypomnieć.

– Dlaczego?

– Znał ją.

Ringmar milczał. Wiedział, co Winter ma na myśli.

– Znał Paulę już wtedy – powiedział Winter. – Nie chce,
żebyśmy o tym wiedzieli.

– Tak naprawdę to nie wiemy.

– Cholera! Że też nie wiemy, kim były i co się z nimi stało!

– I skąd się tam wzięły.

Winter spojrzał na swoje ciastko. Jeszcze go nie ruszył. Nagle
stracił na nie ochotę. Odsunął talerzyk na bok.

– Bo o to im chodziło – powiedział Ringmar. – Na pewno tej

kobiecie właśnie o to chodziło. Żeby nikt nic o nich nie wiedział.

– Ale przecież ludzie o nich wiedzieli. Anne Sandler, mama Jonasa, wiedziała. Metzer też. Inni też musieli je widywać.

– Wiadomo, że nie mogły siedzieć zamknięte w mieszkaniu całymi dniami. To byłoby bardziej podejrzane.

Winter pokiwał głową.

– Jeszcze dziwniejsze jest to, że nie możemy znaleźć tego, kto im wynajął mieszkanie.

– Przynajmniej wiemy, jak się nazywa.

– Ale gdzie jest?

– I czy to jego prawdziwe nazwisko?

Ringmar przebił widelcem wierzchnią warstwę ciastka.

Wszystko się pokruszyło.

– Dlaczego robią ciastka, których nie da się elegancko pokroić?

– Mogłeś wybrać inne.

– Ale lubię napoleonki.

– Jonas bawił się z nią, kiedy byli dziećmi. Tak sędzę.

I pamięta ją.

– I nie chce nam o tym powiedzieć.

– Bo spotkał ją znów jako dorosły.

– O czym również nie chciał nam powiedzieć.

– Bo spotykał się z nią częściej, niżby się chciał przyznać.

– Bo w tej kwestii skłamał.

– Dlatego że... ją zabił.

– Zgoda.

– Jest zbyt obojętny. Nie może być niewinny.

– Zgoda.

– Podaj jakiś kontrargument. Chyba nietrudno jakiś znaleźć.

– Po prostu jest tchórzem – zaproponował Ringmar.

– Mów dalej.

– Tak wyszło, że zadawał się z dziewczyną, która skończyła tragicznie. I tyle. Nie znał żadnej małej dziewczynki, która mogłaby być Paulą, bo ona po prostu nie istniała.

– Kto?

– Tajemnicza mała dziewczynka rzecz jasna. Przynajmniej dla niego nie istniała. Może i tam mieszkała, ale on o niej zapomniał. Mieszkała tam krótko. To był ktoś inny i tyle.

Ringmar wpatrywał się w swoją napoleonkę. Potem spojrzał na Wintera. Zawiesił widelczyk nad kruchym, ale, jak się okazało, dość twardym ciastkiem. Rozejrzał się, jakby sądził, że ktoś ich podsłuchuje. Ale siedzieli daleko od pozostałych gości, a przy tym dość blisko lady, za którą szczękały talerze i świstał ekspres do kawy.

– Dlaczego ją zabił? – zapytał Ringmar. – Nie mówię, że się z tobą zgadzam. Po prostu pytam.

– Bo jest chory – odparł Winter. – A tacy ludzie nie

potrzebują motywu.

Wyszli z kawiarni. Słońce raziło ich w oczy. Winter odruchowo

sięgnął po okulary słoneczne, ale nie miał ich przy sobie.

Przynależały do innej pory roku – do zielonej zimy.

– Wzięłeś jej numer? – zapytał Ringmar.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Podrywasz dziewczyny w kawiarni. W biały dzień. I to w godzinach pracy. Stary, w wydziale będą o tobie krążyły legendy.

– Ale to ona... – Winter nie dokończył.

– Proszę, ktoś robi z siebie niewiniątko.

– Dobra, dobra. Mam jej numer.

– Jak ma na imię?

– Angela.

– Rzadkie imię. – Przeszli przez Brunnparken. Jakiś pijak zasalutował władzy w cywilu, wyciągając do nich flaszkę. –

Brzmi trochę z angielska.

– Albo z niemiecka. Ma niemieckie nazwisko.

– Jest Niemką?

– Wiem tyle co ty, Bertil. W każdym razie mówiła po szwedzku. Chyba jest stąd, z Göteborga. Mówiła dialektem z centrum.

– A jak on brzmi?

– Na pewno inaczej niż twoja bełkotliwa wyspiarska gwara

z Hisingen.

– Jestem dumny ze swojego pochodzenia.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo.

– Daj spokój z tą historią z twoim ojcem i kasą. Przynajmniej nikogo nie za...

– Zobacz, to on. – Winter przerwał mu, wskazując ruchem głowy na tłum zmierzający w stronę centrum handlowego.

Ringmar podążył za jego wzrokiem.

– Kto?

– Börge. Christer Börge. – Winter znów wskazał na ludzi, którzy właśnie zatrzymali się na przejściu. Obok ze zgrzytem przejechał tramwaj. – Ten od Ellen Börge. Mówiliśmy o niej przed chwilą.

– A, no tak. Nie odnalazła się, prawda?

– Nie, nie odnalazła się. – Winter znów spojrział na ludzi przed nimi. – To ten na końcu, z lewej. Ten w niebieskiej czapce.

Mężczyzna odwrócił głowę, jakby usłyszał, że o nim rozmawiają. Ale nie mógł usłyszeć, stał za daleko. Przesunął po nich wzrokiem, a potem znów spojrział na to, na co patrzył wcześniej. Tak, to Christer Börge.

– Jesteś pewien? – zapytał Ringmar. – Masz taką pamięć do twarzy? Umiesz rozpoznać człowieka nawet w czapce?

– Tę twarz pamiętam. Gorzej mi idzie z imionami.

– Ale wiesz, że nazywa się Børge.

– Akurat jego zapamiętałem.

– Biedny facet – powiedział Ringmar, spoglądając na czapkę Børgego. Wyglądała, jakby założył ją, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Winter się nie odzywał. Kiedy światło się zmieniło, ludzie szybko ruszyli na drugą stronę ulicy. Christer Børge już się nie odwracał. Tłum zniknął w przypominającym tunel wejściu do ogromnego centrum handlowego.

– Chyba go jeszcze odwiedzę – powiedział Winter.

– Po co?

– Żal mi go. Sam to przed chwilą mówiłeś.

– Widzę, że nie możesz zapomnieć o tej sprawie.

– Nie mogę.

– Co chcesz osiągnąć, idąc do tego biedaka i rozgrzebując stare rany?

– Sam nie wiem. Ale czuję, że powinienem.

– Intuicja?

– Nazwij to, jak chcesz.

– Wierysz, że miał coś wspólnego z jej zaginięciem?

– W nic nie wierzę. To chyba motto naszego wydziału, nie?

Jak mówi Birgersson: wierzyć to można w kościele.

– Tak czy inaczej, musimy już wracać.

– Idź. Ja będę z powrotem za jakąś godzinę.

Zostawił Ringmara. Kiedy zapaliło się zielone, przeszedł na drugą stronę.

Pomyślał, że może jeszcze mu się uda wypatrzeć Börgego.

Chyba że niebieskie czapki są teraz modne. Ale tak naprawdę nie musiał go szukać. Znał jego adres. Mógł się przeprowadzić.

Ale najwidoczniej wciąż mieszkał w mieście.

Po co mi to? – zastanawiał się Winter.

Przed wystawą sklepu zobaczył niebieską czapkę. Börge stał przed sklepem z zabawkami. Rozglądał się na wszystkie strony, jakby chciał zobaczyć wszystko, tylko nie to, co jest na wystawie. Niedługo sklepy wywieszają świąteczne dekoracje.

Potem przyjdzie Boże Narodzenie, potem Nowy Rok, a wraz z nim nowe dziesięciolecie – lata dziewięćdziesiąte.

Börge szybko ruszył w stronę północnego wejścia.

Winter szedł trzydzieści metrów za nim.

Börge wszedł do sklepu monopolowego. Winter zaczekał na zewnątrz. Po chwili Börge wyszedł z torbą. Widać było zarysy kilku butelek. Doszedł do wyjścia, wyszedł przez automatycznie rozsuwane drzwi i skręcił w prawo. Zniknął Winterowi z oczu.

Winter też wyszedł. Zobaczył, jak pięćdziesiąt metrów dalej

Börge przechodzi przez ulicę. Musiał szybko iść. Zatrzymał się na przystanku autobusowym, obok grupki ludzi. Tylko on miał na głowie niebieską czapkę. Autobus właśnie nadjeżdżał. Börge wsiadł jako ostatni i autobus ruszył. Przejechał obok, ale

Winterowi nie udało się dostrzec niebieskiej czapki. Słońce odbijało się od ciemnych szyb autobusu. Jakby w środku się paliło.

MOŻE TO WŁAŚNIE TWARZ BÖRGEGO mignęła mu w tylnym oknie. Przez brudną szybę widział tylko niewyraźną jasną plamę.

Poszedł dalej. Minął dworzec, redakcję „Göteborgs Posten” i stadion Gamla Ullevi.

Wziął z policyjnego garażu samochód i pojechał do Börgego.

Znalazł wolne miejsce i zaparkował.

Na drzwiach wciąż wisiała tabliczka z jego nazwiskiem.

Winter się rozejrzył. Niewiele się zmieniło. Nikt nie ośmielił się tknąć stojących w centrum domów bogaczy. Tutejszych ulic socjaldemokratyczne władze nie tykały. To przedmieścia i małe miejscowości padły ich ofiarą.

Winter wszedł na górę. Börge mieszkał na trzecim piętrze.

Klatka była zadbana. Oświetlało ją wpadające przez witrażowe okna słońce. Zupełnie jak w kościele.

Trzy lata. Trzy lata temu wchodził po tych schodach. Kilka razy. A potem dzwonił pięć czy sześć razy, żeby dopytać, jak było, i wszystko potwierdzić. Raz to Börge zadzwonił do niego.

Mówił stłumionym głosem, jakby przytknął do słuchawki chusteczkę.

Kiedy Winter wyciągał rękę w stronę dzwonka, uświadomił sobie, że może Börge nie mieszka już sam. Że może powinien był uprzedzić telefonicznie, że przyjdzie.

Ale nie chciał tego robić.

Nacisnął dzwonek. Börge otworzył od razu, jakby czekał za drzwiami. Może widział, jak wchodził do budynku, a może zauważył go, kiedy jechał autobusem albo w centrum handlowym.

Nie wyglądał na zaskoczonego.

– To pan.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie. Głos miał zmęczony, jak po chorobie. Postarzał się przez te trzy lata, ale może nie było w tym nic nadzwyczajnego. Przybyło mu kilka zmarszczek wokół oczu. Ale przecież ja też takie mam, pomyślał Winter. Widzę swoją twarz co rano, ale jakoś nie zauważam zmian.

– Mogę wejść?

Börge zaprosił go gestem do środka, odwrócił się i ruszył przez przedpokój.

– Niech pan zdejmie buty – rzucił przez ramię. – Dopiero co sprzątałem.

Winter nie wiedział, czy to nie żart, ale zdjął robione na zamówienie angielskie buty i ustawił je obok kilku innych par na półce pod wieszakiem. Wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. Może wtedy ich nie było. Wyglądało na to, że ma kilka par identycznych butów. Może to dobry pomysł. To znaczy może nie trzeba nosić zawsze takich samych butów, ale dobrze mieć kilka par na zmianę. Przekonał go do tego jego szewc z Mayfair.

Jeździł do niego co roku i zawsze słyszał tę radę. Nie za każdym razem musiał kupować nowe buty. Te, które miał, były wytrzymałe. Buty Börgego nie były oczywiście tak dobrej jakości, ale nie były też tandetne.

Kiedy Winter wszedł do salonu, Börge już siedział.

Na stole stała butelka czerwonego wina i wypełniony do połowy kieliszek. Winter już w przedpokoju poczuł od niego alkohol.

Börge ruchem głowy wskazał na butelkę.

– Może chce pan kieliszek? To żaden sikacz.

– Widzę.

– No to chce pan kieliszek?

– Nie, dziękuję. Jestem samochodem.

Börge posłał mu uśmiech. Chyba gorzki.

– Dobra wymówka.

Mówił, przeciągając sylaby. Najwidoczniej był już lekko podпиты. Może wypił kilka kieliszków na pusty żołądek. Sądząc po zawartości butelki, właśnie wypijał drugi. Możliwe, że to jego zwyczajowa popołudniowa rozrywka.

– Proszę siadać.

Winter usiadł w fotelu naprzeciwko. Za oknem, jakby w poszukiwaniu domu, krążyły czarne ptaki. Przez szybę słychać było ich skrzek.

Börge uniósł kieliszek.

– Zupełnie jakbym coś świętował.

– A świętuje pan?

– A co miałbym świętować? – Odstawił kieliszek. – Po prostu dzięki temu można milej przeżyć kolejny dzień.

Winter pokiwał głową.

– Ma pan na ten temat jakieś zdanie?

– Nie, a powinienem?

– Przecież jest pan policjantem.

– Nie posuwamy się jeszcze do tego, żeby wpadać ludziom do domów i zabierać im butelki.

– Ale do mnie pan przyszedł.

– Mam iść?

– Nie, nie. Milej się siedzi w towarzystwie.

Kolejny raz użył słowa milej. Ale atmosfera bynajmniej nie była miła. Nagle zrobiło się zimno, jakby całe ciepło uciekło z kaloryferów przez okno, do ptaków, które wciąż latały w tę i z powrotem. Pewnie po obu stronach okna rosną drzewa, pomyślał Winter. Nie zauważyłem ich, kiedy wchodziłem.

– I co u pana słyhać, panie Børge?

Børge właśnie wyciągał rękę po kieliszek. Zawisła w powietrzu.

– Naprawdę to pana interesuje?

– Inaczej by mnie tu nie było.

– A co konkretnie pana interesuje?

– Nie rozumiem.

– Ależ świetnie pan rozumie, do cholery. Pamiętam, że podejrzewał pan, że mam coś wspólnego z zaginięciem Ellen.

Nie zdziwiłbym się, gdyby teraz przyszedł pan tu z tego samego powodu.

– Nie dlatego tu jestem.

– Ellen wciąż leży w szafie. Jak pan chce, może pan przeszukać mieszkanie.

– Widziałem pana dzisiaj – powiedział Winter.

Börge milczał. Szybko napił się wina i odstawił kieliszek. Jego podstawka zostawiła czerwoną obwódkę na jasnym blacie.

Börge chyba nie zwrócił na to uwagi. Jego ruchy powoli zaczynały się robić coraz bardziej zamaszyste. Z butelki zniknęła już niemal połowa wina.

– Widziałem pana na mieście. Przed centrum handlowym Nordstan. Zupełnie przypadkiem pana zauważyłem. – Winter pochylił się do przodu. Czuł lekko cierpki zapach wina dochodzący z butelki. Pessac. Dość drogie. Jeśli Börge chciał się upić, to najwidoczniej miał zamiar to zrobić z klasą.

– Myśli pan, że ja pana nie widziałem?

– Nie wiem. Nie kryłem się.

– Ja też nie. – Börge spojrzał na butelkę, a potem na Wintera.

– Sądzi pan, że się nie domyśliłem, że pan przyjdzie?

– Właściwie tak to wyglądało, kiedy pan otworzył drzwi.

– Przez trzy lata cisza, a potem nagle pan komisarz staje przed drzwiami.

– Po prostu pana zobaczyłem i czułem się zobligowany, żeby...

– Zobligowany? A co to właściwie znaczy?

– No tak dokładnie to nie wiem – odparł Winter. – Ale chodzi o to, że kiedy...

– Trzeba to natychmiast sprawdzić.

Börge wstał szybko i zachwiał się. Żeby nie stracić równowagi, jedną ręką złapał się oparcia sofy. Winter znów spojrzał na butelkę. Dopiero teraz sobie uświadomił, że może to nie pierwsza tego dnia. Börge nie wydawał się całkiem pijany, ale może przywykł do picia. Jak zawodowy alkoholik.

Börge podszedł do szerokiego regału stojącego przy oknie.

Przełądał grzbiety książek, wreszcie sięgnął po jedną z nich.

– To leksykon – powiedział, pokazując Winterowi opasły tom.

– Nie można się bez czegoś takiego obejść.

Zaczął kartkować.

– Zet... Zo... Zo-bli-go-wa-ny – zaczął czytać. Przysunął się z leksykonem do okna, jakby potrzebował więcej światła. – Nie ma takiego hasła. Jednak można się bez niego obejść. –

Zamachnął się i leksykon szerokim łukiem poleciał przez pokój.

Wylądował tuż za Winterem.

Winter wstał i podszedł do regału. Börge wciąż przy nim stał, jedną ręką opierał się o książki. Rozglądał się, żeby sprawdzić,

gdzie upadł leksykon.

Jedna z półek była w połowie pusta. Stały na niej zdjęcia w ramach, jedno przy drugim. Winter pamiętał, że trzy lata wcześniej ich nie było. A może były. Rozpoznał dwa. Widział je wtedy. Z jednego uśmiechała się do niego Ellen. Siedziała na stojącym nie wiadomo gdzie krześle. Uśmiech bez wyrazu, twarz też nieprzenikniona. Na drugim Ellen z mężem. Stali pod drzewem. Może przed domem. Zdjęcie zrobiono w mieście. Budynki w tle wyglądały znajomo. Może w jednym z nich właśnie się znajdował.

Na trzecim zdjęciu uśmiechniętej Ellen towarzyszyła jakaś dziewczyna. Miały może po piętnaście lat, może więcej.

– Kto to? – zapytał Winter, wskazując na zdjęcie.

– Co? – Børge odwrócił się w stronę regału.

Winter zorientował się, że jest bardziej pijany, niż mu się wydawało. Najwidoczniej nie pierwsza butelka stała na stole.

Musiał pić, zanim poszedł do monopolowego. Chyba że wychylił całą butelkę w dwadzieścia minut, tuż zanim on się zjawił.

– Kim jest dziewczyna, która stoi na tym zdjęciu obok pańskiej żony.

Wyglądało na to, że stały w otoczonej krzewami altanie.

Otaczały je krzewy. Obejmowały się. Cztery ramiona, cztery dłonie. Było lato, miały na sobie lekkie stroje. W rogu coś

połyskiwało. Może skrawek nieba, a może wody – jeziora albo morza.

Börge spojrział na zdjęcie. Znów się zachwiał, ale nie wyglądało to tak, jakby miał upaść.

– To siostra Ellen.

– Aha.

Börge przeniósł wzrok na Wintera. Lekko zmrużył oczy.

Zaciągał coraz bardziej, ale nie bełkotał.

– Nie rozmawiał pan z nią po zaginięciu Ellen?

– Ja nie.

– To dziwne.

– Jeden z moich kolegów z nią rozmawiał. Ale wiedziałem o niej. – Winter znów spojrział na dziewczynę. – Ellen u niej nie było. Ktoś z tamtejszego komisariatu ją przesłuchiwał. Chyba w Malmö. Tam wtedy mieszkała.

– Nie widziałem jej od tamtej pory. – Börge wskazał na zdjęcie.

– Dlaczego?

– Chyba mnie nie lubi. – Popatrzył na Wintera. – Wiem, że mnie nie lubi. – Przytaknął sam sobie. – Uważa, że to wszystko moja wina.

Winter kolejny raz zerknął na zdjęcie.

– Znalazłem je zaledwie parę miesięcy temu – powiedział

Börge. – Przeglądałem jakieś szpargały i trafiłem na nie.

– Znalazł pan coś jeszcze?

– Niby co?

– Jakieś inne zdjęcia żony? Albo coś innego, jakąś pamiątkę?

– Nie.

Winter wpatrywał się w twarz dziewczyny. Może było między

nimi jakieś podobieństwo, ale trudno mu było je dostrzec.

Może coś w układzie oczu albo we włosach. A może w posturze.

Obie były wysokie, szczupłe, trochę kościste, ale to pewnie

miało się z czasem zmienić.

– Właściwie to były przyrodnimi siostrami – powiedział

Börge.

Winter skinął głową.

– Potem już jej nie widziałem, ale to już panu mówiłem.

– Gdzie mieszka?

– Nie mam pojęcia.

– Nie pamiętam już, jak się nazywała.

– Eva. Przynajmniej wtedy tak kazała do siebie mówić.

– Jak to?

– Używała różnych imion.

– Dlaczego?

– A skąd, do cholery, miałbym wiedzieć? – Börge oderwał się

od regału i zrobił kilka kroków w lewo, w stronę sofy. Tym

razem chyba nie obędzie się bez upadku, pomyślał Winter. –

Sam może ją pan zapytać, jak ją pan spotka.

Poranne zebranie zaczęli od minuty ciszy. Nie chodziło o uczczenie czyjejs pamięci. Miała to raczej być chwila skupienia. Akurat wtedy zadzwoniła komórka Haldersa.

Winter właśnie zaczynał wygłaszać sprawozdanie.

– Hm? – Tak Halders odbierał telefon. – Tak? Tak, to ja.

Wstał i wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą drzwi.

– To może być ktoś, kto kiedyś pracował w którymś z hoteli – powiedział Winter.

– Przerobiliśmy już całą listę, którą dostałeś? – zapytała

Aneta.

– Jeszcze nie.

– A tę z Odina? Jest na niej ktoś znajomy?

– Kilku złodziejasków – odpowiedział Ringmar.

– Chyba zawsze tak jest, co?

– Nie ma ich zbyt wielu. Ledwie kilka osób – ciągnął Ringmar.

– Ale dla niektórych praca w hotelu to coś w rodzaju stacji przesiadkowej.

– Dlaczego? – zapytała Aneta.

– No nie wiem... W hotelach ludzie nie zadają tylu pytań. To znaczy pracownicy. Nie są zbyt ciekawscy.

Drzwi otworzyły się ze świstem.

Do środka wkroczył Halders, wciąż z telefonem w dłoni.

– To jeden z malarzy – powiedział.

– Tych z jej mieszkania? – wtrącił Berghem.

– Nie, sam van Gogh.

– I co powiedział? – zapytał Winter.

– Kiedy tam przyszedli, był tam tata Ney. – Halders usiadł. –

I to kilka razy.

– I? – Tym razem pytanie zadała Aneta.

– No... to znaczy, że pewnie mógł wchodzić do mieszkania córki. Nie wiem, czy już go o to pytaliśmy, ale zawsze to coś nowego.

– Ale co z tego wynika?

– Miał ze sobą torbę. Wyniósł stamtąd torbę.

– Podróżną? To znaczy walizkę? – zapytał Ringmar.

– Nie, aż tyle szczęścia nie mamy. Zwykłą torbę.

– I co? – zapytał Bergenhem.

– Nic, Lars. Malarz nie zapytał, czy może zajrzeć do środka.

Więc jej zawartość pozostaje dla nas tajemnicą.

– Pewnie wziął coś dla córki – powiedziała Aneta.

– Kiedy to było? – zapytał Winter.

– Pierwszego wieczoru po jej zaginięciu – odparł Halders. –

Wtedy jeszcze nie wstrzymaliśmy remontu.

– Co on tam robił? – zastanawiał się Bergenhem.

– Najlepiej będzie, jak go zapytamy.

– Po prostu chciałem zobaczyć, czy jest w domu – wyjaśnił

Mario Ney.

– Mógł pan zadzwonić – powiedział Winter.

– Mogła nie odebrać. Mogła na przykład być chora. Chciałem sprawdzić.

– Przecież byli tam malarze.

– Nie wiedziałem. Nie wiedziałem, czy jeszcze tam są.

– Był pan tam kilka razy.

– Tak, i co z tego? Wtedy Paula prosiła, żebym jej przyniósł parę rzeczy.

– Jakich?

– Ubrania. Chyba jakąś spódnicę i bluzkę.

– Czemu sama po nie nie pojechała?

– Ja... poprosiła mnie. Nie wiem. Po prostu ja tam pojechałem.

– A co pan zabrał za drugim razem?

– Za drugim razem?

– Nie rozumie pan mojego pytania?

– Rozumiem. Za drugim razem... nie pamiętam dokładnie.

Chyba znów jakieś ubrania.

– Ale wtedy Pauli już nie było. Na co jej były te ubrania?

– Najwidoczniej ja... Sam nie wiem. Najwidoczniej nie myślałem trzeźwo.

Spojrzał Winterowi w oczy. Powieki mu nie drgały. Wyglądał, jakby naprawdę usiłował sobie przypomnieć.

– Nie – powiedział po chwili. – To nie było tak. Chciałem tam pojechać, żeby sprawdzić, czy nie znajdę czegoś, co by mi

mogło pomóc ją odnaleźć. Nam pomóc.

– Na przykład co mógłby pan znaleźć?

– Nie wiem. Cokolwiek. Coś, co by pomogło.

– I znalazł pan coś?

– Nie.

– Nic?

– Nic.

– A szukał pan czegoś konkretnego?

– Nie.

– Co pan miał w torbie?

– Nic.

– Czyja to była torba?

– Moja.

– Nie Pauli?

– Mówię przecież, że moja.

– Po co ją pan wziął?

– Na wypadek gdybym coś znalazł i chciał zabrać.

– I co pan zabrał?

– Przecież już mówiłem, że nic. Mówiłem wam!

– Rozmawialiśmy z jednym z malarzy. Torba wyglądała na pełną.

– A co on może wiedzieć? Który to? Nie mógł nic widzieć. Stał na drabinie, pod sufitem.

– Czy torba była zamknięta?

– Nie pamiętam już. Pewnie nie.

– Dlaczego nie?

– Bo nie da się jej zamknąć do końca. Zamek jest zepsuty.

– Wziął pan ze sobą zepsutą torbę?

– Po prostu ją wziąłem. Sam nie wiedziałem, co robię. Zresztą co za różnica, czy torba jest zepsuta, czy nie? Jakże to ma teraz znaczenie, do cholery?

– Czemu nam pan nie powiedział, że był pan te dwa razy w mieszkaniu córki?

– A po co miałem mówić? Przecież to nic nie zmienia.

– Czy to coś zmienia? – zapytał Birgersson.

Tym razem siedział za biurkiem. W ustach trzymał wykałaczkę. Zły znak. Pewnie niedługo zastąpi ją papierosem.

– Według niego nie – odparł Winter.

– Może było tak, jak mówi.

– Nie chcę dezawuować tego, co powiedział, ale...

– Dezawuować? Śmieszne słowo. Mało kto tak mówi. Co właściwie znaczy?

– Tak dokładnie to nie wiem.

– Musimy to sprawdzić. – Birgersson się podniósł.

– Naprawdę musimy?

– Lepiej mi się myśli, kiedy z marszu staram się odpowiedzieć na każde pytanie. – Birgersson podszedł do niewielkiego

regału. Stało na nim jakieś trzydzieści książek. Sięgnął po jedną

z nich.

– Zobaczmy. – Zaczął kartkować.

– Już drugi raz mi się to przytrafia.

Birgersson spojrział na niego pytającym wzrokiem.

– To było jakieś piętnaście lat temu. U Christera Börgego.

– U Christera Börgego? Tego, któremu zaginęła żona?

– On też sprawdzał jakieś słowo w leksykonie.

– No proszę.

– To nietypowe.

– Pewnie robi tak więcej osób, niż ci się wydaje. – Birgersson

wciąż kartkował książkę.

– Ciekawe, czy jeszcze żyje.

– NIE MA TAKIEGO HASŁA. – Birgersson zamknął słownik i odstawił go na półkę. Wrócił za biurko i pokiwał głową. –

Zdarza się.

– Wtedy też tak było.

– Słucham?

– Nie było takiego hasła. Nie znaleźliśmy objaśnienia.

– Wyjaśnienia też nie.

– Wiem, Sture. Nie umiem zapomnieć o tej sprawie.

O zaginięciu Ellen.

– Będziesz musiał z tym żyć do końca swojej kariery.

Winter milczał.

– Kariera – powtórzył Birgersson, sięgając po nową wykałaczkę. Wetknął ją do ust i spojrzał na Wintera. – Ja kończę swoją w przyszłym roku. Jesienią.

– Tylko pogratulować.

– Prawda?

Birgersson pochylił się nad zdjęciami, które rozłożyli na biurku. Odbitki leżały też na ławce stojącej pod dłuższą ścianą pokoju.

Przedstawiły matkę i córkę.

Birgersson przyłożył do siebie dwa zdjęcia. Ujęcia były podobne – to samo światło, ta samo odległość. Ta sama cisza.

Na swój sposób ta sama twarz.

Birgersson w milczeniu wpatrywał się w zdjęcia.

– Kogo przypomina bardziej? – Spojrzał na Wintera. – Matkę czy ojca?

– Sam nie wiem, Sture.

– Matkę czy ojca? Nie widzę żadnego podobieństwa.

– A dlaczego się nad tym zastanawiasz?

– Po prostu uderzyło mnie, że właściwie nie widziałem żadnych zdjęć tej rodziny.

– Bo prawie ich nie ma.

– Jakie znaczenie mają dla niego te białe... trofea? –

Birgersson znów zapatrzył się na zdjęcia, tym razem inne. –

Jakby coś kolekcjonował. Chociaż zostawia to... przy ofiarach, że tak powiem.

– Chyba chodzi o prawo własności.

– Miał je na własność? Tę rękę i palec?

Winter przytaknął.

– Tak sądzisz?

– Był przekonany, że ma prawo do wszystkiego, co ich. Że może wziąć, co zechce, i zostawić, co zechce. – Winter wskazał na zdjęcia. – Że może robić, co chce.

– A ta ręka z gipsu?

– To tylko potwierdzenie.

– Czego?

– Tego, o czym mówiłem.

Nina Lorrinder zadzwoniła do Haldersa wczesnym popołudniem. Sięgając po telefon, Halders spojrzął na zegarek: wpół do trzeciej. Za oknami już zaczynało się robić ciemno. Za dwie godziny miał odwieźć Hannesa na unihokeja. Hannes wolał to od agresywnego hokeja na lodzie. Halders grał w hokeja. Hannes wdał się w Margaretę, pomyślał Halders, kiedy syn powiedział mu, jakie zajęcia wybrał w semestrze zimowym. To dobrze.

– Halders. Wydział śledczy.

– Dzień dobry. Tu Nina Lorrinder.

– Witam.

– Przypomniałam sobie jedną rzecz...

Halders usiadł prosto i chwycił długopis.

– Proszę mówić.

– Nie wiem, jak to powiedzieć, ale kiedy przechodziłam obok domu, w którym mieszkała Paula... Bo, wie pan, mieszkam kawałek dalej. I właśnie szłam na przystanek tramwajowy, kiedy zobaczyłam, że ktoś stoi w krzakach obok domu. Po drugiej stronie podwórka. Jest tam plac zabaw.

– Znam to podwórko. Więc kogo pani widziała?

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Może niepotrzebnie dzwonię. Ale to był on. Robiło się już ciemno, ale stał tuż pod latarnią i kiedy przechodziłam, akurat odwrócił się w jej stronę.

No i go rozpoznałam.

– Kogo pani rozpoznała?

– Tego chłopaka, którego Paula poznała na siłowni.

– Jest pani pewna, że to był on?

– Tak.

– Co robił?

– Po prostu stał. Chyba spoglądał w górę, na budynek.

W okna.

– A potem się odwrócił, tak?

– Tak. Pewnie dlatego, że mnie usłyszał. Szłam chodnikiem za jego plecami.

– Widział panią?

– Tak, mógł mnie zobaczyć. Ale chyba mnie nie rozpoznał.

Trochę padało. Miałam na głowie kaptur. – Halders słyszał, jak

Nina głośno przelyka ślinę. – A potem odwrócił się

z powrotem.

– Kiedy to było? – zapytał Halders.

– Przedwczoraj. Około piątej.

– Dlaczego nie zadzwoniła pani od razu?

– Sama nie wiem. Najpierw byłam pewna, że to on, a potem...

sama nie wiem.

– Bała się pani?

– Tak.

– Czego?

– Że mnie widział. – Halders słyszał jej oddech. – I że on...

sama nie wiem co.

– Tym bardziej powinna była pani zadzwonić. Jeśli sądziła

pani, że on panią znajdzie.

– Tak, wiem.

– Widziała go pani potem?

– Neeee...

– Zawahała się pani.

– Bo... mam wrażenie, że ktoś mnie ostatnio śledzi.

– Śledzi?

– Tak.

– Widziała pani kogoś?

– Nie...

– Więc skąd ta myśl?

– Bo ja... nie wiem, jak to powiedzieć. Wydawało mi się, że coś

zauważyłam za oknem. Kogoś. Ktoś tam chyba stał. Ale nie

jestem pewna. No i raz zadzwonił telefon, ale kiedy odebrałam,

nikt się nie odezwał. A połączenie nie zostało przerwane. W tle

słyszałam sygnał karetki albo radiowozu. To samo było słycać

u mnie. Jakby te same dźwięki dochodziły do mnie

jednocześnie. To musiało być gdzieś blisko.

– Dlaczego wcześniej nic pani nie powiedziała?

Nina milczała.

– Jest pani tam?

– Czy to może oznaczać, że jestem w niebezpieczeństwie?

– Ma pani kogoś, kto mógłby z panią zostać? Kogoś znajomego albo kogoś z rodziny, do kogo mogłaby pani pojechać?

– Na pewno mogę po kogoś zadzwonić.

– To proszę to zrobić.

– Teraz?

– Tak.

Halders słyszał, że się boi. Nie chciał jej straszyć, potraktował jej obawy poważnie.

– Jest pani pewna, że nigdzie indziej nie widziała pani tego chłopaka, z którym widziała pani Paulę?

– Tak mi się wydaje.

– Gdzieś na mieście? Gdziekolwiek?

– Nie.

– A na siłowni?

– Już tam nie chodzę. Od kiedy to się stało. Od kiedy Paula zginęła.

– I co było dalej? Kiedy już go pani minęła?

– Obejrzałam się, kiedy byłam kawałek dalej. Ale już nic nie zobaczyłam, krzaki wszystko zasłaniały.

– A potem wsiadła pani do tramwaju?

– Tak.

– I nigdy wcześniej nie widziała go pani w tej okolicy?

W pobliżu domu Pauli?

– Nie.

– Dobrze. Dziękuję, że pani zadzwoniła.

– I... co teraz będzie?

– Porozmawiamy z nim.

Kiedy zadzwonili do drzwi Jonasa Sandlera, nikt nie otworzył.

Nikt też nie odebrał telefonu. Komórka też milczała. Halders spróbował jeszcze raz.

Na drzwiach wisiała ręcznie wypisana tabliczka: „Żadnych reklam”.

– Ani reklam, ani Jonasa – powiedział Halders.

– Najwidoczniej nie ma go w domu. Pewnie łązi po mieście – stwierdził Winter.

– Oczywiście, że tak. – Halders wetknął komórkę do kieszeni dżinsów. – Łazi i wystaje pod domami.

– To straszne, że niektórzy są bezrobotni – powiedział Winter, kolejny raz naciskając dzwonek. – Nie można ich złapać w miejscu pracy, kiedy nie ma ich w domu.

Halders się zaśmiał.

– Przemówienie w sam raz dla socjaldemokratów.

– Przekażemy im je przez komendanta głównego. – Winter rozejrzał się i rzucił okiem na klatkę schodową.

– On chyba też jest socjaldemokratą, nie?

– A ty nie lubisz socjaldemokratów?

– Może gdybym jakiegoś dobrze poznał, tobym go polubił.

Jego albo ją. Bo przecież są też socjaldemokratki. Pewnie są też fajni socjaldemokraci.

– Ja jestem socjaldemokratą – powiedział Winter i ruszył na dół.

– Żartujesz?

– Tak.

– To kim jesteś?

– Feministą.

– Żartujesz?

– Nie.

– Ja też jestem feministą.

– Wiem, Fredrik.

– Naprawdę, nie żartuję.

– Wiem. Maskowałeś się, ale mnie nie oszukasz.

– Ciebie chyba nikt nigdy nie oszuka, co?

Stanęli przed wejściem. Drzwi zamknęły się za nimi ze zgrzytem. Nie wiedzieć czemu ten odgłos sprawił, że Halders zaczął się zastanawiać, jak to jest być socjaldemokratą, który musi podjąć decyzję niekorzystną dla swojej kariery.

– Sandler – powiedział Winter. – On mógł mnie oszukać.

– Zaczekamy do wieczora – powiedział Ringmar.

Winter skinął głową.

– Może włóczy się po ulicach – ciągnął Ringmar. – No proszę, i mamy poszukiwanego.

– Do tej pory mógł uciec cholera wie gdzie – zauważył

Halders.

– Jeśli tak, to wiemy, że to on – stwierdził Ringmar.

– Niekoniecznie – powiedział Winter.

Anne Sandler nie odbierała telefonu. Pierwszy raz Winter zadzwonił do niej, kiedy stali przed domem jej syna. Potem próbował jeszcze wiele razy. Nie miała automatycznej sekretarki.

Winter przeszedł przez opustoszały plac zabaw, minął huśtawki. Nigdy nie widział tu dzieci. Jakby te czasy minęły raz na zawsze. Jedynymi dziećmi, które się tutaj huśtały i które znał, byli Jonas i dziewczynka. Ale nawet tego nie był pewien. Może Anne Sandler się pomyliła. Może ta rodzina nigdy tu nie mieszkała. Może nie w tej samej klatce. Jakim cudem Jonas miałby pamiętać dziewczynkę, którą znał jako dziecko i to zaledwie przez miesiąc? Dla niektórych dzieciństwo to odległa epoka. Są i tacy, którzy nie mieli dzieciństwa. Jako policjant spotkał wielu ludzi, którym brakowało dzieciństwa i którzy go desperacko szukali.

Czasami z tragicznym skutkiem.

Czy Jonas miał dzieciństwo? Nie wiedział. Spotkał go jako chłopca, ale to nic nie znaczyło. Czy Paula miała dzieciństwo? Tego też nie wiedział. Wczoraj przyszła mu do głowy myśl, że w tej sprawie chodzi właśnie o dzieciństwo albo o ten czas, na

który zazwyczaj przypada. O dzieciństwo Pauli. Albo kogoś innego. Wielu osób. Dzieciństwo Ellen. Albo Elisabeth, albo Maria. Albo Ellen – znów przyszło mu do głowy to imię. Nie uwolnię się od niej. Nie uwolnię. Czemu nie zostawi mnie w spokoju?

Huśtawki kołysały się na wietrze. Niewidzialne dzieci.

Zupełnie jakby wiatr gnał przez lata, jakby łączył ze sobą różne okresy. Nie było już podziału na wtedy i teraz. Wszystko się połączyło.

Nikt nie otworzył, kiedy zadzwonił do drzwi. Tego się spodziewał. A jednak przyjechał. Jakby go przyciągał magnes.

Może to te huśtawki? Albo zagajnik? Tak, zagajnik.

Wyszedł na dwór i podszedł do poprzetykanych krzewami drzew. Nic nie było widać. Wyglądało to jak pokój bez drzwi.

Znów zapadał zmrok. O tej porze roku zapada cały czas. Zmrok zapada, a potem utrzymuje się w powietrzu jak niesamowite, niewidoczne czarne światło.

Zrobił kilka kroków w stronę drzew. Coś usłyszał. Czy to pies ryje w ziemi? Brzmiało to tak, jakby ktoś kopał albo rozgrzebywał ziemię. Taki odgłos łatwo rozpoznać.

Odchylił gałęzie krzewów i wszedł kawałek dalej. Za dużym drzewem coś się poruszyło. Raz i drugi. Zobaczył rękę. Wciąż słyszał, jak ktoś kopie w ziemi. Potem usłyszał płacz.

Kiedy wyszedł zza drzewa, Jonas odwrócił się do niego.

Kłęczał. Rękoma rozgrzebywał ziemię. Musiało mu być ciężko.

Ziemia zaczęła już zamarzać przed zimą. Liście pokrywały ją grubą warstwą.

Sandler nie przestawał kopać.

– Jonas? – Winter zrobił kolejny krok.

Chłopak nie odpowiedział. Jego twarz w każdym calu przypominała tę, którą Winter pamiętał z ich pierwszego spotkania. Wtedy było to mocne przeżycie. Teraz Jonas płakał.

Oddychał ciężko, ale kopał bez wytchnienia. Na knykciach miał krew. Było jeszcze na tyle jasno, że Winter zauważył czerwone plamy. Wszystkie inne barwy zaczynały się zlewać z ziemią, uciekały przed nocą.

– Jonas!

Chłopak odwrócił się w jego stronę, ale nie przestał kopać w zmarzniętej ziemi. Winter zrobił jeszcze parę kroków i położył mu rękę na ramieniu. Było twarde jak kamień.

Chłopak wciąż poruszał rękoma, napinając mięśnie. Był jak maszyna.

– Jonas, uspokój się.

Winter czuł, że powoli zwalnia, też zupełnie jak maszyna. Ale nie przestawał płakać.

– Jonas.

Chłopak spojrzał na niego. W jego oczach malowało się przerażenie. Winter wiedział, że to nie jego Jonas się boi. Że

nie chodzi o to, że ktoś go nakrył. Wydawał się ponad to. Szukał czegoś. Kopał w poszukiwaniu swojego dzieciństwa, jakiegoś przeżycia z tamtych czasów, które nigdy nie dało mu spokoju.

I nie była to sama ziemia. Chodziło o coś pod nią.

– Paula – powiedział Jonas. – Ona tutaj jest.

UNIÓSŁ RĘCE, jakby chciał w ten sposób coś udowodnić. Dla Wintera nie był to żaden dowód. Jeszcze nie. Widział, że chłopak jest poruszony. Wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki.

– Jonas. – Winter wyciągnął do niego rękę.

– Paula! Widziałem ją.

– Gdzie?

– Tutaj! – Wskazał na ziemię. – Była tutaj!

– Kiedy to było?

– Ona tu była! – powtórzył chłopak. – Pan też ją widział! Pan też tutaj był.

– Jonas, to było dawno temu.

– Nie!

Był coraz bardziej poruszony. W każdej chwili mógł stracić przytomność albo wpaść w otępienie. Może już wpadł. Coś musiało się stać w ciągu ostatnich dni, a może ostatnich godzin. Chłopak przebudził się z letargu. Właśnie to słowo przyszło Winterowi na myśl. Nagle przed oczami stanął mu Christer Børge z leksykonem w dłoni. Stał w tamtym okropnym pokoju, w którym czas się zatrzymał. Letarg. Bierność, bezwład. Sam to kiedyś sprawdził. Teraz w zachowaniu Jonasa nie było już śladu bierności. Może przeżywał właśnie jakiś koszmarny sen, ale na pewno nie był to bezwład.

Ale czas zatrzymał się i tutaj – w lasku, który pamiętał z dzieciństwa.

Wrócił chłopiec, którym wtedy był.

Paula!

Winter przyklęknął. Próbował położyć mu rękę na ramieniu, ale Jonas go odepchnął. Przestał kopać. Wydrążył w ziemi płytki dół. Wyglądał jak miska wsadzona między liście. Ręce miał pokaleczone. Zadrapania układały się we wzór. Zrobiło się ciemno. Skaleczenia wydawały się czarne. Winter przypomniał sobie czarne kamienie, które widział tu osiemnaście lat temu.

Teraz ich nie było. Może Jonas je gdzieś przerzucił. Pomyślał o tamtej ręce, którą widział tylko Jonas. Jej też nie było. Nie było ręki, o której chłopiec opowiadał z szeroko otwartymi, pełnymi strachu oczami. Zniknęła, ale może już na zawsze utkwiała mu w głowie. Pauli też nie było. Ale teraz Jonas był równie pewny swego, jak wtedy. Co wiedział? Co takiego zrobił? Co ktoś zrobił jemu? Co kryła ta czarna ziemia? Jonas zaczął cicho płakać. Nagle Winter usłyszał w oddali szum samochodów przemierzających wyspę. Trzecią co do wielkości w kraju. Teraz sprawiała wrażenie małej, jakby był nią tylko ten lasek. Nad nimi zaskrzeczał ptak. Chłopak się wzdrygnął.

Spojrzał na Wintera, jakby dopiero teraz go rozpoznał. Jakby właśnie się obudził z koszmarne snu. Popatrzył na ziemię.

Chyba była częścią tego kosmaru, teraz już odległego. To nie

była gra. Nie powtórzył już jej imienia. Zrobił to Winter.

– Dziewczynka, z którą się wtedy bawiłeś, miała na imię

Paula, tak?

Kiedy Jonas Sandler usiadł w pokoju Wintera, był już spokojny. Teraz to miejsce wydawało się lepsze od zimnego pokoju przesłuchań, który mógł mu przypominać o koszmarze.

Winter bał się, że Jonas znów do niego wróci. A wtedy już do niego nie dotrą.

Lampa nad biurkiem rzucała ciepłe światło. Jonas chyba próbował się w nim ogrzać. Winter sam czuł, że dopiero zaczyna tajać. W lasku zmarzył na kość. Przyjechali prosto na komendę. Sandler nie odezwał się przez całą drogę. Teraz jego dłonie kryły się pod blatem biurka. Trzymał je na kolanach.

Miał na nich opatrunek z gazy. Przypominał białe rękawiczki.

– Jonas, niech mi pan opowie o Pauli – poprosił Winter.

Chłopak chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić ani słowa. Z jego ust dochodził tylko cichy szum. Spróbował jeszcze raz.

– Nie... nie ma o czym opowiadać.

– Bawiliście się razem.

Jonas nieznacznie przytaknął.

– Bawiliście się jako dzieci?

– Tak.

– Jest pan pewien?

– Tak.

– Skąd ta pewność?

– Nie rozumiem. – Jonas spojrział na Wintera. Pochylał się do przodu, głowę trzymał blisko blatu.

– Dlaczego teraz jest pan pewien, skoro wcześniej twierdził pan, że jej pan nie znał.

– Znałem.

– Dlaczego nie powiedział nam pan wcześniej?

Chłopak milczał.

Winter powtórzył pytanie.

– Nie wiem.

– Wie pan.

Chłopak znów popatrzył na Wintera.

– Boi się pan czegoś – ciągnął Winter. – Czego?

– Niczego.

– Kogo się pan boi?

Nie odpowiedział.

– Czy ktoś panu groził?

– Nie.

– Kto panu groził?

– Nikt.

– Paula panu groziła?

– C... co?

Uniósł głowę.

- Bał się pan jej?
- Nie. Dlaczego miałbym się bać?
- Przestraszył się pan, kiedy ją pan znów spotkał? Już jako dorosłą kobietę? Coś o panu wiedziała?
- Nie. Co miałyby wiedzieć?
- Dlaczego pan tam pojechał? Do tego lasu?
- Ja... sam nie wiem. Po prostu... Nie wiem, czemu to zrobiłem. – Spojrzał Winterowi w oczy. – Chyba dlatego, że...
że właśnie tam się bawiliśmy jako dzieci.
- Rozmawialiście o tym, kiedy się spotkaliście?
- Tak, raz.
- I co mówiliście?
- Nic szczególnego. Po prostu wspominaliśmy.
- Jak się spotkaliście?
- Przecież już wiecie. Na siłowni.
- I jak wyglądało to pierwsze spotkanie?
- Jak to jak wyglądało?
- Rozpoznał ją pan?
- Tak.
- Tak po prostu?
- Tak... Wyglądała tak samo.
- Jak to tak samo?
- Tak jak wtedy.
- Po osiemnastu latach?

- Aż tyle minęło od tamtego czasu?
- A ona pana rozpoznała?
- Nie... Nie od razu.
- A kiedy?
- Nie rozumiem.
- Rozpoznała pana w ogóle?
- Tak.
- Była tego równie pewna, jak pan?
- Tak.
- Gdzie się spotkaliście następnym razem?
- Co?
- Gdzie się spotkaliście następnym razem? – powtórzył

Winter.

- W tym samym miejscu. Na siłowni.
- Chodzi mi o spotkanie poza siłownią.
- Ale my się nigdy nie spotykaliśmy gdzie indziej.
- Nie wierzę.
- Naprawdę. – Sandler się wyprostował. Jego organizm najwyraźniej długo wracał do siebie. – Tak było. To prawda.
- Nigdy nie poszliście na kawę? Gdzieś w mieście? Albo do pubu?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie chciała.

– A pytał pan?

– Tak.

– Zaprosił ją pan do domu?

– Tak.

– Co powiedziała?

– Odmówiła.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Pytał pan?

– O co?

– Dlaczego odmówiła?

– Nie, ja... Ona nie chciała. Nie mogłem jej zadreć.

– Ale wiedział pan, gdzie mieszka?

– Tak...

– Był pan tam?

– Nie rozumiem. Powiedziałem przecież, że mnie nie zaprosiła.

– Widziano pana przed jej domem.

Sandler milczał.

– Był pan tam? – zapytał Winter jeszcze raz.

– Tak.

– Kiedy?

– Ostatnio... Kilka razy.

– I co pan robił?

– Nic. Po prostu stałem.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Popatrzył na Wintera. – Na to też nie umiem

odpowiedzieć. – Spojrzał w okno. – Brakowało mi jej.

Spotkaliśmy się po latach, a potem odeszła. – Znow spojrzał na

Wintera. – Odeszła.

– Dlaczego odeszła?

– Sam tego nie rozumiem.

– A zastanawiał się pan nad tym?

– Tak... myślałem... ale nie wiem.

– Zamordowano ją. Nie odeszła sama. Kto mógł ją zabić?

– Nie wiem. – Dolna warga zaczęła mu drgać. Ten sam spazm

Winter widział u niego wcześniej, w lasku. – Mój Boże, nie

wiem.

– Zna pan jej rodziców?

– Jej rodziców? Nie.

– Spotkał pan przecież jej mamę.

– Nie.

– Nie spotkał pan jej mamy? Mieszkały w tym samym bloku.

– Paula mówiła, że to nie jest jej mama. – Popatrzył

Winterowi prosto w oczy. – Nie jej prawdziwa mama.

– Więc twierdzi, że Paula mieszkała tam jako dziecko –

powiedział Ringmar. – A jeśli tak, to co? Może to nie ma

większego znaczenia.

– Nie? – Winter chodził po pokoju, w tę i z powrotem. Rzadko mu się to zdarzało. – A może ma ogromne znaczenie.

Ringmar siedział przy biurku, poza kręgiem światła lampy.

Kwadrans wcześniej siedział tam Sandler. Zabrali go do gabinetu lekarskiego, piętro niżej. Znow zaczął się zachowywać jak dziecko: trząsł się, usta mu posiniały, oczy nabrały niezdrowego blasku. Winter zadzwonił po lekarza. Potem miał się nim zająć psycholog. A potem – sami jeszcze nie wiedzieli.

Może prokurator. A może pastor.

– Dla niego to ma ogromne znaczenie. Wokół tego kręci się jego życie.

– Może jest szalony.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– To przez silną presję – powiedział Winter. – Jest pod silną presją. To nie szaleństwo.

– Ale może do niego doprowadzić – odparł Ringmar.

Winter nie odpowiedział.

– Jeśli ją zamordował, to się dowiemy. Może jeszcze dzisiaj.

Winter przystanął na środku pokoju i wyjrzał przez okno.

Dzień skończył się już dawno temu.

– A Elisabeth Ney? Jej matkę? Ją też zamordował?

– Twierdzi, że nie była jej matką.

– Można mu wierzyć?

– Gdyby tak nie było, po co by to mówił? Po co Paula by mu

o tym mówiła?

– O ile powiedziała.

– Hm...

– Może to zmyśliła – ciągnął Ringmar. – Dzieci czasem tak robią.

– Dorośli też.

– Na przykład Jonas.

– Hm...

– Może to wymyślił – powiedział Ringmar. – Kiedy dorastał, nie znał żadnej Pauli. Wymyślił to sobie potem, kiedy już ją spotkał. Albo nie – kiedy zginęła. Zaczął o niej fantazjować.

Winter milczał. Przed oczami miał twarz Jonasa jako chłopca.

Jonasa i jego psa. Jak on się nazywał? Zack. To imię zapamiętał. Zack. Fajnie brzmiało.

– Chyba nie jest do końca pewien, co widzi naprawdę, a czego nie – dodał Ringmar.

– No nie wiem. To nie jest takie proste.

– A kto powiedział, że jest proste?

– Coś widział w tym lasku.

– Dwadzieścia lat temu, tak?

– Osiemnaście.

– Masz na myśli tę rękę?

– Nie, chodzi mi o to, co zobaczył dzisiaj.

– Mówił, że Paula tam była?

– Tak. Ale czy to dlatego tam poszedł? Żeby znaleźć

Paulę?

– Może szukał tam samego siebie – powiedział Ringmar. –

Mówię poważnie.

– Chodzi o tę rękę, którą widział jako dziecko?

– Na pewno nie o rękę Pauli. Udało nam się to ukryć przed mediami.

– A co to może znaczyć?

– Że wiedzą o tym nieliczni. I tylko jedna osoba spoza naszego wydziału.

Zadzwoniła komórka Wintera.

Odebrał. Przytaknął kilka razy, rozłączył się i wetknął telefon z powrotem do kieszeni.

– Jedziemy – powiedział i sięgnął po płaszcz.

Do lasku wysłano radiowóz. Winter poprosił o to telefonicznie. Zrobił to, jeszcze kiedy stali tam w ciemnościach.

Zaczekał, aż przyjadą, i dopiero wtedy ruszył z Jonasem na komendę.

Winter i Ringmar dojechali na miejsce chwilę po technikach.

Jeden z nich był prawdziwym weteranem.

– Nie wierzę – powiedział, kiedy Winter wysiadł z samochodu i podszedł do niego. – To samo podwórko i lasek.

– Masz dobrą pamięć, Lars.

- Czasami to prawdziwe brzemie.
- Historia zawsze się powtarza.
- Jeśli tak, to tym razem też nic nie znajdziemy.
- Wtedy będę wam winny przeprosiny.
- Ostatnim razem nie przeprosiłeś.
- Zaczynamy? – Winter ruszył w stronę drzew i krzaków.

Niedługo będę się czuł, jakbym sam się tutaj wychował, pomyślał. Huśtawki uznam za swoje. Jedyne, czego brakuje, to karuzela.

Stała na placu, kiedy był tam po raz pierwszy. Usunięto ją, bo była niebezpieczna. Dzieci mogły sobie coś zrobić. Mógłby się któremuś wkręcić szalik. Albo jakieś dziecko mogłoby się przewrócić i wylądować pod karuzelą.

Huśtawki kołysały się na wietrze. Najwidoczniej tutaj zawsze wieje w tę samą stronę – na północny zachód. Wiatr wdziera się między bloki wznoszące się nad placem i rzucające cień na lasek.

Weszli między drzewa.

Dwóch techników zaczęło montować reflektor. Nie mieli w planach zbyt dużo. Chcieli się rozejrzeć, rozstawić namiot i wrócić następnego dnia rano. Zawsze tak robili. Praca po ciemku mogła przynieść więcej szkody niż pożytku. Kopanie w ziemi to delikatna robota, jak archeologia. Czasami Torsten Öberg i jego technicy współpracowali na miejscu znalezienia

zwłok z archeologami z uniwersytetu. W ich pracy chodziło o to

samo: o dokopanie się do przeszłości. I śmierci. Czasami

Winter stał przy wykopalisku i czuł się częścią ekipy. Był

przecież archeologiem zbrodni. Kopał na swój własny sposób.

Lars Östensson wypróbował jeden z reflektorów i drzewa

rozbłysły jaskrawym światłem, obnażone bardziej niż

kiedykolwiek. Czy właśnie tak to wygląda naprawdę? –

pomyślał Winter.

– O co chodzi? – zapytał Östensson.

Winter wskazał na zagłębienie w liściach. W tym świetle

wyglądało na większe niż wcześniej. Jonas musiał tu spędzić

więcej czasu, niż mu się wydawało. Albo był silniejszy, niż

wyglądał.

– To czego szukamy?

– Nie wiem – odparł Winter.

– Poprzednio chodziło o rękę, którą widział jakiś dzieciak.

– Pamiętasz to?

– A jak mógłbym zapomnieć? Po zabójstwie tej dziewczyny?

Zapomniałem, ale to morderstwo mi o tym przypomniało.

Gipsowa ręka trafiła właśnie do niego. Nigdy jej nie zapomni.

– Szukamy czegoś dużego czy małego? – zapytał.

Winter wzruszył ramionami. Ten gest miał też oznaczać:

szukajcie, znajdźcie. Może tu być wszystko albo nic.

– Nie mogę czekać do jutra – powiedział.

– Teraz więcej będzie szkody niż pożytku. Przecież wiesz.

– Sprowadźmy psa.

Komenda policji w Göteborgu dysponowała jednym wyszkolonym psem. Nazywali go psem od zwłok. Niezbyt miły przydomek. Nazywał się Roy. Był wyszkolony i potrafił wyczuć molekuły zapachu zwłok.

Roy stał na placu zabaw. Spomiędzy ostrych zębów wystawał długi język. W oczach odbijało się światło reflektorów. A może światło księżyca. Winter pomyślał, że świeci naprawdę jasno, jaśniej, niż kiedykolwiek widział.

Reflektory rozświetlały lasek i ciemną ściółkę. W ich świetle ziemia wydawała się jeszcze czarniejsza, jakby się zmieniała w ziejący krater. Winter przypomniał sobie, jak wtedy stał tu z latarką. Obok stał chłopiec. Całkiem blady. I głośno sapiący pies. Potem zaczął szczekać. Jego ujadanie przecięło powietrze jeszcze gwałtowniej niż teraz światło reflektorów.

Opiekun Roya nazywał się Bergurson. Był Islandczykiem.

Rozmawiali ze sobą w języku, który przypominał jakąś prastarą formę komunikacji.

Ruszyli w stronę lasu. Roy wyglądał jak wilk. Ze wszystkich ust leciała para.

Bergurson i Roy natychmiast zniknęli między drzewami.

Winter poszedł za nimi.

Las nie wydawał mu się już tak jasno oświetlony, jakby

reflektory przesłoniła chmura. Popatrzył na psa. Przysłuchiwał mu się. Pierwszy raz miał okazję go obserwować.

Długo to wszystko trwało.

Winter przymknął oczy. Nie był zmęczony. Miał wrażenie, że już nigdy się nie zmęczy.

– Coś tu jest zakopane – powiedział Bergurson.

Przekopali się przez wierzchnią warstwę liści. Tworzyły cienką skorupę. Zaczęło świtać, pojawiła się delikatna poświata.

Czterech techników pracowało pod dowództwem Östenssona.

Winter im towarzyszył. Technicy podzielili plac na kwadraty.

Mieli je po kolei przekopać. Łopatami, które wyglądały jak zwykłe łopaty ogrodowe. Potem mieli przesiać całą ziemię, dosłownie każde ziarenko, i w ten sposób powoli zbliżyć się do tego, co wywęszył Roy. Nie było wiadomo, ile im to zajmie.

– Mam wrażenie, że znam tę ziemię – powiedział Östensson, odsłaniając kolejną warstwę. Tuż obok pracował Arnberg. Był młodszy od Östenssona. Wstał i przestawił reflektor. Poranne światło wciąż jeszcze mieszało się z ciemnościami. – Jak

głęboko musimy kopać? – wymamrotał Östensson pod nosem.

Winter wyszedł z lasku. Przeciął plac zabaw i wszedł do klatki.

Zadzwoił do drzwi Anne Sandler. Wiedział, że robi to na

darmo. W oknach było ciemno. Najwidoczniej wciąż była na

komendzie, u syna. Ale i tak nacisnął dzwonek. Nikt nie

otworzył. Sąsiedzi też nie zareagowali.

Zszedł po schodach. Kiedy już stał na podwórku, zadzwonił telefon.

– Tak?

– Jakieś sto lat temu Mario Ney pracował w hotelu Odin – powiedział Halders. Głos miał metaliczny i niewyraźny, jakby połączenie było równie połowiczne, jak poranek.

– Potwierdził to?

– Skąd, do cholery. Jeszcze nic nie wie.

– Gdzie jest?

– Nie wiem. Mam zadzwonić do Moliny i zapytać, co on na to?

Dotychczas prokurator nie widział powodu, żeby pozbawiać Neya wolności. Winter i Halders też właściwie nie mieli powodów. Ale musieli go wcześniej zapytać. Taka była procedura.

– Kto to potwierdził? – zapytał Winter.

– Przełożona sprzątaczek. Rozpoznała go.

– Po nazwisku?

– Nie, ze zdjęcia. To Bergenhem z nią rozmawiał.

Pochwaliłem go.

– Rozpoznała zdjęcie sprzed stu lat?

– Ney dobrze się trzyma.

– I co robił w tym hotelu?

– Był fizycznym od wszystkiego. Tak się wyraziła.

Winter szedł w stronę lasu i jednocześnie rozmawiał

z Haldersem.

– Dobra, zajmiemy się tym, kiedy wrócę – powiedział.

– A jak wam idzie? – zapytał Halders.

– Jak dotąd nic nie mamy.

– Chłopak nie czuje się najlepiej. Jest u niego matka.

– Wiem, bo tutaj jej nie ma.

– Głęboko kopiecie?

Winter nie odpowiedział. Ringmar właśnie wyszedł z lasu

i kiwnął na niego. Z jego oczu wyczytał, że coś się stało.

W GÓRZE ZASKRZECZAŁ PTAK. Ten sam odgłos co zawsze.

Winter podniósł wzrok i zobaczył go, wysoko na niebie.

Odcinał się czarną plamą na szarym tle. Pomyślał, że chyba

krąży nad laskiem od osiemnastu lat.

Ringmar czekał na skraju. Jego twarz wciąż miała ten

szczególny wyraz. Winter wiedział, co to oznacza. A Ringmar

wiedział, że Winter wie.

Winter szedł za nim bez słowa. Jakaś gałązka przyczepiła się

Ringmarowi do włosów. Wyglądała prawie jak biżuteria.

Kiedy znaleźli się na miejscu, Östensson spojrzał na nich

z wykopu. Winter nie dostrzegł w dole nic nowego.

– Czekaliśmy na ciebie – powiedział Östensson, znów

spoglądając w dół.

Winter pokiwał głową.

Patolożka Pia E:son Fröberg pomachała mu na powitanie.

Stała w gotowości nad brzegiem dołu.

– Coś tu jest – powiedział Östensson.

Wyciągnął się do przodu i ręką zakreślił koło obejmujące część

wykopaliska. Znów właśnie to słowo przyszło Winterowi na

myśl. Wykopalisko. Coś tu było, a nie była to bynajmniej

poświęcona ziemia.

– Tutaj widzę rękę. – Dłoń Östenssona zawisła dziesięć

centymetrów nad dnem.

– Zobaczmy, co to takiego – powiedział Winter. Był spokojny.

Gdzieś w środku czuł chłód, ale nie dlatego, że zmarzł. To oznaczało potwierdzenie. Wiedział, cały czas wiedział. Tak jak chłopiec, Jonas. Ale chodziło o coś jeszcze, nie tylko o ten las i dół w ziemi.

Osiemnaście lat temu nic tu nie było. To, co widział chłopiec, było czymś innym. Nie wiedział czym, może już nigdy się nie dowiedzą.

Technicy zaczęli ostrożnie zeskrobywać warstwy ziemi, kwadrat po kwadracie.

Östensson nie musiał kopać głęboko.

Z ziemi wystawała ręka.

– Trochę to potrwa.

Winter skinął głową. Nagle ogarnął go niepokój. Czuł, że albo sam zacznie kopać, albo musi odejść.

Wyszedł z lasu i zapalił corpa. Mgła, a wraz z nią wilgoć zaczynały się unosić w górę. Wyglądało to tak, jakby drzewa stały w chmurze. Winter się zaciągnął. Potem zapatrzył się w dym: dołączał do chmury. Nagle dobiegły go głosy. Głośne i wyraźne. Po kilku sekundach zobaczył dwoje dzieci. Wbiegły na plac zabaw i wskoczyły na huśtawki. Zaczęły się bujać, mocno wymachiwały nogami.

Ładny obrazek. To pierwsze dzieci, jakie tu widział. W jakiś sposób bardzo go to ucieszyło. Czuł, że za chwilę zacznie się

śmiać jak szalony. W oczach miał łzy. Może to od dymu. Wyjął cygaretkę z ust i przetarł oczy. Może dzieci patrzyły na niego, nie widział ich wyraźnie. Przez chwilę miał przed oczami mgłę. Jakby miał się rozpłakać.

W końcu się opanował.

Dzieci wciąż były na placu. A w górze wciąż latał ten sam ptak.

Zgasił papierosa i wrócił do lasku.

Teraz było widać większy kawałek dłoni. Technicy pracowali szybciej.

Zauważył przedramię.

Potem ramię.

– To kobieta – powiedział Östensson niskim, spokojnym głosem. – Zaraz odsłonimy głowę.

Uśmiechała się lekko. Jej ciało litościwie okrywały liście.

Jesień zrobiła swoje, ale Winter nie umiał ocenić, jak długo tak leży. Teraz nikt nie mógł tego określić.

Pokazała się głowa: włosy, policzek, kawałek brody. Profil.

Straszny widok.

– Nie może tu leżeć od dawna – powiedział Östensson głosem, który uspokoił wszystkich stojących i klęczących nad grobem.

Choć właściwie to nie był grób. Absolutnie nie. Tak mówili, ale to był tylko żargon.

Winter ukląkł, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy. Włosy

zasłaniały czoło i część lewego policzka. W świetle reflektora

włosy wydawały się białe, ale pewnie, kiedy żyła, były blond.

W przeciwieństwie do Östenssona i kolegów z wydziału technicznego nie był ekspertem, ale umiał ocenić, od jak dawna mniej więcej człowiek jest martwy. Miał już doświadczenie.

Kobieta nie obróciła się jeszcze w proch – wiadomo, z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Pochylił się niżej. Zbliżył twarz do jej twarzy. Jej oczy nie były ani zamknięte, ani otwarte.

Dolną część twarzy zasłaniał cień rzucony przez drzewo albo krzew. Mimo to widział jej usta, brodę i szyję. Nagle przeszył go chłód, jakby wiatr od morza wdarł się między drzewa. W głowie kotłowało mu się sto myśli jednocześnie. Jedna z nich brzmiała: to kolejne potwierdzenie.

– To Ellen Børge – oznajmił.

A więc odnalazł ją. Jak ją rozpoznał? To ta twarz. Twarz Ellen.

Minęły niemal dwa dziesięciolecia, odkąd zaginęła i odkąd widział jej zdjęcia po raz pierwszy. Utkwiły mu w pamięci.

Przez te lata wracał do nich kilka razy. A czas i ziemia jakby zakonserwowały jej twarz. Śmierć wygładziła rysy, Ellen wyglądała młodziej. Często tak jest. Śmierć daje ten sam efekt co lifting. Nie raz słyszał, jak technicy z tego żartują. Ale teraz nie było mu do śmiechu. Oto stał przed Ellen. Już nie leżała ukryta w ziemi. Szpitalne światło miało inny odcień, było bardziej niebieskie, chłodniejsze. Wciąż wyglądała młodo.

W tym świetle widać było każdy szczegół. Nie miała

środkowego palca u prawej stopy. Nie wiedział, kiedy go straciła. Miała wypadek, tak powiedział jej mąż. Niedawno Winter przeglądał jego zeznanie. Jeszcze z nim nie rozmawiał. Ale już niedługo porozmawia. Usłyszał, że ktoś wchodzi. Odwrócił się. Halders. Podeszedł do stołu i stanął obok niego. Spojrzał na ciało.

– Jeszcze raz przejrzałem nagranie – powiedział, nie spuszczać oczu z Ellen. Patrzył tylko na jej twarz.

– I?

– Kobieta ze stacji wyglądała na trochę starszą – ciągnął

Halders. – Ale ciemne okulary nie ukryją wszystkiego. –

Ruchem głowy wskazał na jej twarz. – Nie, jeśli mamy takie porównanie.

Winter przytaknął.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego.

Winter milczał. Opuścił powieki. Przed oczami miał jej zdjęcie.

– Nigdy sobie nie odpuściłeś tej sprawy – powiedział Halders.

– I miałeś rację.

– Odpuściłem.

– W takim razie ta sprawa nie odpuściła tobie. Albo nam.

– Odpuściłem za wcześnie.

– Erik...

– Nie widziałem wszystkiego tak jak powinienem. Nie

słuchałem, co ludzie mówili.

– Daj spokój, Eri...

– Sam to powiedziałaś – przerwał mu Winter. – W tej sprawie jest coś, czego nie widzimy. Ale to tutaj jest. – Oderwał wzrok od twarzy Ellen. – Albo było.

– Co masz na myśli?

Winter spojrzał na zegarek. Wciąż było przed północą.

– Jadę do Börgego – powiedział.

– Teraz?

Winter nie odpowiedział.

– A nie powinieneś najpierw zadzwonić?

– Dla niego to chyba nie ma znaczenia. Myślisz, że nie chce się dowiedzieć, co się stało z jego żoną?

Halders znów spojrzał na Ellen.

– Może wie.

Winter pokiwał głową.

– To dlatego chcesz jechać?

– Jeszcze nie wiem.

Winter ruszył do drzwi. Zostawił za sobą ten przeklęty stalowy stół. Stał przy nim nie raz. To było najgorsze w tej robocie.

Gorsze nawet od zdjęć.

– A co robimy z Neyem? – zapytał Halders.

– Gdzie on jest?

– W domu. – Halders też odsunął się od stołu. – Jeszcze go

nie odwiedziliśmy, ale ci z komisariatu na Frölunda dyskretnie go obserwują. W oknach pali się światło. Widzieli, jak chodzi po mieszkaniu. Gadałem z nimi dziesięć minut temu.

– To musi poczekać – zdecydował Winter. – Najpierw pojedę do Börgego.

– Jechać z tobą?

– A nie powinieneś wrócić do dzieci?

– A ty?

– Od Börgego do mnie jest rzut beretem.

– No tak, to wszystko zmienia.

Winter nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Dobra, jak chcesz, to oczywiście możesz ze mną jechać.

– Ja nie chciałbym tam jechać sam.

Wyszli na korytarz. Światło było identyczne jak w sali. Chyba po to, żeby przypadkiem nikt nie zapomniał zbyt szybko, jak wygląda śmierć.

– Wszystko zaczyna się składać w całość – powiedział

Halders. – Trzeba uważać.

Zanim wyruszyli, do Wintera ktoś zadzwonił.

– Cześć, tu Pia.

– Tak?

– Ma mocno pokaleczone nadgarstki i kostki u nóg –

powiedziała Pia E:son Fröberg.

– Co to oznacza?

– Że długo była związana. I to mocno.

– Boże.

– Ten sznur był cieńszy.

Winter milczał.

– I była strasznie wygłodzona.

Jechali przez noc. Na spowitych mgłą ulicach było pusto.

Latarnie były bezradne. Zupełnie jakby morze przejęło

panowanie nad miastem. Nieliczne samochody znikwały we mgle

i wyłaniały się z niej jak statki. Winter stanął na czerwonym,

przepuszczając trzech mężczyzn w średnim wieku. Byli

elegancko ubrani. Płaszcze mieli rozpięte, jednemu z nich

koszula wyszła na wierzch. Nagle stanęli na środku przejścia,

odwrócili się do Wintera i Haldersa i zaczęli wykonywać

obsceniczne gesty. Śmiali się. Światło się zmieniło, ale oni się

nie ruszyli.

– Może byłoby inaczej, gdybyśmy jechali oznakowanym

radiowozem – powiedział Halders.

Winter powoli ruszył w ich stronę. Poza jego mercedesem na

ulicy nie było ani jednego samochodu.

– Przejedź ich, do cholery – powiedział Halders. – Obiecuję,

że zamknę oczy. Nic nie zobaczę.

– Innym razem.

Winter zjechał gwałtownie na bok, przechylił samochód

i przejechał po przejściu dwoma kołami.

Halders się odwrócił.

– Posrali się ze strachu – powiedział. Potem spojrział w bok,
na fasady budynków.

– Lilly zaczęła chodzić.

– Teraz?

– Nie może przestać. – Winter skrzywił się. – Na razie
to właśnie to sprawia jej największą frajdę.

Zaparkował na chodniku przed domem Börgego.

Zadzwoiła jego komórka.

– Tak?

– Cześć, Winter. Tu Östensson.

– O co chodzi?

– Postanowiliśmy pokopać w tym dole głębiej.

– I?

– Pół metra niżej znaleźliśmy szkielet psa.

Winter milczał.

– Jesteś tam, Winter?

– Tak.

– Dość mały. Wygląda na to, że leży tam od wielu lat.

– Chyba wiem, co to za pies.

– A skąd możesz wiedzieć?

– Potem ci powiem, Lars. – Winter się rozłączył.

– Co jest? – zapytał Halders.

Winter tylko pokręcił głową.

Halders spojrzał w górę, na budynek.

– Na którym piętrze mieszka?

– Na trzecim – odparł Winter. Wyłączył silnik i otworzył drzwi.

– W kilku oknach na trzecim się świeci. Tuż nad wejściem.

– To u niego.

Winter wysiadł.

Halders wysiadł z drugiej strony.

– Może na nas czeka – powiedział Winter.

Halders znów spojrzał na fasadę domu. Pokrywały ją wzory i sztukaterie.

– Ktoś stoi w oknie – powiedział.

W drodze na przystanek tramwajowy nikogo nie spotkała.

Szła szybko. Pomyślała, że rzadko kiedy ktoś tędy chodzi, zwłaszcza po zmroku. Zrobiło się ciemno szybciej, niż się spodziewała. Tak to jest w listopadzie. Wszystko dzieje się szybciej, niż się człowiek spodziewa. Nagle się okazuje, że to już święta. Ale wtedy wszędzie jest jaśniej. Nad tym przejściem też zawieszano sznur lampek. Ciągnęły się bez końca, niczym gwiazdna droga.

Odebrała, ale nikt się nie odezwał. Nie słyszała też oddechu.

Ale długo nie czekała.

Wiedziała, że musi wyjść. Teraz to było najważniejsze.

NA KLATCE SCHODOWEJ CIENIE przesuwały się w tę i z powrotem. Słabe światło dochodziło nie wiadomo skąd, jakby gdzieś w oddali świeciło słońce. Wchodzili po schodach pokrytych wydeptanym kamieniem. Winter pomyślał, że to zupełnie jak u niego. Po tych stopniach też ludzie chodzą od stu lat.

– Wejdę sam – powiedział Winter.

Halders skinął głową.

– Zaczekam piętro niżej.

Winter zadzwonił do drzwi. Chyba je pamiętał. Masywne drewno i szprosy. Dźwięk dzwonka rozniósł się echem po mieszkaniu, stłumiony przez drzwi. Dzwonek też był stary, stuletni. Winter czekał. Zadzwonił jeszcze raz. Przez dzwonek przebił się odgłos kroków. Spojrzał na zegarek. Było po północy.

– Kto tam?

Głos był słaby, z trudem przedzierał się przez drzwi. Winter go nie rozpoznał.

– Erik Winter – odpowiedział. – Komisarz Erik Winter. Już kiedyś się spotkaliśmy.

– Czego pan chce?

Tym razem głos mówił wyraźniej, jakby się przybliżył. Za sobą Winter usłyszał Haldersa. Spojrzał w dół i zobaczył, że Halders

unosi brwi. Odwrócił się z powrotem w stronę drzwi.

– Bardzo proszę, niech pan otworzy, panie Börge.

Usłyszał chrobot zasuw, a potem kliknięcie. Kiedy drzwi się otworzyły, coś mu zabręczało na wysokości oczu. Zobaczył łańcuch. Nie pamiętał, czy był tu, kiedy ostatnio odwiedzał Börgego. Minęło przecież piętnaście lat. Twarz za drzwiami ginęła w cieniu. Nie dało się jej rozpoznać.

– Winter, to pan?

– Przepraszam, że tak późno. Mogę wejść?

– O co chodzi? Czego pan chce?

– Mogę wejść? – powtórzył Winter.

Drzwi otworzyły się z takim impetem, że Winter musiał zrobić krok w tył. Słabe światło z klatki schodowej oświetliło stojącą w progu postać. Winter rozpoznał Christera Börgego. Ta sama twarz co piętnaście lat temu. W kościele widział tylko jego profil, ale Börge się nie zmienił. Choć nie był pewien, czy rozpoznałby go na ulicy albo w innych okolicznościach. Ale teraz wiedział. Czy Ellen też by rozpoznał? Kiedy jeszcze żyła? To była jedna z niewielu rzeczy, nad którymi nie musiał się już zastanawiać.

– Dobrze, proszę wejść – powiedział Börge.

Winter wszedł do przedpokoju. Usłyszał muzykę. Jakiś klasyczny utwór, puszczonej dosyć cicho. Nie przypominał sobie, żeby Börge kiedykolwiek słuchał muzyki.

Schylił się, żeby zdjąć buty.

– Nie musi pan – powiedział Börge. Stał w głębi przedpokoju.

Był długi. Wyglądał jak sala, której ściany za bardzo się do siebie zbliżyły.

Na stojaku nie było butów.

Obie półki były puste.

W całym przedpokoju nie było ani jednej pary butów.

Nagle Winter przypomniał sobie te trzy pary, które widział tu ostatnio. Były identyczne. Przynajmniej dwie. Boże. Podniósł wzrok i zobaczył plecy Börgego. Wchodził właśnie do salonu.

Buty. Piętnaście lat temu widział tu buty. Te buty. Tej marki.

Spokojnie, Erik. Ale teraz stojak jest pusty. Czy Börge

w listopadzie chodzi na bosaka? Czy trzyma buty w szafie?

Może się mylę? Tak. Nie. Tak. Ecco free – to była bardzo popularna marka. Gdzie się podziały jego buty?

Nagle Börge się odwrócił, jakby go ktoś zawołał. Na nogach miał tylko skarpety.

– Znaleźliście ją, czy co?

Winter usiadł na sofie. Na tej samej sofie. Powietrze było gęste, jakby i ono tkwiło w pokoju od tamtej wizyty. Winter czuł, jak myśli kłębią mu się w głowie. Börge nie usiadł. Stał za fotelem, jakby chciał uciec. Chociaż nie. To było tylko przypuszczenie.

– Nie wierzę – powiedział.

Winter się nie odzywał. Powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Ale nie opowiedział całej historii. Było na to za wcześnie. Jeszcze nie miała końca.

– Po tylu latach – ciągnął Börge. – To niemożliwe.

– Przyjechałem do pana od razu.

– To niemożliwe – powtórzył Börge.

Wyprostował się, ściągnął ramiona, a potem znów się zgarbił.

Przez okno za jego plecami Winter widział wilgotne nocne powietrze. Wyglądało to tak, jakby ktoś wzniósł mur na środku ulicy.

– Dlaczego niemożliwe? – zapytał Winter.

– Co? Co?

Börge spojrzał mu prosto w oczy, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że Winter tu jest. Że właśnie przyszedł z tą wiadomością.

– Powiedział pan, że to niemożliwe.

– To niemożliwe – powtórzył znów Börge.

– Ale co?

– Jak pan mógł zobaczyć kogoś, kto zaginął? – odpowiedział

Börge. – To się kupy nie trzyma.

Winter wstał.

– Myśli pan, że kłamałem? – zapytał Börge.

Winter nie odpowiedział.

– Myśli pan, że... – Börge oderwał się od fotela i zrobił dwa

kroki w stronę Wintera.

– A jak się panu wydaje?

Börge milczał. Patrzył to na Wintera, to na regał. Był w tym samym miejscu co ostatnio. Wtedy Börge stał przy nim z leksykonem w ręku. Winter do niego podszedł. Podszedłem do niego czy nie? Tak. Stało tam zdjęcie. To i jeszcze dwa. Nie widziałem go wcześniej, może wcześniej go tam nie było. Börge był pijany albo dopiero zaczynał być. Pamiętam. Teraz jest trzeźwy. Nie wygląda na alkoholika. Może wtedy był pijany ostatni raz. Może wiedział, że przyjadę. Widział mnie z autobusu, ale nic nie powiedział. Może i teraz mnie widział, kiedy wysiadaliśmy z samochodu. Widział Fredrika.

Z Fredrikiem nigdy się nie spotkali. Pamiętam, że na tym zdjęciu Ellen się uśmiechała. Razem z siostrą. Miały mniej więcej po piętnaście lat. To też pamiętam. Zapytałem Börgego, kim jest ta druga dziewczyna. Powiedział, że to jej siostra. Jak ona się nazywała? Nie pamiętam. Jakoś na E. Nie były do siebie za bardzo podobne. Może miały trochę podobne oczy albo włosy. Ale to się zmienia. Były przyrodnimi siostrami.

Börge powiedział, że po zaginięciu Ellen nie spotkał się z nią ani razu. Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć jej imienia?

Börge wygląda na śmiertelnie zmęczonego, ale może to przez to światło. Niewiele tu jaśniej niż na schodach. Wzrok ma rozbiegany. Imię. Mówił, że lubiła zmieniać imiona, teraz

pamiętam. Eva. Miała na imię Eva. Ma na imię Eva. Mówił, że znalazł to zdjęcie miesiąc wcześniej. Przeglądał jakieś szpargały i trafił na nie. Pamiętam każde jego słowo. Ale butów nie pamiętam.

Spojrzał na regał. Nadal stały tam trzy zdjęcia, chyba nawet na tej samej półce. Pewnie gdybym podszedł i sprawdził, okazałoby się, że to te same zdjęcia.

Zrobił kilka kroków w stronę regału. Tak, te same. Wyglądało na to, że siostry stały w otoczonej krzewami altanie.

Obejmowały się. Cztery ramiona, cztery dłonie. Było lato, były lekko ubrane. W rogu zdjęcia coś połyskiwało. Może skrawek nieba, a może wody – jeziora albo morza.

Wpatrywał się w ich twarze. Było widać pewne podobieństwo. Podobieństwo między wyglądem sprzed lat a obecnym.

Jezu!

Wtedy tego nie zauważył. Bo jak mógł zauważyć? Wtedy jeszcze nie wiedział. Ale teraz coś zauważył. Coś ważnego.

Coś, co miało ogromne znaczenie.

Obok Ellen stała Elisabeth Ney.

Były siostrami.

– O cholera – powiedział Ringmar. – Były siostrami.

– Tak twierdzi Børge – sprecyzował Winter.

– Ale ją rozpoznałeś.

– Rozpoznałem Elisabeth. To ona. Niewiele się zmieniła. O ile

można tak powiedzieć w tej sytuacji.

Zadzwonił telefon. Winter podniósł słuchawkę. Chwilę słuchał, a potem się rozłączył.

– Möllerström. Udało mu się znaleźć ich ciotkę z Hallandii.

Siostra Ellen miała na imię Elisabeth. Między innymi.

– Między innymi?

– Kazała też mówić na siebie Eva. To imię podał Börge.

– Czy ktoś od nas kiedyś z nią rozmawiał? – zapytał Ringmar.

– Wtedy, kiedy Ellen zaginęła?

– Nie jestem pewien.

– Skupiliśmy się wtedy na nim – ciągnął Ringmar. – Chociaż może nie tak jak powinniśmy.

– Może wyszliśmy z założenia, że jeśli Ellen się u niej zjawi, to się do nas odezwie. W normalnym świecie tak by to wyglądało.

– Hm...

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że na tym świecie nic nie jest normalne.

– Na którym?

– Na tym, na którym żyjemy, ja i ty.

– W takim razie ja też nie wiedziałem.

Winter się zastanawiał. Co robił, kiedy zaginęła Ellen?

Dzwonił...

– Cholera, przecież rozmawialiśmy z nią! – Wskoczył zza biurka. – Wiedzieliśmy, że ma siostrę. Ktoś od nas z nią

rozmawiał. Musimy mieć zapis w archiwum.

– Pewnie tylko potwierdziła, że jej nie widziała – powiedział

Ringmar. Winter się nie odezwał.

– Niemożliwe, żeby nam powiedziała coś sensacyjnego.

– Ale to była Elisabeth Ney. Elisabeth Ney!

Ringmar przytaknął.

– Pomóż mi.

– Ale jak, Erik?

– Co łączy te sprawy? Coś je łączy?

– Z nas dwóch to ty myślałeś o tym więcej.

– Po prostu powiedz mi, co je łączy.

– Ellen i Elisabeth są siostrami. To znaczy były. A Paula jest

córką Elisabeth. To znaczy była.

– Mów dalej.

– Ellen zaginęła osiemnaście lat temu. Z tego co wiemy, od tej

pory nikt jej nie widział. Parę miesięcy temu przyniosła na

dworzec walizkę i zostawiła ją w schowku. Nie jesteśmy na sto

procent pewni, że to ona, ale tak przypuszczamy. – Ringmar

spojrzał na Wintera. – No a potem Ellen się odnajduje. To

znaczy odnajdują się jej zwłoki.

Winter kiwał głową.

– Niedługo przed tym znaleźliśmy ciało Elisabeth Ney. –

Ringmar zrobił pauzę. – A jeszcze wcześniej zwłoki Pauli.

– To trzy ciała.

– Trzy zabójstwa.

– I trzech mężczyzn.

Ringmar nie odpowiedział. Wiedział, o kogo Winterowi chodzi: Mario Ney, Christer Børge i Jonas Sandler.

– Musimy porozmawiać z Jonasem – powiedział Winter. –

I z jego matką. – Wstał. – Coś im pokażemy.

Kiedy Winter i Ringmar weszli do pokoju, Anne Sandler wstała z łóżka. Jonas leżał twarzą do ściany. Nawet nie drgnął, kiedy weszli. Anne Sandler zrobiła krok w ich stronę.

– Jak on się czuje? – zapytał Winter.

– Chyba zasnął – odpowiedziała. – Chyba był całkiem wykończony.

Winter spojrzał na tył jego głowy. Połowę zasłaniał koc. Leżał bez ruchu.

Anne Sandler też spojrzała na syna.

– Naprawdę musieliście go tu przywozić? – zapytała.

Mogło to zabrzmieć jak wyrzut, ale Winter nie usłyszał oskarżycielskiego tonu.

– Ma zapewnioną opiekę – powiedział Winter.

– Jaką?

– Medyczną, oczywiście.

– Mógł pan chyba dopilnować, żeby go zabrano do szpitala?

– Chciałbym, żeby pani poszła ze mną. Do innego pokoju. Mój kolega zostanie z pani synem.

Bez słowa wyszła za nim na korytarz. Odwróciła się do niego.

– Chyba nie myślicie, że Jonas ma coś wspólnego z tą straszną historią? – zapytała.

Winter nie odpowiedział. Wskazał na drugi koniec korytarza.

Szli do jego pokoju.

Kiedy weszli, powtórzyła pytanie. Wyglądała, jakby nagle znalazła się w całkiem obcym świecie i jakby dopiero teraz zaczęło do niej docierać, że to nie sen.

– Proszę usiąść. – Winter wskazał jej krzesło przy biurku.

– Jonas nie mógłby zrobić nic... złego – powiedziała i gwałtownie usiadła.

– Co on tam właściwie robił? – zapytał Winter. – Nie umiał tego wyjaśnić. Nie umiał nic o tym powiedzieć.

On też usiadł.

– Jest w szoku. Kto by nie był? – Otworzyła szeroko oczy. –

Ciało, martwe ciało w lasku. W naszym lasku.

– To ja go tam znalazłem. Zanim znaleźliśmy ciało.

Milczała.

– Zastanawia mnie to.

– Nie wiem – powiedziała po kilku sekundach. – On też nie.

Źle się czuje.

Winter otworzył kopertę, która leżała na biurku. Wyciągnął z niej zdjęcie i pokazał jej.

– Rozpoznaje pani tę kobietę?

– Kto to?

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. – Wyciągnął do niej rękę ze zdjęciem. – Proszę, niech pani je weźmie do ręki.

Anne Sandler wzięła zdjęcie. Winter przesunął lampę.

Spojrzała na niego.

– Czy to ona?

– Proszę?

– Czy to ta kobieta z lasku?

– Rozpoznaje ją pani?

Otworzyła oczy jeszcze szerzej. Jakby ktoś jej naciągnął skórę na twarzy.

– Proszę się nie spieszyć.

– Nie – powiedziała po chwili i odłożyła zdjęcie. – Nie znam jej. Kto to jest?

Winter nie odpowiedział. Wyciągnął kolejne zdjęcie i podał jej. Tym razem najpierw jej go nie pokazał.

– A tę kobietę kiedyś pani widziała?

To pytanie mogło się okazać bezsensowne.

– Tak – odpowiedziała niemal natychmiast. Popatrzyła na niego. – To ona. Na zdjęciu jest młodsza. Ale to ona.

– Kto?

– Kobieta, która mieszkała w naszej klatce. Mama tej dziewczynki.

– Skąd ta pewność?

Anne Sandler spojrzała na zdjęcie jeszcze raz.

– Nie wiem. Po prostu ją rozpoznaję.

– To Ellen – powiedział Winter. – Ellen Børge.

Postanowił wymienić to imię. To mógł być błąd, ale tak postanowił. Pokazanie jej zdjęcia też mogło się okazać błędem.

– Tak miała na imię? Ellen?

– Tak.

– Ale wtedy nazywała się inaczej...

– Eva?

– Tak!

– Kiedy się poznałyście, powiedziała, że ma na imię Eva?

– Tak. Eva.

– Widziała pani już gdzieś jej zdjęcie?

– Nie. Gdzie miałabym je widzieć?

Winter milczał.

– A więc to jest mama tej dziewczynki. – Anne Sandler

podniosła wzrok znad zdjęcia. W świetle lampy jej skóra

wyglądała na bardzo cienką. Jakby cała krew miała za chwilę

odpłynąć z jej twarzy.

Nagle w jej oczach pojawiło się pytanie:

– To ona? To ją...

Winter wciąż milczał.

– To gdzie ona jest? Jeśli to nie ją... I gdzie jest jej córka?

– O ile to jest jej córka – powiedział Winter.

– Nie rozumiem.

– Dziewczynka powiedziała, że to nie była jej prawdziwa
mama.

– Nic nie rozumiem. Kto tak powiedział?

– Pani syn.

MARIO NEY WSTAŁ, JAK TYLKO Winter wszedł do pokoju przesłuchań. Twarz miał bielszą od kredy. Oczy otaczały czarne obwódki. Próbował coś powiedzieć, ale Winter nic nie usłyszał. Słowa ugrzęzły mu w gardle. Nagle zaczął gwałtownie kaszleć.

A potem łapać powietrze. Może to były bardzo ważne słowa.

Atak kaszlu ustąpił równie szybko, jak się zaczął. Ney oparł się o stół i spojrzał na Wintera zmęczonymi oczami.

– Dla... dlaczego tu jestem? – zapytał wreszcie. – Co się takiego stało?

– Jak się pan czuje? – zapytał Winter.

– Co się stało?

Ney otarł usta. Na czole miał krople potu.

– Przecież widać po panu, że coś się stało.

– Chce pan szklankę wody?

Ney potrząsnął głową. Zrobił krok w bok. Wyglądał, jakby miał upaść. Zanim Winter zdążył do niego podbiec, złapał się stołu i odzyskał równowagę, tak jak przed chwilą głos.

– Znaleźliście go? – zapytał. Oczy wciąż łzawiły mu po ataku kaszlu. – Czy to dlatego pan tu jest? – Nagle się rozejrzał, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, gdzie się znalazł. – Czy to dlatego tu jestem?

– Proszę usiąść, panie Ney.

– Wolę postać. – Znów się zachwiał. – Po prostu proszę

powiedzieć, co się stało.

– Proszę usiąść – powtórzył Winter.

Ney spojrzał na krzesło, potem znów na Wintera. Zrobił kilka

kroków i usiadł. Nogi krzesła ze zgrzytem przesunęły się po

podłodze. Winter nagle pomyślał o sprzątanii: żwir na

podłodze, szczotka, odkurzacz. Sprzątaczką. Pokój. Hotel.

Usiadł naprzeciwko Neya. Jego krzesło też zazgrzytało.

Komendant nie dopilnował sprzątanii pokoju przesłuchań.

O wiele lepiej szło mu przydzielanie urlopów.

– Proszę opowiedzieć o swojej pracy w hotelu Odin.

– Co?

Ney się wzdrygnął, jakby znów miał go dopaść atak kaszlu. Ale

tym razem głos go nie zawiódł.

– O co panu chodzi?

– Proszę opowiedzieć o tej pracy – powtórzył Winter.

– Skąd wiecie?

– Co wiemy?

– Że tam pracowałem. Minęło tyle lat.

– Proszę o tym opowiedzieć.

– Cóż, to było tak dawno temu.

– Co pan tam robił?

– W zasadzie wszystko. Ale nie wiem, co to ma do rzeczy.

– Nie wie pan?

Ney nie odpowiedział.

– Nie wie pan, dlaczego pytam?

Ney wpatrywał się w stół. Zamarł, nie ruszał się.

– Panie Ney?

Podniósł wzrok.

– Ma pan na myśli Elisabeth – powiedział. – Ale przysięgam, nie przyszło mi do głowy, że tam kiedyś pracowałem. To zresztą nie trwało długo. Przysięgam, że tego nie skojarzyłem.

Przysięgam, pomyślał Winter. Mocne słowa. Ale przysięgać można w kościele. Chociaż nie, do kościoła idzie się dlatego, że się wierzy. Ale może i po to, żeby przysiąc. Można przysiąc na Boga. W kościele łatwiej to zrobić.

– Pamięta pan, co pan robił w tym hotelu?

– Robiłem? Kiedy?

Winter milczał. Ney chyba zrozumiał, co usłyszał. Jego oczy nabrały przytomniejszego wyrazu, jakby myśli zaczęły szybciej krążyć w jego głowie.

– To znaczy kiedy dokładnie? O który okres mojego zatrudnienia pan pyta? – Wykonał nieokreślony gest. – To właśnie miałem na myśli.

– A kiedy był pan tam zatrudniony?

– Nie pamiętam. – Chyba odetchnął z ulgą. Napięcie w jego oczach jakby ustąpiło. – Byłem młody. Może dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu.

– Kiedy już pan był z Elisabeth?

– Tak, ale na Boga, chyba nie myśli pan...

Winter milczał.

– To dlatego tu jestem? Bo myślicie, że... że zabiłem własną żonę? – Jego oczy rozbliły się na nowo. Zaczął mówić szybciej, bez pauz. Nie kończył już zdań w połowie. – Jak możecie tak myśleć? Własną żonę? Jak można coś takiego zrobić?!

– A zrobił pan to? Zabił pan żonę?

Ney nie odpowiedział. Patrzył Winterowi prosto w oczy, jakby chciał dodać swoim słowom mocy.

– Zabił ją pan?

– NIE!

Winter wstał i podszedł do drzwi. Poprosił o wodę. Potem wrócił i ustawił na nowo sprzęt nagrywający. Tym razem zrezygnował z kamery. Stwierdził, że za bardzo by ich rozpraszała. Czy spodziewał się coś osiągnąć? Tak. Nie. Tak. Nie. Na pewno nie przyznanie się do winy. Może coś innego.

Przynieśli im wodę. Ney wypił łąpczywie i odstawił pustą szklankę.

– Chce pan jeszcze?

Ney potrząsnął głową.

– Kim jest Ellen Børge? – zapytał Winter.

Ney powoli podniósł głowę. Winter mógł odczytać odpowiedź z jego oczu. Ale było w nich coś jeszcze, coś, czego nie umiał rozszyfrować.

– Dlaczego nie powiedział nam pan wcześniej? – ciągnął

Winter.

– A co miałem mówić?

– Że pańska żona miała siostrę. Że Ellen była jej siostrą.

– Nie rozumiem. Po co miałem o tym mówić? Jakie to miało znaczenie? Jakie to miało znaczenie dla Elisabeth? Przecież to nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Nie wspomniał o Pauli, pomyślał Winter. Nie wymienił jej imienia. Dlaczego?

– Jeśli to nie miało znaczenia, to nie rozumiem, czemu nam pan nie powiedział – odparł Winter. – Ani pan, ani pańska żona.

Ney machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: nie rozumiem, nigdy nam to nie przyszło do głowy.

– I nie powiedział pan, że Paula mieszkała z Ellen na Hisingen.

Ney się wzdrygnął. Wyglądał tak, jakby przyjął do wiadomości słowa Wintera, jakby się z nimi pogodził i nie zamierzał walczyć.

– Dlaczego mieszkały w mieszkaniu, które pan wynajmował?

Ney znów się wzdrygnął.

Winterowi kolejny raz dopisało szczęście.

– Dlaczego wynajmował pan to mieszkanie?

– To trwało bardzo krótko.

Ponury ton. Krótka, prosta odpowiedź. Ale odpowiedź.

– Pan nigdy tam nie mieszkał?

– Nie.

– Dlaczego one tam mieszkały?

– To trwało bardzo krótko – powtórzył Ney, jakby zapomniał, że powiedział to przed chwilą.

– Dlaczego?

Ney milczał. Winter nie widział jego oczu. Na jego czole znów pojawiły się krople potu. W zimnym świetle jego siwiejące włosy wyglądały jak stalowe włókna. Patrzył gdzie indziej. Może kiedy znów spojrzy w moją stronę, powie wszystko, pomyślał Winter.

– Dlaczego, panie Ney?

– Ellen chciała spędzić trochę czasu z Paulą. – Ney popatrzył na Wintera. Widać było, że to dla niego bardzo bolesne. Nie znaczyło to, że należy mu współczuć. – Tylko trochę.

– Ale dlaczego?

– Bo Paula... Paula była dzieckiem Ellen.

Tym razem to Winter się wzdrygnął.

Może Ney tego nie zauważył. Chyba nic już nie widział, chociaż oczy miał otwarte. Wpatrywał się w ścianę za Winterem, a może w jakieś inne miejsce i czas, gdzieś daleko, daleko od brzydkiego budynku komendy. To jego milczenie, pomyślał Winter. Teraz wiedział dlaczego. To chyba z niego

wyływała ta cisza, wszystkie kłamstwa i cała groza.

– Paula była dzieckiem Ellen? – zapytał Winter powoli.

Ney wolno pokiwał głową, jakby kiwnięciem kwitował każde jego słowo.

– Dlaczego nie mieszkała z rodzicami?

Ney przestał kiwać głową. Znów przeszył go dreszcz. Rodzice, pomyślał Winter.

– Z Christerem i Ellen – powiedział. – Z Christerem Börgem.

Ney spojrzał na Wintera. Z jego czarnych oczu można było wyczytać odpowiedź.

– Paula była pańską córką.

Ney pokiwał głową, tak samo jak przed chwilą.

– Tak, była moją córką.

– Pan i pańska żona ją adoptowaliście?

Ney przytaknął.

– Dlaczego?

– Ellen była... słaba. Była chora. Nie dałaby rady.

– Ellen zaginęła – powiedział Winter. – Zniknęła.

Ney nie odpowiedział.

– Kiedy spotkał pan Ellen po raz pierwszy?

– Dawno temu. W hotelu. Kiedy pracowałem w hotelu.

– W hotelu Odin?

– Tak.

– Ona też tam pracowała?

– Tak.

– Czy już wtedy mieszkał pan z żoną?

– Nie.

– Ale znał ją pan?

Nie odpowiedział.

Winter powtórzył pytanie.

– Tak, trochę.

– Byliście razem? Byliście parą?

– Tak.

– Dlaczego nie był pan z Ellen?

– Ona nie chciała. To było dla niej za dużo.

– Ona też kogoś miała? Z kimś mieszkała?

– Tak.

– Z Christerem Börgem?

– Tak.

– Dlaczego go nie zostawiła?

– Przecież zostawiła.

– Ale dużo później. Długo po narodzinach Pauli.

Ney pokiwał głową.

– Jak dobrze znał pan Christera Børgego?

– W ogóle go nie znałem.

– Nigdy go pan nie spotkał?

– Spotkałem.

– Gdzie?

– W hotelu.

– Odin?

– Tak, w tym też.

– Co pan ma na myśli?

– Pytał pan, w którym hotelu. O który hotel teraz panu chodzi?

– A spotkał go pan też w jakimś innym?

– Tak.

– Pracował w Revy?

– Był tam, kiedy ja odbierałem stamtąd rzeczy. Kilka razy.

Hotele wymieniały się jakimiś sprzętami. Odin i Revy.

– A dlaczego tam był?

– Dlaczego? Dlaczego? Pewnie tam pracował.

– Ale jako kto?

– Chyba jako kelner. Coś w tym stylu. Ale nie wiem dokładnie.

– Dlaczego wcześniej pan o tym nie powiedział?

– Bo nikt nie pytał. I dlaczego miałbym o tym mówić?

Przypomniałem sobie dopiero, jak pan zapytał.

– Więc w tym drugim hotelu też go pan spotkał?

– W Odinie? Był tam krótko. Kilka tygodni.

– Jako kto?

– Nie pamiętam dokładnie. Jako kelner. Nie wiem.

To może zaczekać, pomyślał Winter. Jest coś, co nie może.

– Dlaczego nie powiedzieliście, że adoptowaliście Paulę? –

zapytał. – Czemu nigdy o tym nie wspomnieliście?

– Nie wydawało nam się to konieczne. – Głos znów mu się załamał. – Wtedy to... to nie miało żadnego znaczenia. Jedyne, co się liczyło, to to, że zginęła. Że nie żyła. Nic nie mogło tego zmienić. To było dla nas za dużo.

– Ale nie dowiedzieliśmy się o adopcji. Nigdzie nie było o tym wzmianki. Żadnych dokumentów.

– Bo nie ma takich dokumentów – powiedział Ney.

– Jak to?

– Nie ma żadnych dokumentów.

– Dlaczego?

– My... one... zamieniły się tożsamościami. – Ney popatrzył na Wintera.

Spojrzenie miał jaśniejsze, jakby wyjawienie tej tajemnicy rozpędziło mgłę sprzed jego oczu. Miał opowiedzieć o wielkim kłamstwie. Może na tym ta historia się skończy.

– Elisabeth została Ellen. Oficjalnie. Przynajmniej dla władz.

Chodziło o to, żeby to niby ona urodziła Paulę. A ja zostałem ojcem. Bo przecież nim byłem.

– A Christer Børge? Kim został?

– On nie wiedział.

– NIE WIEDZIAŁ?

Winter powiedział to głośniej, niż chciał.

– Ellen go zostawiła – wyjaśnił Ney. – Na tych dziewięć

miesiący. Ale to się przeciągnęło do ponad roku. Wtedy

urodziła dziecko.

– I wprowadziła się do niego z powrotem?

Ney przytaknął.

– Nigdy mu nic nie powiedziała?

– Nie.

– I nadal z nim żyła?

– Tak...

– Aż zostawiła go na dobre?

– Tak...

– To niemożliwe – powiedział Winter. – Niemożliwe.

– Tak było.

– Dlaczego zniknęła?

– Chciała od niego uciec. Bała się.

– Dlaczego po prostu się nie wyprowadziła i nie zostawiła go?

Tak po prostu, oficjalnie.

– Bała się – powtórzył Ney.

– Dokąd uciekła?

– Była trochę tu, trochę tam.

– Na przykład?

– Do Włoch.

– Do Włoch?

– W moje rodzinne strony. Na Sycylię. W okolice Caltanissetta.

To w górach. Na południe od Palermo.

To miało sens. Dlatego nie chcieli za dużo mówić o jego pochodzeniu. O Sycylii. W górskiej miejscinie na Sycylii każdy mógł się ukrywać, ile chciał.

– Paula wiedziała?

– O czym?

– O Ellen. Że Ellen była jej matką.

– Nie...

Winter czekał na ciąg dalszy. Widział w oczach Neya, że to nie koniec.

– Najpierw nie wiedziała. Dopiero potem... – Ney gwałtownie pochylił się do przodu, jakby ból zaczął mu rozsadzać klatkę piersiową. – Dopiero potem jej powiedzieliśmy.

– Jak zareagowała?

Ney milczał.

– Kiedy wybrała się w tę długą podróż, pojechała właśnie do Ellen? Do matki? Wiedziała, że jedzie do matki?

Ney pokiwał głową.

– A potem utrzymywały ze sobą kontakt?

– Jeśli akurat to było możliwe.

– A dlaczego miałoby być niemożliwe?

– Obie się bały.

– Bały się? Kogo?

– Nie wiem.

– Sądzę, że pan wie.

– Nie. – Ney spojrział na Wintera. – Nie rozumiałem tego.

– A teraz pan rozumie.

– Tak.

– Więc kogo się bały?

– Börgego.

– Wiedział? Wiedział o Pauli? Wiedział, gdzie jest Ellen?

– Właściwie to nie wiem.

– Nic panu nie powiedziały?

– Nie.

– A może to pana się bały?

– Nie.

– Próbowaly przed panem uciec.

– Nie. – Ney znów podniósł wzrok i spojrział Winterowi w oczy.

Winter nie umiał rozszyfrować tego spojrzenia. To było niemożliwe. Nigdy wcześniej nie widział tak nieprzeniknionych oczu.

– Kiedy ostatnio widział pan Ellen? – zapytał.

– Jakieś... kilka lat temu.

– Gdzie?

– W domu.

– Co to znaczy w domu?

– Na Sycylii.

– Dlaczego Ellen mieszkała z Paulą, kiedy Paula miała

dziesięć lat?

Ney chyba się wzdrygnął. Ta nagła zmiana tematu. A może

Winter sam się w tym momencie poruszył.

– To był pomysł Ellen. Chciała trochę pobyć z córką.

– Powiedziała jej wtedy, że jest jej mamą?

– Nie. Z tego co wiem, to nie. Wtedy Ellen była dla Pauli przyjaciółką rodziny.

Winter się zastanawiał. Według Jonasa Sandlera

jedenastoletnia Paula powiedziała, że Ellen nie jest jej

prawdziwą mamą. Mogło tak być. Ellen nie była dla niej mamą,

bo była nią Elisabeth. To był jej świat. W jej życiu nie było

jeszcze miejsca na tajemnicę i kłamstwo.

A jednak nie rozumiał tej zмовy milczenia. Nie mógł się z nią

pogodzić. To była jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic,

z jakimi się spotkał w swojej karierze. Jego praca w dużej części

polegała na odkrywaniu tajemnic innych ludzi. Ludzie ukrywali

coś przed nim. Przed samymi sobą. Sekretów nie brakowało.

Ale w tej sprawie było coś jeszcze. Coś, o czym Ney nie chciał mówić.

Ellen zostawiła wszystko. Ot tak. Tak to przynajmniej

wyglądało. Wiele lat temu jakby zapadła się pod ziemię. Boże.

Winter uświadomił sobie dosłowność tej myśli.

– Dlaczego Ellen zostawiła wszystko? – zapytał.

– Sam nigdy tego do końca nie zrozumiałem. Sam musi ją pan

zapytać.

LISTOPAD PŁAKAŁ, JAKBY ŚWIAT stracił wszelką nadzieję.

Wiatr uderzał o szyby, jakby chciał się wedrzeć do komendy.

Październikowe burze zaczęły się z miesięcznym opóźnieniem.

Winter niemal czuł podmuchy zza okna.

– Zamknęli dla samochodów most Älvsborgsbron –

powiedział Ringmar. Stał za Winterem.

– I tak nikt normalny by tam teraz nie jeździł.

Winter się odwrócił.

– Uważaj tam pod tym oknem. Szyba może puścić – ostrzegł go Halders.

– To by była scena jak z filmu katastroficznego – zauważył Bergenhem.

– Może jesteśmy gwiazdami i gramy główne role – odparł Halders.

– Główna rola może być tylko jedna – powiedział Bergenhem.

– W takim razie gram ją ja – stwierdził Halders.

Winter podszedł do jednego z podłużnych stołów i usiadł na

jego końcu. Nawet tutaj czuł wiatr. Chyba wdarł się też do

wentylacji. Ringmarowi podwiewało krawat – supeł był luźny,

jakby zaraz miał się rozwiązać. Winter nie miał krawata.

Ostatnio zaczął go uwierać, brakowało mu powietrza. Może już nigdy nie założy krawata.

Ringmar odchrząknął. Nie tylko dlatego, że chciał zabrać głos

i wrócić do dyskusji. To załamanie pogody przyniosło pierwsze tej jesieni przeziębienia. Winter miał nadzieję, że na tym jednym się skończy.

– I co mamy o tym sądzić? – zapytał.

– To nie jest facet, na którym można polegać – powiedział Halders.

Już od pół godziny rozmawiali o Neyu i o tym, co zdradził Winterowi. O ile zdradził było właściwym słowem.

– Jeśli miał motyw, to nieżle go przed nami ukrył – stwierdził Bergenhem.

– A nie zawsze tak jest? – zapytała Aneta.

– Czy nie to stara się zrobić każdy morderca, kiedy już popełni zbrodnię? – wtrącił Halders. – Czy nie próbuje ukryć motywu?

– Motywu i samej zbrodni – odparł Bergenhem.

– O ile ma motyw – dodał Winter.

– To znaczy, że jest chory psychicznie? – zapytał Halders.

– Nie czuje się najlepiej – powiedział Winter z gorzkim uśmiechem. – I to od dawna.

– Na pewno czuje się lepiej niż jego córka i żony – stwierdził Halders.

– Nazywasz je żonami? – zapytała Aneta.

– Nie wiem, jak mam o nich mówić.

– Tak czy inaczej, jedno jest pewne: wciąż można oszukać system – powiedział Ringmar.

– Chyba robi się nas za dużo w tym kraju – dodał Halders.

– Chyba nie chciałeś tego powiedzieć – wtrąciła Aneta.

– Mówiłem z perspektywy tych, którzy muszą wszystko kontrolować.

– Chodzi ci o to, że Wielki Brat przestaje to ogarniać?

– Od narodzin Pauli minęły trzy dekady – powiedział Winter.

– Przez ten czas sporo się we władzach zmieniło.

– Jeśli ktoś chce oszukać system, to zawsze może to zrobić – odparł Ringmar. – Socjalny czy ekonomiczny.

– O ile ta jego historia jest prawdziwa – wtrącił Halders. – Ale ludzi, którzy mogliby to potwierdzić, zaczyna brakować.

– To co robimy? – zapytała Aneta.

– Oczywiście trzeba go jeszcze raz przesłuchać – odpowiedział Halders. – Przetrzymać kolejne sześć godzin. Chyba możemy go podejrzewać o zabójstwo, nie? Nie ma alibi. Należy do rodziny. Tyle wystarczy. A ta historia, którą opowiedział Erikowi, według mnie stawia go w jeszcze gorszym świetle.

W pokoju zapadła cisza. Winter słyszał, jak wiatr wali o szyby.

Za dwa tygodnie odlatuje samolot do Malagi. On ma w nim siedzieć, bez względu na wszystko. Halders przejmie śledztwo. Zresztą są przecież telefony komórkowe i cała reszta. A jednak wiedział, że nawet jeśli wsiądzie do samolotu, myślami nadal będzie tutaj, a tak nie powinno być. W takim układzie nie powinien wyjeżdżać. Wtedy będzie mógł się cieszyć słońcem

tylko na pół gwizdka. Nie. Tak. Będą tam dzieci i Angela. Jego rodzina. Świat nadal będzie się kręcił i tak dalej... Trzeba mieć nadzieję. Będzie miał przy sobie dzieci. A do tego morze, horyzont, zachody słońca, zmierzchy i świty. I wszystko to, co między nimi.

To mu wystarczało.

Zadzwoniła jego komórka. Wszyscy siedzieli zatopieni we własnych myślach. Aż podskoczyli, kiedy powietrze przeciął dźwięk dzwonka. Udało mu się zagłuszyć nawet huk żywiołu za oknem.

Winter słuchał przez chwilę, zadał kilka pytań, a potem się rozłączył.

– Została powieszona – powiedział. – Ellen.

– Kiedy?

To Ringmar zadał to pytanie.

– Nie wcześniej niż dwa tygodnie temu – odpowiedział

Winter.

– Ciało było w dobrym stanie – wtrącił Halders. – Gleba musi być niezła.

– Wciąż nie wiemy, gdzie zginęła – powiedział Ringmar.

– I jak ją tam zawiózł – dodał Halders.

– I to tak, że nikt nie zauważył. Dowiedzieliście się czegoś nowego od sąsiadów? – Ringmar odwrócił się do Bergehema.

– Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Nikt z tych, których

dotychczas przesłuchaliśmy.

– Ilu nie zastaliście w domach?

– Chłopaki mówili ostatnio, że zostało im sześć adresów.

– A kiedy to było?

– Dwie godziny temu.

– Spisz listę osób, których nie zastaliście.

Bergnhem pokiwał głową.

– Ja jeszcze raz porozmawiam z Sandlerem – wtrącił Winter.

– To on jeszcze tu jest? – zapytał Halders.

– Tak, chciał zostać – odpowiedział Ringmar.

– Dlaczego?

– Mówił, że się boi.

Sandler siedział na łóżku. Wyglądało tak, jakby przed chwilą

próbował je ścielić. Dwie poduszki leżały na podłodze. I tu,

w tej części budynku, słychać było wiejący za oknami wiatr.

Przez szyby Winter widział stadion Gamla Ullevi. Dziś nikt nie

miał grać popołudniowego meczu. Trawa była niesamowicie

zielona, jakby ją ktoś pomalował szerokim pędzlem. Widok

ciągnął się ponad rzeką, aż do Hisingen. Teraz spowijały ją

ciemne chmury. Dalej widać było tylko ciemność, za którą

zachodziło schowane przed wszystkimi słońce. Taką

przynajmniej mieli nadzieję – że gdzieś tam słońce nadal

istnieje.

– Jonas, wszystko w porządku?

Chłopak nie odpowiedział. Z jego twarzy zniknęły wszystkie męskie rysy. Chyba już nigdy nie wróca. Za dużo przeszedł.

– Opowiedz mi o tym – poprosił Winter.

Chłopak podniósł wzrok.

– O czym?

– O lasku. Dlaczego tam pojechałeś?

– Mówiłem już, że nie wiem.

– A o czym myślałeś, jadąc tam?

– O niczym.

– To co cię skłoniło do tego, żeby wsiąść do tramwaju?

– Ja... nie wiem.

– Kogo się boisz?

Nie odpowiedział. Jakby nagle przestało do niego docierać, co

Winter mówi.

– Porozmawiaj ze mną o tym.

– Przecież to robię.

– Rozmawiałeś z kimś, zanim pojechałeś do lasku?

– Nie rozumiem.

– Rozmawiałeś z kimś, zanim tam wyruszyłeś?

– Nie.

– A z mamą? Przecież miałeś jechać tam, gdzie mieszka? Do niej.

– Nie, nie miałem jechać do niej.

– Chciałeś iść do niej potem?

– Potem? Jak to potem?

– Po tym, jak wrócisz z lasku.

– Nie, nie. Ja o niczym wtedy nie myślałem.

– Myślałeś o Pauli.

– No tak. O Pauli myślałem.

– Dlaczego ci się wydawało, że ona tam leży?

Nie odpowiedział. Winter widział, że zastanawia się, co powiedzieć. Dotychczas powtarzał, że wiedział. Że coś go tam przyciągnęło. Coś albo ktoś. Nie dawało mu to spokoju.

– To przez tę rękę, którą tam kiedyś widziałem – powiedział, podnosząc wzrok. Nie patrzył jednak na Wintera, ale na okno za jego plecami. Na burzę, wicher i deszcz. Może również na wolność. Chociaż nie, jej akurat szukał tutaj, w tych ścianach.

Wolności albo schronienia.

– Naprawdę myślałem, że ona tam jest – ciągnął. – Że Paula tam jest. – Przetarł oczy. – Nie umiem tego wyjaśnić.

– Ktoś tam był – powiedział Winter.

– Co? – Tym razem Sandler spojrzał na Wintera. – Co pan mówi?

– Ktoś leżał w ziemi. Wiedziałeś o tym?

– Jak to? Nie rozumiem...

– Czy, jadąc tam, wiedziałeś, że ktoś jest tam pochowany?

– Pochowany?

– Leżały tam zwłoki kobiety. Tam, gdzie zacząłeś kopać.

Kilkadziesiąt centymetrów głębiej.

– Pa... Paula? To Paula tam leżała?

– Nie, nie Paula.

– To kto?

Winter milczał.

– Kto tam leżał? – zapytał znów chłopak.

– Jej matka.

Winter siedział z Ringmarem w swoim pokoju. Dokuczał mu lekki ból głowy. Mógł się nasilić. Winter wziął tabletkę i czekał, aż zacznie działać.

Ringmar głośno wytarł nos.

– Mam nadzieję, że nas nie pozarazasz.

– Już za późno – odparł Ringmar.

Winter czuł powiew wiatru. Wychodzące na park okno było uchylone na kilka centymetrów. Otworzył je, kiedy tylko weszli do pokoju.

– Chłopak musiał kogoś widzieć w tym lasku – powiedział

Ringmar. – Albo w pobliżu.

– To dlaczego nic nam nie powiedział?

– Nie pytaliśmy go odpowiednio często.

– Jak chcesz, możesz do niego iść i pytać dalej.

– Myślę, że teraz to i tak nic nie da.

– Dlaczego?

– Jest w szoku.

– A kto właściwie nie jest?

– Co z tą listą z Revy? – Ringmar wziął kartkę z biurka.

– No właśnie. Nie ma na niej Christera Børgego.

– A jak się nazywał ten portier, którego znasz? Saldo? Salko?

Przecież mówił, że to niepełna lista.

Winter milczał.

– A Børgego chyba nikt od nas jeszcze o to nie pytał, co? O to, czy tam pracował.

– Nie do końca. Nie pytałem go, czy tam pracował, ale kiedy rozmawiałem z nim o zaginięciu Ellen, mówił, że nigdy nie słyszał o takim hotelu. O Revy. Pamiętam.

– No proszę.

– Dlaczego tak powiedział?

– Pewnie nie chciał, żebyś się dowiedział.

– Ale przecież mogliśmy to sprawdzić.

– I sprawdziliśmy. – Ringmar pomachał listą. – Ale to i tak nie pomogło.

– A niech to cholera! – Winter wstał i podszedł do okna, żeby je zamknąć.

– Rozmawiałeś jeszcze potem z tym portierem? – zapytał Ringmar. – Jak on się nazywa?

– Salko, Richard Salko. Nie, nie rozmawiałem z nim. Nie odbiera domowego telefonu.

– A w hotelu go nie ma?

– Hotel zamknęli. Tym razem na dobre.

Na biurku rozdzwonił się telefon. Ringmar się wyciągnął

i podniósł słuchawkę. Winter wciąż stał pod oknem.

– Tak? Cześć. Nie, tu Bertil. Aha. Naprawdę? Hm... O cholera.

Tak. No dobra, na razie.

Ringmar odłożył słuchawkę. Winter widział jego odbicie

w wygaszonym ekranie komputera.

– Öberg – powiedział Ringmar.

– I? – Winter czuł, jak ciągnie od okna. Zupełnie jakby było

otwarte na oścież. – Co powiedział?

– Na sznurze znaleźli ślinę. Na tym, którym uduszono Ellen

Börge.

– Tak?

– To ślina kobiety.

– Co?

– To ślina Elisabeth Ney.

– Elisabeth Ney? – powtórzył Winter. W tyle głowy czuł

znajome pulsowanie. Elisabeth Ney?

– Tak. Tylko to znaleźli na sznurze.

– Ale...

– Jeśli nie wróciła z zaświatów i nie zabiła jej, to musiała mieć

z tym sznurem do czynienia wcześniej.

Trzy sznury, pomyślał Winter. Identyczne, niebieskie,

o nierównej powierzchni. Dobre narzędzie zbrodni. Nic się

takich nie czepia. Z wyjątkiem tego, co zostawiła po sobie

Elisabeth Ney.

Wcześniej Winter porównał sznury, ułożył je obok siebie.

Choć sam nie wiedział, po co to robi i jakie to ma znaczenie.

– Myślę, że nikt tego nie zaplanował. To znaczy tego, że na sznurze znajdziemy czyjeś ślady – powiedział Ringmar.

– Na pewno nie zaplanowali tego Neyowie.

Kiedy Winter wszedł do pokoju, Mario Ney podniósł wzrok.

Powoli wstał. Wyglądał na niższego niż wcześniej, jakby się skurczył. To chyba przez ramiona. Wcześniej chodził

wyprostowany. Teraz stał zgarbiony, jakby mocno bolał go brzuch.

Może już jest gotowy, pomyślał Winter.

– Co się stało? – zapytał Ney.

– A dlaczego pan pyta?

– Bo wygląda pan tak, jakby coś się stało.

– A jak się wtedy wygląda?

– Tak jak pan teraz.

– Proszę usiąść – powiedział Winter i zaczął się przygotowywać do przesłuchania.

– Nie mam już nic do dodania – powiedział Ney po chwili.

– Jeszcze nic pan nie powiedział.

– Powiedziałem wszystko, co wiem.

– Proszę opowiedzieć o mieszkaniu na Hisingen.

- Nie mam na ten temat już nic do powiedzenia.
- Dlaczego je pan wynajął?
- Mówiłem już. Muszę wszystko powtarzać?
- Mieszkał pan tam sam?
- Ani chwili tam nie mieszkałem.
- Mieszkał pan gdzieś w okolicy?
- Niby po co?

Winter milczał. Zresztą Ney nie czekał na odpowiedź.

Wpatrywał się w dal, przesywał wzrokiem ściany.

Nagle spojrzał na Wintera.

- My tak tu sobie siedzimy, a morderca jest na wolności –
powiedział.

HALDERS PRZECIĄGNAŁ DŁONIAŁ po głowie. Chyba dopiero co się ostrzygł. Światło lamp odbijało się w jego łysinie, jakby ją wypolerował.

– Co mówi Molina? – zapytał.

– Chciał wiedzieć, czy mamy jakieś konkretne podejrzenia – odparł Winter.

– A mamy?

– Zazwyczaj umiem rozszyfrować przesłuchiwanego, ale Ney to człowiek zagadka.

– Może to coś oznacza.

– Ślady śliny jego żony na sznurze byłyby wystarczającym powodem aresztowania – wtrącił Berghem. Wszedł do pokoju tuż po nich.

– Molina się nie zgodzi, żebyśmy go aresztowali – powiedział Winter. – Musimy mieć coś więcej.

– Na przykład co?

Winter nie odpowiedział.

– Z tego co wiemy, Ney nigdy się nie zbliżył do tego sznura.

Do żadnego z nich – dodał Ringmar.

– To do czego się zbliżył? – zapytała Aneta.

Winter odwrócił się do niej.

– Co mówiłaś?

Powtórzyła pytanie.

– Do mieszkania Pauli – powiedział Winter.

– Wciąż ma klucze? – zapytał Halders.

Ringmar przytaknął.

– A do hotelu Revy się zbliżał? – dodał Halders.

– Erik, rozmawiałeś już z portierem? – zapytał Ringmar.

Winter jakby nie słuchał.

– Erik? Słyszysz, co mówię?

– Tak... co?

– Rozmawiałeś z portierem? Z Salko? Tym z Revy?

– Nie. Jeszcze mi się nie udało go złapać.

– A do tego osiedla na Hisingen się zbliżał? – zapytała Aneta.

– Skończyliśmy już przesłuchiwać sąsiadów? – wtrącił

Halders.

– Została nam tylko jedna osoba. – Ringmar sięgnął po leżącą na stole kartkę.

– Kto? – zapytał Halders.

– Metzer. Anton Metzer.

Za morzem rozciągał się czerwono-szary horyzont. Takie połączenie kolorów można było zobaczyć tylko w listopadzie.

Winter patrzył w niebo. Przypominało niebieski dym.

Zdradzało, co kryje się za nim. Już niedługo sam będzie mógł

to zobaczyć – ten leżący daleko na południu kraj. Teraz

wydawało mu się to nierzeczywiste, jak z innego świata.

Halders wjechał między bloki i zatrzymał się przed wejściem.

Policyjna taśma powiewała na wietrze krążącym wokół lasku.

Na podwórku nie było nikogo, na placu nie bawiło się ani jedno dziecko. Wiatr wiał mocno, zupełnie jak na wybrzeżu.

Winter nacisnął dzwonek. Jego dźwięk krążył po mieszkaniu jak wiatr na dworze, choć nie równie głośno. Nacisnął jeszcze raz.

– Długo go nie ma – zauważył Halders.

Winter podniósł klapkę nad otworem na listy.

Widział tylko kawałek wycieraczki. Piętrzyły się na niej gazety, białe i szare koperty. Halders też zajrzał.

– Chyba nie wstrzymał prenumeraty przed wyjazdem – powiedział.

– Może nie miał jak.

– Masz na myśli to, co mi się wydaje, że masz na myśli?

– Czy na końcu podwórka nie ma przypadkiem biura spółdzielni? – zapytał Winter.

Pracownik spółdzielni otworzył drzwi. Winter nie musiał nawet dzwonić do Moliny. Wszyscy w okolicy byli wstrząśnięci znaleziskiem z lasku. No właśnie, znaleziskiem. Winter nie zapytał jeszcze Jonasa Sandlera o szkielet psa, który znaleźli w dole. Nie powiedział mu o tym. Chciał poczekać, nie wiadomo na co. Może chłopak wiedział.

Mężczyzna odsunął się na bok. Miał może trzydzieści lat.

Czysty uniform, niewinny wyraz twarzy. Niech go utrzyma

jeszcze chwilę, pomyślał Winter, a potem mu podziękował.

Zaczekał, aż niechętnie zejdzie na dół i znajdzie się poza zasięgiem jego wzroku.

Halders wpatrywał się w panujący w mieszkaniu półmrok. Na końcu przedpokoju widać było słabe światło. Obaj byli tu już wcześniej, osobno. Halders dawno temu. Wtedy Winter czekał na zewnątrz. Wtedy Winter nie widział Metzera, poznał go dużo później. Miał wrażenie, że to było wczoraj.

Metzer wyglądał bardzo charakterystycznie. Kiedy siedział na sofie naprzeciwko, Winter zauważył linię, czy raczej szramę. Przecinała jego twarz od skroni do policzka. Jak po cięciu szablą. Pomyślał wtedy, że może Metzer jest niemieckim arystokratą.

Zaniepokoiłem się, powiedział Metzer. Dlatego zadzwoniłem po policję.

Ale tym razem nie zadzwonił.

Ostrożnie przeszli przez przedpokój do salonu. To stąd dochodziło światło. Broń trzymali w gotowości.

Rozpoznali ten zapach, jeszcze zanim weszli. Nie był silny, ale tyle im wystarczyło.

Światło stojącej za oknem latarni padało na leżące na sofie ciało. Nie było widać krwi. W innych okolicznościach można by pomyśleć, że ktoś na tej sofie po prostu śpi.

Winter usłyszał tykanie zegara. Nie pamiętał, czy słyszał je

poprzednio. Ale teraz już nikt go nie potrzebował.

Może Metzer umarł we śnie. Może nagle dopadła go choroba.

A może ktoś mu pomógł.

Halders pochylił się nad ciałem. Przyłożył do ust chusteczkę.

– Nieciekawy widok – powiedział. Jego głos brzmiał tak,

jakby dobiegał z głębi tunelu.

– Rozpoznajesz go? – zapytał Winter.

– Nie, ale od tamtej pory minęło wiele lat. No i w tym stanie...

– To Metzer.

– No tak, ty byłeś tu niedawno.

– Wciąż ma tę bliznę.

– Chodzi ci o te ślady na szyi? Jak dla mnie wyglądają
podejrzenie.

– Nie, mówię o tej szramie.

– Co?

– O szramie – powtórzył Winter i wskazał na jasną linię
biegnącą od skroni do szyi. Teraz, po śmierci, widać ją było
wyraźniej niż za życia.

– On nie miał żadnej szramy – powiedział Halders. – Nie miał
jej, kiedy ja tu byłem.

Halders jeszcze raz popatrzył na ciało, przyjrzał się szramie.

Podszedł bliżej, a potem odwrócił się gwałtownie z otwartymi
szeroko ze zdumienia oczami.

– Kurwa, to nie Metzer.

– Co ty gadasz?

– Mówię, że to nie ten Metzer, z którym gadałem.

Tym razem przyjechał inny lekarz. Winter nigdy wcześniej go nie widział. Był starszy od Pii E:son Fröberg. Dużo starszy.

Chyba był w tym wieku co Metzer, chociaż jego twarz miała bardziej naturalny kolor. Nazywał się Sverker Berlinger.

Pewnie emerytowany weteran, którego przyjęli na nowo, pomyślał Winter. Sprawiał wrażenie doświadczonego.

– Wygląda na uduszenie – powiedział Berlinger, lekko potrząsając głową.

Kiedy pracował, ręce mu się nie trzęsły. Wchodząc do pokoju, westchnął głośno. Na widok ciała. Jakby chciał dać do zrozumienia, że od dawna się tego spodziewał.

– Kiedy? – zapytał Winter.

Berlinger wzruszył ramionami.

– Dwa tygodnie temu? Trzy?

Rozejrzał się, jakby szukał budzika, którego nikt już nie usłyszy. Winter go zauważył. Tuż pod nim, przed komodą, kuczał Torsten Öberg.

– W mieszkaniu jest ciepło – powiedział Berlinger. – Różnie mogło być.

– Kiedy? – powtórzył Winter. – W zeszłym tygodniu?

– Nie, wcześniej.

– Czyli dwa tygodnie temu.

– Na to wygląda.

Sverker Berlinger pochylił się nad ciałem i zaczął oglądać twarz Antona Metzera.

– No proszę, szrama menzurowa.

– No właśnie, tak to się nazywa – powiedział Winter.

– Wie pan, co to jest menzura? – zapytał Berlinger.

– Zapomniałem tego słowa, ale słyszałem o tej tradycji.

Berlinger znów spojrział na twarz Metzera.

– Ta jest trochę za długa i za głęboka, żeby mógł być z niej dumny.

– Zabrzmiało to tak, jakby pan też chciał mieć taką szramę.

– Niestety nie pochodzę z odpowiedniej rodziny. – Berlinger uśmiechnął się nieznacznie. – Tak na marginesie, menzura oznaczała też stały odstęp między pojedynkującymi się.

Winter nie słyszał u niego niemieckiego akcentu. Nie zapytał, skąd pochodzi.

– Czy ta szrama mogła powstać w innych okolicznościach?

– Oczywiście – odparł Berlinger.

– Kiedy powstała?

– Na pewno dawniej niż dwa tygodnie temu.

Winter zaczekał, aż jego żart rozplynie się w powietrzu.

– Ponad pięćdziesiąt lat temu – powiedział Berlinger.

– W mieszkaniu nie ma sznura – powiedział Öberg.

– Ja też nie widziałem – odparł Winter.

– Ale ktoś mógł użyć sznura podobnego do tamtego.

– Mógł czy użył? – zapytał Halders.

– Mógł – odpowiedział Öberg. – Przynajmniej na razie nie mogę powiedzieć nic więcej. Jeśli to był nylonowy sznur, to właściwie nie da się nic stwierdzić. Wiecie, o co chodzi.

– I ani śladu białej farby – zauważył Winter.

– W każdym razie nie na ciecie.

– Na ciecie Ellen Börge też nie było farby – ciągnął Winter. –

Tylko ślady zbrodni.

Wyjrzał przez okno, jakby chciał ocenić odległość od mieszkania do lasu. Widział go, ale ledwo. Od Morza

Północnego nadciągnęła ciemna chmura. Deszcz zaczął bębnić o szyby.

– Może cała ta sprawa wiąże się z tym miejscem? – powiedział Halders.

– Nie wiem, czy się wiąże. Nie wiem, czy tu cokolwiek się ze sobą wiąże.

– Na pewno mamy cztery zabójstwa – stwierdził Halders. –

A one się ze sobą wiążą.

– Zabójstwo Metzera też?

– On też w pewnym sensie należał do tej ekipy. Nie był całkiem obcy. Choć dla mnie był.

– Może wtedy trzeba było porozmawiać z kimś innym, nie z nim.

– Odszukaliśmy go, był świadkiem. Przecież sam zadzwonił na policję.

Winter milczał. Torsten Öberg zajął się czymś przy sofie.

– Kim jest ten zabójca robocop? – zapytał Halders.

Winter nie odpowiedział.

– To nie on po nas wtedy zadzwonił? – ciągnął Halders. – To nie Metzer zadzwonił w sprawie domniemanej awantury?

– Może i on – odparł Winter. – Ale nie on otworzył ci drzwi.

– To kto to był, do cholery?

– W tej sytuacji raczej trudno odpowiedzieć na to pytanie.

– Dobra, dobra. Więc ten facet, który mi otworzył, nie był

Metzerem, ale najwidoczniej uznał, że lepiej będzie, jeśli tak się przedstawi.

– Hm...

– Nie zgadzasz się?

– Zgadzam.

– Ale dlaczego uznał, że lepiej będzie udąć Metzera?

– Bo może trudniej byłoby mu być sobą.

– Dlaczego trudniej?

– Bo nie chciał, żeby ktoś się dowiedział, kim jest naprawdę.

– A kim był tak naprawdę?

– To był Mario Ney.

– No nie wiem. To było wiele lat temu i facet, który mi

otworzył, miał zarost. – Halders wzruszył ramionami. – Będzie

mnie to kosztować karierę albo to, co z niej zostało. Ale nie

umiem ci powiedzieć, czy to Ney stał w tych cholernych

drzwiach osiemnaście lat temu. – Halders spojrzał na Wintera.

– To mógł być on, ale nie wiem. Daj mi chwilę. Pomyślę i sobie

przypomnę. Może mi się uda, jeśli się zastanowię, co wtedy

mówiliśmy i jak to wszystko wyglądało. No wiesz.

Winter pokiwał głową.

– A mógł to być Börge? – zapytał.

– Widziałem go tylko w przelocie – powiedział Halders.

– Börge – powtórzył Winter.

– On też odegrał swoją rolę w tej historii.

– Ney wynajmował mieszkanie po drugiej stronie podwórka.

– Już się do tego przyznał.

– Ale nie do tego, że był tutaj, w mieszkaniu Metzera.

– W takim razie najwyższa pora go o to zapytać. A co w ogóle
na to Molina?

– W tych okolicznościach nie mógł się nie zgodzić. Ale tyle nie

wystarczy, żeby wydać nakaz aresztowania. – Winter spojrzał

na Öberga i innych techników kręcących się po mieszkaniu. –

Potrzebujemy dowodów rzeczowych.

– Albo przyznania się do winy – powiedział Halders.

Winter spojrzał na zegarek.

– Fredrik, chcę, żebyś wziął udział w przesłuchaniu.

– Nigdy tam nie byłem – powiedział Ney. – Po co według was

miałbym tam chodzić?

– To naprzeciwno, po drugiej stronie podwórka.

– Nigdy tam nie byłem.

– A jak często bywał pan we własnym mieszkaniu?

– Nigdy.

– Wynajmował je pan.

– Nie dla siebie.

Halders siedział obok. Nie odzywał się. Jeśli spotkali się osiemnaście lat wcześniej, to Ney nie dał tego po sobie poznać.

To mógł być on, pomyślał Halders. Ale mógł to też być ktoś inny. Nie rozpoznaję go. Może dlatego, że to nie był on.

– Gdzie pan wtedy był? – zapytał Winter.

– Nie rozumiem pytania.

– Gdzie pan mieszkał w tamtym czasie?

– U siebie oczywiście.

– Czyli gdzie?

– W naszym mieszkaniu na Tynnered.

– Mieszkał pan sam?

– Nie, z Elisabeth i z Paulą.

– Przecież Paula mieszkała wtedy ze swoją mamą.

– Tylko wtedy, a to trwało krótko.

– Nie znaleźliśmy żadnego potwierdzenia, że był pan ojcem.

Ney nie odpowiedział.

– Nie jest pan nigdzie zarejestrowany jako ojciec.

– Paula jest moja.

– Co pan ma na myśli?

– Że Paula była moja.

– I że mógł pan z nią robić, co pan chciał?

– Co pan mówi?

– Że należała do pana i że mógł pan z nią robić, co pan chciał?

– Nic nie rozumiecie.

– Czego nie rozumiemy?

– Po prostu się rozejrzyjcie.

– I co mamy zobaczyć?

Ney milczał.

– Może wrócimy do tego, że nie potrafi pan powiedzieć, co pan robił w czasie, kiedy doszło do zabójstwa.

Ney się nie odzywał. Wpatrywał się w przestrzeń za ścianami.

Zupełnie jakby tam odlatywał, wracał i znów odlatywał. Jakby emocje go opuszczały i wracały. Co czuł? Co wspominał? Czego się dopuścił?

Wrócił do nich. Spojrzał na Wintera.

– Chcę jechać do domu – powiedział.

Elsa wspięła się na niego jak na drzewo o wielkiej koronie.

Rozłożył ręce na boki, jak gałęzie. Właśnie doszła do lewego ramienia.

– Uważaj, żeby ci się nie zakręciło w głowie – powiedział.

– Mnie się nigdy nie kręci w głowie! – krzyknęła w dół, jakby chciała to oznajmić wszystkim, którzy zostali na ziemi.

– Tak? To zobaczymy. – Wspiął się na palce. Poczuł, że trzymająca się jego uda Lilly traci równowagę. Już wcześniej zaczęła krzyczeć. Też chciała się wspinać.

– Co wy wyprawiacie?! – krzyknęła Angela z salonu. – Eriku, nie słyszysz, że Lilly krzyczy?

– Mam tylko dwie gałęzie – odpowiedział głośno. Elsa wspinała się na drugie ramię. Ścisnęła go za szyję. Lilly na chwilę straciła oddech.

– Co? – Angela nie zrozumiała.

– MAM TYLKO DWIE GAŁĘZIE.

Angela stanęła w drzwiach. Po dwóch sekundach ciszy Lilly rozwrzeszczała się na nowo. Na pewno było ją słychać z daleka.

Winter podniósł nogę i Lilly na niej zawisła.

– Zawsze wiedziałam, że jesteś jak z drewna – powiedziała Angela.

Winter spróbował podskoczyć na jednej nodze. Elsa mocno obejmowała go za szyję. Lilly znów krzyknęła, tym razem z radości. Podskoczył jeszcze raz. Miał wrażenie, że ktoś mu uwiesił na szyi młyńskie koło. Prawe kolano zaczęło niepokojąco skrzypieć. Bolały go ramiona. Nie jestem już taki młody, pomyślał. Opuścił nogę i spróbował oderwać od niej Lilly. Pochylił się tak nisko, żeby Elsa mogła dosięgnąć podłogi.

Zastygł w tej dziwnej pozycji, ale Elsa nie puszczała.

– Uważaj na kręgosłup – powiedziała Angela.

– Pomóż mi, proszę.

Burza odeszła na południe. Pozostało po niej uczucie małości wobec natury. Tak właśnie czuł się po nawałnicach i wichurach.

Kiedy szaleje wiatr, każdy musi się ugiąć.

– I jak plecy? – Angela popatrzyła na niego z bladym uśmiechem. Spróbował się wyprostować. Przed chwilą próbował pochylić się do przodu. – Powoli.

– Nie rozumiem.

– Mosisz zacząć ćwiczyć.

– Jestem policjantem. Ćwiczenia należą do naszych służbowych obowiązków.

– A kiedy ostatnio ćwiczyłeś?

– Ciągłe ćwiczę.

– I to ma być odpowiedź?

– A może po kieliszku wina?

Elsa zasnęła w połowie bajki o najstraszniejszej czarownicy świata. Winter wymyślał ją na bieżąco. Nigdy nie udawało mu się zrobić z czarownicy prawdziwego potwora.

– Ona jest za dobra! – krzyknęła Elsa. Nie po raz pierwszy.

– No i czarownica zjadła chłopca – dodał.

– Powinna zjeść też dziewczynkę!

Sięgnął po butelkę wina. Angela siedziała po drugiej stronie

kuchennego stołu. Upiekła kilka raków. Pachniało

przyprawami, czosnkiem i masłem.

– Elsy nie zadowolają półśrodki – powiedział. – Tym razem stwierdziła, że czarownica powinna była połknąć wszystkich pojmanyh. – Nalał wina. – Oczywiście tylko dzieci.

– Nie zapominaj, że to ty jej to opowiadasz. – Angela podała mu połówkę raka.

– A co to ma znaczyć, jeśli mogę spytać?

– Że to są twoje historie.

– Akurat. Są jej. – Podniósł kieliszek. – Na zdrowie.

Angela podniosła swój. Napili się.

– Nigdy nie chce, żebym to ja jej coś opowiedziała. – Angela odstawiła wino. – Mówi, że kiedy ja opowiadam, to nikt nie jest zły.

– Powinnaś być z tego dumna.

– Co w takim razie można powiedzieć o tobie?

– Po prostu staram się być miły – powiedział z uśmiechem. –

Robię, co chce.

– Dolej mi, proszę.

– To tylko opowiastki. – Dolał jej wina. Był piątek.

Przyciągnął półmisek z rakami. – Zmyślone historie.

NIE MÓGŁ ZASNAĆ, a potrzebował snu. Musi chociaż spróbować. Bez snu nikt długo nie pociągnie. W tej pracy łatwo o bezsenność, ale przynajmniej nie był jedyny. Byłoby mu łatwiej, gdyby pracował też ciałem, nie tylko umysłem. Po wysiłku fizycznym zasypia się szybciej. Z drugiej strony praca fizyczna może być niebezpieczna. Drzewo może spaść, rusztowanie może się zarwać, a traktor przewrócić.

Podniósł się z łóżka. Angela cicho chrapnęła, jakby chciała go sprawdzić. O dziwo, Elsa przestała chrapać. Jej przypadłość chyba postanowiła sobie zakpić z medycyny. Okazało się, że operacja nie jest potrzebna. Winter uważał, że chirurg z oddziału laryngologii wyglądał na zawiedzionego, ale chyba mu się tylko wydawało.

Mario Ney na pewno wyglądał na zwiedzonego, kiedy mu wyjaśnił, że nie może jechać do domu. Może nie wyjaśnił. Po prostu mu to powiedział.

Stojący za drzwiami pokoju przesłuchań Halders pokręcił głową.

– Za mało wiemy o tym koleśku – powiedział.

Winter spojrzął na zegarek.

– A ty w przyszłym tygodniu wybierasz się na południe – dodał, podążając za wzrokiem Wintera.

– Nie dlatego patrzyłem na zegarek.

– A dlaczego?

– Bo chciałem sprawdzić, która godzina.

Halders się zaśmiał. Dziwnie to zabrzmiało między ceglanymi ścianami korytarza. Jakby znaleźli się gdzie indziej, gdzieś, gdzie jest jaśniej.

W wydziale spotkali Ringmara.

– Sandler wyszedł pół godziny temu.

Winter pokiwał głową.

– Jego matka nie wyglądała na zadowoloną.

– A on jakie sprawiał wrażenie?

– Wyglądał na winnego – odparł Ringmar.

– Winnego czego?

Ringmar wzruszył ramionami.

– Jadę do domu – powiedział Winter.

Szklanka whisky połyskiwała w świetle księżyca. Był to jedyny przebłysk światła w pokoju. Jeden promyk sięgnął dalej niż latarnie z Vasaplatsen. Noc była przejrzysta. Winter widział gwiazdy na niebie. Pomyślał o Neyu. To chyba właśnie tej przestrzeni Ney wypatrywał z takim utęsknieniem. On sam nigdy nie widział tylu gwiazd. Pokrywały całe niebo, od jednego krańca do drugiego.

Sięgnął po szklankę. Nie było widać, jakiego koloru jest to, co w niej jest, ale wiedział, że jest bursztynowe. Nocą kolory znikają. Poza czernią oczywiście. I bielą. Widział, jak białe

światło przecina panujący w pokoju mrok. Biel. Pomyślał o białej ręce. O białej farbie jako o symbolu. Właśnie tak – o farbie. Wyobraził sobie puszkę z farbą. I pomalowaną na biało ścianę. Dlaczego ręka Pauli Ney była biała? I dlaczego na biało pomalowano palec Elisabeth Ney? Biała dłoń Pauli coś oznaczała. To była wiadomość. Biała farba. Puszka z farbą. Biała ściana. Pomalowana na biało. Dopiero co pomalowana. Skąd się wzięła ta puszka farby? Nie wiedzieli. Czy pytali malarzy? Malarzy z mieszkania Pauli. Ściany w jej mieszkaniu – pomalowane w połowie. Prawie gotowe, ale jeszcze niegotowe. Jest tu coś, czego nie widzimy, co? – zapytał Halders. Sam tak myślał. Wtedy i teraz. Myśl, Erik!

Białe, niepomalowane do końca mieszkanie.

Myśl!

Niby nie ma nic dziwnego w ścianie, która wygląda, jakby ją zburzono i odbudowano.

A jednak.

To wiadomość.

Ściana sama w sobie jest wiadomością.

Wiadomość kryje się za ścianą. Za białą ścianą.

Odstawił szklankę na stół. Przez ostatnią minutę nieświadomie trzymał ją w dłoni. Zorientował się dopiero, kiedy ręka zaczęła mu się trząść. Jeszcze się nie napił.

Wstał i wrócił do sypialni. Sięgnął po leżące na krześle

ubrania.

– Eriku, co się dzieje?

Angela poruszyła się na łóżku. Światło księżycy sięgało też do sypialni. Sprawiało, że pościel wyglądała jak biała tablica.

– Muszę coś sprawdzić – odpowiedział.

– Teraz? – Podniosła się. – Która godzina?

– Niedługo wrócę.

Spakowała torbę. Potem ją rozpakowała.

Czego się boję?

Torba leżała na podłodze, zamek wystawał z niej jak język.

W środku miała czerwoną podszewkę. Kiedy przeciągnęła po niej ręką, miała wrażenie, że to aksamit.

Nie pamiętała już, co spakowała. Wyjęła ubrania z szuflady, nie patrząc, co bierze. Jakby się wybierała w podróż, ale nie wiedziała dokąd.

Zadzwoiła do koleżanki. Miała wrócić do domu około północy. Mogę wrócić wcześniej, jeśli chcesz, powiedziała.

Przed dwunastą nie ma u nas tłumów. Nie, nie, podziękowała.

Telefon znów zadzwonił.

Dzwonek przypominał krzyk.

Minęło już tyle czasu, tak jej się wydawało. Nie dzwonił od czasu, kiedy rozmawiała z tym dużym policjantem. Potem zrobiło jej się głupio. Ale telefon zamilkł, jakby ten, kto dzwonił, wiedział, że powiedziała policji. Okropne.

Postanowiła odebrać.

– Halo?

– Jednak będę w domu wcześniej.

– Aha.

– Jedziesz już?

– No, nie wiem.

– Co z tobą? Masz przyjechać i już.

– Która godzina?

– A co za różnica. Zapinaj torbę i przyjeżdżaj.

– A skąd wiesz, że jeszcze jej nie zapięłam?

– Słysząc, że naprawdę się boisz!

Nie odpowiedziała.

– Zadzwoń po taksówkę.

– Taksówki są drogie.

– Chyba nie masz zamiaru jechać tramwajem?

– Nie wiem, nie myślałam o tym.

– Gdybym miała samochód, tobym po ciebie pojechała.

– Przecież nawet nie masz prawa jazdy.

Koleżanka się roześmiała. Miło było to usłyszeć. Może

powinna pojechać. Fajnie byłoby z kimś pogadać. Nawet jeśli

sobie coś ubzdurzyła, ona na pewno to zrozumie.

– Przyjadę.

Po dziesięciu minutach zrozumiała, że nie tak łatwo

o taksówkę. Nie mogła się dodzwonić. To dziwne. Rzadko

jeździła taksówkami, ale wiedziała, że skończyły się już czasy, kiedy trzeba było czekać godzinami. Może powinnam zadzwonić do innej korporacji. Chociaż nie chcę. Boję się. Może jestem uprzedzona, ale ufam tylko im.

Zerknęła na zegarek. Rozkład jazdy tramwajów знаła na pamięć. Ostatni w stronę miasta odchodził za dziesięć minut. Podjęła decyzję. Torba była spakowana.

Na klatce schodowej pachniało jesienią i wilgocią.

Miała wrażenie, że pada deszcz, ale tylko jej się tak wydawało.

Wilgotność powietrza wynosiła chyba sto procent.

W drodze na przystanek prawie biegła. Widziała go przed sobą. Nagle usłyszała, że z drugiej strony wzgórza nadjeżdża tramwaj. To znaczy, że może nie zdążyć. Zaczęła biec szybciej. Omal się nie przewróciła, kiedy zobaczyła cień padający przed nią na asfalt.

Myśli Wintera przesuwały się szybciej niż winda, którą zjeżdżał do garażu.

Dlaczego Jonas kopał właśnie tam? Szukał Pauli. Czy ona była symbolem? Symbolem czego? Dzieciństwa? Utraconego dzieciństwa? Miłości? A może naprawdę myślał, że tam leży?

Wiedział, że leży tam jego pies? Nie. Tak. Nie. Widział tam Borgego? Widział, jak zakopuje coś w lasku? W lasku, który był jego, Jonasa, zarówno w dzieciństwie, jak i teraz?

Nacisnął przycisk na pilocie, jego samochód zamrugał do

niego.

Wyjął komórkę i wybrał numer Anne Sandler.

Odebrała po trzecim sygnale. Przedstawił się i zapytał o Jonasa.

– Nie wiem, gdzie jest – odpowiedziała.

Jej głos dochodził jakby z daleka, był stłumiony. Nie tylko dlatego, że dzwonił z podziemnego garażu.

– Sama chciałam do pana zadzwonić.

– Tak?

Otworzył drzwi. W samochodzie zapaliło się światło. Poczł dobrze znany zapach skóry. Nigdy nie wywietrzeje. Zapewniał mu poczucie bezpieczeństwa.

– Wydaje mi się, że ostatnio zauważyłam znajomą twarz z przeszłości.

– Czyją twarz?

– Nie wiem. Kogoś, kto tu wtedy mieszkał. Kiedy Jonas był dzieckiem. To znaczy nie do końca mieszkał. Po prostu widziałam tego kogoś kilka razy.

– Ma pani tak dobrą pamięć?

– Dziwne, prawda?

Winter miał przed oczami jej twarz. I jej zmieszanie.

– Może się pomyliłam.

– A dlaczego chciała mi pani o tym powiedzieć?

– Nie wiem.. Mówiłam o tym Jonasowi. Że znów go tutaj

widziałam, tego mężczyznę. Niedawno. Nie wiem, po co mu o tym mówiłam.

Czasami podświadomość nie zdradza nam, dlaczego o czymś mówimy. Nie od razu. Bywa, że zaczynamy rozumieć dopiero później.

– I co powiedział Jonas?

– Nic.

Winter czekał na ciąg dalszy.

– Ale widziałam, że zrobiło to na nim wrażenie.

– W jakim sensie?

– Nie wiem. Po prostu się przejął. Próbowałam pytać, ale nie odpowiadał. Ale przejął się tym, że widziałam tego mężczyznę.

Winter milczał.

– A wkrótce potem znalazł go pan w lasku.

Winter jechał na południe, ulicą Aschebergsgatan. Minął szpital Vasa. Kiedyś pracował tam na oddziale medycyny paliatywnej. Wtedy jeszcze wydawało mu się, że on sam nigdy się nie zestarzeje.

Minął politechnikę i na rondzie przy Wavrinskys Plats skręcił w lewo. Za szkołą, na rondzie przy Doktor Fries Torg, skręcił w prawo. Za chwilę miał przeciąć tory tramwajowe.

I wtedy ze ścieżki biegnącej między drzewami wybiegła kobieta.

Wiatr rozwiewał jej włosy.

Biegła na oślep, wymachując rękami.

Może go widziała, a może nie.

Wcisnął hamulec, na samym środku torów.

Nagle usłyszał terkot. Zobaczył, że z bocze, które miał z prawej strony, rozświetla jaskrawe światło. Tramwaj. Właśnie zjeżdżał w dół, wprost na niego. Światła oświetliły też kobietę. Wciąż biegła w jego stronę. Zobaczył przystanek i pomyślał, że przecież tramwaj musi się, do cholery, zatrzymać! Przecież tam jest przystanek! Ale tramwaj jechał dalej. Na przystanku nie było nikogo. Winter słyszał nieprzyjemny dźwięk ostrzegawczego dzwonka i terkot.

Kobietę dzieliło od niego zaledwie kilka kroków. Zawinął kierownicą w lewo, puścił sprzęgło, wcisnął gaz i zjechał z torowiska jak myśliwiec z lotniskowca.

OCZY MIAŁA WIELKIE JAK KSIEŻYC świecący nad ich głowami. Patrzyła na niego przez szybę samochodu pełnym strachu, ale niewidzącym spojrzeniem.

Położyła się na masce i oddychała, jakby za chwilę ktoś miał jej odciąć dopływ tlenu.

Winter szybko wysiadł, podszedł do niej i spróbował ją podnieść. Zaczęła się osuwać na ziemię. Miał wrażenie, że waży tonę.

Tramwaj zjechał ze wzgórza, jakieś pięćdziesiąt metrów, i zahamował, aż posypały się iskry. Zdezorientowany motorniczy włączył wszystkie światła. Rozbłyśły przed budynkiem szkoły.

Winter trzymał kobietę w ramionach. Teraz była już lżejsza.

Oparła nogi o asfalt, ale wciąż ledwo się na nich trzymała.

– Chodźmy – powiedział i podtrzymując ją, niemal niosąc, obszedł maskę i doprowadził do drzwi od strony pasażera.

Otworzył drzwi, pomógł jej usiąść, zamknął i wrócił na swoje miejsce. Tramwaj wciąż stał. Może motorniczy już porozumiał się z policją przez radiostację.

– Nino, jak się pani czuje?

Próbowała coś powiedzieć, ale zaczęła się gwałtownie trząść.

Wyciągnął prawą rękę i przycisnął ją do siebie, żeby powstrzymać dreszcze. Po pół minuty przestała się trząść.

Widział, jak tramwaj zaczyna powoli sunąć po torach. W końcu musiał się trzymać rozkładu.

– Nino, co się stało?

Podniosła głowę i spojrzała przez okno na oddalający się tramwaj. Winter ją puścił.

– Co się stało?

– On... On stanął na ścieżce, tuż przede mną.

– Kto?

Nie odpowiedziała. Wyglądała tak, jakby za chwilę znów miała zacząć się trząść. Winter wyciągnął rękę, ale Nina Lorrinder machnęła swoją.

– On. Ten, który mnie śledził.

– Czyli kto?

– Myślę, że to... on.

– On? Ma pani na myśli Jonasa Sandlera?

W pierwszej chwili chyba nie rozpoznała tego nazwiska. Znów wyjrzała przez okno, jakby chciała sprawdzić, czy wciąż stoi na ścieżce.

– Jonas? Jonas Sandler? Znajomy Pauli?

Przytaknęła.

– To był on? – powtórzył Winter.

– Tak mi się wydaje.

– Mówił coś?

Potrząsnęła głową.

– Zrobił coś?

– Ja... zaczęłam uciekać. On tam nagle stanął, więc rzuciłam się do ucieczki.

– Dlaczego pani sądzi, że to był Sandler?

– Bo widziałam... Był do niego podobny.

– Co miał podobnego?

– Był tego samego wzrostu... sama nie wiem. Był podobny.

Winter wyjrzał przez okno. Między drzewami nikogo nie było.

Tego się właśnie spodziewał. Ale może ten ktoś wciąż tam był.

Jeśli zacznie działać szybko, może go złapie.

Nagle na północy rozległ się ryk syreny. Rozpoznał go. To nie karetka. Na horyzoncie pokazały się niebieskie światła.

Zjeżdżały w stronę zbocza, na którym przed chwilą przystanął tramwaj. Udało im się rozświetlić szkołę dziesięć razy lepiej niż wcześniej motorniczemu.

Kiedy radiowóz stanął obok mercedesa Wintera, syrena przestała wyć. Światła wciąż migwały. Nina Lorrinder patrzyła na niebiesko-białe błyski tak, jakby oznaczały kolejne niebezpieczeństwo. Cienie pojawiały się i znikwały z jej twarzy.

Jeden z umundurowanych policjantów wysiadł z auta i powiedział coś do krótkofalówki. Drugi też wysiadł.

W migającym świetle Winter nie mógł rozpoznać ich twarzy.

Widział tylko, że to dwóch mężczyzn. Możliwe, że z komisariatu na Lörensberg.

Otworzył drzwi i zaczął wysiadać.

– Tylko spokojnie! – krzyknął policjant stojący bliżej.

– To ja, Erik Winter – odpowiedział. – Ze śledczego.

Ruszył do przodu.

– Nie ruszaj się! – krzyknął drugi policjant. Chyba chwycił swojego sig-sauera.

Dobry Boże, pomyślał Winter. Tylko tego mi było trzeba.

Spojrzał na Ninę Lorrinder. Siedziała spokojnie. Może ten policjant wyciągnie broń. Jeden nagły ruch i będzie świadkiem kolejnego zabójstwa.

Zobaczył, że pistolet połyskuje całkiem niedaleko.

– Schowaj broń, idioto! – krzyknął. – Jestem Erik Winter, komisarz. Jestem na służbie. Coście za jedni, do cholery?!

Policjant stojący bliżej odwrócił się do kolegi.

– To chyba on. Poznaję tego merca. – Potem spojrzał na Wintera. – Winter, to pan?

– Mogę wysiąść? – zapytał głośno Winter.

– Ręce na głowę! – krzyknął policjant z bronią w ręku.

Winter już nie widział pistoletu.

– Spokojnie – powiedział ten stojący bliżej. – To Winter, ze śledczego.

Winter ruszył do przodu.

– Dostaliśmy zgłoszenie od motorniczego – powiedział policjant. – Wydawało mu się, że ktoś chciał wjechać

w tramwaj. – Uśmiechnął się. Tak przynajmniej wydawało się

Winterowi. – Myśleliśmy, że to może jakiś uciekinier.

– Uciekinier skąd?

Policjant wzruszył ramionami. Winter wyciągnął legitymację i uniósł ją wysoko nad głowę. Minął pierwszego policjanta, obszedł radiowóz i stanął przed drugim. Kiedy się zorientował, że schował już sig-sauera, uderzył go lekko w splot słoneczny.

Wiedział, że tam, na tylnej ścianie brzucha, łączą się komórki nerwowe. Wiedział też, że splot reaguje na ciosy w przeponę.

Że prowadzi to do chwilowego paraliżu. To właśnie chciał osiągnąć.

Policjant pochylił się przed nim w głębokim ukłonie.

– Chciałeś nas zastrzelić czy co?

– Spokojnie – powiedział drugi policjant.

Winter spojrzał na niego.

– Co mówiłeś?

– Proszę się uspokoić.

– Uspokoić? Kto tu powinien się uspokoić? – Winter spojrzał na pochyłonego policjanta. Właśnie zaczął się podnosić i powoli odsuwać na bezpieczną odległość.

Winter wskazał na mercedesa.

– W moim samochodzie siedzi kobieta, na którą ktoś napadł w tym lesie. Ten, kto ją napadł, był tam jeszcze przed chwilą. Możliwe, że to zabójca, winny jak dotąd czterech morderstw.

Tropiłem go przez całą jesień i może bym go dziś w nocy złapał, gdyby nie wy. Wątpię, żeby tam jeszcze był.

– Skąd, do cholery, mieliśmy o tym wiedzieć? – zapytał starszy policjant.

– Poza tym właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł i chciałem to sprawdzić – dodał Winter. – Spieszyłem się.

Policjant potrząsnął głową. Mogło to wyrażać wszystko. Na przykład to, że on i jego kolega w zasadzie postąpili właściwie. Że nie ryzykowali. Że on, Winter, powinien wiedzieć, że w dzisiejszych czasach policjanci sięgają po broń szybciej niż kiedyś. W końcu czasy są mniej bezpieczne.

– Mamy wejść do lasu i go poszukać? – zapytał.

Winter spojrzął na swoje auto. Przez przednią szybę widać było sylwetkę Niny Lorrinder. Tak wyraźnie, jakby ktoś ją wyciął z kartonu.

– Tak, ale najpierw trzeba się zająć tą kobietą. Zawieziecie ją tam, gdzie sobie zażyczy.

Stał u wylotu ścieżki i patrzył na tylne światła radiowozu, który właśnie ruszał w stronę Wavrinskys Plats.

Nina Lorrinder nie umiała mu powiedzieć nic więcej.

A potem pojechała do koleżanki. Nie chciała jechać nigdzie indziej.

Patrol miał wrócić, ale Winter wątpił, żeby cokolwiek albo kogokolwiek znaleźli. Zanim odjechali, zapytał młodszego

policjanta, jak się czuje. Powiedział, że świetnie. Jeśli chcesz złożyć na mnie skargę, proszę bardzo, dodał. Myślałem, że to pan złoży skargę na mnie, odparł tamten. Znajdziesz mnie, jak wrócę z urlopu, powiedział Winter. Po pierwszym czerwca. Wrócił do samochodu. Od chwili kiedy wjechał na tory, nie zjawił się nikt, kto by widział ten dramat. Jakby byli na scenie zupełnie sami. Przedstawienie się skończyło, a wokół wciąż było tak samo pusto.

Winter wszedł do samochodu, wyjął komórkę i wybrał numer. Wysłuchał nagrania na poczcie głosowej i zaczekał na sygnał. – Jonas, tu Erik Winter. Chciałbym, żebyś do mnie zadzwonił, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość. Jeśli zapomniałeś numeru, oto on.

Wymienił cyfry. Powiedział też, która jest godzina. Zbliżał się środek nocy.

– Chciałbym też, żebyś natychmiast zgłosił się na najbliższy komisariat. Albo na komendę. Mam nadzieję, że mnie słyszysz i że rozumiesz. Chcę ci pomóc. Wiem, co się stało dzisiaj w nocy na Guldheden. Możesz zostać tam, gdzie jesteś, i zadzwonić na komendę. Albo do mnie. To już koniec, Jonas. Tego ostatniego nie mógł być pewien, ale dobrze to brzmiało. Jakby wiedział wszystko.

Na wstecznym przejechał przez tory.

Potem wrzucił jedynekę i gwałtownie ruszył tam, gdzie od

początku zamierzał jechać.

Dom stał wśród czterech innych zbudowanych w tym samym czasie i w ten sam sposób. Drugi od lewej. Oświetlało go światło latarni, ale był najciemniejszy ze wszystkich. Księżyc zdawał się do niego nie sięgać.

Winter zatrzymał się na wąskim parkingu i przeszedł przez niewielkie podwórko. Nie było huštawek, chyba że stały z tyłu. Właściwie w ogóle nie widział placu zabaw. Pomyślał, że może nie ma tam już dzieci.

Otworzył drzwi kluczem, którego używali od jej śmierci.

W przedpokoju było ciemno, ale po chwili przyzwyczał się do ciemności. Wciąż pachniało farbą i klejem do tapet. Taki zapach jest nieszkodliwy, nie może nikomu zaszkodzić. Długo się utrzymuje. Kiedyś Winter malował swoje mieszkanie etapami i zapachy układały się w swoisty kalendarz. Łączyły się z nimi wspomnienia.

Powoli przeszedł przez mieszkanie. Zapalał wszystkie możliwe światła.

Elektryczne światło może i jest imitacją światła dziennego, ale dla Wintera tylko pogłębiało noc.

Nie był zmęczony.

Był podniecony, a może czuł pierwsze oznaki podniecenia. To mogło coś znaczyć.

Stanął w sypialni Pauli. Szarą ścianę za łóżkiem przecinały

białe pociągnięcia pędzla. Przypominały mur pruski. Widać było resztki gładzi. Nie skończyli gruntować. Nagle pomyślał, że chciałby wiedzieć, jaka miała być tapeta.

WYSZEDŁ Z SYPIALNI, przeciął przedpokój i wszedł do salonu. Trzy z czterech ścian pomalowano na biało. Były gładkie. W świetle lampy biel raziła go w oczy. Na podłodze wciąż leżała gruba warstwa folii, szarej jak morze.

Dotknął ściany. Była gładka jak aksamit. Jakby gładził nagą skórę. Cofnął rękę. Folia wydała głuchy odgłos, kiedy na nią wszedł. Było cicho. W tym mieszkaniu zawsze tak było.

Znów popatrzył na ściany. Powoli obrócił się wokół własnej osi. Spojrzał na folię i na drzwi prowadzące do przedpokoju.

I na okno, przez które zaglądała noc. Obejrzał też przedpokój.

Tam też ściany były zagruntowane.

Wrócił do sypialni. Łóżko było odsunięte od ściany. O pół metra. Pewnie malarze je przestawili. Przyglądał się ścianom równie uważnie, jak przed chwilą w salonie. Grunt naniesiono zamaszystymi pociągnięciami pędzla. Powierzchnia nie była gładka. Nierówności było widać gołym okiem, ale było ich tyle, że tworzyły w miarę regularny wzór. Ciągnął się od sufitu do podłogi.

Podszedł do drzwi i zaczął przesuwając dłońmi po ścianie.

Potem zajął się dłuższą ścianą, po obu stronach okna.

Nierówności przesuwają mu się między palcami niczym kamyki na znajomej plaży, niedaleko stąd. To była jego plaża.

Podobna znajdowała się parę mil na zachód od Marbelli. Już za

tydzień i ją uzna za swoją.

Deszcz zaczął bębnić o szyby. Kiedy wchodził, wyglądało na to, że wiatr rozgani ciemne chmury, ale najwidoczniej wróciły.

Oderwał dłonie od ściany i zaczął je wąchać. Pachniały olejem, rozpuszczalnikiem i terpentyną. Od takiego zapachu można się uzależnić. Opuścił ręce i podszedł do łóżka. Obszedł je i zaczął przesuwać dłońmi po tylnej ścianie – od prawej do lewej.

Grunt nałożono tu wyjątkowo starannie. A może wręcz przeciwnie – bardzo niechlujnie. Czasami trudno odróżnić jedno od drugiego. A światło wiszącej pod sufitem lampy bynajmniej nie ułatwiało mu zadania.

Wyczuł coś na wysokości wezgowia łóżka, metr od podłogi.

Pod krzyżującymi się pasami farby coś było. Coś kwadratowego, mniej więcej pięć na pięć centymetrów.

Przesunął palcami po tej równobocznej powierzchni.

Delikatnie nacisnął i poczuł, że wierzchnia warstwa cofnęła się o kilka milimetrów.

Rozejrzał się za jakimś ostrym narzędziem. Chciał użyć kluczyków, ale były za duże.

W kuchennej szufladzie znalazł wąski nożyk. Z kieszeni marynarki wyjął rękawiczki i założył je.

Ostrożnie naciął ścianę w prawym górnym rogu kwadratu.

Zobaczył plastik. Chwycił za róg i wyciągnął go. Za nim zobaczył nieduże zawiniątko. Przeciął oba boki kwadratu

i wyjął je.

Płaska paczuska, owinięta w taką samą folię jak ta na podłodze. Miała chronić to coś, jak wszystko wokół. Winter powoli zdjął folię. Paczuska była nią obłożona bardzo grubo. W środku było zdjęcie i dwa arkusiki papieru. Zapisane ręcznie, niebieskim cienkopisem. Litery były blade. To chyba listy. Spojrzał na zdjęcie. Czarno-białe. Dwoje dzieci siedziało na huśtawkach, na znanym mu placu zabaw. Patrzyły na siebie. Chyba się śmiały. Dziewczynka i chłopiec – Winter rozpoznał jego profil. Piętnaście metrów za huśtawkami widać było lasek. Gałęzie zwisały bez ruchu, jakby w dniu, kiedy robiono zdjęcie, wiatr zupełnie zamarł. W połowie drogi między placem zabaw a laskiem stał mężczyzna. Patrzył na dzieci. Zdjęcie było na tyle ostre, a odległość na tyle nieduża, że Winter rozpoznał tę twarz. Christer Børge. Zdjęcie zadrzało mu w dłoni i uwiecznione na nim gałęzie jakby się poruszyły. Ale on widział tylko tę twarz. Børge patrzył przed siebie, jakby nie było tam aparatu ani fotografa. Kto zrobił to zdjęcie? – zastanawiał się Winter. Anton Metzer? Teraz sobie uświadomił, że w lewej ręce trzyma dwie kartki. Zaczął czytać to, co napisano na pierwszej z nich. Przebiegł ją szybko wzrokiem. Dziesięć linijek. Już je znał. Kartka zaczęła mu drżeć w ręce, zupełnie jak zdjęcie dziesięć sekund wcześniej. Przełożył list do drugiej ręki, jakby to mogło pomóc. Przeczytał też to, co napisano na drugiej kartce. Było

tego trochę więcej, może piętnaście linijek. Nie liczył. Zanim skończył czytać, do oczu napłynęły mu łzy.

Deszcz lał tak mocno, jakby wszystkie kontynenty świata miały zniknąć pod wodą. Kiedy Winter dobiegł do samochodu i zamknął za sobą drzwi, był mokry, jakby przepłynął dystans dzielący parking od domu. Przetarł twarz rękawem płaszcza.

Na ustach poczuł smak soli, ale nie były to tylko krople deszczu.

Strugi wody ściekały po szybie, jakby ktoś ją polewał strażackim wężem. Na trzy sekundy zamknął oczy. Potem je otworzył i zaczął mrugać, żeby osuszyć łzy. Odpalił silnik.

Komórka zadzwoniła, kiedy jechał w stronę Linnéplatsen. Na ulicach było pusto. W szpitalu Sahlgrenska było całkiem ciemno, jakby ulewa zniszczyła wszystkie przewody. Wraz z kolejnym dniem nadeszła kolejna nawałnica. Bo, formalnie rzecz biorąc, właśnie zaczął się nowy dzień.

Komórka! Cholera, nie mógł jej wyciągnąć z kieszeni płaszcza.

Kiedy próbował się dostać do wewnętrznej kieszeni, mokre palce ślizgały się po zamku. Po co go w ogóle zapinał? Pewnie zrobił to, kiedy po wyjściu z mieszkania na kilka chwil przestał kontaktować. Nie pamiętał nawet, jak schodził po schodach i jak wyszedł przed dom. Komórka znów zapiszczała w kieszeni.

Ten ktoś nagrał wiadomość. Skręcił w stronę centrum kultury Konstepidemin. Zaparkował przed Instytutem Psychologii

i wreszcie udało mu się rozpiąć zamek. Zerknął na wyświetlacz.

Włączył pocztę: masz jedną nową wiadomość. Odebrano...

Wiedział, kiedy ją odebrano.

Ktoś się odezwał w słuchawce, ale głos zagłuszała burza.

– Winter?! To pan?! Jeśli pan mnie słyszy, proszę się ze mną skontaktować.

Krótką przerwą. W tle, które zagłuszyło całą resztę, Winter usłyszał hurkot. To pewnie deszcz. I nagle huk, jakby ktoś walił młotem w kowadło.

– Winter! Muszę panu...

Połączenie zostało przerwane. Pewnie przez burzę. Szlag trafił nadajnik, ale Winter rozpoznał głos.

Richard Salko, portier z hotelu Revy.

To on dał mu listę zatrudnionych w hotelu. Nie było na niej Christera Börgego. To nie musiało nic znaczyć. Winter sam nie umiałby wymienić wszystkich, którzy pracowali u nich przez te wszystkie lata.

Salko był wzburzony.

Winter nie miał jak oddzwonić – numer był zastrzeżony. Ale miał jego domowy numer. Wybrał go, odczekał kilka długich sygnałów i rozłączył się. Rzucił komórkę na siedzenie pasażera i przejechał przez Övre Husargatan. Na czerwonym, ale nie było nikogo, z kim mógłby się zderzyć. Pewnie burza zablokowała światła.

Kiedy skręcał w Vasagatan, komórka znów zadzwoniła.

Skórzane siedzenie zaświeciło się od niej, jakby zajęło się ogniem. Chwycił ją, nie spuszczać wzroku z jezdni.

– Tak?

– Erik, gdzie jesteś? Co się dzieje?

– Jestem na Vasagatan.

– To dobrze.

– Jeszcze tylko coś sprawdzę.

– Na Vasagatan?

– Tak.

– Co?

– Muszę odwiedzić Christera Börgego.

– Teraz? Nie możesz z tym poczekać kilka godzin?

– Nie.

– Tylko nie zrób nic głupiego – powiedziała Angela. – I przede wszystkim nie rób nic sam.

– Nie zrobię nic głupiego – odparł.

Może głupotą było otwarcie drzwi mieszkania Börgego.

Dzwonił, ale nikt nie otworzył. Dał mu tyle czasu, ile było trzeba. Dźwięk dzwonka rozbrzmiewał cicho za drzwiami.

Wszystko zagłuszała burza.

Powoli uchylił drzwi. Na wycieracze nie było listów ani gazet.

Jeszcze za wcześnie na dzisiejszy numer, pomyślał. Wątpił zresztą, żeby jakikolwiek goniec wybrał się tego ranka na

miasto.

Przeszedł przez przedpokój, nie zapalając światła. Przy biodrze czuł pistolet. Poświata ulicznych latarni rozświetlała delikatnie mieszkanie, ale wiatr szarpał nimi tak gwałtownie, że światło krążyło wkoło, do niczego się nie przydając. Zupełnie jak na dyskotecę w latach siedemdziesiątych. Drzewa za oknem też wyglądały, jakby tańczyły.

Był już w przedpokoju i w salonie. Reszty mieszkania nie widział. Miał zamiar przyjść z nakazem rewizji, ale ponieważ i tak już tam stał, nie potrzebował pozwolenia.

W salonie było na tyle jasno, że trafił do regału. Trzy zdjęcia zniknęły.

Odwrócił się.

W drugim końcu pokoju widać było zamknięte drzwi.

Wyciągnął broń i sprawdził ją. Przeciął pokój, minął białą sofę, przywarł do ściany przy drzwiach, nacisnął klamkę i otworzył je kolbą pistoletu. Odczekał kilka sekund i szybko zajrzał do pokoju. Zobaczył łóżko, stół, krzesło i ścianę. Cofnął głowę, odczekał i znów zajrzał. Gdyby w środku ktoś był, już by się zorientował. Ale nie było tam nikogo. Za łóżkiem znajdowały się kolejne drzwi. Były uchylone. Podeszedł do nich i przystanął. Coś połyskiwało na podłodze. Wyczuł ręką kontakt. Zapalił światło, ale było słabsze, niż się spodziewał.

Na podłodze stały buty. Setki butów. Wyglądały jak stado

lemingów, jak horda szczurów. Nagle zaczęło go lekko mdlić.

Zakręciło mu się w głowie. Kilka spośród tych niezliczonych par widział wiele lat temu. Były niezniszczalne. Gdzieś w tej masie znajdą parę, która będzie pasować do śladów zostawionych na dworcu, przy schowkach.

Zamknął drzwi garderoby i wyszedł do przedpokoju. Obszedł róg i na końcu tej części korytarza zobaczył kolejne drzwi. Ten dziwny przedpokój przypominał hol w hotelu Revy. Wszystko zresztą przypominało hotel Revy. Winter szedł powoli. Nie potrzebował więcej światła. Wystarczało to, które dochodziło z pokoju za nim.

Na drzwiach białą farbą wymalowano dziesiątkę. Odstęp między jedyneką a zerem był tak duży, że wyglądały jak osobne liczby.

Drzwi były zamknięte. Naparł na nie ramieniem, ale nie ustąpiły. Odsunął się i z rozmachem kopnął w zamek. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Próbował nie wpaść do środka wraz z nimi. W wyciągniętych rękach trzymał pistolet.

W środku było ciemno. Nie było okna. Widział jedynie kontury. Pokój musiał być równie duży, jak sypialnia. Kto projektuje pokój bez okien? Czy Börge sam tak przebudował mieszkanie?

Zrobił krok w przód. Smród, który poczuł, otwierając drzwi, nasilił się. Mdłości niespodziewanie wróciły. Odwrócił się

i zaczął głęboko oddychać. Na jego czole pokazały się krople potu. Jezu.

Zmusił się, żeby tam wejść. Poszukał włącznika. Kiedy światło rozbłysło, musiał zmrużyć oczy. Otworzył je, zamknął, otworzył, zamknął i znów otworzył.

Na ścianie przy drzwiach w równo zwiniętych pętlach wisiał sznur. Połyskiwał tym samym stalowoniebieskim odcieniem co buty w garderobie.

Na stojącym pod nim stole leżało mnóstwo odlewów.

Wszystkie były białe. Stół chyba był stalowy. Leżące na nim przedmioty odbijały się w blacie jak w wodzie. Były tam wszystkie części ciała: ramiona, nogi, głowy, miniatura torsu.

Wyglądało to jak rekonstrukcja greckiej świątyni w trzy stulecia po najeździe Wandalii. Nic nie zostało się w całości. Obok leżały formy odlewnicze: drewniane i metalowe, skonstruowane jakby na oko, nie według instrukcji. Ale efekty robiły wrażenie.

Winter miał już okazję się o tym przekonać. Teraz mógł zajrzeć do warsztatu.

Ale gips nie ma przecież zapachu. Odlewy wyglądały jak części ciała, ale nie wydzielały przecież organicznych substancji ani nie śmierdziały. Winterowi wydawało się, że okropny zapach trochę osłabł przez ostatnich kilka minut, ale i tak miał wrażenie, że stoi w pokoju spryskanym amoniakiem.

Zrobił krok w przód, a potem w bok.

Metalowe obręcze na ścianie połyskiwały równie mocno, jak stół i zwoje sznura. Ściana też wyglądała jak z gipsu. Resztki sznura wciąż zwisały z dużych poręczy. Końce były poszarpane, jakby ktoś próbował go przegryźć.

Na podłodze widać było dużą plamę. Rozpełzła się jak cień.

Wciąż była wilgotna.

To tutaj przetrzymywał więźnia – Ellen, pomyślał Winter.

W końcu wróciła do domu.

Znow poczuł, że mdłości wracają. Z ogromną siłą.

WINTER STAŁ NA CHODNIKU i próbował zaczerpnąć tyle powietrza, ile tylko mógł. Deszcz osłabł, ale wichura wciąż szarpała drzewami, jakby w akcie zemsty. Może to orkan.

Winter zwrócił twarz do nieba. Próbował połknąć jak najwięcej wody. Po mdłościach wciąż czuł w ustach nieprzyjemnie silny posmak. Nadal paliło go w brzuchu.

Na prawo od plamy stała walizka Pauli. Nie otworzył jej.

Komórka zadzwoniła, kiedy stał z twarzą zwróconą w stronę ciemnego nieba. Zdziwił się, że mimo huku wichury usłyszał dzwonek.

– TAK?! – krzyknął i wrócił do klatki. Chciał się w niej schować.

Usłyszał głos, ale nie rozumiał słów.

– NIC NIE SŁYSZĘ!

Nagle słowa do niego dotarły, w połowie zdania. Głos mówił wyraźnie, jakby Winter znalazł się w oku cyklonu.

– Proszę powtórzyć.

– Nie chciałem jej przestraszyć!

– Jonas!

Jonas nie odpowiedział.

– Gdzie jesteś?

– Jestem...

Słowa znów pochłonęła noc. A może ranek. Był coraz bliżej.

Może i ten dzień będzie jasny.

– Jonas, posłuchaj mnie! Słyszysz?

Winter usłyszał pomruk. Nie wiedział, czy Jonas też go słyszał.

Zupełnie jakby każdy z nich mówił sam do siebie.

I nagle znów wyraźnie usłyszał jego głos.

– Chciałem ją przed nim ostrzec! Przed Börgem! Próbowałem już wcześniej. Ale nie miałem odwagi.

– Właśnie stoję przed jego domem – powiedział Winter. –

Byłem w jego mieszkaniu.

Burza znów przechwyciła ich rozmowę. Winterowi wydawało się, że Jonas znów wymienił to nazwisko: Børge. Jego głos się oddalał, jakby i jego porwała burza. Winter czuł, jak wiatr szarpie jego ubranie. Przez chwilę myślał, że się przewróci.

– Jonas?! – krzyknął. – JONAS?!

Nie odpowiedział.

Co miał mu powiedzieć? Czy go słyszał? Czy wiedział, że jest w niebezpieczeństwie? Czy ma zostać tam, gdzie jest? Ale przecież Winter nie wiedział, gdzie jest. Z tego, co słyszał, wnioskował, że gdzieś na dworze. To niebezpieczne. Ale na to samo niebezpieczeństwo byłby narażony w domu. Usłyszał sygnał. Najwidoczniej połączenie zostało przerwane. Spojrzał na swój samochód. Stał tam, gdzie go zostawił, opierał się wicherze. Odwrócił się i spojrzał w ciemne okna mieszkania Børgego. Wydawało mu się, że widzi światło w pokoju w głębi,

ale podpowiadały mu to emocje. Zaczął rozmyślać o rozmowie z Jonasem. Została przerwana, tak samo jak rozmowa z Salko. Salko nigdy by nie próbował się z nim skontaktować, gdyby to nie była sprawa życia i śmierci. Był tego świadomy. Wciąż trzymał telefon w ręce. Wykręcił jego numer, ale i tym razem nikt nie odebrał.

Pomyślał, że jest takie miejsce, gdzie może teraz być. Tylko to przychodziło mu do głowy. Tam wszystko się zaczęło.

Hotel Revy zdawał się uginać pod naporem wiatru, ale to była tylko gra cieni rzucanych przez burzę. Otaczające go wąskie uliczki jakby zniknęły. Ale na pewno wciąż tam były. Winter wjechał w jedną z nich. Zatrzymał się dopiero przed dwiema powalonymi przez wiatr brzożami. Pomyślał, że w mieście jest więcej drzew, niż się wydaje. Centrum nagle zmieniło się w dżunglę, w północną dzicz. Chyba nie tego oczekują mieszkańcy.

Stanął na schodach prowadzących do zamkniętego już na dobre hotelu. Szyld wciąż wisiał na ścianie. Na wietrze jeszcze bardziej przypominał gigantycznego wspinającego się pająka.

Zbliżał się świt. Schowane za popękana fasadą niebo było czarne, ale nie wiadomo skąd pojawiała się na nim przyćmiona czerwień. Winter widział okno pokoju numer dziesięć. Wszedł na górę i pchnął wykończone mosiądzem drzwi. Uchyliły się bezgłośnie. Poświecił na zamek latarką, którą przyniósł

z samochodu. Nie zauważył uszkodzeń. Ale mosiądz był równie stary jak wszystko w hotelu i jego niby-równą powierzchnię mogły równie dobrze pokrywać setki rys.

Powietrze w holu było ostre i zimne. Było chłodniej niż na zewnątrz. Pewnie kiedy odcięto ogrzewanie, zimno zakradło się do środka – wreszcie miało szansę objąć budynek w posiadanie.

Schody skrzypiały przy każdym kroku. Grube ściany tłumiły większość odgłosów burzy.

– Halo?! – zawołał. – HALO?!

Stanął na przedostatnim stopniu. Słuchał.

Było cicho. Cisza zapanowała na dobre, cisza i zimno.

– Panie Salko? Jest pan tu?

W korytarzu świecił latarką w każdy kąt, do którego sięgało światło.

Korytarz prowadzący do pokoju numer dziesięć był z prawej.

Winter odwrócił głowę i spojrział na drzwi w głębi. Poświecił w tamtą stronę, ale latarka nie sięgała tak daleko.

Kiedy podszedł bliżej, stwierdził, że drzwi są do połowy otwarte. W środku światło wpadające z ulicy przesuwało się w tę i z powrotem, zupełnie jak przed chwilą światło jego latarki. W tę i z powrotem. Zrobił jeszcze kilka kroków.

Dostrzegł plecy, kark, sznur. Teraz wyglądał na czarny, ale

Winter wiedział, jaki kolor będzie miał w dziennym świetle.

Ciało huśtało się powoli. Winter był już dwa kroki od wejścia.

Nagle usłyszał dzwonek komórki. Na pewno jego. Czuł wibracje na piersi, ale równie dobrze to jego serce mogło tak walić.

Przeszedł przez próg. Najpierw mignął mu jakiś cień, potem ktoś wymierzył mu cios w kark.

Kiedy zadzwonił telefon, Aneta spała. Mogła uznać, że to tylko sen. Taki, którego nad ranem już się nie pamięta.

Obudziła się jednak i sięgnęła po słuchawkę, ponad Fredrikiem. Zawsze spał jak kłoda. Zazwyczaj trzeba było czegoś więcej, żeby go obudzić. W pokoju było ciemno, był środek nocy. Przez kilka sekund próbowała wymacać słuchawkę.

– Halo?

– Przepraszam, że dzwonię tak późno... to znaczy wcześniej...

Tu Angela... Angela Hoffmann. Ta od Erika Win...

– Angela – przerwała jej Aneta. W głosie Angeli słyszała głęboki niepokój. – Co się stało?

– Nie wiem... Erik gdzieś pojechał. W nocy. Mówił, że musi tylko coś sprawdzić. Potem zadzwonił, a potem... potem przestał się odzywać.

– Kiedy dzwonił po raz ostatni?

– Jakąs godzinę temu. Może mniej. Przed chwilą próbowałam go złapać, ale nie odbiera.

– Skąd dzwonił? – zapytała Aneta.

– Z Vasagatan. To tuż obok nas. Tak się martwię. Nie

wiedziała, co...

– Co zamierzał zrobić? – Aneta znów jej przerwała.

Usłyszała, jak za jej plecami Fredrik podnosi się na łóżku.

– Co zamierzał zrobić? – powtórzyła.

Fredrik przysunął się bliżej, żeby słyszeć, co mówi Angela.

– Mówił, że jedzie do tego, jak mu tam... Börgego. Do

Christera Börgego.

– Jadę tam – powiedział Fredrik, zrywając się z łóżka. –

Zadzwońię po chłopaków. – Sięgnął po leżącą na nocnym stoliku komórkę.

Co za cholerny idiota, wymamrotał, wciągając spodnie.

Winter poczuł ucisk na policzku. Miał nadzieję, że to sen. Nie chce się budzić, pomyślał.

Ale się obudził. Nie wiedział, co mu się śniło ani czy to już jawa.

Leżał na brzuchu z twarzą zwróconą w bok. Próbował poruszyć rękoma, ale miał je związane na plecach. Nogi też miał ciasno oplecione sznurem.

Okropnie bolała go szyja. Słyszał, że rzezi, jakby miał zmiądzoną tchawicę.

Zobaczył, jak po podłodze kroczą w jego stronę czyjeś buty. To właśnie widział: podłogę. Buty zatrzymały się tuż przy jego twarzy. Poznał tę markę.

Ktoś podniósł jego głowę. Wciąż widział nieostro.

– Przyszedłeś wreszcie – powiedział Christer Børge.

Winter widział jego twarz kilkadziesiąt centymetrów przed sobą. Pomyślał, że nigdy jej nie zapomniał i nie zapomni do końca życia. Może będzie ją widział do końca życia. Może będzie to ostatnia twarz, jaką będzie mu dane oglądać. Tak.

Nie. Tak. Wszystko zależy od tego, co Børge ma mu do powiedzenia. I ile potrzebuje na to czasu. Mój samochód stoi dwie przecznice stąd, za chwilę wszyscy się tu zjadą.

– Niewiele mam ci do powiedzenia. – Børge się uśmiechnął. – Nie lubię wyjaśniać.

Winter otworzył usta. Próbował coś powiedzieć, ale z jego krtani nie wydobył się żaden dźwięk. Słyszał tylko świst przelatujący mu przez gardło, ale słyszał go również, zanim poruszył ustami.

– Twój głos chyba trochę ucierpiał – powiedział Børge i wstał. Złapał go za kołnierz i pociągnął pod ścianę.

Winter miał wrażenie, że znów ktoś rozdziera mu gardło.

Opierał się karkiem o ścianę, pod dziwnym kątem. Zaczęły go boleć ścięgna.

– Ale na pewno mogę ci powiedzieć tyle: nie spodobało mi się, że mnie zostawiła – ciągnął Børge.

Wciąż stał w tym samym miejscu.

– Bardzo mi się to nie spodobało. – Chyba pochylił się do

przodu. – Widziałem ją. Właściwie to widywałem ją często, ale teraz mam na myśli ten dzień, kiedy poszła na dworzec.

Machnął ręką, jakby wskazywał w stronę dworca. Był niedaleko. Stąd wszędzie jest blisko, pomyślał Winter.

Wszystko jest wręcz na wyciągnięcie ręki. Tylko że ja nie mogę ruszać rękami.

– Chciała pomóc tej dziewczynie wyjechać – mówił dalej

Börge. – Chciały wyjechać we dwie. – Kiwnął głową dwa razy.

– Ale było już za późno. Nie mogłem im na to pozwolić. Nie tym razem. Nie na dobre.

Börge przykucnął, ale od Wintera wciąż dzieliło go kilka metrów.

– No tak, przecież ją widziałeś. Czy raczej jej ślady. Ślady

Ellen. Sama je zostawiła. Byłeś u mnie w domu, jak sądzę. –

Znów się uśmiechnął. Kilka takich uśmiechów Winter już

w swojej karierze widział. – Ona... cóż, żałowała. Ale przecież

był już najwyższy czas. – Börge narysował w powietrzu kółko. –

A teraz oni wszyscy nas zostawili. Tak to wygląda. Możesz to

nazwać zemstą, jak chcesz. Ale ona nie była w porządku. Nie

można tak postępować. Skłamała. Dopuściła się gorszych

rzeczy. – Nagle jego oczy jakby zmały.

– Wszyscy mnie okłamali! Kto wtedy pomyślał o mnie? Kto

z nich WSZYSTKICH o mnie pomyślał? – Börge zmienił

pozycję, ale wciąż kucnął. – I nie zasłużyli na to, żeby im

pozwoić dalej kłamać. Chciałem, żeby mnie błagali o wybaczenie, żebym im wybaczył to, co zrobili. I pod koniec błagali. Wszyscy prosili o wybaczenie. Może wtedy przestali być winni? Może biała farba też im pomogła. I przyprowadziła cię tutaj. – Znow usiadł inaczej. – Chociaż teraz mam to już gdzieś.

Ty chyba też, co?

Uśmiechnął się kolejny raz. Winter spróbował poruszyć głową, ale poczuł, że przyłgnęła do miejsca, w którym ułożył ją Börge. Miał wrażenie, że zaraz rozerwie mu gardło. Jakby ktoś go dusił.

Nie prosili cię o wybaczenie, pomyślał. Paula nie prosiła cię o wybaczenie, łajdaku. Prosiła o nadzieję, której nie mogłeś jej dać. Prosiła o to, żeby wszystkie kłamstwa poszły w niepamięć.

– Dołączysz do nich, Winter. Ty też stąd odejdziesz, tak jak oni. Powiedzmy, że to... logiczny ciąg dalszy. Ale tym razem będzie to podróż w jedną stronę.

Podniósł się i zrobił kilka kroków w stronę Wintera.

– Niewygodnie ci tak siedzieć? Może pomogę? – Pochylił się nad nim i znow spróbował podciągnąć go za tułów.

Jednocześnie odpychał jego głowę na bok. – Tak lepiej?

Muszę coś powiedzieć, pomyślał Winter. Muszę spróbować.

Spojrzał na ciało Salki. Wisiało nieruchomo. Najwidoczniej

Börge je rozbijał, zanim on wszedł.

Börge podążył za jego spojrzeniem.

– Zastanawiasz się, co tu robi ten stary boy? – Spojrzał na Wintera z góry. – Nie ma nad czym. Po prostu się wystraszył. Wiedział to i owo i najwidoczniej ci o tym nie powiedział. Może powinien był. Zresztą nawet próbował. Ale chciał się ze mną spotkać, a to przecież było najlepsze miejsce. Chyba przyznasz? Tak tu cicho i spokojnie. – Odwrócił głowę i popatrzył na ciało Salki. – Chciał dostać trochę pieniędzy, ale ja bynajmniej nie miałem ochoty mu ich dawać. Myślał, że coś dla niego mam. Miałem, ale co innego, niż się spodziewał. – Znów spojrzał na Wintera. – I właśnie tak to się zaczęło. Salko chciał coś dostać. Można powiedzieć, że to on poruszył tę lawinę. Pewnie się zastanawiasz, czemu minęło tyle czasu, zanim wreszcie... zareagowałem. Cóż... – Wzruszył ramionami. – Zupełnie jak ten stary kombinator z Hisingen, Metzer. Poznałeś go. Nie chciał wprowadzić pieniędzy, ale też nie chciał siedzieć cicho. Przestało mu się to wydawać zabawne. Jakby tylko zabawa się dla niego liczyła. – Jego oczy znów zrobiły się małe. Głos mu się zmienił. – Ale nie wszystko może być zabawne, nieprawdaż? A jeśli już nie jest, to może należy się nad tym zastanowić. A nie grozić, że się wygada byle komu. On na przykład chciał powiedzieć tobie. Powiedzieć o mnie! Groził mi. – Jego oczy się rozszerzyły. Wyglądał, jakby patrzył gdzie indziej, gdzieś w przeszłość. – W pewnym sensie już to zrobił. Już się wygadał. Pamiętasz Martinssonów? – Uśmiechnął się. – No oczywiście,

że pamiętasz. To ty i twój kolega pojechaliście na Hisingen, kiedy zgłoszono, że jest awantura. – Börge znów się zaśmiał. – To Metzer dzwonił, ale to już wiesz. I to ja się awanturowałem! Chociaż to nie była moja wina. Byłem w tym mieszkaniu tylko dlatego, że było blisko mieszkania Ellen. Poznałem Martinssonów trochę wcześniej. Ale ten idiota Martinsson myślał, że interesuję się jego brzydką żoną. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. Wyglądał jak ktoś skrzywdzony, niezrozumiany. – Jak mógł tak sądzić? Jak mógł myśleć, że interesuje mnie ktoś inny niż Ellen? Mieszkała tam wtedy. Z tym przeklętym bachorem. Miałem na nią oko. Miałem do tego prawo. Martinsson nie mógł tego zrozumieć. Nie każdy zresztą by mógł. – Kiwnął głowę w stronę Wintera. – Ktoś taki jak ty na przykład. Pierwszy lepszy. Ty jesteś takim pierwszym lepszym, czyż nie?

Börge się uśmiechał. Rozglądał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie patrzył na Wintera. Jego spojrzenie uciekło gdzie indziej.

– Ale dość tych rozmów – powiedział po kilku sekundach.

Muszę coś powiedzieć, pomyślał Winter. To kwestia życia i śmierci.

Nagle Börge podszedł do foliowego worka stojącego za drzwiami. Winter widział go kątem prawego oka. Pochylił się i zanurzył w worku rękę. Nagle spojrzał na Wintera.

– Ten pokój jest wyjątkowy. To tutaj Ellen uciekła tej

pierwszej nocy. Kto jak kto, ale ty o tym wiesz!

Muszę coś powiedzieć, muszę coś powiedzieć, muszę...

– Jo... Jon... Jo... – wykrztusił, ale zabrzmiało to tak, jakby próbował zagwizdać.

Wzdrygnął się. Börge wciąż szukał czegoś w worku.

Kiedy wyciągnie z niego rękę, pomyślał Winter, będzie po wszystkim. Wtedy zacznie się podróż w jedną stronę.

– Jon... Jon... – znów zaświstał.

Börge wyciągnął rękę z worka. Nic w niej nie miał.

– Co? Próbujesz coś powiedzieć, Winter?

Winter nie mógł odpowiedzieć. Próbował i czuł się całkowicie wyczerpany. Ale szyja nie bolała go już tak strasznie. Gardło też jakby zaczynało dochodzić do siebie, a myśli znów przepływały mu przez głowę. Wcześniej one też się dusiły.

Niebieskie światła omiotły Vasagatan. Bawił się nimi wiatr.

Kręciły się nierówno jak zepsuta karuzela. Przed wejściem do domu Börgego stały dwa radiowozy. Halders wybiegł z samochodu, nie zamykając za sobą drzwi.

Na górze kręcili się już policjanci.

– Drzwi były otwarte na oścież – powiedział jakiś inspektor.

– Jest ktoś w środku? – zapytał Halders.

– Wygląda na to, że nie.

Halders wszedł do przedpokoju. Korytarz skręcał w nietypowy

sposób. Skręcił za róg. Na końcu zobaczył otwarte drzwi.

Widział, że w środku jest już umundurowana policjantka.

Odwróciła się do niego. Zobaczył wyraz jej twarzy.

– Co jest?! – krzyknął i ruszył biegiem.

Jeszcze w biegu zobaczył sznur, metalowe obręcze, stalowy stół, części ciała, formy. Na podłodze w jaskrawym świetle połyskiwała plama.

Policjantka zasłaniała ręką brodę, usta i nos. Widział tylko jej oczy.

W pokoju nie było nikogo. Erik tu był, pomyślał Halders. Na pewno zrozumiał. Wiedział, co robić dalej?

Pod prawą ścianą stała puszka farby. Na podłodze leżał pędzel. Biała farba rozprysnęła się promieniście, kiedy rzucono go na podłogę. Na ścianie widniał napis. Na szarawym tle litery wydawały się kredowo białe:

MORDERCA.

– Ktoś tu był po Eriku – powiedział Halders.

Börge podszedł do niego i pochylił się. Nisko, potem jeszcze niżej. Przyłożył ucho do jego ust.

– Może lepiej będzie, jak to wyszepczesz?

– Jon...

– Jon? Jon? O kogo ci chodzi?

– Jon... Jona...

– Jona? Ach, Jonas! Pytasz o Jonasa?

Winter zamrugał na potwierdzenie.

– No patrz, Winter, ilu mamy wspólnych znajomych sprzed lat! Widziałeś przecież zdjęcie w domu Pauli, prawda? – Børge miał teraz szeroko otwarte oczy, jakby był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. – Słodki chłopczyk. Dziewczynka też była słodka. Razem byli tacy uroczy. – Børge chyba na chwilę pogrążył się we wspomnieniach. – Mój żart zrobił na nim spore wrażenie, kiedy był mały. Tylko sobie żartowałem z tą ręką. – Znow się uśmiechnął, ale inaczej niż przed chwilą. Ciepło. – Już wtedy to było moje hobby. Trzeba czymś zająć ręce, nie sądzisz? Stary Metzer twierdził, że to wcale nie było zabawne, ale nie obchodziło mnie, co myśli.

– O... O...

– Ooo? Widzę, że zrobiło to na tobie wrażenie.

Winter zebrał wszystkie siły, jakie jeszcze miał w płucach i w mięśniach, żeby wydusić jeszcze kilka słów:

– On... On cię widział.

– Widział mnie? – Børge chwycił Wintera za ramię

i potrząsnął nim. – Kiedy mnie widział? Gdzie? Tutaj? Nie sądzę. Tam? Też nie sądzę. Zresztą tu czy tam... to bez różnicy.

Kiedy ukradłem sznur z mieszkania Pauli, przylazł tam po kryjomu. Ale ja zdążyłem już wyjść. Tych dwoje nieszczęśników trzymało się siebie nawzajem. – Puścił ramię Wintera.

– Ten chłopak jest ode mnie zależny. Tak samo jak ona była.

Czytałeś chyba ten list? – Börge pokiwał głową, jakby sam sobie przytakiwał.

Tak. Winter czytał list. Paula napisała go do Börgego. Nie od razu zrozumiał. Bo jak można pojąć coś takiego? Pisała o swoim życiu, o prawie do niego. Chciała odzyskać wolność.

Domagała się jej. Może sądziła, że dzięki temu wszystkie tajemnice i kłamstwa pójdą w zapomnienie. Że po latach przemilczeń zacznie się coś innego, lepszego. Domagała się też wolności dla Jonasa.

– Właściwie to Jonasa też tu zaprosiłem – powiedział Börge. – Lada moment powinien przyjść. Mówiłem już, że jest ode mnie zależny. Mówiłem? Bo czy powiedział ci cokolwiek? Oczywiście, że nie.

Zadzwoniła komórka Wintera. Zapomniał, że ma ją przy sobie. Należała jakby do innego świata, innego życia. Börge zareagował na dzwonek, ale po chwili przestał się nim przejmować. To i tak nie miało wpływu na to, co się stanie z Winterem.

Więc leżę tu, pomyślał. Leżę czy siedzę, cholera wie, jak to nazwać. Sam się w to wpakowałem. Dałem się zwieść.

Przestałem myśleć. Chociaż nie – myślałem, ale nie tak, jak trzeba. Byłem sam. Z kim rozmawiałem ostatnio? Z Jonasem? Z nim? Co mówiłem? Nie pamiętam. Nie słyszałem prawie nic z tego, co powiedział. Za dużo się zdarzyło w zbyt krótkim

czasie. Noc była za krótka. Rozmawiałem też z Niną. Mówiłem jej, że pojedę do mieszkania Pauli. Musiałem jej to chyba powiedzieć? Ale to i tak nic nie zmienia. Chciałem zrobić wszystko. Rozwiązać sprawę. Znaleźć ostateczne wyjaśnienie. Chciałem mieć to z głowy, zanim wsiądę do samolotu. A teraz nic z tego. Nie powinienem był uderzyć tego młodego policjanta. Nawet nie zapytałem, jak się nazywa. Dzwoniła też Angela, teraz sobie przypominam. Boże! Elsa, Lilly. Miałem się ożenić z Angelą. Chciała tego. Kocham was i zawsze będę was kochał, bez względu na wszystko. Paula wiedziała. Oprawca pozwolił jej pisać, co chce, a ona pisała o przebaczeniu. Niczego jej nie dyktował. Wiedziała, że zaraz umrze, i napisała, co chciała. Wzięła winę na siebie. Teraz rozumiem. Cały ten chaos w jej życiu był skutkiem tego, że była nieplanowanym dzieckiem, może nawet niechcianym. Musiała to zauważyć, zrozumieć. Co jej powiedział Börge w tym pokoju? Czy musiał cokolwiek mówić, skoro już wiedziała? Chciała, żeby rodzice nie cierpieli aż tak bardzo. Dobry Boże. Pomóż mi. Teraz rozumiem, wiem. Gdybym nie miał związanych nóg, skopałbym tego bydlaka na śmierć. Wstaje. Podchodzi do worka. Muszę się na to przygotować. Coś wyciąga. Tak, to sznur, ma taki zapas, że mógłby owinać całą kulę ziemską. Czy mogę go uderzyć z główki? Będzie musiał podejść blisko, żeby mi założyć pętlę na szyję, a wtedy...

Börge zbliżał się ze sznurem. Pętla była już gotowa. Nagle zniknął za plecami Wintera. Winter na wpół leżał, na wpół siedział oparty o ścianę. Zaczął się osuwać na podłogę. Nie widział Börgego. Tylko go za sobą słyszał. Nie uda się. Nic nie może zrobić. Widział tylko okno, a stamtąd nie mógł się spodziewać pomocy. Nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd przyszedł. Może godziny, może całe dni. Okno bynajmniej nie pomagało. Nie mógł nawet stwierdzić, czy jest noc, czy dzień. Poczul pętlę na szyi. Börge ją zacisnął. Ta resztką powietrza, którą miał w płucach, zaczęła uciekać. Börge go pchnął, może po to, żeby łatwiej osunął się na podłogę.

Nagle gdzieś na zewnątrz coś huknęło, jakby ktoś uderzył metalem o metal. I jeszcze raz. Kątem oka widział migające światło. Sam nie wiedział, w którym momencie zrozumiał, że te nagłe refleksy za oknem nie są zjawiskiem przyrodniczym. Może wtedy, kiedy ktoś wybił szybę. Kiedy Börge krzyknął. A może kiedy przez okno jak dziki ptak wpadła czarna postać. Kończyło mu się już powietrze. W głowie miał pustkę. Ostatnią myślą, jaka mu przez nią przemknęła, było to, że chłopak musiał wspiąć się po rusztowaniu.

W PRZEDPOKOJU ROZLEGŁ SIĘ ŚMIECH DZIECI. Otwarte walizki stały na wypolerowanej sosnowej podłodze. Widział je w lustrze. Jutro wcześniej rano polecą. Wyjazd trochę się opóźnił, ale klinika w Marbelli okazała się wyrozumiała.

W odtwarzaczu John Coltrane głośno i mocno dął w saksofon.

A Love Supreme.

Winter wstał i poszedł do przedpokoju. Złapał Lilly w biegu.

– Czas do łóżka, malutka.

Później, wieczorem, rozmawiał jeszcze chwilę z Haldersem.

– Jakby co, dzwoń. Chyba że będzie chodzić o sprawy prywatne – powiedział Halders.

Winter się zaśmiał.

– Mówię serio, Erik.

– Fredrik, nie mam zamiaru odbierać ci tego śledztwa.

– Niewiele było do przejmowania.

– Co z Börgem?

– Zapomnij o nim.

– Staram się.

– Mówi, że zrobił wszystko, co musiał zrobić.

– No, nie do końca.

– Mam mu przypomnieć, że z tobą sobie nie poradził?

I z chłopakiem? Bo i jego uwzględnił w swoim planie.

– Poradził sobie ze mną – poprawił go Winter.

- Gdyby sobie poradził, tobyśmy teraz nie rozmawiali.
- I z żadnym chłopakiem. Nie jest już chłopcem.
- Z tym się zgodzę.
- Dzwoniłem do niego dziś rano. Jest samotny. To samotny człowiek. Paula dużo dla niego znaczyła.

Halders milczał.

- Dla niego to już koniec, Fredrik.
- Nie. Nie zostawię go samego.
- Wiem.
- Neya też.
- To też wiem.

W kuchni woda przestała lecieć z kranu. Po dziesięciu sekundach Angela weszła do salonu i usiadła na sofie. Miała na sobie szlafrok.

- Börge znalazł sposób, żeby do niej dotrzeć. Wykorzystał ich zdjęcie z dzieciństwa – powiedział Winter do słuchawki.

– Hm...

- Paula była tutaj... najważniejsza. Była żywym dowodem na to, że wszyscy go wystawili. To, że żyła, mu o tym przypominało.

– No.

- Ale na tym nie koniec.

– No nie.

- Do usłyszenia, Fredrik.

– Uważaj na siebie, Erik. I na rodzinę.

Jeszcze później Winter zastanawiał się, o czym myślał, leżąc na podłodze w pokoju numer dziesięć. Chciał o tym zapomnieć, ale pomyślał, że pewnie będzie zapominał kilka miesięcy.

– W Fuengirolí jest szwedzki kościół – powiedział.

Angela podniosła wzrok. Jeszcze się nie położyli. Może będą tak siedzieć, aż nadejdzie pora, żeby jechać na lotnisko.

– Chcesz w nim wziąć ślub? – zapytał.

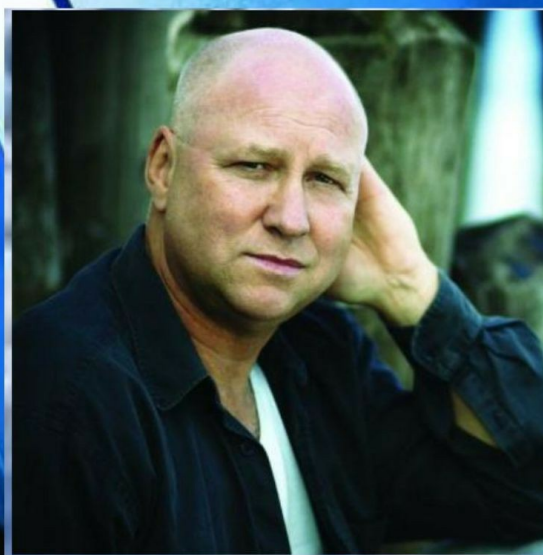
– Niby z kim?

– Pomyślałem, że może ze mną.

W göteborgskim pokoju hotelowym znaleziono zwłoki zamordowanej kobiety. Erik Winter po przybyciu na miejsce uświadamia sobie, że wcześniej tu był. Wtedy też chodziło o zaginioną kobietę, której sprawa nigdy nie została rozwiązana. Winter jest pewien, że wtedy coś widział. Coś, co mu umknęło a co powinien był zinterpretować. Czy te dwie kobiety miały ze sobą coś więcej wspólnego niż tylko pokój numer 10?

Ake Edwardson

Pracował jako dziennikarz i wykładowca na uniwersytecie w Göteborgu. Jako pisarz kryminałów zadebiutował w 1995 roku. Powieścią „Dans med en ängel” (1997) i zapoczątkował słynną serię kryminalną o komisarzu Eriku Winterze. Obecnie jest jednym z najchętniej czytanych pisarzy nie tylko w Szwecji, lecz także za granicą. Jego książki zostały przetłumaczone na 20 języków. Laureat wielu prestiżowych nagród, uznany za najlepszego pisarza roku 2003 w Szwecji



Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**



Ali Baba